



Mark Billingham

UPROWADZONY

Przeszłości nie da się pogrzebać...



Billingham Mark

Uprowadzony



Dla Sarah Lutyens.

Bez której nie byłoby niczego.

Myślisz o dzieciach.

Zawsze w takiej sytuacji, w takim stanie, kiedy nie potrafisz określić, czy to gniew, czy cierpienie zapiera ci dech, i tak trudno jest ci wykrztusić słowa, by dotarły na drugi koniec pokoju, przede wszystkim myślisz o nich...

- Dlaczego, u licha, dlaczego, kurwa, nie powiedziałeś mi tego wcześniej?

- To nie był właściwy czas. Należało z tym poczekać.

- Należało?

Postępuje krok w stronę mężczyzny stojącego na drugim końcu salonu.

On cofa się instynktownie, aż uderza łokciami o krawędź sofy i nieomal osuwa się do tyłu na miękkie poduszki.

- Myślę, że powinnaś się uspokoić - mówi.

W pokoju czuć zapach potpourri. Na dywanie są ślady świadczące o tym, że był niedawno odkurzany, a zegar na obramowaniu kominka, wykonany z wypolerowanego sosnowego drewna, tyka bardzo głośno;

- Co niby miałabym teraz zrobić? - pyta kobieta. - Naprawdę chciałabym to teraz wiedzieć.

- Nie mogę ci mówić, co masz robić. Decyzja należy do ciebie.

- Uważasz, że mam wybór?

- Powinnaś usiąść i porozmawiać, ustalić najlepszy sposób, aby pójść dalej...

- Boże święty. Wparowujesz tu i mówisz takie rzeczy. Bez ogródek, jakby to było coś, o czym zapomniałeś wspomnieć. Przychodzisz tu i mówisz mi o całym tym... syfie!

Znów zaczęła płakać, ale tym razem nie unosi dłoni do twarzy. Zamyka oczy i czeka, aż ten moment minie. Aż wściekłość powróci z pełną mocą.

- Sarah...

- Nie znam cię. Nawet, kurwa, cię nie znam!

Przez kilka sekund słychać tylko tykanie, odległe dźwięki ruchu ulicznego i stłumione odgłosy z radia w kuchni, które przyciszyła, kiedy usłyszała dzwonek do drzwi. Wewnątrz ogrzewanie jest włączone na pełną moc, choć w firanki w oknach wciąż wsączają się promienie słońca.

- Przepraszam.

- Co?

Ale usłyszała go wyraźnie. Uśmiecha się, a potem wybucha śmiechem. Mnie między palcami materiał sukienki i zaciska dłonie w pięści. Coś zaczyna ścisnąć ją w żołądku, czuje drżenie mięśni uda.

- Muszę iść do szkoły.

- Dzieciom nic nie będzie. Naprawdę, kochanie, włos im z głowy nie spadnie.

Powtarza jego ostatnie słowa raz, potem drugi raz, szeptem. Tym razem nie hamuje łez ani krzyku, który w niej wzbiera. Nie zatrzymuje się, lecz rusza z furią na drugą stronę pokoju, kierując zakrzywione w szpony palce ku oczom mężczyzny.

On unosi ręce, by się osłonić. Chwyta dłonie, które próbują wydrapać mu oczy, i gdy już ją trzyma, kiedy ją unieruchamia, próbuje ją uspokoić i odprowadzić na bok.

- Musisz się uspokoić.

- Ty. Pieprzony. Skurwielu.

Ona potrząsa głową do tyłu.

- Posłuchaj mnie, proszę.

Strużka śliny trafia go powyżej górnej wargi i spływa do ust. Wyrzuca z siebie przekleństwo skierowane pod jej adresem; rzadko używa takich słów.

I popychają...

Nagle staje się nieważka, upada do tyłu, otwiera usta do krzyku i roztrzaskuje szklany blat stolika do kawy. Mija kilka sekund odmierzanych tykaniem zegara. I odgłosami ruchu ulicznego oraz głosami z radia.

Mężczyzna robi krok w jej stronę i staje jak wryty. Od razu spostrzega, co się stało.

Bolą ją plecy i kostka, którymi uderzyła w krawędź stolika, upadając. Próbuje usiąść, ale jej głowa staje się ciężka jak kula do burzenia budynków. Z jej piersi dobywa się jęk, a ramiona wgniatają odłamki szkła w dywan, na którym leży. Spoczywa bez tchu pośród drobniśkich jak diamenty i w tej samej chwili, gdy rozpoznaje piosenkę płynącą z radia, czuje ciepło i wilgoć na potylicy. Rozlewają się wokół jej szyi i spływają po karku pod sweter.

Odłamek...

Przez sekundę lub dwie myśli o tym słowie: o tym, jak głupio brzmi, kiedy je powtarza po wielokroć. Myśli o swoim pechu. O tym, jak cholerny można mieć niefort. Odłamek musiał rozpruć tętnicę, może nawet dwie. I choć słyszy dźwięk wypowiedzanego swojego imienia, choć wychwytuje nutę desperacji, wręcz paniki w tym głosie, zaczyna już odpływać i skupia się, koncentruje się wyłącznie na twarzach swoich dzieci.

Przede wszystkim na nich.

Kiedy pospiesznie wypływa z niej życie - rozlewając się czerwienią po barwionym szkłe - nawiedza ją ostatnia, prosta i oczywista myśl. Prosta, czuła i jakże okrutna.

Jeżeli spróbuje tknąć moje dzieci, zabiję go.

CZEŚĆ PIERWSZA

NADCHODZĄCY CIOS

Luke

- Chyba tak naprawdę chcę powiedzieć, żebyś się nie martwiła. Dobrze, mam? To znaczy nie musisz. Chociaż siedząc tu i mówiąc to, wiem, że to na nic, bo przecież bez przerwy czymś się zamartwiasz. Juliet i ja uważamy, że gdybyś się czymś nie martwiła, pewnie czułabyś się nieswojo albo dziwnie, jakby jakaś częśćka ciebie nie funkcjonowała należycie. Byłabyś zdezorientowana i zakłopotana. Jakbyś wiedziała, że zapomniałaś o czymś ważnym, co miałaś zrobić, albo posiadałaś klucze i nie potrafisz ich znaleźć. Gdybyś się nie martwiła, przejmowałabyś się tym, że się nie martwisz!

- Ale wszystko gra, naprawdę. Radzę sobie całkiem nieźle. Właściwie to nawet lepiej niż nieźle. Nie twierdę, że jest tiptop, to nie pięć gwiazdek, ale jedzenie mogłoby być gorsze, a oni traktują mnie całkiem dobrze. A łóżko jest drugim w kolejności najbardziej niewygodnym łóżkiem, na jakim spałem. Pamiętasz ten fatalny pensjonat w Eastbourne, gdzie się zatrzymaliśmy, kiedy Juliet brała udział w turnieju hokejowym i łóżko było jakby wypchane kamieniami? To zdumiewające, ale nawet udało mi się trochę zdrzemnąć.

- Nie wiem, co jeszcze mógłbym powiedzieć. Co jeszcze powinienem powiedzieć...

- Może tylko... że gdybyś zechciała ponagrywać te seriale komediowe, które lubię, byłoby super. Nie podnajmuj jeszcze tak od razu mojego pokoju i proszę, powiedz wszystkim w szkole, żeby nie załamywali się za bardzo. Rozumiesz? Jestem najedzony, sypiam nieźle i wciąż nie brak mi poczucia humoru. Tak więc zrozum, że nie masz tak naprawdę powodu, aby się martwić, jasne, mam? Nic mi nie jest. Powiem ci coś jeszcze: kiedy wszystko wreszcie się skończy, co byś powiedziała, żebyśmy dostał to playstation 2, o które tak cię prosiłem? Nie dziw się, że wykorzystuję każdą okazję, aby dostać to, na czym mi zależy, chyba mnie rozumiesz?

- Mógłbym powiedzieć jeszcze mnóstwo innych rzeczy, ale nie chcę zbytnio przedłużać, a poza tym i tak dobrze wiesz, co by to było, mam. Wiesz, co próbuję powiedzieć, prawda?

- Dobra. Wystarczy...

Wzrok chłopca odrywa się od kamery i mężczyzna ze strzykawką w dłoni szybko podchodzi do niego. Siada sztywno wyprostowany i spina się, gdy mężczyzna wyciąga rękę,

zakładając na głowę chłopca torbę na kilka sekund przed tym, jak obraz znika.

1

Humoru nie brakowało, to oczywiste, zazwyczaj jednak był on niezbyt wyrafinowany i niewątpliwie czarny, zwłaszcza gdy wymagała tego sytuacja. Mimo to ostatnio żartów było mniej i nie należały do najlepszych, ale żaden nie odnosił się do Toma Thome'a.

A jednak już od dawna tak się nie uśmieiał.

- Jesmond poprosił o mnie? - zapytał.

Russell Brigstocke odchylił się w fotelu do tyłu, lubując się wyrazem zdumienia, jakie wywołało jego ewidentnie wstrząsające stwierdzenie. W tym świecie nie było nic pewnego. Londyńska policja znajdowała się w stanie permanentnych zmian i choć niewiele rzeczy można było uznać za niezmiennie, delikatnie mówiąc, chłodne relacje pomiędzy detektywem inspektorem Tomem Thorneem a szefem Wydziału Zabójstw Sekcji Zachodniej zachowywały nieodmiennie kojący konstans.

- Bardzo nalegał.

- Pewnie mocno na niego naciskają - rzekł Thome. - Zaczyna tracić fason.

Tym razem to Brigstocke mimowolnie się uśmiechnął.

- Dlaczego przychodzi mi na myśl powiedzonko „przyganiał kocioł garnkowi”?

- Nie mam pojęcia. Może masz słabość do kuchennych utensyliów?

- Wciąż narzekałeś, że chcesz jakąś sprawę. Więc...

- Miałem po temu istotny powód.

Brigstocke westchnął, szturchając oprawki swoich masywnych czarnych okularów.

W gabinecie było ciepło, wiosna za pasem, ale grzejniki pracowały pełną parą jak w grudniu. Thome wstał i zdjął brązową skórzaną kurtkę.

- Daj spokój, Russell, wiesz doskonale, że od prawie pół roku nie dostałem nic godnego uwagi.

Sześć miesięcy, odkąd pracował incognito na ulicach Londynu, usiłując schwytać człowieka odpowiedzialnego za zakatowanie na śmierć trzech bezdomnych. Pół roku spędzone na spisywaniu raportów, ochronie integralności łańcucha dowodów i powtórna kontrola papierów przy sprawach oczekujących na postępowanie karne. Pół roku bycia trzymanym z dala od wszystkiego, co można by spieprzyć.

- To coś, czym trzeba się zająć - rzekł Brigstocke. - I to szybko.

Thorne ponownie usiadł i zaczął czekać, aż nadinspektor rozwinie temat.

- Chodzi o porwanie...

Brigstocke uniósł rękę, gdy tylko Thorne zaczął kręcić głową i marudzić zza biurka.

- Szesnastoletni chłopak trzy dni temu został uprowadzony sprzed szkoły w północnym Londynie.

Przeczący ruch głową zmienił się w lekkie, znaczące potakiwanie.

- Jesmond wcale nie chce mnie przy tej sprawie, zgadza się? To nie ma nic wspólnego z tym, co potrafię i w czym jestem dobry. Poproszono go, by udostępnił Jednostce ds. Uprowadzeń kilku funkcjonariuszy, mam rację? Dlatego też zachowuje się jak należy, tańczy, jak mu zagrają, a przy okazji usuwa mnie ze sceny. Załatwia dwie sprawy za jednym zamachem.

W rogu biurka Brigstocke a stała smętna paprotka, jej zeschnięte liście opadały na zdjęcie jego dzieci. Odłamał garść zbrązowiałych gałązek i zaczął gniesć je w palcach.

- Posłuchaj, wiem, że jesteś wkurzony, i co więcej, masz po temu powód...

- Jeszcze jak! - warknął Thorne. - Czuję się lepiej niż kiedykolwiek i wiem o tym doskonale. Wiem, że... dałbym radę.

- Nie wątpię. Ale dopóki nie zapadnie odgórna decyzja, by przyznać ci aktywniejszą rolę w zespole, pomyślałem, że zechcesz skorzystać z szansy, by „usunąć się w cień”. I nie tylko ty. Hollanda też przydzielono do tej sprawy...

Thome wyglądał przez okno ponad terenami Peel Centre w kierunku Hendon i szarej wstęgi North Circular w oddali. Podziwiał już ładniejsze widoki, ale to było dawno temu.

- Szesnaście lat?

- Nazywa się Luke Mullen.

- A więc dzieciaka porwano... w piątek? Co się działo przez ostatnie trzy dni?

- Dowiesz się wszystkiego na odprawie w Scotland Yardzie. - Brigstocke spojrzął na kartkę papieru leżącą na biurku przed nim. - Twoim łącznikiem w Jednostce ds. Uprowadzeń jest detektyw inspektor Porter. Louise Porter.

Thome wiedział, że Brigstocke jest po jego stronie, że czuje się rozdarty pomiędzy lojalnością wobec swojego zespołu a odpowiedzialnością względem przełożonych. W dzisiejszych czasach wszyscy w jego randze byli w jednej dziesiątej policjantami, a w dziewięciu dziesiątych politykami. Wielu kolegów Thomea w jego randze pracowało zgodnie z tą właśnie zasadą, a on sam był gotów bronić się zębami i pazurami, by uniknąć podobnego losu.

- Tom?

Brigstocke najwyraźniej użył odpowiednich argumentów. Już sam wiek chłopca wystarczał, by wzbudzić zaciekawienie Thome a. Ofiary tych, którzy żerowali na dzieciach

dla satysfakcji seksualnej, były z reguły dużo młodsze. Nie żeby na cel nie brano starszych, ale tego rodzaju akty przemocy były najczęściej zinstytucjonalizowane lub, co najtragiczniejsze, rozgrywały się w czterech ścianach ich własnego domu. Porwanie szesnastolatka z ulicy było raczej niespotykane.

- Trevor Jesmond jest w to zaangażowany, a co za tym idzie, muszą być naciski na osiągnięcie pożądanego rezultatu - stwierdził Thorne.

Jeżeli wzruszenie ramion i lekki uśmiezek można uznać za wyraz entuzjazmu, to wydawało się, że jest w siódmym niebie.

- Chyba wytrzymam lekki nacisk z góry.

- Nie wiesz jeszcze wszystkiego.

- No to słucham.

Brigstocke wyjaśnił mu wszystko, a kiedy skończył i Thorne wstał, żeby wyjść, po raz ostatni wyjrzał przez okno. Budynek naprzeciwko był brązowy, czarny i brudnobiały, biurowce i magazyny z kałużami ciemnej wody na płaskich dachach. Przywodziły na myśl zęby w ustach starca.

Zanim samochód wyjechał poza szlaban przy parkingu, Thorne włożył do odtwarzacza płytę kompaktową Bobby'ego Barea, powiódł spojrzeniem po twarzy Hollanda i czym prędzej wyjął CD.

- Powinienem dopilnować, aby w aucie była zawsze jakaś płyta Simply Red - rzekł. - Żeby nie raził twojej wrażliwości.

- Nie lubię Simply Red.

- Nieważne.

Holland wskazał na pojemnik na kompaktki nad deską rozdzielczą.

- Nie mam nic przeciwko niektórym z nich. To po prostu jedno i to samo smętne brzdąkanie na gitarze...

Thorne skręcił w Aerodrome Road i przyspieszył, zmierzając w stronę stacji metra Colindale. Kiedy wyjadą na A5, będą mieli już prostą drogę przez Cricklewood, Kilburn do południowej części miasta.

Po skrytykowaniu gustu muzycznego Thorne'a Holland dobił go jeszcze kilkoma sarkastycznymi uwagami na temat samochodu. Żółte BMW, trzylitrowe CS rocznik 1 było dla Thorne'a obiektem radości i dumy, jednak dla detektywa sierżanta Dave'a Hollanda stanowiło obiekt coraz to nowych i bardziej uszczypliwych żarcików na temat „starych rzęchów”.

Tym razem jednak Thorne nie chwycił przynęty. Mało kto mógł jeszcze bardziej

zepsuć mu humor.

- Ojciec tego dzieciaka to były gliniarz - powiedział.

Nacisnął klakson, gdy drogę zajechał mu skuter, i jakby z niesmakiem wycedził:

- Były nadkomisarz śledczy Anthony Mullen.

Holland już od jakiegoś czasu miał włosy dłuższe niż zazwyczaj. Odgarnął z czoła blond kosmyki.

- No i?

- No i wchodzimy w obszar, w którym wszystko robi się po cichu, bez rozgłosu. Facet skorzystał z możliwości i poprosił starych kumpli o przysługę. I zanim się obejrzałeś, obaj zostaliśmy przeniesieni do innej jednostki.

- W sumie i tak nie mieliśmy nic lepszego do roboty - rzucił Holland.

Spojrzenie Thome a trwało tylko chwilę, ale podkreśliło prawdziwość słów sierżanta.

- Miałem na myśli nas obu. Na razie nie ma żadnych nowych ciał na tapecie.

- Otóż to. Na razie. Nigdy nie wiadomo, kiedy pojawi się jakaś nowa, grubsza sprawa.

- Mówi pan tak, jakby na coś pan liczył.

- Słucham?

- Jakby nie chciał pan tego przegapić...

Thorne nie odpowiedział. Przeniósł wzrok na boczne lustro i wpatrywał się w nie przez chwilę, włączając kierunkowskaz i czekając, by ruszyć dalej.

Obaj mężczyźni milczeli przez następnych kilka minut. Na szybach pojawiły się krople deszczu i w tej scenerii Kilburn zaczęło wyglądać jak stetryczały odpowiednik Maida Vale.

- Dowiedział się pan czegoś więcej od nadinspektora? - spytał Holland.

Thorne pokręcił głową.

- Wie tyle, co my. Reszty dowiemy się na miejscu.

- Miał pan wcześniej więcej do czynienia z S07?

Jak wielu funkcjonariuszy Holland nie przywykł jeszcze do tego, że nazwy jednostek przemianowano i stanowiły obecnie część czegoś, co określano mianem Dyrektoriatu ds. Przystępstw Szczególnych. Większość policjantów nadal używała dawnych skrótów, zdając sobie sprawę, że góra i tak raczej prędzej niż później znów pozmienia nazwy i to zapewne przy najbliższej okazji, kiedy akurat nie będzie miała nic do roboty. S07 było wydziałem operacji specjalnych, którego poszczególne jednostki miały do czynienia ze wszystkim, począwszy od zabójstw na zlecenie po zbrodnie związane z narkotykami. Prócz Jednostki ds. Uprawdzeń w jej skład wchodziły również Lotna Brygada, Grupa ds. Zakładników i

Wymuszeń oraz Jednostka Specjalna, z którą Thome pracował podczas połączonej operacji przeciwko gangsterskiej organizacji przestępczej, która to akcja zakończyła się w ubiegłym roku tak bolesną tragedią.

- Na szczęście nie z Jednostką ds. Urowadzeń. To sama śmietanka, nie lubią zadawać się z takimi jak my. I uwielbiają otaczać się nimbem tajemnicy.

- Cóż, zważywszy na to, czym się zajmują, wcale mnie nie dziwi ich zamiłowanie do sekretów. Muszą być nieco dyskretniejsi niż większość z nas.

Thorne a jakoś to nie przekonywało.

- Szpanerzy.

Włączył radio i przełączył na kanał sportowy.

- A więc ten Mullen zna Jesmonda?

- Od lat.

- Są w podobnym wieku?

- Mullen jest chyba o parę lat starszy - odparł Thome. - Pracowali razem w jednym zespole, gdzieś na południe od rzeki. Nadinspektor uważa, że to Mullenowi Jesmond zawdzięcza swój awans. To on rzekomo pociągnął za pewne sznurki, aby wywindować Trevora w górę.

- Hm...

- Przypomnij mi, żebym dał skurwielowi w mordę, dobra?

Holland się uśmiechnął, ale nie miał zadowolonej miny.

- Co jest?

- Ktoś porwał jego syna... - rzekł Holland.

Na ostatnim odcinku Edgware Road, niedaleko Marble Arch, zaczął się tworzyć korek. Thome był coraz bardziej sfrustrowany i pomyślał, że opłaty za wjazd do centrum odnosiły tylko ten skutek, iż uszczuplały zawartość portfeli kierowców. W radiu rozmawiano o meczu, jaki Spurs mieli rozegrać następnego wieczoru. Ekspert w studiu stwierdził, że drużyna jest uważana za faworyta i wywiezie z Fulham trzy punkty po trzech kolejnych zwycięstwach z rzędu.

- To pieprzony pocałunek śmierci - wycedził Thome.

Holland wciąż myślał o tym, co usłyszał kilka minut temu.

- Na pewne rzeczy patrzy się inaczej - powiedział. - To znaczy, kiedy ma się już dzieci.

Thome tylko burknął.

- Gdy coś się stanie czyjemuś...

- Chcesz powiedzieć, że jestem nieczuły? - spytał Thome. - Chodzi o to, co powiedziałem?

- Troszeczkę.

- Gdybym naprawdę był nieczuły, powiedziałbym, że to przykład kary boskiej.

Spojrzał z ukosa i uniósł wzrok. Tym razem uśmiech, jaki otrzymał w zamian, był szczery, ale nadal nie tak szeroki, jak mógł się tego spodziewać. Holland, przynajmniej zdaniem Thornea, nigdy nie był żółtodziobem w prawdziwym tego słowa znaczeniu, ale kiedy dołączył do zespołu przed sześcioma laty jako dwudziestopięcioletni detektyw konstabl, miał o niebo więcej entuzjazmu.

No i jeszcze ta jego wiara. On i jego dziewczyna przeżywali od tego czasu liczne perturbacje, choćby romans sierżanta z pewną policjantką, która potem zginęła na służbie, czy narodziny córki, która w tym roku skończy dwa lata.

I całkiem sporo ciał.

Stale powiększająca się galeria tych, których poznajesz dopiero wtedy, gdy zostanie im odebrane życie. Ludzie, których mroczne sekrety możesz odkryć, ale których głosu nigdy nie usłyszysz i którzy nigdy nie zdradzą ci swoich myśli. Wystawa umarłych biegnąca obok drugiej - ekspozycji morderczych żywych. I tych, którzy pozostali; strzępów przerwanych żywotów.

Thome i Holland oraz inni, którzy stykali się z czymś takim, nie byli przytłoczeni przez przemoc i żalobę. Nie przyjmowali na siebie tego brzemienia, ale nie byli też na nie całkiem uodpornieni. Prędzej czy później wszystko się zmieniało.

Wiara się przytębiała...

- Jak tam w domu, Dave?

Przez sekundę lub dwie Holland sprawiał wrażenie zaskoczonego, a potem ucieszonego, zaraz jednak mina mu zrzędła.

- Nieźle.

- Chloe pewnie jest już duża.

Holland pokiwał głową i rozluźnił się.

- Zmienia się co pięć minut. Odkrywa wszystko. Za każdym razem, kiedy wracam do domu, robi coś innego. Teraz zainteresowała się muzyką i bez przerwy coś śpiewa.

- Ale raczej nie są to rzewne piosenki z brzdąkaniem na gitarze.

- Wciąż mam świadomość, że to wszystko przechodzi mi koło nosa. Że nie jestem świadkiem tego, jak ona się zmienia...

Thorne uznał, że pytanie o dziewczynę Hollanda mija się z celem. Sophie nie

przepadała za nim. Wiedział doskonale, że w ich mieszkanku w Elephant & Castle jego nazwisko było raczej wykrzykiwane niż wypowiedane spokojnym tonem, a może nawet stało się powodem kilku kłótni pomiędzy Hollandem a Sophie.

BMW zwiększyło w końcu prędkość do pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, wjeżdżając na Park Lane. Stąd będą jechać dalej aż do Victoria, a potem już tylko zjazd do St James i Scotland Yardu. Holland odwrócił się do Thome a, gdy zwolnili przy Hyde Park Comer.

- Nawiasem mówiąc, Sophie kazała pana pozdrowić - powiedział.

Thorne pokiwał głową i wprowadził samochód do ruchu ulicznego, by objechać rondo.

To nie było jego ulubione miejsce. Spędził tu kilka okropnych tygodni w ubiegłym roku, może nawet najgorszych w całym swoim życiu, gdy usunięto go z zespołu i skierowano na przymusowy urlop.

Thome doskonale zdawał sobie sprawę, że nie był sobą i nie potrafił poukładać sobie życia po śmierci ojca - nie umiał pogodzić się z tą stratą. Ale gdy słyszał takie komentarze od ludzi pokroju Trevora Jesmonda, wiedział, że kryły w sobie inny kontekst: jest niechcianym balastem i ciągnie się za resztą jak nieprzyjemny zapach. Praca incognito całkiem przypadkowo dała mu szansę ucieczki od tego wszystkiego, a kolejne tygodnie, które przeżył na ulicach miasta, okazały się o niebo miłsze niż dni, które spędził w dusznych, pozbawionych okien, ciasnych pokoikach Scotland Yardu.

Kiedy szli w stronę wejścia, Thorne spojrzął z niechęcią na grupkę turystów robiących sobie zdjęcia przy słynnej obracającej się tablicy.

- Czym się pan tu zajmował, kiedy tu pana skierowali? - spytał Holland.

Thome wyjął legitymację i pokazał strażnikom przy wejściu.

- Zastanawiałem się, ile trzeba by połknąć pigułek aspiryny, żeby doprowadzić do śmiertelnego zejścia...

Wydział ds. Uprawdzeń należał do tych jednostek SO, które miały siedzibę w Central 0, wielkim biurze na planie otwartym zajmującym połowę piątego piętra. Przestrzeń każdej jednostki miała własne oznakowania i barwy, a granice wyznaczała prostokątna tablica zwieszająca się z niskiego sufitu. Bojowa Jednostka Taktyczna miała oznakowania czarne, Inwigilacyjna zielone, ds. Uprawdzeń czerwone. Gdzie indziej inne barwy wskazywały obecność wsparcia technicznego i kontroli, które miały do dyspozycji całe ściany monitorów podłączonych do kamer rozmieszczonych w różnych częściach miasta lub przekazujących na żywo obraz z kamery na pokładzie policyjnego śmigłowca patrolowego.

Thorne i Holland przez chwilę przyglądali się temu wszystkiemu.

- A my się zastanawialiśmy, dlaczego nie stać nas na kupno nowego czajnika do naszego biura - rzekł detektyw sierżant.

Niska ciemnowłosa kobieta wstała zza biurka w obszarze strefy czerwonej i przedstawiła się jako detektyw inspektor Louise Porter. Holland po kilku chwilach niezobowiązującej rozmowy z nią powtórzył swój komentarz na temat czajnika. Thorne zdziwił się, ile trudu włożyła w to, by udać rozbawienie.

Porter pospiesznie zapoznała ich z profilem jednostki. W skład całego zespołu wchodziły trzy; miały mniej więcej standardową strukturę. Policjantka była jednym z dwójki inspektorów przyjmujących sprawy i prowadzących je przy współudziale blisko tuzina innych funkcjonariuszy, wszyscy podlegali bezpośrednio nadinspektorowi.

- Nadinspektor Hignett chciał, bym przeprosiła w jego imieniu, że nie może spotkać się z panami osobiście - rzekła Porter. - Zobaczysz się z panami później. No i, rzecz jasna, teraz jest już trzech detektywów inspektorów. - Skinęła w stronę Thorne'a. - Dzięki, że zechciał pan w to wdepnąć.

- Nie ma sprawy - odparł Thorne.

- Choć w sumie nie miał pan chyba wyboru?

- Żadnego.

- Przykro mi z tego powodu, ale pomoc bardzo nam się przyda. - Spuściła wzrok. - Wszystko w porządku?

Thorne przestał przestępować z nogi na nogę, uświadamiając sobie, że się krzywi.

- Dokuczają mi plecy - odparł. - Chyba coś sobie naciągnąłem.

Prawda była taka, że już od jakiegoś czasu czuł się nie najlepiej, ból przeszywający lewą nogę dawał mu się we znaki, zwłaszcza po dłuższym siedzeniu w samochodzie albo, nie daj Boże, za biurkiem. Z początku uważał, że to jakieś bóle mięśniowe, być może reperkusje nocy przespanych na ulicy, teraz jednak podejrzewał, że problem mógł być inny i znacznie poważniejszy. Cóż, samo przejdzie, na razie brał sporo środków przeciwbólowych.

Porter przedstawiła Thorne'a i Hollanda tym członkom zespołu, którzy byli akurat w biurze. Większość z nich sprawiała wrażenie przyjaźnie nastawionych. Wszyscy wyglądali na bardzo zapracowanych.

- Oczywiście wielu naszych ludzi pracuje w terenie - wyjaśniła Porter. - Podążając za tym, co eufemistycznie określamy mianem „tropów”.

Holland oparł się o wolne biurko.

- Przynajmniej jakieś macie.

- Właściwie tylko jeden. Kilkoro świadków widziało, jak Luke Mullen wsiada do samochodu tego samego popołudnia, kiedy zginął.

- Numer rejestracyjny tego auta? - rzucił Thorne.

- Tylko fragmenty. Auto granatowe albo czarne. To mógł być Volkswagen passat. To wiemy z zeznań innych dzieciaków, które właśnie skończyły lekcje i były zbyt zajęte rozmowami o muzyce, jeździe na deskach czy czym tam jeszcze zajmują się nastolatki.

Holland się uśmiechnął.

- Nie ma pani własnych, prawda?

- Wsiada do wozu - powtórzył Thorne. - A więc nie wyglądało na to, że został do tego zmuszony?

- Wsiadł do samochodu z młodą kobietą. Atrakcyjną. Myślę, że inni chłopcy byli zbyt zajęci taksowaniem jej wzrokiem, by zwrócić uwagę na samochód.

- Może Luke poznał nową dziewczynę - podsunął Holland.

- Tak właśnie pomyśleli niektórzy z tych chłopców. Już go z nią wcześniej widzieli.

- Czy zatem taka możliwość nie wchodzi w grę? - spytał Thorne.

- To szesnastoletni chłopak. Może udał się do jakiegoś hotelu z urzekającą starszą kobietą.

- Możliwe.

Porter zaczęła sprzątać biurko, po czym zdjęła torebkę wiszącą na oparciu krzesła.

- Ale to było w zeszły piątek. Dlaczego nie odezwał się od tego czasu?

- Pewnie ma ciekawsze rzeczy do roboty.

Porter przekrzywiła głowę, zastanawiając się nad teorią, którą ewidentnie już odrzuciła.

- Kto wybiera się na upojny weekend, nie mając nic prócz szkolnego swetra i dresu?

Pozwoliła im się nad tym przez chwilę zastanowić, po czym minęła Thome a i Hollanda, kierując się w stronę drzwi i zmuszając ich do podjęcia decyzji, czy powinni pójść za nią.

Holland odczekał, aż policjantka oddali się tak, by nie mogła ich usłyszeć.

- Cóż, ona akurat ani za bardzo nie szpanuje, ani się nie wywyższa...

W holu z windy wyszedł kolejny członek ich zespołu. Porter przedstawiła kobietę Thomeowi i Hollandowi, po czym we trójkę zajęli jej miejsce. Porter zamieniła kilka słów z koleżanką, wcisnęła guzik i spojrzała na Thome a, gdy drzwi się zamknęły.

- To jedna z dwójga funkcjonariuszy łącznikowych, którzy przebywają w domu na zmianę, odkąd włączono nas w tę sprawę. Drugiego poznacie, kiedy dotrzemy na miejsce.

- Oczywiście.

Porter przeniosła wzrok na rząd podświetlonych cyferek nad drzwiami. Thome zastanawiał się, czy zawsze była taka nerwowa. Czy wszędzie tak się jej spieszyło.

- Jeżeli to będzie możliwe, chciałabym spędzić dziś z Mullenami kilka godzin. Pierwsze rozmowy z rodziną są zwykle najważniejsze.

Dopiero po chwili Thorne zrozumiał.

- Pierwsze rozmowy? - powtórzył.

Porter odwróciła się do niego.

- Powiadomiono mnie o sprawie dopiero wczoraj po południu - odparła. - O porwaniu nie zostaliśmy poinformowani od razu.

Thorne wychwycił spojrzenie Hollanda, który najwyraźniej był równie zaskoczony.

- Czy pojawiły się jakieś groźby? - zapytał. - Rodzina otrzymała zakaz kontaktowania się z policją?

- Ktokolwiek porwał Luke'a, nie skontaktował się z rodziną.

Winda dojeżdżała na parter i drzwi się otworzyły, ale Thome nie ruszył w stronę wyjścia.

- W obecnej chwili pańska teoria jest równie dobra jak moja - rzekła Porter.

- Czyli?

- Czy jest sens gdybać? Najważniejsze jest to, że w piątek po południu Lukę Mullen został uprowadzony i z jakichś sobie tylko znanych powodów jego rodzice postanowili odczekać kilka dni, zanim kogokolwiek o tym poinformują.

Conrad

Powiedzmy, że jesteś karłem, dobrze?

To nie znaczy, że podobają ci się inne karły, prawda? Ze nie może wpaść ci w oko ktoś, kogo mógłbyś przytulić i popieścić, stojąc na krześle. Właściwie to całkiem normalne, że chcesz być z kimś innym. Choćby po to, by przekonać się, jak to jest.

Wiedział doskonale, że jest mu pisane być z kobietą, która pracuje przy okienku kasowym w Asdzie, nosi podróbkę Burberry i używa podróbek markowych perfum, kiedy więc Amanda zaczęła węszyć, celowo naśladowując akcent niższych sfer i sącząc alkoholowe drinki, jakby jutro miało nie nastąpić, ruszył naprzód jak szczur przedzierający się przez rurę kanalizacyjną. W sumie czemu nie? Zawsze miewał fantazję oodrobinie szpanu i blichtru i choć w głębi duszy wiedział, że ona gra, wszystko zdawało się układać jak najlepiej.

Jednak ostatnio zaczął odnosić wrażenie, jakby czegoś mu brakowało, i nie chodziło tylko o zaniedbywany seks, który po kilku miesiącach znajomości zaczynał mu powszednieć.

Chodziło o coś więcej. Zaczął odczuwać, jakby wszystko było ciut nierealne. Mogła nazywać siebie Mandy, kiedy tylko zechciała, i odpicowywać się w najlepsze, ale dla niego zawsze pozostanie Amanda i nigdy nie będzie jej równy czy to w kwestii urodzenia, czy inteligencji. Nie żeby był głupi - wręcz przeciwnie. Wiedział, o co chodziło, jak najbardziej. Kiedy chodziło o robienie różnych rzeczy, zarabianie na życie i całą resztę, zawsze polegał na innych. W sumie to nawet dobrze, bo przecież znał swoje ograniczenia. To czyniło go bystrzakiem, tak przynajmniej uważał.

Teraz jednak zaczął myśleć o innych kobietach. O nikim konkretnym, po prostu - o innego typu kobietach. O kobietach w swoim typie. Zaczynał się rozmarzać nawet w trakcie cholernie ważnych spraw, jak ta z tym dzieciakiem, i wyobrażał sobie kobiety w stanikach z brudnymi ramiączkami czytające tandetne czasopisma. Myślał o kobietach, które w łóżku robiły więcej hałasu, traktowały go właściwie i nie mówiły mu, gdzie ma wkładać palce. Z początku miał w związku z tym wyrzuty sumienia, ale ostatnio upewniał siebie, że i ona zapewne miała podobne odczucia. Przypuszczalnie, kiedy to robili, myślała o ogierach imieniem Giles albo Nigel, i kto wie, czy na dźwięk jego akcentu nie zaczynała się w myślach wzdrygać, tak jak jego coraz bardziej drażnił jej akcent...

Może wszystko sprowadzało się do tej afery z chłopakiem. Z początku wydawało się to sposobem na łatwe zarobienie grubszej forsy i nie trzeba było długo go namawiać, ale, Chryste Panie, okazało się o niebo bardziej stresujące niż załatwienie jakiejś staruszki albo dostanie się do mieszkania stetryczalego emeryta. Oboje zachowywali się dość dziwnie i może kiedy to wszystko się skończy i zarobią kupę forsy, znów zaczną się czuć swobodnie tak jak kiedyś. Znów będzie sobą. Może wyjadą gdzieś razem.

O czym on myślał? Bo przecież wyjazd gdzieś daleko był jak najbardziej wskazany. Może wtedy przestałby myśleć o tamtych innych dziewczynach...

Kiedy Amanda weszła do pokoju pięć minut później, przez krótką, mrozącą krew w żyłach chwilę podejrzewał, że domyśliła się, co mu chodziło po głowie. To było równie oczywiste jak na wpół w zwiedzony członek, ale erekcję zakrył pospiesznie gazetą. Chyba był przewrażliwiony. Wszystko było w porządku. Zapytała, czy wszystko gra, 4 pocałowała go w czubek głowy, kiedy spytał ją o to samo. Podeszła i poczęstowała się jednym z jego papierosów, po czym sprawdziła pospiesznie, czy w telewizji jest coś ciekawego.

Następnie usiadła na skraju łóżka i zaczęła mówić o tym, co mieli zrobić z chłopakiem.

- Raczej nie jest już dzieckiem, prawda? - powiedział Holland, wychylając się do przodu i opierając dłonie na podłokietnikach. - Pewnie czekali, aż sam łaskawie zechce wrócić do domu.

- Tak właśnie tłumaczyli.

- Może robił już wcześniej podobne rzeczy.

- Nie. Nie sądzę - uznała Porter.

Minęła nieoznakowanym saabem turbo srebrną terenówkę, łypiąc na kierowcę dyskutującego z ożywieniem przez komórkę.

- Ale jak powiedziałam, w zasadzie nie rozmawialiśmy jeszcze z rodzicami. Miejmy nadzieję, że w ciągu paru następnych godzin dowiemy się czegoś więcej.

- Jeżeli dotrzemy cało na miejsce - zauważył Thome.

Siedział sztywno na fotelu pasażera, odkąd odkrył z zaniepokojeniem, że Porter jest za kółkiem równie nerwowa i niecierpliwa jak w swoim gabinecie. To, że często zerknęła w lusterko wsteczne, było powodowane bardziej wypatrywaniem możliwości wyprzedzenia niż chęcią zachowania bezpieczeństwa na drodze.

- Oczywiście, gdyby pojawiły się jakiegokolwiek pogróżki, nie przeprowadzimy rozmowy z rodziną w ich domu. Będziemy starać się nie rzucać w oczy i znajdziemy sposób, by pomówić z nimi na neutralnym gruncie.

- To nie zawsze jest łatwe - wtrącił Holland.

- Owszem, ale jak musisz odwiedzić kogoś w domu, są po temu odpowiednie sposoby i środki. Trzeba wykazać odrobinę inicjatywy.

- Czyli użyć przebrania, charakteryzacji?

Thome odwrócił się i zrobił minę do Hollanda.

- Charakteryzacji? Ile ty masz lat, sześć?

- Otóż to - rzekła Porter. - Mamy w biurze wielką garderobę z różnymi strojami i przebraniem. Mundury pracowników poczty i gazowni. - Przez dłuższą chwilę patrzyła w lusterko wsteczne. - Nie trzeba przypominać, że wizyta w domu Mullenów może stanowić dodatkowe zagrożenie dla Luke'a, ale niezależnie od okoliczności należy przestrzegać pewnych procedur, żeby sprawa nie nabrała rozgłosu. Macie dopilnować, by w sprawę nie był zaangażowany funkcjonariusz mundurowy. - Kolejne spojrzenie w lusterko. - I miejcie, do licha ciężkiego, oczy szeroko otwarte.

Skrócony kurs postępowania w przypadkach uprowadzeń trwał od wyjazdu z parkingu przy Scotland Yardzie aż do Arkley, mocno zadrzewionego przedmieścia Hertfordshire,

oddalonego o jakieś piętnaście kilometrów na północ od centrum Londynu. Stało się jasne, że protokoły postępowania były wyjątkowo elastyczne i że wszystko działo się tu znacznie szybciej niż gdzie indziej. Urowadzenie niewiele różniło się od morderstwa i tak jak w tym wypadku jednostka śledcza nigdy nie określała żadnej sprawy mianem „typowej”; Thome zdziwił się, że tak duży zakres przestępstw obejmował ów wydział. Choć informacje o większości porwań nie przedostawały się do prasy ani do wiadomości publicznej, nie ulegało wątpliwości, że ten proceder coraz bardziej się nasilał.

- Poza tym dla porywaczy jest on względnie bezpieczny - podsumowała Porter.

Powiedziała, że połowa przypadków, nad jakimi pracowała, dotyczyła zatwardziałych bandytów, członków gangów narkotykowych, dilerów oraz przemytników i że zaledwie jeden na pięciu sprawców doczekał się wyroku skazującego.

- Większość ofiar nie chce zeznawać. Niewdzięczni skurwiele. W zeszłym roku uratowaliśmy staruszka, który przez wiele tygodni był przetrzymywany na strychu i torturowany. Oprawcy obcięli mu oboje uszu, a on i tak nie zdecydował się zeznawać przeciwko nim w obawie przed zemstą gangu.

- Można zrozumieć, że się bał - wtrącił Holland. - Nawet by nie usłyszał, gdyby próbowali zająć go od tyłu.

- Otóż to - rzekła Porter. - Mamy w biurze wielką garderobę z różnymi strojami i przebraniami. Mundury pracowników poczty i gazowni. - Przez dłuższą chwilę patrzyła w lusterko wsteczne. - Nie trzeba przypominać, że wizyta w domu Mullenów może stanowić dodatkowe zagrożenie dla Luke a, ale niezależnie od okoliczności należy przestrzegać pewnych procedur, żeby sprawa nie nabrała rozgłosu. Macie dopilnować, by w sprawę nie był zaangażowany funkcjonariusz mundurowy. - Kolejne spojrzenie w lusterko. -1 miejcie, do licha ciężkiego, oczy szeroko otwarte.

Skrócony kurs postępowania w przypadkach uprowadzeń trwał od wyjazdu z parkingu przy Scotland Yardzie aż do Arkley, mocno zadrzewionego przedmieścia Hertfordshire, oddalonego o jakieś piętnaście kilometrów na północ od centrum Londynu. Stało się jasne, że protokoły postępowania były wyjątkowo elastyczne i że wszystko działo się tu znacznie szybciej niż gdzie indziej. Urowadzenie niewiele różniło się od morderstwa i tak jak w tym wypadku jednostka śledcza nigdy nie określała żadnej sprawy mianem „typowej”; Thorne zdziwił się, że tak duży zakres przestępstw obejmował ów wydział. Choć informacje o większości porwań nie przedostawały się do prasy ani do wiadomości publicznej, nie ulegało wątpliwości, że ten proceder coraz bardziej się nasilał.

- Poza tym dla porywaczy jest on względnie bezpieczny - podsumowała Porter.

Powiedziała, że połowa przypadków, nad jakimi pracowała, dotyczyła zatwardziałych bandytów, członków gangów narkotykowych, dilerów oraz przemytników i że zaledwie jeden na pięciu sprawców doczekał się wyroku skazującego.

- Większość ofiar nie chce zeznawać. Niewdzięczni skurwiele. W zeszłym roku uratowaliśmy staruszka, który przez wiele tygodni był przetrzymywany na strychu i torturowany. Oprawcy obcięli mu oboje uszu, a on i tak nie zdecydował się zeznawać przeciwko nim w obawie przed zemstą gangu.

- Można zrozumieć, że się bał - wtrącił Holland. - Nawet by nie usłyszał, gdyby próbowali zająć go od tyłu.

Thome westchnął i poruszył się na fotelu.

- Wygląda na to, że wszyscy macie za dużo nadgodzin - powiedział.

Porter potwierdziła to mruknięciem.

- Dilerzy, zwłaszcza ci najwięksi, są uprowadzani niemal co tydzień. Turcy, Rosjanie, Albańczycy i Bóg wie, kto jeszcze. Zastraszenie rywali to sposób na szybkie zdobycie gotówki albo pozycji. Roboty nam nie brakuje, ale może trybiki nie obracają się dość szybko, gdy w grę wchodzi porwanie obywatela naszego kraju, który jest na bakier z prawem.

Thome doskonale wiedział, co chciała przez to powiedzieć. Rok temu pracował nad pewną sprawą, kiedy zginął jego ojciec. Cały zespół, a Thome w szczególności, znaleźli się w samym środku bezwzględnej wojny gangów. Wyjaśnił Porter, że jedna ze stron była zaangażowana w przemyt i handel żywym towarem i choć ofiar w ludziach było sporo, zginęło wielu członków gangu, mało kto się tym przejął czy narzekał, że miasto cokolwiek straciło, bo ich zabrakło.

- My też się tym zajmujemy - rzekła Porter. - Jeżeli nielegalni imigranci są przetrzymywani do kraju i wykorzystywani jak niewolnicza siła robocza, stają się w pewnym sensie niewolnikami. Są przetrzymywani wbrew ich woli i zazwyczaj wiąże się to z groźbami pod adresem ich rodzin pozostałych w kraju.

Zwolniła i zatrzymała samochód o sto metrów od podjazdu.

- To także zasadniczy powód, dla którego ludzie ustawiają się w kolejce, by pracować w tej jednostce - ciągnęła. - Tylko w tym roku byłam w Chinach, Turcji i na Ukrainie. Podróżujemy biznesklasą i gromadzimy kilometry z tras przelotów Holland aż cmoknął głośno.

- Ja byłem raz w Aberdeen, żeby przesłuchać pewnego gwałciciela...

Porter przyjrzała się uważnie jaguarowi, który ich minął, odczekała minutę lub dwie, aż zniknął za rogiem, po czym ruszyła wolno i wprowadziła saaba na podjazd.

- To nie jest zwyczajny przypadek, prawda? - spytał Thome. - Urowadzenie osoby cywilnej?

Pokręciła głową.

- Możesz wziąć za zakładnika rodzinę pracownika banku i przetrzymywać, aż otworzy dla ciebie sejf, ale nawet to zdarza się dość rzadko. Do takich porwań dochodzi w Hiszpanii i we Włoszech, ale tu należą one do rzadkości. I dzięki Bogu.

- Czemu więc jak dotąd nikt nie zażądał okupu za Luke a Mullena?

- Nie mam pojęcia.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego musimy to traktować jako porwanie.

- Nie musimy Są też inne możliwości.

- Jak choćby to, że Lukę odjechał z tą kobietą granatowym samochodem z własnej woli?

- Albo po prostu uciekł - rzekła Porter. - Ale rodzice rzadko są gotowi przyznać, że ich ukochana latorośl mogła uczynić coś takiego.

Holland odpiął pas bezpieczeństwa.

- Tak jak rodzice nigdy nie potrafią otwarcie stwierdzić, że ich dzieci są głupie czy brzydkie.

- Masz dzieci?

- Córeczkę - odparł Holland, uśmiechając się. - Jest przepiękna i wyjątkowo bystra.

- Może wcale nie chodzi o pieniądze - zasugerował Thorne.

Porter zamyśliła się nad tym, gasząc silnik.

- To z pewnością... niezwykle.

- Kto wie...

Thome otworzył drzwiczki i wystawił nogi na zewnątrz, po czym jęknął z bólu, prostując się.

- Może gdyby pojawiło się żądanie okupu, rodzice szybciej sięgnęliby po telefon.

Holland wysiadł i podszedł do niego, spoglądając na stojący na uboczu budynek w stylu będącym imitacją Tudorów, dom, w którym mieszkał Tony Mullen z żoną.

- Duża chałupa - zauważył.

Porter zamknęła drzwiczki auta kluczykiem i cała trójka ruszyła w stronę drzwi frontowych.

- Przypuszczalnie teraz wydaje się jeszcze większa niż zwykle - powiedziała.

Przed kilkoma minutami Thorne ujrzał wyraz ulgi na twarzy Tony'ego Mullena, ale pojawił się on tylko na moment. Kiedy tak siedział naprzeciw Thome a w fotelu, który nie

wyglądał na wygodny, na pobladłej twarzy mężczyzny utrzymywał się grymas desperacji; ten człowiek z trudem nad sobą panował.

Stał w drzwiach przed nimi, przyglądając się ich trójce, jakby starał się wyczytać coś ze sposobu, w jaki szli, odgadnąć po ich chodzie, co zamierzali mu powiedzieć.

Porter pokręciła głową. Drobny ruch, ale wystarczył.

Mullen zrobił długi wydech i na sekundę lub dwie przymknął oczy. Kiedy znów je otworzył, na jego ustach zagościł jakby cień uśmiechu, przesunął płaską białą dłoń po framudze drzwi i wyciągnął, odwróconą wnętrzem ku niebu, w ich stronę.

- Serce podchodzi mi do gardła - powiedział - kiedy zadzwoni telefon albo rozlega się dzwonek do drzwi, zwłaszcza jeżeli to ktoś od was. Zupełnie jakbym czekał na cios. Rozumiecie?

W progu domu dokonano krótkiej prezentacji.

- Trevor Jesmond wspomniał, że załatwi parę dodatkowych rąk do pomocy - rzekł Mullen. Dotknął ramienia Thorne'a. - Przy najbliższej okazji zechce mu pan podziękować, dobrze?

Thorne zastanawiał się, czy Jesmond powiedział Mullenowi, co naprawdę sądził o człowieku, którego rękoma chciał się wyręczyć. A jeżeli nawet, to - jak podejrzewał Thorne - delikatnie mówiąc, mijał się z prawdą. Jeżeli prośba o pomoc wyszła wprost od Mullena, Jesmond zapewne nie chciał, by jego stary przyjaciel pomyślał, że wciska mu wybrakowany towar. Thorne postanowił ten temat omijać z daleka tak długo, jak tylko to będzie możliwe.

- Duża chałupa - zauważył.

Porter zamknęła drzwiczki auta kluczykiem i cała trójka ruszyła w stronę drzwi frontowych.

- Przypuszczalnie teraz wydaje się jeszcze większa niż zwykle - powiedziała.

Przed kilkoma minutami Thome ujrzał wyraz ulgi na twarzy Tony'ego Mullena, ale pojawił się on tylko na moment. Kiedy tak siedział naprzeciw Thorne'a w fotelu, który nie wyglądał na wygodny, na pobladłej twarzy mężczyzny utrzymywał się grymas desperacji; ten człowiek z trudem nad sobą panował.

Stał w drzwiach przed nimi, przyglądając się ich trójce, jakby starał się wyczytać coś ze sposobu, w jaki szli, odgadnąć po ich chodzie, co zamierzali mu powiedzieć.

Porter pokręciła głową. Drobny ruch, ale wystarczył.

Mullen zrobił długi wydech i na sekundę lub dwie przymknął oczy. Kiedy znów je otworzył, na jego ustach zagościł jakby cień uśmiechu, przesunął płaską białą dłoń po framudze drzwi i wyciągnął, odwróconą wnętrzem ku niebu, w ich stronę.

- Serce podchodzi mi do gardła - powiedział - kiedy zadzwoni telefon albo rozlega się dzwonek do drzwi, zwłaszcza jeżeli to ktoś od was. Zupełnie jakbym czekał na cios. Rozumiecie?

W progu domu dokonano krótkiej prezentacji.

- Trevor Jesmond wspomniał, że załatwi parę dodatkowych rąk do pomocy - rzekł Mullen. Dotknął ramienia Thorne a. - Przy najbliższej okazji zechce mu pan podziękować, dobrze?

Thome zastanawiał się, czy Jesmond powiedział Mullenowi, co naprawdę sądził o człowieku, którego rękoma chciał się wyręczyć. A jeżeli nawet, to - jak podejrzewał Thome - delikatnie mówiąc, mijał się z prawdą. Jeżeli prośba o pomoc wyszła wprost od Mullen, Jesmond zapewne nie chciał, by jego stary przyjaciel pomyślał, że wciska mu wybrakowany towar. Thome postanowił ten temat omijać z daleka tak długo, jak tylko to będzie możliwe.

Spojrzał na Mullen. We włosach tamtego było więcej siwizny niż u Thome a i choć ewidentnie okoliczności odcisnęły na nim piętno, ogólnie wydawał się być w niezłej kondycji.

- Cóż, albo jest pan starszy, niż wygląda, albo przeszedł pan na wcześniejszą emeryturę - powiedział.

Mullen przez chwilę wydawał się zbity z tropu, ale ton jego głosu brzmiał przyjaźnie, gdy wprowadził całą trójkę do holu, w którym panował łagodny półmrok.

- A nie może być jedno i drugie?

- Dokładnie to bym obstawiała - stwierdziła Porter, odwieszając płaszcz.

- Ma pan rację. Odszedłem na wcześniejszą emeryturę - rzekł Mullen, taksując Thorne a wzrokiem. - Ile pan ma lat? Czterdzieści siedem, czterdzieści osiem?

Thome starał się nie zareagować.

- Za kilka miesięcy skończę czterdzieści pięć.

- A mnie w tym roku stuknie pięćdziesiątka i wiem, że gdybym został w resorcie, wyglądałbym o wiele starzej. Wie pan, jak to jest. Już zacząłem zapominać, jak wyglądają Maggie i dzieciaki.

Thome pokiwał głową. Od lat nie miał kogo zapominać, ale doskonale rozumiał, o co chodziło Mullenowi.

- Udało mi się zgromadzić trochę oszczędności, a pora była odpowiednia jak każda inna. Podjąłem decyzję, a Maggie ucieszyła się, że odszedłem z resortu. Nawet zdołała zrobić ze mnie pantoflarza, do pewnego stopnia, ma się rozumieć.

Jak na zawołanie po schodach zeszła Maggie Mullen; jak stwierdził Thome, na jej

twarzy odmalowało się całe brzemie trosk nagromadzonych przez pięćdziesiąt kilka lat życia. Zmarszczki wyglądały jak pęknięcia. Świeżo nałożony makijaż nie był w stanie zatuszować podpuchniętych i zaczerwienionych oczu.

- Chciałam się trochę przespać - rzekła.

Oto, by pauza nie przerodziła się w ciszę, zadbał Holland. Skinął na Mullen, podejmując wątek przerwanej rozmowy:

- Politycy zawsze tak mawiają, prawda?

Mullen spojrzał na niego.

- Słucham?

- Kiedy niezależnie od powodu odchodzą ze stanowiska, tłumaczą, że chcą spędzić więcej czasu z rodziną.

Stali w holu skrępowani, zupełnie jakby ani nie byli rodzicami uprowadzonego chłopca, ani tymi, których obowiązkiem było go odnaleźć; jakby cierpliwie czekali, aż zjawi się ktoś, by obwieścić, że właśnie podano do stołu.

Gdy przeszli do salonu, wrażenie skrępowania i rezerwy nie minęło. Nie pomogło w tym również to, że usiedli. Pokój był wielki, a sofy i krzesła rozstawiono na prostokątnym dywanie w stylu orientalnym. Thorne i Porter zajęli miejsce na kremowej skórzanej sofie, Mullen z żoną o trzy metry od nich na niezbyt wygodnych, sądząc z wyglądu, fotelach, które stały w dość sporej odległości od siebie. Gdzieś na górze grała muzyka, hałas dochodził również z kuchni, gdzie Holland i detektyw konstabl Kenny Parsons, pełniący służbę funkcjonariusz łącznikowy, udali się, by zaparzyć kawę.

Thorne wyjrzał przez drzwi balkonowe do ogrodu; był ogromny w porównaniu z ogródkami wielkości znaczka pocztowego, jakimi dysponowała większość londyńskich posesji. Odwrócił się do pani Mullen.

- Rozumiem, dlaczego się tu państwo przeprowadzili. Sam chętnie bym się tu przeniósł.

Odpowiedział mu Tony Mullen:

- Ten dom to efekt kompromisu. Ja byłem za tym, żeby spakować manatki i w ogóle wyjechać na wieś, ale Maggie nie chciała opuścić Londynu. Tu ma się wrażenie, jakby się żyło na prowincji, ale o kilka minut drogi stąd jest stacja metra High Barnet, a o dwadzieścia minut piechotą stacja kolejowa King's Cross.

Thorne mruknął potakująco, myśląc; To miejsce leży na drugim końcu świata od King's Cross.

- No i szkoły - wtrąciła Maggie Mullen. - Przeprowadziliśmy się tu z powodu szkół.

I właśnie wtedy, gdy wybrzmiało echo tego ostatniego, znaczącego słowa, powróciła świadomość upiornego powodu, dla którego wszyscy znaleźli się w tym pokoju, i niezobowiązująca pogawędka dobiegła końca.

Tony Mullen uderzył otwartymi dłońmi o uda, a ten dźwięk sprawił, że jego żona aż się wzdygnęła.

- Dzięki Bogu wiemy, że nie ma żadnych złych wieści, ale dobrych niestety też nie.

Porter wychyliła się nieznacznie do przodu na sofie.

- Robimy wszystko, co w naszej mocy, ale...

- Nie. - Mullen uniósł rękę. - Nie zamierzam wysłuchiwać uspokajających mów. Proszę pamiętać, że pracowałem w resorcie. Znam procedury. Nie marnujmy nawzajem swojego czasu, dobrze, Louise?

Thome zauważył, że ta drobna poufalskość zirytowała Porter, ale najwyraźniej nie była ona osobą, która na coś takiego reaguje. A przynajmniej nie od razu. Zamiast tego przeniosła wzrok na żonę Mullena i łagodnym tonem powiedziała:

- To nie była żadna mowa.

- Jestem tu nowy - zabrał głos Thome - więc wybaczenie, jeśli wrócę do starego tematu, ale zastanowiło mnie, skąd się wzięła ta zwłoka.

Mullen spojrzał na niego. W ten niezawołany sposób dawał mu do zrozumienia, że czeka na rozwinięcie tematu.

- Luke zniknął w piątek po szkole, ale pierwszy telefon w tej sprawie policja odebrała wczoraj, parę minut po dziewiątej rano. Dlaczego tak długo czekaliście?

- Już to wyjaśnialiśmy - odparł Mullen.

W jego pełnym napięcia głosie pobrzmiwała nuta akcentu z Midlands. Thome przypomniał sobie, że Porter wspominała, iż Mullen pochodził z Wolverhampton.

- Myśleliśmy po prostu, że Luke poszedł gdzieś albo pojechał.

- Ze wybrał się gdzieś, ale tylko na piątkowy wieczór?

- Mógł pójść do klubu, a potem zostać na noc u kolegi czy jakoś tak. W piątkowy wieczór na nastolatka czeka wiele różnych atrakcji.

- To ja - Maggie Mullen odchrząknęła - to ja uznałam, że nie ma się czym przejmować. To ja przekonałam Tony ego, że powinniśmy poczekać, aż Lukę wróci do domu.

- Dlaczego nie powiedziała pani o tym wczoraj? - spytała Porter.

- Czy to aż tak istotne? - odparła.

- Zapewne nie, ale...

- Czekaliśmy. Tylko to się liczy. Czekaliśmy, choć nie powinniśmy.

- Doszło do kłótni - rzekł Mullen.

Wzrok Thomea padł na Maggie Mullen. Inspektor patrzył, jak spuściła głowę i wlepiała wzrok w swoje stopy Mullen wyprostował się w fotelu i mówił dalej:

- Tego ranka Lukę i ja posprzeczailiśmy się, w sumie o głupotę. Było sporo krzyków i przekleństw. Jak to zwykle bywa.

- O co się posprzeczailiście? - zapytał Thome.

- O szkołę - odpowiedział Mullen. - Chyba za bardzo na niego naciskaliśmy. Ja za bardzo na niego naciskałem.

- Lukę zwykle świetnie dogadywał się z ojcem. - Maggie Mullen, patrząc na Porter, mówiła, jakby jej męża nie było już w pokoju. - Naprawdę świetnie. Rzadko się kłóca.

Porter się uśmiechnęła.

- Pamiętam kłótnie z moimi rodzicami...

- Niekiedy odnoszę wrażenie, że Lukę jest związany bardziej z ojcem niż ze mną.

- Nie wygłupiaj się - uciął Mullen.

- Szczerze mówiąc, niekiedy jestem o to zazdrosna.

- Daj spokój, kochanie...

Maggie Mullen tylko patrzyła przed siebie.

Thome podążył za jej wzrokiem w stronę wykwintnego, misternie zdobionego kominka, w którym płonął gazowy ogień i obok którego siedział porcelanowy gepard o połowę mniejszy niż naturalnych rozmiarów.

- Czy ta sprzeczka naprawdę była tak poważna? - spytał. - Do tego stopnia, by Lukę zniknął bez słowa?

- Mowy nie ma - odrzekł kategorycznie Mullen. Dla pewności jeszcze raz to powtórzył, aby Thorne i Porter dobrze go zrozumieli.

- Pani Mullen?

Dźwięki perkusji i gitary basowej przenikające przez sufit wydawały się przez chwilę głośniejsze. Wciąż spoglądając w stronę kominka, Maggie Mullen pokręciła głową.

- Czy ma to coś wspólnego z tą kłótnią, czy nie, zniknięcie Lukea może mieć w sumie proste wyjaśnienie. - Porter zaczęła, aż wszyscy na nią spojrzeli, zanim podjęła swój wywód:

- Musimy w każdym razie wziąć taką ewentualność pod uwagę.

Maggie Mullen wstała i wygładziła przód spódnicy.

- Chętnie je przyjmę, moja droga. Modlę się o to.

Podeszła do kominka i wzięła z jego obramowania paczkę silk cutów.

- Oczywiście sprawdziliśmy wszystkich jego kolegów - kontynuowała Porter. - Ale

ponieważ nie odezwał się nikt, kto może przetrzymać Luke'a, musimy brać pod uwagę możliwość, że z kimś uciekł.

- Ma pani na myśli tę kobietę? - spytał Mullen.

- Był już wcześniej widywany z „tą kobietą”.

Thorne wstał i przeszedł za sofę. Ulga, jaką poczuł, gdy minął ból w nodze, była natychmiastowa.

- Jeżeli Luke spotykał się ze starszą kobietą, może nie chciał wam o tym powiedzieć.

Matka chłopaka nie wyglądała na przekonaną.

- Jakoś nie chce mi się w to wierzyć. - Zaczęła wyjmować papierosa z paczki. - Nie wyobrażam sobie Luke'a z rówieśnicą, a co dopiero z kimś starszym. On jest bardzo nieśmiały. Taki wrażliwy.

- Daj spokój, Maggie - rzekł Mullen. - Mógł robić różne rzeczy. Nie chodzi mi o narkotyki, bynajmniej, ale dzieciaki mają swoje sekrety, prawda?

- Pani mąż ma rację - przyznał Thorne. - Jak dobrze rodzice znają swoje nastoletnie dzieci?

Maggie Mullen zapaliła papierosa i zaciągnęła się dymem jak tlenem.

- Często zadaję sobie to samo pytanie - odparła. - Od chwili gdy zaczęłam się zastanawiać, czy jeszcze kiedyś zobaczę mojego syna.

W kuchni detektyw konstabl Kenny Parsons wysunął kolejną szufladę i zajrzał do środka.

- Może powinniśmy dać sobie spokój.

Holland siedział przy stole, leniwie kartkując egzemplarz „Daily Express”.

- Bez nerwów, kolego. Jako funkcjonariusz łącznikowy rodziny masz prawo do herbatników.

- Mam. Proszę.

Parsons wyjął nową paczkę i położył na tacy obok kubków. Do każdego z nich nasypał już kawę. Woda zagotowała się kilka minut temu, ale ten fakt został zignorowany.

- Jak sądzisz, jakie są relacje między nimi? - spytał Holland, wskazując ruchem głowy w stronę salonu. - Mam na myśli tak na co dzień.

Parsons znów włączył czajnik i postawił tacę na stole. Był trzydziestoparoletnim, jak oszacował Holland, czarnoskórym mężczyzną z włosami wygolonymi niemal do skóry i potrafiącym mimo nieskazitelnego munduru sprawiać wrażenie niechlujnego.

- Wiesz, że kilka lat temu rozstali się na pewien czas?

Holland pokiwał głową. Powiedziała im o tym Porter. Zespół wziął rodzinę pod lupę,

ale nie tak wnikliwie, jak mógłby to zrobić, gdyby Luke był młodszy albo gdyby nie ulegało wątpliwości, że chodzi o porwanie, a nie uprowadzenie. Rodziny o nic nie podejrzewano, a w każdym razie nie na tym etapie śledztwa, choć tu i ówdzie zadano kilka dyskretnych pytań.

- To ona odeszła od niego, tak? - spytał Holland.

- Tak, choć nie na długo.

- Myślisz, że stary zabawiał się poza domem?

- Zwykle tak bywa, no nie?

- A jak jest teraz?

Parsons się zamyślił.

- Myślę, że całkiem nieźle im się układa.

Holland bardzo szybko się zorientował, że jego nowy kolega nie należy do milczków. Miał sporo do powiedzenia na temat członków własnego zespołu i bez zbytniego skrępowania dzielił się z nim uwagami na temat rodziny Mullenów, chyba nawet hojniej niż herbatnikami do kawy.

Holland ucieszył się, że może poznać tę sprawę z perspektywy innej osoby.

- Weź pod uwagę, że choć pracujemy zmianowo, nie jesteśmy tu przez dwadzieścia cztery godziny na dobę - ciągnął Parsons. - Mullen od samego początku uparł się, że nie życzy sobie, by ktokolwiek zostawał na noc. Z tego, co widziałem, domyślam się, że on rządzi w tym kurniku. Przywykł do tego, żeby inni wypełniali jego polecenia.

- Ale czy na pewno? Jego żona nie wygląda na potulną kurę domową.

- Och, nie. Nie jest nią. To pewne.

- Wydaje się całkiem miła - wtrącił Holland. - To znaczy teraz jest pewnie trochę otępiała i wstrząśnięta, ale...

- Jest twarda i silniejsza, niż się wydaje, jeżeli chcesz znać moje zdanie.

Parsons zaczął przestawiać kubki na tacy, by zrobić miejsce na mleko i cukier.

- Była nauczycielka, tak?

Uniósł ręce, jakby wnioski nasuwały się same.

- Zgadza się.

- Więc domyślam się, że raczej nie może być miękka. Założę się, że są sytuacje, w których to ona mówi jemu, co ma robić.

Bez powodzenia czekał przez chwilę na reakcję, na jego dwuznaczny erotyczny żarcik, po czym mówił dalej:

- Wydaje mi się, że rodzina nauczyła się udawać, że robi to, co im każe stary, rozumiesz, o co mi chodzi? Aby mu się wydawało, że to on tu rządzi. Przypuszczalnie nie

różni się to od tego, jak na niego reagowano, kiedy pracował w resorcie.

Chociaż Parsons ewidentnie lubował się w plotkach i spekulacjach, Holland czuł, że w jego słowach nie brak sensu. Jego ojciec także służył w policji. Przez kilka lat, w okresie między przejściem na emeryturę a przedwczesną śmiercią, jego relacje z matką Hollanda przybrały dokładnie taki wzorzec, o jakim mówił Parsons.

- A co z dzieciakiem?

- Widziałeś jego pokój?

- Jeszcze nie.

- Wygląda inaczej niż pokój mojego syna. Nie sądzę, abyśmy mieli tu do czynienia z przeciętnym szesnastolatkiem.

- Przeciętny szesnastolatek nie pada ofiarą uprowadzenia - odparł Holland.

- Wszystko wygląda zbyt schludnie. - Parsons skrzywił się, jakby nawet te słowa z trudem przechodziły mu przez usta. - I nie postawiłbym złamanego pensa, że pod jego łóżkiem znajdziemy choć jedno pisemko z gołymi panienkami.

Przerwał, gdy ujrzał, że wyraz twarzy Hollanda zmienił się gwałtownie i odwróciwszy się, zobaczył stojącą w drzwiach dziewczynkę.

- Juliet...

Holland nie wiedział, jak długo Juliet Mullen stała pod drzwiami i ile podsłuchiwała z ich rozmowy. Nie potrafił stwierdzić po jej zachowaniu i tonie głosu, czy była na nich wściekła, zdenerwowana tym, co się stało z jej bratem, czy raczej przybita faktem, że była zwyczajną czternastolatką.

Dziewczynka odwróciła się, by odejść, po czym nagle skrzywiła w stronę tacy i beznamytnie, jakby w jej sekretnym języku były to najgorsze przekleństwa skierowane pod ich adresem, rzuciła:

- Poproszę herbatę. Z mlekiem i dwiema kostkami cukru.

- O której otrzymują państwo pocztę? - spytał Thorne.

- Słucham?

- O której godzinie, konkretnie? Ja dostaję ją nieregularnie. Zwykle przed lunchem, ale o której, można jedynie zgadywać.

Jeżeli Tony Mullen wiedział, do czego zmierza Thorne, nie okazał tego.

- Zazwyczaj między ósmą a dziewiątą. Nie rozumiem...

- Pańska żona wspomniała, że powstrzymała pana przed powiadomieniem policji od razu...

- Nie powstrzymała mnie...

- Rzekomo nie sądziła, aby było się czym przejmować.

- I tak nie zadzwoniłbym od razu na policję. Nie było takiej potrzeby.

Thome okrążył sofę i podszedł z drugiej strony do kominka, gdzie Maggie Mullen zdusiła właśnie niedopałek papierosa w popielnicze.

- Proszę wybaczyć, może się mylę, ale pańska żona jasno dała do zrozumienia, że był pan zdenerwowany, a przynajmniej zaniepokojony. Właśnie dlatego zapytałem, kiedy otrzymują państwo pocztę.

Thome wychwycił spojrzenie Porter; zauważył, że zrozumiała.

- Myślę, że spodziewał się pan żądania okupu. Być może uważał pan, że ktoś porwał Lukea i że ten ktoś odezwie się do państwa wczoraj rano. Myślę, że tak naprawdę czekał pan, aby dowiedzieć się, o co im właściwie chodzi, i zamierzał pan załatwić to sam. Ale kiedy list, na który pan czekał, nie przyszedł, naprawdę zaczął się pan martwić i zastanawiać, co' mogło się stać. I wtedy zadzwonił pan do nas.

Maggie Mullen przeszła przez pokój i usiadła na podłokietniku fotela męża. Na moment dotknęła jego dłoni, po czym złożyła ręce na udach.

- Tony stale myśli tylko o najgorszym, niezależnie, co by to miało być.

- Tak wpływa na nas praca w resorcie - potwierdziła Porter.

- Proszę posłuchać, to całkiem zrozumiałe - Thome wciąż próbował nawiązać kontakt z Tonym Mullenem. - Jestem pewien, że ja myślałbym dokładnie tak samo.

- Wiedziałem, że został porwany, zanim jeszcze położyłem się do łóżka w piątek wieczorem - rzekł Mullen. Spojrzał na Thornea z niejaką ulgą na twarzy. - Myłem zęby, a Maggie robiła porządki na dole i zrozumiałem, że ktoś musiał go porwać, że ktoś go przetrzymuje. Lukę nie był z tych, co uciekają z domu, i zawsze informował nas, dokąd się wybiera.

- Jak powiedziałem, to zrozumiałe. W świetle pańskiej kariery ma pan powód przypuszczać, że są ludzie, którzy chcieliby pana skrzywdzić. Albo pańskich bliskich.

Mullen powiedział coś, ale Thome go nie usłyszał.

Nic nie słyszał przez sekundę czy dwie.

Wyteżał słuch, by pośród syku dawno wygasłego ognia wychwycić głos swojego ojca...

- Będzie nam potrzebna lista - powiedział w końcu. - Wszystkich, którzy mogą żywić wobec pana urazę. Wszystkich, którzy panu grozili.

Mullen pokiwał głową.

- Przez cały weekend nad nią pracowałem.

Ton głosu i spojrzenie, jakie posłał żonie, kryło w sobie poczucie winy. Ale takie wyznanie, jakby sam fakt, iż myślał o takich rzeczach, oznaczał, że podejrzewał najgorsze.

- To niewiele dało. Albo zawodzi mnie pamięć, albo nie mam aż tylu wrogów.

- To tylko ułatwi nam pracę - wtrąciła Porter.

- Racja. Doskonale. - Thome starał się nadać swoim słowom entuzjastyczny ton, ale nie potrafił ukryć powątpiewania.

Oblicze Mullena spochmumiało.

- Czy pan spamiętałby wszystkich?

Thome próbował zachować zimną krew i spokojny ton, składając gniewną nutę w głosie Mullena na karb stresu, a agresję odczytując jako efekt poczucia winy i paniki.

- Zapewne nie.

- Ilu ludzi na serio pan wkurzył, detektywie inspektorze Thome? Może pan pominąć tych, z którymi pan pracuje.

Thorne uznał, że być może jednak Jesmond nie wyrażał się aż tak pochlebnie, kiedy wspominał o nim przyjacielowi. A może Tony Mullen potrafił poznać się na ludziach. Nie odpowiedział, zastanowił się natomiast nad słowami Mullena o tworzonej przez niego liście. Thorne miałby z tym mniejszy problem i chyba nie był w tym odosobniony. Gdy w grę wchodził ktoś, kto mógł stanowić zagrożenie dla niego samego i jego bliskich, bez trudu mógł wymienić wszystkich.

Holland i Parsons pojawili się w drzwiach w tej samej chwili, gdy zadzwonił telefon. Wszyscy, w tym także Thorne, nieznacznie drgnęli, a Maggie Mullen pierwsza poderwała się z miejsca.

- Przede wszystkim należy zachować spokój...

- Kochanie...

Maggie Mullen postanowiła zignorować to, co powiedziała Porter i jej mąż. Nie odrywając wzroku od telefonu stojącego na niskim stoliku pod oknem, podeszła do niego. Spece od namierzania numerów rzecz jasna założyli już podsłuch na telefonie stacjonarnym Mullenów, gdy tylko o sprawie powiadomiono Jednostkę ds. Uprawdzeń i wszystkie rozmowy przychodzące były notowane przez ekipę ze Scotland Yardu. Gdyby, co bardzo prawdopodobne, w tej najważniejszej sprawie dzwoniło z niezarejestrowanej komórki, jednostka od telefonów zajęłaby się niezwłocznie zlokalizowaniem jej, przenosząc się z miejsca na miejsce specjalnym pojazdem zaopatrzonego w najnowocześniejsze zdobycze techniki.

Pani Mullen wyciągnęła rękę, odwróciła się i spojrzała na męża, a potem na Porter i

Thome a.

Porter skinęła głową.

Pani Mullen wzięła głęboki oddech i podniosła słuchawkę. Szybko podała numer, zaczekała chwilę i pokręciła głową. Zamknawszy oczy, odwróciła się, szepcząc do słuchawki i przez chwilę przeczesując palcami długie brązowe włosy, zanim zakończyła rozmowę.

- Mags?

Podeszła do fotela męża, a gdy się odezwała, głos zaczął się jej łamać. Thorne dostrzegł ulgę i rozczarowanie, nierozłączne i walczące między sobą na jej twarzy i w ułożeniu ramion. Zrozumiał, jak równorzędne i brutalne potrafiły być te dwa odczucia.

- To Hannah, koleżanka Juliet.

- Już dobrze, kochanie.

Mullen wstał i podszedł do niej.

- Poprosiliśmy wszystkich, których tylko mogliśmy, żeby nie dzwonił - rzekła. - Chcieliśmy, aby linia była wolna, no wiecie, na wypadek, gdyby Lukę się odezwał. Na wypadek, gdyby ten ktoś, kto go ma, próbował się z nami skontaktować. Wydawało się, że powiadomiliśmy wszystkich, ale najwyraźniej o kilku osobach zapomnieliśmy...

W tej samej chwili Mullen objął ją ramieniem i przytulił do siebie. Jej ręce zwisły wzdłuż boków, jakby zabrakło jej sił, by je unieść. Pochyliła głowę i zaczęła szlochać, wtulając twarz w jego szyję.

Thome gestem dał znak Hollandowi i Parsonsowi, aby weszli do pokoju z tacą z kawą, po czym spojrzął na Porter, a ona na niego. Ulżyło mu, gdy zrozumiał, że jej również trudno było patrzeć na obejmującą się parę.

Amanda

Wszystko się zmieniło, gdy po raz pierwszy Conrad przyłożył jej pistolet do głowy na stacji benzynowej w Tooting.

Numer wyglądał przekonująco, a ona równie przekonująco odgrywała rolę zakładniczki, toteż nie musiał się zbytnio namęczyć, aby osiągnąć cel. Wystarczyło, że szarpnął ją za włosy i wbił lufę pistoletu zabawki w jej skroń. Później tego wieczoru, kiedy przeliczyli zdobyty szmal i zdrowo się nawalili, zaczęła dawać mu szczegółowe wskazówki. To jasne, że musieli być przekonujący, ale nie byli przecież pieprzonymi aktorami. Wspomniała coś o jakimś Stanisławskim; nie wiedział, o co jej chodzi, więc zaczęła wyjaśniać mu wszystko raz jeszcze, aż w końcu skumał. Było mu przykro, rozżłościł się i uspokoił dopiero wtedy, gdy wytłumaczyła mu, jak mogą zrobić to lepiej następnym razem.

Właśnie wtedy ostatecznie zrozumiała, że to ona wszystkim rządzi.

Na początku chciała tylko, żeby ktoś rozprawił się na zawsze z dilerem, któremu była winna pieniądze. Conrad uporał się z tym w miarę szybko, a potem zaczęli się regularnie spotykać. Pomogło to, że był przystojny, znał się na rzeczy i umiał o nią zadbać. Wymyślał kolejne sposoby na zdobycie gotówki i zapłacenie za to, czego potrzebowała. Była wzruszona i odczuwała prawdziwą ulgę, że znalazła w końcu mężczyznę, który potrafił się nią zająć. Jak dotąd udawało się to tylko jej ojcu. Pomysł z lipnym napadem wyszedł od Conrada, ale wszystko następne od niej.

Aby dopiąć swego, najlepiej było wiedzieć, co myśli druga osoba. Umieć przewidzieć jej zachowanie. Conrad nigdy nie był dobry w udawaniu, uczucia miał wymalowane na twarzy. To w nim lubiła. Zawsze unikała mężczyzn, którzy potrafili kłamać lepiej od niej.

Jej ojciec też nie był dobrym łgarzem. I tego w nim nie lubiła. Oczywiście mógł mieć jakieś mroczne, sekretne życie, które ukrywał przed nią i jej matką. Mógł odwiedzać młodych chłopców albo mieć mnóstwo kochanek, ale zważywszy na jego małżeństwo, czy można mu się było dziwić? Wolała jednak wyobrażać go sobie tak, jak go zapamiętała. Doskonałego aż do dnia, kiedy odszedł. I tak przystojnego, jakim był, tuż zanim wyleciał przez przednią szybę swojego mercedesa.

Conrad nie od razu przystał na pomysł z porwaniem. Trzeba go było przekonać. Powiedziała mu, że to będzie łatwy szmal i, co ważniejsze, że dostanie w ten sposób dużo więcej niż w jakimkolwiek spożywczym czy na stacji benzynowej. Obiecała mu, że później zaczął nowe życie w jakimś miłym miejscu i że postara się o siebie zadbać, kto wie, może nawet pójdzie na detoks. To go przekonało, te obietnice i te, które wypowiedziała po ciemku swoim chudym, drobnym ciałem.

A teraz mieli tego chłopca. Przerośniętego dziecięcego zakładnika.

Reagował na obietnice jak każdy inny mężczyzna, na zapewnienie, że nic mu się nie stanie, o ile będzie dobrze się zachowywał, że niedługo wróci do domu i że wszystko będzie w porządku.

Spojrzała w stronę miejsca, gdzie spał z głową na rękach skrępowanych w przegubach elastycznym bandażem. Zastanawiała się, czy powinna zaaplikować mu kolejną dawkę, żeby spał dalej, czy może lepiej go obudzić, aby sprawdzić, czy dobrze przyswoił sobie daną mu lekcję. Nóż jakby go trochę uspokoił, wzbudził w nim lęk i sprawił, że stał się potulniej szy. Jak w wypadku większości facetów, których kiedykolwiek знаła, gdy zawodziły obietnice, zwykle skutkowały groźby.

Uznała, że jest całkiem przystojnym chłopakiem. Jego osobowość nie była łatwa do odgadnięcia, zważywszy na okoliczności, ale wydawał się miły. Stwierdziła, że gdyby dać mu

szansę, z pewnością złamałby niejedno serce.

3

- Czy nie powinniśmy tego robić latem? - zasugerował Hendricks. - Jaja mi odmarzają.

- Wobec tego włóż płaszcz.

To, co w resorcie określono mianem urlopu okolicznościowego, taki jak ten, na który wysłano go przymusowo w ubiegłym roku, bywa okazją do różnego rodzaju prac, zarówno domowych, jak i przydomowych. Thome nie omieszkiał jej wykorzystać. Na swój sposób. Pół godziny pewnego sobotniego popołudnia w B & Q i weekend piekielnego zrób to sam to wszystko, czego potrzebował, by dokonać małego cudu na kilku metrach kwadratowych popękanych krzywych płyt chodnikowych za kuchnią.

- To oczywiste, że pragnąłem odrobiny współczucia - rzekł Hendricks. - W sumie dlatego tu wpadłem. A piwo to zawsze bonus. Ale nie brałem pod uwagę obustronnego zapalenia płuc.

Thome dopił z puszki resztkę belgijskiego piwa i powiódł wzrokiem po czymś, co każdy szanujący się agent nieruchomości, o ile te słowa nie były wzajemnie sprzeczne, określiłby mianem miłego, dobrze zagospodarowanego patio. Parę roślinek w plastikowych doniczkach, grill na kółkach i przenośny grzejnik. A do tego szlochający patolog...

Prawdę mówiąc, Hendricks najgorsze miał już chyba za sobą, ale jego przekrwione oczy wyglądały, jakby w każdej chwili znów mogły zacząć ronić łzy, a drżenie podbródka także nie do końca ustało. Thorne widywał już wcześniej swojego przyjaciela płaczącego i choć zawsze było to krępujące, nigdy nie potrafił patrzeć beznamiętnie na ten bolesny spektakl. Lepiej niż ktokolwiek wiedział, jak mocno brał sobie do serca pewne rzeczy ten manczesterczyk, ale Phil Hendricks przynajmniej z pozoru wydawał się postacią agresywną, budzącą niepokój, a nawet lęk. Z wygoloną głową, tatuażami i ubrany na czarno wyglądał jak Got. Jego ciało zdobiły liczne kolczyki oraz ćwieki, zarówno okrągłe, jak i ze spiczastymi końcami. Gdy patrzyło się na jego cierpienie, to tak, jakby podglądało się całujących się z języczkiem emerytów albo Anioła Piekiel opiekującego się płaczącym noworodkiem. To budziło konsternację. Zupełnie jak przyglądanie się artystycznej pocztówce.

- Nie okazałem dość współczucia? - spytał Thorne.

- Nie bardzo. Nie od razu.

- To dlatego, że wiem, jak uwielbiasz dramatyzować. Stajesz przed moimi drzwiami, becząc, i to może oznaczać wszystko. Nie wiem, czy ktoś umarł, czy może posiałeś którąś ze

swoich płyt George a Michaela.

Thorne otrzymał w odpowiedzi uśmiech, o który mu chodziło. Hendricks wcale nie lubił dramatyzować, ale kiedy zjawił się przed godziną, dobrą chwilę zajęło Thome owi zorientowanie się w powadze sytuacji. Hendricks powiedział mu, że on i jego chłopak Brendan poważnie się pokłócili, że to już definitywnie koniec, ale Thorne znał ich obu dostatecznie długo, by patrzeć na tego typu ostateczne deklaracje przez palce.

Taktyka Thornea już wcześniej raz czy dwa razy dała spodziewane rezultaty: piwo i rozproszenie uwagi. Kiedy Hendricks przestał w końcu szlochać, Thorne usadowił go w pokoju z puszką w dłoni i zaczął wypytywać o sprawy związane z pracą. Hendricks był cywilnym członkiem Głównego Zespołu Dochodzeniowego w Wydziale Zabójstw (Sekcji Zachodniej) i patologiem, z którym Thorne pracował najwięcej przez ostatnie lata. Stał się jego bliskim przyjacielem, przypuszczalnie jedyną osobą, której Thorne, gdyby zaistniała konieczność, oddałby swoją nerkę. I z całą pewnością jedyną, z którą miał czasem ochotę napić się piwa i pogawędzić. Ich luźne rozmowy na temat śmierci i okaleczeń bywały zwykle perwersyjne i zabawne, ale ta akurat prowadziła donikąd. W przeszłości pracowali wspólnie nad kilkoma śledztwami, ale ponieważ Thorne a odstawiono ostatnio na boczny tor, nie byli teraz związani żadną sprawą czy dochodzeniem. Poza tym jedyna śmierć, o jakiej Hendricks chciał obecnie mówić, dotyczyła jego związku.

- Nie jest tak jak wcześniej - powiedział i tym razem mówił to na serio.

Thome zaczął pojmować, że sprawa jest poważniejsza, niż przypuszczał, coś więcej niż zwykła sprzeczka kochanków. Uczynił, co w jego mocy, by uspokoić przyjaciela. Zadzwoił po pizzę i wystawił parę krzeseł kuchennych do „ogródka”.

- Nie czuję nóg - poskarżył się Hendricks.

- Przestań jojczyć.

Było zimno, bez dwóch zdań, a Thome nie zdążył jeszcze kupić butli gazowej do grzejnika, lecz czuł się dobrze na zewnątrz.

- Zaczynam rozumieć, dlaczego Brendan cię rzucił.

Ten żarcik najwyraźniej nie przypadł Hendricksowi do gustu. Patolog oparł stopy na siedzeniu krzesła i zacisnął dłonie na kostkach.

- Może potrzebuje odrobiny przestrzeni, aby ochłonać - odpowiedział Thome.

- To ja najwięcej krzychałem. - Hendricks westchnął, a z jego ust wypłynęła mgielka oddechu. - Prawie przez cały czas on zachowywał kamienny spokój.

- Może dzień czy dwa odpoczynku od siebie to nie taki zły pomysł, nie uważasz?

Hendricks sprawiał wrażenie, jakby to był najgorszy pomysł, jaki mu podsunęto.

- Zabrał większość swoich rzeczy. Powiedział, że po resztę wróci jutro.

W ostatnich miesiącach para mieszkała u Hendricksa w Islington, ale Brendan zatrzymał swoje mieszkanie. „A więc ma dokąd wrócić, gdybyśmy się rozstali” - zażartował kiedyś Hendricks.

Aż do teraz chodziło głównie o sam fakt kłótni, jej zażartość i ostateczny wydzwięk. Hendricks upierał się, że sprawa jest zakończona, choć nie chciał za bardzo mówić, co właściwie było powodem kłótni.

Thome zadał to pytanie i z miejsca tego pożałował, gdy zobaczył, jak jego przyjaciel odwraca głowę, by skłamać.

- Szczerze mówiąc, nawet nie pamiętam, ale zapewniam, że to nie było nic ważnego. Zawsze tak jest, prawda? Wszystko się sypie przez jakieś nic nieznaczące bzdury.

- Fakt...

- Myślę, że zbierało się na to już od kilku tygodni. Stres w pracy dał się nam obu we znaki.

Choć Thome podejrzewał, że tamten wciąż coś przed nim ukrywa, wiedział, iż Hendricks miał rację, mówiąc o stresie. Nieraz widział, co praca była w stanie wydobyć z Hendricksa, i miał świadomość, że praca jego partnera też nie była łatwa. Brendan Maxwell pracował dla London Lift, organizacji zajmującej się londyńskimi bezdomnymi. Thome dobrze go poznał, prowadząc rok temu incognito śledztwo w sprawie zabójstw wśród bezdomnych.

Thorne spojrział na zegarek.

- O której zamówiliśmy pizzę?

- Nie znajdę sobie nikogo lepszego, prawda?

Hendricks wstał i oparł się o ścianę przy drzwiach do kuchni.

- Lepszego niż Brendan.

- Daj spokój, Phil...

- A jednak. Nie ma co się łudzić. Próbuję być realistą.

- Daję ci dwa tygodnie - rzekł Thome. - Stawiam dziesiątaka, że za niecałe dwa tygodnie założysz sobie nowy kolczyk. Zakładasz się?

To był jeden z ich żarcików: Hendricks miał upamiętniać każdego nowego kochanka osobnym kolczykiem. Ten szczególny, bolesny sposób miał zastąpić wycinanie karbów na wezłowiwiu łóżka. I żarcik się sprawdzał, dopóki nie pojawił się Brendan.

- Nie mogę znieść myśli, że znów będę samotny.

- Jeszcze nie jesteś samotny.

- Wszystko od nowa, znowu to samo. Wiesz, jakie to przygnębiające?

- Mówię ci, że tak nie będzie.

- Byliśmy tacy wdzięczni, że uchroniliśmy się przed tym nawzajem. No wiesz, że się odnaleźliśmy. Kurwa.

Thome patrzył, jak Hendricks raz po raz uderza piętą motocyklowego buciora w cegłę. Znow zobaczył łzy. Zupełnie jakby tego dnia nie robił nic innego, tylko patrzył na ludzi, którzy bez powodzenia usiłują tłumić łzy. Poczłł nieopisaną ulgę, kiedy z kuchni dobiegł go sygnał telefonu, lecz zaraz zrobiło mu się głupio i zawstydził się. Zastanawiał się, czy powinien odebrać i co by pomyślał o nim Hendricks, gdyby teraz podszedł i podniósł słuchawkę, ile ewentualnie potrwa, zanim ten, kto dzwoni, znudzi się czekaniem na połączenie.

Kiedy Hendricks gestem dał mu znać, żeby poszedł do kuchni, Thome tylko wzruszył ramionami - jakby mówił „no co ja mogę?” - i pospiesznie wszedł do środka.

Kiedy podniósł słuchawkę, coś musiało być słycać w jego głosie.

- Dzwonię nie w porę? - zapytał Brigstocke.

Odpowiedź Thomea mogła brzmieć mgliście, ale była jak najbardziej szczerą.

- I tak, i nie.

- Chciałem tylko zapytać, jak sobie radzisz w Jednostce ds. Urowadzeń.

Thome przeniósł telefon do salonu.

- Raczej chciaeś się przekonać, czy już pierwszego dnia dałem ciała.

- Och, wiem, że nie daeś. Rozmawiałem już z nadinspektorem.

- I?

- Same superlatywy, nie ma co. Wygląda na to, że zaimponowaeś inspektor Porter. Co o niej myślisz?

Thome usiadł w fotelu, a chwilę później na kolana wskoczyła mu jego wiecznie rozkojarzona kotka i zaczęła wbijać mu pazury w ciało. Thome podniósł Elvisa, a kiedy kotka w końcu odpuściła, zrzucił ją na podłogę.

- Wygląda na to, że jest w porządku - powiedział. - Na pewno zna się na swojej robocie.

Nie wiedział, dlaczego tak się waha, by powiedzieć, co naprawdę myślał, zwłaszcza że ona oceniła go tak dobrze. A przecież on też był pod wrażeniem Louise Porter. I to pod każdym względem.

- Czy ta praca jest dla ciebie dostatecznie emocjonująca?

- Cóż, przynajmniej nie gniję za biurkiem - odrzekł Thorne. - Ale i nie siedzę tu teraz,

i nie czekam, aż serce przestanie mi walić jak szalone.

W tle słyszał głosy dzieci Brigstocke a. Dźwięk w słuchawce zmienił się, gdy tamten zasłonił dłonią mikrofon i Thorne usłyszał, jak nadinspektor powiedział dzieciakom, że zaraz do nich przyjdzie. Głos był zduszony, ale mimo wszystko słyszalny.

- Przepraszam...

- Nie wiemy nawet, czy na pewno mamy do czynienia z porwaniem. Ta sprawa z kobietą jest bardzo dziwna. I jeżeli ktoś faktycznie przetrzymuje dzieciaka, nie rozumiem za cholere, dlaczego jeszcze nie skontaktował się z jego rodzicami.

- Co o tym myśli Porter?

- Ona też uważa, że to dziwne. Rozmawialiśmy o potencjalnych motywach. O tym, dlaczego ktoś w ogóle kogoś porywa. Zawsze jest jakiś powód. Może chodzić o narkotyki, pieniądze lub pobudki polityczne. Ale ktoś zawsze czegoś chce.

- Myślisz, że chłopak po prostu zwiął z domu?

- Bóg raczy wiedzieć. Uważam jednak, że możemy zmarnować sporo czasu i wysiłku.

Rozległ się dzwonek do drzwi, ale zanim Thorne podźwignął się z fotela, Hendricks już wszedł do pokoju i ruszył w stronę wejścia. Thorne sięgnął do skórzanej kurtki po portfel, jednak Hendricks zbył go machnięciem ręki.

- Czy moje przypuszczenia są słuszne, że nie będziecie po mnie płakać, gdyby to przeniesienie okazało się bezterminowe? Może to zabrzmiało dziwnie i zdaję sobie z tego sprawę, niezależnie od przyczyn, które za tym stoją, i tego, że w grę wchodzi zaginiony dzieciak, jakoś trudno mi się w to... zaangażować. Nie ekscytuje mnie to. Po prostu wykonuję kolejne rutynowe czynności. Czy wyraziłem się jasno?

- Czujesz się lepiej, gdy pojawia się jakieś ciało. Mam rację? - spytał Brigstocke. - Lubisz podążać tropem zabójcy.

Thorne pomyślał o tym, co dziś rano w samochodzie powiedział mu Holland: „Mówi pan tak, jakby na coś pan liczył”. Zastanawiał się, czy oni obaj mieli rację, czy miał w sobie jakąś mroczniejszą część natury.

- Uważam, że powinniśmy robić to, w czym jesteśmy dobrzy - powiedział.

Już kiedy to mówił, wiedział, że jego słowa zabrzmiały nieprzekonująco i defensywnie.

Brigstocke pociągnął nosem.

- Mógłbym tu powiedzieć coś wzniosłego i głębokiego o tym, że niektórzy ludzie bardziej się troszczą o zmarłych niż o żyjących, ale nie jestem pewien, czy nie zapędziłbym sam siebie w kozi róg.

- Myślę, że obu nam zrobisz przysługę, jeżeli odpuścisz sobie tę mowę - rzekł Thome. Brigstocke nie odpowiedział, tylko w zamyśleniu nucił pod nosem jakąś melodyjkę.

Trzasnęły drzwi i Hendricks wszedł z pudełkami do kuchni. Thome bardzo chciał podążyć za nim.

- Muszę kończyć. Zamierzam właśnie zjeść kolację.

- Wiem, słyszałem dzwonek do drzwi - powiedział Brigstocke. - Curry czy pizza?

- Wciąż potrafisz mnie wyczuć - zaśmiał się Thome.

Chwilę potem wyjął z lodówki dwie kolejne puszki piwa i poczuł ulgę, że rozmowę z Brigstockiem zakończył pozytywny akcent. A mogło być dokładnie na odwrót. Ostatnio tak wiele rozmów, które prowadził, toczyło się na cienkiej granicy między spokojem a złością, podczas gdy Holland, Hendricks i inni obchodzili się z nim jak z jajkiem. Kiedy Thome wpadał w złość, mówiąc im bez ogródek, że są wobec niego nadopiekuńczy, tylko na niego patrzyli, jakby te słowa potwierdzały ich tezę.

- Zjemy na zewnątrz? - spytał.

Hendricks zaczął już wyjmować kawałki pepperoni.

- Żartujesz? Teraz jest jeszcze chłodniej. Jestem młody, wolny i samotny i jeżeli mam temu zaradzić, nie mogę pozwolić na to, żeby mój mały skurczył się do rozmiarów żołędzi.

Hendricks zabrał swoje pudełko z pizzą i pomaszerował do salonu.

Thome zamierzał zawołać na niego, zapytać, czy włączyć mu ja - \ kąś muzykę, ale powstrzymał się. Hendricks mógł zdusić to w sobie, ale ból nie przejdzie. Na pewno wybrałby album z co najmniej jednym niepożądanym utworem - tak było z większością płyt z kolekcji Thome a. Ludzie bez przerwy mieli o to do niego pretensje - tak to już jest z muzyką country, same z nią problemy: zbyt wiele piosenek o martwych psach i straconych miłościach.

- Włącz telewizor - zawołał dla odmiany. - Sprawdź, czy na Sky jest jakiś mecz.

Wszedł na zewnątrz, by wnieść z powrotem do środka krzesła ogrodowe. Noc była pogodna, ale to nie oznaczało, że do rana nie lunie. Pomyślał o tym, co powiedział Brigstocke owi o braku ekscytacji, i o tym, co mogłoby sprawić, że krew zacznie mu szybciej krążyć w żyłach. Zastanawiał się, jak bardzo pragnął, aby ciało, na którego pojawienie się zdaniem wielu tak czekał, wreszcie zostało odnalezione. Szczerze wierzył, że jeżeli się pojawi, nie będzie to ciało Lukę a Mullena.

Uniósł wzrok, gdy wysoko w górze przemknął z sennym buczeniem mrugający światełkami samolot pasażerski. Niebo miało barwę brudnej śliwki i było upstrzone gwiazdami. Wniósł krzesła do środka izamknął drzwi. Hendricks już krzyczał do telewizora.

Pomimo bolących pleców, znużenia i ponurych myśli Thome czuł się nieźle.

Przynajmniej w porównaniu z niezbyt odległą przeszłością. Mimo wszystko miło było spędzić choć kilka godzin z kimś, kto przynajmniej na razie był w gorszym stanie niż on.

Conrad

Dzieciak był sprytny, bez dwóch zdań. Cwany i w dodatku wyszczekany, ale to, że ktoś jest inteligentny, nie ma większego znaczenia, jeżeli to on panuje nad sytuacją. Dzieciak przypuszczalnie zdał o niebo więcej egzaminów niż on, ale co mu teraz po nich? To, że jest cwany, nic nie znaczy, gdy ma torbę założoną na głowę.

Bo to on wszystko kontrolował.

Poza tym zaczął się zastanawiać nad znaczeniem niektórych słów. Jak choćby „strzał” - z pistoletu i kiedy dajesz sobie w żyłę.

Zawsze był wysoki i dobrze zbudowany, umiał sobie radzić, ale nigdy nie okazywano mu należnego szacunku. A w każdym razie nie wtedy, kiedy był młodszy. Wtedy najwyraźniej czegoś mu brakowało, tego czegoś w oczach, postawie lub w spojrzeniu, co sprawia, że ludzie traktują człowieka poważnie. Co sprawia, że cofają się z lekkim uśmiechem na ustach i zdziwionym głosem mówią - w porządku, stary, jak chcesz. Chciał, żeby inni tak na niego reagowali, od kiedy zstąpiły mu jądra, i nadal pamiętał, kiedy zdarzyło się to po raz pierwszy. To było już dobrych parę lat temu, ale pamiętał doskonale każdy szczegół. Zupełnie jakby oglądał film z sobą w roli głównej.

Obleśnie czerwony ford fiesta.

Jakiś palant z nażełowanymi włosami siedzący za kółkiem zajechał mu drogę na światłach, zamiast skręcić w prawo, jak należało. A potem, kiedy zatrąbił klaksonem, ten łajdak pokazał mu palec!

Pojechał za tym skurwielem. Siedział mu na ogonie, jadąc z prędkością osiemdziesiąt i dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę przez Dalston i Hackney aż do Bow. Na ulicach są wielkie kałuże, a o tej porze w mieście niewielki ruch, tylko nocne autobusy i trefne minitaksówki, które czym prędzej usuwają się z drogi. Fiesta hamuje gwałtownie i nagle gdzieś na tyłach Victoria Park facet wyskakuje i zaczyna wymachiwać kijem baseballowym. Kręci głową i wskazuje palcem. Krzyczy, podchodząc w stronę auta.

Dalej wszystko rozgrywa się w zwolnionym tempie, ale dźwięki są podkreślone na ful. Czuje, że serce nieomal rozsadza mu pierś, lecz nie ze strachu, tylko z podniecenia, i kiedy wysiada z auta, widzi, że tamten patrzy na niego w taki sposób, jak zawsze tego pragnął.

To chwila, kiedy dochodzi do przejęcia kontroli nad sytuacją. Frajer z kijem najwyraźniej też o tym pomyślał, bo kij daje mu przewagę, a wredny typ zapewne nie zawaha się go użyć. Kij sprawia, że ten frajer czuje się odważniejszy. I wtedy dostrzega pistolet, a

chwilę później fajda w gacie.

Dosłownie wali w spodnie. Można się tego tylko domyślać po wyrazie twarzy, kiedy odchodzi. Kiedy odkłada kij. Unosi ręce i mówi: „Wporzo, stary, nic się nie stało”. Oczywiście spluwa była tylko repliką i prawdziwa czy nie, zapewne to właśnie broń, a nie on sam, sprawiła, że zyskał szacunek, ale co tam. Nieważne. Uczucie, kiedy ponownie wsiadł do auta, było niesamowite i już go nie opuściło. Śpiewało w jego krwi, kiedy wymijał autobusy i śmigał przez kałuże, aż do chwili, kiedy wszystko wzięło w łeb dwadzieścia minut później...

Po drugiej stronie pokoju chłopak w kapturze na głowie obudził się. Mógł to stwierdzić po ułożeniu jego ciała, sposobie, w jaki miał odwróconą głowę, i po tym, jak jego twarz rysowała się pod materiałem.

- Jesteś głodny?

Długo debatowali nad tym, czy powinni go zakneblować, i w końcu Amanda uznała, że jednak nie. To byłaby chyba przesada. Przecież chłopak i tak prawie przez cały czas był na prochach nasennych, a kiedy pozostawał przytomny, nawet gdyby spróbował krzyknąć, zaraz by go uciszyli.

- Chcesz coś zjeść?

Chłopak nie odpowiedział, choć przecież mógł. Po prostu zignorował pytanie. Z jakiegoś powodu postanowił milczeć, jakby przeciwko czemuś protestował. Albo jakby prowadził z nimi jakąś grę.

Próbował być sprytny.

4

Jego ojciec miał zwyczaj przychodzić tuż nad ranem.

Odkąd zaczął mieć problemy z plecami, Thome budził się po piątej rano. Leżał potem w ciemnościach w jedynej wygodniejszej pozycji, jaką udało mu się wymyślić, z kolanami podciągniętymi do piersi, i myślał o swoim ojcu. Niekiedy zdarzało mu się jeszcze przysnąć, a wówczas ich spotkania stawały się dziwniejsze, bogatsze, jakby w ciągu tej godziny czy dwóch, zanim musiał wstać, nieodmiennie śnił.

W snach Jim Thome pojawiał się taki, jaki był w ostatnich stadiach choroby Alzheimera, jakieś sześć miesięcy przed śmiercią w pożarze. To było typowe dla ojca, stwierdzał Thome, ta perwersja i złośliwość. Dlaczego nie mógł ukazywać mu się w snach jako młodszy mężczyzna? Albo przynajmniej jako człowiek, którego mózg funkcjonował jak należy? Zamiast tego ojciec przychodził do niego jako kłótlivy, wulgarny staruch, wiecznie przeskakujący z tematu na temat, rozkojarzony, wściekły i zagubiony.

Bezradny..

Staruszek często nie robił nic poza tym, że siedział na skraju łóżka Thome a i zadawał pytania. Zwykle tak to właśnie wyglądało w ostatnim okresie. Brak podstawowych zasad kurtuazji szedł ramię w ramię z zamięłowaniem do zagadek, quizów i rozmaitych list.

„Podaj nazwy dziesięciu samolotów myśliwskich z czasów drugiej wojny światowej”. „Jakie są trzy największe jeziora na świecie? Mowa o słodkowodnych jeziorach”. Odkąd umarł, doszły jeszcze elementy wielokrotnego wyboru. „Co spowodowało pożar, który mnie zabił? Czy (A) wybuchł on przypadkowo, czy (B) powstał celowo?”.

Często zaraz potem następowało pytanie, na które Thorne owi łatwiej było odpowiedzieć: „Czyja to była wina: (A) twoja, (B) twoja?”.

Zazwyczaj wtedy Thome budził się, ale jeszcze przez chwilę to pytanie go nie opuszczało. Wywoływało konkretne i silne, ale trudne do nazwania wrażenie. Niekoniecznie wyrzuty sumienia, ale coś, co miało tego posmak. Jak stosunki, kiedy „coś zaczyna się psuć”, można przyrównać do choroby; symptomy już wkrótce dadzą o sobie znać. Niczym robot wykonywał poranne rytuały - ablucje, śniadanie, ubieranie się - aż sny rozplływały się. Kiedy się golił, miał wrażenie, że woda, skwiercząc, odparowuje z jego skóry, a owsianka miała smak węgla.

Wczoraj późnym wieczorem wsadził Phila Hendricksa do minitaksówki. Jak zawsze zaproponował mu nocleg na kanapie, ale Hendricks chciał wrócić do domu. Poważna rozmowa o znalezieniu kogoś na miejsce jego byłego nie trwała długo. Piwo splukało wszelkie pozory akceptacji i pod koniec długiego wieczoru Hendricks znów zaczął zalewać się łzami, pragnąc równocześnie pojechać do domu, na wypadek gdyby Brendan postanowił jednak wrócić.

W kuchni Thorne na stojąco zjadł tosta z marmoladą, słuchając Greater London Radio i czekając, aż kolejna porcja środków przeciwbólowych zacznie wreszcie działać.

Do pierwszej rocznicy śmierci ojca pozostało pięć tygodni.

Na zewnątrz zaczęło się śnieżyć, a w radiu prowadzący próbował zmusić jakąś wulgarną kobietę do bardziej stonowanej wypowiedzi na temat żałobnego stanu sieci kolejowej w stolicy.

Thome postanowił, że zadzwoni do cioci Eileen, młodszej siostry ojca, i Victora, najlepszego przyjaciela ojca. Może wspólnie gdzieś się wybiorą. Na drinka czy coś w tym rodzaju.

Nigdy nie utrzymywał bliskich stosunków z rodziną, a to zbliżenie z rodziną po tak wielkiej stracie było tak przerażająco brytyjskie. I choć zdawał sobie z tego sprawę, mimo

wszystko tego pragnął, potrzebował możliwości zweryfikowania swojego bólu i żalu, porównania go z innymi. Chciał być z ludźmi, którzy potrafili z nim rozmawiać, nie obchodząc się z nim jak z jajkiem.

W radiu prowadzący stwierdził, że poprzednia słuchaczka była dość bezpośrednia i nie przebierała w słowach, ale miała rację, bo stan londyńskich kolei pozostawia, delikatnie mówiąc, wiele do życzenia.

Thome zastanawiał się, jak sobie radzili Mullenowie. Stracić kogoś, nie wiedząc na pewno, czy naprawdę się go utraciło, to chyba najgorsze, co może kogoś spotkać, ale oni i tak trzymali się razem. To godne pochwały, bo tego rodzaju sytuacje bywają nieraz przyczyną rozpadu najtrwalszych związków.

Nasytał do miski karmy dla Elvis, kiedy zadzwonił telefon, i choć kodeina nie zaczęła jeszcze działać, telefon Porter pozwolił mu zapomnieć o pulsującym bólu przeszywającym całą nogę od stopy aż po pachwinę.

Teraz mieli już pewność, że Luke Mullen został porwany. Ten, kto go uprowadził, wreszcie postanowił się odezwać.

W Central 0 pospiesznie poustawiano krzesła, a w kącie pod czerwoną flagą pojawił się niewielki monitor. Funkcjonariusze innych wydziałów przerwali rozmowy, stali nieruchomo albo po prostu pracowali w milczeniu, podczas gdy Jednostka ds. Uprowadzeń zebrała się i obejrzała nagranie wideo, które wrzucono rano przez otwór na listy we frontowych drzwiach domu Mullenów.

Kiedy nagranie się skończyło, Porter bez słowa przewinęła taśmę i obejrzeli je raz jeszcze.

- Oczywiście oryginał trafił do Instytutu Badań Sądowych - rzekła na koniec. - Mają jak najszybciej sprawdzić zarówno kasetę, jak i kopertę, w której się znajdowała.

Ekipa techników sądowych zajmowała się badaniem śladów i materiałów dowodowych otrzymanych od wszystkich czterdziestu trzech służb policyjnych z terenu Anglii i Walii, przeprowadzając testy broni palnej i włókien, badanie toksykologiczne, drobiazgowo analizy krwi oraz tkanek na obecność trucizn i środków farmakologicznych. Ich laboratoria w Victorii zwykle potrzebowały tygodnia lub nawet więcej, by zbadać kompleksowo odciski palców lub próbki DNA. Stosowna prośba o pośpiech mogła znacznie skrócić czas oczekiwania na wyniki, przy odrobinie szczęścia można było uzyskać je już nazajutrz, przynajmniej te dotyczące odcisków palców.

- Nie spodziewam się żadnych rewelacji - orzekła Porter.

Wskazała na ekran. Obraz zatrzymano na momencie, gdy odwrócony tyłem do kamery

mężczyzna z torbą w jednej i strzykawką w drugiej ręce podchodził wolno i z rozmysłem do Lukę a Mullena.

- Wydaje się, że oni doskonale wiedzą, co robią.

- Co może być w strzykawce? - spytał Holland.

Siedzący przed nim detektyw sierżant, wysoki Szkot z dłuższymi włosami z tyłu, odwrócił się:

- Rohypnol albo diazepam. W każdym razie zapewne benzodiazepina.

- Skąd mógł to zdobyć?

- W naszych czasach, gdy się dysponuje komputerem i kartą kredytową, to względnie proste. Kilka tygodni temu zamknięto punkt sprzedaży wysyłkowej oferujący fiolkę ketaminy i dwie strzykawki w małym skórzanym etui. Sprzedawano je po 19,99 funtów jako „zestaw do gwałtu podczas randki”.

- Czy on na pewno wie, co robi? Zamierza cały czas trzymać tego dzieciaka w stanie uśpienia?

Thome słuchał tej wymiany zdań, ale nie odrywał wzroku od ekranu, na którym widniał znieruchomiały obraz chłopca i przetrzymującego go mężczyzny. W oczach dzieciaka malował się strach. Chłopiec starał się na użytek rodziców udawać niewzruszonego i odważnego, ale maska szybko opadła, kiedy w jego stronę zaczął się zbliżać mężczyzna ze strzykawką.

Szkot pokręcił głową.

- Tego także można się dowiedzieć z internetu. Jest tam wiele stosownych stron z poradami. Jakich dawek należy użyć i w ogóle.

- Albo uczysz się tego z doświadczenia - wtrącił Thome.

Po jego wypowiedzi zapadła długa cisza.

Następnie rozdzielono zadania i wyznaczono poszczególne ekipy. Nie mieli zbyt wiele poza częściowym numerem rejestracyjnym granatowego lub czarnego auta i rozmowami z kilkoma kolejnymi świadkami, którzy widzieli, jak Lukę do niego wsiadał.

Porter zaczekała, aż większość jej zespołu otrzyma swoje przydziały, a ci nieliczni, którzy byli wolni, zaczęli zbierać krzesła albo zajęli się robotą papierkową, zanim omówiła z Thome'em i Hollandem ich opinie.

- Dziś po południu wybieram się do szkoły - oznajmiła. - Nie wiem, który z was ma lepszy kontakt z nastolatkami.

Holland odezwał się pierwszy, mając świadomość, że Thome obrzucił go długim, pytającym spojrzeniem, gdy powiedział: „Dobra, wchodzę w to”.

- Tom?

- Pomyślałem, że mógłbym zamienić słówko z paroma osobami, z którymi pracował Mullen - powiedział Thome. - Pokażę im listę. Zobaczymy, czy mają lepszą pamięć niż on.

Wczoraj pod wieczór Mullen przekazał im listę tych, którzy mogli żyć do niego urazę.

- Miał sporo do przemyślenia - zauważyła Porter.

Thome wiedział, że miała rację, ale nie był do końca przekonany.

- Właśnie dlatego uznałem, że to mogłoby okazać się dla nas... pomocne. Gdyby uprowadzono mojego syna bez żadnego wyraźnego motywu, próbowałbym sobie przypomnieć nawet nazwiska tych, którzy krzywo na mnie spojrzeli.

Mullen zapisał tylko pięć nazwisk. Pięciu mężczyzn, którzy mogli kiedyś z tego czy innego powodu żyć do niego urazę. Wszystkie nazwiska przepuszczono w ciągu kilku minut przez policyjną bazę danych, a gdy okazało się, że z tych pięciu jeden przebywa w Australii, drugi w Zakładzie Karnym JKM w Parkhurst, a trzeci leży na cmentarzu Kensal Green, pozostało tylko dwóch.

Porter zgarnęła papiery z biurka, powyjmowała jakieś drobiazgi z szuflady i wrzuciła je do torebki.

- Najpierw wybieram się na godzinę, dwie do domu. Stamtąd pojedę prosto do szkoły. Kto wie, może gdyby miał więcej czasu do zastanowienia, dopisałby do tej listy jeszcze jedno lub dwa nazwiska.

Wzięła komórkę, przypięła ją do paska, po czym wrzuciła drugą do torebki. Półtora roku temu w całej policji wprowadzono modernizację i każdy funkcjonariusz otrzymał dodatkowy telefon. Był to naprawdę dobry sprzęt - telefon i radio w jednym o tak dużym zasięgu, że po raz pierwszy użytkownik mógł za jednym dotknięciem przycisku porozumieć się z kolegą po fachu w każdym, nawet najdalszym zakątku Wielkiej Brytanii. Jednak pomimo mnóstwa pisemnych upomnień i zaleceń niektórzy funkcjonariusze woleli korzystać z własnych aparatów. Te były może mniej szpanerskie, ale mniejsze, lżejsze i co ważniejsze, nie miały wbudowanego GPSa. To zadziwiające, ile tych nowoczesnych cudeniek zostało zgubionych lub pozostawionych w domu przez funkcjonariuszy, którzy nie chcieli, by ich przełożeni z działu kontroli wiedzieli w każdej chwili, gdzie ich szukać.

Thome niejako mimochodem zauważył, że Porter nie włączyła swojego służbowego telefonu, wrzucając go do torebki.

Nadinspektor kierujący zespołem, mówiący dość cicho Szkot, któremu przydałoby się zrzucić parę kilo, pojawił się obok Porter z kolejnym plikiem papierów i zanim się ulotnił,

powiedział, że chciałby zamienić z nią słówko na osobności. Choć Barry Hignett spotkał się wcześniej na krótko z Thorne'em i Hollandem, wykorzystał okazję, by znów się z nimi przywitać, wyjaśniając, że przy sprawie takiej jak ta nie ma miejsca ani czasu na konwenanse czy kurtuazję.

Hignett poszedł z Porter do sąsiedniego biurka i rozłożył przed nią papiery. Holland przyglądał się im przez chwilę, po czym odwrócił się i rzekł półgłosem do Thome'a:

- Chciał pan iść do szkoły?

Thorne spojrzał na niego, jakby tamten mówił po chińsku.

- Co?

- To znaczy z Porter - Holland zniżył głos niemal do szeptu. - Wydawało mi się, że trochę się pan wkurzył, kiedy się zgłosiłem.

- Nie wygłupiaj się - rzucił Thome.

Kiedy Porter skończyła z Hignett'em, umówiła się na określoną godzinę z Hollandem przed szkołą. Następnie Thome zszedł z nią po schodach na parter.

- „Traktują mnie całkiem dobrze” - rzekł półgłosem Thome, gdy mijali ich idący na górę funkcjonariusz, z którym wcześniej zamienił słowo czy dwa. - Tak na tym nagraniu powiedział Luke.

To był dramatyczny moment, kiedy postać ze strzykawką wyłoniła się zza kamery. Obraz pozostał niestabilny, kamera była raczej trzymana w ręku niż ustawiona na statywie. Cokolwiek powiedział lub czego nie powiedział Luke, właśnie wtedy stało się jasne, że przetrzymuje go więcej niż jedna osoba. Mieli do czynienia ze spiskiem w celu uprowadzenia.

- Myślisz, że jest ich dwóch? Albo więcej?

- Jeżeli dwóch, to założę się, że drugą osobą jest kobieta, z którą widziano Luke'a.

- Czy to typowe? Mężczyzna i kobieta pracują jako zespół?

- Miałam już do czynienia z takimi przypadkami - rzekła Porter. - Z oczywistych przyczyn to kobieta jest zazwyczaj zaangażowana w samo uprowadzenie. Jako osoba, która wzbudza zaufanie.

- Jasne.

Z oczywistych przyczyn.

Thome zastanawiał się, dlaczego w świetle tak wielu słynnych spraw te przyczyny pozostawały oczywiste, ale najwyraźniej tak było. To Hindley zawsze darzono większą nienawiścią niż Brady'ego. Maxine Corr, choć uznano ją za niewinną i jakoby nawet nie wiedziała, że jej chłopak zamordował dwie młode dziewczyny, była bez wątpienia bardziej zepsuta z ich dwójki.

- Kilkoro dzieciaków przypomniało sobie, że widywało ich już wcześniej razem, prawda? - kontynuował Thorne. - Luke a i tę kobietę. Najwyraźniej potrzebowała czasu, żeby się do niego zbliżyć.

- Oplaciło się - rzekła Porter. - A skoro o tym mowa, wciąż nie pojawiło się żądanie okupu. Ani słowa o tym, że ktoś chce jakiegokolwiek pieniądze.

- Może będzie o tym mowa na następnym nagraniu.

Ale gdy wyszli do holu na parterze i ruszyli w stronę drzwi obrotowych, Thorne wciąż zastanawiał się raczej nad tym „jak” niż „dlaczego”. Wyobrażał sobie kobietę zbliżającą się do swojej ofiary, uśmiechającą się, ujmującą i zawsze czujną. Myślał o tym, że budowała jego zaufanie, jak karmiła jego ciało i umysł, i wszystko rozsypało się na kawałki. Przypomniał sobie uśmiech gasnący na ustach chłopca, który w tak trudnej sytuacji wciąż silił się na żarty. Przypomniał sobie jego puste spojrzenie. I zastanawiał się, czy Lukę Mullen kiedykolwiek jeszcze komuś zaufa.

Deszcz nie ustawał przez cały poranek, ale przed wejściem i tak kręciło się sporo ludzi. Jakaś para siedziała na betonowym murku, pojadając kanapki. Rzędy takich murków wzniesionych dla ochrony przed zamachowcami samobójcami, którzy mogliby użyć do niszczyielskiego dzieła samochodu, pojawiły się wokół większości budynków publicznych w całym mieście, a Thorne często zastanawiał się, czy firmy produkujące beton nie sponsorowały czasem potajemnie niektórych grup terrorystycznych. Podzielił się z Porter tą teorią i przystanęli na chwilę rozbawieni tym żartem; Thorne miał skręcić w stronę stacji metra przy St James s Park, a Porter w kierunku podziemnego garażu.

- Jak bardzo cię to martwi? - zapytał Thome. - To, że nikt nie domaga się pieniędzy od Mullenów. To, że nikt niczego nie żąda.

- Te sprawy nigdy nie są przewidywalne. Tyle akurat zdążyłam się nauczyć. Ale przyznaję, że to cholernie dziwne.

- Mają Luke a już cztery dni.

- Cztery dni i pięć nocy. Zwróć uwagę, że martwiliśmy się, że się nie odzywają, i w końcu to zrobili.

Thorne zaczął zapinać guziki swojej skórzanej kurtki.

- Coś mnie niepokoi - powiedział. - Coś na nagraniu.

- Co?

- Chciałbym wiedzieć. Ale coś tam jest nie tak. Coś, co powiedział, albo może sposób, w jaki to powiedział.

- Wpadniesz na to.

- Może.

- To starość, kolego. Alzheimer się odzywa.

Thome wysilił się na uśmiech.

- Spotkamy się później przy Arkley - rzekła. - Zobaczymy, jak sobie radzą, dobra?

- Świetnie.

Thome cofnął się o krok i nieznacznie odwrócił, zamierzając odejść.

- Co myślisz o Mullenie? - spytał.

- Chyba trzeba mu przypomnieć, że nie jest już gliną.

Zapiął górny guzik kurtki i włożył ręce do kieszeni. Myślał o pamięci, tej idealnej i tej wadliwej. Myślał, że jego pamięć o czasach sprzed pracy w policji domagała się przestrzeni, zepchnięta w cień przez mniej przyjemne wspomnienia.

- Myślałaś kiedyś o wcześniejszej emeryturze?

- Zdarza mi się od czasu do czasu. A tobie?

- Bywają chwile, kiedy często o tym myślę.

- Czyli kiedy? - spytała Porter.

- Każdego dnia. Zaraz po przebudzeniu...

Tony Mullen sięgnął do lodówki po butelkę wina, przesunął kieliszek po blacie i nalał sobie hojnie. Podszedł do miejsca, gdzie jego córka robiła sobie kanapkę. Pogładził ją po głowie i napił się.

Żadne z nich się nie odezwało, odkąd przed kilkoma minutami wszedł do kuchni, i stali tak, zajęci każde sobą, na swój sposób dzieląc w milczeniu wspólną przestrzeń, aż Juliet Mullen wzięła swój talerz i wyszła.

Wsluchiwał się w kroki na schodach, a potem w skrzypnięcie i trzask drzwi do jej sypialni oraz w muzykę, której dźwięki pojawiły się w tych paru sekundach pomiędzy dwoma ostatnimi odgłosami. Wytężył słuch, by wychwycić szept głosu Maggie, i choć jej nie usłyszał, wiedział doskonale, że w tym czy innym pokoju ich domu jego żona prowadzi ożywioną rozmowę. Z oczywistych powodów nie korzystała z telefonu stacjonarnego, ale na pewno siedziała teraz gdzieś z komórką przy uchu i gadała bez końca ze swoją rodziną, przyjaciółkami czy kimkolwiek, kto tylko chciał jej wysłuchać i udawał, że rozumie, co się dzieje. On rozmawiał tylko wtedy, kiedy musiał. Jeśli tego od niego wymagano, przekazywał konieczne informacje, ale poza tym nie mówił nic. Zawsze tak było między nimi, gdy pojawiały się kłopoty, gdy coś zagrażało trwałości ich małżeństwa. Zawsze zamykał się w sobie, tłumiąc emocje, usiłując poradzić sobie z problemami bez jednego słowa, podczas gdy inni wrzeszczeli na całe gardło. Lukę też był taki - nigdy nie wpadał w histerię. To Maggie

była spośród nich najbardziej wylewna, a jeżeli chodzi o Julie, nigdy nie potrafił stwierdzić, co się działo w jej głowie.

To nie było zbyt przyjemne, miał tego świadomość. To było staroświeckie i niewygodne. Zapewne byłoby prościej, gdyby wszyscy usiedli w kręgu i otworzyli się, gdyby zechcieli podzielić się ze sobą odczuciami, ale on i jego rodzina nie funkcjonowali w ten sposób. Tak już jest i kropka.

Przesunął palcami w tę i z powrotem po gładkiej chłodnej powierzchni kontuaru i pomyślał o detektywie inspektorze Tomie Thornie. Ten wyszczekany drań nieźle mu wczoraj dopiekl, zaczął mu dogryzać, mimo że w pokoju był tylko jeden człowiek, który dochrapał się rangi nadinspektora, i zapewne jedyny spośród nich, który dostąpił tego zaszczytu. Był wdzięczny, że Jesmond wyznaczył dodatkowych ludzi do tej sprawy, ale na tego Thorne a będzie musiał mieć oko. Gliniarz w typie słonia w sklepie z porcelaną. Nie rozwiązywał śledztw takich jak to. Jego syn odzyska wolność, jeśli będą robić to, co trzeba i co zostanie im nakazane, a nie uporczywie odmawiać przyjęcia do wiadomości tego, co się mówi, i zastanawiać się nad liczbą nazwisk na jakiejś pieprzonej liście.

Mullen dopił wino i przez chwilę zastanawiał się nad nazwiskiem, którego na kartce nie umieścił. Upewnił sam siebie, że to nie było ważne, zważywszy na sytuację, i że uczynił to z ważnego powodu. Może to był głupi powód, ale wart tego drobnego kłamstewka.

Z chęcią zapomniałby o tamtym mężczyźnie, ale nie' potrafił wyrzucić go z pamięci. Bądź co bądź wiązały się z nim nieprzyjemne skojarzenia. Jednak jego nazwisko nie miało absolutnie nic wspólnego ze zniknięciem jego syna - a tylko to się liczyło. Nie miało nic wspólnego z tym, kto i gdzie przetrzymywał Luke a oraz czego żądał. Dlaczego więc miałyby mieć znaczenie i jakie mogłyby być nieprzyjemne konsekwencje tego, że je pominął?

Nasłuchiwał jeszcze przez minutę lub dwie, po czym znów podszedł do lodówki.

Co złego mogło się stać?

Amanda

To była torebka. Zwykła plastikowa torebka narobiła tyle szkód i wciąż powodowała kolejne, gdyby przydzieleni psychiatrzy i pracownicy opieki społecznej wiedzieli, o czym rozmawiali.

Przypuszczalnie jedna z tych tanich, najtańszych, pasiastych, które dostajesz w nocnym supermarkecie albo tandetnym sklepiku na rogu. Kierowca drugiego auta nie opisał, co prawda, przed sądem wyglądu torebki, ale zawsze tak ją sobie wyobrażała. Przeleciała przez ulicę i zatrzymała się na przedniej szybie samochodu przytrzymywana przez wiatr, oślepiając kierowcę przez sekundę czy dwie i zmuszając go, by zakręcił kierownicą.

Bezkształtny śmieć sprawił, że zjechał na czołowe zderzenie z nadjeżdżającym z przeciwka srebrnym mercedesem. W momencie zderzenia wystrzeliła w górę, a jej ojciec przeleciał przez przednią szybę jak wystrzelony z katapulty.

Tani plastikowy śmieć. Takie nic. Praktycznie nic nieważący kawałek folii. Coś tak strasznego pojawiającego się znikąd...

Chłopak dostał zastrzyk i był nieprzytomny, a Conrad spał w pokoju obok. Był środek dnia, ale zegary biologiczne ich obu zdawały się szaleć. Zasłony były przez cały czas zaciągnięte, mogło być rano, południe albo noc. W sumie to bez znaczenia. To wszystko było po prostu potwornie nudne, nic więcej. Musieli jedynie zostać tu, gdzie byli teraz, tak długo, jak będzie trzeba, dopóki nie dowiedzą się, co robić dalej.

Kiedy zastanawiała się nad tym, co się stało z jej ojcem, czyli dość często, nigdy tak naprawdę nie myślała o tym drugim kierowcy, niewidocznym i krzyczącym za kierownicą, składającym zeznanie w kołnierzu ortopedycznym i kuśtykającym po stopniach przed gmachem sądu, podczas gdy jej matka krzyczała w ślad za nim. Zamiast tego myślała o człowieku, który sprzedał tę torebkę. O kimś, kto wypełnił ją owocami, rybami czy Bóg wie czym, o rękach, przez które przeszła, zanim w końcu ciśnięto ją do rynsztoka. Myślała o ludziach, którzy nigdy nie dowiedzą się, jaką rolę odegrali w śmierci jej ojca. Wyobrażała sobie twarze ich wszystkich. Każdej z nich przydawała osobne życie i rodzinę, która je wypełniała. A w najczarniejszych chwilach, których było sporo, usuwała kogoś z tej rodziny i patrzyła, jak życie pozostałych wali się w gruzy.

Podeszła do przenośnego kompaktu stojącego w rogu sypialni i podkręciła nieznacznie muzykę, by zagłuszyć oddech chłopca. Wyjęła z torebki to, czego potrzebowała, i usiadła na podłodze.

Znów się pokłócili o to samo, co zwykle. Conrad mówił cichym, pełnym rozczarowania głosem, jak zawsze, gdy rozmawiali o narkotykach. Powiedział jej, że musi zachować trzeźwy umysł. Odparowała, że musi strzelić sobie działkę właśnie z powodu tej stresującej sytuacji. Wtedy się rozzłościł, przypominając, że przecież zawsze tego potrzebowała, na co odrzekła, by darował sobie obłudę i że ona pójdzie na detoks później, kiedy już będą mieć pieniądze.

Kiwając się w rytm muzyki, wysypała odrobinę białego proszku, rozdzielając go na równe równoległe kreski. Zrolowała banknot i przez chwilę wpatrywała się w kreski, w drobinki białego pyłu, które pozostały po bokach na blacie stołu. Nic nieważące drobinki. Takie nic.

Coś tak cudownego brało się praktycznie z niczego.

Oddalona o piętnaście minut od domu Mullena, znajdująca się na tętniącym życiem przedmieściu Stanmore, szkoła Butler's Hall zajmowała od blisko stu lat ponad czterdzieści hektarów powierzchni.

Holland zapoznał się z historią tego miejsca, przeglądając szkolny prospekt, kiedy czekał w samochodzie na końcu długiego na półtora kilometra podjazdu. Z ponad dwustu pięćdziesięciorga uczniów, z których większość spożywała posiłki w sąsiedniej placówce, gimnazjum założonym przez tę samą fundację, prawie jedną trzecią stanowili pensjonariusze internatu. Czterdzieści procent ogólnego stanu to były dziewczęta, pierwszych uczniów przyjęto tu do klas szóstych na początku lat osiemdziesiątych, a dziesięć lat później otwarto nowy gmach szkoły średniej.

Kenny Parsons, który piętnaście minut temu poszedł poszukać toalety, zapukał w okno samochodu. Holland uniósł wzrok i opuścił szybę.

- Założę się, że jeśli stać cię, by posłać dzieci do tej szkoły, to byłoby cię stać również na wybulenie solidnego okupu - rzekł Parsons. - Równie dobrze te dzieciaki mogłyby nosić na plecach tarcze strzelnicze.

- Nie zezwolono by na to - odparł Holland, unosząc w dłoni broszurę. - Mają tu kategoryczne wymagania, jeżeli chodzi o ubiór.

Parsons przeniósł wzrok w stronę szkoły.

- Mają tu kategoryczne wymagania pod każdym względem.

Holland wyszedł z samochodu i rzucił broszurę na tylne siedzenie.

Ruszyli w stronę gmachu szkoły.

- Fałsz przynosi mi ujmę - powiedział.

- Słucham?

- Tak brzmi łacińskie motto w przekładzie. Kłamstwo okrywa mnie hańbą czy jakoś tak.

Parsons pokiwał głową, ale myślami błędził gdzieś indziej.

- Szóstoklasiści powinni zaraz wychodzić - powiedział.

Zakończenie zajęć tego dnia się przeciągało, uczniowie z wyższych i niższych klas wychodzili w dwunastominutowych odstępach. Pracujący w dwuosobowych zespołach Porter i jej trzej koledzy byli już na terenie szkoły i rozmawiali z dziećmi z klas czwartej i piątej w obecności nauczycieli i rodziców. Kiedy Holland i Parsons ruszyli w stronę głównego wyjścia ze szkoły, dołączyła do nich kolejna para funkcjonariuszy S07 i podążając tuż za nimi, przeszła przez parking, mijając tam srebrne i czarne auta osobowe: porsche, cayenne, volvo i

BMW X5. Jeden z funkcjonariuszy, chudy chłopak z Essex, cierpiący na jakieś kłopoty ze skórą, nachylił się w stronę przyciemnionej szyby mijanego właśnie lexusa i spróbował zajrzeć do środka.

- Co robią ci ludzie? - zapytał.

Holland, Parsons i inni zatrzymali się na dziedzińcu przed drewnianymi drzwiami, które otworzyły się na oścież, gdy ze środka zaczęli wychodzić pierwsi uczniowie.

Jak wszyscy funkcjonariusze pracujący przy tej sprawie; cała ta czwórka była ubrana po cywilnemu, w płócienne spodnie i luźne kurtki, koszulki polo i marynarki. Równie dobrze mogli być nauczycielami albo nawet w jednym lub dwóch wypadkach studentami, którzy pozbyli się mundurków. Parsons najwyraźniej wciąż zastanawiał się nad pytaniem kolegi, obserwując wylewającą się z gmachu falę uczniów, i tak, by można go było usłyszeć pośród gwaru, powiedział:

- Cóż, wątpię, aby było wśród nich wielu gliniarzy. Nie spodziewam się też, aby któryś z tych dzieciaków szykował się do pracy w resorcie.

- Mają stypendia - wyjaśnił Holland. - Nie wszyscy ojcowie są potentatami naftowymi czy piłkarzami.

- To fakt - zauważył chłopak z Essex. - Dajmy na to Mullen. O ile nie był mocno skorumpowany, trudno mi sobie wyobrazić, jakim cudem było go na to stać.

Parsons wspomniał coś o poborach nadinspektora, o tym, że Mullen zarobił sporo forsy jako konsultant ochrony, ale Holland już go nie słuchał. Obserwował dwie dziewczynki, mniej więcej piętnastoletnie, które szeptały coś między sobą. Myślał o Chloe. I uznał, że choć było na to jeszcze sporo czasu, nie protestowałby, mogąc posłać córkę do takiej szkoły. I oponowałby ze wszystkich sił, gdyby kiedykolwiek wpadła na pomysł wstąpienia do policji.

Funkcjonariusze przybyli do Butler's Hall po południu w poniedziałek, pierwszego dnia, kiedy jednostka zaangażowała się w sprawę, i następnego dnia spisali kolejne zeznania, ale było zrozumiałe, że Barry Hignett chciał porozmawiać ze wszystkimi, którzy mogliby mieć coś do dodania. Poza tym do czasu, aż ludzie przetrzymujący Lukea Mullena zechcą się odezwać i poinformują policję lub rodziców chłopaka, czego konkretnie chcą, nie było nic innego do roboty.

Z uczniami rozmawiano w szkole. Powiedziano im, że Luke Mullen wciąż się nie odnalazł i że policjanci czekają, gdyby ci mieli im do przekazania coś istotnego. Dyrektor wychodził z siebie, by upomnieć ich, że zaniechanie jest równie odrażające jak kłamstwo i podobnie jak ono okrywa człowieka hańbą. Nakłaniano ich, by dzielili się z policją wszelkimi informacjami, niezależnie jak byłyby one banalne, dotyczącymi piątkowego popołudnia,

kiedy porwano Luke a.

Chłopak z Essex i jego partner oddalili się, zajmując miejsca na drugim końcu dziedzińca, ale ani do nich, ani do Hollanda i Parsonsa nie zaczęła się ustawiać kolejka gorliwych młodych informatorów. Ci nieliczni uczniowie, z którymi Holland i Parsons porozmawiali, opowiedzieli im tę samą historyjkę. Nie ulegało wątpliwości, że w ubiegłych dniach szkolne tamtamy wyrabiały nadgodziny i niełatwo było teraz odróżnić prawdę od plotek.

Jakiś chłopak zapewnił Hollanda, że Luke Mullen uciekł z seksowną starszą kobietą. Kilka sześcioklasistek zarzekło się, że widziały, jak dwa, trzy dni wcześniej Luke całował się z tą tajemniczą kobietą. Jeden z kolegów z klasy Luke a powiedział, że jego zdaniem Luke miał dziewczynę, o której nikomu nie mówił, i tylko sugerował, że zamierza gdzieś z nią wyjechać. Do Hiszpanii, a może do Francji.

Nic, co im powiedziano, nie przybliżyło ich do zidentyfikowania samochodu. Zapewne był to jednak passat, raczej granatowy niż czarny, ale częściowo zapamiętane cyfry numeru rejestracyjnego różniły się diametralnie w zależności od podającej je kolejnej osoby, która gotowa była dać się pokroić, że widziała, jak samochód z Lukiem w środku odjeżdża sprzed szkoły.

Rysopis kobiety, jaki im podano, był zbliżony do tego, jaki już mieli, a zeznania stały się mało wiarygodne, gdyż ci, którzy je składali, rozmawiali wcześniej między sobą. Była po dwudziestce. Ciemna blondynka. Bardzo chuda.

- Ale apetyczna - zauważył jeden z kolegów Lukea. - Lukę uważał, że jest niezła. Choć w sumie nie bardzo miał ją z kim porównywać, no nie?

We wszystkich przypadkach podobnych kontaktów z osobami postronnymi podkreślano przede wszystkim, że chodzi o poszukiwanie zaginionego nastolatka. Nie mówiono o uprowadzeniu, a zgodnie ze standardową regułą słowo „porwanie” w ogóle nie było wypowiedziane przez funkcjonariuszy poza Central 0 czy domem Mullenów.

Szkoła jednak była idealnym miejscem, w którym rodziły się rozmaite plotki równie często jak przypadki grypy żołądkowej czy wągrów na twarzy.

- To ta kobieta porwała Mullena, tak?

Chłopak, który dopytywał, miał piętnaście lat, rok mniej od Luke a, ale zachowywał się, jakby był ze trzy, cztery lata starszy.

- Nie wolno mi mówić o szczegółach - odrzekł Holland.

Chłopak miał starannie zaczesane włosy, idealny przedziałek i trzymał małą aktówkę. Holland domyślił się, że raczej nie był wielką gwiazdą na boisku podczas meczów rugby.

- Rozumiem.

Holland zorientował się, że najlepiej będzie, jeżeli porozmawia z chłopakiem jak z dorosłym, skoro na takiego pozował.

- Ale to ktoś, kogo bardzo chcielibyśmy odnaleźć.

- Macie jej rysopis? - spytał chłopak.

Holland wymienił spojrzenie z Kennym Parsonsem, po czym podzielił się z chłopakiem podstawowymi informacjami.

- Gdybyś mógł coś dodać...

- Chodzę na zajęcia z rysunku - rzekł tamten. - Jestem jednym z najlepszych na roku.

Holland spojrzał na niego.

- Udało mi się całkiem nieźle przyjrzeć tej kobiecie, która była z Lukiem. Gdybyście chcieli, mógłbym ją narysować.

- Postaramy się to zorganizować możliwie jak najszybciej - rzekł Holland.

Parsons zapisał nazwisko i adres chłopaka. Zadali mu jeszcze kilka pytań dotyczących tego, gdzie się znajdował w tamto piątkowe popołudnie, jak daleko stał od dziewczyny i Mullena i czy był z nim wtedy ktoś jeszcze.

- Mówi się, że to była dziewczyna Luke'a - rzucił nagle chłopak.

- Ale jakoś w to nie wierzę.

- A to dlaczego?

Holland trudno było uwierzyć, że chłopak zna się na tych sprawach, przypuszczalnie podrywał jedynie pracownice miejscowej stołówki.

- Język ciała - chłopak powiedział to jak coś oczywistego i jakby ta rozmowa z wolna zaczęła go nudzić. Miał w sobie jednak władczość i pewność siebie, które zdaniem Hollanda przydawały mu wiarygodności.

- A co z Lukiem? Jak wyglądał?

- Wydawał się szczęśliwy. W którymś momencie przeszli tuż obok mnie, on coś do niej mówił.

- Czy wiesz może...

- Niestety, nie dosłyszałem, o czym rozmawiali, ale... wyglądał na zadowolonego.

- Nie sprawiał wrażenia, jakby szedł pod przymusem? Nie wyglądał na wystraszonego czy przerażonego?

- On nie, ale ona tak.

Chłopak jakby od niechcienia machnął aktówką. Spojrzał poza Hollandem i Parsonsem w kierunku bramy szkoły, jakby wypatrywał przyjaciela.

- Wydawało się, jakby umierała ze strachu.

Thome z całą pewnością zrobił dobry użytek ze swojej karty miejskiej. Pojechał do Barking, by pomówić z detektywem inspektorem z tamtejszego Wydziału Gromadzenia Danych, po czym stracił półtorej godziny na dojazd do Finchley, by przeprowadzić rozmowę z nadinspektorem Lotnej Brygady. Obaj policjanci powiedzieli mu, że Tony Mullen był wspaniałym człowiekiem, żalowali, że przeszedł na wcześniejszą emeryturę, i współczuli, że jego rodzina stała się celem porywaczy. Jeden z nich wyznał, że zaczął zbierać datki na komendzie, ale potem przestał i oddał zebrane pieniądze, gdy uświadomił sobie, że właściwie nie wie, na jaki cel je zbierał.

Obaj przyjrzeni się liście sporządzonej przez Mullena. Żaden z nich nie pokusił się o komentarz, ale dorzucili od siebie parę historyjek, wspominając swój udział w operacjach, które zaowocowały schwytaniem i posłaniem przez Tony ego Mullena za kratki osobników, których nazwiska znalazły się na liście. Thorne słuchał z uwagą, śmiał się we właściwych momentach i zachęcał obu funkcjonariuszy, by zastanowili się, czy któraś z innych prowadzonych przez Mullena spraw mogła być w jakiś sposób związana z obecnymi wydarzeniami. Poprosił, aby podali mu nazwisko jednej lub więcej osób, które ich zdaniem należałoby sprawdzić, choćby tylko po to, by wyeliminować je z dochodzenia. Z ich inicjatywy dopisał jeszcze dwa nazwiska i miał teraz cztery na liście. Pojechał z nią później do Colindale na spotkanie zwołane w Peel Centre.

W sali odpraw na trzecim piętrze Becke House Thome spędził piętnaście minut, aby zamienić kilka słów z osobami, z którymi na co dzień pracował; wypił szybką kawę z Yvonne Kitson, która sprawiała wrażenie zapracowanej, wymienił parę dowcipów z Samirem Karimem i Andym Stoneem, którzy zapewnili go, że nikt nawet nie zauważył jego nieobecności, po czym zajrzał do gabinetu Russella Brigstocke a, na próżno łudząc się, że otrzyma od niego choćby odrobinę moralnego wsparcia.

Z kolei nadkomisarz Trevor Jesmond, zaledwie Thome stanął przed nim, dał mu jasno do zrozumienia, że nie może liczyć na dłuższą rozmowę.

- To nie zajmie dużo czasu, panie komisarzu.

- Świetnie. Jestem zavalony robotą.

Thorne pospiesznie zrelacjonował Jesmondowi postępy w sprawie Luke a Mullena. Wyjaśnił, że powinni na serio rozważyć zemstę jako motyw uprowadzenia syna Tony ego Mullena i że szukali każdego, kto mógł żywić wobec niego urazę. Jako że Jesmond znał Mullena lepiej niż inni i pracował z nim przez dobrych parę lat, nikt inny, zdaniem Thorne a, lepiej od niego nie nadawał się do tego, aby rzucić wprawnym okiem na listę potencjalnych

podejrzanych. Jeszcze przez chwilę tak mu kadził, aż w końcu stwierdził, że pochlebstwa poskutkowały.

- Oczywiście chętnie pomogę, jeżeli to tylko możliwe - powiedział Jesmond.

Thome sięgnął do kieszeni po listę.

- Oczywiście...

- Tony i Maggie przechodzą piekło...

- Odkąd ostatnio rozmawialiśmy przez telefon, dodałem jeszcze parę nazwisk.

Jesmond wstał i minąwszy Thorne a, podszedł do drzwi. Zdjął płaszcz z metalowego wieszaka.

- Porozmawiajmy o tym na zewnątrz. Mogę robić kilka rzeczy naraz.

- To nie jest długa lista...

- Jak to mawiają kobiety? Ze my, faceci, nie potrafimy poradzić sobie z kilkoma rzeczami równocześnie?

Thome nie odpowiedział i z niepokojem zarejestrował, że wąskie usta Jesmonda rozchyliły się, odsłaniając zęby w czymś, co od biedy przypominało uśmiech.

Jedną z rzeczy, które nie mogły poczekać i wymagały natychmiastowej obecności Jesmonda, była, jak się okazało, wizyta w policyjnej szkole jazdy, gdzie, w sumie nie wiadomo dlaczego, stali i patrzyli, jak adepci zaawansowanego kursu ćwiczą szybką jazdę i kontrolowane poślizgi.

Jesmond skinął na jednego z instruktorów, po czym zawołał, by przekrzyczeć ryk silników:

- Lubisz sporty motorowe, Thorne?

Thome udał, że nie słyszał, i poprosił Jesmonda, by powtórzył pytanie, zastanawiając się równocześnie, czy powinien skłamać. Patrzył, jak audi z piskiem opon wymija rozstawione na placu pachołki.

- Tylko te, w których rozbija się auta - odparł.

I na tym temat się zakończył.

Szkoła jazdy znajdowała się naprzeciw placu ćwiczeń sportowych. Gdy znudziło go patrzeć na auta sunące na pełnym gazie lub wpadające w kontrolowany poślizg, Thome spoglądał w tamtą stronę, by obserwować grupkę rekrutów biegnących truchtem po asfaltowej bieżni. Wszyscy mieli na sobie jednakowe granatowe dresy, ale niewielu z nich wyglądało na urodzonych sportowców. Większość sprawiała wrażenie, jakby wolała raczej brać udział w tłumieniu zamieszek albo operacji uwalniania zakładników z zajętego obiektu.

- Tony Mullen miał całkiem przyzwoite wyniki, jeżeli chodzi o chwywanie

przestępców - rzekł Jesmond. - W porównaniu z innymi, których znam. Ale wiesz równie dobrze jak ja, że większość bandziorów, których wsadzamy za kratki, traktuje schwytanie jako nieodłączny element swojego fachu. Nie traktują tego osobiście. Gdyby mieli mścić się na każdym gliniarzu, który kiedykolwiek ich dorwał, nie mieliby już czasu na nic innego.

Thome zgadzał się z tym, ale równie dobrze zdawał sobie sprawę z tego, że wobec niektórych ta reguła się nie sprawdzała. Zwłaszcza wobec tych, którzy posuwali się do zabójstwa. Byli wśród nich tacy, dla których złapanie było czymś więcej niż ryzykiem zawodowym i których reakcje, kiedy ich schwytano i kiedy nie mogli już dawać upustu swoim mrocznym żądom, były dalekie od przewidywalnych.

Kiedy Jesmond znów się odezwał, stało się jasne, że wyraz twarzy Thorne a raz jeszcze zdradził, o czym myślał.

- Oczywiście są też świry - ciągnął Jesmond - i wiem, że miałeś w ostatnich latach do czynienia z kilkoma. Ale możemy ich skreślić, bo większość z nich kończy w miejscu, skąd już nigdy nie wyjdą na wolność.

Większość z nich.

W umyśle Thorne a pojawiło się kilka nazwisk i twarzy.

Nicklin, Foley, Zarif...

- Thome?

Thome pokiwał głową, nie do końca pewny, o co go - zapytano. Na prawo od niego zabłocona furgonetka więzienna przejeżdżała przez myjnię. W kolejce za nią stały trzy następne.

- No dobrze, rzućmy okiem na tę twoją listę - rzekł Jesmond.

Thorne podał mu kartkę i czekał.

- Nawet przez chwilę nie pomyślałbym o Billym Campbellu. - Jesmond wskazał palcem jedno z nazwisk. - To dupek. Zapowiadał każdemu gliniarzowi, sędziemu i strażnikowi więziennemu, z jakim się zetknął, że się na nich zemści. Lubił strzępić jęzor, ale kończyło się zawsze tylko na pogrózkach.

Campbell to było jedno z dwóch nazwisk dopisanych tego ranka. Thome nie miał czasu, by sprawdzić je w systemie.

- A co z innymi? - zapytał.

- Nigdy nie słyszałem o Wayne Anthony Barberze.

Drugie nowe nazwisko.

- Poszedł siedzieć za dwa oskarżenia o gwałt w dziewięćdziesiątym czwartym. Lubił grozić swoim ofiarom śrubokrętem. W pokoju przesłuchań rzucił się nawet na Mullena.

Jesmond wzruszył ramionami i wskazał dwa nazwiska na szczycie listy.

- Te podał ci Tony Mullen?

Thome mruknął, że tak.

- W sumie wcale mu się nie dziwię. Cotterill i Quinn to prawdziwe bydlaki.

Wyciągnął rękę i machnął kartką, oddając ją Thome owi.

- Ale ta sprawa nie pasuje do żadnego nich.

- Harry Cotterill w osiemdziesiątym dziewiątym wziął na zakładnika kasjerkę ze spółdzielni mieszkaniowej...

- To nie to samo. Ci dwaj nie są porwaczami.

- Ale mogą znać odpowiednich ludzi.

- Jakoś mi to nie pasuje.

- Tak czy owak obaj są na wolności.

Thome wziął kartkę, złożył i wsunął do kieszeni.

- Może jednak warto im się przyjrzeć?

- Zapytałeś mnie o zdanie - rzekł Jesmond. - To dochodzenie S07, więc decyzję i tak musi podjąć Barry Hignett.

Thome wziął głęboki oddech przesycony wonią spalin i palonej gumy. Podziękował, choć w sumie nie było za co.

Później, kiedy Holland zobaczył go w grupie rówieśników, zrozumiał, że ten chłopak się wyróżnia, że to na nim się skupia wzrok, niezależnie z kim w danej chwili przebywa. To jego wygląd zwracał uwagę i jego butna postawa w rodzaju „patrz na mnie, jeżeli chcesz”. Pewność siebie. Naturalnie, wielu z nich ją miało, to było związane z mundurkiem, akcentem i świadomością, że jeżeli nie wydarzy się jakaś katastrofa, będzie im się powodziło całkiem nieźle. Ten chłopak natomiast był inny, wyglądał, jakby o tym wiedział, ale ani trochę o to nie dbał.

Holland i Parsons rozmawiali z grupą dziewcząt. Szesnastoletnich i siedemnastoletnich, pewnych siebie na inny sposób niż ich męscy rówieśnicy. Odpowiadały skrętnie na pytania i same też je zadawały. Flirtowały i śmiały się. Holland także się śmiał, świadom, że niektóre dziewczęta są wyjątkowo atrakcyjne i zdają sobie z tego sprawę. Patrzył, jak odchodzą, po czym odwrócił się, by ujrzeć Parsonsa przyglądającego mu się z drwiącą, ponurą miną i uniesioną brwią.

- Spokojnie, tygrysie...

- Nie bądź idiotą! - uciął Holland, przypominając sobie, że Thome powiedział dokładnie to samo, dokładnie w taki sam sposób, kiedy niedwuznacznie napomknął o

detektyw inspektor Porter.

Zaraz potem odwrócił się w stronę drzwi szkoły i zobaczył tego chłopaka. Był z trzema innymi, nie najwyższy, nie z przodu, a jednak zwracał uwagę. Powiedział coś, a inni się śmiali, i Holland zorientował się, że tamten jest ich przywódcą. To wokół niego kręcili się inni chłopcy.

Kiedy grupa podeszła bliżej, Holland zwrócił uwagę na drobne zmiany w jego wyglądzie, chłopak zmienił strój szkolny na taki, w jakim chodził po ulicy. Krawat był poluzowany, węzeł zsunięty, włosy przeczesane palcami sterczały na wszystkie strony, a kiedy dłoń przestała manipulować z boku głowy, u dołu lewej małżowiny usznej chłopaka uwidocznił się złoty krzyżyk. Holland patrzył na kolczyk. Było w tym coś znajomego, coś istotnego.

Parsons wyciągnął rękę, przywołując grupę do siebie.

- Rozmawiamy ze wszystkimi, którzy mogli widzieć, co się stało w piątek po południu z Lukiem Mullenem.

Były wzruszenia ramion i przebieranie stopami. Kilka par oczu skupiło wzrok na chłopaku z kolczykiem.

- Przypuszczalnie właśnie wtedy wychodziliście ze szkoły - rzekł Parsons. - Może któryś z was widział, jak Lukę Mullen wsiadał do samochodu.

Chwila przerwy, a potem zaczęły się odpowiedzi, zrazu nieporadne, potem coraz śmielsze.

- Sporo dzieciaków wsiada do samochodów...

- Ja w zeszły piątek grałem w rugby...

- Było zebranie w sprawie przyszłorocznego wyjazdu na narty...

- Nie sądzę, abyśmy mogli panu pomóc.

Odpowiadając jako ostatni, chłopak z kolczykiem mówił z dziwnym, niemal śródatlantyckim akcentem, który Holland słyszał u wielu uczniów. Akcentował końcówkę każdego zdania, jakby były one pytaniami skierowanymi do kogoś, kto powinien znać odpowiedź. Mówił za trzech pozostałych, a Holland zauważył, że tamci ochoczo mu na to pozwalali.

To właśnie z nim chcieli przebywać, kumplować się, takiego przyjaciela pragnęli. Holland przypomniał sobie młodego artystę z aktówką, z którym rozmawiali wcześniej. Ten chłopak był jego kompletnym przeciwieństwem i miał to, czego tamtemu brakowało i czego zapewne gorąco pragnął.

Holland, jeżeli chodzi o ścisłość, nie utożsamiał się ani z jednym, ani z drugim.

Dwadzieścia lat temu w szkole średniej w Kingston starał się trzymać z dala od wszelkich skrajności. Pochylona głowa, bolesna anonimowość.

Czterej chłopcy zaczęli się już oddalać, ale Kenny Parsons szybko podążył za nimi i ich zatrzymał.

- Chwileczkę, chłopcy, jeszcze nie skończyliśmy.

- Jeszcze nie? - spytał ten z kolczykiem.

- Zaginął jeden z twoich kolegów.

- Prawie go nie znałem.

Jeden z pozostałych wybuchnął śmiechem. Ten z kolczykiem spojrzał na niego z ukosa i z miejsca go uciszył.

- A więc nie jesteście z tej samej klasy?

- Zgadza się. Nie jesteśmy.

- Ten sam rocznik?

- To też się zgadza. Ale nie rozumiem, w czym miałoby to wam pomóc.

Znów postąpił krok naprzód, zarzucając teczkę na ramię i zмирzając w stronę głównej drogi. Holland patrzył, jak chłopak i jego koledzy odchodzą. W twarzy chłopaka było coś znajomego, coś ważnego. Myślał o sposobie, w jaki tamten zwracał się do Parsonsa, o tym, jak patrzył na funkcjonariusza policji. Czarnego funkcjonariusza policji...

- Arogancki gnojek - warknął Parsons.

To był nagły impuls, jak wstrząs, gdy samochód podskoczy na wybrzuszeniu na asfalcie, i Holland doznał olśnienia. Krzyżyk w uchu. Twarz, którą już wcześniej widział.

- Myślałem, że te bogate dzieciaki są lepiej wychowane.

Holland pokiwał głową; właśnie o to chodziło i jeżeli miał rację, słowo „arogancki” było w wypadku tego chłopaka zbyt słabym określeniem.

Chłopak z kolczykiem mógł sobie pozwolić na taką pewność siebie. Było to związane z mundurkiem i akcentem, bez dwóch zdań, ale również z faktem, że ludzie oceniają charakter danej osoby, oszacowując siłę, z jaką się ona wypowiada czy patrzy na innych. Większość wierzyła w to, co w taki sposób było im przekazywane.

Holland zatrzymał następnego chłopaka, który go mijał, i wskazał na tego ze sterczącymi włosami. Zadał pytanie i w odpowiedzi poznał nazwisko. A potem patrzył, jak Adrian Farrell odwraca się, by na nich spojrzeć, i wolnym krokiem schodzi w dół podjazdu, jego sterczące blond włosy wciąż jeszcze były widoczne, gdy reszta sylwetki wtopiła się w falę anonimowej szarości i granatu.

Chłopak mógł sobie pozwolić na taką pewność siebie, bo liczył się wrażenie, jakie się

wywiera na innych. A funkcjonariusze policji, tak jak wszyscy inni, mieli skłonność do podejmowania mylnych osądów i wysnuwania błędnych przypuszczeń.

Thome, choć wolał cierpieć w milczeniu, niż się skarżyć, ostatnio zbyt często stękał i pojękiwał w głos, a Carol Chamberlain, jeżeli była w dobrym humorze, umiała go słuchać. Zaczął skarżyć się jej przez telefon na bolące plecy, na to, że przeniesiono go do Jednostki ds. Uprowadzeń, i na to, że jedyny trop najwyraźniej prowadził w ślepią uliczkę. Carol Chamberlain nie była w dobrym humorze.

- Powinieneś pójść z tym do kogoś.

- Do psychiatry?

- To też, ale mówię o twoich plecach. Przestań narzekać i idź do lekarza.

Po rozmowie z Jesmondem Thome wrócił do Becke House i przepuścił dwa najnowsze nazwiska z listy przez policyjną bazę danych. Billy Campbell zgodnie z najświeższymi informacjami przechował w Szkocji, w zamkniętym ośrodku odwykowym dla uzależnionych od narkotyków i alkoholu. Wayne Barber w końcu użył śrubokrętu i odsiadywał dożywocie z możliwością ubiegania się o przedterminowe zwolnienie dopiero po dwudziestu pięciu latach w Zakładzie Karnym Wakefield. W ten sposób pozostała znów tylko pierwotna dwójka, a Jesmond jasno się wyraził, że jego zdaniem sprawdzanie ich byłoby stratą czasu.

Thome czuł się jak chomik biegający w kołowrotku, kupił kanapkę w kantynie i wrócił do sali odpraw. Zastanawiał się, do kogo mógłby zadzwonić i pożalić się, jedząc lunch.

Byłą nadinspektor Carol Chamberlain znał już od kilku lat. Była po pięćdziesiątce, kiedy przywrócono ją do służby z emerytury i wcielono do niewielkiej jednostki zajmującej się dawno zamkniętymi sprawami, w skład której wchodziła wyłącznie emerytowani funkcjonariusze. Wydział Spraw Zamkniętych nazywano złośliwie wydziałem geriatrycznym.

Chamberlain na pewno nie była stetryczalą staruszką. Thome wiedział, że potrafi być uszczypliwa i lepiej nie nadeptywać jej na odcisk, ale rok temu był świadkiem, jak odsłoniła swoje mroczne wnętrza i dała upust wściekłości, która mogła pochłonąć ich oboje. Kiedy ten mroczny cień się rozwiął, oboje zabrali się do swoich obowiązków orzeźwieni i choć dostali to, czego chcieli, cena, jaką zapłacili, była wysoka. Gdyby nie tych kilka minut w paszczy szaleństwa, o których nigdy dotąd nie mówili, nie odnaleźliby człowieka odpowiedzialnego za podpalenie nastoletniej dziewczynki. I choć Chamberlain nigdy się o tym nie dowie, być może ojciec Thome a wciąż jeszcze by żył.

Była jego przyjaciółką, ale jak większość ludzi, których Tom Thome szanował, trochę go przerażała.

- Może powinienem zadzwonić później - rzekł. - Na pewno masz teraz inne, ciekawsze zajęcia w rodzaju odrobaczania kota, rozwiązywania krzyżówki czy czegoś takiego.

- Jak ty coś palniesz... Po prostu nie chcę słuchać twojego biadolenia.

- Zadzwoniłem do ciebie, bo od czasu do czasu zdarza ci się dobrze mi doradzić w tej czy innej sprawie.

- Zgadza się, a poza tym znam Toma Mullena.

- Słucham?

Thome odłożył kanapkę.

- Nie wiedziałeś?

- Gdybym wiedział, zadzwoniłbym od razu. Od jak dawna go znasz?

- Pracowałam z nim w Urzędzie Śledczym do spraw Kryminalnych w Golders Green, dwanaście czy trzynaście lat temu. Był wtedy detektywem sierżantem, a może właśnie miał dostać awans. Kiedy przechodziłam na emeryturę, dochrapał się akurat nadinspektora, o ile dobrze pamiętam.

Thome sięgnął po kartkę papieru i zaczął robić notatki.

- No i...?

- Był... całkiem przyzwoity, tak uważam. Moim zdaniem uczciwy, ale to o niczym nie świadczy. Przez lata zdarzyło mi się kilka razy pomylić co do niektórych ludzi.

- A co powiesz o tych nazwiskach? Cotterill i Quinn.

Thome usłyszał w tle dźwięki muzyki klasycznej. Jack, mąż Carol, miał dobry gust.

- Wiem, że nie to chciałbyś usłyszeć, ale uważam, że Jesmond może mieć rację. Nie wydaje mi się, by któryś z tych dwóch mógł być odpowiedzialny za to porwanie. - Przerwała.

- Nie sądzę, by ktokolwiek wspomniał o Grancie Freestonie, zgadza się?

- A należałoby?

Thome zapisał to nazwisko.

- Cóż, może nie wszyscy je znają, ale dziwię się, że jego nazwisko się nie pojawiło.

- Zamieniam się w słuch.

- Freestone w latach dziewięćdziesiąt trzydziesięciu cztery napastował seksualnie kilkoro dzieciaków. Zarówno dziewczynki, jak i chłopców, chyba nie był zbyt wybredny. Trzymał je w garażu przy domu.

Trzymał je...

Thome próbował odegnąć od siebie wizję worka zakładanego na głowę chłopca.

- Zajmowałam się krótko tą sprawą - kontynuowała Chamberlain.

- Ale Tony Mullen owszem i chyba nawet on dokonał aresztowania. Było powszechnie wiadomo, że sprawa zrobiła się śliska, bo Freestone, odkąd został aresztowany, do chwili, kiedy trafił za kratki, nieraz mu się odgrażał.

- Groził Mullenowi?

- Może również innym, ale na pewno Mullenowi. Byłam jednego dnia w sądzie i pamiętam spojrzenie, jakie mu posłał Freestone, bardzo agresywne, ale... cóż, nadal to pamiętam, więc...

- Dzięki, Carol. Sprawdzę to.

Milczała przez sekundę lub dwie, po czym muzyka przycichła.

- Pozwól, że ja to zrobię.

Thome wolno podkreślił nazwisko Freestone a.

- Myślałem, że, no wiesz, musisz odrobaczyć kota.

- Nie słucham cię. A na serio, Tom, czemu nie pozwolisz mi, abym ci choć odrobinę pomogła?

Thome usłyszał nagłą zmianę w głosie Chamberlain. Praca, jaką wykonywała w Wydziale Spraw Zamkniętych, była nieregularna i zazwyczaj frustrująca. Wiedział, jak bardzo chciała czuć się potrzebna, jak bardzo pragnęła znów zająć się jakąś sprawą. Jakąkolwiek. Wiedział przy tym, że miała spore kontakty i była naprawdę niezła. Mogła wspomóc go wskazówkami, których nie znajdzie, szperając w policyjnym archiwum komputerowym.

- Poza tym Jack od lat cierpi na bóle pleców - rzekła. - Ma jakąś fantastyczną maść, którą naciera się na noc. Mogę ci ją przywieźć, kiedy spotkamy się następnym razem.

- Dzięki.

- W ten sposób zyskasz podwójnie.

Thome pomyślał o nagraniu wideo i mężczyźnie ze strzykawką. Zastanawiał się, czy mógł to być ten sam człowiek, którego twarz Carol Chamberlain zapamiętała z tamtej wizyty w sądzie przed dwunastu laty. Człowiek, który już wcześniej porывał dzieci. Jedną ręką sięgnął po odłożoną kanapkę. Drugą ujął długopis i zaczął gryzmolić na kartce.

Raz po raz otaczał nazwisko mężczyzny atramentową obwódka.

Conrad

Dawno temu uświadomił sobie, że prawie wszystko sprowadza się do stawów i ryb. Do tego, jak wielką jesteś rybą i jak dużych rozmiarów jest staw, w którym pływasz. Do tego i do czasu, rzecz jasna. Stwierdził, że czas był czymś bardzo dziwnym i mógł zawrócić w głowie.

Oczywiście nie czytał książki na temat czasu napisanej przez tego faceta w wózku inwalidzkim, który mówił przez skonstruowane przez siebie urządzenie i brzmiał jak Dalek. Gdyby nawet przeczytał i tak by nie zrozumiał, to akurat wiedział, ale był przekonany, że to byłoby bardzo ciekawe. Czas nigdy nie przestawał go zdumiewać, a zwłaszcza to, jak pogrywał z ludźmi. Zawsze wydawało mu się, że wraca skądś szybciej, niż tam jechał. Pierwszy tydzień letnich wakacji zdawał się ciągnąć w nieskończoność, a drugi przelatywał, jak z bicia trzasnął, i zanim skóra zaczynała schodzić, już było po wszystkim. Albo to, jak czas włókł się bez końca, kiedy czekał, aż coś się wydarzy.

Wydawało się, że minęło zaledwie pięć minut, odkąd Amanda paradowała przed nim tanecznym krokiem, wypinając cycki. Odkąd pozwalała mu robić ze sobą, co chciał, za kilka bacardi breezers i obietnicę drobnej przysługi. Pięć minut... sześć miesięcy... nieważne... a teraz faszerowali dzieciaka prochami i siedzieli, czekając, aż coś się wydarzy.

Szczerze mówiąc, czuł się szczęśliwy, kiedy robili to, czym zajmowali się wcześniej. To było łatwe - wejście i wyjście - a jeżeli ktoś przy tym ucierpiał, to tylko dlatego, że sam się o to prosił. Ludzie, którzy byli na tyle głupi, by silić się na bohaterstwo - dla pieniędzy należących do pieprzonego Esso czy Bóg wie kogo - jego zdaniem zasługiwali, by im dokopać.

Ale tym razem było inaczej. Brakowało ikry, czegoś, co sprawiało, że czuł, iż zasłużył na to, co dzięki temu zarobi. Budziło zawstydzenie jak coś, czym mógł zajmować się ciota albo mięczak. To było przestępstwo dla słabeusza.

Może poczuje się inaczej, kiedy oboje będą siedzieć gdzieś w ciepłym miejscu, wydając szmal. Może wtedy zdoła zapomnieć, w jaki sposób go zdobyli. Taką miał przynajmniej nadzieję.

Amanda była w kuchni. Pewnie robiła tosta z serem, prażoną fasolę albo coś takiego. Wciąż mu powtarzała, że powinni żyć na maksa, kiedy już dostaną pieniądze, pójść gdzieś, gdzie będą odźwierni i fotografowie. Zapytał, kiedy to się stanie, powiedział, że ma już dość tej cholernej beczynności. Stwierdził, że chce, aby to już się skończyło. Odparła, że to już niedługo. Ze już wkrótce będzie po wszystkim, że to się skończy. Jego zdaniem zabrzmiało to dość posępnie. Wtedy spojrzał na chłopaka, który siedział skulony w kącie sypialni, i pomyślał, że to zabrzmiało naprawdę przerażająco...

To było jakiś czas temu. Kilka godzin temu. Może nawet przed kilkoma dniami. Czas się ociągał. Ślimaczył jak jakiś cholerny frajer, który wie, że czeka go solidne lanie.

Wiedział, że to jego wina. Ze miał okazję, by już na samym początku powiedzieć „nie”, stwierdzić wprost, że to głupi pomysł. Nie mógł zrzucić odpowiedzialności za to

wszystko na Amandę, ale nie podobało mu się to.

Czekanie i niepewność.

I wrażenie, że jest bardzo małą rybką.

6

Niemal każdy centymetr kwadratowy bladozielonej tapety pokrywały plakaty: drużyny Spurs rocznik 5, ze Steve'em Perrymanem z przodu trzymającym piłkę; futurystyczny pejzaż Rogera Deana; tenisistka oddalająca się od obiektywu, drapiąca się w goły pośladek. W rogu pokoju, na półce leżącej na dwóch ceglach ekskluzywnie wielopłytowe edycje Bowiego i Deep Pupie stały otwarte i oparte o głośniki. Książki i sterty czasopism walały się po starym stole wniesionym na górę z kuchni i pełniącym tu funkcję stolika: „Melody Maker”, „New Musical Express”, „Shoot!”, Szczęki, Rydwany Bogów, kilka wyświechtanych powieści Svena Hassela w broszurowej oprawie. Kalendarz Jilly Johnson i tarcza do rzutków na ścianie przy oknie...

Thome zamrugał i ponownie spojrzął na te nowsze ściany. Gładkie, blade, w kolorze orchidei.

Były tam reprodukcje starych map, planów architektonicznych z wykwintną francuską kaligrafią, plakaty wystaw w V&A i Tate Modem. Niektóre zawieszono w prostych antyramach, inne zaś przypięto do ściany pinezkami. Stojąc pośrodku sypialni jakże innej niż ta, która kiedyś była jego, Thome stwierdził, że to, co powiedział dzień wcześniej Parsons, było absolutną prawdą: Luke Mullen na pewno nie był typowym szesnastolatkiem.

Podszedł do eleganckiego biurka z metalu i szkła i zdziwił się, kiedy ujrzał przypięty z boku przy innych papierach dziennik Arsenалу. Sięgnął po niego zaskoczony i jakby odetchnął z ulgą, że chłopak, choć z pewnością zbłądził, jeżeli chodziło o wybór drużyny, której kibicował, miał przynajmniej jedną pasję, z którą Thome mógł się identyfikować. Przejrzał kilka pierwszych stron i stwierdził, że dziennik zawierał głównie prace domowe chłopaka.

Na szklanym blacie, gdzie wcześniej stał laptop Lukę a, zebrał się kurz. Technicy pracowali nad twardym dyskiem, usiłując dogrzebać się do czegoś, co mogło zostać tam ukryte przez kogoś znajdującego się na rzeczy. Ale jak ustalili do tej pory, nie było tam żadnej znaczącej korespondencji mailowej, nic, co mogłoby wskazywać, że Lukę do kogokolwiek się wybierał. Nie spędzał czasu w czatroomach ani najwyraźniej nie utrzymywał kontaktów z żadną poznaną niedawno przez internet osobą.

Niewiele więcej uzyskano, analizując połączenia komórkowe. Lukę miał komórkę ze

sobą, kiedy zniknął, nie można więc było sprawdzić jego listy kontaktów, ale zapis rozmów i SMSów otrzymany od firmy telefonicznej nie ujawnił niczego, co mogłoby wydawać się istotne. Lukę wydzwaniał najczęściej do siostry.

Thome spojrział na prostokąt kurzu świadczący o braku czegoś i na chwilę wstrzymał oddech. Wyobraził sobie młody, czujny umysł, pełen myśli, walczący, gdy narkotyk zaczął go otumaniać, kiedy powieki zaczęły robić się ciężkie i opadać, a myśli pograżać się w wilgotnej mgle. Gęstej i czarnej jak atrament...

Obciągnął rękaw kurtki, ujął go między palcami i nachylił się, by zetrzeć ślady ze szkła.

- Tu go pan nie znajdzie.

Thorne odwrócił się, by ujrzeć Juliet Mullen stojącą w progu pokoju brata. Strzepnął szare ślady kurzu z rękawa.

- Właściwie znalazłem go i to nawet dość sporo - powiedział.

Dziewczynka przewróciła oczami i minąwszy go, weszła do pokoju. Najwyraźniej nie wywarł na niej dobrego wrażenia i nie miała ochoty na rozmowę nie wiadomo o czym. Oparła się o ścianę plecami i osunęła po niej, aż usiadła na szarym dywanie.

- A więc...?

Thorne rozejrzał się dokoła, po czym przeniósł wzrok na Juliet.

- Cóż, Lukę był z całą pewnością schludny.

- Nic panu nie umknie, prawda?

- Jestem detektywem.

- Może pan to jakoś udowodnić?

- Zdałem egzaminy.

- Chyba musieli mocno zaniżyć kryteria i poziom niezbędnego minimum.

Nie uśmiechała się, ale Thome wyczuł, że za wystudiowaną pozą znudzenia i irytacji kryło się coś odwrotnego, ta słowna przekomarzanka sprawiała jej przyjemność. Miała długie włosy, równie czarne jak kreski wokół oczu, bluzę dresową z kapturem i workowate dzinsy. Skejtowska moda, tak się to chyba nazywa, pomyślał Thome. A może grunge albo jeszcze inaczej. Już miał ją zapytać, jednak stwierdził, że to nie najlepszy pomysł.

- Co było na tej taśmie? - spytała nagle dziewczyna.

Thome potrzebował chwili, aby zorientować się, o co jej chodzi, i aby zdecydować, że nie odpowie.

- Mama i tata oglądali ją dziś rano, zanim zadzwonili do Porter. Tylko raz, ale chyba to wystarczyło. Mnie nie pozwolili tego obejrzeć. I nie chcieli później o tym mówić, więc...

- Więc?

- Więc... pomyślałam, że nie zaszkodzi zapytać.

Thome patrzył, jak podciągnęła kolana, wciskając się w kąt pokoju. Mimowolnie przypomniał mu się wczorajszy wieczór z Philem Hendricksem. Zarówno wtedy, jak i teraz dostrzegał ukryte pod pozą ból, i tęsknotę, udrękę tuszowaną ciętymi ripostami. W sumie nie zaszkodziło jej powiedzieć.

- Luke. Na nagraniu był Luke.

Pokiwała głową, jakby tylko potwierdził jej przypuszczenia. To był dojrzały gest, przepełniony zdecydowaniem, ale chwilę później drzenie ust ponownie zmieniło ją w dziecko.

- Co powiedział? Mówił coś?

- Juliet, nie mogę...

- Po tym, jak obejrzelisi nagranie, długo płakali. Oboje. Mówili, że nic się nie stało, co było moim zdaniem kompletnie bez sensu. Bo przecież widziałam, co to było, kapuje pan. Przecież nie podejrzewałam, że oglądają pomo o dziewiątej rano.

- Nie chcieli cię denerwować - rzekł Thome.

- No jasne. To genialne. Teraz cały czas myślę tylko o tym, co mogło być na tej taśmie. Co ten ktoś, kto porwał Luke a, może mu robić. I jak bardzo on może teraz cierpieć.

- Radzi sobie całkiem dobrze. Naprawdę.

- Proszę zdefiniować „całkiem dobrze”.

Thome wziął głęboki oddech.

- „Całkiem dobrze”, czyli świetnie się bawi? - Zaczęła skubać palcami dywan. - Czy „całkiem dobrze” w znaczeniu jeszcze oddycha?

To było najtrudniejsze pytanie, jakie Thomeowi postawiono od dłuższego czasu.

- Nikt go nie krzywdzi.

Oparła głowę na kolanach. Kiedy znów ją uniosła, piętnaście czy dwadzieścia sekund później, po jej twarzy ściekły łzy, rozmazując tusz do rzęs.

- Jest ode mnie starszy o rok z kawałkiem, ale czasami mam wrażenie, jakbym to ja była od niego starsza.

Wodziła wzrokiem po całym pokoju, jakby szukała czegoś na potwierdzenie swoich słów.

- Pod wieloma względami musiałam się nim opiekować. Rozumie pan, co mam na myśli?

Thome podszedł i usiadł na brzegu łóżka. Kołdra była granatowa i starannie złożona.

Lukę prawdopodobnie sam pościelił łóżko przed pójściem w piątek do szkoły.

- Tak, myślę, że tak - powiedział.

Pociągnęła nosem.

- Cholerny wrzód na tyłku...

Cisza, jaka potem nastąpiła, była zapewne bardziej nieprzyjemna dla dziewczyny niż dla Thornea. Nie minęło pół minuty, jak ponownie wstała.

- No dobra... - sapnęła, jakby dźwigała na swoich barkach spore brzemię.

Thome też się podniósł. Przekrzywił głowę w stronę drzwi i reszty domu.

- Dobrze, że... wszyscy jesteście ze sobą... tak blisko. W takich chwilach jak ta...

Juliet Mullen pokiwała głową i odgarnęła włosy za uszy.

- O co się pokłócili?

Thome podszedł do biurka i spojrział na zdjęcie przypięte do korkowej tablicy powyżej: Lukę siedzący na ramionach ojca, wybałuszone oczy za szklami pomarańczowych gogli pływackich, obaj uśmiechający się jak głupi do sera, a wokół nich promienie słońca odbijające się od błękitnych fal.

- Lukę i twój tata, w zeszły piątek rano.

- O jakieś głupstwo związane ze szkołą.

- Pracę domową?

- O to, że Lukę nie wszedł do drużyny rugby czy czegoś takiego. W sumie nic wielkiego.

- Zdaniem twojego ojca, niestety, było inaczej.

- To przez to, co się stało. Czuje się winny. Bo kiedy ostatni raz widział Luke a, krzyczeli na siebie nawzajem.

Postąpiła krok w stronę łóżka i wygładziła narzutę w miejscu, gdzie siedział Thome.

- Lukę źle się z tym czuł, już zanim doszliśmy do szkoły. Powiedział mi, że zamierza przeprosić za to, kiedy tylko wróci do domu, miał wyrzuty sumienia, że tak go poniosło, uważał, że to jego wina.

- A była? - spytał Thome.

- Nawet nie pamiętam. To było głupie, bo oni nigdy się nie kłócili. Są ze sobą naprawdę blisko. Zupełnie jak stereotyp relacji ojciec i syn, no wie pan?

To zabrzmiało jak pytanie, jakby upewniała się, czy Thome wie, o co jej chodzi.

- Tak.

- To na razie.

Thome odprowadził ją wzrokiem. Doskonale wiedział, o co jej chodziło, i co więcej,

wiedział już, co tak bardzo nie dawało mu spokoju w związku z tym nagraniem.

To, co powiedział Luke... albo czego nie powiedział.

Zanim wyszedł, na chwilę przystanął, kątem oka dostrzegając, że róg jednego z plakatów przy drzwiach się odkleił, i gdy wyciągnął rękę, by ponownie go przykleić, dostrzegł pod nim jakiś napis. Spojrzał na słowa, drobne staranne litery napisane czarnym tuszem na tapecie. Surowa sekretna litania frustracji, zniecierpliwienia albo gniewu.

Spierdalać

Spierdalać

SPIERDALAĆ!

Ze szkoły Holland pojechał wprost do Central 0, gdzie znalazł wolne biurko na uboczu. Potrzebował pięciu, dziesięciu minut, by pozbierać myśli, uzyskać dostęp do głównego systemu komputerowego policji i przejrzeć odpowiedni materiał. Dopiero kiedy to zrobił, kiedy nabrał pewności, że naprawdę wpadł na coś istotnego, zadzwonił do Becke House, by porozmawiać z Yvonne Kitson.

- Jak leci śledztwo w sprawie porwania, Dave?

- Świetnie.

- Stęskniłeś się za nami?

- Szefowo, muszę pomówić z panią o zabójstwie Amina Latifa.

Minęło ponad pół roku, odkąd osiemnastoletni Azjata, student inżynierii w miejscowym college u, został zakatowany na śmierć przez trzech białych nastolatków na przystanku autobusowym w Edgware. Z oczywistych powodów śledztwu nadano najwyższy priorytet, ale pomimo nagłośnienia w mediach, szeroko zakrojonych poszukiwań, a nawet świadka, który podał szczegółowy rysopis głównego napastnika, dochodzenie utknęło w martwym punkcie.

W martwym punkcie, ale sprawa wciąż pozostała newralgiczna. I budziła silne emocje.

Russell Brigstocke nominalnie był starszym rangą oficerem dowodzącym, ale na co dzień bieżącymi kwestiami zajmowała się Yvonne Kitson. Poza tym to była jej sprawa i - co się z tym wiązało - także jej porażka. Od momentu, kiedy po raz pierwszy spojrzała na ciało chłopaka, na okrwawioną dłoń leżącą kłykciami do dołu w kałuży, na żółtej podwójnej ciągłej, wiedziała, że nigdy nie zapomni tej śmierci, niezależnie, czy uda jej się schwytać sprawcę, czy nie. Tak to już bywało ze zbrodniami z nienawiści. A zabójstwo Amina Latifa z całą pewnością zostało podyktowane nienawiścią.

Natychmiast poświęciła Hollandowi uwagę.

Powiedział jej, że widział siedemnastolatka, ba, rozmawiał z siedemnastolatkiem, który do tego stopnia przypominał głównego podejrzanego w sprawie o morderstwo, iż nie wolno było tego zlekceważyć. Kiedy opisał chłopaka, z którym godzinę czy dwie godziny temu rozmawiał wraz z Parsonsem, spojrzął na rysunek - wydrukował go z policyjnej bazy danych. Na portret pamięciowy sporządzony na podstawie opisu podanego przez przyjaciela Amina Latifa, również studenta, który był obecny na miejscu zdarzenia w chwili ataku, ale udało mu się ująć z życiem, choć przypłacił to kilkoma połamanymi kośćmi i sześcioma miesiącami nocnych koszmarów. Ten portret nie zgadzał się w stu procentach z obrazem, jaki zapamiętał Holland: jasne włosy były proste i przylegały gładko do czaszki i mogły tak wyglądać tamtej październikowej, deszczowej nocy, kiedy lało jak z cebra. Ale poniżej linii włosów wszystko się zgadzało.

To była twarz Adriana Farrella.

- Cholera... cholera!

Ten okrzyk zdumienia poprzedził dużo dosadniejszy wybuch. Ale gniew był skierowany przeciwko niej samej.

- Butler's Hall?

- Wiem. Kto by pomyślał?

- My powinniśmy byli - ucięła Kitson. - My powinniśmy byli o tym pomyśleć.

Butler's Hall znajdowała się o parę kilometrów od ulicy, gdzie zginął Amin Latif, ale dość blisko, wewnątrz ciasnego czerwonego kręgu, który został nakreślony na mapie w sali odpraw. Mieścił się w granicach przeczesywanego obszaru. Zapewne w pobliżu rozwieszono były plakaty z prośbą o pomoc, a sporo tamtejszych uczniów mieszkało w domach, do których zapukali funkcjonariusze policji prowadzący czynności w terenie. Oczywiście niemożliwe było przesłuchanie każdego ucznia w każdej szkole i college u w okolicy, ale rozmawiano z wieloma, choć Yvonne Kitson nie założyłaby się, że większość z nich chodziła do Butler's Hall. Przypuszczeń, zgodnie z ich naturą, nie wypowiedano głośno. A rasistowscy oprawcy nie chodzili do szkół publicznych.

- Jaki on był, Dave? Nie mówię o wyglądzie...

- Arogancki, agresywny. Zadufany w sobie.

- Jesteś pewien, że się nie pomyliłeś? Ze nie ma mowy o przeniesieniu? Na pewno nie próbowałeś dopasować zachowania tego chłopaka do swoich przemyśleń?

- Zaczęło mi to świtać w głowie znacznie później - rzekł Holland.

- Patrzyłem, jak ten mały gnojek odchodzi, i kiedy się odwrócił, wiedziałem, że to właśnie ten dzieciak z portretu pamięciowego. Ten dzieciak z kolczykiem.

Kitson milczała przez kilka chwil. Holland słyszał, jak piła kawę i przetykała, zastanawiając się. W nagłym przypiływie paniki uświadomił sobie, że miał okazję widzieć, jak ona, Brigstocke i inni osądzali podobne, przepełnione niezbitą pewnością oświadczenia ze strony Toma Thorne a. Miał również okazję widzieć, co było później, kiedy te rzekomo pewne przesłanki okazywały się nieuzasadnione i oparte na fałszywych założeniach.

- Może masz rację - rzekła Kitson.

Holland z westchnieniem ulgi wypuścił powietrze, które przez chwilę wstrzymywał.

- Co powinniśmy zrobić?

- O ile wiem, ty wciąż pracujesz nad sprawą porwania, ale ja chętnie rzuciłabym na niego okiem.

- Zamierza go pani zatrzymać?

- Chcę mu się najpierw przyjrzeć, aby potwierdzić twoje przypuszczenie, a potem się zobaczy.

Holland obawiał się, że rozmowa z Kitson czy kimkolwiek innym może do pewnego stopnia osłabić pewność jego przekonań, ale stało się dokładnie na odwrót. Gdy wspominał każdy szczegół rozmowy z Adrianem Farrellem, gdy opisywał, jak chłopak spojrział na Kenny ego Parsonsa, stwierdził, że jego pewność siebie przeradza się w determinację. A teraz, gdy jej wstępny gniew osłabł, usłyszał w głosie Kitson nutę rozbawienia.

Miała powód, aby czuć się podekscytowana. Oczywiście znalezienie mordercy to jedno, a skazanie go to zupełnie co innego, lecz to, co czyniło owo konkretne zabójstwo wyjątkowo odrażającym, sprawiało, że z chęcią chwyтали się każdej okazji, by móc doprowadzić do wykrycia sprawcy.

Zanim zakatowano go na śmierć, Amin Latif padł ofiarą brutalnego wielokrotnego gwałtu. Z jego ciała pobrano i zabezpieczono próbki nasienia, dzięki czemu istniała możliwość potwierdzenia DNA sprawców. W laboratorium kryminalistyki w Victorii, w specjalnej chłodni przechowywano zamrożone ślady organiczne, podwójną helisę, która mogła doprowadzić do identyfikacji zabójcy, sekwencję liter na każdym szczeblu tej miękko skręcającej się drabiny czekającą na potwierdzenie zgodności.

Na dole panowała atmosfera kiepskiej stypy po świetnym pogrzebie przypominająca desperację.

W wielu jasno oświetlonych pokojach, podczas gdy na zewnątrz zapadał zmrok, robiono co tylko możliwe, by stworzyć aurę aktywności przepełnioną rozmowami i pozorami porządku. To miało na celu zahamowanie fali posępności, która groziła, że w każdej chwili może przetoczyć się przez dom jak przerywająca wały, wezbrana, mroczna rzeka.

W domu Mullenów było ze dwanaście osób, po równo tylu samo członków rodziny i przyjaciół z jednej i funkcjonariuszy policji z drugiej strony. Thome pośród kłębow tytoniowego dymu rozmawiał z Maggie Mullen i detektywem sierżantem o niewyparzonej gębie, który opowiadał o „uprowadzeniu gangstera w Harlesden, które zakończyło się monumentalnym fiaskiem”. Przez pięć minut rozmawiał opiłce nożnej z bratem Tony ego Mullena i o niczym z drugim funkcjonariuszem oddelegowanym w charakterze łącznika z rodziną, zanim

w końcu nadarzyła się okazja, by zamienić kilka słów na osobności z Louise Porter. Podszedł do niej, gdy tylko wrócił do domu Mullenów, i przekazał jej to, czego dowiedział się od Carol Chamberlain o Grancie Freestonie. To było pół godziny temu, zanim wszedł na górę i natknął się na Juliet Mullen.

Przy pierwszej sposobności zaprowadził Porter do małego pokoiku przy kuchni.

Uśmiechnęła się.

- To dość niespodziewane...

- Wiem, co było nie tak z tym nagraniem - rzekł Thome. - Co nie dawało mi spokoju.

Porter oparła się o wysoką chłodziarkę i czekała, co on powie.

- Wszystko kieruje do swojej mamy.

- Znaczy co?

- Wszystko, co Lukę mówi na taśmie, kieruje do swojej mamy. Ani słowa do ojca.

Mam w teczce transkrypcję i sprawdziłem dokładnie. Możesz spojrzeć, jeśli chcesz...

- Wierzę ci. Mów dalej...

- „Spróbuj się nie martwić, mamo. Nie masz się czym przejmować, mamo. Wiesz, o czym mówię, mamo”. Wszystko do niej. Zupełnie, jakby się odcinał Mullena.

Porter zastanowiła się nad tym. Thome usłyszał za sobą kliknięcie, a potem szum zapalanej automatycznie piecyka gazowego.

- Może Lukę karze w ten sposób swojego ojca - zasugerowała Porter. - Za tę kłótnię między nimi.

- Wobec tego to musiałyby być naprawdę nielicha kłótnia, co? Skoro dzieciak wciąż ma mu to za złe, nawet teraz, kiedy został porwany. Kiedy jest związany i faszrowany prochami.

Thome podszedł i oparł się o chłodziarkę obok Porter. Odsunęła się trochę, by zrobić mu miejsce.

- Poza tym rozmawiałem z siostrą Luke a i ona twierdzi, że ta kłótnia to nie było nic wielkiego.

- Myślę, że za bardzo się w to angażujesz.

Thome wzruszył ramionami, rozważając tę ewentualność.

- Jak sam powiedziałaś, chłopak ma kłopoty. Więc zapewne masz rację. Może nie przejmuje się już sprzeczką z ojcem, ale to całkiem normalne, że myśli więcej o matce. To tylko dzieciak.

- Może. Na pewno stara się być dzielny, dla matki, żeby się o niego nie martwiła. Ale czy w tym przekazie nie powinno być jakiejś wiadomości, jakiegokolwiek, dla ojca? Wszyscy zgodnie twierdzili, że byli ze sobą bardzo zżyci.

- O siostrze też nie wspomniał.

Miała rację. Jak zawsze zresztą. Stawało się to dość niepokojącym nawykiem Porter.

- Po prostu wydało mi się to dziwne, ot i wszystko - rzekł Thome.

- Może nie miał wyboru, jeżeli chodziło o to, co ma powiedzieć.

Thome nie wziął tego pod uwagę.

- Chcesz powiedzieć, że miał to napisane? Ze mówił to, co mu kazano? Nie odniosłem takiego wrażenia.

- Tylko głośno myślę.

Zamilkli, gdy za drzwiami rozległy się czyjeś kroki. Usłyszeli, jak drzwi lodówki się otwierają. Thome zaczekał, aż ktoś, kto czymś się częstował, wyjdzie i dopiero wtedy powiedział szeptem:

- Myślmy dalej.

Kiedy wyszli ze składziku, rozdzwoniła się komórka Porter, dokładnie w chwili, kiedy do kuchni wszedł Tony Mullen. Spojrzał na nich z niewzruszonym wyrazem twarzy, a Thome z bliżej nieokreślonych przyczyn poczuł, że się czerwieni.

Mullen skinął na komórkę w dłoni Porter.

- Myślę, że powinna pani odebrać - powiedział.

Porter odebrała... milczała przez kilka sekund, ale Thome zorientował się, że to, czego słucha, jest bardzo ważne. Zerknął na Mullena i zobaczył, że on też to wie.

- Dobrze - powiedziała. - Kiedy?

Thorne patrzył na nią, aż odnalazła jego spojrzenie, i w jej oczach dostrzegł tylko głębokie skupienie.

- Wrócę, jak tylko będę mogła.

Mullen postąpił naprzód i najspokojniej, jak potrafił, kiedy już zakończyła rozmowę, zapytał:

- Znaleźliście go?

- Panie Mullen...

Porter spojrzała na Thorne a, po czym zawahała się dłużej, ujrzawszy, że obok męża pojawiła się żona.

- Jestem pewna, że pan rozumie...

Maggie Mullen ścisnęła męża za rękaw i zapytała, co się stało. Nie odrywając wzroku od Porter, głosem pozbawionym już spokoju odparł:

- A ja jestem pewien, że pani rozumie. Chcemy to usłyszeć.

Porter odczekała jeszcze chwilę, po czym rzuciła pośpiesznie:

- To dobre wieści. Najwyraźniej ci, którzy przetrzymują Luke a, nie są tak sprytni, jak sądziliśmy.

Zerknęła na wyświetlacz swojej komórki, jakby poszukiwała tam dalszych informacji, zanim na powrót wrzuciła aparat do kieszeni.

- Udało się zdjąć z kasety całkiem wyraźne odciski palców.

- Macie zgodność? - spytał Mullen.

Porter pokiwała głową.

- Tak, mamy już nazwisko.

Odwróciła się do Thorne a.

- Teraz ustalamy adres.

Śledztwo w sprawie morderstwa rzadko pozwala uczestniczącym w nim ludziom na życie osobiste, ale godziny poświęcone dochodzeniu w związku z porwaniem bywają jeszcze bardziej absorbujące. Tym nielicznym, którzy mogli się trochę przespać, Thome zaoferował pokój w małym hoteliku w Victorii, gdzie policja miała stałą rezerwację, on sam natomiast postanowił wrócić do Kentish Town. W ten sposób stracił wolny czas pomiędzy zmianami, ale i tak prawie nie mógł zmrużyć oka. Wolał leżeć w domu, czuwając, niż wycierać cienką wykładzinę w anonimowym pokoju hotelowym, parzyć herbatę ekspresową, wsłuchując się w odgłosy budzącego się miasta, i zamartwiać się, że nie nakarmił kota.

Może gdyby hotel był przytulniejszy...

Dotarł do domu tuż po północy, na tyle wcześnie, by móc jeszcze zadzwonić do Phila Hendricksa. Po kilku minutach rozmowy i opróżnieniu ostatniej puszki sainsbury zaczął się rozluźniać. Cieszył się, mogąc opowiedzieć przyjacielowi o chlubnej kryminalnej przeszłości niejakiego Conrada Allena.

- No więc ten facet wymachuje plastikowym magnum...

- Zakładam, że mówimy o broni, a nie o lodach...

- Nie słucham cię - rzekł Thome. - Facet wymachuje atrapą sploty jak zatwardziały

bandzior i myśli, że ma już sprawę z głowy. Ale na nieszczęście Conrada ten drugi facet trochę się wkurzył. Pobiegł do swojego auta, zadzwonił na policję i piętnaście minut później z piskiem opon na miejsce zajechała jednostka specjalna i rozciągnęła Brudnego Harry ego dla ubogich twarzą do chodnika, choć biedaczysko rozpaczliwie próbował przekonać nadgorliwych gliniarzy, że to był tylko żart.

- Wobec tego jakim cudem nie poszedł za to siedzieć?

- To pytanie do sądu, stary. Postawiono mu zarzuty, ale kiedy przyszło co do czego, ktoś najwyraźniej zdecydował, że jego czyn kwalifikuje się jako ten o nikłej szkodliwości. Ale na szczęście dla nas pobrano mu odciski palców i to było jeszcze w dwa tysiące drugim, przed zmianą w prawie, toteż odcisków nie zniszczono, kiedy zarzuty przeciw niemu zostały oddalone.

- Coś takiego, a ten głupi ciul zapomniał, że gliny je mają?

- Albo zapomniał włożyć rękawiczki, kiedy nagrywał taśmę wideo...

- Nie jest najgenialniejszym przestępcą świata, bez dwóch zdań.

- Coś mi mówi, że to nie jest jego regularne zajęcie.

Thome pomyślał o innej taśmie, którą widział kilka godzin temu w Central 0.

- Paru chłopaków z Lotnej Brygady jest pewnych, że to Allen napadł w ubiegłym roku na kilkanaście stacji benzynowych i sklepów wielobranżowych w Hackney i Dalston. On, kolejna spluwa, zapewne również atrapa, i kobieta udająca zakładniczkę. Dużo krzyku i beznadziejnego aktorstwa.

- Jak w jednym z odcinków EastEnders - uznał Hendricks.

- To spory przeskok z tego, co robił, do porwania dzieciaków, nie uważasz?

Taśma z kamery przemysłowej ze sklepu w Finchley została przeniesiona do Scotland Yardu. Oglądając nagranie, Thome próbował porównać te obrazy z tymi z taśmy przysłanej rodzinie Mullenów. Postać postawnego mężczyzny w kominiarce, brutalność jego ruchów i języka nie pasowały do osoby, która podchodziła ze strzykawką do Luke a Mullena. Na swój sposób było to równie gwałtowne, ale Thorne jakoś nie potrafił wyobrazić sobie, aby Conrad Allen mógł poruszać się tak miękko i spokojnie, z tak chirurgiczną precyzją.

Tak diabolicznie cicho i złowrogo.

Zamiast tego przyglądał się kobiecie - patrzył na ekran, kiedy krzyczała i błagała o życie, zwracając się najpierw do rabusia, a potem do przerażonego kasjera i pomocnika sklepowego, aby oddali pieniądze, zanim bandyta ją zabije. Jeżeli mężczyzną przytykającym jej broń do głowy był Conrad Allen, to istniały spore szanse, że to właśnie ona była kobietą, która zwabiła szesnastolatka do samochodu. Może nie była najlepszą aktorką świata, ale

Thome mógł się domyślać, do czego była zdolna. Łatwiej było wyobrazić ją sobie jako siłę napędową, jako tę, która obmyśliła nowy, lepszy sposób zarobienia za jednym zamachem większej forsy niż ta, jaką mogli zgarnąć, obrabiając monopolowy. Dlaczego wybrała na cel Luke a Mullena, to już całkiem inna sprawa...

Thorne wychwycił na linii podejrzany chichot.

- Co, ten żarcik o EastEnders tak cię rozbawił? Znowś śmiejesz się z własnych dowcipów, Hendricks?

- Jeden z nas musi.

- Świetnie. Miałem nadzieję, że to ci trochę poprawi humor. Zakładam, że wciąż jest ci to potrzebne. Nie zdradzasz wiele po sobie.

Kiedy Thome zadzwonił do niego wcześniej, Hendricks był bardzo powściągliwy, jeżeli chodzi o sytuację z Brendanem. Teraz, tak jak wtedy, chętnie rozmawiał na każdy inny temat.

- Jak plecy? - spytał.

Thome rozmasował łydkę.

- Teraz bardziej dokucza mi ta cholerna noga niż plecy.

- Mówiłem, że to mi wygląda, jakbyś nabawił się przepukliny dyskowej. Powinieneś coś z tym zrobić.

- Nie mam teraz na to czasu.

- Ten widmowy ból w nodze to efekt nacisku dysku na nerw kulszowy. Twój mózg jest informowany, że boli cię noga, choć tak naprawdę nic ci nie jest.

- Zaczekaj...

Thome upił łyk piwa, które zaczęło nabierać smaku.

- Myślałem, że to mózg przekazuje informacje.

- Niektóre części ciała krzyczą głośniej od innych - rzekł Hendricks. - No i rzecz jasna jedna lub dwie mają własny rozum.

Kotka weszła do kuchni, miauczając, ale została zignorowana. Thome siedział, zastanawiając się nad częścią ciała, o której mówił Hendricks - tą istotną częścią, która w ostatnich dniach najwyraźniej znowś zaczęła dawać o sobie znać.

Amanda

Cieszyła się z tego, co się stało, ale wiedziała, że Conrada zelektryzuje najbardziej to, że sprawy w końcu ruszyły z miejsca. Już wkrótce będzie po wszystkim. Siedział w sypialni, rozmawiając z chłopakiem, ale powie mu, kiedy tylko stamtąd wyjdzie. Będą musieli się przygotować, wziąć w garść, mają zadanie do wykonania.

Zawartość łyżki, którą podgrzewała, kiedy zaczął dzwonić telefon, pomoże jej odzyskać równowagę...

Sprawdziła numer dzwoniącego, tak jak to robiła, odkąd wrócili do mieszkania w piątek po porwaniu. Chodziło o to, by się nie wychylać, siedzieć cicho jak mysz pod miotłą, a przecież ci, którzy dzwonili, zazwyczaj tylko próbowali wcisnąć ci jakiś kit. Nafaszerowali chłopaka prochami w takich ilościach, że zwałyby z nóg nawet konia; kiedy tylko ruszyła spod szkoły, pojechała w umówione miejsce, gdzie już czekał Conrad. Zaczekali, aż zrobi się ciemno, i wnieśli chłopaka do środka owiniętego w tani koc piknikowy kupiony u Halforda i wrzucony do bagażnika. Dopilnowali, żeby jedzenia i wody im nie zabrakło, aby nie musieli wychodzić z domu i nie musieli z nikim rozmawiać. Mieli jedynie siedzieć i czekać cierpliwie, ale tej cierpliwości coraz bardziej im brakowało.

Odczekała, aż włączy się sekretarka... a kiedy rozpoznała głos, podniosła słuchawkę i nasłuchiwała z uwagą.

Odczuwała ulgę i zadowolenie, bo najwyraźniej wszystko poszło gładko i chyba nikt nie ucierpi. Zawsze na to nalegała, nawet kiedy zajmowali się jeszcze napadami. Pomyślała o tej części siebie, która troszczyła się o innych, która dbała, by nikt postronny nie ucierpiał, co dobrze o niej świadczyło. To był powód do dumy. Bądź co bądź po tym, co przeszła jako dziecko, byłoby zrozumiałe, gdyby zamieniła się w mściwą, bezwzględną zołzę, gdyby chciała, aby inni cierpieli choćby tylko po to, by sama poczuła się lepiej. Znała takich ludzi i gardziła nimi. Nie, ona tylko chciała się dobrze bawić i zdobyć dostateczną ilość wszystkiego, czego potrzebowała, aby zapomnieć o tym, co złe. Ale robiąc to wszystko, zawsze czuła się lepiej, jeżeli nikt inny nie musiał przy tym cierpieć. A w każdym razie nie z jej winy. Choć zdarzało się, że jakiś idiota próbował podsłuchiwać. No i był jeszcze ten diler, z którym Conrad na jej prośbę miał się rozliczyć, ale ścierwa takie jak on się nie liczyły i zasługiwały na to, co je spotykało.

Kiedy złe rzeczy spotykały złych ludzi, jej zdaniem nie było się czym przejmować.

Ten chłopak, Luke, nie był zły i nie zasługiwał na to, co go spotkało - zdawała sobie z tego sprawę. Był dla nich środkiem do zarobienia szybkich pieniędzy, odpowiednikiem atrapy rewolweru. Dziękowała Bogu, że wszystko dobrze się układało i najwyraźniej chłopak wyjdzie z tego cały i zdrowy.

Conrad, nie będąc tego taki pewien, powiedział:

- Owszem, ale nie zapomnij, co on może przechodzić później. Nie zapomnij o tym, co może się zdarzyć mentalnie.

Odwróciła się powoli od niego i stwierdziła, że nigdy o tym nie zapomni..

Teraz czuła się dużo spokojniejsza, bardziej skłonna do przebaczenia. Zaczynała się odprężyć, a równocześnie zastanawiała się, czy powinna z uwagi na nadchodzące wydarzenia znów zawiązać chłopakowi ręce. Aby przygotować go do drogi. I nagle, nie wiadomo skąd, gdy narkotyk zaczął ogarniać jej umysł, wyobraziła sobie siebie i Luke'a, jak spotykają się za dziesięć lub więcej lat.

Zobaczyła, jak wpadają na siebie na jakimś ekskluzywnym party w modnym klubie czy czymś takim i to było naprawdę przyjemne. On będzie rozluźniony i ucieszy się na jej widok. Zapewni ją, że wszystko w porządku, że wtedy, w tym mieszkaniu, zaczął nawet czuć do niej miłość, a kilka ociekających potem koszmarów to niewielka cena za perspektywy, jakie się przed nim otworzyły. Ona powie temu, z kim akurat wtedy będzie, że Luke jest jej starym przyjacielem, a potem zatańczą wspólnie długi wolny taniec...

Jak przez sen widziała Conrada wchodzącego do pokoju, odpływając coraz dalej, czując na ramionach ręce Luke'a i słysząc dźwięk jego głosu, kiedy dziękował jej za to, co mu dała, szczególny prezent, niezwyklej dar, skórę nieco grubszą, niż mają inni ludzie.

7

Nieludzka pora, błyśnięcie świtu, trzeci dzień dochodzenia i słońce, które wstawało, ociągając się nieco bardziej niż Tom Thome...

Ten brak słońca wszystko spowolnił, obniżając tempo gromadzenia jakże istotnych informacji. Nie ma znaczenia, jak ważna jest sprawa, którą się prowadzi, ile ciał udało się odnaleźć, jak duże jest zagrożenie dla zdrowia i życia, kto został uprowadzony. Fakty są takie, że większość ludzi, a przynajmniej większość cywilów, ma zwyczaj o piątej po południu kończyć pracę i rozchodzić się do domów. Zdobywanie ważnych informacji po godzinach pracy zawsze było trudne. Uzyskanie dostępu do zabezpieczonej lub prywatnej bazy danych - w placówce miejscowych władz, DSS, Barclay's Bank czy Virgin Mobile - było loterią, tak jak korki na autostradzie czy obwodnicy miasta. Często chodziło o to, czy uda się zdobyć numer do jakiegoś nieszczęśnika, którego niefart polegał na tym, że przydzielono mu dyżur w centrali przyjmującej całodobowo telefony i zgłoszenia. Albo znać numer do wyjątkowego pechowca, którego można będzie wywlec z łóżka w środku nocy.

Znalezienie od razu głównego podejrzanego zajęło Jednostce ds. Urowadzeń cztery godziny i sprowadziło się właściwie do zamilowania, jakim Conrad Allen darzył samochody. Za pośrednictwem MCRAC funkcjonariusze uzyskali dostęp do głównej bazy danych CRIMINT w Mile End i poznali szczegóły aresztowania Allena w 2 roku. Po przepuszczeniu numerów z tablicy rejestracyjnej jego auta przez główny komputer stwierdzono, że samochód

został sprzedany rok wcześniej. Student, który go nabył i który całymi nocami grał na playstation, pamiętał Conrada Allena i jak tamten ze szczegółami opowiadał mu o nowym aucie, jakie zamierza nabyć. Godzinę później właściciel małego salonu samochodowego w Wood Green został zerwany z łóżka.

Kazano mu się ubrać i w towarzystwie policji pofatygować się do biura, gdzie wśród wszechobecnego bałaganu wałały się sterty rachunków i egzemplarzy umów. Właściciel salonu był skory do pomocy i chciał jak najszybciej wrócić do łóżka, a kiedy pokazano mu zdjęcie, przypomniał sobie mgliście Allena i chudą, atrakcyjną blondynkę, która towarzyszyła mu, gdy kręcił się po parkingu. Miał lepszą pamięć do samochodów i potrafił podać praktycznie każdy szczegół białego forda scorpio 2.9i z 24-zaworowym silnikiem Coswortha V6, a co więcej, również adres, pod który miał on zostać dostarczony po zainkasowaniu 0 funtów w gotówce.

Sprzedawca nic nie wiedział o żadnym passacie, czarnym, granatowym ani jakimkolwiek innym, toteż zespół uznał, że wóz widziany w pobliżu szkoły musiał należeć do jego dziewczyny. A może Conrad uznał, że ma już dość szybkich samochodów, i postanowił zamienić scorpio na coś wolniejszego.

Kiedy tylko uzyskano te informacje, zespół Porter ostro zabrał się do dzieła. Na początek należało założyć odpowiedni punkt obserwacyjny. W środku nocy, pod osłoną ciemności, grupa wywiadowców zainstalowała małe kamery na latarni naprzeciwko biura handlu nieruchomościami przy Bow Road i na tyłach budynku, który miał zostać wzięty pod obserwację, gdzie znajdowała się brama wjazdowo-wyjazdowa. Przesyłany stamtąd obraz trafiał do monitorów w Central 0 i do furgonetki dwie przecznice dalej, w której pracowała grupa inwigilacyjna. W okolicy było jeszcze rozsianych kilkunastu funkcjonariuszy z Jednostki ds. Uprawdzeń; w opuszczonych budynkach, nieoznakowanych autach i na ulicy czekali wraz z Grupą Specjalną, negocjatorem policyjnym, sanitariuszami i Jednostką Bojową z S.

Wszyscy czekali na jakąś decyzję.

Zanim udało mu się wyrwać do pobliskiego baru kanapkowego na wczesny lunch, Thome spędził prawie cztery godziny w samochodzie z tym samym funkcjonariuszem z S07, który poprzedniego wieczoru zanudził go niemal na śmierć.

Przyniósł tacę do stolika i podsunął kubek z kawą oraz talerz kobiecie siedzącej naprzeciw niego.

- Ile jestem ci winna? - spytała.

Thome zdjął plasterki bekonu z kanapki z jajkiem i sięgnął po keczup.

- Najpierw chciałbym się dowiedzieć, co ustaliłaś.

Mocno się zdziwił, kiedy Carol Chamberlain pierwsza zadzwoniła do niego z prośbą o spotkanie. Kiedy nie pracowała w Scotland Yardzie nad lekturą starych spraw, prawie nie sposób było oderwać ją od męża i jej domu w Worthing, który Thome z lubością określał mianem Eutanazji Nadmorskiej. Wyjaśniła, że po ostatniej rozmowie z nim przez całe ubiegłe popołudnie siedziała przy telefonie, a potem wsiadła do wieczornego pociągu. Zjadła kolację ze starym przyjacielem, a noc spędziła u drugiego.

- Starzy przyjaciele? - spytał Thome.

- Nadinspektor, który przez kilka lat pracował w Wydziale Zabójstw, i detektyw sierżant, który przeszedł na emeryturę w tym samym czasie co ja. Dwaj porządni faceci. Bardzo przydatni.

Thome patrzył, jak Chamberlain wgryza się w naleśnika z większą niż on delikatnością. Zaskoczyło go, jak szybko przeszła do działania po ich rozmowie.

- Nie marnujesz czasu - zauważył.

- Nie sądziłam, że go mamy.

Thome pospiesznie opowiedział jej o bieżących wydarzeniach i operacji mającej na celu inwigilację mieszkania Conrada Allena. Ponieważ istniało prawdopodobieństwo zagrożenia życia dziecka, miał prawo przypuszczać, że czas działał przeciwko nim, lecz tego ranka każda minuta, którą przesiedział, czekając, aż coś się wydarzy, zdawała się rozciągać i wydłużać w nieskończoność, przez co zniecierpliwienie przerodziło się w inercję. Cisza w radiu wręcz ogłuszała, a gapienie się w zasłonięte okna nad biurem handlu nieruchomościami było jak spoglądanie przez drugi koniec teleskopu.

- No to mów - rzekł.

Chamberlain strzepała okruszki z palców.

- Miałam rację. Ktoś zdecydowanie powinien wspomnieć o Grancie Freestonie.

- Z powodu pogróżek pod adresem Mullena?

- To też... a poza tym on wciąż jest poszukiwany za morderstwo.

Thome tylko patrzył i czekał, aż Chamberlain zacznie mówić dalej. Zauważył, że ucieszył ją ten moment suspensu, i w końcu podjęła swój wywód:

- W dziewięćdziesiątym piątym Freestone zarobił dziesięć lat za molestowanie dzieci. Odsiedział ponad połowę zasądzonego wyroku, w dwutysięcznym roku wyszedł na warunkowe i został jednym z pierwszych byłych więźniów objętych programem nadzoru kuratorskiego MAPPA.

Thome pokiwał głową. Choć nigdy nie był w to zaangażowany, słyszał o tym

programie mającym na celu nadzór nad byłymi więźniami i dopilnowanie, by w przyszłości nie dopuszczali się podobnych przestępstw. Program został opracowany dzięki współpracy między różnymi placówkami na rzecz objęcia ścisłą kontrolą wyjątkowo niebezpiecznych zwolnionych z więzień skazańców. Chodziło o tych, którzy mogli stanowić poważne zagrożenie dla innych, a zadaniem programu było monitorowanie ich poczynąń i powrotu do społeczeństwa.

Innymi słowy uważne obserwowanie czarnego luda.

- Wygląda mi na idealnego kandydata - stwierdził Thome.

- Bo nim był, choć nie mam pewności co do ludzi, którzy mieli go kontrolować. Nie wiem, jak to dokładnie było, ale to dziwne, że całego programu nie zamknięto już od razu, na wstępie.

- Rodził się w bólach?

- Delikatnie mówiąc. Freestone dostał mieszkanie w Crystal Palace, to dlatego rada dzielnicy Bromley pomagała przy formowaniu zespołów kuratorskich. A potem, kilka miesięcy po zwolnieniu, związał się z Sarah Hanley, samotną matką z dwójką małych dzieci.

- No. To przedstawia pewien problem.

- Niewątpliwie, choć pojawił się jeszcze większy W kwietniu dwa tysiące pierwszego Grant Freestone pchnął ją tak, że upadła całym ciałem na przeszklony stolik.

- Pięknie...

- Wykrwawiła się na śmierć i zanim ktoś ją znalazł...

- Freestone zdążył się ulotnić.

- I wciąż przebywa na wolności - kontynuowała Chamberlain. - Pewnie wolałby, aby tak pozostało. Jest z całą pewnością kandydatem na głównego podejrzanego w tej sprawie, ale to było tak dawno, że wątpię, aby ktokolwiek go jeszcze szukał, a jeżeli nawet, to bez większego entuzjazmu. Pojawia się raz na jakiś czas, a akta sprawy są rewidowane rokrocznie, lecz sprawa jest zimna jak lód na Antarktydzie.

Podeszła kelnerka, pozbierała talerze i spytała, czy życzą sobie jeszcze kawy lub herbaty. Thome powiedział Chamberlain, że musi jak najszybciej wracać, i podał pięciofuntowy banknot, by uiścić rachunek.

- Czy Tony Mullen też był zaangażowany w tę drugą sprawę? - zapytał. - Chodzi mi o zabójstwo Sarah Hanley?

Chamberlain odpowiedziała, że nie był; rozmawiała z detektywem, który prowadził dochodzenie i później także obławę na Granta Freestone a. Z funkcjonariuszem, który przynajmniej w teorii wciąż prowadzi tę sprawę. Ale Thome prawie jej nie słuchał,

uświadomiwszy sobie, że zadał zbędne pytanie. Wiedział, że Tony Mullen nie mógł być w to zamieszany, i wiedział dlaczego.

- Zapisałam wszystkie dane tego faceta - powiedziała Chamberlain i przesunęła kopertę po stoliku. - Wydawał się całkiem miły, choć bardziej chciał się dowiedzieć, po co mi te informacje, niż był gotów mi ich udzielić.

- Coś za coś - odrzekł Thome.

- Chyba tak.

- A ciebie ani trochę nie wkurzają ci, którzy zdołali się wymknąć?

Chamberlain wyjęła małe lusterko z torebki i otworzyła je.

- Im jestem starsza, tym drażliwsza, i to pod każdym względem.

- Dzięki za pomoc.

- Nie ma sprawy, wciąż jestem ci coś winna.

Na moment oderwała wzrok od lusterka.

- I nie mam na myśli herbaty czy naleśników z szynką.

Thorne sięgnął po kopertę i odsunął krzesło. Wiedział, że chodziło jej o zdarzenie sprzed roku, kiedy przesłuchanie podejrzanego w okropny sposób wyrwało się spod kontroli. Stwierdził, że oboje mieli wobec siebie dług, którego w żaden sposób nie zdołają spłacić.

- Dam ci znać, jak się to wszystko rozwinie - powiedział na koniec.

Carol Chamberlain pokiwała głową i powróciła do nakładania szminki, a Thome wstał od stolika. Gdy wychodził, zawołała na niego. Przeprosiła, że zapomniała o maści na jego plecy, i zapewniła, że prześle mu ją pocztą.

Wrócił pospiesznie do samochodu. Zatrzymał się jeszcze przy kiosku, bez słowa kupił dwie puszki coli i egzemplarz „Uncut”. Wracając do auta, przez cały czas myślał, czy Chamberlain miała rację, mówiąc, że ktoś powinien był wspomnieć o Grancie Freestonie... Ktoś... Pewnie jeden z gliniarzy, z którymi rozmawiał. I niemal na pewno Jesmond. Ale dlaczego Tony Mullen nic nie powiedział?

Idąc, skupił myśli na ojcu Luke a Mullena. Na tym, że nie mógł być zaangażowany w sprawę zabójstwa z roku dwa tysiące pierwszego i pościgu za Grantem Freestone'em, człowiekiem, którego wsadził na dziesięć lat do pudła, człowiekiem, który publicznie mu groził. Thorne miał to jeszcze sprawdzić, ale był prawie pewien, że zna odpowiedź.

Ponieważ w dwa tysiące pierwszym roku nadinspektor Tony Mullen odszedł z policji.

Czerwona skoda stała na południe od Bow Road, w bocznej uliczce, przy wjeździe do tunelu Blackwall. Thorne ucieszył się, że pod jego nieobecność zjawił się Dave Holland, i nie zwracając uwagi na

detektywa sierżanta siedzącego za kółkiem, zajął miejsce obok niego na tylnym siedzeniu.

Funkcjonariusz na przednim fotelu odwrócił się przy wtórze skrzywienia poliestru.

- Się panowie, kurde, rozguszczą...

Choć Thome dzwonił do Hollanda z domu Mullena poprzedniego wieczoru, nie widywali się zbyt często od wizyty detektywa sierżanta w Butler's Hall. Siedząc z tyłu w aucie, rozmawiali o Adrianie Farrellu, o telefonie Hollanda do Yvonne Kitson i o tym, czy może istnieć związek pomiędzy porwaniem Luke a a zabójstwem Latifa.

- Na pewno warto o tym pomyśleć.

- Ale nie za długo, tak? - spytał Holland.

Thome otworzył jedną puszkę.

- Szczerze mówiąc, nie sądzę, aby to coś dało.

Potem siedzieli przez pięć minut w milczeniu. Thome przejrzał pismo, a Holland patrzył przez szybę, choć Thome uznał, że nigdy dotąd nie napotkał równie przygnębiającego widoku. Choć, prawdę mówiąc, nie był pewien, czy zniósłby gapienie się przez bite cztery godziny nawet na Tadż Mahal.

- Pięknie tu, prawda? - rzucił w końcu Holland.

- Jeżeli lubisz beton.

Facet z S07 wykorzystał okazję, by włączyć się do rozmowy, i wskazał w stronę wiaduktu Bow. Wiecznie zakorkowany granitowy wiadukt wznosił się kilkaset metrów na północ od nich, prowadząc Ali nad A12 i kierując jadące tamtędy auta ponad rzeką Leą do Essex iz dala od stolicy.

- Uważa się, że to właśnie tam Kraysowie pogrzebali Franka Mitchella, no wie pan? Wewnątrz jednego z tych wsporników.

- Tak - rzekł Thome. - W sześćdziesiątym szóstym.

Wiedział wszystko o tym, co bliźniacy rzekomo zrobili z Szaleńcem z Siekierą, Mitchellem, którego zbyt pospiesznie wypuszczono z Zakładu Karnego Dartmoor. Choć ostateczne miejsce spoczynku Szaleńca z Siekierą pozostaje nieznane, a niektórzy twierdzili, że jego ciało wrzucono do morza, wydawało się dość dziwne, że trzydzieści lat po zniknięciu Mitchella kondukt pogrzebowy Ronniego Kraya miał przejechać po wiadukcie Bow. Nie była to najkrótsza droga na cmentarz Chingford.

Detektyw sierżant wyglądał na przybitego.

- Skąd pan to wszystko wie?

- Ma za dużo wolnego czasu - wyjaśnił Holland.

- Z tymi facetami przynajmniej wszystko było jasne i proste - rzekł Thorne.

Holland odchylił głowę do tyłu.

- Na początek krótkie wyraziste ksywki.

- Zgadza się. Nikt nie mógłby się pomylić.

- Facet jest szurnięty i ma siekierę. Jak mielibyśmy go nazwać?

- Ee...

Kiedy tak gawędzili, widzieli, jak funkcjonariusz z Jednostki ds. Uprawdzeń zerka na nich w lusterku wstecznym, rozpaczliwie usiłując ustalić, czy to z niego się nabijają.

W porze lunchu szóstoklasistom z Butler's Hall pozwalano na godzinę opuścić teren szkoły. Niektórzy szli z kanapkami do pobliskiego parku, większość jednak zmierzała w stronę ciągu najmodniejszych sklepików przy Broadway. Odwiedzali małe filie Game i HMV albo kręcili się w pobliżu barów oferujących rybę z frytkami czy kebab, ze wszystkich sił starając się, by nie wzięto ich za uczniów prywatnej szkoły i unikając przyłapania na czymś, co mogłoby skalać noszony przez nich mundurek.

Yvonne Kitson siedziała w swoim aucie na końcu drogi, naprzeciwko wejścia do szkoły, obserwując dzieciaki opuszczające budynek i czekając, aż pojawi się Adrian Farrell. Siedzący obok niej Andy Stone przeglądał „Daily Mirror”.

- Wciąż nie rozumiem, dlaczego szefowa nie zabrała ze sobą detektywa sierżanta Hollanda. Aby wskazał tego małego gnoja.

- Nudzi ci się, Andy?

Stone pokręcił głową, nie odrywając wzroku od gazety.

- Dave jest trochę zavalony innymi sprawami, a poza tym nie chcę, żeby on mi go wskazywał. Chcę się przekonać, czy sama go zauważę. Wystarczy?

Ponownie włożyła kciuk do ust i obgryzając paznokcie, wyglądała przez szybę.

Kitson wierzyła, że nie można mieć wszystkiego, że jeśli życie osobiste jest udane, coś niechybnie musi się pochrzanić w pracy. I pieprzone vice versa. Parę lat temu była u progu wielkiej kariery i miała tego świadomość. Prowadziła ważne sprawy i rozwiązywała je, dzięki czemu zyskiwała poklask i uznanie. Aż w końcu coś jej odbiło i wplątała się w romans ze starszym oficerem i choć zarówno żona, jak i przełożeni jej wybaczyli, straciła zarówno swoją karierę, jak i rodzinę. Teraz w jej życiu osobistym nastąpiła pewna stabilizacja, dzieci świetnie sobie radziły, relacje z byłym mężem były unormowane, co więcej, spotykała się z pewnym mężczyzną, ale jeżeli chodzi o życie zawodowe, to zupełnie co innego. Choć harowała ciężiej niż kiedykolwiek, w pracy każdą kolejną porażkę i kompromis traktowano z coraz mniejszą tolerancją. Zaczęła się zastanawiać, czy to jej wina, a może nie sposób już

było jej zadowolnić.

Stone przestał na kilka sekund pogwizdywać przez zęby.

- To zabawne - powiedział. - Pojawiają się tu niedwuznaczne aluzje dotyczące pewnego „popularnego prezentera telewizyjnego”, który ma rzekomo romans ze swoim researcherem. Jak sądzisz, szefowo, kto to może być?

Śledztwo w sprawie Latifa było frustrujące jak każde inne, a wszystkie dochodzenia w związku z zabójstwami, w które się zaangażowała od tamtej pory, zdawały się nieodmiennie wieść ją w ślepą uliczkę. Mur, który usiłowała sforsować tego ranka, wznosił się wokół niepokojącego rytuału inicjacyjnego gangu narkotykowego z Tottenham. Nowi członkowie jeździli po uliczkach autem z wygaszonymi reflektorami i by dać dowód, że są warci przyjęcia do gangu, mieli strzelać z pistoletu do pierwszego samochodu, który zamruga do

nich światłami. Było to brutalne w całej swej prostocie, jeżeli chodziło o wybór przypadkowej ofiary. Pecha miał w tej sytuacji pierwszy kierowca, który próbował zwrócić uwagę innemu użytkownikowi dróg publicznych.

Pięć dni temu postrzelony bez żadnego konkretnego powodu kierowca toyoty landcruiser wyjechał na chodnik przy Seven Sisters Road, przyplacając to życiem i zabijając na miejscu młodą kobietę czekającą na przystanku. Jeden z najnowszych członków gangu przeskoczył od razu z pozycji drobnego narkotykowego dilera do podwójnego mordercy i choć Kitson i jej zespół doskonale wiedzieli, który gang był za to odpowiedzialny, i odbyli rozmowy z kilkoma młodymi ludźmi, podobnie jak oni doskonale zorientowanymi, kto pociągnął za spust, żaden z nich go nie wydał.

Czasami ceglane mury uśmiechały się szeroko, szczerząc złote zęby tak bezczelnie, że Yvonne Kitson niczego nie pragnęła równie silnie, jak tylko je powybijają.

Rozpaczliwie potrzebowała sukcesu. Dla samego poczucia zwycięstwa, nie tylko dla rozgłosu. A teraz, o ile instynkt i wzrok nie omyliły Dave’a Hollanda i o ile nie omylą jej, może dostanie to, czego pragnęła.

Stone wlepił wzrok w ostatnią stronę gazety.

- W sumie wcale mnie to nie dziwi - skonstatował. - Można się domyślać, że wielu prezenterów ma odmienne preferencje.

Kitson wymamrotała coś, co można było od biedy uznać za „tak” albo „nie”, bo była skupiona na grupce uczniów przechodzących przez ulicę i na tym, że po raz pierwszy ujrzała Adriana Farrella. Pomyślała, że wisi Dave’owi Hollandowi naprawdę dużego drinka.

- To on?

Kitson uniosła rękę, by uciszyć Andy ego Stone a, jakby chłopak, którym

rozmawiali, znajdował się o niespełna metr od nich i jakby słuch mógł mieć równie wybitny, co mniemanie o sobie. Patrzyła, jak idzie wolno środkiem ulicy, nie sposób go było przeoczyć, dokładnie tak, jak się tego spodziewała. Rozmawiał o czymś z dwojgiem innych uczniów, chłopakiem i dziewczyną. Choć opuszczał szkołę zaledwie na godzinę, Kitson zobaczyła, jak on i jego towarzysze przechodzą przemianę, o której wcześniej wspomniał Holland. Zobaczyła, jak Farrell zdejmuje marynarkę i przerzuca sobie przez ramię, po czym poluzowuje krawat.

Patrzyła, wstrzymując oddech, jak zakłada kolczyk. Koniec szkoły, koniec z grzecznym chłopczykiem.

O jakieś sto metrów od wejścia Farrell odszedł od reszty grupy i dołączył do dwóch nowych chłopców, którzy przechodzili przez ulicę i szybkim krokiem zmierzali w jego stronę. Ci mieli na sobie własne mundurki: czapeczki Nike, buty sportowe New Balance, dresy Kappa. Poruszali się jak mężczyźni, ale wyglądali dostatecznie młodo, by Kitson zaczęła zastanawiać się, dlaczego nie są w szkole.

Trójka przywitała się, choć nie sposób było rozróżnić wykrzykiwanych słów. Pojawiły się charakterystyczne gesty zaciśniętych w pięść dłoni. Kitson sięgnęła dłonią klamki, kiedy kłykcie złączyły się w geście powitania i cała trójka pomaszerowała w stronę ciągu sklepików.

- Idziemy? - spytał Stone.

Kitson otworzyła drzwiczki. Wysiadła, zdezorientowana na myśl onowych, ciekawych kolegach Adriana Farrella. O jego miłych białych kolegach.

- Przewietrzmy się trochę - rzekła.

Porter połączyła się z nim przez radio. Zaproponowała Thome owi, żeby spotkali się gdzieś w połowie drogi między ich pojazdami. Żeby pospacerowali trochę na świeżym powietrzu.

Szli wzdłuż Fairfield Road, przechodząc ponad Docklands Light Railway w kierunku Old Ford.

- Barry Hignett zjawił się jakieś pół godziny temu - rzekła Porter.

- Chce wkroczyć.

- A my to nie?

- Ale jemu naprawdę się spieszy. Dlatego wysłaliśmy paru chłopaków, żeby się rozejrzeli. Niech sprawdzą, czy nie udałoby się podejść bliżej.

Przystanęli, by przepuścić ciężarówkę wyjeżdżającą z podwórza dla dostawców. Kierowca otarł się o ścianę, podjechał metr, dwa do przodu i spróbował ponownie. Tym

razem go obeszli, nie zważając na dym spalin i buczenie czujnika cofania.

- Dzięki za informację.

Ton głosu Thorne a wyraźnie dawał do zrozumienia, że nie był za to ani trochę wdzięczny i że jego zdaniem powinna była mu to powiedzieć już pół godziny temu.

- Mówię ci teraz, więc się nie dąsaj.

- Hignett dostaje po uszach od twojego przełożonego, zgadza się?

- Na pewno - odrzekła Porter. - I wcale bym się nie zdziwiła, gdyby Tony Mullen też go naciskał. Biedak musi odczuwać presję z każdej strony.

- Wciąż tu jest?

- Wrócił do centrali.

- To rozsądne - przyznał Thorne.

I faktycznie tak uważał. Jako oficer dowodzący Barry Hignett powinien pozostawać w pobliżu Central 0. Mógł stamtąd nadzorować wszystkie wydarzenia i utrzymywać łączność z każdym członkiem zespołu, będąc równocześnie do dyspozycji przełożonych. Ta sprawa doczekała się przełomu jak większość innych. Tyle tylko, że trzeba było trochę dłużej poczekać.

Porter zatrzymała się przed ekskluzywnie wyglądającym osiedlem mieszkalnym. Mapa przy bramie wskazywała umiejscowienie basenu, sauny i prywatnych sklepików.

- Mogłabym mieszkać w takim miejscu - rzekła. - Moje mieszkanie to nora.

- To stara fabryka Bryanta i Maya - wyjaśnił Thome, spoglądając przez bramę. - Odbył się tu strajk zapalczywych dziewcząt.

Porter pokręciła głową.

- Koniec dziewiętnastego wieku. - Wskazał w stronę budynku. - Pracujące tam dziewczęta zorganizowały strajk, domagając się lepszego wynagrodzenia i warunków pracy. Sprawa stała się głośna na cały kraj. To w większym lub mniejszym stopniu stało się zaczątkiem powstania związków zawodowych.

- Iskra od zapalniczki rozpałała ogień.

Thome myślał już o czymś innym i przegapił ten żarcik. Odwrócił się, wskazując jak przewodnik w stronę Bow Road.

- Tam znajduje się pierwotna kwatera główna kampanii Sylvii Pankhurst. Prawo głosu dla kobiet itepe. - Próbował zachować pokerowe oblicze, ale nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. - I zobacz, do czego nas to doprowadziło.

- Chcesz w twarz? - szepnęła Porter, mijając go i idąc dalej.

- A gdzie właściwie jest to twoje mieszkanie?

Jej komórka zaczęła dzwonić i Porter błyskawicznie po nią sięgnęła. Thome wiedział, że telefon prawdopodobnie miał sygnał ustawiony na konkretną osobę, ale nigdy nie usłyszał go na tyle długo, by móc zapamiętać melodię.

Kiedy skończyła rozmawiać, zawrócili w stronę domu Conrada Allena.

- Wygląda na to, że jednak dostaniesz wsparcie, na które czekałaś - rzekł Thome.

- W mieszkaniu obok jest dziewczyna, która jest naszą zagorzałą miłośniczką. Parę tygodni temu weszliśmy do niej z drzwiami i najwyraźniej czar munduru zadziałał. Jeden z naszych techników jest teraz u niej i rozstawia sprzęt podsłuchowy.

- Uważają, że oni są w mieszkaniu? - spytał Thome.

Spojrzenie Porter zdradzało, że nie ma na ten temat bladego pojęcia.

- Nic się nie dało zobaczyć, więc teraz pora przyłożyć do ściany szklanę i ucho.

Potem prawie już nie rozmawiali. Przyspieszyli kroku, by ominąć ciężarówkę, która wciąż usiłowała się wycofać z podwórka.

Andy Stone zajął się wszelkimi formalnościami. Dokonał prezentacji, wymachiwał legitymacją.

To był bardzo przyjemny uśmiech. Kitson zastanawiała się, jak często będzie go oglądać w kolejnych dniach.

- Już to robiliśmy - rzekł Adrian Farrell. - Wczoraj po szkole rozmawialiśmy z kilkoma funkcjonariuszami.

Kitson podeszła o krok, uśmiechając się skromnie.

- Nie chodzi o Luke a Mullena. Prowadzimy dochodzenie w innej sprawie.

Stali przy piekarni i barze kanapkowym na niewielkim, wydzielonym tylko dla pieszych odcinku Broadway. Było tu dość sporo ludzi, pracownicy miejscowych biur i sklepików krążyli pomiędzy wózkami, by kupić lunch albo zrobić szybkie zakupy. Farrell i jego dwaj kumple opierali się o szybę wystawową, zajadając naleśniki z kiełbasą z papierowej torebki. Przestali rozmawiać, szturchali jeden drugiego łokciami i patrzyli, jak Kitson i Stone wspinają się po pochyłości do wjazdu dla wózków, zmierzając w ich stronę.

Jeden z chłopaków w czapczkach baseballowych szturchnął swojego kumpla, wskazując na Farrella.

- Wreszcie po ciebie przyszli, stary.

- Tak, gliny zaraz cię zwiną, to pewne - jego kolega mówił niewyraźnie, bo z pełnymi ustami, i zaczął się śmiać.

Farrell skrzywił się, patrząc na nich obu.

- Morda w kubek.

A potem rzucił do Kitson:

- Przepraszam za nich. Głędzą jak potłuczeni.

- Kilka kilometrów stąd zamordowano studenta - rzekła Kitson.

- W październiku zeszłego roku w Edgware, zapewne widziałeś to w wiadomościach.

Wyraz twarzy Farrella zmienił się, jakby chłopak pomyślał, że mógł gdzieś o tym słyszeć.

- Mówi ci to coś?

Kitson zauważyła, że chłopak na moment spojrzał na jej cycki, po czym znów uniósł wzrok.

- Nazywał się Amin Latif.

Farrell sprawiał wrażenie, jakby to nazwisko nic mu nie mówiło.

- Nie pamiętasz go? Cóż, jestem szczerze zdziwiona.

- Pamiętam, że nasz kapelan odmówił specjalną modlitwę podczas apelu. Tuż przed hymnem. On tak robi, no wie pani, w intencji ofiar katastrofy czy czegoś podobnego. Tak, to było na pewno w intencji jakiegoś biednego durnia, którego zamordowano. I musiało to być jakoś na jesieni.

Ze sklepu płytowego naprzeciwko napłynęły głośne dźwięki muzyki. Coś radosnego i kompletnie idiotycznego.

- No i?

- No i co?

Kitson usilnie starała się spojrzeć mu w oczy.

- Pomodliłeś się za Amina Latifa?

Farrell pociągnął nosem i odwrócił wzrok, ustępując na bok, gdy z piekarni wyszła grupka dziewcząt. Jeden z jego kumpli rzucił pod nosem cichy komentarz. Dziewczyna kazała mu się odwalić.

- Czy powinna pani ze mną rozmawiać? - spytał Farrell.

- Słucham?

- Bez obecności mojego przedstawiciela prawnego. Bez moich rodziców.

Jeden z tych, co nosili czapeczki, aż zagwizdał przeciągle z podziwu.

- To tylko nieformalna pogawędka, Adrian.

Po raz pierwszy chłopak wydał się odrobinę zaniepokojony, ale trwało to zaledwie sekundę czy dwie.

- Skąd zna pani moje imię?

- Policja wie wszystko - rzucił jeden z jego kumpli.

Drugi wskazał na Farrella i z udawaną powagą rzekł:

- Oni wiedzą nawet, kiedy ostatni raz marszczyłeś feda, stary.

Andy Stone wysunął się do przodu, zastępując drogę ubranemu w markowe ciuchy duetowi komików.

- A może powiecie mi, jak się nazywacie? Żebyśmy nie zachowywali się jak nieznajomi.

- Masz siedemnaście lat - rzekła Kitson. - Co oznacza, że możesz już być sądzony jak dorosły.

Farrell patrzył na swoich kumpli, kiwając głową w rytm jakiejś piosenki pop.

- W każdym razie nie ma potrzeby się denerwować.

- A kto się denerwuje? - odrzekł Farrell.

- No to dobrze.

- Ale to nieprawda? - wyszeptał, nachylając się do Kitson: - Wcale nie wiecie, kiedy ostatni raz obściskałem mojego najlepszego kumpla, feda?

Uśmiechnęła się, nie dając się zbić z tropu.

- Tak się składa, że chcielibyśmy zadbać o twoje prawa i obecność osoby, którą uznasz za właściwą, z uwagi na sytuację. Prawnika, jeżeli sobie tego życzysz, albo może rodziców. Lub nawet kapelana, jeżeli to miałoby ci pomóc. Możemy kontynuować tę rozmowę na komendzie, zgodnie z zachowaniem wszelkich procedur.

- Ale ja w sumie nic nie muszę, prawda?

- Nic a nic. Tylko tak sobie gawędzimy.

- No to świetnie - powiedział i przeniósł ciężar ciała na jedną nogę, szykując się, by odejść. - Miło było tak sobie pogawędzić.

- Ale kiedy to się stanie, usiądziemy sobie wspólnie i zacniemy zadawać pytania. Na nasz temat. Dlaczego nas nie lubisz. Czemu jesteś taki niechętny do pomocy. Co mógłbyś próbować ukryć.

Farrell zaczął kręcić głową, uśmiechając się, jakby jej wysiłki były nieudolne i amatorskie.

- Teraz wracam do szkoły - oznajmił. - Dziś po południu mam dwie lekcje historii z rzędu, to moje ulubione zajęcia.

Kitson miała ochotę mu przyłożyć.

- Chodźcie, frajerzy - zakrzyknął do swoich kumpli i zaczął się oddalać.

Gdy tylko precyzyjnie się obok stojącego im na drodze Stone'a, dwaj chłopcy dumnie wypięli pierś i dogonili Farrella.

Stone podszedł do Kitson.

- Nie boją się za bardzo.

Patrzyli, jak chłopcy schodzą po pochyłości. Gdy dotarli na dół, jeden z kumpli Farrella wrzucił pustą torbę do kosza na śmieci. Chybił, a pozostali skwitowali jego nieudany popis śmiechem i pomaszrowali dalej.

- To proste, gdy jest się w grupie - rzekła Kitson.

Farrell obejrzał się przez ramię, zanim jeszcze skręcił za róg ulicy. Zrobił to, jakby czegoś zapomniał, i trwało to zaledwie sekundę lub dwie, zanim zniknął.

Dłonią poklepywał się po udzie w rytm muzyki.

Mimo że chodziło o uprowadzenie, na posterunku inwigilacyjnym panowała dość luźna atmosfera. Thome uczestniczył w wielu podobnych operacjach, zwykle z udziałem chłopaków z Wydziału Przepęstw Szczególnych i Zwalczenia Przepępczości Zorganizowanej, gdzie odwiedziny kolejnych gości pod obserwowanym adresem oznaczały całe dni spędzone w ciasnej służbowej furgonetce, odlewanie się do plastikowych butelek i żywienie biszkoptami. W tym wypadku inwigilacji dokonywano z użyciem kamer, a więc nie było konieczności parkowania nieoznakowanym pojazdem służbowym w bezpośredniej bliskości domu Conrada Allena. Można było pozwolić sobie na pewną elastyczność, no i warunki w zespole przebywającym w furgonetce nie były aż tak spartańskie.

Porter spędziła prawie cały poranek na południe od Bow Road, omniej niż minutę marszu od domu Allena, w jednokierunkowej uliczce pomiędzy cmentarzem Tower Hamlets a stacją metra. Po krótkim spotkaniu na Fairfield Road Thome dołączył do niej na tyle brudnego transita z logo miejscowej firmy dekarńskiej na burtach.

To było kilka minut po trzeciej. Prawie godzinę temu wzdłuż jednego z boków furgonetki ustawiono stół roboczy. Na ekranach dwóch monitorów widać było czarnobiały obraz z kamer od frontu i z tyłu, podczas gdy z porysowanego metalowego głośnika płynęły komunikaty od mobilnych jednostek znajdujących się w okolicy. Na podłodze furgonetki rozciągnięto pas taniej brązowej wykładziny, a w kąt wciśnięto plastikowy worek wypełniony styropianowymi pojemnikami, gazetami, pustymi puszkami i kartonami.

- I co?

- Minęło czterdzieści pięć minut, odkąd weszliśmy do mieszkania tej staruszki.

- Więcej - poprawiła Porter.

Dwaj inni funkcjonariusze dzielili wnętrze furgonetki z Porter i Thorne em. Kenny Parsons siedział na jednym z dwóch składanych płóciennych krzesełek, drugie zajmował tłusty detektyw sierżant nazwiskiem Heeney, gadatliwy Midlander o leniwym spojrzeniu i

ospałym usposobieniu. Porter nie wydawała się zadowolona z obecności ich obu. Uniosła radio do ust.

- Jak idzie, Bob?

Chwila ciszy.

- Na pewno cię powiadomi - rzekł Thome.

Porter rzuciła mu karcące spojrzenie.

Nagle z głośnika popłynęły słowa z nutą rozdrażnienia:

- Nadał nic.

- Sprawdziłeś sprzęt?

- Dwukrotnie. Działa bez zarzutu.

- Przepraszam...

Głupie pytanie. Mikrofony były najnowocześniejsze, na jakie było ich stać, i wiedziała, że technik, który je obsługiwał, zna się na rzeczy. Ustalili, że mieszkanie zostało wynajęte, domyślili się, skądinąd słusznie, że za wynajem była odpowiedzialna firma z dołu, i odwiedzwszy ją, zdobyli plany mieszkania: kuchniajadalnia, dwie małe sypialnie i łazienka, wszystkie połączone jednym korytarzem. Urządzenia nasłuchowe rozstawione w mieszkaniu obok powinny spełnić swoją funkcję idealnie, w apartamencie tej wielkości praktycznie z każdego miejsca powinni móc coś usłyszeć.

- Ktoś będzie musiał podjąć jakąś decyzję - rzekł Heeney.

Wymówił pierwsze słowo jako „któs”, a to stwierdzenie nabrało charakteru nieomal skargi.

Thome siedział oparty plecami o drzwiczki furgonetki i spojrzał na Porter, która przycupnęła na wypukłości nadkola, tuż za fotelem kierowcy. Popatrzyła na niego, unosząc brwi. Pomyślał, że mogła w ten

sposób pytać go o zdanie, ale nie miał pewności i tym bardziej nie wiedział, jak by zareagowała, gdyby jej powiedział. Milczał więc, powstrzymując się przed wyrażeniem swojej opinii, ponieważ chciał uniknąć kłótni w obecności innych. A poza tym nie miał nic do zaoferowania.

Zbyt wiele pytań czekało na odpowiedzi, zbyt wiele było niewiadomych, a za mało możliwości wyboru.

Czy Conrad Allen i jego dziewczyna byli w mieszkaniu?

Czy to tam przetrzymywali Luke a Mullena?

Czy zrezygnowali z atrap broni na rzecz prawdziwych splotów i jak mogli zareagować, gdyby jednostka specjalna weszła z drzwiami do ich mieszkania?

- Gdybym miała decydować, weszłabym tam - rzekła wreszcie Porter.

Thome uniósł jedno, a potem drugie kolano, ale nie mógł znaleźć dla siebie pozycji, która nie sprawiałaby mu bólu.

- Chciałabyś tego?

- Móc zadecydować? Raczej nie.

- Może to i lepiej. Wiesz, wielka moc wiąże się wielką odpowiedzialnością.

- Nie sądziłam, że masz duszę filozofa.

- To cytat ze SpiderMana - odparł Thome.

Sięgnęła po radio.

- Potrzebuję twojej opinii, Bob.

Z głośnika:

- Nic się tam nie rusza.

- Kurwa!

- Przykro mi, ale tak jest.

- Może dzieciaka nafaszerowali prochami, a sami śpią.

- Czy pani nie rozumie? Nic się tam nie rusza. Słyszę tykanie zegara i, jeżeli pani zechce, mogę powiedzieć, w którym znajduje się on pokoju. Słyszę szum wody w kaloryferach i pykanie w rurach, ale nie słyszę, aby ktoś chrapał albo przewracał się na łóżku. Te mikrofony mogą uchwycić dźwięk oddechu, ale niczego takiego nie słyszę.

Rozległ się statyczny szum, a potem inny głos wtrącił:

- Tu nadinspektor Hignett.

- Panie nadinspektorze...

- Pora wkroczyć, Louise.

W jednej chwili jakby silny prąd przeszył wnętrze furgonetki. Wszyscy poderwali się, popatrując na siebie nawzajem, a Thome przykucnął przy drzwiach, podczas gdy Porter wydała wszystkim jednostkom polecenie przygotowania się do wejścia do obiektu.

Thome rozsunał drzwiczki i zeskoczył na jezdnię. Poczł dłoń Porter na ramieniu, wbiła w nie palce i pociągnęła go do tyłu'.

- Zaczekaj tam. Nie chcę, abyśmy wchodzili tam całą zgrają uzbrojeni po zęby.

- Żartujesz sobie?

Porter otarła z ust kropelkę śliny Thorne a.

- Posłuchaj, Heeney też zostaje, więc się nie wygłupiaj.

- Kto o tym decyduje?

- Ty miałaś tylko pomóc, nie zapominaj o tym. Nie mam czasu się z tobą kłócić.

Zostań w wozie i nasłuchuj komunikatów przez radio.

Thome patrzył, jak ona i Parsons biegną w stronę Bow Road, po czym wrócił do furgonetki. Heeney znów siedział na krzeselku, gapiąc się na swoje stopy, podczas gdy Thome minął go, by zająć miejsce Porter przy monitorach. Potężny detektyw sierżant mruknął tylko, że Porter „ma zły dzień”.

Thome odwrócił się i przestał go słuchać. Usiadł na jednym z krzesełek, nachylił się bardziej i wlepił wzrok w niewielki ekran, gdzie widać było migocący obraz czarnej metalowej drabinki wyjścia pożarowego. Gdy ma się do sforsowania tylko jedne drzwi, wszyscy stawiają na tylne wejście. Co istotniejsze, gdy w grę wchodzi możliwość użycia broni, lepiej robić to z dala od ulicy.

Thome nawet nie mrugnął.

Przez dwadzieścia, dwadzieścia pięć sekund obraz pozostawał niezmienny, aż w końcu wypełnił się ruchem, gdy pojawiło się tam dziesięć, a może nawet więcej postaci. Nadchodziły z tyłu i z boków zarośniętego, zaniedbanego ogrodu, przelaząc przezeń i przemykając wzdłuż mocno podniszczonego muru w stronę podnóża schodów.

Potem energiczne gesty, sygnały przekazywane gestami rąk i w górę po schodach, szybkość nie była tak ważna jak zachowanie ciszy i podkradnięcie się jak najbliżej obiektu. Zespół zebrał się pod drzwiami. Thome starał się wychwycić jak najwięcej szczegółów, wyobrażając sobie to, co było zbyt niewyraźne: kolbę karabinka MP5, napis „Policja” na kamizelce kuloodpornej, zeschnięte geranium w plastikowej doniczce...

W furgonetce z głośnika popłynęło kilka zduszonych komend. Thome dostrzegł Porter i Parsonsa, wydawało mu się, że rozpoznał też kilka twarzy. Zobaczył dwie kolejne postacie pojawiające się na ekranie i wiedział - choć tego nie spostrzegł - że zajmowały się zamontowaniem podgumowanych szczęk lewara hydraulicznego po obu stronach framugi. Byli to członkowie grupy specjalnej, Łowców Duchów, cywilnej jednostki współpracującej z policją, gdy konieczne było jak najszybsze wejście do jakiegoś zamkniętego pomieszczenia, ale subtelniejsze niż z użyciem tarana czy paru kopniaków policyjnego buta na grubym protektorze. Chłopaki z jednostki specjalnej odsunęli się od drzwi, podłączając kable do niewielkiego generatora, i dali znak, że są już gotowi. Spojrzeli w stronę Porter, czekając na sygnał, który otrzymali natychmiast.

Z monitora nie popłynął żaden dźwięk, ale Thome miał już kiedyś do czynienia z podobnym sprzętem do wyważania drzwi. Wyobraził sobie ostry syk sprężonego powietrza i szczęk kabli odbijających się o metalową podłogę. A potem trzask, gdy framuga została wyłamana, a drzwiom nie pozostało nic innego, jak wpaść do środka i runąć na podłogę pod

naporem stóp funkcjonariuszy z S, którzy wpadli jak burza do mieszkania Conrada Allena.

Kilka sekund później ekran znów opustoszał, przez wyłamane drzwi widać było fragment wnętrza mieszkania, a z tuzina krótkofalówek płynął istny chaos komunikatów, które brzmiały niczym odgłosy zażartej wymiany ognia. Dźwięki z głośnika odbijały się od metalowych ścian furgonetki: łoskot zderzenia i przekleństwo, polecenie, by usunąć się z drogi, rozkaz, by wszystkie osoby przebywające w mieszkaniu ujawniły się i wyszły z rękami w górze. Znów przekleństwa. Kakofonia stęknień i okrzyków.

- W kuchni czysto!

- Policja, nie ruszać się!

- W pierwszej sypialni i korytarzu czysto!

Thorne skrzywił się na dźwięk szorstkich głosów i zdyszanych oddechów, wsłuchując się w nie pośród statystycznego szumu. Wyobraził sobie funkcjonariuszy biegnących, zastygających w bezruchu, przywierających do ścian, przepatrujących przestrzeń przez celowniki karabinków szturmowych, usuwających się zdecydowanie na bok, gdy inne postacie mijały ich, przemykając przez cienie, wpadając do kolejnych pokoi i wychodząc z nich w szybkim, nerwowym rytmie.

- Czysto!

- Czysto i bezpiecznie!

Heeney mruknął:

- Mieszkanie jest puste.

- Zamknij się - wycedził Thome.

Nagle krzyk, głośniejszy od innych. Tylko jedno słowo, kluczowe.

- Ciało.

- Powtórz?

- Mamy ciało.

Thome wstaje, kuca, opiera się dłońmi o sufit. Wytęża słuch, by uchwycić coś więcej, cokolwiek przez ten szum i elastyczne sekundy martwego powietrza.

- Gdzie?

- Tutaj.

- Tutaj czyli, kurwa, gdzie?

- W drugiej sypialni.

Thome widzi to, kiedy zamyka oczy. Widział to już wcześniej, a w każdym razie coś zbliżonego: podeszwę trampka, czuprynę ciemnych włosów, sporo krwi.

- Jezu - szepcze z tyłu za nim Henney, ale Thorne już rusza w stronę drzwi, napiera na

nie ramieniem i biegnie ulicą w tym samym kierunku co Porter zaledwie przed kilkoma minutami. Ból eksploduje w jego plecach i piersi, kiedy tak biegnie, i pojawiają się kolejne obrazy, bez których mógł się obejść: palców i kciuków zaciśniętych na tłoczku strzykawki, drżenia wokół ust Juliet Mullen.

Dwa pojazdy jednostki bojowej, trzy radiowozy i karetka stoją już na ścieżce prowadzącej na tyły domu, w ogrodzie roi się od gliniarzy, zanim Thorne zdąży przegramolić się przez niski murek, kamizelkę kuloodporną, mokrą od potu, rzuca na trawę, depczą po niej technicy w kombinezonach spieszący w stronę drabinki wyjścia pożarowego. Słychać rozmowy i tupot, gdy kolejni policjanci schodzą lub wchodzą po metalowych stopniach. Smutki tytoniowego dymu wiją się obok nich, wzbijając się ku czystemu niebu, a Holland u podnóża schodów odwraca się do Thorne'a i unosi ręce, jakby pytał: Co się, kurwa, dzieje?

- Tom...

Thorne odwrócił się i zobaczył Porter idącą po trawniku w jego stronę. Zdyszany, niezbyt uprzejmie wypowiedział na głos niezadane pytanie Hollanda, po czym zadał drugie, zanim jeszcze zdążyła odpowiedzieć na pierwsze:

- Co z Lukiem?

Porter pokręciła głową.

- Żyje? Nie żyje? Co jest?

- Mamy tam, na górze, dwa ciała - odrzekła. - Prawie na pewno należą do Conrada Allena i jego dziewczyny. Wygląda na to, że obojgu poderżnięto gardła, w każdym razie na początek. Mamy nóż.

- Wobec tego gdzie jest chłopak? - spytał Thorne.

W pośpiechu, a może zniesmaczona tym, jak na nią warknął, Porter odwróciła się i skierowała w stronę zaparkowanych opodal pojazdów. Odpowiedziała:

- W chwili obecnej nie sposób tego stwierdzić i nie widzę sensu, aby nad tym debatować. Wiem tylko, że mamy parę martwych porywaczy i zakładnika, który zniknął bez śladu.

CZEŚĆ DRUGA

WSZYSTKO O KONTROLI

Luke

Wcześniej, kiedy się budził i dochodził do siebie, działo się to przeraźliwie wolno. Jak wynurzenie się na powierzchnię z wody gęstej niczym szkło. Widział, co było po drugiej stronie, ale nie miał siły mocniej pracować nogami i szybciej dotrzeć na powierzchnię. Tym razem jednak, kiedy to wszystko się stało, odnosił wrażenie, że odzyskał świadomość w sekundę i gdy tylko otworzył oczy, był ożywiony i wyczulony na każdy dźwięk, każde doznanie.

Czuł, jak krew pulsuje mu w żyłach.

Natychmiast usłyszał krzyki, stęknienia i odgłos rzeczy tłuczonych w sąsiednim pokoju. Klócili się. Słyszał już wcześniej, jak się sprzeczali, nawet kilka razy, ale teraz to brzmiało naprawdę poważnie i domyślił się, że właśnie ten hałas tak nagle go obudził. Coś w jego mózgu, jakiś dziwny instynkt przetrwania, który nigdy się nie wyłączał, obudził go, mówiąc, że to mogła być dla niego wymarzona okazja. Jak zwykle, kiedy tylko otworzył oczy, nie miał pojęcia, czy jest dzień, czy noc. Zasłony były szczelnie zaciągnięte. Jednak chyba po raz pierwszy był sam i nie miał związanych rąk, toteż po minucie czy dwóch podniósł się z rozłożonego na podłodze materaca, po czym podkrał się i lekko rozchylił zasłony. Na zewnątrz było ciemno, ale w wieżowcach naprzeciwko dostrzegł w oknach zapalone światła i migocący blask włączonych telewizorów. Domyślił się, że jest wczesny wieczór.

Starając się nie oddychać, stanął w bezruchu pośrodku pokoju, wsłuchując się w krzyki dochodzące z korytarza.

Zapamiętał rozkład całego mieszkania podczas kilku pierwszych wypraw do łazienki. Rozkład nie był zbyt skomplikowany, a on zawsze miał dobrą pamięć, umiał wyobrazić sobie różne rzeczy, potrafił tworzyć diagramy w komputerze i łączyć jedne rzeczy z innymi. Stojąc tak w ciemnościach, wiedział, że gdyby po wyjściu z pokoju, w którym się znajdował, skręcił w lewo, musiałby minąć jeszcze dwoje drzwi, zanim wyszedłby na ulicę. Wiedział to, ponieważ próbował wybiec przez jedno z nich pierwszego dnia i właśnie po tym zaczęli częściej robić mu zastrzyki. Lepiej było skręcić w prawo, ale wtedy musiałby minąć ich pokój, a poza tym pomiędzy nim a tylnym wyjściem miałby jeszcze jedno drzwi zamknięte na klucz. Był prawie pewien, że musiało tu być wyjście przez kuchnię, staroświeckie zejście pożarowe jak u jego niani. Nie widział tego, ale pamiętał metalowe stopnie i słyszał, jak

dudniły stopy mężczyzny, kiedy we dwójkę wnosili go po nich na górę.

Ile dni temu to było?

Odkąd się obudził, kilka razy dochodził do wniosku, że najlepiej byłoby, gdyby spróbował uciec teraz, póki byli zaabsorbowani czymś innym. Powinien postawić wszystko na jedną kartę i spróbować przemknąć obok nich, dopóki wciąż krzyczeli i ciskali w siebie nawzajem, czym popadło. Kilka razy opuszczała go odwaga i powtarzał, że jest małym zasranym tchórzem. Dygocąc w ciemnościach i nieomal lejąc po nogach, bał się zaryzykować i spróbować ucieczki.

W końcu krzyki ucichły i poczuł, że stopy same wyprowadzają go z pokoju, by zaraz potem skręcić w prawo. Mapa w jego głowie pulsowała jasno i wyraźnie, był małą jaskrawą plamką przesuwającą się powoli wzdłuż ciemnej linii i centymetr po centymetrze pokonującą kolejne fragmenty korytarza, przywierającą do ściany i usiłującą poruszać się bezszelestnie. Może nie był tak ożywiony i wyczulony, jak przypuszczał, ponieważ nagle wszystko zaczęło się zasnuwać mgłą i rozmywać, kiedy zajrzał przez otwarte drzwi do wnętrza sypialni. Kiedy zobaczył Conrada i Amandę.

Kiedy zauważył nóż i schylił się, by go podnieść.

Wszystko od tej pory było nieostre i dziwnie pokręcone: od tej nie wiadomo jakiej pory aż do teraz, od tych niezwykłych chwil światła i koloru aż po obecną, powodującą odrętwienie, otępiającą ciemność.

Wspomnienia pojawiły się strzępami wraz z urywanymi przebłyskami kolejnych wydarzeń.

Eksplozje niezwykłej przejrzystości jak scena w horrorze, kiedy gaśnie światło, a ta głupia dziewczyna zapala zapalną i widzi twarz seryjnego mordercy: drzwi, w których stronę pobiegł, serce bijące jak młotem, świst ciężkiego oddechu, twarz kobiety w oknie domu zdająca się mijać go w zapierającym dech pędzie.

I ciepłe, wilgotne wspomnienie całego morza krwi.

8

Thome stał w szlafroku, pijąc herbatę i spoglądając na ogród w jaśniejącym brzasku. Jego wzrok przykuła puszka po piwie, którą zapomniał zabrać ubiegłej nocy, i nagle wychwycił jakiś ruch na końcu ogrodu i znieruchomiał na chwilę, obserwując dalej.

Lis szarpał coś, orząc łapami, w kącie, za jedną z niedawno kupionych przez Thorne a donic. Zastanawiał się, czy mogła to być wiewiórka albo pisklę, po czym stwierdził, że raczej stare opakowanie po hamburgerze lub resztki z KFC. Nie odwracając się, półgłosem zawołał

Elvis i nieco się rozluźnił, gdy poczuł dotyk wilgotnych zaropiałych ślepi kota na swojej kostce.

Stał w bezruchu, zaciskając dłonie na kubku, i starał się nie myśleć o tym, co może powiedzieć Russell Brigstocke, kiedy spotkają się za godzinę, dwie. Próbował myśleć o chłopaku, nie o ciałach, ale nie potrafił rozdzielić jednego od drugiego. Do tego czasu będą już mieć wyniki analizy krwi i noża, a kto wie, może pewna dziwaczna teoria, którą ktoś szeptem zaczął rozgłaszać na miejscu zbrodni, przerodzi się w potwierdzony przez dowody fakt. Thome miał inne zdanie na ten temat, ale jego teza była równie dziwaczna. I równie trudna do wyjaśnienia.

Gdzieś przed domem zawył alarm samochodowy, a Thome ujrzał, jak lis unosi wzrok i nieruchomieje. Zobaczył krople ściekające po bokach zwierzęcia, jego sierść ciemniejącą i przylepiającą się do ciała za sprawą deszczu. Po kilku sekundach zwierzę odwróciło się i bezceremonialnie wróciło do przerwane go posiłku.

Typowy londyńczyk, pomyślał Thome.

Upił łyk herbaty, ale już prawie wystygła, więc opłukał kubek i poczłapał do sypialni, żeby się ubrać.

Wpadł na Brigstockea przy wejściu do Central 0, gdzie stał za nim w krótkiej kolejce do automatu z napojami. Rozmowa była dość idiotyczna, o tym, że ich stary czajnik w Becke House wygląda jak złom, o tym, że Spurs wciąż potrzebowali kogoś, kto umiałby strzelać dla nich gole. Wreszcie, po tym, jak Brigstocke odebrał swój napój, odwrócił się, oparł o maszynę i odezwał, gdy Thome podszedł bliżej, by nacisnąć guziki:

- Chciałeś ciała, no to masz.

I tyle.

Thome nie mógł nic powiedzieć ani zrobić, patrzył tylko przed siebie, łudząc się, że nie ma przy tym zbyt głupiej miny.

Ruszyli razem w stronę drugiego końca pomieszczenia, gdzie dwóch bardzo wkurzonych członków personelu cywilnego rozstawiło więcej krzeseł, niż Thome widział ostatnim razem, kiedy cały zespół zebrał się, by obejrzeć nagranie z Lukiem Mullenem.

- I co mamy z tym robić dalej? - spytał Thome.

- Myślę, że zebraliśmy się tu wszyscy, żeby to ustalić.

- Ale dlaczego tutaj? Czemu nie w Becke House?

- Rzuciliśmy monetę. - Brigstocke podmuchał na kawę. - I ja przegrałem.

Thome zaśmiał się, by zaraz zorientować się, że tylko jego to rozbawiło.

- Nie żartowałeś, prawda?

- Jednostka ds. Uprowadzeń chce mieć przewagę wynikającą z tego, że spotykamy się w ich centrali, a ja mam wygłosić mowę.

- Miło, że to wszystko jest realizowane z takim profesjonalizmem.

- Otóż to - rzucił Brigstocke. - Nikt z nas nie miał nigdy do czynienia z podobną sprawą.

- Zespół techników i ekspertów w dziedzinie kryminologii sądowej urabiał sobie ręce po łokcie przez całą noc i wiadomo już, że krew znaleziona na miejscu zbrodni nie należała do Luke a Mullen. Wiemy jednak, że tam był. Jego odciski palców odkryto w mniejszej sypialni, gdzie, jak wszystko na to wskazuje, był przetrzymywany, i gdzie, jak jesteśmy pewni na dziewięćdziesiąt dziewięć procent, nagrano tę taśmę. Odciski palców Luke a znaleziono także na nożu, którego użyto, by zabić Conrada Allena i jego dziewczynę, która, jak wynika z zeznań właściciela salonu samochodowego z Wood Green i z dokumentów znalezionych na miejscu zdarzenia, nazywała się Amanda Tickell. Matka panny Tickell jest obecnie w kostnicy, gdzie ma dokonać oficjalnej i formalnej identyfikacji zwłok.

Brigstocke, mówiąc te słowa, przesuwiał się o krok to w lewo, to w prawo, ale to raczej jego głos, a nie język ciała przykuwały uwagę siedzących przed nim ponad pięćdziesięciorga kobiet i mężczyzn. Choć grube okulary i rozwichrzona fryzura często przydawały nadinspektorowi nieco komicznego wyrazu, mógłby zacząć recytować książkę telefoniczną i nikt ze słuchających nawet by okiem nie mrugnął. Czy zadecydował rzut monetą, czy nie, potrafił przykuć uwagę znacznie lepiej niż jego odpowiednik z S07. Thome domyślał się, że właśnie dlatego to Barry Hignett słuchał, stojąc nieco z boku i starając się sprawiać wrażenie, jakby współtworzył treść wypowiedzi swojego kolegi z Becke House. Brigstocke wskazał na ubraną na czarno postać w pierwszym rzędzie.

- Doktor Hendricks powie parę słów o tym, jak najprawdopodobniej dokonano tych morderstw.

Phil Hendricks wstał, podczas gdy Brigstocke przesunął się w stronę Barry ego Hignetta. Rozległy się szmery, ciche głosy i kilka kaszlnięć, gdy doszło do zmiany mówiącego. Thorne wykorzystał okazję, by wyprostować nogi, i jęknął pod nosem, kiedy fala bólu przeszła go od uda po kostkę. Siedział w tym samym rzędzie co Holland, Kitson i Stone, podczas gdy Porter, Parsons i reszta Jednostki ds. Uprowadzeń kilka rzędów przed nim. Thorne odebrał to jako wyznaczenie granic, innymi słowy uprzejme, ale stanowcze „wal się”.

Nie było jeszcze siódmej rano i jeżeli nie liczyć kilku świrów, reszta ogromnej sali pod barwnymi flagami świeciła pustkami.

- Najprawdopodobniej to właściwe słowo - rzekł Hendricks. - Autopsja zostanie

przeprowadzona dziś przed południem, toteż moje

spozrzeżenia są oparte na pobieżnych oględzinach zwłok, ich ułożenia na miejscu zbrodni, rozbryzgach krwi, głębokości ran itepe.

Hendricks patrzył wprost na Thorne a, nikt jednak nie domyśliłby się, że są przyjaciółmi. Thome dostatecznie często miał okazję widzieć, jak u jego przyjaciela włącza się chłodny profesjonalizm, i ani trochę go to już nie dziwiło, niemniej nadal podziwiał zdolność Hendricksa do uruchamiania tej cechy na żądanie, a co więcej, o tak wczesnej porze. Był zwięzły i konkretny, to prawdziwy atut, gdy miało się do czynienia z przeciętnym gliniarzem, i choć zawsze wyglądał tak samo, potrafił nawet nieco złagodzić swój szorstki manczesterski akcent.

- Podejrzewam, że choć Allen raczej nie umarł pierwszy - ciągnął Hendricks - to właśnie jego zaatakowano pierwszego, z zaskoczenia. Przypuszczalnie zabójca rzucił się na niego od tyłu i sięgając jedną ręką do przodu, zamaszystym ruchem poderznął mu gardło.

Hendricks uniósł ręce, by to zademonstrować, jego prawa dłoń energicznie przecięła powietrze.

- Zanim wykrwawił się na śmierć, mogło minąć kilka minut, ale od chwili, gdy go zaatakowano, został skutecznie wyłączony z gry. Po prostu upadł na podłogę i już się nie podniósł.

- Jak wysoki musiał być napastnik? - zapytał Hignett.

- Nie potrafię dokładnie...

- Tak w przybliżeniu.

- Sądząc z kąta, pod jakim ostrze przeszło przez tchawicę, powiedziałbym, że tego samego wzrostu co Allen. Jakieś metr osiemdziesiąt.

Hignett spojrzał na swoją ekipę.

- Luke ma metr siedemdziesiąt pięć - rzekła Porter.

Hendricks popatrzył na Brigstockea, a ten skinął głową, aby mówić dalej.

- Kobieta zmarła wskutek licznych różnorodnych ran kłutych - powiedział. - Ma obrażenia na ramionach, które świadczą o tym, że próbowała się bronić, oraz kilkanaście ran ciętych na szyi i klatce piersiowej. Powiedziałbym, że napastnik musiał być od niej znacznie silniejszy. Najprawdopodobniej zobaczyła, co stało się z Allenem, próbowała walczyć, ale nie była dość silna.

Hendricks zerknął w stronę, gdzie stał Hignett, przewidując następne pytanie.

- Nie była słabą kobietą, a w każdym razie nie jak typowa ćpunka. Miała dość wyraźnie zarysowane mięśnie...

- Lukę Mullen uprawiał w szkole różne dyscypliny sportu - wtrącił Hignett. - Chyba możemy przypuszczać, że starczyłoby mu siły, aby pokonać kobietę z nożem czy bez niego.

Thorne dość już usłyszał.

- Możemy?

Zacisnął mięśnie szczęk, ale poczuł, że krew napływa mu do twarzy, kiedy spojrzenia wszystkich zwróciły się ku niemu.

- W tej szkole wszyscy uprawiają sport, ale to nie oznacza, że dzieciak był szczególnie wysportowany... albo silny. Tego dnia, kiedy został wprowadzony, rano posprzeczał się z ojcem, bo nie zakwalifikował się do drużyny rugby.

- Zarysowujemy tylko możliwości - rzekł Hignett. - Gdyby ta hipoteza mogła zostać przez nas wyeliminowana, chętnie byśmy ją skreślili.

Wskazał na Hendricksa, który najwyraźniej nie wiedział, czy ma z powrotem usiąść.

- Możesz mi wierzyć, żadna z tych odpowiedzi nie była tą, którą chciałem usłyszeć.

- W porządku - Thome silił się na pojednawczy ton. - Ale odniosłem wrażenie, że zdania zostały już ustalone.

Hignett pokiwał głową, lecz w jego głosie pojawił się złowieszczy ton:

- Nigdy dotąd nie mieliśmy takiego przypadku. Zdarzały się uprowadzenia przeradzające się w morderstwa. W sumie nawet wiele. Ale w każdym wypadku ofiarą był zakładnik. To nie jest typowe, że ofiarami stają się porywacze, więc mam nadzieję, że wybaczysz nam, że na tym etapie śledztwa rozważamy wszelkie możliwości.

- Ale przecież nie rozważacie wszystkich możliwości...

- To ty wydajesz się mieć umysł pracujący jednotorowo. Zablokowałeś się. I najwyraźniej nie zwracasz uwagi na niezbite dowody.

Thome poczuł na sobie wzrok innych. Spojrzenia Brigstocke a iPorter.

- Oczywiście, że zwracam. Nie zaprzeczam, że na nożu były odciski palców chłopaka i w ogóle, ale zastanawia mnie także, dlaczego drzwi do mieszkania były zamknięte na klucz. Dlaczego Lukę Mullen ni stąd, ni zowąd postanowił nagle pozabijać swoich porywaczy, a potem uciekł w noc, nie zapomniawszy uprzednio zamknąć za sobą drzwi na klucz.

- Sprawdzamy to.

- Przede wszystkim jednak zastanawiam się, gdzie on jest. Dlaczego nie skontaktował się z nami albo z rodziną.

Funkcjonariusz S07 siedzący dwa rzędy przed nim wtrącił:

- Może dlatego, że właśnie zabił dwoje ludzi i boi się ujawnić.

Porter odchrząknęła.

- Albo nie może się ujawnić.

Thome nie wątpił, że Hignett należał do tych funkcjonariuszy, którzy doskonale wiedzą, jak trzeba postępować, gdy zwracają się do swojego zespołu. W obecnej sytuacji czuł się odrobinę niepewnie i zerknął na Brigstocke a, jakby liczył, że wspólnie zdołają ją opanować.

Brigstocke znów postąpił naprzód, równocześnie gestem nakazując Philowi Hendricksowi, aby usiadł, i zanim zaczął mówić, spiorunował Thornea wzrokiem.

- Jak powiedział nadinspektor Hignett, ta sprawa jest nietypowa i dziwna dla nas wszystkich. Działamy po omacku i na pewno nie obejdzie się bez pomyłek. Co się tyczy kierunku, w jakim zmierzamy, będziemy brać pod uwagę materiał dowodowy, tak jak w wypadku każdego prowadzonego przez nas dochodzenia. Mając to na uwadze, musimy liczyć się z ewentualnością, że z bliżej nieznanymi powodami to Luke Mullen zabił swoich porwawczy. Jednak równie bacznie zbadamy tezę, zgodnie z którą w grę wchodzi nieznane nam jak dotąd osoby

trzęcie, które zamordowały Allena i Tickell, porwały Luke a i obecnie przetrzymują go w jakimś innym miejscu.

Brigstocke spojrział na oficera z S07, który najwyraźniej zadowolony z tego wyjaśnienia chciał mówić dalej.

- Dobrze, przejdźmy do rzeczy - rzekł Hignett i zwrócił się do swoich ludzi: - Dobre wieści dla tych, którzy mieszkają nieco dalej na północ, i gorsze dla wszystkich pozostałych, ale będziemy prowadzić działania z centrali w Becke House w Peel Centre.

Z dwóch stron sali napłynęły skrajnie sprzeczne reakcje. Hignett uniósł ręce.

- Obawiam się, że to rozsądne posunięcie. Szykuje się szeroko zakrojone śledztwo w sprawie morderstwa, a Colindale jest bliżej domu Mullenów. Niektórzy z was będą nadal prowadzić działania stąd, chciałem jednak uniknąć marnowania czasu na dojazdy. Pół dnia zajmowałyby wam przebiecie się przez miasto, a my nie mamy czasu.

Spojrział w stronę, gdzie siedział Thome, po czym z sarkazmem, ale i nie bez racji dodał:

- Luke Mullen może nie mieć czasu.

- Musimy wziąć się ostro do roboty - potwierdził Brigstocke. - To oznacza dzielenie się zasobami i wymianę informacji, nie widzę powodu, dlaczego to miałyby się nie udać. Możemy pozwolić sobie na poprowadzenie tego dochodzenia wielotorowo, bo w ostatecznym rozrachunku wszystkie tropy i tak zbiegną się w jednym punkcie.

Tym razem powinien skomentować wypowiedź Brigstocke a, jednak Thome

zmitygował się i spuścił wzrok, zanim nadinspektor wychwycił jego spojrzenie. Przez resztę odprawy wlepił wzrok w swoje buty.

- Ponieważ wszyscy zgadzamy się co do jednego - ciągnął Brigstocke - że jeżeli uda nam się odnaleźć tego, kto zabił dwoje porywaczy, tak czy inaczej odnajdziemy Luke a Mullena.

- Cóż, to było zabawne - rzekła Kitson.

Thome wraz z kilkorgiem innych osób z Wydziału Zabójstw skierował się ku wyjściu. Pomimo minorowego nastroju, dominującego przez ostatnie pół godziny, wciąż miał dobry humor. Cieszył się ze spotkania z Kitson i Karimem, z tego, że znów będą pracować razem, choć nikt tak do końca nie przemyślał i nie ustalił konkretnego przebiegu całej operacji.

Thome i Kitson przystanęli przy windzie.

- Sprecyzuj „zabawne” - powiedział Thome.

- Dobra. Tak zabawne jak wkręcenie sobie cyków w wyżymaczkę.

Kitson uśmiechnęła się drwiąco, ale już po chwili spoważniała.

Thorne odniósł wrażenie, że wyglądała na jeszcze bardziej zmęczoną i wyczerpaną, niż kiedy widział ją przed kilkoma dniami w Becke House.

- A jak się rozwija ten nowy trop w sprawie zabójstwa Latifa? - zapytał.

- To dopiero początek...

Odniósł wrażenie, jakby wpatrywała się w jego twarz, szukając na niej oznak tego, że go przekonała, ale bez powodzenia.

- Spieprzyłam sprawę - rzekła.

- Jak to?

Odeszła na kilka kroków od windy, a Thorne podążył za nią.

- Odkąd Holland przyszedł z tym do mnie, zastanawiałam się, jakie to dziwne, że wcześniej nie wzięto tego Farrella po lupę. Portret pamięciowy stworzony dzięki rysopisowi podanemu przez kolegę Amina Latifa nie jest stuprocentowo zbieżny, chodzi o fryzurę, ale w sumie podobieństwo jest uderzające. Mówię to z pełnym przekonaniem. Wystarczy spojrzeć na tego chłopaka, Tom, i jeżeli pamiętasz portret pamięciowy od razu zorientujesz się, że to on.

- Jasne.

Thome naturalnie widział portret pamięciowy, ale nie znał szczegółów dochodzenia. To było jedno ze śledztw, które zespół rozpoczął, kiedy on wciąż jeszcze badał sprawę zabójstw bezdomnych.

- Bez przerwy pytam samą siebie, że skoro to tak cholernie oczywiste, dlaczego nikt

nie zadzwonił i nie zasugerował, abyśmy zainteresowali się niejakim Adrianem Farrellem? Ten portret prezentowano na łamach „Standarda” i w telewizji w Crimewatch.

- I?

- Sprawdziłam to... Ktoś jednak zadzwonił, w październiku ubiegłego roku zarejestrowano dwa zgłoszenia z sugestią, że powinniśmy baczniej mu się przyjrzeć, ale nikt tego nie zrobił. Nie wymieniono go z nazwiska. To brzmiało raczej jak: do klasy z moim synem chodzi chłopak, który wygląda jak ten z portretu pamięciowego. Podano jednak nazwę szkoły, a mimo to z jakiegoś powodu zgłoszenie pozostało bez odzewu, nikt tego nigdy nie sprawdził. Zgłoszenia utonęły w aktach, zignorowane, i ostatecznie dopiero ja wróciłam do tej sprawy.

- Chwileczkę, nie ty je zignorowałaś. Po prostu o nich nie wiedziałaś.

- Dowiem się, kto je zignorował, ale nie o to chodzi. Kimkolwiek był, ten ktoś przypuszczalnie uznał tę informację za nieistotną. Po prostu ją zbył. Jeżeli chodzi o tę sprawę, takich telefonów, które niczego nie wniosły do śledztwa, było wiele. W sumie nic dziwnego, że i te ktoś postanowił zignorować.

- Zwykle to, co najbardziej oczywiste, okazuje się właściwe, Yvonne.

- Cóż, tym razem tak nie było - zniżyła głos, ale mówiła z coraz większym napięciem i przejęciem. - Goniliśmy za własnym ogonem, a kiedy ktoś wspomniał o ekskluzywnej szkole oddalonej o osiem, dziesięć kilometrów zignorowaliśmy to zgłoszenie, bo sądziliśmy, że szukamy we właściwym miejscu. Bo byliśmy zbyt zajęci, rozmawiając z dziećmiakami z zawodówek w zapyziałych zakątkach Edgware i Bumt Oak. Pukaliśmy do wszystkich drzwi na terenie osiedla Deansbrook i Wallgrove...

Zza rogu wyłonił się Andy Stone i Kitson zamilkła. Stone skinął głową do nich obojga i nie zatrzymując się, poszedł dalej. Thome

pomyślał, że Stone nie jest może najbystrzejszym gliną, jakiego zna, ale od czasu do czasu instynktownie robi to, czego po nim oczekiwano.

Kitson znów się odezwała:

- Teraz ten dzieciak może sobie pozwolić na arogancję, bo wie, że mu się upiekło. Bo na to pozwoliliśmy. Może się puszyć, nosząc ten sam kolczyk, jaki miał tamtego wieczoru, kiedy zabił Amina Latifa, bo uważa, że jest nietykalny.

Funkcjonariusz przy windzie kopnął w drzwi, po czym minawszy ich, ruszył szybkim krokiem w stronę schodów, mówiąc na głos, że nie zamierza dłużej czekać i ma ochotę zapalić.

- O fuszerkach wiem aż za dużo - przyznał Thome. - Robiłem rzeczy, w porównaniu z

którymi to, o czym mówisz, to małe miki.

Skóra wokół oczu Kitson jakby trochę się rozluźniła.

- Nie zamierzam się spierać - skwitowała.

- To nie miałyby sensu.

- Po prostu chcę to naprawić.

- I o to właśnie chodzi. W przeciwieństwie do większości moich fuszerek wygląda na to, że może ci się udać.

Teraz, kiedy opuścili już niebezpieczne terytorium, ponownie podeszli do windy.

- Zważywszy na to, jak w ogóle wpadliśmy na tego Farrella, czy istnieje możliwość, że tamta sprawa łączy się jakoś z obecną? - Kitson wcisnęła guzik. - Jesteśmy pewni, że znał Mullena.

Biorąc pod uwagę osobliwy zwrot w sprawie, jaki nastąpił w ciągu ostatnich dwunastu godzin, Thome uznał, że to mało prawdopodobne, aby istniał jakiś związek pomiędzy porwaniem Luke a Mullena a zabójstwem na tle rasowym sprzed pół roku. Pamiętał jednak, co sam powiedział Kitson o najprostszych rozwiązaniach.

- Nie zaszkodziłoby z nim porozmawiać, gdy będziesz mieć po temu okazję - powiedział.

Podjechała winda i wsiedli do niej.

- Zamierzam to zrobić - rzekła Kitson. - Ale z tym dzieciakiem niełatwo się rozmawia.

- A nawiasem mówiąc, jak tam twoja trójka?

Drzwi rozsunęły się i do windy bezszelestnie wsiadł funkcjonariusz z Wydziału ds. Przystępstw Szczególnych i Przystępczości Zorganizowanej. Kitson odpowiedziała Thomeowi, jakby porównywała własne dzieci z innymi, które spotkała w ostatnich dniach:

- Cud, kurwa, miód.

Gdy zjechali na parter i przechodzili przez obrotowe drzwi, rozległ się sygnał komórki Thome'a.

- Mówi Graham Hoolihan. Zostawił pan wiadomość...

Hoolihan był nadinspektorem, o którym Thome'owi wspomniała Carol Chamberlain. Pięć lat temu prowadził śledztwo w sprawie zabójstwa Sarah Hanley, zamordowanej, jak sądzono, przez jej chłopaka, Granta Freestone'a. Wczoraj po południu Thome próbował się skontaktować z Hoolihanem.

- Dziękuję, że tak szybko pan oddzwonił - powiedział Thome. - Nie wiem, czy Carol Chamberlain wspomniała, dlaczego interesujemy się Grantem Freestone'em...

Okazało się, że tak, ale to nie usatysfakcjonowało Hoolihana. Thome powtórzył mu

wszystko raz jeszcze. Przed Scotland Yardem na ulicy było tłoczno, ludzie spieszyli do pracy, kierując się w stronę Parliament Square i Buckingham Gate. Choć przestało padać, niektórzy przechodnie nie złożyli parasoli, jakby spodziewali się, że lada chwila znów lunie.

Hoolihan nie znał Tony ego Mullena i nie wiedział o pogrożkach, jakie mógł pod jego adresem wysuwać Grant Freestone. Był natomiast pewien jednego - Freestone nie jest materiałem na porywacza.

Thome dziwił się, że ludzie tak łatwo i szybko przyporządkowali przestępców do takiej czy innej kategorii. Czy wynikało to z lenistwa, czy braku wyobraźni, nieodmiennie go to zdumiewało. Skoro powszechnie szanowany lekarz może w wolnym czasie przeistaczać się w seryjnego zabójcę, dlaczego tak trudno było komuś przyjąć, że znany pedofil i domniemany morderca mógł kogoś uprowadzić?

- Znał go pan? - spytał Thome.

- Nigdy go nie spotkałem - odparł Hoolihan - choć liczę na to, że któregoś dnia będę mieć tę przyjemność.

- Ja też na to liczę i mam nadzieję, że pańskie życzenie się spełni.

Thome uznał, że jego rozmówca jest człowiekiem nie lubiącym przegrywać, lecz jego zdaniem wynikało to raczej z faktu, że zazwyczaj wygrywał, a nie z tego, że przepełniało go dojmujące poczucie niesprawiedliwości. Zazwyczaj wszystko sprowadzało się do żądy zwycięstwa lub pasji.

- Mógłby pan spróbować pomówić z kimś z komórki nadzoru kuratorskiego Freestonea. Oni powinni znać tego skurwiela. Bądź co bądź obserwowali go przez pół roku, po tym jak wyszedł.

- Dzięki. Tak właśnie zrobię.

- Niestety nie mogę panu powiedzieć, kto się tym zajmował, znam tylko nazwisko gliniarza zaangażowanego w sprawę. Wygrzebałem jego nazwisko, zanim do pana zadzwoniłem.

Thome sięgnął do kieszeni kurtki i zapisał szczegóły na odwrocie zużytej karty miejskiej.

- On powinien znać nazwiska innych osób z zespołu kuratorskiego, zgadza się?

- Nie mam pojęcia - odrzekł Hoolihan. - My na pewno nie mieliśmy z nimi nic do czynienia. Chcieliśmy tylko znaleźć Freestone a. Kiedy się ulotnił, cała grupa pracowników społecznych, czy jak ich tam zwał, nie była nikomu do niczego potrzebna. Moim zdaniem to wszystko było jedną wielką stratą czasu. Banda dobroczyńców z bożej łaski, którzy nigdy nie zrobili nic dobrego.

- Dlaczego „dobroczyńców z bożej łaski”?

- Postanowili powiedzieć Sarah Hanley o Freestonie. O tym, jaki jest. A potem powiedzieli Freestonowi, co zrobili, i facet od razu poszedł do niej, wdał się z Hanley w kłótnię i przebił tą kretynką przeszklony blat stolika do kawy.

- Uważa pan, że to była wina zespołu kuratorskiego, że to przez nich zginęła Sarah Hanley?

Hoolihan zamilkł; może nie chciał tak otwarcie deklorować swoich poglądów.

- MAPPA, w skrócie PP ma oznaczać Protektorat Publiczny...

Rozmowa już wkrótce dobiegła końca, bo obaj mężczyźni mieli swoje obowiązki. Później Thorne, siedząc na betonowym słupku, odbył cztery rozmowy telefoniczne, by namierzyć nadinspektora Calluma Ropera. Kiedy dopiął swego, umówił się z nim na spotkanie jeszcze tego samego dnia przed południem. Podczas ich krótkiej rozmowy streścił sprawę Mullena, podrzucając przy okazji nazwiska Hignetta, Brigstockea i Jesmonda, co miało podkreślić powagę sytuacji. Ani słowem nie wspomniał o Grancie Freestonie.

Następnie ruszył w stronę stacji metra Westminster, wymieniając skinienie głowy z uzbrojonym funkcjonariuszem, którego znał z widzenia. Patrzył, jak dzieciak z fryzurą na irokeza pozuje obok funkcjonariusza, podczas gdy kumpel robił im obu zdjęcie. Policjant uśmiechnął się łagodnie i położył rękę na ramieniu chłopaka. Dzieciak wyszczerzył się głupkowato i wskazał w stronę pistoletu maszynowego policjanta. Thome odwrócił się, kiedy usłyszał za sobą na chodniku tupot stóp.

- Zaczekaj...

Porter zrównała się z nim i mszyli dalej razem. Od zdawkowej wymiany zdań ubiegłej nocy na miejscu zbrodni nie rozmawiali ze sobą.

- Jak na niskopiennego typu całkiem szybko chodzisz - zauważyła.

W milczeniu minęli Christchurch Gardens, będące pierwotnie częścią St Margaret's, Westminster i miejsce spoczynku siedemnastowiecznego irlandzkiego awanturnika Thomasa „Pułkownika” Blooda, który skradł klejnoty koronne. Prawdę mówiąc, Blooda pochowano dwukrotnie; jego ciało zostało wykopane przez tych, którzy pragnęli upewnić się, czy naprawdę nie żyje, po czym pogrzebano go raz jeszcze. Thome sam znał paru przestępców, których na całe szczęście nie było już na tym świecie i których warto byłoby sprawdzić, ot tak, dla zasady...

- Dzięki za zabranie głosu podczas odprawy - powiedział.

- W związku z czym?

- Chodzi mi o to, co powiedziałaś o Lukeu. O tym, że może nie jest w stanie nawiązać

z nikim kontaktu. To jakiś absurd z tą teorią, że mógłby kogoś zabić.

- Szczerze mówiąc, nie jestem pewna, co mam o tym myśleć.

Thome wyglądał na zaskoczonego i nie wahał się otwarcie dać do zrozumienia, że sam nie ma w tej kwestii najmniejszych wątpliwości.

- To jakaś bzdura. Ktoś go przetrzymuje.

- Kto?

Thome prawie się uśmiechnął.

- Nie znam wszystkich cholernych odpowiedzi.

Na północnym krańcu Victoria Street widok był o wiele ciekawszy, gdy pośród szarówki stało się widoczne London Eye, a monstrualny gmach Wydziału Handlu i Przemysłu ustąpił miejsca splendorowi opactwu westminsterskiemu i znajdującemu się za nim Pałacowi Westminsterskiemu. Było kilka minut po ósmej, wciąż zanosilo się na deszcz, ale na ulicach już zaroilo się od pstrykających fotki turystów oprowadzanych podczas mocno przepłacanych wycieczek przez wymachujących parasolkami przewodników.

- Dlaczego nie pójdziemy dalej, aż do Embankment? - spytała Porter. - Możemy stamtąd dotrzeć pociągiem Northern Line aż do Colindale. Mógłbyś oprowadzić mnie jak turystkę dookoła Becke House.

Thorne zatrzymał się i zaczekał na możliwość przejścia przez jezdnię.

- Jeszcze tam nie wracam. Nie mam nic do roboty, więc zamierzam zająć się bliżej sprawą Freestone a.

- Brzmi rozsądnie.

- Pomówię z kimś, kto go znał.

Porter cofnęła się od krawężnika, gdy ciężarówka wyminęła auto osobowe od wewnętrznej.

- Nie przydałoby ci się towarzystwo?

- Może spotkalibyśmy się trochę później? - spytał w odpowiedzi Thome.

- Dobra - przytaknęła, choć sprawiała wrażenie, jakby chciała powiedzieć znacznie więcej.

Thorne wypatrzył lukę w ruchu ulicznym i wykorzystał tę szansę.

- Co powiesz na to, żebyśmy dzwoniли się po lunchu?

Zanim jeszcze przeszedł przez ulicę, znów się rozpadało. Przyspieszył, skręcając w stronę rzeki, i ruszył ku stacji metra, a z każdym kolejnym krokiem czuł się coraz bardziej przemoczony i żalorny.

Jeżeli wystrój i wyposażenie Central 0 sprawiały, że w porównaniu z nimi gabinet Thorne a w Becke House wydawał mu się nędzną klitką, to przy biurze nadinspektora Calluma Ropera na dwunastym piętrze Empress był niczym średniowieczna cela. Roper zauważył tę refleksję w wyrazie twarzy Thorne a, gdy wprowadził go do środka.

- To tylko dlatego, że jest nowy - powiedział.

Kiedy w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym pierwszym roku zbudowano Empress State Building, trzydziestopiętrowy wieżowiec w Hammersmith, prezentował się na tyle imponująco, że nadano mu nazwę na cześć światowej sławy drapacza chmur zza Atlantyku. W owych czasach charakterystyczna budowla o trójkątnej podstawie wyglądała radykalnie i interesująco, ale po czterdziestu latach z okładem rozpaczliwie potrzebowała na renowację osiemdziesięciu milionów funtów, które pozwoliły jej odzyskać część dawnej chwały. Choć nie tak urzekające jak Ark ze stali i szkła, nieco dalej, przy tej samej ulicy, wnętrza Empress w dalszym ciągu przykuwały uwagę, a prawie połowę przestrzeni biurowej, za lśniącymi, niebieskimi, podwójnie pokrywanymi, reagującymi na natężenie oświetlenia szybami, zajmowały wydziały miejskiej policji.

Thome stał w rozległym atrium i rozglądał się wkoło, gdy jego legitymację przepuszczano przez pierwszą z trzech bramek kontrolnych. Był nieco przygnębiony faktem, że budynek, o rok młodszy od niego, wymagał gruntownej renowacji. Ile jeszcze czasu upłynie, zanim jego profil, front i zaplecze zaczną się dopominać o równie generalny remont? Schował portfel i poczuł ukłucie bólu, kiedy sięgnął ręką do tylnej kieszeni. Co masz na myśl pytając „ile jeszcze czasu upłynie”?

Choć pracował przy biurku, za które Donald Trump mógłby popełnić morderstwo, Roper poprowadził Thorne a na drugi koniec swojego gabinetu, gdzie wokół niskiego przeszklonego stolika stały cztery fotele w kolorze owsianki. Roper odsunął na bok teczkę, patrząc, jak młoda kobieta ze śladami szminki na zębach stawia tacę z kawą i biszkoptami w celofanowym opakowaniu.

- Wie pan, jacy są gliniarze - powiedział. - Za miesiąc to miejsce będzie wyglądać jak nora.

Thome uśmiechnął się i pokiwał głową, choć szczerze w to wątpił. Przyjrzał się Roperowi równie szybko, jak otaksował otoczenie, i stwierdził, że musi on być człowiekiem schludnym i praktycznym. Wysoki, wyglądał na wysportowanego jak na mężczyznę po pięćdziesiątce, jak go ocenił Thome, z włosami, które zostały subtelnie podfarbowane i starannie przycięte jak doskonale skrojony ciemnograny garnitur, jaki nosił. Ten

człowiek niczego nie pozostawiał przypadkowi i starał się mieć wszystko pod kontrolą.

Kiedy powiedział „nowy”, Roper mówił o sobie i swoim zespole, jak również o miejscu, które zajmowali. Wydział Dochodzeń Specjalnych był odpryskiem czegoś, co dawniej składało się na Wydział ds. Oszustw, częścią Jednostki Operacji Szczególnych, które przemianowano na SCD6. Zespoły, które do niej należały, zebrano razem, by poprowadziły wszystkie sprawy, których ofiara albo sprawca mieli się znaleźć na celowniku opinii publicznej. Wydziałowi Dochodzeń Specjalnych przydzielano sprawy związane z korupcją w parlamencie, szantażowaniem osobistości telewizyjnych, naćpanych po uszy gwiazdek popu i nagannymi zachowaniami celebrytów. Uważano te zadania za prestiżowe, a Callum Roper sprawiał wrażenie, jakby szczerze cieszył się z przynależności do tej grupy.

Holland nazwał kiedyś ten wydział „wydziałem dochodzeń seksownych”. Thome zwrócił kiedyś uwagę, że on i Holland całymi dniami wylawiali z cuchnącej rzeki obrzmiałe, spuchnięte zwłoki albo próbowali zidentyfikować ciała spalone na węgiel. W porównaniu z tym nawet wypisywanie mandatów musiało wydawać się seksownym zajęciem.

- A więc rozmawiał pan z Grahamem Hoolihanem?

Roper już poczęstował się biskopem i zadał to pytanie z pełnymi ustami, jakby nagle przyszło mu ono do głowy.

- Owszem, tak.

Thome był zbity z tropu, ale nie dał tego po sobie poznać, a przynajmniej miał taką nadzieję. Zastanawiał się gorączkowo, jakim cudem Roper tak szybko przywołał skojarzenie z Freestoneem.

Roper sięgnął po kawę i udzielił odpowiedzi, zanim jeszcze Thorne sam do niej doszedł.

- Zadzwoiłem tu i tam. Dowiedziałem się, że pana zdaniem wasz porywacz mógł wcześniej grozić Mullenowi.

Thome upomniał się w duchu, aby w kolejnych rozmowach nie wymieniać nazwiska Trevora Jesmonda.

- Nie pamiętam szczegółów - rzekł Roper - ale wiem, że nazwisko Mullena pojawiło się w oficjalnych dokumentach zespołów kuratorskich MAPPA. Chyba w którymś z ich raportów. Grant Freestone groził Mullenowi w czasach, kiedy został przez niego zapuszkowany, zgadza się?

Thome powiedział Roperowi tyle, ile sam wiedział; zrelacjonował mu, czego świadkiem była na sali sądowej Carol Chamberlain.

- Znał pan Tony'ego Mullena? - zapytał.

Roper pokręcił głową.

- Nie, a gdybym nawet znał, to i tak niczego by nie zmieniło. Wszelkie groźby, jakie Freestone mógł kierować pod czymkolwiek adresem, wszystko, co robił wcześniej, nie miało znaczenia dla tego, co robiliśmy w zespole kuratorskim. Naszym zadaniem było nadzorować sposób, w jaki żył po wypuszczeniu na wolność. Tablica została wyczyszczona, rozumie pan?

- Nie za bardzo. Jak to, co zrobił wcześniej, mogło zostać puszczone w niepamięć?

- No cóż, oczywiście wiedzieliśmy, do czego był zdolny Freestone. Bądź co bądź właśnie dlatego powołano zespoły kuratorskie. Ale naszym zadaniem było monitorować przyszłość, a nie rozpamiętywać przeszłość. Jeżeli chodzi o pogroźki... o tak, gdyby został zauważony przed ich domem, podjęlibyśmy pewne kroki. Powiadomilibyśmy kogo trzeba.

To było uspokajające. Kawa, biszkopty i luźna pogawędka w fotelach miały wywołać miłe wrażenie. Ale Thome wychwytywał napięcie i defensywną postawę we wszystkim, co mówił Roper. Tak samo paryżanin mógłby zareagować na londyński akcent Thorne a, niezależnie jak płynnie detektyw inspektor mówiłby po francusku.

A on domyślał się, co było tego przyczyną.

- Jak pan sądzi, jaką rolę zespół kuratorski odegrał w tym, co spotkało Sarah Hanley?

Roper oblizał wargi i odstawił filiżankę.

- Co to ma wspólnego z waszym porwaniem?

Thome nawet nie próbował odpowiedzieć.

- Podjęto dwie decyzje. Z perspektywy czasu, co jest naprawdę cudowne, wiemy już, że jedna z nich była błędna.

- Decyzja, by powiedzieć Grantowi Freestone owi, że powiadomiliście jego dziewczynę o tym, co robił w przeszłości?

- Ze zamierzaliśmy ją poinformować - odparł Roper. - Nie zdążyliśmy, jasne? Freestone został powiadomiony o decyzji zespołu, ale zanim panna Hanley dowiedziała się czegokolwiek, Freestone wpadł tam jak burza i ją zabił.

Thome zignorował wcześniej pozbawione smaku croissanty, które rozdawano przed odprawą i teraz poczuł, że nie jadł jeszcze śniadania. Sięgnął po biszkopta.

- Dlaczego ktokolwiek uznał, że należy go ostrzec?

- Nie został ostrzeżony - Roper westchnął. - Zgodnie z naszą polityką mieliśmy informować byłego przestępcę, klienta, czy jak się ich dziś nazywa, o istotnych krokach dalszego postępowania. To oznaczało również powiadomienie go o tym, kto został zapoznany ze szczegółami jego kryminalnej przeszłości. Na przykład właściciel kamienicy, w której wynajmował mieszkanie, o niej wiedział. I powiedziano o tym Freestone owi. Niektórzy

uważali, że ma prawo wiedzieć.

- Niektórzy?

Roper spojrział surowo na Thomea. Zupełnie jakby chciał wymusić na nim szacunek, jaki należał mu się przez wzgląd na stopień służbowy, i że ewentualne zapytanie powinien zakończyć regulaminowym „panie nadinspektorze”. Koniec końców uznał, że gdyby o tym wspomniał, mogłoby to wyglądać jak wymuszenie i nie odniosłoby należnego rezultatu.

- To kwestia nacisków - powiedział. - Gdyby dziś zapytał pan tych, którzy pracowali wtedy w zespołach kuratorskich, czy ich zadaniem była ochrona niewinnych, czy resocjalizacja byłego skazańca, raczej nie doczekałby się pan prostej i jasnej odpowiedzi. Granica dzieląca jedno i drugie jest zbyt cienka, te dwie sprawy zbyt są od siebie zależne i jedna nie może obejść się bez drugiej, zgodnie z obowiązującymi zasadami.

- Ale nie wtedy, mam rację?

- Doszło do pewnej... różnicy zdań i punktu widzenia. Dla niektórych najważniejsze było skupienie się na ofierze i ochronie przyszłych ofiar. Inni odnosili się z większym współczuciem do sprawcy Wierzyli, że po odsiedzeniu zasądzonej kary powinien mieć możliwość powrotu do społeczeństwa i zasługuje na kredyt zaufania, a nie na nieufność objawiającą się podejrzliwością wobec wszystkich jego poczynań.

Roper rozsiadł się wygodnie w fotelu i zaplótł ręce.

- Ludzieci wierzyli, że moglibyśmy się postarać i pomóc Grantowi Freestone owi, aby zrobił coś dobrego. Inni tylko czekali, aż znowu coś spieprzy.

Uniósł rękę, spoglądając na Thome a, po czym delikatnie wygładził nogawkę spodni na wysokości uda.

- Bądźmy szczerzy, moje zdanie w tej kwestii nie ma absolutnie znaczenia dla pańskiego śledztwa, inspektorze.

To był najmarniejszy sposób wytyczenia granicy pomiędzy tymi, którzy uważali, że szklanka jest w połowie pełna, a tymi, którzy sądzili, że na wpół pusta. Przynajmniej zdaniem Thome a.

- Jak... rozstrzygaliście te... konflikty?

Roper odwrócił wzrok od twarzy Thome a i odparł:

- Poprzez kompromisy.

- Kto je proponował? Kto podejmował decyzje?

- Były dyskutowane.

- Przeprowadzono głosowanie?

- Nic aż takiego formalnego. Opinie niektórych wydziałów były po prostu cenione

bardziej od innych i miały większą wagę. Szczerze mówiąc, nie pamiętam, kto był odpowiedzialny za tę czy inną decyzję, i naprawdę nie rozumiem, dlaczego mogłoby to dziś kogokolwiek interesować.

- Domyślam się.

Mając w pamięci to, co stało się z Sarah Hanley, Thorne rozumiał, jak wielkim dobrodziejstwem była szwankująca pamięć.'

Z miejsca, gdzie siedział, widział policyjny helikopter krążący odwa kilometry dalej na tej samej wysokości, na której znajdował się obecnie on sam, a może niżej. Wiedział, że obraz z kamer w helikopterze był przekazywany bezpośrednio do Central 0, i nagle wyobraził sobie, że ta maszyna jest sterowana zdalnie jak dziecięca zabawka kontrolowana przez pilota z antenką. Wyobraził sobie kciuk dowódcy bielejący na dźwigience joysticka, którego obroty sprawiały, że helikopter zataczał kolejne kręgi w powietrzu.

- Latał pan kiedykolwiek? - zapytał Roper.

Thome pokręcił głową. To było dla niego równie atrakcyjne jak skok na bungee czy mycie zwłok.

- A ja raz miałem okazję. Z góry jest niesamowity widok.

- Z daleka wszystko wygląda lepiej - odparł Thome.

Roper odwrócił się, by na niego spojrzeć, po czym zerknął na zegarek.

- Obawiam się, że nie mam już czasu...

- Co pan myśli o Grancie Freestonie jako potencjalnym porywaczem?

- Nie mam nawet pewności, czy jest mordercą - odrzekł Roper.

Thome jak dotąd nie przyjrzał się notatkom ze sprawy, ale musiał przyznać rację Roperowi. Trudno było określić pchnięcie kogoś na przeszklony stolik jako czyn zamierzony, mający na celu zabójstwo.

- Uważa pan, że to był wypadek?

- To możliwe. Nie jestem do końca przekonany, że on chciał ją zabić, jak wówczas uważali niektórzy, ale dało się zauważyć pewne oznaki walki. Jego odciski palców były właściwie wszędzie.

- Kto odkrył ciało?

- Na szkolnej liście najbliższych osób była sąsiadka. Kiedy Hanley nie pojawiła się, by odebrać dzieci, zatelefonowano po sąsiadkę. Ta odebrała dzieci, a potem odwiozła je do domu. Miała klucz i najstarsze dziecko otworzyło drzwi.

- Jezu.

- Wypadek czy nie, Freestone pozostawił tę kobietę, aby umarła. Myślę, że w

najlepszym razie miał w perspektywie oskarżenie o nieumyślne zabójstwo, a biorąc pod uwagę jego przeszłość, raczej wątpliwe, aby czekała go krótka odsiadka. Właśnie dlatego uciekł.

Myśl pojawiła się w mózgu Thorne a jak cegła roztrzaskująca szklaną szybę. Skoro Freestone groził Tony emu Mullenowi, zanim poszedł siedzieć, czy Mullen nie byłby zaniepokojony faktem, że tamtego wypuszczono na wolność? Z uwagi na bezpieczeństwo własne i rodziny na pewno byłoby mu na rękę, gdyby ten parszywy gnojek został usunięty ze sceny. Czy to możliwe, że Mullen zaaranżował wrobienie Granta?

Inne myśli, inne teorie...

Mullen odszedł z policji w tym samym roku, kiedy zniknął Grant Freestone.

Jeżeli motyw porwania Luke a Mullena był oparty na urazie względem jego ojca, Grant Freestone mógł mieć lepszy niż inni powód do przetrzymywania chłopaka.

Tu Roper brutalnie sprowadził Thome a na ziemię.

- W porównaniu z innymi porwaniami tego jakoś nie potrafię zrozumieć - powiedział.
- Skoro Freestone przez cały ten czas trzymał się radośnie na uboczu, po co ni stąd, ni zowąd znów wyszedł z ukrycia? Jeżeli faktycznie miałby to zrobić dlatego, że ojciec dziecka wsadził go przed laty za kratki, dlaczego ryzykował, że może zostać schwytany dla motywu tak głupiego jak zwykła zemsta?

Thome musiał przyznać, że tamten miał rację.

Louise Porter podniosła fotografię, spojrzała na twarze trzech chłopców i zatraciła się na sekundę lub dwie.

Jeżeli chodzi o rozkład, główna siedziba Wydziału Zabójstw (Sekcji Zachodniej) różniła się od jej odpowiednika w Scotland Yardzie. Sala odpraw na trzecim piętrze Becke House była urządzona na otwartym planie, z mniejszymi gabinetami rozmieszczonymi wzdłuż korytarza biegnącego po jednej stronie. To właśnie do jednego z nich, zajmowanego przez Zespół 3, Porter zawędrowała w poszukiwaniu Yvonne Kitson.

Na mniej więcej godzinę przed lunchem odniosła wrażenie, jakby miała za sobą cały dzień ciężkiej pracy. Odkąd przybyli do Becke House, wszystko szło jak po maśle i choć to zaledwie początek i nie mieli ustalonego planu działania, sprawy toczyły się gładko. Jeżeli chodziło o współpracę obu jednostek, obaj nadinspektorzy uparli się na gruntowne współdziałanie. To zaowocowało stworzeniem par funkcjonariuszy działających w terenie i wysłanych w ślad za dwoma mężczyznami, których nazwisk nie skreślono jeszcze z listy potencjalnych „mścicieli”. Hollandowi przydzielono detektywa konstabla z Jednostki ds. Urowadzeń. Mieli odwiedzić specjalistę od napadów z bronią w rękę, który w końcu posunął

się za daleko, niejakiego Harry ego Cotterilla, podczas gdy Stone i Heeney udali się na poszukiwanie drugorzędnego alfonsa i niedzielnego podpalacza nazwiskiem Philip Quinn. Ten ostatni był kapusiem, którego Mullen posłał w odstawkę, kiedy przestał być dla niego użyteczny, i który żywił kiedyś do niego tak głęboką urazę, że próbował spalić dom Mullena.

Podczas gdy ci czterej - i Thome - szlifowali bruki, pracując nad tropem zemsty, Porter i inni w centrali harowali przy komputerach, a drogę wskazywała im martwa kobieta.

Jeden rzut oka na wymizerowane ciało Amandy Tickell i jej skórę wyglądającą jak woskowany papier w miejscach, gdzie nie pokrywała jej krew, wystarczył, by Phil Hendricks zorientował się, że była narkomanką. Zadzwonił dwadzieścia minut po rozpoczęciu autopsji, by to potwierdzić, wskazując Porter i innym kierunek, w jakim powinni skierować poszukiwania. Reszta poranka mijała im na wyszukiwaniu powiązań, rozmowach z pracownikami placówek resocjalizacji i członkami grup antynarkotykowych, poszukiwaniach jej rodziny i przyjaciół, praktycznie każdego, kto mógłby podsunąć im trop prowadzący od Tickell do Conrada Allena, a stamtąd do potencjalnej osoby lub osób trzecich, na których zlecenie bądź z których udziałem para zdecydowała się na ten feralny krok i porwała Luke a Mullena.

Potencjalna osoba lub osoby trzecie...

Bez dowodu przedstawionego przez biegłych sądowych, mogącego stanowić inaczej, teoria, zgodnie z którą Luke Mullen zabił swoich porywaczy, wciąż nie została obalona, choć niewielu się jej przychyliło. Sama Porter nie wątpiła, że Allen i Tickell byli w zмовie z kimś jeszcze i z nieznanym jak dotąd powodów właśnie ta osoba zamordowała ich oboje, a teraz sama przetrzymywała Luke a Mullena. To było pokręcone, ale żadne inne wyjaśnienie nie miało sensu. Porter zastanawiała się, dlaczego nie powiedziała szczerze tego, co myśli, kiedy kilka godzin temu rozmawiała z Tomem Thome em przed Scotland Yardem.

Wciąż trzymała w ręku zdjęcie, kiedy uniosła wzrok i ujrzała stojącą w drzwiach Yvonne Kitson. Wymamrotała krótkie przeprosiny i odstawiła zdjęcie na biurko.

- Fajne dzieciaki.

- Od czasu do czasu - rzekła Kitson.

Porter uśmiechnęła się i spojrzała na zdjęcie, przystawiając sobie krzesło; pomalowane twarze i wypadające mleczaki.

- Zajrzałam tu, żeby przez chwilę pogadać i ustalić, co dalej.

Kitson usiadła i wskazała ręką w stronę korytarza.

- Przepraszam, wyszłam do nadinspektora. Właściwie nie będzie mnie dziś przez całe popołudnie.

- Gorąca randka?

- Nie za bardzo.

Kitson rozmawiała z Porter praktycznie tylko o sprawach zawodowych, odkąd spotkały się po raz pierwszy na porannej odprawie. Ale otaksowała ją wzrokiem tak, jak każda policjantka mogłaby przyjrzeć się drugiej. Albo w ogóle kobieta. Niska i ciemnowłosa Porter była dokładnym przeciwieństwem Kitson i choć nie mogła uchodzić za klasyczną piękność, trudno było nie pozazdrościć jej figury. Swoje ciało Kitson postrzegała na dwa sposoby - radośnie, kiedy siebie lubiła, i krytycznie, gdy przestawała się lubić.

Zauważyła, że Porter rozgląda się po gabinecie.

- Milutko tu, prawda? - rzekła Kitson. - Nie wątpię, że umierasz z zazdrości.

- Całkiem przytulnie.

- Przenośne toalety są przestronniejsze.

Porter wskazała w stronę drugiego biurka w gabinecie, stojącego blat w blat z biurkiem Kitson i zawalonego teczkami oraz kartonowymi pudłami, jakby używano ich do przechowywania różnych rzeczy.

- Zwykle dzielisz je z Thomeem, prawda?

- Zazwyczaj, ale od jakiegoś czasu wszystko się pozmiało. Pewnie chciałby już odzyskać swoje biurko.

- Jakoś nie wyobrażam sobie, aby jego część gabinetu wyglądała równie przytulnie - skwitowała Porter. - Fotografie jego dzieciaków i takie tam drobiazgi.

Kitson zaczęła stukać w klawiaturę.

- Nawet gdyby je miał, nie postawiłby na biurku ich zdjęcia. Raczej fotografie Johnnycgo Casha albo Glenna Hoddle a.

- Żartujesz. Johnny ego Casha?

- Czasami odnoszę wrażenie, że on lubi perwersję.

Porter otworzyła swój notes i zaczęła go wertować w poszukiwaniu spraw, które chciała omówić na bieżąco.

- Thome nie jest chyba łatwy w pożyciu?

Kitson się uśmiechnęła.

- Prawie nie ma czasu na jakiegokolwiek pożycie...

- Powinien się pan cieszyć, że nigdy niczego nie wyrzucam - rzekł Roper. - I że moja żona wie, gdzie wszystko jest.

Otworzył zieloną teczkę i wyjął kartkę papieru.

- Zadzwoiłem do niej po naszej rozmowie i skopiowała to ze starego notatnika

biurowego. To najszybszy sposób, jaki mi przyszedł do głowy, aby je panu przekazać. I właściwie jedyny.

Thome sięgnął po kartkę i spojrzął na listę nazwisk:

DI C. Roper.

P Lardner.

K. Bristow.

M. Stringer.

N. Warren.

Roper przysunął się z fotelem bliżej Thorne a, zerkając na listę nad jego ramieniem i wskazując kolejno na poszczególne nazwiska.

- Byłem wtedy jeszcze detektywem inspektorem w wydziale kryminalnym w Crystal Palace, sądziłem, że to będzie mi na rękę, że pomoże mi w karierze. - Pokręcił głową na swoją młodzieńczą głupotę.

- Nie spodziewałem się, jaki może zrobić się przez to zgryz, ile będzie z tym problemów i jakie to będzie nudne zasiadać raz w miesiącu przy stole z połową cholernej rady dzielnicy Bromley. Pete Lardner to jedyna osoba z tamtego okresu, z którą się później widziałem. Pracował w Biurze Kuratora i wiem, że nadal tam siedzi, więc nie powinno być trudno się z nim skontaktować. Pani Bristow. Szkotka. Kathleen, Katharine, jakoś tak. Była pracownicą społeczną i od razu dało się to zauważyć. Lubiła mieszać się we wszystko i nazywała to „opieką”. Zna pan takich jak ona? Próbowala wszystkim kierować i szczerze mówiąc, my wszyscy byliśmy zadowoleni, pozwalając jej na to. O ile pamiętam, nie była najmłodsza, więc może przeszła już na emeryturę. Panna M. Stringer została przysłana przez lokalny wydział edukacji.

Thome uniósł wzrok, rozbawiony sposobem, w jaki nadinspektor zaakcentował słowo „panna”, ale trochę go to również zdziwiło.

- W okolicy, gdzie umieszczono Freestone a, było cztery czy pięć różnych szkół - wyjaśnił Roper. - To oczywisty powód do zaniepokojenia. - Spojrzął na listę. - Warren był facetem z wydziału zdrowia mającym pomagać ludziom z nałogiem narkotykowym. Freestone w więzieniu zaczął brać i został przyjęty do kliniki stosującej terapię metadonową. Wydaje mi się, że Warren i Lardner pracowali już wcześniej razem, ale pozostali nie znali się wzajemnie.

Roper wskazał ostatnie nazwisko na liście, po czym odchylił się do tyłu i ponownie odsunął fotel.

- On chyba też brał kiedyś narkotyki, o ile dobrze pamiętam.

Thome złożył i schował kartkę.

- Bardzo dziękuję.

- Nie ma sprawy, ale naprawdę muszę już kończyć.

- Czy spotkania były rejestrowane?

- Jeżeli tak, to nie mam pojęcia, gdzie mogą znajdować się kopie. Bóg jeden wie, kto je przechowywał. Obstawiałbym tę pracownicę opieki społecznej...

Thornea zbytnio to nie zdziwiło, ale i tak wyraz jego twarzy musiał się zmienić.

- Proszę pamiętać, że robiliśmy wszystko po raz pierwszy. Byliśmy pionierami. - Roper wyglądał, jakby pamiętał to doskonale i nie był z tego powodu zachwycony. - Teraz wszystko się pozmiało. Spotkania są odpowiednio udokumentowane, a w dokumentach widnieją zapisy każdej podejmowanej decyzji i odpowiedzialności za to, co zostało uzgodnione. Wszystko jest zapięte na ostatni guzik, każda agencja współpracująca z należnymi władzami dzieli się informacjami i tak dalej. Wtedy wszystko robiliśmy na gorąco. Teraz mamy „zespoły jigsaw” - jednostki ochrony publicznej w każdej dzielnicy - więc jesteśmy kryci z każdej strony, są „strefy zakazane”, „plany działania” i wszystkie czynniki mogące zagrażać bezpieczeństwu publicznemu są z miejsca rozpoznawane i usuwane. My mogliśmy jedynie reagować na wydarzenia, które następowały.

Roper wychylił się do przodu, opierając dłoń na dzbanku z kawą.

- Praktycznie byliśmy królikami doświadczalnymi.

Thorne nic nie powiedział i wstał, konstatując, że pomimo bezsprzecznych racji ostatnia prośba Ropera o łagodne potraktowanie była ciut przesadzona. I z całą pewnością mocno spóźniona. Niektórzy mogliby powiedzieć, że Grant Freestone był w takim samym stopniu królikiem doświadczalnym jak wszyscy członkowie zespołu nadzoru kuratorskiego.

No i z pewnością była nim kobieta, którą zabił.

- Odprowadzę pana do windy - rzekł Roper.

W holu, gdy czekali, aż podjedzie w górę przeszklona winda z płynącym z głośników dźwięcznym kobiecym głosem, Roper rozpaczliwie starał się zakończyć ich spotkanie nieco luźniejszym akcentem. Thome nie widział takiej potrzeby, ale słuchał cierpliwie.

- Pamięta pan Kosmiczny patrol. - zapytał Roper.

- Przykro mi, ale nie.

- To był serial dla dzieci z lat sześćdziesiątych. Fantastyczny, z tandetnymi kukiełkami. W porównaniu z nim Thunderbirds to prawdziwa perełka animacji.

Thome odrzekł, że nie pamięta tego serialu, bo miał wtedy zaledwie kilka lat.

- Tak czy owak ten budynek był na tyle futurystyczny jak na tamte czasy, że w tym

serialu pokazywano jego zdjęcie. - Roper uniósł ręce. - Właśnie ta budowla pełniła funkcję głównego sztabu kosmicznego patrolu.

Thome nie wiedział, co ma powiedzieć. Marionetki, fantastyka, policja miejska. Nasuwało mu się co najmniej pół tuzina różnych puent.

Wyłączył telefon, zanim poszedł na spotkanie z Roperem. Gdy tylko wyszedł na zewnątrz, sprawdził wiadomości: dwie nowe. Porter najwyraźniej nie była w najlepszym nastroju, podczas gdy Phil Hendricks zadzwonił, by powiedzieć, że wszystko, co zasugerował na odprawie, sposób, w jaki zginęli Allen i Tickell, w większym lub mniejszym stopniu potwierdziła autopsja. Thome oddzwonił najpierw do Hendricksa i włączyła się automatyczna sekretarka.

- Czego chcesz, cholernej żółtej gwiazdki? A tak serio, Phil, to był prawdziwy zaszczyt móc oglądać twój występ w roli mima dziś rano i chętnie poklepałbym cię po plecach, ale cholera wie kiedy. Zadzwoń później, jeśli będziesz chciał pogadać...

Następnie zadzwonił do Porter.

- Zaliczyłam bazę? - spytała. - To taki zwrot - wyjaśniła.

- To głupi zwrot. Chyba że jesteś amerykańskim nastolatkiem, tylko nikomu o tym nie powiedziałaś.

- Zastanawiałam się, co u ciebie, to wszystko.

- Cóż, przestałem się martwić. Zapewne zwróciłaś uwagę, że się martwiłem od dnia działań operacyjnych przy Bow. Ale już przestałem.

- Niczego nie zauważyłam. Uznałam, że zawsze jesteś taki, że to normalne.

- Jeżeli nadal tego chcesz, moglibyśmy zaliczyć bazę po lunchu.

Zignorowała jego żarcik do tego stopnia, że zaczął zastanawiać się, czy ją tym uraził.

- Gdzie?

- Masz pióro?

Thome zaczekał i uśmiechnął się do mundurowego lustrującego go wzrokiem od wejścia do Empress.

- Sprawdźmy, czy udałoby ci się namierzyć niejakiego Petera Lardnera z Biura Kuratora. Nie wiem, z której dzielnicy. Jeżeli ci się uda, ustal, gdzie mamy się spotkać po południu, i oddzwoń do mnie.

Zauważył bar po drugiej stronie ulicy i ruszył tam jak w transie. Kawa i pączki dziś mu nie wystarczą. Minęło już południe i Thome uznał, że pełne angielskie śniadanie mogło stanowić dla niego odpowiednik idealnego lunchu.

To było szaleństwo, takie dzielenie siebie...

Na spotkaniu sam mówił i do niego mówiono. I przez cały czas, kiedy się uśmiechał albo wyglądał poważnie, w zależności od sytuacji, robiąc to, co do niego należało, myślał o chłopaku.

Myślał o tym, co zrobił i co zamierzał uczynić.

To, co robił, było dosłownie szaleństwem, jego podręcznikowym przykładem. Czyż jednak sytuacja, która spowodowała to wszystko, także nie była swego rodzaju szaleństwem? Czy nie tak się to nazywa? Niektórzy określają to mianem pomieszania zmysłów, w każdym razie w niektórych językach tak się na to mówiło i skądinąd nie bez racji. Pod tym względem był szalony jak Marcowy Zając, w dobrym tego słowa znaczeniu, i to już od lat; na długo przed tym, zanim został popchnięty do tak drastycznych działań.

Do zarzynania ludzi. Do porywania dzieci.

Ale tak to zwykle bywa, czyż nie? Fortuna kołem się toczy, raz na wozie, raz pod wozem, przysłowia były w tej kwestii bardzo wymowne. Wszystko, co przyjemne, w końcu cię kiedyś zrani. Papierosy i czekolada. Seks i słodkie oszustwo.

Drzwi się otworzyły i ktoś wszedł do toalety, więc odkręcił wodę i ochlapał nią sobie twarz, aby ukryć łzy.

I tak musiał już wracać do swojego biura. Miał sporo pracy.

Gdy przytknął sobie do twarzy papierowy ręcznik, pomyślał o tandetnym sloganie dietetyków, który widział na magnesie na lodówce w mieszkaniu swojej siostry. Zwrot uwielbiany przez tych, którzy pragnęli się zmienić, poprawić swoje życie. Proste przypomnienie, że za poddanie się pokusie będą musieli płacić przez resztę życia. Uśmiechnął się do kolegi w lustrze, po czym odwrócił się w stronę drzwi.

Krótką chwilą przyjemności...

10

Peter Lardner pracował jako kurator okręgu Westminster z siedzibą w gmachu sądu karnego w Middlesex Guildhall. Znajdował się on od północnej strony Parliament Square, co oznaczało, że Thorne i Porter spotkali się po lunchu niedaleko miejsca, gdzie rozstali się pięć czy sześć godzin wcześniej. Porter narzekała, że musiała znów wybrać się taki kawał drogi na południe, ale przynajmniej pogoda się poprawiła, odkąd ostatni raz tędy przechodzili. Skórzana kurtka Thorne a wyschła, a Porter miała przerzucone przez ramię coś, co wyglądało jak drogi płaszcz przeciwdeszczowy. Zdaniem Thorne a uwielbiali go dziwacy wędrujący w weekendy po okolicznych wzgórzach z kieszeniami wypchanymi kawałkami kendalowskiego ciasta miętowego.

- Lubisz spacerować?

- Tylko do samochodu - odparła Porter.

Pomimo gargulców i stylizowanych gotyckich zdobień Guildhall miał niespełna sto lat, ale był to bez wątpienia imponujący budynek z równie bogatą historią jak większość innych w tym mieście. Niegdyś mieściła się tu Sanctuary Tower, skąd, jak na ironię, został wywleczony siedmioletni książę Yorku, by wraz ze swoim starszym bratem zostać zamordowany przez przyszłego Ryszarda III. Cztery stulecia później więzienie Tothill Fields stało w tym samym miejscu, a w jego murach skazańcy, w tym także pięciolatki, odbywali zasądzone kary w warunkach tylko trochę lepszych niż te, jakie panowały w oddalonym o niecałe dwa kilometry Newgate. Budowla ta wciąż odgrywała istotną rolę w historii stanowienia prawa. Pod koniec tego roku gmach miano zamknąć, by został ponownie otwarty w 8 roku jako siedziba Sądu Najwyższego, nowy dom dla tuzina absolutnie niezależnych sędziów i najwyższej instancji sądowniczej w kraju.

Kiedy Thorne i Porter wspięli się po kamiennych schodach w stronę biur służb kuratorskich, Thorne uznał, że sprawę zabójstwa książąt w Tower prawie na pewno prowadziłby Roper z jego Wydziałem ds. Przepięstw Szczególnych. I choć ci, którzy siedzieli nerwowo przed kilkoma tutejszymi salami, mieli więcej niż pięć lat, wątpił, aby choć jeden z nich trafił tu za kradzież bochenka chleba.

Choć większość spośród siedmiu sal sądowych była urządzona ze spartańską elegancją, podobnie jak cały budynek, znajdujące się tu biura pozostawiały wiele do życzenia. Pokój, w którym znaleźli się Thorne i Porter, był zapuszczony i funkcjonalny; i jeżeli wygląd Calluma Ropera odzwierciedlał nieskazitelność jego nowej siedziby, Peter Lardner doskonale wpasowywał się w to obskurne wnętrze. Wyglądał jak ostatnie nieszczęście, żałośnie i beznadziejnie.

- Wiem, co powiedziałby Grant Freestone.

Lardner wyciągnął ręce do przodu. Przesunął przedramiona ponad blatem biurka, jakby niczego bardziej nie pragnął, jak tylko ułożyć na nich głowę i zasnąć. Na pytania Thorne a odpowiadał niemal szeptem, głosem pozbawionym wyrazu, wpatrując się w jakiś punkt na szorstkiej, szarej wykładzinie gdzieś pomiędzy biurkiem a ustawionymi przed nim krzesłami.

- Wyparłby się tego. Tak jak zapewne wyparłby się zabójstwa kobiety, którą popchnął na ten przeszklony stół. Wypierał się też tego, że uprowadził dzieciaki po tym, jak znaleziono je związane szpagatem w jego garażu.

- Miał problem z przyznaniem się do swoich czynów? - spytała Porter.

- Uważał, że cały świat sprzysiął się przeciwko niemu.

- Może tak było - mruknął Thome.

Znał całkiem spory zakątek świata, gdzie zdjęcia domniemyanych pedofilów drukowano na pierwszych stronach gazet. Gdzie policja mogła czekać na ulicy na kogoś, kto odbierał od fotografa zdjęcia swojego dziecka zrobione na basenie. Gdzie dom pediatry mógł zostać puszczone z dymem, bo jakiemuś idiocie pomyliły się podobne wyrazy.

Jeżeli świat miał sprzysiąć się przeciw komukolwiek, to zapewne przeciwko człowiekowi pokroju Granta Freestone a.

- Za kratkami niezłe mu dokopali - kontynuował Lardner. - Przywykł do smaku moczu w herbacie.

- Chyba musiał stołować się w naszej kantynie - powiedziała Porter.

Lardner pokiwał głową, doceniając żarcik, ale się nie zaśmiał. Później Thorne i Porter zgodnie uznali, że był człowiekiem, którego niewiele było w stanie rozbawić, ale dodali również, że gdyby tak jak Lardner poświęcali tyle czasu na rozmowy z różnymi przestępcami, raczej nie byłoby im do śmiechu. Sama próba pochycenia tych bandziorów stanowiła nie lada zgryz.

Thome ocenił, że tamten był dobrze po czterdziestce. Choć we włosach prawie nie dostrzegł siwizny, były one mocno przerzedzone na czubku głowy, a oczy za szklami okularów w drucianych oprawkach wydawały się blade i żywe. Miał na sobie garnitur i był pod krawatem, ale poszczególne elementy tego ubioru wyglądały na znoszone i nie pasowały do siebie. Przypomnił Thomeowi nauczyciela, którego lubił w szkole, człowieka, który w połowie lekcji geografii potrafił przerwać wykład, mówiąc, że to strata czasu, i zamiast tego czytał im opowiadania o Sherlocku Holmesie i 39 stopni.

- A co pan o tym myśli? - spytał Thorne. - Przypuszczalnie znał go pan lepiej niż ktokolwiek inny w tym zespole, no i rzecz jasna nie znamy nikogo, kto widziałby go, od kiedy się ulotnił. Czy uważa pan, że byłby w stanie uprowadzić dziecko z jakiegoś innego powodu?

- Czy uważam, że mógłby być porywaczem?

Nie powiedzieli Lardnerowi nic więcej poza podstawowymi informacjami o porwaniu i podejrzeniach związanych z urazą z przeszłości. Nie wiedział niczego o podwójnym morderstwie w mieszkaniu w Bow. Kiedy Thome zadał to pytanie, w myślach postawił je sobie w rozbudowanej wersji, a odpowiedź była krótka i oczywista.

Czy uważasz, że Grant Freestone jest człowiekiem, który w jakiś sposób namówił dwoje innych ludzi, by dokonali porwania, a potem zabił ich i sam zajął się tą robotą?

Mowy nie ma...

- Nie jestem przekonany - odrzekł Lardner i wyprostował się nagle z nieco większym niż dotąd ożywieniem. - Nie był, jak to nazywacie, „zorganizowany”. Mam tu na myśli zarówno jego charakter i zachowanie, jak też zachowanie typowe dla pewnej kategorii przestępców.

- Zazwyczaj zabójców - wtrąciła Porter.

- Otóż to. Jeżeli chodzi o Freestone a, nie jestem co do niego do końca przekonany. Czy, żeby dokonać porwania, nie trzeba być odpowiednio zorganizowanym? Takich rzeczy nie robi się pod wpływem nagłego impulsu, prawda? Nikt nie uprowadza dziecka wprost z ulicy, niezależnie jak bardzo jego ojciec napsuł mu krwi.

- A co z tymi dzieciakami z garażu? - zapytał Thorne.

Porter zatknęła kosmyk włosów za ucho.

- Jeżeli o to chodzi, jakoś sobie poradził.

- To było pragnienie, nad którym nie potrafił zapanować - rzekł Lardner. - Nie planował tego. I właśnie dlatego został schwytany.

Thome i Porter wymienili spojrzenia; oboje wiedzieli, że to raczej nie było prawdą. Zazwyczaj tych, którzy instynktownie robili to, co robili, najtrudniej było powstrzymać. Ci, którzy myśleli, tak w końcu utrudniali sobie życie, że kończyli na rozmyślaniach w Broadmoor albo Belmarsh.

- Poza tym - dodał Lardner - dlaczego Freestone miałby czekać z zemstą aż do teraz? Całe to rozumowanie, jakoby „zemsta najlepiej smakowała na zimno”, jest nic niewarte. Przez lata zetknąłem się z taką liczbą rozmaitych świrów, by wiedzieć, że to się nie sprawdza. Jeżeli ktoś ma coś do kogoś, załatwia to od razu. Jak najszybciej. Nie czeka latami. To nie ma sensu.

Słowa Lardnera miały sens. Roper powiedział tak samo i tym trudniej było polemizować z tą logiką. Nawet gdyby ktoś taki jak Freestone był gotów przez lata czekać i planować zemstę, czy zrobiłby to w tak pokrętny sposób? Przez pośredników?

- Czy Freestone kiedykolwiek współpracował z Conradem Allenem lub Amandą Tickell?

Lardner spojrział na niego tępym wzrokiem.

- Nie przypominam sobie tych nazwisk. Szczerze mówiąc, nie współpracował z wieloma osobami.

Nie zaszkodziło zapytać, ale sprawy rzadko układały się po myśli dochodzeniowców.

- Wspomniał pan o czymś wcześniej - rzekł Thorne. - O tym, że Freestone nie jest

typem zabójcy. Zupełnie jakby wątpił pan w to, że on zabił Sarah Hanley Jakby był pan zwolennikiem teorii o wypadku.

- To możliwe - Lardner nagle się speszył.

- Co na ten temat sądzili inni członkowie zespołu kuratorskiego?

- Słucham?

- Czy rozmawialiście później na ten temat? Ludzie na pewno mają w związku z tym swoje teorie.

- Nie. - Lardner wydawał się jeszcze bardziej spięty. - Nie rozmawialiśmy o tym.

- Wobec tego zakładam, że to tylko pańska opinia. Chce pan powiedzieć, że Freestone tego nie zrobił?

- Och, zrobił, jak najbardziej. Ale istnieje różnica pomiędzy pchnięciem kogoś ot tak, a pchnięciem z rozmysłem na przeszkłony stół, zgadza się? Mam na mojej liście klienta, który odsiaduje obecnie cztery lata, bo jakiś pijak, którego popchnął pewnego wieczoru przed pubem, miał, tak się złożyło, wyjątkowo kruchą czaszkę. Rozumie pan, do czego zmierzam? Przez lata miałem całe mnóstwo podobnych spraw i pojęcie działania z rozmysłem wydaje mi się nadal przeraźliwie rozległą szarą strefą.

Przez kilka sekund patrzył Thome owi prosto w oczy, po czym odwrócił wzrok i pokręcił głową.

- Sam nie wiem...

Thome znów zobaczył swojego starego nauczyciela. To strata czasu. Nieomal spodziewał się, że Lardner otworzy szufladę i wyjmie stamtąd kryminał Johna Buchana.

- A co z siostrą? - spytała Porter.

- To zupełnie co innego.

- Dała Freestone owi alibi...

Thome przeniósł wzrok na Porter. W jego oczach czało się pytanie.

Siostra...?

- Myślę, że policja miała rację, odrzucając jej zeznanie. Uznając je za niewiarygodne - rzekł Lardner. Uniósł rękę i przeczesał włosy. - O ile dobrze pamiętam, patolog niezbyt precyzyjnie określił czas zgonu.

- Margines błędu wynosił jakieś dwie godziny. A siostra Freestone a powiedziała, że był z nią przez cały ten czas. Poszedł do parku z nią i jej dziećmi.

- Sę w tym, że sześć lat wcześniej też zapewniła mu alibi. Na to popołudnie, kiedy uprowadzono dzieci. - Lardner uśmiechnął się, jakby ze smutkiem. - Najwyraźniej miała ten sam kłopot z przyjęciem do wiadomości tego, co zrobił jej brat.

Rozległo się pukanie do drzwi. Lardner wstał i przeprosił, wychodząc zza biurka i wyjaśniając, że ma umówione spotkanie.

Porter powiedziała, że nic nie szkodzi.

Thome wciąż na nią patrzył. Wciąż pytał.

Na schodach zadał to nurtujące go pytanie, choć z nieco większym naciskiem niż zamierzał.

- Jaka, kurwa, siostra?

- Tak jak powiedziałam. Siostra Freestone a...

- Kiedy się o tym dowiedziałas?

Porter uśmiechnęła się mimowolnie.

- Dziś rano przejrzałam akta sprawy. Wtedy nie robiono z tego większej afery.

Stała pod ścianą, gdy adwokat w garniturze i pod krawatem zbiegł po schodach obok nich.

- Słyszałeś, co powiedział Lardner. Jej zeznanie odrzucono, ponieważ już wcześniej skłamała, chcąc ochronić brata.

Dotarli do końca ostatniej kondygnacji schodów, skręcili i wyszli na zatłoczony korytarz biegnący wzdłuż dwóch największych sal sądowych. Doskonale znali ten widok: wystraszeni świadkowie i znudzeni gliniarze; krewni podsądnych i tych, którzy byli oskarżeni o oszustwa, napaści i maltretowanie; mężczyźni w nowych butach i za ciasnych koszulach, kobiety o szklistych oczach jak u lalek, siedzące w napięciu na ławach, pragnące rozpaczliwie opróżnić pęcherz albo puścić pawia, odgłos szpilek na marmurowej posadzce brzmiący jak huk wystrzałów. Wszyscy dopieszczający prawdę albo ugniatający materię kłamstw. Pragnący osiągnąć odpowiedni rezultat.

- Nie był zbyt zadowolony, że wypytywaliśmy go o zespoły kuratorskie - rzekła Porter. - Bardzo się tym zdenerwował.

Thome zgodził się z nią.

- Roper tak samo. Mówił bez przeszkód, to fakt, ale pewne rzeczy zdarzyło mu się „zapomnieć”, a co do innych nie był do końca pewien. Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Jakoś mnie to nie dziwi. To wszystko raczej nie okryło ich chwałą.

Nie trzeba doktoratu z kryminalistyki, by dociec, dlaczego ludzie należący do zespołu nadzorującego Granta Freestone a woleli pomijać ten temat i pozostawić go w mrokach niepamięci. Projekt, który zakończył się śmiercią młodej kobiety - śmiercią, za którą przynajmniej po części mógł być odpowiedzialny ten sam zespół - nie stanowił powodu do dumy i trudno było umieścić go w swoim CV.

- Uważam, że cała ta sprawa z Freestoneem to zwyczajna strata czasu - powiedział Thome.

- Nie mogę powiedzieć, że się z tobą nie zgadzam.

- Ale zlecę Hollandowi albo komuś, żeby odnalazł pozostałe dwie osoby należące do tego zespołu. Jak już coś robić, to skrupulatnie.

- A ja sądziłam, że jesteś fleja.

- Tylko kiedy nie uda mi się znaleźć nikogo, kto by po mnie posprzątał.

- Wobec tego którym z naszych gorących tropów chciałbyś teraz podążyć? - spytała Porter. - Jest ich tak wiele, że trudno mi się zdecydować.

- Może przyjrzelibyśmy się tej siostrzyczce?

Porter przystanąła i zaczęła grzebać w torebce.

- Ale przecież powiedziałeś przed chwilą...

- Freestone nie jest porywaczem, ale coś wciąż nie daje mi spokoju.

- Co konkretnie?

- Fakt, że Tony Mullen w ogóle o nim nie wspomniał.

Wyjęła otwartą paczkę miętówek i wyłuskała jedną.

- Nie zaszkodziłoby zahaczyć o Arkley - powiedziała.

Wyszli na plac, gdzie roilo się od ludzi; zbliżała się godzina szczytu i zaczęło robić się coraz ciemniej, zmierzchało, dzień dostawał zadyszki, a ci, którzy spieszyli ulicami, zaharowując się od samego rana, łapali drugi oddech.

Minęli pomnik Abrahama Lincolna, a Porter wskazała okna na trzecim piętrze Guildhall.

- Jego gabinet był okropny - rzekła. - Zwróciłeś uwagę na tę wilgoć? I pułapkę na myszy przy regale z aktami? Gdybym miała pracować całymi dniami w takim miejscu, chyba oszalałabym.

Thome nic nie powiedział, uważając, że przecież pracowała w podobnym miejscu. Jak oni wszyscy spędzała niekończące się godziny w domach innych ludzi i małych obskurnych gabinetach. Seriale kryminalne lubowały się w pokazywaniu gliniarzy i tych, z którymi rozmawiali, przechadzających się wolno wśród tłumu, na wyścigach psów, bazarach, targowiskach albo wydmuchujących sobie nawzajem w twarz dym z papierosów w pustych magazynach bladym świtem.

Ale najwyraźniej chodziło tylko o uzyskanie pewnego nastroju, oddanie odpowiedniej atmosfery...

Prawda była przejaszczona i brudnobiała. Brzmiała jak odgłosy ruchu ulicznego i

była lepka jak coś, co przykleja się do podeszew butów. Cuchnęła starą krwią i świeżymi ekskrementami i żadne tło nie mogło jej przydać charakteru. Atmosfera w dusznych pokojach i ciasnych obskurnych gabinetach mogła rzecz jasna sprawić, że żołądek podchodził do gardła i włosy stawały dęba, ale zazwyczaj rzadko chodziło o poczucie zagrożenia. Czy niebezpieczeństwo.

Patrząc, jak ludzie szlochają, bełkoczą i kłamią, jak dygoczą i przelykają trawiący ich żal, czuło się coś innego.

Zażenowanie.

Gdy wysiadł z autobusu, wydawał się nad wyraz pewny siebie, jakby powrót do domu mijał mu na opowiadaniu niezłych dowcipów i historii o sukcesach sportowych. Yvonne Kitson z niekłamaną przyjemnością czekała, aż wyraz jego twarzy się zmieni, kiedy zobaczy, kto na niego czeka. Psucie humoru Adrianowi Farrellowi stanowiło dla niej powód do prawdziwej radości.

- Jak tam w szkole, Adrian? Dzień był przyjemny?

Farrell patrzył na nią jak na powietrze. Zignorował wołanie kolegów machających do niego i uderzających w szyby autobusu, kiedy ten ruszył i minął go, by pojechać dalej.

- Miałeś dziś historię? Wspomniałeś, że to twój ulubiony przedmiot, o ile dobrze pamiętam.

Kitson szybko podeszła i zrównała się z Farrellem, który przechodził przez fantazyjne splachetki cieni rzucane przez drzewa rosnące co pięć, sześć metrów wzdłuż szerokiego chodnika.

- Zaplanowałaś coś na ten weekend? Po tym, jak odrobisz pracę domową, ma się rozumieć...

Farrell nieznacznie zwolnił, ale szedł dalej, poprawiając szary regulaminowy plecak na ramieniu.

- Co ty i twoi kumple szykujecie na sobotni wieczór? Moje dzieci są od ciebie dużo młodsze, więc nie mam pojęcia, jak bawią się dzisiejsi nastolatki, ale jestem tego bardzo ciekawa. Odwieźć na imprezę, przywieźć z imprezy do domu.

Trzymała się jakieś trzy, cztery metry za nim.

- Puby? Kluby? Jak to jest?

Szli względnie wolno wzdłuż ciągu domów jednorodzinnych stojących nieco w głębi, z dala od ulicy, w większości odgradzonych siatkami i parkanami. Kitson musiała przyspieszyć kroku, by obejść jeepa, który zawracał po chodniku, nie zważając zbyt na przechodniów.

- Tamten student, którego zakatowano na śmierć. Pamiętasz, mówiłam ci o nim - kontynuowała - zginął w sobotni wieczór. Siedemnastego października ubiegłego roku, w sobotę. Jestem pewna, że nie pamiętasz, co dokładnie robiłeś tamtego wieczoru, ale założę się, że gdziekolwiek byłeś, świetnie się bawiłeś...

Farrell nie przystanął, ale zdecydowanie zwolnił kroku. Odwracając się, wymamrotał coś, unosząc ręce i uderzając nimi o uda. To był absolutnie dziecinny gest frustracji i rozdrażnienia.

- Świetnie - rzekła Kitson, podchodząc do niego. - Nie żebym nie dała rady tak za tobą pędzić przez cały dzień. Ganimanie za trójką dzieciaków wyrabia niezłą kondycję.

- To jakiś absurd - odezwał się Farrell. - Rozmawiałem z kimś o tym chłopaku z niższej klasy, który zaginął. Odpowiedziałem na parę pytań. A teraz bez powodu jestem narażony na to nękanie.

- Nikt cię nie nęka.

- No jasne. I nikt nie łązi za mną w porze lunchu? Nikt nie zjawia się pod moim domem, by opowiadać mi o swoich dzieciach?

- Doprawdy?

Obok nich przebiegł miłośnik joggingu z twarzą wykrzywioną grymasem, jakby piosenka z iPod'a przypiętego na ramieniu była wyjątkowo beznadziejna.

- Zastanawiałam się, czy przypomniałeś coś sobie na temat Amina Latifa - dociekała Kitson. - Może coś ci wcześniej umknęło.

Doskonale, znała wyraz, który pojawił się na twarzy Farrella. Wyglądał na rozdrażnionego, jak ktoś, kogo bez powodu oderwano od oglądania ulubionego serialu.

- Ale co konkretnie? Może miałem przypomnieć sobie, jaki hymn śpiewaliśmy na apelu?

- Cokolwiek. Rozmowa z tobą może sprawić, że przypomnisz sobie coś, ci wyleciało z pamięci.

- To mogło być Nie ma jak Pielgrzym.

- Od jak dawna znasz Damiena Herberta i Michaela Nelsona?

Tych dwóch chłopaków było dzień wcześniej z Farrellem w dzielnicy handlowej.

- Zmieniamy temat?

- Nie sądzę, abyśmy daleko odbiegli od poprzedniego.

- Będzie z kilka miesięcy.

- Sześć miesięcy?

- Pyta pani, czy znałem ich siedemnastego października zeszłego roku?

- To równie dobra data jak każda inna.

Farrell pokiwał znacząco głową i uniół wzrok, jakby się głęboko zastanawiał. Po chwili pstryknął palcami, uśmiechnął się i wskazał na Kitson.

- Myślę, że to było Wszechmogący Wielki Boże, o mądrości ty krynico... - powiedział. - Wiedziałem, że sobie przypomnę.

Coraz trudniej było jej się pohamować, by mu nie przyłożyć. Kitson wskazała na herb szkoły na kieszeni marynarki Farrella.

- Co masz napisane na tarczy, Adrian? Jak brzmi motto?

- Jestem kiepski z łaciny - odparł. - Przykro mi...

Powoli sięgnęła do torebki i wyjęła z niej kartkę.

- Żeby nie przedłużać bez potrzeby, ustaliliśmy, że nazwisko Amin Latif niewiele ci mówi. Tak?

- Przykro mi, ale niestety tak.

- A Nabeel Khan?

Wzruszenie ramion.

- Nie. Raczej nie.

- To zabawne - powiedziała Kitson i rozłożyła kartkę, po czym odwróciła się w jego stronę. - Bo on najwyraźniej zna ciebie. Widzisz?

Farrell spojrzał na rysunek i zniecierpliwienie nagle ustąpiło miejsca panice, a następnie szczerzej wściekłości. Zdjął ciężki plecak z ramienia i trzymając za pasek, zakołysał nim przed sobą w przód i w tył.

- Nie jestem pewien, czego to miałyby dowodzić.

- Nie jestem pewna, czy to cokolwiek dowodzi - odparła Kitson. - Pomyślałam tylko, że rodzice mogliby chcieć oprawić to w ramki. Postawić na fortepianie.

- Nie powiem nic więcej bez obecności mojego doradcy prawnego.

- Świetnie. Pojedź ze mną na komendę, zorganizujemy to.

- My już mamy prawnika.

Przez sekundę lub dwie Kitson nie była pewna, kogo miał na myśli, mówiąc „my”. Zastanawiała się, czy chodziło mu o niego i jego przyjaciół. I nagle zorientowała się, że mówił o swojej rodzinie.

- Jak chcesz - powiedziała.

- Aresztuje mnie pani?

- A muszę?

- Absolutnie. - Drobny tik pojawił się w kąciку ust, cień uśmiechu. - O ile chce pani

jeszcze ze mną rozmawiać. Myślę, że nie aresztuje mnie pani, bo niezależnie od tego, w co pani wierzy, że zrobiłem, a co usilnie mi pani sugeruje, nie ma pani żadnych dowodów na poparcie swoich tez. Nic a nic. Chyba martwi się pani, skądinąd nie bez racji, że gdyby mnie pani aresztowała, skończyłoby się tylko na nikomu niepotrzebnej papierkowej robocie. I przez pani nieodpowiedzialne zachowanie tylko narobiłaby pani innym kłopotów. Mam rację?

Kitson nie odpowiedziała.

- To żalosne. - Wskazał palcem portret pamięciowy. - Jeśli chce pani znać moje zdanie, uważam, że to wariactwo.

Jeżeli Farrell stracił zimną krew, to tylko na moment, nigdy na dłużej nie tracił panowania nad sobą.

- A skoro o tym mowa, czy mógłbym zobaczyć pani legitymację? Skąd mam wiedzieć, że jest pani osobą, za którą się podaje? Może jest pani jakąś szajbuską.

Kitson patrzyła na niego: wybałuszone oczy, kołyszący się plecak, jakby nie wiedział, nie mógł się zdecydować, jakie ma włożyć skarpetki.

- Chyba powinienes już pójść do domu - rzekła. - Spierdalaj do mamusi i tatusia, napij się herbaty.

Brutalny język Kitson mógł być szczerym wybuchem złości lub kolejną maską. Straciła nad sobą panowanie, nie potrafiła go przejrzeć. Tak czy owak Farrell nie potrzebował kolejnego zaproszenia, by zwinąć żagle.

Przeszedł jakieś pięćdziesiąt metrów i zatrzymał się przy krawężniku, by przejść przez ulicę. Spojrzał w lewo, w prawo i znieruchomiał, upewniając się, że Kitson wciąż na niego patrzy. Gdy później o tym myślała, spodziewała się znów ujrzeć ten spokojny, uprzejmy uśmiezek, ale on tymczasem odchrząknął i splunął gęstą flegmą na chodnik, po czym przebiegł przez ulicę.

Kitson, dotarłszy do miejsca, gdzie Farrell przeszedł przez jezdnię, ujrzała kobietę stojącą za drewnianym parkanem i przyglądającą się jej z uwagą. Miała na sobie zielony welurowy dres, była w pełnym makijażu i pochylała się, wyjmując puste butelki z plastikowego worka i wkładając je do kosza na śmieci przy końcu podjazdu. Kobieta skinęła głową w stronę, gdzie pobiegł Adrian Farrell.

- Parszywy gnojek - wycodziła. - Za moich czasów za coś takiego dostałby od policjanta w skórę. Ale dziś glin nigdy nie ma, gdy są potrzebni...

Kitson nie odpowiedziała. Patrzyła tylko na plwocinę. Lśniącą, odcinającą się wyraźnie na chodniku.

Lampka alarmu nad garażem zapaliła się, a Maggie Mullen otworzyła frontowe drzwi,

jakby czekała tuż przy nich. Pospiesznie powiodła wzrokiem od Thome a do Porter. Nie dostrzegając większych powodów do zaniepokojenia czy ulgi, zaprosiła ich do środka poprzez chmurę papierosowego dymu, po czym wlepiała wzrok w ciemność poza kręgiem żółtego światła, jakby wypatrywała jakichś maruderów.

Przechodząc przez korytarz, Thome i Porter zamienili parę słów z Kennym Parsonsem, który wyszedł z kuchni z piórem i brukowcem w dłoni. Ich wizyta była nieoczekiwana i zaczął przypatrywać się ich twarzom w poszukiwaniu oznak jakichś nowin, tak jak Maggie Mullen i jej mąż, kiedy weszli do salonu. Mullen rzucił książkę w broszurowej oprawie na krzesło obok siebie.

- Chcecie kawy czy czegoś...?

Thome pokręcił głową. Porter podziękowała.

- To był długi dzień.

Thorne nie był pewien, czy Mullen miał na myśli dzień, który dla niego, jego rodziny i funkcjonariusza przydzielonego rodzinie włókł się w nieskończoność. Niemniej nie było powodu, by z nim polemizować.

Mullen przycupnął na oparciu kanapy. Jego żona wróciła do pokoju, minęła go, podchodząc do fotela i zgarniając po drodze papierosy i popielniczkę z obramowania kominka.

- Mam nadzieję, że finisz macie lepszy niż start - rzekł Mullen. - Ze pewne osoby przestały wreszcie siedzieć z założonymi rękami.

- Słucham? - zapytała Porter, stawiając torbę na podłodze.

- Zakładam, że odrzuciliście już tę idiotyczną teorię, wedle której mój syn miałby kogoś zamordować?

Teraz dla Thorne a stało się jasne, że Mullen doskonale zdawał sobie sprawę z tego, jak długi był to dzień dla nich wszystkich. Był zaangażowany w śledztwo równie głęboko jak wszyscy pracujący przy nim funkcjonariusze. Thome zastanawiał się, ile razy dziennie rozmawiał z Jesmondem albo dzwonił do któregoś ze starych przyjaciół, by zapytać o postępy.

- Pewne dowody trzeba było wziąć poważnie pod uwagę - powiedziała Porter.

- Odciski na nożu?

Thome stwierdził, że do Mullena musieli dzwonić inni. Był na bieżąco ze sprawą jak oficer prowadzący dochodzenie.

- Po czymś takim można na dobre uwierzyć, że mój syn z roli ofiary porwania stał się potencjalnym zbiegłym zabójcą. Jeśli dowiem się, że wierzycie w coś takiego, zacznę

powątpiewać, czy tą sprawą zajmują się odpowiedni ludzie.

Od strony fotela dobiegło coś jak westchnienie albo może szloch. Pani Mullen wpatrywała się w orientalny dywan jak urzeczona, jak gdyby wizerunki chińskich smoków i mostów do reszty ją zahipnotyzowały. Dłonie spłotła przed sobą, a kłąb papierosowego dymu przesłonił jej twarz.

- Wcale tak nie uważamy - Thome odezwał się do pani Mullen z takim przekonaniem, jakby wypowiadał się w imieniu wszystkich zaangażowanych w sprawę, choć w rzeczywistości mógł mówić jedynie za osoby znajdujące się w tym pokoju.

- Dzięki Bogu.

Mullen podszedł do Thornea i położył rękę na jego ramieniu. Zarówno Thome, jak i Porter zostali obdarzeni wątlym, nie do końca przekonującym uśmiechem, zanim Mullen odwrócił się i ponownie przysiadł na podłokietniku kanapy. To była dziwna chwila: gest solidarności, wdzięczności albo czegoś całkiem innego. Thome wychwycił tylko woń alkoholu w oddechu tamtego i lekko bełkotliwy ton głosu, kiedy Mullen znów się odezwał:

- Musimy ruszyć tę sprawę z miejsca. Rozgryźć, kto zatrudnił do tego porwania Allena i jego dziewczynę. Dlaczego uprowadzono Luke'a. Teraz mamy już ciała, a z ciała zawsze można się czegoś dowiedzieć, prawda?

- Rozmawialiśmy dziś z ludźmi, którzy znali Granta Freestone'a - rzekł Thome.

Mullen zamrugał.

Thome zauważył ten ruch i zobaczył też, że ręka Maggie Mullen przesuwana się w stronę popielniczki, a długi na dwa i pół centymetra popiół z papierosa spada na dywan. Nie schyliła się, by go zmieść.

- Cóż, niektórzy na pewno wciąż siedzą z założonymi rękami - skwitował Mullen, uśmiechając się, ale był wściekły. - I jest im z tym dobrze.

- Dlaczego nie podał nam pan nazwiska Freestone'a, kiedy zapytaliśmy o listę osób mogących żywić wobec pana urazę? - spytała Porter.

- Bóg raczy wiedzieć. Teraz, gdy się nad tym zastanawiam, dochodzę do wniosku, że powinienem był je wpisać. Ale nie myślałem logicznie.

- Jakże on właściwie pogroźki kierował pod pana adresem? - dopytywał Thome, który przeszedł po dywanie i usiadł na kanapie.

- Typowe. Że mnie dopadnie. Że pożałuję. Słyszałem takie teksty dziesiątki razy. Nie przejmowałem się jego groźbami bardziej niż pogroźkami ze strony innych z tej listy.

- Naprawdę?

- A co z nimi? Co z Cotterillem i Quinnem? Wyeliminowaliście ich?

Thome i Porter nie otrzymali jeszcze wiadomości od Hollanda i jego partnera ani od Heeneya i Stone'a.

- Na razie nie.

- No to na co czekacie? Po co marnujecie czas i energię na takiego dupka żółdnego jak Freestone?

- Próbuję ruszyć tę sprawę z miejsca - odparł Thome.

- Jezu...

Porter otworzyła usta, by coś powiedzieć.

- Czy uważa pan, że to on porwał Luke'a?

To pytanie zadała Maggie Mullen. Wszyscy odwrócili się, by na nią spojrzeć.

- Nie. Oczywiście, że nie.

Mullen podniósł się i stanął za kanapą, piorunując Thome'a wzrokiem.

- Chyba że ma iloraz inteligencji jak Forrest Gump.

Porter odchrząknęła, ale znów nie była w stanie wykrztusić z siebie słowa. Thorne czuł palce Mullena wpijające się w kanapę z tyłu za nim.

Pani Mullen nachyliła się, by zdusić papierosa w popielniczkę, po czym uniosła wzrok i uśmiechnęła się.

- Zaparzę kawę. Kto sobie życzy?

- Już proponowałem - uciął Mullen.

- To może kieliszek wina? Skończyłeś tę butelkę, którą otworzyliśmy do kolacji?

Oblicze Mullena poczerwieniało.

- Na miłość boską, nie bądź idiotką. Wstawiłem ją do...

- Nie mów tak do mnie. - Głos jej się łamał, ale wyraz twarzy i palec wskazujący, który w niego wymierzyła, wydawały się niewzruszone. - Jakbym była jakimś popychadłem.

Chwilę później, kiedy Maggie Mullen sięgnęła po kolejnego papierosa, Thome odwrócił wzrok i usiłował wychwycić spojrzenie Porter, ona jednak skupiała całą uwagę na chińskich smokach i mostach.

Zażenowanie...

11

Garstka uprzywilejowanych, która korzystała z gościny Royal Oak w piątkowy wieczór, prezentowała się podobnie jak inne grupy imprezowiczów, tyle że były wśród nich ze dwie kobiety więcej, mniej czarnych i Azjatów, no i większość z nich miała legitymacje policyjne. Nieoficjalnie Oak był miejscem spotkań towarzyskich wszystkich zatrudnionych na

komendzie Colindale albo w niedalekim Peel Centre i choć pub nie należał do szczególnie przytulnych ani atrakcyjnych, jeżeli chodzi o ceny alkoholu, miał jeden atut - znajdował się blisko, a to okazywało się nieraz ważniejsze od miłych uśmiechów czy wieczorów z zagadkami. Tak się również składało, że był rzadziej narażony na naloty i kontrole, czy pija się tu po ustalonych godzinach.

Thome i Porter wpatrywali się przez chwilę w przestrzeń ponad kuflami z guinnessem i jasnym beczkowym. Pozwolili, by piwo choć trochę złagodziło napięcie. Spychali na bok zmęczenie.

- Myślisz, że Mullen zazwyczaj tyle pije? - spytała Porter.

Thome pokręcił głową i przełknął piwo.

- Nie mam pojęcia. Tak samo jeżeli chodzi o nią i fajki. Choć zważywszy na sytuację, nie dziwię się, że potrzebują odrobiny wsparcia.

Zanim wrócili do Becke House od Mullenów, napisali sprawozdanie, zdali raport i omówili zajęcia na dzień następny, była już północ. Zapowiadała się osiemnasto, dwiętnastogodzinna zmiana, z krążeniem od domu do domu, i choć większość zespołu znów będzie na nogach od bladego świtu, przewagą głosów zdecydowano, że rozluźnienie przy piwie jest warte utraty godziny snu.

W wypadku Thorne a podjęcie tej decyzji nie było trudne.

- Cóż, rozumiem ich - rzekła Porter. - Gdyby to było któreś z moich dzieci, wolałabym amfę.

- Ile masz?

Porter pokręciła głową.

- Jeszcze żadnego. Tak tylko mówiłam...

Holland przystanął w drodze do baru, miał już nad nimi niewielką przewagę. Podziękowali, gdy zaproponował im drinka, nie zamierzali się spieszyć ani urządzać wielkiego picia. Holland siedział przy stoliku obok, przerzucając się oblesnymi żarcikami z Samem Karimem i Andym Stoneem. Heeney, Parsons i kilku innych siedziało o kilka metrów dalej, po drugiej stronie automatu z owocami. Pomimo odgórnych nacisków na kooperację po godzinach zespoły do spraw zabójstw i uprowadzeń trzymały się ze swoimi.

- Powinniśmy jutro omijać Mullenów szerokim łukiem - zaproponował Thome. - Gdy zobaczy gazety, dostanie szału.

- Wolałabym tego uniknąć.

Porter upiła łyk.

- Kenny Parsons wróci tam z samego rana, więc później powie nam co i jak - dodała.

- Mullen zadzwoni prosto do Jesmonda albo do kogoś innego, z kim grywał w golfa, a wtedy twój szef wpadnie po szyję w bagno.

- Hignett ma mocne plecy.

- Dobra. Niech góra załatwi to między sobą. A my lepiej siedźmy cicho i nie rzucajmy się w oczy.

Pomimo tego, co Thome powiedział Tonyemu i Maggie Mullenom kilka godzin temu, teoria, zgodnie z którą Luke Mullen nie został przez kogoś uprowadzony siłą, lecz ukrył się po tym, jak zabił swoich porywaczy, nie została jeszcze oficjalnie odrzucona. Z uwagi na dość nieoczekiwany obrót wydarzeń podjęto decyzję o częściowym zniesieniu blokady mediów i nazajutrz miał ukazać się artykuł o zniknięciu Lukea.

Nie na pierwszej stronie.

To nie będzie budzący grozę artykuł o zaginięciach dzieci.

Raczej krótki artykuł o nastolatku, który zniknął po szkole, ze zdjęciem i apelem, by zgłosiły się osoby mogące znać obecne miejsce jego pobytu, oraz apel do chłopaka, by zrobił to sam, jeżeli go przeczyta.

- W sumie trudno się dziwić Hignettowi.

- Ale wciąż mogę go uważać za dupka?

- Po prostu dba o swój tyłek - rzekła Porter. - To bezpośredni apel do świadków i wiadomość do dzieciaka, gdyby gdzieś się zaszył i bał się wrócić do domu. Dopóki nie zdobędziemy dowodów potwierdzających, że ktoś go porwał, Hignett będzie się bał zignorować inne możliwości. Miałyby się z pyszna, gdyby się okazało, że tak właśnie było.

- Ale tak nie było.

- Mimo to nie możemy mieć stuprocentowej pewności. Nadinspektor musi wykazać się szczególnym wyczuciem i ostrożnością, brać pod uwagę nawet najbardziej nieprawdopodobne teorie. Dzięki temu jest kryty.

- Jest kryty, dopóki porywacz nie zobaczy jutrzejszej gazety i nie przyśle nam w niej kilku odciętych palców Luke'a a Mullena.

Porter patrzyła na niego z otwartymi ustami, które w końcu zmieniły się w grymas pełnego ironii parsknięcia. Thome nie potrafił zachować pokerowej twarzy i też się zaśmiał. Wypili, zagryzając chrupkami, a Thome stwierdził, że Porter miała chyba rację. Jeżeli chodziło o włączenie prasy, Hignett miał zapewne słuszość, przynajmniej z punktu widzenia dbałości o własną skórę, a poza tym, pomijając działania zgodne z odgórną polityką, niewiele więcej mogli zrobić w obecnej sytuacji.

Kiedy zamordowano Conrada Allena i Amandę Tickell, Harry Cotterill wracał właśnie

z nocnego wypadu do monopolowego, w transjacie miał mnóstwo taniego belgijskiego piwa. Nikomu jeszcze nie udało się odszukać Philipa Quinna, ale jego dziewczyna zarzekła się, że przebywał teraz w Newcastle. Była na niego wściekła do tego stopnia, że powiedziała policji, jakich dokładnie przewinień się dopuścił podczas tego pobytu, przydając swojej opowieści i jego alibi przygnębiającego prawdziwego brzmienia.

Jeżeli chodziło o ofiary zabójstwa, zespół nie dowiedział się niczego interesującego. Udało się nakreślić w zarysie życiorys Amandy Tickell: dobrze sytuowana rodzina, ojciec zginął w wypadku, kiedy była dzieckiem, jako nastolatka zaczęła buntować się przeciw wszystkiemu i wszystkim, aż w końcu straciła nad tym kontrolę i wpadła w szpony nałogu narkotykowego. Z tym, co już wiedzieli na temat Conrada Allena, ich oczom zaczynał jawić się obraz trzeciorzędnych Bonnie i Clyde'a, ale nic nie wskazywało, dla kogo mogli oni pracować. Rozmawiali z kilkoma spośród ich domniemanych dilerów, biorąc pod uwagę, że Allen i Tickell mogli wplątać się w porwanie, by spłacić dług za prochy. Wyłoniła się z tego bardziej złożona teoria, zgodnie z którą diler narkotykowy, świadomy tego, co się działo, obmyślił sposób, aby zgarnąć wszystkie pieniądze dla siebie, i sprzątnął Allena oraz Tickell, po czym sam wywiózł dokądś Luke'a. Ale dlaczego wciąż nie pojawiło się żądanie okupu? To było pytanie, jakie przychodziło każdemu do głowy, i nie było sensu zbytnio dociekać, co myślała góra. Niektórzy gliniarze byli niejako genetycznie zaprogramowani, by zachowywać rezerwę, ludzie tacy jak Hignett i Jesmond, dbający o własną skórę i martwiący się przede wszystkim o siebie.

- Chciałam cię przeprosić - rzekła Porter.

- Za co?

- Za to, że zachowywaliśmy się jak idioci, kiedy wchodziliśmy do mieszkania Allena. Decyzję o wyłączeniu cię z akcji podjęłam na własną rękę. Chodziło o terytorium i zachowałam się jak ostatnia kretynka. Dlatego przepraszam.

- Przynajmniej szczerze.

- Miałeś prawo się wkurzyć.

- Powinienem był wkurzać się dłużej.

- No i chciałam też przeprosić za mój komentarz tamtego dnia. Za ten głupi żarcik o alzheimerze.

Thome musiał przypomnieć sobie, o co jej chodziło.

- Nie wygłupiaj się. Nic się nie stało.

Naprawdę tak uważał, ale mimo wszystko zastanawiał się, z kim rozmawiała Porter. Spojrzył w stronę stolika, gdzie siedzieli Holland, Karim i Stone.

- To już prawie rok, prawda?

- Niedługo będzie rok.

- Ktoś wspomniał, że był pożar.

Thome upił łyk guinnessa, zlizął pianę z górnej wargi.

- Taa, pożar.

- Ja parę lat temu straciłam mamę. Więc...

- No tak.

- Czytałam gdzieś, że potrzeba siedmiu lat na otrząśnięcie się po śmierci rodzica.

Siedem lat jak w pysk strzelił. Jakby to był świerzb. Nie mam pojęcia, jakim cudem na to wpadli.

- Pewnie tak tylko napisali. Trzeba było podać jakąś liczbę, to podali.

Porter powiedziała, że zapewne miał rację, po czym skinęła głową i spytała, skąd miał bliznę na twarzy.

Thome odruchowo przesunął palcem po bliznie przecinającej jego podbródek, jaśniejszej niż skóra wokół niej i pozbawionej włosów.

- Rekin mnie dziabnął - odparł, ale zważywszy na to, jak się miały sprawy, był pewien, że ona i tak niedługo się dowie.

Porter potarła podbródkiem o brzeg szklaneczki. Ta odpowiedź, najwyraźniej jedyna, na jaką mogła liczyć, chyba przypadła jej do gustu.

- Idę po jeszcze jedno - rzekł Thome i odsunął krzesło. - Też chcesz?

Podowała mu szklankę.

Podchodząc do kontuaru, Thome dostrzegł kątem oka swojego ojca, tak jak wyglądał, stojąc przy barze podczas rodzinnego wesela przed rokiem czy dwoma laty. Bawił się w najlepsze, zaśmiewając w głos i pełniąc honory gospodarza. Opowiadał wszystkim, którzy byli zbyt uprzejmi, by odejść, że najlepszą rzeczą w jego chorobie jest to, iż można zapomnieć, że miało się postawić komuś piwo.

Thome zamrugał powoli i pomyślał o tym, co powiedziała Porter. Zapowiadało się, że długo potrwa, zanim w końcu uwolni się od tego starego pryka.

Zamówił piwo i podszedł do stojącej nieco dalej przy kontuarze Yvonne Kitson, by zamienić z nią parę słów. Wyglądała na szczęśliw-

- Niedługo będzie rok.

- Ktoś wspomniał, że był pożar.

Thome upił łyk guinnessa, zlizął pianę z górnej wargi.

- Taa, pożar.

- Ja parę lat temu straciłam mamę. Więc...

- No tak.

- Czytałam gdzieś, że potrzeba siedmiu lat na otrząśnięcie się po śmierci rodzica. Siedem lat jak w pysk strzelił. Jakby to był świerzb. Nie mam pojęcia, jakim cudem na to wpadli.

- Pewnie tak tylko napisali. Trzeba było podać jakąś liczbę, to podali.

Porter powiedziała, że zapewne miał rację, po czym skinęła głową i spytała, skąd miał bliznę na twarzy.

Thome odruchowo przesunął palcem po bliznie przecinającej jego podbródek, jaśniejszej niż skóra wokół niej i pozbawionej włosów.

- Rekin mnie dziabnął - odparł, ale zważywszy na to, jak się miały sprawy, był pewien, że ona i tak niedługo się dowie.

Porter potarła podbródkiem o brzeg szklaneczki. Ta odpowiedź, najwyraźniej jedyna, na jaką mogła liczyć, chyba przypadła jej do gustu.

- Idę po jeszcze jedno - rzekł Thome i odsunął krzesło. - Też chcesz?

Podowała mu szklankę.

Podchodząc do kontuaru, Thome dostrzegł kątem oka swojego ojca, tak jak wyglądał, stojąc przy barze podczas rodzinnego wesela przed rokiem czy dwoma laty. Bawił się w najlepsze, zaśmiewając w głos i pełniąc honory gospodarza. Opowiadał wszystkim, którzy byli zbyt uprzejmi, by odejść, że najlepszą rzeczą w jego chorobie jest to, iż można zapomnieć, że miało się postawić komuś piwo.

Thome zamrugał powoli i pomyślał o tym, co powiedziała Porter. Zapowiadało się, że długo potrwa, zanim w końcu uwolni się od tego starego pryka.

Zamówił piwo i podszedł do stojącej nieco dalej przy kontuarze Yvonne Kitson, by zamienić z nią parę słów. Wyglądała na szczęśliwszą, niż kiedy ją widział ostatnio, ale parę kieliszków wina potrafi wyrzucić na ludziach taki efekt.

- I jak poszło? - spytał.

- Nie chcę za dużo mówić, żeby nie zapeszyć - odpowiedziała, wachlując się dziesięciofuntowym banknotem, jakby było jej gorąco. - Ale mam nadzieję na pomyślny rozwój wypadków.

- Co zrobiłaś?

Przez kilka chwil toczyła w sobie wewnętrzny bój.

- Naprawdę nie mogę powiedzieć, bo nie chcę zapeszyć. Rano będę wiedziała więcej. Czy moglibyśmy pogadać przez chwilę o pierdołach?

Tak też zrobili, aż przyniesiono drinki zamówione przez Kitson i wtedy odeszła od baru.

Thome zastanawiał się, ile snu straci tej nocy przez bolące plecy. Uznawszy, że będzie potrzebował drobnej pomocy, zamówił duże piwo zamiast małego, po czym oparł się o kontuar i pozwolił swoim myślom błądzić przez chwilę.

Siedem lat smutku.

Siedem lat, aż miłość w tobie umrze i zaczniesz rozglądać się za czymś innym.

Czy te emocje miały datę ważności? Wiedział równie dobrze jak wszyscy, że miłość można było zabić, i zdawał sobie sprawę, iż smutek mógł zostać zredukowany do paru na wpół zapomnianych smaków lub zapachów. Nienawiść jednak, jak sądził, była w stanie przetrwać dłużej niż cokolwiek innego. Mogła zostać odłożona na później jak mrożonka, by ją w stosownej chwili rozmrozić, kiedy będzie potrzebna.

Przypomniawszy sobie wiersz, którego nauczył się w szkole, mówiący o tym, że świat skończy się w ogniu i lodzie. Była tam też wzmianka o tym, że ktoś „zaznał dość nienawiści”. Znowu pomyślał o swoim starym nauczycielu, a potem o kuratorze Lardnerze i zanim wrócił z piwem do stolika, w jego głowie panował nieopisany chaos.

Tony Mullen nie był pewien, jak długo leżał w ciemnościach. Pięć minut? Może piętnaście? Ile czasu upłynęło, odkąd się położył, wślizgując się do łóżka obok żony i córki?

Maggie i Juliet leżały razem, wtulone „na łyżeczkę”, tak jak robili to często on i jego żona. Przytulił się do nich, leżąc w ubraniu na kocu, objął je obie ramieniem i nieznacznie ścisnął, kiedy Juliet znowu zaczęła płakać.

Kłótnia nie trwała długo po tym, jak Thome i reszta wyszli. Wypaliła się bardzo szybko, gdy uświadomił jej, że nie kłócili się wcale oto, jakim tonem się do niej odezwał, lecz prawdziwy powód był inny, a kiedy przestała na niego krzyczeć i wreszcie sobie przypomniała, natychmiast zamilkła.

Zupełnie jakby spojrziała nie w tę stronę, w którą powinna, i wpadła do tej samej dziury, gdzie był Luke.

Kiedy wymamrotała coś do niego od swojej strony łóżka, poprosił, żeby powtórzyła, i przez chwilę rozmawiali ponad ciałem śpiącej córki.

- Dlaczego nie pójdziesz do pokoju obok? - spytała.

Był pewien, że nie złączą się od nowa, ale mimo to nie chciał pytać, o co jej chodziło. Skoro nie chciała przy nim leżeć albo uważała, że we trójkę będzie im za ciasno, mógł wygodniej przespać się w drugim pokoju.

Tak czy owak sprawa była czysto akademicka.

- I tak raczej nie zasnę - powiedział. - Pomyślałem, że pójde trochę pobiegać.

Odczekał jeszcze kilka minut, po czym wstał z łóżka. W słabym zielonym świetle cyfrowego zegarka widział, że żona miała zamknięte oczy i zaciśnięte usta; ona też o śnie mogła jedynie pomarzyć.

Podszedł do szafy wnekowej, otworzył drzwi i schylił się po obuwiu sportowe.

Kiedy Thome wrócił do swojego mieszkania kilka minut przed drugą, zdziwił się, gdy wchodząc do salonu, ujrzał śpiącego na kanapie mężczyznę.

Hendricks otworzył oczy i usiadł. Elvis, która leżała skulona na jego klatce piersiowej, zeskoczyła na podłogę i podeszła do Thome a, pomrukując.

- Już późno - rzekł Hendricks. - Zaczynałem się martwić i omal nie zadzwoniłem na policję.

Thome ominął kanapę i ruszył w stronę kuchni.

- Wiedziałem, że powinienem być poprosić o zwrot klucza.

- Mówisz to takim tonem, jakbyś chciał zacząć śpiewać I Will Survive. Powinieneś być wymienić ten cholerny zamek.

- Chcesz herbaty?

Hendricks w zeszłym roku spędził w tym mieszkaniu kilka tygodni, a Thome nie pokwapił się, by odebrać od niego zapasowy klucz, gdy patolog wrócił już do siebie. Od tamtej pory parę razy z niego korzystał, ale Thome był święcie przekonany, że Hendricks nie zjawił się tu dziś po to, aby nakarmić jego kota.

- Jak długo chciałbyś zostać?

Hendricks odezwał się nieco głośniejszym głosem, odwracając się w stronę kuchni:

- Tylko na dziś. Nie zamierzałem zostać na noc, ale jak się zrobiło późno, pomyślałem, co mi tam, i postanowiłem rozłożyć łóżko.

- No i dobrze.

Thome podszedł do wieży stereo.

Włączył płytę Iris DeMent, piosenkarki i autorki tekstów z Arkansas, którą po raz pierwszy usłyszał na kanale Radia 2 Bob Harris Country. Były to piosenki ludu gór o błogosławieństwach i krwi, proste, szczere, odpowiednie na tę porę. Thome odczekał, aż rozległy się pierwsze dźwięki gitary akustycznej, podkręcił trochę i wrócił po herbatę.

- Kłótnia z Brendanem nie była o pietruszkę - zagadnął Hendricks.

Thome usiadł delikatnie i ugiął jedną nogę w kolanie.

- Wcale tak nie myślałem.

- Tamtego dnia powiedziałem, że nie pamiętam, o co poszło, ale że to nie było nic

ważnego, pamiętasz?

- Pamiętam, że byłeś trochę enigmatyczny...

- Pokłóciliśmy się o dzieci.

- Co jest, zdecydowałeś się w końcu powiedzieć mu, że nie możesz ich mieć?

Hendricks się uśmiechnął, ale w ten sposób tylko podkreślał swoje słowa.

- Ja chcę je mieć. W tym właśnie problem. Wiem, że to cholerny koszmar i przypuszczalnie mielibyśmy takie szanse jak płatek śniegu w piekle, ale chciałem porozmawiać o adopcji. Brendan nie był zainteresowany. Uważa, że jestem egoistą, że powinienem był mu powiedzieć, kiedy zaczęliśmy się spotykać. Ale wtedy jeszcze nie wiedziałem, że chcę je mieć.

Sprężyny kanapy skrzypnęły, kiedy Hendricks zmienił pozycję. Do gitary dołączyło pianino i głos z mocnym akcentem z gór Ozark.

- A kiedy się zorientowałeś? - rzucił Thome.

Hendricks opuścił głowę do tyłu i przemówił, patrząc w sufit:

- W zeszłym roku pojechałem na konferencję do Seattle, pamiętasz?

- To było chyba około Wielkanocy. Wspominałeś, że było dość chłodno.

- Jednego dnia zaprezentowano nowe wyposażenie dla domów pogrzebowych i kostnic. Były tam też specjalne pokoje urządzone do wystawiania w nich ciał dzieci, rozumiesz? - Hendricks odchrząknął.

- Różnych, od dzieci, które urodziły się martwe, po nastolatki zabite w czasie walk między gangami, w ulicznych strzelaninach. Powoli zaczynamy dostawać cały ten sprzęt, ale wtedy jeszcze czegoś takiego nie widziałem. Najogólniej chodzi o zminimalizowanie szoku u rodziców, sprawienie, że cały ten proces staje się mniej bezosobowy... mniej wstrząsający. I właśnie dlatego ciało wystawione jest w specjalnie chłodzonym łóżku. Cały pokój jest urządony jak dziecięca sypialnia. No wiesz, są tam pluszowe misie, lalki, wszystko, co lubią dzieciaki, i muzyka, jeżeli sobie tego życzysz. Wszystko to ma wywołać wrażenie, jakby martwe dziecko spało. Iluzję spokoju, choćby tylko przez kilka minut.

- Musisz zrozumieć, że nie chodzi o żadną ściemę. Nikt nie próbuje nikogo oszukać. Nie ma żadnych fałszywych uśmiechów. To nie tak, nawet jeśli po tym, co powiedziałem, odniosłeś takie wrażenie.

- No więc oni nas oprowadzają jak wycieczkę. Są tam moi koledzy po fachu z Anglii, Niemiec, Australii i Bóg wie, skąd jeszcze, wszyscy robią notatki, zadają pytania: Jak reguluje się temperaturę łóżka? Jakie są koszty instalacji? Pytają o wszystko. A ja tylko patrzę na puste łóżko i samochody wyścigowe na pościeli, na pluszaki i zasłony... i widzę dziecko

leżące na łóżku. Chłopczyka...

- Widzę każdy szczegół jego twarzyczki. Jakie ma długie rzęsy, jak wyglądają jego dłonie złożone na kocu i jak idealne są półksiężycy paznokci. Widzę każde pasemko włosów i widzę dokładnie, ile szminki położyli mu na ustach, i wydaje mi się, że dostrzegam długi na dwa centymetry fragment blizny sekcyjnej odcinającej się czerwono na jego klatce piersiowej, gdzie rozpiął mu się górny guzik od piżamy. Widzę to wszystko, rozpoznaję to, bo z jakiegoś powodu patrzę na tego chłopca jak rodzic, a nie jak patolog.

- Czy to ma w ogóle, kurwa, jakiś sens?

- To było wszystko, niczego więcej nie potrzebowałem. To właśnie się zmieniło. Chłopiec, którego wyobraziłem sobie na łóżku, nie był anonimowy, nie był ciałem, nad którym pracowałem. Był mój. To ja kupiłem mu tę piżamkę w statki kosmiczne i gwiazdy. To ja będę go musiał pochować. I nagle zrozumiałem, że potrafię otwarcie się przyznać, jak bardzo pragnę dziecka. Bo wiedziałem, jakie to straszne uczucie, kiedy je utracisz...

Hendricks pociągnął nosem i zaklął, ale Thorne zatopiony w swoim fotelu nie potrafił stwierdzić, czy w oczach patologa pojawiły się też łzy. Musiałby wstać, a szczerze mówiąc, nie wiedział, jak miałby się wtedy zachować. Kiedy Hendricks leżał na łóżku, to było trudne. Niezręczne. Dlatego nie ruszył się z miejsca i zrobiło mu się głupio, bo nie wiedział, jak może sprawić, by jego przyjaciel poczuł się lepiej.

I tak słuchali obaj Iris DeMent śpiewającej o Bogu krążącym pośród czarnych wzgórz i Jezusie wyciągającym rękę coraz niżej, by dosięgnąć jej bólu.

To była największa obława w historii londyńskiej policji kryminalnej: zakrojone na szeroką skalę poszukiwania seryjnego gwałciciela, który od lat dziewięćdziesiątych włamał się do prawie stu domów w południowym Londynie, napastując seksualnie ponad trzydzieści starszych kobiet i gwałcąc co najmniej cztery. Mężczyzna ten, ochrzczony mianem Nocnego Łowcy, zawsze działał w ten sam sposób. Po włamaniu do domu przecinał kabel telefonu ofiary i wyłączał prąd, po czym udawał się do sypialni.

Przez lata sporo czytała o tej sprawie, która przerażała ją i fascynowała równocześnie. Miała do czynienia z różnymi dewiacjami, stykając się z tymi, którzy poddawali się ich zgubnemu wpływowi, jak i tymi, którzy byli ich ofiarami, tak więc do pewnego stopnia interesowały ją z zawodowego punktu widzenia. Ale co więcej, czytała na temat przeżyć ofiar wspomnianego gwałciciela, oglądała w telewizji rekonstrukcje wydarzeń i czuła ich strach, jakby był jej własnym. Kobiety, osiemdziesięcioletnie i starsze, wszystkie bez wyjątku opisywały przerażającą chwilę przebudzenia, gdy dostrzegły przy łóżku mroczną postać, i nie mogła oprzeć się pokusie, by nie spytać samej siebie, jak ona zachowałaby się w podobnej

sytuacji. Jak mogłaby zareagować?

Mieszkała w innej części Londynu i nie była aż tak stara jak kobiety będące w kręgu zainteresowań owego mężczyzny, ale mimo to zadawała sobie to pytanie...

- Powiedziałem, nie ruszaj się.

Znieruchomiała z wyciągniętą do przodu ręką.

- Chciałam tylko zapalić światło. Gdyby nie było tak ciemno, mniej bym się bała.

- Ja lubię, jak jest ciemno - odparł.

Serce tłukło jej się w piersi tak mocno, że miała wrażenie, jakby materiał koszuli nocnej tańczył na jej piersiach, ale czuła zdumiewający spokój. Miała jasny umysł. Myśli, obrazy i słowa przelatywały jej przez głowę jak fajerwerki - gwałt, krzyk, broń, ból - jednak tok jej myśli był jasny i określony.

To był sposób, aby sobie z nim poradzić. Musiała go jakoś zaangażować. Musiała sprawić, aby zaczęło mu na niej zależeć.

- Przykro mi, że się boisz - powiedział. - Nic nie poradzę.

- Nie wygłupiaj się, oczywiście, że możesz temu zaradzić.

- Nie...

- Możesz po prostu odejść. Nikomu nic nie powiem.

Zauważyła, że opuścił głowę, jakby zastanawiał się nad tym, co właśnie powiedziała, i miał z tego powodu wyrzuty sumienia. Szło jej całkiem nieźle, robiła to samo, co kobiety, które wcześniej zetknęły się z tym mężczyzną i nie zostały przez niego zaatakowane. Te kobiety mówiły potem, że zdołały do niego jakoś przemówić, może do jego sumienia, i w końcu odchodził, nie czyniąc im krzywdy.

„Co by pomyślała twoja matka?” - zapytała go jedna staruszka.

Zaczął podchodzić bliżej do jej łóżka i poczuła, że ogarnia ją panika. Chyba musiał to jakoś w niej dostrzec, a może wydała z siebie jakiś dźwięk, bo kazał jej zamilknąć.

- Wiem, że jesteś dobrym człowiekiem - rzekła.

Podszedł bliżej.

- Zamknij się...

- Przez ciebie zmoczyłam łóżko - próbowała zachować niewzruszony ton głosu, jakby karciała dziecko, ale równocześnie nie chcąc go wystraszyć. - Powinieneś się wstydzić.

Tylko że to ona się wstydziła, a wstyd został zastąpiony przez gniew i sięgnęła po łańcuszek zwisający u nocnej lampki.

Zaklął, kiedy zapaliła lampkę, zaczął krzyczeć i w jednej chwili rzucił się na nią.

Wpiła palce w jego przedramiona, kiedy próbował sięgnąć poza nią, ale siły ją

opuściły, gdy ujrzała jego twarz. Potrzebowała sekundy, dwóch, żeby go rozpoznać. Zaraz potem pojawiło się uczucie dezorientacji i zakłopotania, a fajerwerki w jej głowie śmigły jeszcze szybciej niż dotychczas, lecz zanim zdążyła wykrztusić „co?” albo „dlaczego?”, jej głowę pchnięto do tyłu, a z góry spadł na nią miękki cień.

Wymówiła dwukrotnie jego imię w poduszkę, ale słowa były tak ciche i zduszone, że nie sposób było je zrozumieć.

Obudził go ból w nodze, gdy przesuwiał ją po materacu, by zrobić miejsce dla ojca.

- Na miłość boską, ruszże ten tłusty tyłek - powiedział Jim Thome.

Thome zapalił światło. Była 4.17 nad ranem. Sięgnął po szklanę z wodą i wyłuskał dwa cocodamole z listka.

- Zrobił się z ciebie pieprzony lekoman!

Przy łóżku leżały dwie książki, które już kilka razy zaczynał czytać. Nie potrafił jednak skupić się na lekturze. W teczce miał egzemplarze „Standarda”, a na stoliku przy drzwiach frontowych nieotwieraną pocztę z dwóch dni. Nie chciał przechodzić przez pokój, by nie obudzić Hendricksa, leżał więc tak sobie, próbując ułożyć się możliwie wygodnie.

Odkąd zmarł, ojciec Thorne a starał się częściej niż kiedykolwiek służyć mu dobrą radą. Niekiedy dorzucał też jakąś mądrą myśl, przebłysk intuicji i co najmniej raz informację, której Thome potrzebował do schwytania zabójcy.

Ale nie było to źródło, które ktokolwiek uznałby za wiarygodne.

Z jakiegoś powodu czasami jego ojciec nie robił nic innego poza tym, że gapił się w sufit i przypominał Thomeowi, jaką miał „kurewsko brzydką i beznadziejną” lampę.

Luke

Nigdy dotąd się nie upił. Gdy kilka razy zdarzyło mu się być z kolegami w pubie, zawsze nakreślał sobie górną granicę - dwa browary - i hamował się, zanim ją przekroczył. I niezależnie, jak bardzo tego pragnął, jak bardzo uważał, że powinien, zawsze odmawiał, gdy chłopaki szli po szkole na jointa. Wiedział, że Juliet to zrobiła. Powiedziała, że za pierwszym razem było jej niedobrze, ale potem już wszystko grało, czuła się naprawdę rozluźniona i szczęśliwa. To brzmiało zachęcająco, ale on nigdy nie miał dość odwagi, by sprawdzić. Podjąć ryzyko, wiedząc, co mogło się stać. Jakiego ojciec miał zdanie na temat narkotyków.

Zawsze bał się utraty kontroli.

Teraz jednak, gdy siedział w ciemnościach, oparty plecami o ścianę, wyobrażał sobie, że tak to mogło wyglądać. Kiedy do reszty traci się głowę. Wyobrażał sobie, że gdy jest się pijanym albo naćpanym, człowiekowi wydaje się, jakby był gdzieś indziej, a wszystko wokół

płynie lub jest dziwnie wypaczone. Słabnie kontakt ze światem.

Mężczyzna zszedł na dół, żeby go zobaczyć, przyniósł mu coś do jedzenia i opowiadał mu różne rzeczy. Nie wiedział, czy mężczyzna był w domu przez cały czas, czy tylko przychodził i wychodził. Nie słyszał odgłosu zamykanych i otwieranych drzwi frontowych, ale też nie wiedział, jak daleko od nich się znajdował.

Luke nie miał pojęcia, czy była noc, czy może wczesnie rano. Przez szparę pomiędzy deskami na drugim końcu piwnicy wpadało światło, ale nie odróżniał, czy to światło dzienne, czy może z pokoju powyżej. Niewiele widział. Zaczął jednak przyzwyczajać się do ciemności i wyróżniać szczegóły pomieszczenia, zapamiętując jego rozkład, tak jak w mieszkaniu Conrada i Amandy.

To było żmudne i uciążliwe takie macanie wokół siebie, gdy sznur krępujący nadgarstki sprawiał, że tracił czucie w palcach. Znajdował

się w piwnicy o rozmiarach pięć na siedem metrów. Dłuższa ściana zwężała się i łączyła z prostopadłą, biegnącą lekko ukośnie pod górę. To musiał być stary zsyp na węgiel, widział kiedyś taki u kolegi, kiedy zeszli na dół po butelkę wina do kolacji. Ściany w domu tego kolegi były otynkowane i pomalowane, te tutaj szorstkie, gołe, ceglane, a sklepienie znajdowało się zaledwie kilkadziesiąt centymetrów na jego głowę.

Z boku były półki pokryte grubą warstwą kurzu i zastawione puszkami oraz otwartymi pudłami z kafelkami. Poniżej leżały rolki papieru, ciężki worek stwardniałego cementu i coś, co wyglądało jak ustawione jedna przy drugiej ramy do obrazów. Czuł zapach farby i terpentyny, w ustach miał smak ceglano-pyłowy i wilgotnej ziemi. Gdy próbował się przespać, usłyszał, jak coś małego przemknęło z piskiem nieopodal.

Kiedy mężczyzna otworzył drzwi i stanął u szczytu schodów, miał za sobą ciemność. Poświecił latarką w dół. Przyniósł hamburgera i frytki w torbie oraz plastikowy kubek coli. Przykucnął, zdarł taśmę z ust Luke'a, po czym skierował promień latarki w stronę klepiska, podczas gdy Luke jadł, a on mówił. Kiedy mężczyzna skończył, zszedł, patrząc na Luke'a, jakby oczekiwał reakcji na swoje słowa. Na szalone, pełne jadu kłamstwa na temat wszystkich, których Luke kochał. Skierował latarkę na twarz Luke'a.

Ale Luke tylko siedział i pałaszował z apetytem i nienawidził samego siebie za to, że miał ochotę zapłakać. Później mężczyzna zapytał Luke'a, czy musi ponownie zaklejać mu usta. Luke pokręcił głową. Mężczyzna powiedział, że nie ma sensu krzyczeć, bo i tak nikt go nie usłyszy, ale to będzie taki sprawdzian. Jeżeli Luke będzie się odpowiednio zachowywał, nie zacznie krzyczeć, może następnym razem rozwiąże również sznur krępujący jego przeguby. Mężczyzna był pewien, że Luke poradzi sobie z tą próbą. Powiedział, że Luke był

dobrym, rozsądnym chłopcem.

Luke tylko kiwał głową. Raz po raz.

Teraz, siedząc w ciemnościach, próbował to wszystko rozgryźć. Czy ten facet tylko tak mówił, czy faktycznie wiedział? Czy naprawdę

wiedział o nim to, czego nie wiedział on sam? Twierdził, że doskonale zna ludzi, którzy byli Luke owi szczególnie bliscy.

Nie mógł zasnąć, jego umysł pracował wreszcie trzeźwo. Może dlatego, że nie był już faszzerowany prochami, odkąd ten mężczyzna zabrał go z mieszkania i wsadził do auta. Może dlatego, że się wyspał, choć Luke nie był pewien, czy w ogóle sypiał, jak długo i od jak dawna. A może po prostu przekroczył tę granicę zmęczenia, za którą znów odzyskiwało się pełną sprawność ciała i umysłu i myślało się trzeźwo oczymś innym niż sen.

On myślał o przetrwaniu.

Wiedział, że matka i ojciec zrobiliby wszystko, co kazałby im ten mężczyzna, aby go odzyskać, ale widział dość filmów kinowych i telewizyjnych, by wiedzieć, iż czasami plany brały w łeb. O ile zdołał się zorientować, kluczem do przetrwania tego wszystkiego była kontrola. Tylko kontrola dawała mu szansę na wyjście z tego z życiem.

Ale nie wiedział, czy chodziło o zachowanie panowania nad sobą, czy może o utratę tej kontroli.

12

Pod kalendarzem na bladożółtej ścianie kuchni widniał wierszyk albo może powiastka wypisana staroświeckim charakterem pisma. Mówiła o człowieku, który chodził po plaży i zawsze dostrzegał na niej dwie pary śladów stóp - swoich i Boga. Z wyjątkiem owych najmroczniejszych chwil w jego życiu, kiedy był nieszczęśliwy albo borykał się z jakimiś wielkimi problemami - wówczas jedna para śladów stóp zniknęła. W tym wierszu mężczyzna złości się, że Bóg opuścił go w chwili największej potrzeby, na co Bóg tłumaczy, iż choć na plaży widać było ślady tylko jednej pary stóp, mężczyzna nigdy nie był zupełnie samotny. Bo w tych ciężkich chwilach Bóg po prostu nosił go na swoich barkach.

Heeney pokręcił głową i skinął w stronę dużego pokoju, gdzie odbywały się spotkania terapeutyczne.

- Nigdy nie sądziłem, że będziemy, no wiecie... Bożym Zespołem.

Neil Warren skończył mieszać ostatnią, trzecią herbatę i wrzucił łyżeczkę do zlewu.

- To nie jest... konieczne - powiedział. - Ale ja jestem, i owszem.

Podał Heeneyowi herbatę.

- Jasne - mruknął tamten.

- Większość ludzi musi znaleźć coś, co będzie dla nich ważniejsze niż prochy czy alkohol. Coś, co nie rozpieprzy im życia tak jak używki. A wtedy dokonują wyboru.

- Jasne - mruknął ponownie Heeney.

- W moim wypadku wszystko sprowadziło się do Boga albo kokainy.

Podał kubek Hollandowi, a ten przyjął go z uśmiechem, rozbawiony skrępowaniem Heeneya podobnie jak Warren.

Nightingale Lodge, prywatny ośrodek pomocy, był własnością organizacji o nazwie Pledge. Wielki, dwufrontowy, wiktoriański budynek stał na Battersea Rise, a na odwyku przebywało tam w jednym czasie do sześciu uzależnionych, którzy zakończyli właśnie ośmiotygodniową terapię odtruwającą, ale wciąż byli pacjentami „wysokiego ryzyka”. Mogli rozpocząć tu wolne od narkotyków życie, czekając na znalezienie nowego miejsca, gdzie zostaną już na stałe. Choć Pledge było organizacją charytatywną, rezydenci Nightingale Lodge sporo płacili za możliwość mieszkania tam i nie ulegało wątpliwości, że ktoś na tym zyskiwał. Neil Warren był jednym z dwóch stałych doradców i przyznawał, że nie do końca wie, kto wypłaca mu pobory. Wiedział natomiast, że były one znacznie wyższe niż te, jakie otrzymywał, pracując dla londyńskiego Bromley kilka lat temu.

- Uwalnianie ludzi spod zgubnego wpływu narkotyków to świetnie rozwijający się przemysł - powiedział, kiedy Holland pierwszy raz rozmawiał z nim przez telefon. - Klientów nie brakuje.

Głos był wysoki i swobodny, z nutką akcentu z północy. Holland wyobraził sobie mierzącego jakieś metr osiemdziesiąt wymizerowanego hipisa w dzinsach i z kucykiem.

Warren był dobrze po trzydziestce, niski, krępy, z ciemnymi, przyciętymi na zapałkę włosami. Nosił prostą szarą bluzę od dresu, bojówki khaki i timberlandy. Wyglądał, jakby umiał o siebie zadbać.

- Można by uznać to za oficjalną przerwę na papierosa - rzekł Warren.

Wyjął z tylnej kieszeni blaszane pudełko z tytoniem, zapalniczkę i jednego z przygotowanych przez siebie skrętów. Podsunął pudełko Heeneyowi, który uprzejmie odmówił, ale sięgnął po paczkę własnych benson & hedges. Holland pokręcił głową.

- Mówił pan o kokainie czy czymś takim - powiedział Heeney, wkładając papierosa do ust. - Ja nawet tego nie mogę rzucić.

Warren zapalił.

- Trudniej rzucić niż heroinę - stwierdził.

- Ale przynajmniej taniej.

- Nie za bardzo...

- To fakt.

Holland spojrział na Heeneya, opartego o blat, z papierosem i kubkiem herbaty, zupełnie jakby rozmawiał w domu z żoną o jakichś bzdetach. Nieczęsto Holland tęsknił za współpracą z kimś w rodzaju Andy ego Stone a, ale to byłaby teraz prawdziwa przyjemność. Może to przez ten akcent z Birmingham. Ale powód był równie dobry jak inny, żeby jak najszybciej znaleźć sobie nowego partnera, i jak się okazało, pierwsze wrażenie okazało się przeraźliwie trafne. Szybko opracowali wzorzec postępowania, zgodnie z którym Holland stał z boku, siląc się na jakiś komentarz albo dłużyć w nosie, kiedy nikt nie patrzył.

- Porozmawiamy tutaj - rzekł Warren. - Niektórzy rezydenci mają w salonie nienadzorowaną sesję terapeutyczną.

Heeney pociągnął nosem, a Warren przyjął to jako wyraz pogardy i lekceważenia, zupełnie skądinąd słusznie.

- Terapia nie zawsze oznacza opieprzanie się. - W jego głosie pojawiła się surowa nuta. - My tu naprawdę ciężko pracujemy. Muszą przysiąc fałdów, postępować zgodnie z przepisami, a jeżeli się nie dostosują, wylatują. Tak się składa, że jestem tym dobrym gliną. Inny doradca każe wszystkim, którzy coś zawałą, nosić przez cały dzień na szyi deskę klozetową.

- Jak to działa? - spytał Holland. - Dzieli pan obowiązki z innym doradcą?

- Dyżur zawsze ma tylko jeden.

- To znaczy?

Warren podsunął popielniczkę bliżej Heeneya.

- Jeden z nas jest tutaj zawsze na noc i mamy dyżury tygodniowe. Obecnie mam dyżury dzienne, więc mogę sypiać we własnym łóżku.

Holland spojrział na magnesik przyczepiony do drzwi lodówki, drukowaną listę, laminowaną i przypiętą na drzwiczkach jednej z szafek.

- To tak trochę po studencku - powiedział. - Informacje zostawiane współlokatorom, żeby pozmywali albo nie tykali nowego jogurtu. Jak życie w akademiku...

- Trochę tak - przyznał Warren - choć z większą dawką przemocy iznacznie mniejszą ilością seksu.

Heeney nagle się ożywił.

- A to dlaczego?

- Po pierwsze dlatego, że mamy tu przedstawicieli tylko jednej płci, choć w sumie to nie robi tak wielkiej różnicy. Ale rezydentom nie wolno utrzymywać bliższych stosunków

podczas pobytu tutaj. Nie popieramy zależności.

- Jak długo tu przebywają? - spytał Heeney.

- Do osiemnastu miesięcy.

- O w mordę.

- To zależy, czy i jak dadzą sobie radę i czy akurat miasto będzie mieć wolne mieszkania komunalne.

- Założę się, że wala się tu mnóstwo pornosów...

Warren uśmiechnął się i zaciągnął dymem, ale raczej rozbawił go komentarz policjanta, niż sympatyzował z jego opinią.

Przez kuchenne okno Holland widział długi wąski ogród. Na jego drugim końcu była szopka, stół i krzesła. Trawa wymagała skoszenia, a kiedy duża sroka, skrzecząc, zeskoczyła z parkanu na trawę, zupełnie zniknęła z oczu.

- Dlaczego pan przestał brać? - zapytał Holland, spoglądając w stronę kalendarza i widniejących pod nim słów. - Co skłoniło pana do podjęcia wyboru?

- Chciałem przestać od dnia, kiedy zacząłem brać - odparł Warren. - Właściwie to raczej wiedziałem, że powinienem przestać. Byłem doradcą do spraw narkotyków i równocześnie narkomanem, więc doskonale zdawałem sobie sprawę, jak bardzo się wpięprzyłem. Ale nie przestaje się brać, dopóki nie ma się innego wyjścia. Dopóki jakaś część ciała nie odmówi posłuszeństwa albo w życiu nie dojdzie do jakiegoś tragicznego przełomu.

Na zewnątrz kot o długiej zmierzwionej sierści wskoczył na parapet okna. Warren sięgnął ręką i delikatnie postukał palcem w szybę, patrzył, jak kot ociera się o szkło.

- Szczerze mówiąc, rzadko da się wyróżnić jakieś jedno konkretne zdarzenie - kontynuował. - Ale gdybym miał wybierać, pewnie byłaby to śmierć mojej mamy, kiedy brat i siostra nie pozwolili mi zostać sam na sam z jej ciałem, abym nie pozdejmował całej biżuterii.

Holland zwrócił uwagę, że nawet Heeney gwoli przyzwoitości na kilka chwil wlepił wzrok w swoje buty.

- Taa. - Warren odwrócił się i zgasił papierosa. - To było dla mnie jak solidny policzek.

- I wtedy postanowił pan rzucić?

- Nie, jeszcze nie. - Zaśmiał się w głos, rozbawiony absurdalnością tego wszystkiego.

- Ale właśnie wtedy rodzina zmusiła mnie, żebym rzucił.

- Coś w rodzaju interwencji?

- Poniekąd, choć w brytyjskim stylu. Siostra odcięła się ode mnie, a brat stłukł na kwaśne jabłko.

Holland nie mógł się nadziwić otwartości tamtego i jego ewidentnej szczerości. Sprawiał wrażenie kogoś, kto dawno temu postanowił, że nie będzie niczego przed nikim ukrywał.

- A więc kiedy to było? - zapytał.

- Jestem czysty dokładnie od dwóch lat, czyli tyle samo, ile brałem narkotyki.

Holland zrobił pospiesznie rachunki i otrzymał ciekawy wynik.

- Zatem zaczął pan brać narkotyki, kiedy jeszcze pracował pan w zespole kuratorskim.

- Na poważnie zacząłem brać kokainę w dwa tysiące pierwszym.

- Czyli mniej więcej wtedy, kiedy zespół został rozwiązany?

Warren zdjął drobinę tytoniu z języka.

- Jakoś tak, mniej więcej. Mógłbym to sprawdzić, ale nie sądzę, abym gdzieś w dzienniku miał napisane: dziś wzięłem moją pierwszą kreskę...

Przerwały mu dochodzące z sąsiedniego pokoju krzyki, które przybrały na sile, kiedy drzwi otworzyły się gwałtownie. Kilka sekund później chudy nastolatek, zapewne w wieku Luke a Mullena, wparował do kuchni, żywo gestykulując i klnąc na cały głos.

Kot zeskoczył z parapetu.

- Ten kutas Andrew podkablował mnie przed grupą, głupi chuj powiedział wszystkim, że mówiłem o prochach... o prochach, które brałem, jakbym to lubił. Tego skurwiela nawet tam nie było... gnój podsypał mnie, bo chciał się przypodobać reszcie. Przysięgam, lepiej zabierz stąd wszystkie noże, pozabieraj noże z kuchni, Neil, bo słowo daję...

Warren podszedł z chłopakiem do stołu nieopodal. Posadził go pod plakatem z napisem „To nie jest próba generalna” i zaczął z nim rozmawiać, jakby Hollanda i Heeneya w ogóle tam nie było. Z początku mówił dość łagodnie, dopóki chłopak się nie uspokoił, ale jego ton z czasem stał się bardziej stanowczy. Powiedział, że rozumie, jakie to wkurzające, kiedy ktoś na ciebie doniesie, ale Andrew postąpił słusznie. Rozmowa o narkotykach jako o czymś pozytywnym była zabroniona; mówienie o nich jak o czymś, czego ci brakuje lub za czym tęsknisz, nie pomaga w powrocie do życia.

- To złe myślenie, Danny. Wiesz o tym. Złe myślenie...

Ten zwrot utkwiał Hollandowi w pamięci. Kojarzył mu się z krótkimi, typowo amerykańskimi chwytliwymi hasłami z terapii dla uzależnionych. Ale niewątpliwie poruszało do głębi. Holland upomniał się w myślach, by powiedzieć o tym Thome owi, na pewno go to rozbawi.

Złe myślenie.

Bez niego obaj straciliby robotę.

Na twarzy Jane Freestone nie pojawił się wyraz paniki, lecz zwykłego zaskoczenia, kiedy otworzyła drzwi. I przekonała się, że to nie świadkowie Jehowy zadzwonili do niej o wpół do dziesiątej rano w sobotę.

- Myślałam, że już sobie odpuściliście - rzekła. - Ze zrozumieliście, że tracicie czas, i że zaczniecie nękać kogoś innego raz do roku.

Teraz to ci, którzy pokazali jej legitymację, wyglądali na zbitych z tropu, podczas gdy oblicze Jane Freestone przepełnił grymas oburzenia. Thome uznał natomiast, że sprawa Sarah Hanley, przynajmniej jeżeli chodziło o udział w niej Granta Freestone a, zmieniła się z zimnej w lodowatą. Po krótkiej wymianie zdań on i Porter zostali wpuszczeni do środka.

Przeszli wąskim korytarzem, gdzie na ścianach wisiały oprawione w ramki reprodukcje przedstawiające zachody słońca i ośnieżone pejzaże. Na zamkniętych drzwiach taśmą przyklejono kartkę z napisem „Pokój Billyego”. Thome usłyszał dobiegające zza nich dźwięki włączonego telewizora i rozrzuconych zabawek. Mijając kuchnię, poczuł zapach chińskiego jedzenia na wynos.

W ciągu kilku minut, gdy znalazł się w mieszkaniu Jane Freestone, z dwiema sypialniami, na osiedlu w Brentford, droga Thome a do pracy zaczęła przerażać się w przyjemne, odległe wspomnienie. Wyszedł wcześniej, niż powinien, wymykając się z domu cicho, by nie obudzić Hendricksa, i wybrał drogę przez Highgate i Hampstead. Na ulicach było prawie pusto. Gdy przemierzał Golders Green, mijając Heath, niebo wysoko w górze było bezchmurne i nabiegało łagodnym różem. Pomyślał, że to zapewne jedyne plusy nadchodzącego dnia.

Widok z okna poniżej M4 na rozciągające się dalej parcele był tylko trochę bardziej ponury niż wewnątrz domu, a nastrój właścicielki mieszkania bardziej paskudny niż jedno i drugie razem wzięte. Thome nieraz miał okazję zająć ludziom za skórę, ale sporo wody w Tamizie upłynęło, odkąd zetknął się ze skierowaną przeciw sobie równie wielką dawką nienawiści. Kobieta prawie nie podnosiła głosu, ale ton nie pozostawiał wątpliwości; jej słowa, czy szeptane, czy wykrzykiwane, ociekały jadem. Powiedziała im, że nie ma czasu, bo musi ubrać dzieci. Zapytali ją, co miała na myśli, kiedy otworzyła drzwi, a ona wyjaśniła, że w ubiegłym roku Stróże prawa nie złożyli jej dorocznej wizyty, „dzięki czemu nie musiałam rozmawiać z żadnym z was, tandeciarze, od osiemnastu miesięcy”.

Porter wyjaśniła, że ona i Thome byli tandeciarzami innego rodzaju i że nazwisko Granta wypłynęło w związku z całkiem inną sprawą.

- Jest jeszcze coś, w co możecie go zrobić?

- Uważa pani, że brat został wrobiony w zabójstwo Sarah Hanley? - spytała Porter.

Freestone pokręciła głową, parszkając drwiąco, jakby uważała, że Thome i Porter są bezdennie głupi. Była po trzydziestce, wysoka, z dużym biustem i ciemnymi włosami zaczesanymi do tyłu i starannie związanymi. Thome uznał, że jest nawet dość seksowna na swój zacięty, surowy sposób. Może gdyby włożyła inny szlafrok, a on nie bzykał się z nikim od dwudziestu lat...

- Chce pani powiedzieć, że jakiś funkcjonariusz albo funkcjonariusze policji wybrali na głównego podejrzanego pani brata, bo nie potrafili znaleźć nikogo innego?

- Ja nic nie mówię.

- Albo że to oni byli odpowiedzialni za to morderstwo?

Wyjęła pomietą chustkę z kieszeni szlafroka i wytarła różkiem jedną dziurkę od nosa.

- Zwłaszcza taki jeden zaciekły gliniarz byłby szczególnie zadowolony, gdyby Grant znów poszedł siedzieć. - Schowała chustkę. - Można tak to ująć.

Thome nie spojrział na Porter i wyczuł, że ona także pohamowała się przed popatrzeniem na niego.

- Nie sądzę, by była pani skłonna podać nazwisko tego zaciekłego gliniarza - powiedział.

Nie zrobiła tego.

Thome i Porter stali, ale gdy weszli do salonu, Freestone osunęła się na fotel i włączyła duży, stojący w rogu telewizor z płaskim ekranem. Ściszyła dźwięk i przez resztę rozmowy niemal nie odrywała wzroku od ekranu.

- Dlaczego on uciekł, skoro nie zabił Sarah?

To był jakiś mało popularny kanał kablówki. Za każdym razem, kiedy Thorne zerkał, kogoś oprowadzano po domu.

- Bo wiedział, że go wrabiają, nie chciał wrócić do pudła, jasne? Nawet jeżeli w grę wchodziło przestępstwo całkiem innego rodzaju, za kratami uznaliby go za tego, który molestuje dzieci.

- Uznaliby go? - powtórzył Thorne. - Nikt nie podłożył tych dzieciaków do jego garażu.

Freestone zignorowała przytyk, wpatrując się w ekran, jakby umiała czytać z ruchu warg.

- Nie uważa pani, że byłoby dla niego lepiej, gdyby jednak nie uciekł, jeżeli tego nie zrobił? - drążyła Porter.

- Niech pani wreszcie przestanie mówić „jeżeli”.

Odwróciła się energicznie, jakby była gotowa rzucić się komuś do gardła.

- Grant był ze mną, kiedy zabito jego dziewczynę. Byliśmy w parku z moimi dziećmiakami. - Wskazała ręką w głąb korytarza - Idź, kurwa, i się ich spytaj, jeżeli chcesz.

Kobieta z łatwością mogła rzucić takie zaproszenie, wiedząc, że nie zostanie przyjęte. Jej najstarszy syn miał osiem lat. Cokolwiek mógłby powiedzieć, gdyby go zapytano, ani on, ani jego młodszy brat nie mogli pamiętać, co się stało dawno temu, gdy obaj jeszcze nie mówili.

Porter odczekała chwilę, zanim rzekła:

- Czy nie byłoby lepiej, gdyby próbował dowieść swojej niewinności?

Spojrzenie, jakie Freestone posłała Porter, zanim znów odwróciła się do telewizora, świadczyło o tym, że teraz wiedziała już na pewno, iż ma do czynienia z parą idiotów.

- Czy Grant uważa, że został wrobiony? - spytał Thome.

- Domyśl się.

- Czy tak wtedy mówił? Widziała go pani, zanim zniknął?

- Nie widziałam go od pięciu lat.

- Nikt nie twierdzi, że ukrywa się pod pani łóżkiem, ale musieliście być ze sobą w kontakcie.

- Musieliśmy?

Thome postąpił kilka kroków w stronę fotela.

- Dzwonił do pani, pisał listy, cokolwiek. Czy nadal tak uważa?

Freestone podźwignęła się z fotela i zaczęła, aż Thome zejdzie jej z drogi, aby mogła przejść.

- Idę się wysikać. Daję wam dwojgu szansę, żebyście się porządnie rozejrzeli, jak mnie nie będzie. - Wskazała na drzwi. - Moje łóżko jest tam, gdybyście chcieli pod nie zajrzeć...

Gdy tylko wyszła i usłyszeli szcęk zasuwki w drzwiach łazienki, Thome i Porter postąpili zgodnie z sugestią Freestone. Szybko isprawnie rozejrzeli się po pokoju, pracując w ciszy, a gdy jakieś rzeczy zwróciły ich uwagę, porozumiewali się szeptem bądź skinieniem głowy. Na niskim przeszklonym stoliku przy telewizorze stało kilka fotografii: Jane Freestone i mężczyzna, którego Thome rozpoznał jako jej brata, uśmiechający się jakby z wymuszeniem; wakacyjna fotka przedstawiająca dobrze zbudowanego mężczyznę o rudych włosach i z wąsami, siedzącego na balkonie w koszuli i szortach, pozującego z piwem w dłoni; dzieci Freestone na placu zabaw biegnące w stronę aparatu. Porter spojrziała na

czasopisma na pudle pod oknem: „Heat”, „Auto Trader”, „Nuts”. Thome przejrzał pospiesznie rachunki spięte spinaczem. Szukał na rachunku za telefon rozliczenia za rozmowy międzynarodowe i zauważył, że pakiet płatnej telewizji Sky opiewał wyłącznie na kanały filmowe i sportowe. Już miał przyjrzeć się bliżej kolekcji płyt kompaktowych, gdy usłyszał szum spuszczonej wody.

Kiedy Freestone wróciła, podeszła od razu do fotela i usiadła, jakby w pokoju, prócz niej, nie było nikogo więcej.

Porter skinęła w stronę zdjęcia mężczyzny z piwem.

- To ojciec dzieci?

Krótki, pełen goryczy śmiech.

- Teraz tak. I lepiej się sprawdza niż ten prawdziwy, bez dwóch zdań.

Thome podszedł i nachylił się, by popatrzeć na zdjęcie.

- Mieszka tu, prawda?

- Mniej więcej. - Cmoknęła przez zęby, po czym odpowiedziała na niezadane pytanie:

- To dlatego mamy Sky Sports i tyle płyt z muzyką heavymetalową.

Spojrzała na Thome a z udawanym przejęciem.

- Na wypadek, gdyby się pan nad tym zastanawiał.

Thome zastanawiał się, ile razy kobieta gościła w swoim domu funkcjonariuszy policji.

- Gdzie on jest?

- Arsenal gra z Manchesterem United na wyjeździe - powiedziała. - Pojechał tam z kumplami wczoraj, ostatnim pociągiem.

Thome dopiero teraz zauważył na koszulce polo mężczyzny charakterystyczne logo Kanonierów.

- Zamierzacie się pobrać? - spytała Porter.

- A po co? To nic nie daje, może tylko łatwiej jest wyciągnąć od nich alimenty, kiedy odchodzą.

Thome zastanawiał się nad jakąś ciętą ripostą, jak choćby taką, że miło jest słyszeć, kiedy przynajmniej wśród niektórych par miłość kwitnie w najlepsze. Ale zatrzymał to dla siebie i przez chwilę rozmyślał o kruchości związku małżeńskiego, o tak mocno nietrwałych emocjach, które, jak się zdawało, miały swoją datę ważności. Małżeństwo mogło przetrwać, jeżeli miłość przeradzała się w coś innego - choćby przyjaźń, jeżeli jednak nienawiść wetknęła stopę między drzwi, wynik mógł być tylko jeden.

Pomyślał o Maggie i Tonym Mullenach.

Nienawiść nie pojawiła się znienacka. Zakiełkowała jak nasiono, które wyrosło na glebie mrocznego poczucia winy i wyrzutów sumienia. Thome nie wyobrażał sobie, że mogłyby istnieć lepsze warunki, by tak trujący kwiat rozrósł się w najlepsze, aniżeli utrata dziecka. Przeniósł wzrok na Jane Freestone.

Patrzyła na niego jak na coś, w co przypadkiem wdepnęła.

- Co właściwie mieliście na myśli, mówiąc o „całkiem innej sprawie?”

Odwrociła głowę, zanim dokończyła pytanie, bo jej uwagę zwrócił płacz dziecka dochodzący z korytarza.

Porter podeszła do niej, gdy ta zbliżyła się do drzwi.

- Mogę skorzystać z toalety?

- Może jeszcze, kurde, zrobicie sobie tu śniadanie? - rzuciła Freestone, mijając policjantkę.

Kiedy został w pokoju sam, Thome usiadł na sofie i uznał, że choć starszy i bardziej doświadczony, miał coraz większe kłopoty z rozgryzaniem ludzi, nie potrafił choćby w przybliżeniu stwierdzić, co im chodziło po głowie. Nie wiedział, co sobie myśleli. Mógł stać dostatecznie blisko, by ujrzeć własne odbicie w ich oczach, a mimo to nie potrafił ocenić, czy byli wobec niego szczerzy, czy zwyczajnie wciskali mu kit. Był kiedyś taki czas, kiedy mógłby nawet papieża posądzić oto, że jest seryjnym mordercą, ale dałby sobie uciąć rękę, że Jeffrey Archer był człowiekiem na wskroś uczciwym...

Spojrzał na ekran telewizora, gdzie kolejne osoby oprowadzano po przepięknie urządzonych wnętrzach. Jako że dźwięk był wyciszony, próbował po wyrazie twarzy zorientować się, czy ludziom tym domy podobały się, czy raczej nie.

- Powiedziałbym, że Grant Freestone jest zdolny do wszystkiego.

Holland, Heeney i Warren znów byli sami w kuchni. Danny, chłopiec, który tak się zdenerwował, wrócił do salonu, by przeprosić resztę grupy za złe myśli i odnaleźć się w „programie”. Warren powiedział, że trochę bardziej powinien myśleć o tym, czego chce. I że ma szczęście, bo nie będzie musiał przez resztę dnia chodzić z deską klozetową zamiast naszyjnika.

- Sprecyzuję - dodał Warren. - Jeżeli wciąż bierze, może być zdolny do wszystkiego.

- Tak pan myśli? - spytał Holland.

- Kto wie? Miał problem, kiedy wyszedł z więzienia, i wątpię, by całkiem się go pozbył, kiedy zginęła jego dziewczyna.

To było ciekawie sformułowanie stwierdzenie.

- Może więc był naćpany, kiedy ją zaatakował?

- Nie zamierzam na ten temat spekulować. To mija się z celem. Ale powiem jedno: nawet jeżeli Grant był bliski wyjścia na prostą, to, co się zdarzyło, mogło sprawić, że znów zboczył z drogi.

Holland przypomniał sobie, kiedy Warren zaczął ćpać. Czy powodem jego uzależnienia mogło być poczucie winy za śmierć Sarah Hanley?

- Tak pan sądzi? - spytał.

Reakcja była nikła, ale wystarczyło, by Holland zrozumiał, że swoim pytaniem trafił w sedno. Warren odwrócił się i zaczął opłukiwać brudne kubki w zlewie.

- Pytaliście, czy uważam, że Freestone byłby zdolny do uprowadzenia kogoś, a ja staram się być z wami szczerzy. Jeżeli jesteś dostatecznie mocno naćpany, zrobisz wszystko, co musisz.

Holland pokiwał głową, czekając, co tamten powie dalej. Zastanawiał się, czy „wszystko” oznaczało też zabójstwo.

- Kiedy nie myślisz o tym, co robisz, osiągasz pewną granicę. Wydaje ci się, że jesteś sprytny, choć tak naprawdę robisz same głupstwa. Koncentrujesz się wyłącznie na zdobyciu pieniędzy, za które możesz kupić to, czego potrzebujesz.

Warrenowi nie powiedziano nic poza tym, co musiał wiedzieć. Kiedy Holland zaczął mówić o porwaniu, doradca zaczął, co oczywiste, zastanawiać się nad motywem. Nie wiedział - poza swoimi spekulacjami, na temat tego, co może zrobić ćpun, jeżeli będzie dostatecznie zdesperowany - że jak dotąd osoba przetrzymująca Luke a Mullena nie wysunęła żadnych żądań okupu. Pytanie „dlaczego” pozostało bez odpowiedzi, podobnie jak „kto”, ale najwyraźniej nie chodziło o pieniądze. W każdym razie kwestia narkotyków była ciekawa przynajmniej z jednego względu.

- Czy mówi panu coś nazwisko Conrad Allen? - spytał Holland.

Warren odwrócił się od zlewu. Pokręcił głową.

- Amanda Tickell?

- Kto?

Warren sięgnął po ścierkę i znów się odezwał, zanim Holland zdążył powtórzyć nazwisko:

- Przykro mi, ale to bez sensu. Wątpię, aby pytał pan, czy grywałem z którąś z tych osób w brydża, a mnie nie wolno rozmawiać o nikim, z kim mogłem mieć styczność z punktu widzenia mojego zawodu.

- Racja - rzekł Heeney, który dotąd milczał.

- Skoro o tym mowa, powinienem pofatygować się do pokoju isprawdzić, czy nic mi

się nie przypomni.

Odsunął się od zlewu i stanął tak, że słońce świeciło teraz Hollandowi prosto w twarz. Kot wrócił na parapet. Holland zmrużył lekko oczy od słońca i zapytał:

- Czy Freestone jest na to dostatecznie sprytny? Rozumie pan, biorę pod uwagę wszystko, co pan powiedział, zdesperowanie i w ogóle. Ale czy byłby na tyle bystry, żeby zorganizować coś takiego?

Warren zamyślił się przez chwilę.

- Cóż, można być byстрыm, aby dostać się do Mensy, i tak byстрыm, by nie dać się złapać. To dwie różne rzeczy.

- On może być bystry na oba te sposoby.

- Jego inteligencja nie wykracza ponad przeciętną, ale nauczył się kilku użytecznych sztuczek. Jego akademią nauk była ulica.

- Uliczna mądrość.

- Więcej nawet - dodał Warren. - Umie sobie radzić, ale żeby dokonywać takich rzeczy, jakich się dopuścił, musi również umieć, choć na pewien czas, zwodzić, oszukiwać ludzi. Mam na myśli to, za co poszedł do pudła... to, kim jest. Nie uszłoby ci to na sucho, a w każdym razie niezbyt długo, jeżeli nie umiałbyś oszukać reszty świata, że jesteś inny niż w rzeczywistości. Uczysz się udawać i starasz się być w tym na tyle dobry, że staje się to twoją drugą naturą. Gdy dorzucić do tego jeszcze narkotyki, coś, co musisz ukrywać przed innymi, zmieniasz się w kogoś, kto przez większość życia gra kogoś innego, niż jest.

Odgryzł kawałeczek zadartego paznokcia i zaczął miażdżyć go zębami.

- Tak... myślę, że jest dostatecznie bystry.

Holland podobnie jak inni nie miał wcale pewności, że porywaczem był Grant Freestone, ale wykonywał zlecone zadanie jak należało. I jego zdaniem, jeżeli chodziło o Neila Warrena, właśnie je zakończył. Wlepił wzrok w ścianę, zauważył, że dziś wieczorem za przygotowanie kolacji był odpowiedzialny niejaki Erie, a Andrew miał uprzątnąć łazienkę. Spojrzał na wiersz poniżej kalendarza. Był w dalszym ciągu niejasny - jeśli chodziło o Boga, Holland łączył Jego osobę z pogrzebami, ślubami i loterią, ale mimo wszystko miał nadzieję, że Lukę Mullen, gdziekolwiek się teraz znajdował, pozostawiał za sobą tylko jedną parę śladów.

Nadal czekali na Porter.

Dzieciak, który tak się wściekał - Thome nie wiedział, czy to był Billy, ani nawet, czy Billy był starszy - leżał teraz cichutko w fotelu, z głową na piersi matki. Twarz chłopca była pozbawiona wyrazu, ale spokojna, choć oczy miał rozszerzone i wpatrzone w mężczyznę

stojącego przy oknie. Gdyby Thome puścił wodze wyobraźni, pomyślałby, że dziecku od małego wpajano nieufność wobec policji. A może raczej wobec mężczyzn...

Freestone pogładziła dziecko po głowie.

- Nie podoba mi się, że tu przychodzicie i traktujecie mój dom jak publiczną toaletę.

Thome spojrział na drzwi.

- Na pewno zaraz wróci.

- Wy zawsze wracacie jak zły szeląg. Może będzie chciała podetrzeć swój chudy tyłek o zasłony. Albo o ubranka moich dzieci.

- Teraz to już pani przesadziła - powiedział Thorne.

- Chodzi o szacunek.

Z głębi korytarza dobiegł szum spuszczonej wody.

- To pani w przeszłości narobiła sobie smrodu, kłamiąc, by uratować brata.

- Nie kłamałam.

- Jak pani sądzi, kto porwał te dzieci? Same się związały?

- Nie skłamałam, jeżeli chodzi o Sarah Hanley. Byliśmy w parku.

Poruszyła się, przekładając główkę synka na drugą pierś.

- Wtedy ostatni raz widział moje dzieci.

Kiedy Porter weszła zwawym krokiem do pokoju, na jej twarzy malował się wyraz, którego Thome nie potrafił rozpoznać. Ale coś się zmieniło. Odezwała się, patrząc na potylicę Freestone.

- Chyba już pójdziemy.

- Nie zamierzam was zatrzymywać.

- Przepraszamy za to najście w sobotę.

- Nadal nie wiem, o co wam, kurwa, chodzi.

Thome spojrział na Porter, usiłując dociec, do czego zmierzała. Wychwycił jej spojrzenie, ale niczego mu ono nie powiedziało.

- Będę z panią szczerą - rzekła Porter. - Domyślam się, że ta wizyta nie była dla pani przyjemnością. Skądinąd dla nas również, ale dostaliśmy takie polecenie, więc musieliśmy tu przyjść. Bo nam kazano. Jakiś nadinspektor z małym chujkiem i jeszcze mniejszą wyobraźnią uznał, że to będzie dobry pomysł. Wydaje mi się, że wziął nazwisko pani brata ot tak, z sufitu.

- To nie byłby pierwszy raz - powiedziała Freestone. - Ma to coś wspólnego z dziećmi, tak?

- Moim zdaniem nie ma to w ogóle z niczym wspólnego - odparła Porter. - Chodzi o gliniarzy podejmujących decyzje na podstawie tego, co pojawia się na ekranie komputera, a

mu dostajemy przez to w dupę. To strata czasu, bez dwóch zdań. Nic więcej.

- Jeżeli to przeprosiny, miło mi to słyszeć. Ale nadal wiecie, gdzie mnie z tym możecie cmoknąć.

- Przekażę to naszemu przełożonemu.

Porter spojrzała na Thome a, który zrobił to, czego, jak sądził, oczekiwała, i uśmiechnął się porozumiewawczo.

- Proszę posłuchać, potraktujemy to jak rutynową wizytę, o której Hoolihan nie musi wiedzieć, jasne?

- Mnie to nie robi różnicy.

- Tak już na sam koniec, pani Freestone, żebyśmy mogli odhaczyć, że o to zapytaliśmy: czy widziała pani brata od ostatniej rozmowy z funkcjonariuszami policji?

Kobieta zamknęła oczy, pogładziła dziecko po plecach.

- Chciałabym bardzo. Bardziej niż czegokolwiek innego. Bo nawet, kurwa, nie wiem, czy Grant jeszcze w ogóle żyje.

Thome i Porter, ruszając sprzed domu, nie odezwali się słowem. Przy końcu ulicy Thorne skręcił w lewo, zajechał drogę motorowerowi i zatrzymał się przy przystanku. Porter tylko na niego patrzyła z rozbawieniem.

- Powiesz mi wreszcie? - spytał Thorne - Nie mam pojęcia, w co ja tam z tobą grałem. Co miało znaczyć to cholerne „przepraszamy, że zajęliśmy pani czas?”. I jeszcze ten „nadinspektor z małym chujkiem”...

- Chciałam, by uwierzyła, że nie ma się czym przejmować. Ze już nas więcej nie zobaczy. Nie chciałam, żeby ostrzegła brata.

- Co takiego?

- Łgała jak z nut. I była w tym dobra.

- Znalazłaś coś w łazience? Nie mów, że była tam myjka do kąpieli z nazwiskiem Granta Freestone a?

- Znalazłam włoski z zarostu.

Thome starał się, by jego słowa nie zabrzmiały protekcjonalnie.

- No dobrze. Mogą należeć do jej chłopaka...

- Ciemny zarost. Ona weszła do łazienki i próbowała zrobić z tym porządek, najlepiej jak umiała, ale znalazłam kilka włosków przylepionych z boku przy umywalce.

- Dlaczego to nie mogą być jej włosy?

Porter pokręciła głową.

- Przecież ona ma ciemne włosy. A kobiety golą nogi, tak?

- Owszem - przyznała Porter. - Ale nie w umywalce.

Thome patrzył przed siebie przez przednią szybę, zastanawiając się nad znaczeniem słów Porter.

- Chryste, myślisz, że on gdzieś tam był?

- Nie. Wymknęłam się z toalety i sprawdziłam sypialnię.

- Mógł nie zostać wczoraj na noc albo w ogóle nie było go od paru dni. Te włoski z zarostu mogły być tam przyklepione już od jakiegoś czasu.

Porter zamyśliła się przez chwilę nad taką ewentualnością, ale inne wydawały się jej bardziej prawdopodobne.

- Albo równie dobrze mogliśmy się właśnie z nim minąć. Może wyszedł wcześniej rano po mleko albo gazetę...

- Przesiedzieliśmy tam prawie godzinę - rzekł Thome. - Na sąsiedniej ulicy jest wiele sklepów.

- Może poszedł do supermarketu. Albo wybrał się na spacer.

Porter, w miarę jak jej sugestie stawały się coraz bardziej desperackie, wydawała się bardziej rozdrażniona.

- Dzień jest całkiem przyjemny - dodała.

Thome patrzył na młodą kobietę z wózkiem po drugiej stronie ulicy. Przypomniawszy sobie, jak Jane Freestone wskazała ręką sypialnię dzieci, krzyząc: „Idź, kurwa, i się ich spytaj, jeśli chcesz!”.

- Widziałaś drugie dziecko? - zapytał Thome.

Odwrócił się i spojrzał na Porter, a myśl, która zakiełkowała w jego głowie, niosła całkiem nowe, szalone perspektywy.

- Czy zaglądnę do sypialni, zobaczyłaś drugie dziecko?

Porter zawahała się, jakby trochę zdenerwowana intensywnością jego spojrzenia.

- Sądziłam, że zaprowadziła oboje do pokoju. Wracając, nie pomyślałam, żeby się rozejrzeć.

Thorne uruchomił samochód i wskazał ręką schowek na rękawiczki.

- W środku jest plan miasta - powiedział. - Znajdź najbliższy park.

Usiadł przy końcu ławeczki, o którą oparty był nieduży białoniebieski rowerek chłopca, aby ludzie widzieli, że go pilnował. Aby wiedzieli, że był tam z dzieckiem.

Chłopiec zeskoczył z karuzeli, kiedy się jeszcze obracała, i przebiegł kilka kroków, zanim przystanął i pomachał do niego. Odmachał mu i pokazał uniesiony kciuk. Chłopiec uśmiechnął się i pobiegł w stronę drewnianego domku na drzewie, z mostem linowym i

zjeżdżalnią. Zawołał do chłopca, aby uważał na siebie, ale ten zdawał się go nie słyszeć.

- Chyba marnuje pan czas - kobieta, opierając się o ogrodzenie, uśmiechnęła się do niego, po czym upuściła papierosa i przydeptała.

- W tym wieku dzieci nie boją się niczego, prawda?

- To fakt - przyznał.

- W sumie to nawet miłe. Że nie boją się niczego. To całkiem naturalne, prawda? - Zaśmiała się i sięgnęła do torebki po kolejnego papierosa. - Ale to oznacza, że nie można ani na chwilę spuścić ich z oczu. A przynajmniej ja mam tak z moją dwójką urwisów.

Uśmiechnął się do niej, sięgnął po gazetę, którą przyniósł ze sobą, i wlepił wzrok w pierwszą stronę, aż kobieta znowu się odwróciła.

Dzień był pogodny, miły, dawno już takiego nie pamiętał: idealny, aby wyjść z domu. Plac zabaw zawsze był popularny, nawet przy gorszej pogodzie, ale tego ranka panował tu wyjątkowy tłok. Było tu wiele dzieci, chłopców i dziewczynek, z którymi mógł bawić się jego siostrzeniec.

Miało to swoje dobre strony nie tylko dlatego, że dzięki temu mógł wymknąć się na chwilę między drzewa i wypalić skręta. Później wybierze się do miasta i kupi sobie coś mocniejszego na weekend, ale trawka to był dobry początek. Pomagała mu cieszyć się porankiem, napawać widokiem i mniej się przejmować różnymi bzdurami.

- Przepraszam...

Zawsze miał oko na wszystko, co działo się wokół niego, i dostrzegł tę parę już z daleka. Szli, trzymając się za ręce niczym nowożeńcy za dychę i uśmiechając się jak idioci bez powodu. Przystanęli owyciągnięcie ręki od jego ławeczki i dostrzegł aparat fotograficzny w dłoni mężczyzny. Zauważył, że tamten miał opory, by poprosić go oprysługę.

- Chciałby pan, żebym zrobił wam zdjęcie?

- Mógłby pan? - spytała kobieta.

Wstał, a mężczyzna podał mu tani jednorazowy aparat, jaki można kupić w każdym kiosku. Uniósł aparat do oka, a para stanęła na tle placu zabaw, pozując do zdjęcia; mężczyzna i kobieta objęli się nawzajem ramionami.

- Uwaga, uśmiech, proszę.

Mężczyzna w skórzanej kurtce podszedł do niego. Chciał oddać mu aparat, ale mężczyzna zamiast tego złapał go za przegub, mocno - ścisnął i schwycił za koszulę na wysokości ramienia, podczas gdy niska ciemnowłosa kobieta pokazała mu legitymację i poinformowała, że jest aresztowany za zamordowanie Sarah Hanley.

Po minucie lub dwóch wahania, przekleństw i szamotania się, skinął głową w stronę

placu zabaw i zapytał, co zamierzają zrobić z jego siostrzeńcem. Kobieta zapewniła, że nie powinien się martwić. Chłopiec zostanie odwieziony do matki.

Gdy na nadgarstkach Granta Freestone a zamknęły się obręcze kajdanek, ten spojrzał na kobietę przy ogrodzeniu. Stała z papierosem przyklepionym do mięsistych grubych warg i, jak stwierdził Freestone, bez większego problemu spuściła dwójkę swoich urwisów z oczu na dłużej niż tylko chwilę.

13

Zaczynali już przyzwyczajając się do tego rodzaju spotkań ad hoc mających na celu omówienie bieżącej sytuacji, przegrupowanie się i zwalczanie w sobie pragnienia, by poddać się panice i przez jakiś czas biegać z krzykiem w tę i z powrotem. Przedyskutować najnowsze zwroty akcji w dochodzeniu, które dawało im się we znaki bardziej niż nieświeży kebab. W sprawie uprowadzenia, w której nikt nie żądał okupu, dwoje porwaczy zabito, a skazanego pedofila aresztowano za morderstwo popełnione wiele lat temu.

- Czy jest coś, czego dotąd nie ruszyliśmy? - spytał Brigstocke.

- Freestone najprawdopodobniej wciąż bierze, więc prochy mamy zaliczone. Potrzebujemy jeszcze tylko prostytutki i może również handlu bronią.

Porter się zaśmiała.

- Mówię serio. Wytwarzanie bomb plus jedna, dwie skradzione z biblioteki książki i mamy zestaw.

Właśnie minęło południe i wypełnili we czworo gabinet Brigstocke a w Becke House: Brigstocke, Hignett, Porter i Thome. Słońce usiłowało przedrzeć się przez cienką powłokę chmur, rzucając na szybę postrzępioną patynę szarości. Thome nie zdjął kurtki. Nikt w pokoju nawet nie usiadł.

- Powinniśmy się wycofać i oddać Freestone a w ręce sprawiedliwości - rzekł Hignett.

- Skontaktować się z Hoolihanem, niech nas poklepie po plecach, i spróbować znaleźć Luke a Mullena.

- Może Freestone pomoże nam go odnaleźć - wtrącił Thome.

Brigstocke patrzył na niego przez kilka sekund, jakby szukał jakiejś aluzji, zanim zadał nieuchronne pytanie:

- Czy nie skreśliłeś Freestone a jako podejrzanego?

- Mniej więcej - Thome odpowiedział mniej więcej szczerze.

- Ale to w zasadzie jedyne, co mamy - rzekła Porter.

Niezależnie od różnych nastrojów w pokoju - rozdrażnienia, zmieszania i determinacji

- nikt nie mógłby się nie zgodzić z Porter. W końcu udało się namierzyć Philipa Quinna, a liczba przestępstw, za które w końcu beknął, dawała mu niezbite, choć dość kosztowne, alibi na noc, kiedy zamordowano Conrada Allena i jego dziewczynę. Z chwilą gdy Quinn musiał zostać skreślony, na liście pozostało już tylko jedno nazwisko należące do człowieka, którego Thome i Porter aresztowali w parku Boston Manor i który siedział teraz w celi na posterunku Colindale, o pięć minut stąd.

- Skąd właściwie mamy nazwisko Freestone a?

Hignett sprawiał wrażenie, jakby wszystko zaczynało mu odrobinę umykać. Jakby było o wiele łatwiej, kiedy ludzi porywano dla pieniędzy. Kiedy dla podniesienia ceny obcinano jedno ucho lub dwoje uszu i wszyscy wiedzieli, na czym stoją. Skinął na Thornea.

- Od twojej przyjaciółki, zgadza się?

- Byłej nadinspektor, która obecnie pracuje w Wydziale Spraw Zamkniętych.

Widząc, że Hignett kiwa głową znacząco, Thome poczuł się, jakby o coś go oskarżono. O pogoń za cieniem i niewygodne dla całego zespołu aresztowanie.

- Przypomniała sobie, że Freestone groził Tonyemu Mullenowi, kiedy z nim pracowała, i uznała, że może warto to sprawdzić. To wydawało się całkiem rozsądnym tropem, podczas gdy wy... sprawdzaliście inne możliwości.

Teoria, jakoby to Luke Mullen wpadł w szal: popełnił morderstwo z nożem w rękę, a potem zniknął, na szczęście została zarzucona. Thome miał nadzieję, że niektórzy funkcjonariusze w końcu się opamiętali, aczkolwiek zastanawiał się przy tym, czy w grę nie wchodziły też naciski ze strony pewnej byłej pani oficer.

Hignett spojrział na swoje stopy i potarł kciukiem palca blat biurka, jakby sprawdzał, czy było zakurzone.

- A więc nazwiska Freestone a nie było na oryginalnej liście Tonyego Mullena?

- Nie...

Thome zamilkł na chwilę dla lepszego efektu. I dorzucił jeszcze „proszę pana”, tak na wszelki wypadek.

- To w dalszym ciągu wydaje się naszym mocnym tropem - rzekła Porter.

- Uważałeś początkowo, że należało uznać go za podejrzanego?

- Ze należało go uznać, tak - odparł Thome. - Rozmawialiśmy z kilkoma osobami z zespołu kuratorskiego, który sprawdzał Freestone a, kiedy zwolniono go z więzienia w dwa tysiące pierwszym.

- Z twoich notatek wnioskuję, że z tych rozmów wynikało, że on nie jest naszym porywaczem.

- Do pewnego stopnia.

- Ale ty wciąż drążyłeś, rozmawiałeś z ludźmi...

- To tylko przez wzgląd na sumienność i dokładność, proszę pana - wtrąciła Porter. - No i szczerze mówiąc, nie mieliśmy innych tropów do zbadania.

Thorne był wdzięczny Porter za pomoc. Asekurował się i było to widać. Nie wiedział, jak długo jeszcze zdoła powstrzymać się przed powiedzeniem im, dlaczego naprawdę uważał, że warto przyjrzeć się Grantowi Freestone owi. Powiedział o tym po cichu Brigstocke owi, ale nie wiedział, kto jeszcze był dobrym znajomym Tony ego Mullen.

Jak na zawołanie Brigstocke zapytał:

- Czy powiemy Tony emu Mullenowi, że zatrzymaliśmy Freestonea?

- Nie - odrzekł natychmiast Thome.

Hignett zapytał, dlaczego nie, a Thome pohamował się przed stwierdzeniem: „Bo nie ufam skurwielowi”, za to odpowiedział rozsądniej:

- Powinniśmy dobrze to przemyśleć, zanim poinformujemy rodziców Lukę a, że dokonaliśmy aresztowania.

Spojrzał na Hignetta i wysilił się, by nieomal z szacunkiem dodać:

- To znaczy nie wiem, jak to zazwyczaj robicie...

- Nie ma ustalonej procedury.

- Rzecz jasna myślę bardziej o pani Mullen - ciągnął Thome. - Moglibyśmy wzbudzić nadzieje, kto wie, czy nie fałszywe. To spowodowałoby sporo zamieszania.

Po wyrazie twarzy Brigstockea zorientował się, że rozegrał tę kartę właściwie. Bądź co bądź teraz to Thome się nadstawiał.

- Jak najbardziej to rozumiem, ale myślę, że pan Mullen też bardzo by się zdenerwował, gdyby się dowiedział.

Thome nie wątpił, że tamten i tak się dowie, prędzej czy później.

- Jakoś to przeżyjemy.

- Miejmy nadzieję, że Freestone nie zabawi tu tak długo - rzekła Porter.

Hignett przez chwilę kręcił głową, czekając na okazję, by włączyć się do rozmowy:

- Nie mamy niczego, co łączyłoby Freestonea z tym porwaniem, a to właśnie na porwaniu powinniśmy się skupić. Lukę Mullen wciąż się nie odnalazł. Nie mamy czasu, by się zajmować innymi rzeczami, dlatego więc w ogóle o tym rozmawiamy? Oddajmy go Grahamowi Hoolihanowi i znajdziemy prawdziwego podejrzanego...

- Hoolihan to spieprzył - powiedział Thome. - Sprawa Hanley nie została poprowadzona jak należy. Bóg raczy wiedzieć, kiedy ktoś z jego zespołu ostatni raz

rozmawiał z siostrą Freestone a albo kiedy zamierzali to zrobić. Owszem, dopisało nam szczęście, ale wyświadczyliśmy im przysługę i to on będzie nam stawiać duże piwo, kiedy w końcu oddamy mu Freestone a za zamordowanie Hanley. Nawiasem mówiąc, moim zdaniem raczej tego nie...

Hignett przerwał Thomeowi i wskazał na Brigstocke a, a następnie na siebie:

- Kiedy w końcu przekazemy Freestone a, to my, detektywie inspektorze, a nie wy, dostaniemy opieprz od przełożonego Hoolihana, że nie zrobiliśmy tego od razu.

Odwrócił się od Thornea i odezwał do Brigstocke a:

- Myślę, Russell, że to strata czasu: rozmowa z Freestoneem, a nawet rozmowa o rozmowie z Freestone em...

- Dlaczego nie możemy chociaż spróbować? - spytał Thome.

- Bo nie ma po temu podstaw.

Hignett sprawiał wrażenie, jakby to było jego ostatnie zdanie w tej kwestii. Postąpił krok w stronę drzwi, a te otworzyły się chwilę po tym, jak rozległo się ciche pukanie, zanim jeszcze zdążył dotrzeć do klamki.

Holland kilka lat temu ocalił Thomeowi życie, wpadając do jego sypialni, mając za broń jedynie pustą butelkę po winie. To właśnie tamtej nocy na podbródku Thorne a pojawiła się blizna oraz jedna czy dwie inne, których nie było widać. Tak jak wtedy, tak i teraz Holland wykazał się bezbłędnym wyczuciem.

- Wygląda na to, że ominęła mnie cała zabawa - powiedział.

- Jeżeli masz na myśli Freestone a - rzekł Hignett - to nie ma się czym podniecać.

Holland wychwycił spojrzenie Thornea, wchodząc głębiej do gabinetu. Jeden rzut oka wystarczył, by zorientował się, że o wszystkim zostanie poinformowany później.

- Jak poszło z Warrenem? - zagadnął Thome.

- To dziwny facet, były ćpun, ale nawrócony. Myślę jednak, że coś mamy.

Holland zainteresował wszystkich.

- Obowiązuje go zasada poufności wobec klienta, więc dużo nam nie powiedział, ale odniosłem nieodparte wrażenie, że znał Amandę Tickell. I że w którymś momencie była jego klientką.

- Co łączy ją z Grantem Freestone em - wtrąciła Porter.

Thorne był nabuzowany po porannym sukcesie, ale czuł, że odkąd wrócił do Becke House, opuszcza go energia. Teraz odniósł wrażenie, jakby jego zakończenia nerwowe znów zostały pobudzone, krew szybciej zaczęła krążyć w żyłach.

- Mogli być w tym samym czasie klientami Warrena - powiedział. - Jeżeli znali się

nawzajem, mamy bezpośrednie ogniwo łączące Freestone a i uprowadzenie Mullena.

Spojrzał na Hignetta. I zwrócił się do Brigstocke a:

- Panie nadinspektorze?

Hignett mógł jedynie zamrużyć, jakby nie do końca orientował się w sytuacji.

- To brzmi jak całkiem sensowny powód - przyznał Brigstocke.

Kończąc spotkanie, poprosił Thome a, aby jeszcze chwilę został, bo chciał porozmawiać o sprawie śmiertelnego wypadku spowodowanego przez kierowcę ryzykanta, której dokumentację przedprocesową przygotowywał Thome.

- Tony Mullen jest już mocno wkurzony - rzekł Brigstocke, kiedy zostali sami.

- Wie o Freestonie?

- On się wścieka na ciebie.

- Ach...

- Co, u licha, wydarzyło się wczoraj wieczorem w jego domu?

Brigstocke wrócił za biurko i usiadł, jakby nie zamierzał w najbliższym czasie opuszczać tego miejsca.

- Trevor Jesmond wpadł się przywitać?

- Zadzwoił.

- Pewnie żałuje, że włączył mnie do tej sprawy?

- Mullen powiedział, że nękaś jego i żonę.

- Porozmawiaj z Porter - odparł Thome. - Była tam. Szczerze mówiąc, to Mullen i jego małżonka krzyczeli najgłośniej i najwięcej.

- Mówi, że sprawiasz kłopoty.

- On sam się o nie prosi.

- Mówię, żebyś wiedział.

Thome odwrócił się do drzwi. Zawsze go zdumiewało, że przyjemne odczucie potrafiło zniknąć tak szybko; nawet nie pamiętał, że go doświadczył.

- Dzięki, przyjąłem do wiadomości.

Brigstocke jeszcze nie skończył.

- Lepiej, żebyś nie robił sobie wroga także z Barry ego Hignetta.

- Chcesz powiedzieć, że i tak mam już dostatecznie wielu wrogów?

- Nie. To po prostu byłoby głupie. Hignett nie jest złym gliną ani tym bardziej palantem. To po prostu jeden z tych skurwieli, którzy muszą coś robić. Którzy sięgają po broń, żeby nie posądzono ich obrak zdecydowania. Jest przeciwieństwem tej postaci z The Fast Show, tego, który zgadza się ze wszystkim, co mówią mu różne osoby, i stale zmienia

zdanie.

- Jasne.

Thome wiedział, kogo miał na myśli Brigstocke. To był jeden z ulubionych seriali jego ojca. Staruszek miał - nieprzyjemny zwyczaj rzucania cytatów z serialu w najmniej odpowiednich momentach.

- Dobrze mieć w pobliżu kogoś takiego jak Hignett - ciągnął Brigstocke. - Niekiedy zdarza mu się zająć właściwą pozycję, a wówczas warto mieć go po swojej stronie. Jest spora szansa, że on ma rację równie często jak ty.

- Powiedziałbym, że raczej częściej - odparł Thome i sięgnął dłonią klamki. - Właściwie jestem tego prawie pewien...

Jeżeli padało, to zanim udało się samochodem pokonać kolejne zapory bezpieczeństwa, szlabany i znaleźć miejsce na ciasnym parkingu przy budynku, można było dotrzeć z Peel Centre do Colindale na piechotę. Thome i Holland krążyli między tymi budynkami tak często, że robili to nieomal automatycznie. Przeszli przez Aerodrome Road w tym samym miejscu co zwykle, tym samym tempem i jak zawsze Holland szedł po lewicy Thornea. Szybko dokończyli rozmowę, którą rozpoczęli bez słów w gabinecie Brigstocke a pół godziny wcześniej. Thome powiedział Hollandowi o obiekcjach Hignetta i podziękował mu za interwencję we właściwym momencie. Holland odparł, że zawsze z chęcią pomaga i że w ten sposób Wydział Zabójstw zarobił kolejny punkt, choć rzecz jasna nikt nie prowadził ewidencji.

Nigdy nie rozmawiali o tamtym zdarzeniu, tym z pustą butelką wina, tak swobodnie.

- A więc Bóg kazał temu facetowi rzucić kokę.

- Najwyraźniej - rzekł Holland. - Teraz odmawia zdrowaśki, zamiast wciągać kreski.

- Maltretowanie kolan jest zdrowsze niż pozbawianie się przegrody nosowej.

Holland zrobił większy krok, by nie wdepnąć w psią kupę.

- Jeżeli Warren znał Tickell, to czy i jemu też powinniśmy się przyjrzeć?

- Nie rozumiem, po co mielibyśmy to robić - odrzekł Thorne. - Niby po co miałbyś chcieć porwać Luke'a Mullena? Chyba że Bóg by mu to kazał, ma się rozumieć.

Choć nie mieli wyjścia, jak tylko przejść całą trasę i obejść budynek, posterunek Colindale był wyraźnie widoczny, jego trzy piętra podzielone na brązowe i białe prostokąty rysowały się wyraźnie z odległości pół kilometra, jakie dzieliło go od Peel Centre. Posterunek zaprojektowano wzdłuż linii wieży obserwacyjnej lotniska i stał on tak, jak wcześniej ona, na miejscu dawnego lotniska Hendon, przy muzeum RAFu. Tablice rozmieszczone na skraju zarośniętych parceli ostrzegały przed niebezpieczeństwem. Thome domyślał się, że chodziło

o niektóre nieużywane budynki, ale lubił wyobrazić sobie, że w grę wchodziło coś znacznie bardziej złowieszczego. Oczywiście wyobraźni widział, jak cała śmietanka przestępczego Londynu wyprawia imprezę wszech czasów, gdyby ogłoszono, że jeden z największych posterunków policji w kraju wzniesiono na miejscu składowania toksycznych odpadów...

- A co z tymi dwiema kobietami z zespołu kuratorskiego? - spytał Holland. - Kathleen Bristow i Margaret Stringer. Czy chciałby pan, żebym z nimi też porozmawiał?

- Jeżeli nie miałbyś nic lepszego do roboty. Teraz, kiedy mamy Freestone a, możemy dowiedzieć się tego u źródła. Cokolwiek mógłby mieć nam do powiedzenia.

- Niby racja, ale Porter wspomniała, że upierał się pan, żeby zająć się tą sprawą wyjątkowo skrupulatnie.

- Naprawdę? Co jeszcze mówiła?

- Nic. Tak jakoś samo wyszło to wszystko...

Nieco dalej widok na posterunek zasłaniało wzniesione niedawno ogrodzenie. Tablica na bramie informowała, że w tym miejscu ma powstać „luksusowe osiedle z zapleczem”. Ponieważ Thome widywał już podobne osiedla wznoszone w ostatnich latach, nie postawiłby ani grosza, by założyć się, że dzięki temu będzie miał ciekawszy widok z okna swojego gabinetu. Skręcili w prawo przy wysepce, gdzie żonkile dzielnie walczyły o odrobinę przestrzeni z opakowaniami po fast foodach i chipsach. Z jakiegoś bliżej nieokreślonego powodu na skraju wysepki stały dwie młode kobiety, obserwując mijające je samochody. Holland zasugerował, że to policjantki, które oblały egzamin z kierowania ruchem ulicznym. Thome zastanawiał się, czy mogły być przypadkowo zagubionymi turystkami, które sądziły, że to miejsce jest niedużym parkiem.

- Kenny Parsons powiedział mi kilka historyjek o Porter - rzekł Holland.

- Naprawdę?

- Ma niezły charakterek.

Thome spojrzał jakby od niechcienia na reklamę British Airways nad nim i przezwyciężył pokusę, by bez litości wyciągnąć od Hollanda wszystko, co wiedział. Nie chciał, by ktokolwiek wiedział, że mu zależało.

- Nie obchodzą mnie plotki - powiedział. - W tej robocie nie ma na nie miejsca, prawda, Dave?

Holland nie odpowiedział, odwrócił się w stronę ulicy, ale Thome dostrzegł na jego ustach ślad uśmiechu i zorientował się, że tamten nie dał się zwieść. Zastanawiał się, czy były specjalne kursy, na których nauczyłby się, jak sprawić, by jego intencje nie byłyby aż tak czytelne w niektórych, istotnych dla niego, sytuacjach. Znów spojrzał na dużą reklamę

przedstawiającą samolot nad rozległym lśniącym oceanem i pomyślał o samotnych wakacjach.

- Prawdopodobnie zajmę się tą Bristow i Stringer - powiedział Holland - kiedy będę miał chwilę. Tylko dlatego że już zacząłem.

- Myślałem, że to Andy Stone ugania się za spódniczkami.

Holland uśmiechnął się szerzej i mówił dalej:

- Zadzwoń do paru miejsc i zostaw wiadomość. Czekam na telefon od Bristow i wciąż próbuję ustalić obecny adres Margaret Stringer.

- Nie możesz go zdobyć z wydziału edukacji?

Jak zwykle ruch uliczny w obu kierunkach był spory. Musieli mówić głośniej, by mogli się nawzajem usłyszeć pośród hałasu aut i policyjnych ciężarówek jadących w stronę stacji metra lub w kierunku A1.

- Ostatni adres, jaki tam mieli, był od dawna nieaktualny.

- Typowe - mruknął Thorne. - Ale założę się, że PITy wysyłają jej w terminie.

- Nie. Ona już dla nich nie pracuje. Musiała się przeprowadzić i zmieniła adres.

- Kiedy to było?

- W kwietniu dwa tysiące pierwszego. A Kathleen Bristow niedługo potem przeszła na emeryturę.

Thome przypomniał sobie, jak Roper wspominał, że Bristow musiała być już w wieku emerytalnym, ale mimo wszystko zrobiło to na nim spore wrażenie. Zupełnie jakby życie wszystkich członków zespołu kuratorskiego zajmującego się Grantem Freestoneem zostało w jakiś sposób odmienione przez to, co stało się z Sarah Hanley: Bristow i Stringer odeszły z pracy, Neil Warren sięgnął po kokainę, a Roper i Lardner też pewnie mieli jakieś sekrety.

Znów poczucie winy i wyrzuty sumienia. Trujące i magiczne.

Wyglądało na to, że każdy, kto choć pośrednio był związany ze śmiercią młodej matki w dwa tysiące pierwszym roku, nie wyszedł z tego bez szwanku. Thome zmierzał teraz na posterunek Colindale, by porozmawiać z człowiekiem oskarżonym o jej zamordowanie. Nie miał pojęcia dlaczego, ale wciąż nie widział w Grancie Freestone potencjalnego porywacza i nie mógł się nadziwić, że zabójstwo Sarah Hanley najwyraźniej wciąż, nawet po pięciu latach, plątało nici ludzkich żywotów.

Rozmowa została przerwana, zanim ktokolwiek zaczął się czuć za bardzo swobodnie.

Prawny reprezentant Freestonea dwie minuty po swoim przybyciu uparł się, że należy wstrzymać przesłuchanie, i zażądał rozmowy z Thomeem i Porter na zewnątrz.

- Dlaczego, u licha, mówicie o porwaniu?

- Wyjaśnijmy sobie jedno - odrzekł Thome. - Właśnie dlatego, że rozmawiamy o porwaniu, nie możemy mówić za wiele.

- To jakieś bzdury. Nie zapominajcie, z kim rozmawiacie.

Thome na pewno nie zapomni.

Danny Donovan, jak większość przedstawicieli prawnych pracujących dla kancelarii adwokackich wysyłanych do podobnych przypadków, był eksgliniarzem. Wyrzucony z resortu przed piętnastu laty za jazdę po pijanemu, braki w prawniczym wykształceniu - które akurat do tej roboty nie były najważniejsze - nadrabiał z nawiązką obyciem i znajomością tematu. Znał system. A także różnice pomiędzy luką a wolnością. Umiał się poruszać po posterunku policji, ale co najistotniejsze, znał sztuczki, jakich używali Tom Thome i jemu podobni, ponieważ on sam też z nich korzystał. Już samo to sprawiało, że tacy jak on nie cieszyli się zbytnim uznaniem w resorcie, ale Donovan nie liczył na względy. Kiedy agresywnie nie przypominał ludziom, że ma za sobą taką przeszłość jak oni, odgrywał rolę dobrego kumpla - zwracał się do funkcjonariuszy po imieniu i zaglądał do gabinetów, by nastawić wodę na herbatę.

Miał pięćdziesiąt parę lat i życie go nie oszczędzało. Mówiono onim, że życie w cywilu zaczął od pokazywania wyprostowanych środkowych palców tym, którzy wywalili go z roboty, i na tym się skończyło. Thome uważał, że to dość surowy osąd, ale był gotów zmienić zdanie. Biorąc pod uwagę, że Tony Mullen dzwonił i skarżył się na niego do jego przełożonych, miał po dziurki w nosie władczych byłych gliniarzy.

- Mojego klienta aresztowano za morderstwo - rzekł Donovan. - A jak już ustaliliśmy, on twierdzi, że jest niewinny.

- Nie spodziewamy się niczego innego.

- „Morderstwo”. Tak jest napisane na dokumencie z jego aresztowania oraz na dokumentach wyjaśniających i możecie go przesłuchać tylko w związku z tą sprawą.

Thorne znał Donovana bardzo dobrze, ale Porter nie miała tej wątpliwej przyjemności.

- Jestem pewien, że rozumie pan, do czego zmierza detektyw inspektor Thome - powiedziała. - Uważamy, że morderstwo, o które jest oskarżony pański klient, może być związane z obecną sprawą. Z bardzo delikatną sprawą.

- Nie mój problem.

Donovan pociągnął nosem i przetarł go palcem. Włosy miał raczej poźółkłe niż posiwiałe i odcień ten całkiem nieźle komponował się z jego jasnobrązowym garniturem i opalenizną z solarium.

- To tylko kilka pytań.

- O kilka za dużo. Rozmawiałem z moim klientem w wiadomej sprawie i udzieliłem mu stosownych porad, a wy nagle zaczynacie mówić o czymś, na co nie jesteście w żaden sposób przygotowani.

- Daj spokój, znasz tę grę - powiedział Thome. - Czasami „nieprzygotowanie” jest jak najbardziej na miejscu.

Zachowanie na starego kumpla może działać w obie strony. Albo nie zadziałać w ogóle.

- Moim zdaniem nie - zaprotestował Donovan. - Zwłaszcza gdy nie ma informacji o jakichkolwiek dowodach.

Porter próbowała odgrywać rolę zdezorientowanej, jakby Donovanowi udało się zbić ją z tropu.

- Proszę, posłuchać, istnieje spore prawdopodobieństwo, że Freestone znał kobietę, która była zaangażowana w to porwanie. Może nawet korzystała z pomocy tego samego doradcy od narkotyków.

- Istnieje spore prawdopodobieństwo... może...

Donovan wyglądał, jakby nie wiedział, czy ma zacząć krzyczeć, czy zlać się w gacie.

- Powiem wam, co macie - nic nie macie. Chyba macie mnie za idiotę.

- Mamy także szesnastolatka - wtrącił Thome. - To znaczy, ma go ktoś inny, ktoś go przetrzymuje, a my zapierdalamy jak cholera, by zwrócić go rodzinie. Opuść nam trochę, Danny.

- Jego ojciec też pracował w resorcie - dodała Porter. - Facet odchodzi od zmysłów. Ale chyba nie muszę ci tego mówić...

Thome wiedział, że Donovan ma dwoje dzieci. Zastanawiał się, czy nie uderzyć w ten ton, uznał jednak, że byłaby to gruba przesada. Przez sekundę lub dwie wydawało się, że im się uda i że szczerze odwołanie się do zwykłej ludzkiej przyzwoitości może im dać pewną przewagę. I nagle to, co Thome uznał za wyraz empatii - czy wręcz współczucia - przerodziło się w upiorny ironiczny grymas.

- Przykro mi. Jeżeli nie zdołacie możliwie szybko przedstawić czegoś więcej, będę zmuszony doradzić mojemu klientowi sami wiecie co.

- Zaskocz mnie - rzucił Thome.

- W jego własnym interesie doradzę mu, żeby milczał jak grób.

Donovan odwrócił się, wszedł do pokoju przesłuchań i z trzaskiem zamknął za sobą drzwi.

Thome rzucił w stronę tychże drzwi jedno, jedyne słowo, ale za to bardzo głośno. To

było słowo, którego rzadko używał poza stadionem piłkarskim, i nie był nawet pewien, czy mężczyzna, pod którego adresem je skierował, zdołał je usłyszeć. Ale w tym momencie było to jedyne słowo adekwatne do sytuacji.

Luke

Czuł się, jakby został pogrzebany.

Woń wilgoci, gleby i sklepienia ponad nim.

Cały czas było ciemno. I ciężko, jakby cząsteczki w powietrzu były wielkie i czarne, o ile tylko można by je zobaczyć. Ale on odnosił nieprzeparłe wrażenie, że jest dzień. Gdyby się postarał, zapewne usłyszałby odgłosy odległego ruchu ulicznego. Może nawet autostrady. A kiedy ten mężczyzna zszedł tutaj wcześniej, przynosząc śniadanie - herbatę i tosta - od szczytu schodów napłynęło znacznie więcej światła.

Mężczyzna zrobił, co obiecał, a ponieważ Luke nie próbował krzyczeć, kiedy nie miał ust zaklejonych taśmą, zdjął mu również więzy z przegubów. Teraz Luke mógł naprawdę zbadać to miejsce.

Wtykał palce w każdą szczelinę i szparę w szorstkich ścianach, rozorując sobie kłykcie o kamienie i gwoździe i wbijając drzazgi w skórę, kiedy wodził palcami po zasnutym pajęczynami sklepieniu powyżej. Dotykał półek pokrytych kurzem i brudem, worków, lepkich puszek i ram do obrazów. Warstwa po warstwie tworzył w swoim umyśle coraz bardziej złożony obraz. Wiedział, gdzie się wszystko znajdowało, i mógł szybko przejść z jednego końca pomieszczenia w drugi z rękoma opuszczonymi wzdłuż boków aż do ostatniej chwili. Uznał za dobry znak, że zdjęto mu więzy i taśmę; pomyślał, że może mężczyzna go polubił. Gdyby mężczyzna nadal był miły i nie mówił więcej tych szalonych, okropnych rzeczy, może mógłby go poprosić o przesłanie kolejnej wiadomości. Może mężczyzna pozwoliłby mu powiedzieć to, co chciał, nie tak jak wtedy z Conradem i Amandą.

To oni go porwali, owszem. Ale nie mówili żadnych głupich bzdur. Przez większość czasu traktowali go dobrze, zanim umarli.

Starał się uporczywie nie myśleć o Conradzie i Amandzie, bo za każdym razem, gdy to robił, widział ich leżących w sypialni w kałuży krwi, która wyglądała jak jasnoczerwona podszewka kurtki. A potem bał się jeszcze bardziej, bo było jasne, że to właśnie ten mężczyzna ich zabił i zaczynał wierzyć, że ten człowiek skrzywdzi i jego, niezależnie jak bardzo mógł się wydawać miły.

Był przerażony. Bał się, tak jak mówił jego trener rugby, ten kretyn, kiedy zarzucał mu, że za słabo się stara, i jak powiedział jego ojciec, wściekając się na niego, że nie postawił się trenerowi. Jak powiedziała Juliet, kiedy jasno dała mu do zrozumienia, że powinien być

bardziej postawić się ojcu...

Mężczyzna wciąż był w domu.

Upuszczał różne przedmioty...

Słyszał, jak spadały na podłogę gdzieś nad nim. Zaczął płakać. Nie mógł się pohamować. Starał się być racjonalny, przekonać samego siebie, że mężczyzna po prostu coś przestawiał, ale słyszał hałas, kiedy kolejne przedmioty uderzały o podłogę, i zapłakał, wyobrażając sobie, jak do dołu wrzucane są, wprost na niego, kolejne łopaty ziemi. Podźwignął się z podłogi i zaczął szybko przechodzić z jednego końca piwnicy w drugi. Przyspieszał, odbijając się od ścian i szlochał z jękiem.

Miotał się w ciemnościach.

Jak martwy płód w trumnie dla dorosłego.

14

To była rywalizacja, bez dwóch zdań. Osobom siedzącym po przeciwnych stronach stołu trudno było uniknąć wrażenia konfrontacji, niezależnie jak bardzo próbowały być taktowne i delikatne, niezależnie jak wiele miały za sobą seminariów na ten temat.

Po jednej stronie Thome i Porter dawali radę. Po drugiej Donovan, gotowy uszczknąć coś dla siebie, i Grant Freestone, który sprawiał wrażenie, jakby był jedyną osobą w pokoju niemającą pojęcia, co tu w ogóle robi.

Jakby wciąż nie potrafił uwierzyć w to, co się stało.

Thome podał godzinę rozpoczęcia przesłuchania, miejsce i nazwiska obecnych w pokoju. Zapytał Freestone'a, czy chciałby coś do jedzenia, czy dobrze się czuje i czy jest na siłach, by odpowiedzieć na kilka pytań. Potem czekał.

- Na to może pan odpowiedzieć - rzekł w końcu.

Kierowały nim raczej pragmatyzm i ostrożność niż troska. Nie chcieli, aby Donovan oświadczył później, że jego klient był chory albo zdezorientowany, i wszystko, co powiedział, należy uznać za niewiarygodne, gdyż nie dostał aspiryny albo kanapki z bekonem.

- Dobrze się czujesz, Grant?

Donovan się uśmiechnął. Wiedział, że Thome miał gdzieś, jak czuł się Freestone. Thome odpowiedział, również się uśmiechając:

- Dla potrzeb nagrania: pan Freestone pokiwał głową.

To było tylko lekkie skinienie, oszczędne w wyrazie jak wszystkie jego gesty. Freestone był potężnym mężczyzną, krępy, ale pełnym gracji i o delikatnych rysach. Dobrze po czterdziestce, z bladą cerą, długimi do ramion ciemnymi włosami zaczesanymi do tyłu i

starannie przystrzyżoną kozią bródką. Thorne powiedział później, że wyglądał jak ktoś, kto powinien dyskutować o teatrze awangardowym na Kanale 4, podczas gdy Porter stwierdziła, że aż za bardzo przypominał jej byłego chłopaka.

Powtórzyli szczegóły dotyczące aresztowania i historię jego zatargów z prawem aż do chwili obecnej, a także sprawę śmierci Sarah Janinę Hanley, której ciało odkryła sąsiadka i dwójka jej dzieci siódmego kwietnia dwa tysiące pierwszego roku.

- Znał pan Sarah Hanley?

- Czy odwiedził pan Sarah Hanley siódmego kwietnia dwa tysiące pierwszego?

- Kiedy ostatni raz widział pan Sarah Hanley żywą?

Przez piętnaście minut Thome i Porter zadawali pytania i przez piętnaście minut Grant Freestone wpatrywał się w blat stołu, jakby rysy i wgłębienia na metalowej powierzchni stanowiły osobliwą mapę prowadzącą do ukrytego skarbu.

Chwile ciszy przedłużały się, jeżeli nie liczyć przypadkowego ciężkiego westchnienia albo chrząknięcia Donovan.

Oskarżycielskie podejście najwyraźniej nie było właściwą taktyką i jedyne, na co mogli liczyć, to odpowiedź trapisty, ale pytania o alibi Freestone a także pozostały bez odpowiedzi.

- Pańska siostra twierdzi, że był pan w parku z nią i jej dziećmi, kiedy zamordowano pannę Hanley. Tak jak dziś rano jak na ironię.

- Czy to prawda, Grant?

- Który to był park?

- Daj spokój, Grant. Skoro tam byłeś, dlaczego nikt cię nie widział?

Nagle Donovan wyprostował się na krześle i przemówił, jakby dopiero się obudził. Thome nie miał pewności, czy tak nie było.

- Miło tak usiąść i posłuchać waszej dwójki, ale to już zakrawa na absurd.

Postukał palcem w szkiełko zegarka.

- Może się wydawać, że tu czas stanął w miejscu, ale wasz zegar tyka...

Thome spojrział na elektroniczny zegar nad drzwiami. Freestone został aresztowany o wpół do dziesiątej rano. Minęły już trzy godziny z przepisowych dwudziestu czterech.

- Dziękuję za przypomnienie, panie Donovan - rzekła Porter.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Na ustach Porter pojawił się lekko sarkastyczny uśmiezek.

- Mówi się, że jeżeli nie wiesz, która godzina, spytaj policjanta.

- Dlaczego nie chcesz ze mną rozmawiać, Grant? - spytał Thome.

Isłuchał uprzejmie, gdy Donovan zapewnił go, że tylko marnuje czas. Freestone spojrział na niego z wyrazem twarzy mówiącym dokładnie to samo. Thome nachylił się ku niemu.

- Może porozmawiasz ze mną o porwaniu Luke'a Mullena?

Ani Thome, ani Porter nie mieli okazji, by wymienić nazwiska Luke'a Mullena podczas pierwszego, przerwane przesłuchania. Teraz jednak, gdy w końcu ono padło, reakcja była natychmiastowa. Freestoneowi opadła szczeka, ale zaraz się zmitygował i mocniej niż dotychczas zacisnął zęby. W jego oczach coś się zatliło. Choć tylko otworzył i zamknął usta, Thome odniósł wrażenie, jakby mężczyzna siedzący naprzeciw niego mimowolnie powtórzył podane imię, zanim zdążył ugryźć się w język.

- Najwyraźniej to nazwisko coś ci mówi.

Freestone spojrział na Donovana, który wolno pokręcił głową. Freestone odwrócił się, najwyraźniej po raz pierwszy szczerze zakłopotany. Wręcz przerażony.

- Może Conrad Allen? - spytała Porter.

Freestone przełknął ślinę.

- Amanda Tickell?

Thome posłał Freestone owi miazdzące spojrzenie, powtarzając to nazwisko, podczas gdy aresztant wlepił wzrok w blat stołu.

- Wątpię, abyś szybko zapomniał to nazwisko. Prawdę mówiąc, to kobieta, którą trudno zapomnieć, więc może się zastanów Blondynka, niebieskie oczy. Seksowna, jeśli lubisz ćpunka.

- I martwa, ma się rozumieć - przypomniała mu Porter. - O tym też nie zapominajmy.

Freestone odchylił się powoli do tyłu, tak że jego krzesło stanęło na dwóch nogach. Spojrział na Porter, a potem na Thorne'a i z hukiem opuścił krzesło na podłogę.

- Bez komentarza - powiedział.

- Ono mówi! - rzuciła Porter.

Thome spojrział na Donovana.

- Nareszcie do czegoś dochodzimy.

Donovan się zaśmiał i położył rękę na ramieniu aresztanta, ale gdy tylko wychwycił spojrzenie Freestone'a, spiorunował go wzrokiem.

- Jestem pewien, że doradca prawny udzielił ci wyśmienitej porady - rzekł Thome. - Nie wątpię, że jesteś w dobrych rękach. Na pewno w doświadczonych rękach. Mimo to może chwila jest odpowiednia, abyśmy ci przypomnieli, że milczenie nie jest w twoim wypadku zalecanym rozwiązaniem. Gdybyś stanął przed sądem, może się okazać, że sędzia potraktuje

to zachowanie jako dowód obciążający i poleci ławnikom, by tak to odebrali. I w ten sposób z milczenia może wyniknąć coś, czego w ogóle nie było. Podejmujesz spore ryzyko, milcząc jak, nie przymierzając, Jaś Fasola. Masz okazję wszystko wyjaśnić od samego początku.

Przerwał na chwilę, gdy Donovan nachylił się i zasłaniając usta, szepnął coś do Freestone a.

- Tak więc, biorąc pod uwagę, że nam się spieszy, to najwyższy czas, abyś powiedział nam wszystko, co wiesz na temat Luke a Mullena. Wszystko, co mogłoby pomóc nam go odnaleźć. Niczego nie obiecuję, ale wiem, że jeśli już teraz podzielisz się z nami ważnymi informacjami, zostanie to wzięte pod uwagę później i może zadecydować o twoim losie.

Thorne patrzył na dalszy ciąg szeptanej rozmowy.

- Dla potrzeb nagrania: podejrzany prowadzi obecnie przyciszoną rozmowę ze swoim przedstawicielem prawnym...

- Albo liże go w ucho - dodała pod nosem Porter. - Nie mamy pewności.

Freestone wyprostował się i podsunął z krzesłem o kilka centymetrów do przodu. Po raz drugi w ciągu niespełna dwudziestu minut Thome zaczął się zastanawiać, czy jego słowa mogły coś zmienić i czy on i Porter usłyszą coś istotnego albo przynajmniej nieoczekiwanego.

Oczywiście na nic nie liczył, by się nie rozczarować.

Freestone położył dłonie płasko na stole i niemal szeptem oznajmił powoli:

- Nie zabiłem Sarah Hanley.

Było co najmniej kilka miejsc, w których Thome starał się nie oczekiwać zbyt wiele: stadion White Hart Lane, gabinet Trevora Jesmonda, irlandzkie puby i każda stacja londyńskiego metra. W kantine na posterunku Colindale lepiej było nie oczekiwać niczego.

Przebił się przez stwardniałą ziemniaczaną powłokę górnej warstwy placka pasterskiego. Jeżeli wewnątrz znajdowało się mięso, to było doskonale ukryte.

- Są w tym coraz lepsi - powiedział.

Porter podjęła najwyraźniej słuszną decyzję, wybierając kanapkę. Była umiarkowanie niesmaczna.

- Założę się, że to nie to samo, co jadasz na co dzień - rzekł Thome.

- W Scotland Yardzie też nie możesz liczyć na świeże sushi - odparła - ale karmią lepiej niż tu. A to dlatego, że jesteśmy od was ważniejsi.

- Myślę, że niektórzy nawet w to wierzą.

Uniosła brwi.

- Naprawdę uważam, że w to wierzą - powtórzył Thome i wskazał na nią widelcem. -

Ponieważ próbujecie ratować życie, ponieważ jesteście proaktywni. My zaczynamy działać dopiero, gdy pojawia się ciało. Marnujemy czas, próbując dorwać tych, którzy pozostawiają je za sobą.

- Cóż, w wypadku tej sprawy mamy po trosze jednego i drugiego.

- Najwyraźniej liczyła na uśmiech albo przynajmniej nieco łagodniejszy ton. - Każdy, kto na serio tak myśli, jest głupcem.

- Jeszcze jakim głupcem.

- Wiem. Sama to powiedziałam.

- Ilu ludzi, którzy popełnili morderstwo, może popełnić kolejne?

- Nie zamierzam się sprzeczać.

- My też ratujemy życie.

Porter uniosła ręce w geście poddania i uśmiechnęła się, teraz już rozdrażniona.

- Co mi chcesz powiedzieć? Zgadzam się z tobą.

Odsunęła od siebie niedojedzoną kanapkę.

- Chryste, jesteś drażliwszy niż kobieta przed okresem. Chcesz kawy? - spytała, wstając.

- Dzięki...

Patrzył, jak podchodzi do lady, zastanawiając się, co miał jej za złe idlaczego tak ją potraktował. Czy powinien podejść i zapłacić za kawę? Ciekawe, jak ona wygląda nago.

Kiedy wróciła do stolika, spróbował ją przeprosić, najlepiej jak potrafił, stwierdzając, że ostatnio kiepsko sypiał. I plecy wciąż mu dokuczały. Pokiwała głową ze współczuciem, po czym zapytała, co sądzi oprzesłuchaniu Freestone a.

- Mam jakąś reakcję - odparł.

- Ale na co? Wiemy, że miał problem z Tonym Mullenem.

- Może nadal ma.

Porter odstąpiła w bok, gdy dwóch konstabli postawiło tace i zaczęło rozprawiać o „muppecie” na ich zmianie. Zniżyła głos:

- Naprawdę uważasz, że Tony Mullen mógł go zrobić w zabójstwo Hanley?

- Nie mam pojęcia - odrzekł Thome. - Ale może Freestone tak uważa.

- Niemniej to nie pomogło nam znaleźć Lukea.

Thome wiedział, że miała rację. Przez resztę przesłuchania Freestone nie powiedział nic, co wywołałoby szybsze bicie serca. Upierał się tylko, że nie zabił Sarah Hanley. Nie powiedział nic, co wskazywałoby, że odegrał jakąś rolę w porwaniu Luke a Mullena albo, że znał kogoś, i kto to zrobił. Jednakże, tak jak Thome wiedział, że prędzej czy później wydarzy

się coś złego z jego autem albo że zamówiony pudding okaże się wielką pomyłką, coś mu mówiło, iż Grant Freestone miał im coś do przekazania. Nazwisko, miejsce, datę, cholera wie co. Wiedział, że trzeba było to tylko wygrzebać, niezależnie, czy było zakopane głęboko, czy płytko, a wówczas wszystko zacznie nagle nabierać sensu.

Nawet jeżeli Freestone nie zdawał sobie sprawy, że to wiedział.

- Nie jestem pewien, co jeszcze moglibyśmy zrobić - rzekł Thome.

- Moglibyśmy chyba zdobyć nakaz. Zmusić Warrena, aby powiedział nam, czy zajmował się Tickell w tym samym czasie co Freestoneem. Tylko czy chcemy zadawać sobie tyle trudu? Sporo z tym zachodu.

Może to z powodu kawy Porter się skrzywiła, ale Thome raczej w to wątpił. Trud, o którym wspomniał, mógł oznaczać wszystko włącznie z koniecznością uzyskania pozwolenia z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

- Widziałeś, w jakim stanie było mieszkanie Allena - rzekła. - Do czego jest zdolny ten człowiek. Nie możemy zakładać, że chłopak ma tyle czasu.

Później przez kilka minut przysłuchiwali się toczącym się wokół nich rozmowom. Wyglądało na to, że „muppet” był tylko nieznacznie lepszy od „lizodupa” czy „wazeliniarza”, który całymi dniami włożył w tyłek sierżantowi. To było jak wysłuchiwanie katalogu niepochlebnych przydomków wobec przełożonych i kolegów z pracy Thome wciąż nie był pewien, czy gliniarze zaczynali posługiwać się żargonem jak ich serialowi odpowiednicy, czy może zawsze tak mówili, a researcherzy The Bill po prostu dobrze odrobili pracę domową. Podejrzewał, miał nadzieję, że w grę wchodziło jednak to pierwsze. Tupeciarscy tandeciarze z Lotnej Brygady z całą pewnością zachowywali się bardziej jak banda wykidajłów, tyle że mających policyjne legitymacje, odkąd Regan i Carter zaczęli łać po pyskach, kogo wlezie, na prawo i lewo i rozbijać się po telewizyjnym Londynie w swoich złotych granadach.

Kiedy powrócili do rozmowy, Thome upomniał się w myślach, by przekazać Hollandowi listę słów, takich jak „muppet”, „platfus” czy „blacharz”, z zaleceniem, aby go zastrzelił, gdyby kiedykolwiek użył któregoś z nich.

Odebrał telefon, a w tym czasie mundurowi zamilkli i starali się nie sprawić wrażenia, że podsłuchują. Thome słuchał z uwagą, patrząc na Porter, po czym podziękował za przekazanie mu najwyraźniej całkiem niezłych wieści.

- Mów - rzuciła Porter.

- Pan Freestone jednak zdecydował się na kolejną pogawędkę.

Thome spojrzał na to, co zostało z jego kawy, i odsunął krzesło.

- Twierdzi, że naprawdę chce pomówić z nami o Lukeu Mullenie.

- Nie zabiłem Sarah Hanley.

- Proszę, Grant, nie mów mi, że nabawiłem się niestrawności na darmo - rzekł Thome.

- Nie. Bynajmniej.

Akcent Freestone a, z południowego Londynu, nie był tak wyraźny, jak można by się tego spodziewać, a jego głos był miękki, wręcz łagodny. Trudno byłoby tylko na podstawie głosu rozróżnić jego i siostrę.

- Chciałem to powiedzieć raz jeszcze. Nigdy nie przestanę tego powtarzać. Ale nikt mnie, kurwa, nie słucha.

- Będziesz miał mnóstwo czasu, by opowiedzieć ludziom o tym, co stało się z Sarah...

- Nie wiem, co się z nią stało, jasne? Ja tylko ją znalazłem.

- Dobrze, Grant.

- Już nie żyła, kiedy tam dotarłem, przysięgam.

- Nie o tym mieliśmy rozmawiać - rzekła Porter.

Freestone powoli pokiwał głową i wziął kilka ostrych, krótkich oddechów, jakby się do czegoś przygotowywał. Siedzący obok niego Donovan był chmurny i miał kwaśną minę; znużenie i oburzenie stłumiły w nim wszelkie pozory ciekawości wobec tego, co mogło zostać powiedziane. Tracił panowanie. Teraz, kiedy klient odrzucił jego rady, kiedy stał się zbędny, mógł tak długo, jak tylko chciał, gapić się na zegar. A potem zgarnie od firmy honorarium i pojedzie do domu, by przez parę chwil pokrzyczeć na swoje dzieci.

- Nie wrócę za kratki - powiedział Freestone.

Thome zaplótł ramiona.

- To pytanie czy stwierdzenie?

- Nieważne, czy chodzi o morderstwo. Nieważne, o co chodzi. Mógłbym zostać zapuszkowany za fałszerstwo albo niepłacenie podatków, ale w pudle zawsze będę tym, który robił te rzeczy z dziećmi.

Izawsze będę musiał mieć się na baczności.

- Oczekujesz współczucia?

- Niczego nie oczekuję.

- Może to i lepiej.

- Tak jak wszyscy inni...

- To pocieszające.

- Musisz nam powiedzieć, po co nas tu ściągnąłeś - powiedziała Porter. - To byłby dobry początek. Jeżeli chcesz, aby ludzie inaczej cię postrzegali... abyś nie budził w nich odrazy. Musisz na to zasłużyć.

Thome patrzył na cztery małe szpule obracające się w bliźniaczych magnetofonach. Jak małe obracające się zęby.

- Chcę się zobaczyć z Tonym Mullenem - rzekł Freestone.

Thorne i Porter nic nie powiedzieli. Wymienili tylko spojrzenia i usiłowali sprawić wrażenie, jakby Freestone poprosił tylko o papierosa albo o batona do herbaty. Omiótł ich oboje spojrzeniem, po czym znów się odezwał, jakby obawiał się, że nie zrozumieli go właściwie:

- Z ojcem Luke a Mullena.

Thome skinął głową, by potwierdzić, że doskonale wiedzą, kim jest Tony Mullen.

- A ja chcę wygrać w lotto - powiedział. - Ale nie zamierzam czekać z zapartym tchem.

- To wszystko - rzekł Freestone.

- Co?

Porter wyglądała na spiętą, ale ton jej głosu pozostawał spokojny, podczas gdy Thome coraz bardziej zdradzał oznaki zdenerwowania.

- To wszystko, czyli nie masz innych żądań? Czy raczej to koniec dyskusji?

Freestone szybko pokręcił głową i zamachał rękami.

- To wszystko, taki jest układ, skoro tak chcecie to pojmować. Chcę, żeby tu przyjechał, i chciałbym pomówić z nim na osobności. Tylko on i ja. Bez taśm ani tego. - Spojrzał na kamerę w rogu pokoju. - Bez nagrań. Więc...

Porter otworzyła usta, ale Thome ją uprzedził:

- Posłuchaj, takie zagrywki odchodzą tylko w gabinecie na górze, gdzie pod koniec zmiany gramy zwykle w trzy karty, więc nie wiem, skąd ci to, kurwa, w ogóle przyszło do głowy. Po drugie, istotniejsze, jeżeli masz cokolwiek do powiedzenia na temat Luke a Mullena, powiesz to nam. Teraz. I zostanie to zarejestrowane przez kamerę. Nagrane na taśmie. Jeżeli nam przyjdzie ochota, rozpowszechnimy to później na cały kraj. - Przerwał i uśmiechnął się. - Więc...

Nawet Donovan usiadł prosto i nasłuchiwał.

- Pan Mullen nie jest już funkcjonariuszem policji - rzekła Porter. - I nie prowadzi tej sprawy.

- Ale jest ojcem dzieciaka, to chyba ważniejsze, zgadza się?

- Nie ma takiej możliwości - powiedział stanowczo Thome.

- Dlaczego?

- Nie musimy się tłumaczyć.

- Wobec tego ja nie muszę wam nic mówić.

- Jak na kogoś, kto bardzo chce uniknąć powrotu do pierdła, niespecjalnie się starasz.

- Cokolwiek powiem i tak nie mogę liczyć na jakiegokolwiek względy.

- Może i racja - rzekł Thome, coraz bardziej poirytowany. - Ale nie zapomnij o czymś jeszcze. Jeżeli masz informacje o Luke u Mullenie i zachowasz je dla siebie, osobiście dopilnuję, żeby, kiedy już trafisz do pudła, każdy świr za kratkami, nienawidzący takich jak ty, dowiedział się o twoim przybyciu.

Freestone wzruszył ramionami, spojrzał na Donovana i znów na Thome a, ale zastanawiał się nad tym, co właśnie usłyszał. Minęła prawie minuta, zanim ponownie się odezwał:

- Muszę się widzieć z Mullenem.

Thome, wstając, zdjął kurtkę z oparcia krzesła. Następnie najpierw do Porter, a potem do mikrofonu powiedział:

- Zamierzam skończyć lunch. Przesłuchanie zostaje zawieszony...

- Pozwólcie mi z nim mówić.

- Opowiedz nam o Luke u.

- Najpierw pozwólcie mi porozmawiać z jego ojcem.

- Nie.

- Nie proszę o pieprzony helikopter. Chcę tylko pięć minut...

- Daj mi choć jeden dobry powód - rzucił Thome. - Jeden powód, dlaczego mielibyśmy choćby pomyśleć o zaaranżowaniu tej rozmowy.

- Ponieważ sprawa stanie się poważna, jeżeli nie zrobicie tego, czego chcę. Jeżeli nie zaczniecie traktować serio moich próśb.

Głos Freestone a zmienił się i wszyscy siedzący przy stole zdziwili się, słysząc jego siłę i moc. Wcześniej to był głos, który potrafił zwodzić, zwabiać niewinne dzieci do garaży. Mogli się tylko modlić, aby dzieci nigdy go nie usłyszały.

- Ponieważ jestem jedyną osobą, która wie, gdzie się znajduje Luke Mullen, i jeżeli nie zrobicie tego, o co proszę, jeżeli nie zaaranżujecie tego spotkania, będę tu siedział jak pieprzony Jaś Fasola i nie pisnę nawet słowa. Będę milczał jak grób, słowo daję, a wszelkie konsekwencje z tego tytułu spadną na was. Rozumiemy się? Będę tu siedział, nie puszczając pary z ust, tak długo jak to konieczne, a wy nigdy go nie znajdziecie. A w każdym razie nie znajdziecie go na czas.

Odsunął się od stołu i uniósł rękę, by podrapać się po łopacie.

- Jeżeli nie zrobicie tego, o co proszę, Luke Mullen umrze.

Detektyw inspektor Chris Wilmot po raz ostatni przejrzał nagranie z podejrzanym i zabrał się do pracy. Ruchy myszką po podkładce były drobne, precyzyjne, ale kursor śmigał po ekranie, gdy mężczyzna przesuwiał i klikał raz po raz, wybierając i wklejając całą galerię postaci, aby przedstawić je później jedną po drugiej.

Tradycyjna metoda, w której naoczny świadek mógł zidentyfikować podejrzanego niejako twarzą w twarz, należała już praktycznie do przeszłości. Było to drogie i czasochłonne, tylko kilka posterunków było w stanie przeprowadzić pełne okazanie w starym stylu. Wilmot był jednym z kilku funkcjonariuszy specjalnie przeszkolonych w nowych procedurach identyfikacyjnych i z tego tytułu mógł nadzorować okazanie techniką wideo niemalże wszędzie, gdzie to było konieczne. Informowano go zawczasu o przygotowywanym aresztowaniu i zjawiał się w Colindale dziesięć minut po przybyciu podejrzanego do tamtejszego aresztu.

Wilmot wybrał z bazy danych kilka tysięcy nagranych postaci, posługując się kilkoma podstawowymi kryteriami, by zawęzić dobór do ludzi w podobnym wieku i tej samej rasy oraz zbliżonej wagi, wzrostu i koloru włosów. Po półgodzinie zgromadził osiem piętnastosekundowych klipów, których zamierzał użyć, oprócz nagrania z podejrzanym. Teraz należało już tylko zmontować materiał w sekwencję, która zostanie zaprezentowana świadkowi. Biorąc pod uwagę, że materiał i zdjęcia miały być pokazywane losowo, Wilmot specjalnie się tym nie przejmował, a kolejność prezentacji pozna dopiero wtedy, gdy pełna sekwencja zostanie przedstawiona świadkowi.

Yvonne Kitson siedziała w kącie, patrząc, jak funkcjonariusz dokonuje ostatnich przygotowań. Był prawdziwym fachowcem i zależało mu na tym, co robił, toteż nie miała powodu uważać, że sprawy potoczą się inaczej, niż na to liczyła. Mimo to nigdy jeszcze nie była

równie zdenerwowana. Było dla niej bardzo ważne, aby wszystko poszło jak należy. Choć nie miała powodu, by czuć się niepewnie, widziała wiele przypadków, kiedy sprawa brała w łeb przez jakieś uchybienie niejako na ostatniej prostej.

Tak bardzo chciała ujrzeć radość i entuzjazm rodziny Amina Latifa na wiadomość, że odnalazła zabójcę ich syna, pragnęła zobaczyć twarz matki, kiedy zostanie podjęty właściwy werdykt i wydany sprawiedliwy wyrok. Wiedziała jednak, że to musi jeszcze chwilę poczekać, że na nic nie mogła liczyć, niczego nie powinna oczekiwać. I przez cały czas świadomość, że sprawa może zakończyć się inaczej, niż tego pragnęła, wzmagało się jej zdenerwowanie.

Pomimo wieści, jakie otrzymała tego popołudnia od łącznika z Instytutu Badań Sądowych...

Aresztowała Farrella o szesnastej w jego rodzinnym domu, godzinę po telefonie z Instytutu. Podczas gdy Adriana przewieziono do Colindale, ona została, by pomówić z jego rodzicami. Spotkanie można opisać jako jeden wielki krzyk i płacz, próbowano sugerować, że Kitson nie zna się na swojej robocie, przemawiano do niej protekcyjnie, a ojciec Farrella posunął się nawet do zawołanych gróźb, które zignorowała, choć miała wielką ochotę również jego zapakować do radiowozu i tym sposobem zgarnąć dwóch gagatków w cenie jednego. Kiedy w końcu pozwolono jej mówić, Kitson poinformowała Farrellów, że prócz adwokata, którego, jak się dowiedziała, wysłali już na posterunek, nie wolno im było nikogo powiadomić o aresztowaniu syna. To nie podlegało dyskusji. Nie ustalono jeszcze tożsamości pozostałych uczestników zajścia, za udział w którym aresztowano ich syna, i jak zdecydowała policja, dopóki ich nie poda, a mógł to zrobić, nie będzie mógł mieć z nikim styczności, odmówiono mu nawet możliwości przeprowadzenia jednej rozmowy telefonicznej.

Gdy wysłuchiwała kolejnego gniewnego ataku ze strony pana Farrella, tym razem na temat praw osób zatrzymanych i sugestii, jakoby Kitson popełniła błąd, który zaważy na jej dalszej karierze, poinformowała ich, że wróci później z nakazem przeszukania domu. Następnie

wyszła, chcąc jak najszybciej zająć się Adrianem Farrellem, i nie miała już wątpliwości, po kim odziedziczył butę i pewność siebie.

Patrząc, jak galeria postaci zyskuje ostatnie szlify, zastanawiała się, czy chłopak siedzący w celi na dole wciąż był tak pewny siebie.

- Już prawie gotowe - oznajmił Wilmot.

Kitson otworzyła drzwi, zamieniła kilka słów z oficerem dyżurnym na zewnątrz i pół minuty później do pokoju wprowadzono Nabeela Khana.

Wyglądał trochę lepiej, niż kiedy Kitson widziała go ostatnim razem, ale to jeszcze o niczym nie świadczyło. Siniaki zniknęły, wiedziała jednak, że nie patrzyła na nastolatka takiego, jakim był kiedyś. Zanim on i jego przyjaciel Amin zbyt długo czekali na autobus, któregoś wieczoru pół roku temu. Zdjął płaszcz i skinął nerwowo w jej stronę.

- Jak się pani miewa?

Kitson mogła z nim teraz porozmawiać. Z oczywistych powodów aż do tej chwili nie wolno jej było kontaktować się ze świadkiem. Dla zapewnienia, że wszelkie dowody, jakich mógł dostarczyć, nie zostaną uznane za wątpliwe, funkcjonariusze niezwiązani z pierwotną

sprawą zabrali go z jego domu, a następnie zczekali z nim, aż zakończone zostaną niezbędne przygotowania. Teraz, kiedy świadek miał obejrzeć nagrania, a wszystkie rozmowy będą rejestrowane, Kitson mogła swobodnie porozmawiać z chłopakiem.

- Całkiem niezłe, Nabeel - odparła; nie było sensu pytać o jego samopoczucie.

Zajęła miejsce obok Wilmota i wyjaśniła mu, że wszystko potrwa zaledwie kilka minut, że to całkiem proste i nie ma się czym martwić. Wydawał się rozluźniony. Powiedział jej, że bardzo się cieszy, iż robi to w ten sposób, komputerowo, że ulżyło mu, bo nie będzie musiał stawać z nikim twarzą w twarz. Zaśmiał się, kiedy Kitson próbowała powiedzieć mu, że nie doszłoby do tego, na co stwierdził, że widywał takie rzeczy w telewizji i wiedział swoje o mankamentach okazania z użyciem weneckich luster czy czegoś takiego.

Potem paleczkę przejął Wilmot, zaczął oficjalną preambułę, a Kitson mogła tylko pozostać z boku i patrzeć.

Każde krótkie nagranie miało ten sam wzorzec. Obiekt siedział na tle białej ściany, patrząc prosto w kamerę, a po cichym sygnale odwracał się prawym profilem. Pięć sekund później znów rozległ się sygnał, a obiekt odwracał się do kamery drugim profilem. W końcu odwracał się raz jeszcze en face i patrzył w obiektyw aż do zakończenia nagrania.

Izaczynało się następne.

Wyraz twarzy obiektów oscylował od obojętności po oburzenie. Choć poinformowano ich, że mają nie okazywać żadnych emocji, obiekty wydawały się znudzone, zdeustowane lub wręcz zauroczone. Niektórzy prezentowani sprawiali wrażenie zadowolonych, może dlatego że właśnie odebrali osiemdziesiąt funtów za kilka minut, a zwykle pojawiali się na posterunku tylko po to, by okazać ważne ubezpieczenie auta albo wyjaśnić, skąd u ich dziewczyny podbite oko i rozcięta warga. Mieli od szesnastu do dwudziestu jeden lat. Sami blondyni, choć długość ich włosów była różna, podobnie jak fryzury, od gęstej grzywy po krótkiego języka. Żaden z młodych mężczyzn nie nosił kolczyków, więc osobie z siódmego nagrania nakazano zdjąć złoty krzyżyk, aby nie przykuwał niepotrzebnie uwagi.

Kiedy prezentacja dobiegła końca i ekran pociemniał, Wilmot zapytał świadka, czy chciałby obejrzeć je raz jeszcze.

Świadek pokręcił głową.

Następnie Wilmot zadał kilka istotnych pytań, ale Kitson nie musiała usłyszeć odpowiedzi. Oblicze świadka prawie przez całe nagranie pozostało bez wyrazu, usłyszała jednak lekkie poruszenie pod koniec całej sekwencji.

Mniej więcej po półtorej minuty.

Wilmot próbował uzyskać odpowiedź, a odgłos uderzania kości o metal powtarzał się

raz po raz, w miarę jak noga Nabeela Khana, dygocząc w niekontrolowany sposób, uderzała o nogę stołu.

- Nie rozumiem tej sprawy z dziećmi - rzekła Porter. - Jak Jane Freestone mogła pozwolić bratu zbliżyć się do swoich dzieci?

- Mogła jeszcze wtedy nie wiedzieć. A przynajmniej nie na pewno.

- Ale teraz już wie, tak? I mimo to wysłała je do parku z wujkiem Grantem.

- Najwyraźniej.

- Więzy rodzinne. Rozumiem to. Oboje widzieliśmy, jak ludzie wspierają krewnych, którzy robili najokropniejsze rzeczy. Niekiedy zdarza mi się nawet myśleć, że choć błędą, jest w tym coś honorowego, wiesz, o czym mówię?

Thorne wiedział. Widywał ludzi, których zżerało to, co zrobili ich najbliżsi, a mimo to nie chcieli się od nich odwrócić. Trwali jako jedyni u boku tych, których opuścili wszyscy inni.

- Ale wszystko ma swoje granice, prawda?

- Masz na myśli dzieci?

- Tak. Kiedy w grę wchodzi twoje dzieci, wszystko się zmienia. Niezależnie jak bardzo kochasz swojego brata, ojca czy męża, dzieci są dla ciebie najważniejsze.

- Może ona naprawdę uważa, że on jest niewinny - rzekł Thome.

Porter nie była przekonana.

- Myślę, że Freestone dość dobrze zdaje sobie sprawę, co zrobił. Jakie są jego preferencje. Mówimy tu o jego siostrzeńcach, dzieciach, których zaufanie pozyskał, na miłość boską.

- Wiem...

- A jeśli były jakieś inne dzieci - powiedziała to tak, jakby niewiedza była niewybaczalna. - Nie wiemy, co robił przez ostatnie pięć lat.

- Podejrzewam, że starał się nie wychylać, czyli trzymał głowę nisko.

- Nie o jego głowę się martwię.

Przerwała przed zadaniem pytania, jakby odpowiedź Thorne a była dla niej bardzo ważna:

- Czy uważasz, że ludzie tacy jak Freestone mogą się zmienić?

- Niech to szlag - mruknął Thome. - Czy naprawdę musimy drażnić ten temat?

- Tak tylko rozmawiamy.

- Jak powiedziałas, to preferencje, i niezależnie, jakie one są, przeważnie się nie zmieniają. - Zawahał się, bo poczuł się niezręcznie, próbując ubrać swoją myśl w słowa. -

Przypuszczam... nie sędzę, abyś zdołała skłonić mnie do zmiany orientacji i namówić, żebym zaczął gustować w facetach, bez względu na to, jakiej terapii byś mnie poddała.

- Jasne. I muszę przyznać, że zgadzam się z tą teorią, zgodnie z którą molestujący sami byli kiedyś molestowani. Tyle tylko że...

- Wiem...

- Próbowałam postawić się w jej położeniu, to znaczy Jane, ale nie potrafiłam. To czysto hipotetyczne, ale sędzę, że ja zrobiłabym wszystko, żeby się od niego odciąć. Ja i dzieciaki. Chodzi mi o to, że jeżeli masz własne dzieci, wiesz, co musieli przechodzić rodzice tych, które on skrzywdził, rozumiesz? I z tym też musisz żyć.

- Chyba tak - przyznał Thome.

Pokręciła głową. Zdegustowana, nieprzejednana.

- Nie chciałabym, żeby kiedykolwiek wyszedł z więzienia.

Siedzieli w jednym z dużych biur Wydziału Kryminalnego na trzecim piętrze. Jako że nie mieli do dyspozycji sali odpraw w Becke House, to było jedyne miejsce, gdzie mogli pomówić na osobności, przedyskutować postępy w śledztwie albo ich brak. Odsapnąć kilka minut.

Ale wciąż im przeszkadzano. Funkcjonariusze z różnych wydziałów regularnie wchodzili i wychodzili z pokoju, a rozmowa była całkiem miłą. To niezwykle, gdyż pomiędzy tymi, którzy pracowali w Colindale na stałe, i tymi, którzy, jak Porter i Thome korzystali tu jedynie z tymczasowej gościny, trudno było zazwyczaj choćby o cień obopólnej sympatii. W grę wchodziły małostkowe przyczyny - terytorializm: to nasz pokój przesłuchań, nasz areszt, nasza herbata, nasze biszkopty. Ale jak dotąd spotykali się jedynie ze szczerym zainteresowaniem i zarówno Thome owi, jak i Porter życzone wielokrotnie powodzenia.

Kiedy na tapecie była grubsza sprawa, wieści rozchodziły się po posterunku lotem błyskawicy. To zmieniało panujące tu nastroje.

Z licznych komentarzy, tych wypowiedzianych otwarcie, jak i szeptem po kątach, wynikało, że przeszłość Granta Freestone a - przestępstwa, za które został skazany w połowie lat dziewięćdziesiątych - skłaniała do wysuwania opinii, zapadała w ludzkie umysły, tak jak w wypadku Louise Porter. To z całą pewnością wyjaśniało, dlaczego tyle osób życzyło im powodzenia...

Thome dopił herbatę i patrzył, jak Porter sączy dietetyczną colę z puszki, pojadając drugą paczkę czipsów.

Na przeciwległej ścianie biała tablica pokryta była nazwiskami, zdjęciami i ponumerowanymi tabelkami.

Liczne strzałki prowadziły we wszystkie strony, łącząc czyjaś twarz z zamachem, którego miejsce oznakowano na mapie, numer rejestracyjny auta zaś z fotografią kobiety, która została ciężko pobita. Porter spojrzała na znajomą mapę śledztwa; krew i bijące serce sprawy, o której nic nie wiedzieli. Thome zdawał sobie jednak sprawę, że miała teraz w głowie istną gonitwę myśli, przepelniały ją wątpliwości i pytania dotyczące ich sprawy. Słyszał jej trzepoczący, nieregularny rytm serca.

- Czy jesteśmy pewni, że postępujemy właściwie? - spytała Porter. - Mogliśmy przecież zatańczyć, jak nam zagrał, i spełnić jego żądanie. Czy sprowadzenie Mullenena to coś złego? Tak byłoby bezpieczniej.

- Nie chodzi o to, czy byłoby bezpieczniej. Chodzi o to, że nie możemy dać się sterować podejrzanemu, dopóki nie upewnimy się, że nie mamy innego wyjścia.

- Wobec tego chodzi o to, kto wszystkim steruje, tak?

- Nie chcę tu ściągać Mullenena.

- Myślę o Luke'u.

- Ja też.

Thome usiłował sprawiać wrażenie zamyślonego, a nie przygnębionego, ale nie był pewien, czy to mu się udało.

- Czy zatem możemy pozwolić sobie na to, by nie zrobić tego, o co prosi Freestone? - drążyła.

- Czego żąda.

- Czy to ważne?

- Próbuje nami kierować.

- Cóż, miejmy nadzieję, że wkrótce się dowiemy.

- Dlaczego tak się upiera, żeby rozmawiać z Mullenem na osobności? Po co ta cała tajemnicza otoczka?

- Cóż, nie ufam mu bardziej niż ty, ale...

- Ja nie ufam im obu - uciął Thome.

Porter przewróciła oczami, ale najwyraźniej przynajmniej w pewnym stopniu zgadzała się z nim.

Thome patrzył, jak uniosła paczkę chipsów, odchyliła głowę do tyłu i wysypała sobie do ust ostatnie okruchy. Wciąż żując, pokiwała głową w stronę drzwi, a Thome odwrócił się, by ujrzeć stojących tam Brigstocke'a i Hignetta; wyglądali jak przedsiębiorcy pogrzebowi, którzy przyszli po zwłoki.

- Możemy mieć to już za sobą? - zapytał Brigstocke.

Cała czwórka zeszła schodami na parter, Porter i Hignett wyprzedzali o kilka kroków dwóch mężczyzn z Wydziału Zabójstw. Thome uważał, że Brigstocke wygląda na zmęczonego, i podejrzewał, iż nadinspektor sypiał jeszcze mniej niż on.

Gdy znaleźli się na niewielkim podeście, a druga para była już ocalałą kondygnacją niżej, Brigstocke zwrócił się do Thornea:

- Jak zamierzacie to rozegrać, ty i Porter?

- Myśleliśmy, żeby improwizować - rzekł Thome.

Kilka kroków poniżej Brigstocke pokręcił głową i wymamrotał:

- Boże, dopomóż...

W drodze do aresztu napotkali idącą w przeciwnym kierunku Yvonne Kitson; Thome został nieco w tyle.

- Ale tu dziś tłoczno - powiedział. - Słyszałem, że ściągnęłaś tu swojego uczniaka.

Kitson się uśmiechnęła.

- Wygląda na to, że i tobie idzie całkiem nieźle.

- Kiedy oboje będziemy mieć pięć minut wolnego, powinniśmy za coś wypić.

- Za to, żeby wszystko dobrze poszło.

- Pogawędziłaś już z Farrellem?

- Właśnie się tam wybieram - odrzekła. - Czeka w pokoju przesłuchań.

Przez chwilę kartkowała plik papierów i podała Thome owi, by rzucił na nie okiem. Przejrzał dokumenty, które miały trafić do rąk adwokata podejrzanego, wszystko naraz albo, jeżeli to było konieczne, strategicznie, kawałek po kawałku.

Zgodnie z prawem dokumenty musiały zawierać wszystko, od nakazu aresztowania, poprzez dokumentację zatrzymania, po kopie „pierwszego opisu”, w tym wypadku zeznania złożone przez Nabeela Khana na miejscu zabójstwa i spisane przez funkcjonariusza policji słowo w słowo. Thome przejrzał obciążające kopie portretu pamięciowego i zapis z przebiegu aresztowania, po czym wskazał na kartki zawierające wyniki okazania.

- To powinno w zupełności wystarczyć - powiedział.

- To nie było łatwe dla świadka. - Kitson zamrugała, przypominając coś sobie, ale zaraz znów się uśmiechnęła. - Ale powinno utrzyć nosa papudze.

- To jeden z nich, tak?

- Znasz ten typ: Bufon, Dęciak i Cwaniaczek.

- Znam aż za dobrze...

Śmiejąc się, ruszyli w stronę pokoi przesłuchań, przeszli przez drzwi oddzielające resztę więzienia od apartamentu zatrzymań. „Apartament” to rzecz jasna przesadzone

określenie, sugerujące, że pomieszczenie było znacznie wygodniejsze i lepiej wyposażone niż w rzeczywistości. A faktycznie szara przemysłowa wykładzina ustępowała w nim miejsca betonowym posadzkom, ściany były pokryte brudnymi lamperiami, atmosfera zaś zdawała się wręcz ociekać agresją.

To właśnie tu posterunek policji stawał się więzieniem. Dwóch funkcjonariuszy w randze sierżanta, „oddziałowych”, siedziało na podwyższonej platformie pośrodku, rejestrując zatrzymanych, pracując przy komputerach i monitorując obraz kamer przemysłowych w celach i na korytarzach. „Klatka” znajdowała się nieco z boku. To przez nią wprowadzani byli więźniowie i tam też przechodzili przez bramkę, by światło ultrafioletowe mogło pokazać, czy mieli przy sobie jakieś specjalnie oznakowane, niepożądane przedmioty. Korytarze biegnące w obu kierunkach wiodły do dwudziestu siedmiu cel okalających apartament. Każda była wykafelkowana od podłogi po wysokie sklepienie, po jednej stronie znajdowała się metalowa toaleta, a pod przeciwległą ścianą leżał niebieski plastikowy materac. Podwójne drzwi prowadziły na plac ćwiczeń, gdzie więźniowie byli wyprowadzani, jeżeli chcieli odetchnąć świeżym powietrzem lub, co bardziej prawdopodobne, zapalić papierosa.

Kitson zwołniała przed niewielką kuchnią, gdzie dyżurny strażnik mógł zaparzyć herbatę, kawę lub odgrzać w mikrofalówce jeden z pięciu gotowych posiłków dla więźniów. Zniżyła głos:

- Mam również DNA, Tom.

Thome potrzebował paru chwil, by to sobie uzmysłowić.

- Kiedy go aresztowałaś?

- Próbkę zdobyłam już wcześniej, trafiła do laboratorium wczoraj po południu.

- Jasne... - Nie dokończył. Wciąż myślał.

- Oczywiście to dopiero wstępne wyniki. Ale jak dotąd dziewięćdziesiąt parę procent zgodności. To go nie eliminuje i to jest najważniejsze.

- Dwadzieścia cztery godziny to mimo wszystko coś.

Kitson poczerwieniała.

- Ktoś z Instytutu Badań Sądowych mnie lubi.

- Flirtowałaś z nim. Jestem wstrząśnięty.

- Z nią...

- Jesteś bezwstydną - mruknął Thorne i raz jeszcze przejrzał dokumenty. - Jakoś nie widzę raportu z wynikami badań DNA.

- Jak już wspomniałam, to dopiero wstępny raport. Musimy przeprowadzić jeszcze dwa testy, zanim uzyskamy ostateczne wyniki.

- Mimo to mogłaś go umieścić. Wtedy Farrell naprawdę miałby pełnie gacie.

Thome uniósł wzrok i zobaczył, że rumieńce na twarzy Kitson powiększyły się, bynajmniej nie wskutek zawstydzenia.

- Powiedziałaś, że kiedy zdobyłaś próbkę?

Kitson opowiedziała mu o wczorajszym popołudniu. Opisała spotkanie z Adrianem Farrellem na przystanku autobusowym, reakcję chłopaka na jej pytania i to, jak zebrała jego plwocinę z chodnika. Thome patrzył z podziwem i zdumieniem. Po czym, choć uczynił to z niechęcią, stwierdził, że żaden z jej materiałów dowodowych nie miał szans zostać dopuszczony w sądzie.

- Mam świadka - rzekła Kitson i opowiedziała Thome owi o kobiecie w dresie, która widziała, jak Farrell splunął na chodnik. O kobiecie, która była tak uprzejma, że przyniosła Kitson wacik kosmetyczny i plastikową torebkę do robienia lodu.

- Mimo to...

- No dobra, może te dowody zostaną podważone i pobiorą próbkę zgodnie z prawem, kiedy go zapuszczujemy, ale chciałam mieć pewność, rozumiesz?

Thome oddał jej dokumenty.

- Może to i lepiej, że nie dołączyłaś informacji o tej próbce DNA

- powiedział. - Przynajmniej na razie.

- Tak. - Postukała się palcem w skroń i uśmiechnęła do niego. - Ale miło jest wiedzieć, prawda?

- Jeszcze jak - odparł Thome. - Zawsze.

Pokonali załom korytarza i dotarli do pokoju przesłuchań, gdzie czekał Farrell. Thome zerknął pospiesznie przez maleńkie okno. Kitson skinęła głową w stronę sąsiedniego pokoju po drugiej stronie.

- Myślisz, że facet, którego macie, to właśnie ten? Ze on odpowiada za to porwanie?

Thome zamyślił się nad tym pytaniem.

- Szczerze mówiąc, niczego już nie jestem pewien - odparł. - Gdybyś teraz zapytała mnie, jak się nazywam, mógłbym co najwyżej podać ci wstępną wersję.

16

- Ten pokój jest inny - rzekł Freestone.

Thome pokiwał głową, jakby był pod wrażeniem.

- Nie sposób cię oszukać ani przez chwilę, prawda, Grant?

Wskazał na czerwone światelko na przeciwległej ścianie, informując Freestone a, że

kiedy lampka się zapali, rozmowa zacznie być oglądana na monitorach przez innych funkcjonariuszy.

- Jesteś bardzo popularny - powiedział. - Wielu chciałoby się z tobą przywitać, ale nie chcemy, żeby w tak małym pokoju nagle zrobiło się tłoczno.

Donovan najwyraźniej chciał od razu zmanifestować swoją obecność. Nachylił się do swojego klienta.

- I nie chcę, żebym oznajmił, że próbowała cię zastraszyć banda wielkich, złych gliniarzy.

- Ciebie też nie sposób oszukać - Thome zwrócił się do Donovana, po czym popatrzył przez sekundę, dwie na Freestone a i dodał: - Choć nie wydaje mi się, że łatwo cię zastraszyć.

- Nie mogę do tego dopuścić, prawda? - rzucił Freestone.

Thome rozumiał go doskonale. Wiedział, że Freestone był długo zastraszany o wiele brutalniej, niż on mógłby go potraktować.

- Oczywiście - przyznał.

Porter patrzyła surowo na Freestone a zza stołu.

- Nie wyglądasz za dobrze - powiedziała i zwróciła się do Donovana: - Czy pański klient na pewno dobrze się czuje?

Thome spojrzał na kamerę, z której zapis, jak wiedział, oglądali Hignett i Brigstocke. Domyślał się, że zaaprobowaliby to pytanie. Na tym etapie Porter miała prawo brać pod uwagę wszelkie ewentualności.

- Nie, wcale nie czuje się dobrze - odrzekł Donovan.

Freestone zaczął szybko kiwać głową.

- Potrzeba mi czegoś, to wszystko. Ale nic mi nie jest.

Nikt nie mógł mieć wątpliwości, czego potrzebował Freestone. Thome nie wiedział, jak silny był jego nałóg, czy brał kokainę, heroinę, czy może jedno i drugie, ale tak czy owak minęło co najmniej siedem, osiem godzin, odkąd strzelił sobie ostatnią dawkę. Jeżeli jeszcze nie czuł głodu, to wkrótce zacznie.

- Postaramy się zakończyć to możliwie jak najszybciej, a potem wezwiemy lekarza, który ci pomoże. To od ciebie zależy, kiedy to nastąpi.

- To już czwarte przesłuchanie mojego klienta w ciągu czterech godzin - zauważył Donovan. - A ja wciąż nie widziałem niczego, co usprawiedliwiłoby choć jedno z nich.

- Zapewne przysnął pan, kiedy on groził życiu dziecka.

- Nikomu ani niczemu nie groził...

- Wobec tego kiedy przyznał się, że przetrzymuje dziecko wbrew jego woli. Teraz

lepiej?

Freestone, który najwyraźniej nie słuchał, wskazał na palącą się czerwoną lampkę.

- Ludzie to obserwują, tak?

- Owszem, tak - przyznał Thome.

- Wobec tego nie możemy przeprowadzić tego spotkania tutaj, kiedy zjawi się Mullen.

- Myślę, że nie powinniśmy wybiegać tak daleko w przyszłość.

- Kiedy on przyjdzie? Czy jest już w drodze?

- Musisz najpierw porozmawiać z nami - rzekła Porter.

Thome pokręcił głową.

- Niczego nie możemy zagwarantować - zwrócił się do Porter. - Niczego nie obiecujemy. Musimy być co do tego zgodni. Tak?

Wyraz twarzy Porter nie pozostawiał wątpliwości, że zrozumiała. Odwróciła się wolno do Freestone a.

- Potrzebujemy wciąż czegoś konkretnego - powiedziała.

Freestone znów pokiwał głową, jakby to było rozsądne żądanie. Takie, które mógł z radością spełnić.

- Musimy wiedzieć o Luke u.

- Co z nim?

- Chryste! - rzucił Thorne. - Domyśl się.

Uniósł dłonie w przeproszającym geście, gdy Porter spiorunowała go wzrokiem.

- Nic mu nie jest - powiedział Freestone.

- A co z tym, o czym mówiłeś wcześniej? - Głos Porter brzmiał niemal jak szept. -

Powiedziałeś jasno, że jeśli go szybko nie znajdziemy...

- Mówiłem o długim okresie, miesiącach...

- Czy tam, gdzie jest, ma dość powietrza?

- Co? Ja nie...

- Czy ma co jeść? Jest związany?

- Ma jedzenie. Zostawiłem mu dość jedzenia.

- Jakiego?

- Hamburgerów, takich rzeczy. No wiecie, tego, co lubią dzieciaki.

- Wiesz o dzieciach wszystko. - Thome nachylił się do przodu. - Prawda, Grant?

Freestone otworzył usta, ale zaraz znów je zamknął.

- Chwileczkę - wtrącił Donovan. - Nikt nie sugerował, że...

Thome wymierzył w niego palec.

- Związał dwoje dzieci w garażu. To nie jest sugestia. Skąd mamy wiedzieć, że nie wrzucił Lukea Mullena do jakiejś szafy, skrępowanego, ze sznurem zadzierzgniętym wokół szyi?

- Nic mu nie jest, przysięgam.

Freestone zamknął oczy i przetarł czoło wierzchem dłoni.

- Kiedy dotrze tu Tony Mullen? Muszę się z nim widzieć.

- Dlaczego go porwał, Grant?

Thome zaczął, aż było jasne, że tamten nie odpowie.

- Dlaczego nie zażądałeś okupu? Nie potrzebujesz pieniędzy? A może przegapiłeś ten szczegół na kursie korespondencyjnym dla kidnaperów?

Freestone syknął przez zęby i zamyślił się.

- Chcę rozmawiać z Mullenem - powiedział.

Przez kilka chwil wszyscy milczeli, a gdy Porter wreszcie próbowała się odezwać, Thorne przerwał jej, unosząc dłoń.

- Ile lat ma Luke Mullen? - zapytał.

- Nie wiem dokładnie. - Freestone zamrugął. - Piętnaście? Szesnaście?

- Włosy ciemne? Jasne?

- Ee... ciemne.

- Co miał na sobie, kiedy go porwał?

Freestone wyglądał na coraz bardziej zbitego z tropu każdym kolejnym pytaniem skierowanym do niego przez Thorne'a. Raz po raz zerkał na Donovana i łypał oskarżycielsko na Porter.

- Szkolny mundurek...

- Czy możemy skończyć ten quiz? - ucięła Porter. - Musimy pchnąć tę sprawę naprzód.

Thome uśmiechnął się zjadliwie.

- Właściwie tych wszystkich rzeczy mógł się dowiedzieć z lektury gazet. A w parku miał ze sobą gazetę.

- Musimy mieć pewność, że Luke jest cały i zdrowy - rzekła Porter. - To teraz najważniejsze.

Spojrzała na Freestone'a, upewniając się, że on też zrozumiał, jakie to ważne.

- Nic mu nie jest. Nawet go palcem nie tknąłem.

- Luke nie jest zbyt silny fizycznie - ciągnęła Porter. - Musimy to sprawdzić.

- Dobrze się nim opiekowałem.

- To świetnie. Zostanie ci to policzone.

- Naprawdę chciałbym, żebyście już ściągnęli tu Mullena.

- A co z astmą? - spytała. - Miał może atak?

Freestone pokręcił głową zdecydowanie.

- Kłopoty z oddychaniem? To dlatego pytałam o to, czy ma dość powietrza.

- Nie. Nic mu nie jest.

- Rodzina się martwi, bo nie jest pewna, czy Luke miał przy sobie inhalator, ale wygląda na to, że go nie potrzebował, zgadza się?

- Tak.

- Wiesz, czy ma go przy sobie? Żebym mogła powiedzieć jego rodzicom.

Freestone znów zamknął oczy. Pozwolił, by odpowiedź sama do niego przyszła.

- Myślę, że coś o tym wspominał.

- Wiesz, jak wygląda inhalator?

Porter zaczęła naśladować, jakby naciskała kciukiem niewidzialny tłoczek.

- Oczywiście, że wiem. Jezu...

- To ważne, Grant. Musimy wiedzieć, czy ma go przy sobie.

Kiwnięcie głową, szybkie, krótkie, urwane w chwili gdy Thome zaczął krzyczeć:

- Czy widziałeś inhalator Luke a Mullena?

- Tak, powiedziałem, że tak! Widziałem to cholerstwo!

Wyraz wzburzenia na twarzy Freestone a ustąpił zaniepokojeniu, kiedy mężczyzna zauważył, że Porter i Thome się rozluźniają. Kiedy przestali go zasypywać pytaniami, odwrócił się do Donovana.

- Co się dzieje?

Wcześniejsza kariera Donovana wyrobiła w nim intuicję, jakiej komuś innemu na jego miejscu mogłoby zabraknąć.

- Chyba właśnie udzieliłeś błędnej odpowiedzi. Albo raczej podałeś właściwą.

Thorne spojrział na Porter, a potem w kamerę, by podzielić się z dwoma obserwującymi ich nadinspektorami chwilą małego sukcesu.

A potem rozsiadł się wygodnie na krześle. Robota wykonana.

Kiedy Freestone został odprowadzony do celi, usiedli na kilka chwil, by nacieszyć się tą nowo nabytą pewnością. Każde z nich wiedziało jednak, że zadowolenie z dobrze wykonanego zadania zostanie wkrótce zastąpione bardziej znajomym uczuciem. Świadomością, że nie mieli żadnego tropu.

To Thome przerwał ciszę:

- Astma? To było, kurwa, genialne.

- Oboje świetnie się spisaliśmy - rzekła Porter.

Pogratulowali sobie raz jeszcze znakomicie odegranych ról dobrego i złego gliniarza. Tego, jak nabrali Freestone a, pozwalając, by uwierzył, że są między nimi tarcia, że wołał odpowiadać raczej na pytania Porter niż Thorne a. Sprawiając, że uznał, iż bardziej niż na dowodach, zależało im na zwykłym potwierdzeniu.

- Wcisnął nam kit - rzekł Thome. - Wszystko po to, by zyskać przewagę. Żebyśmy zgodzili się na przyjazd Mullena.

Porter uniosła brwi.

- I to jest właśnie najistotniejsze pytanie samo w sobie.

- Jakbyśmy nie mieli ich już w nadmiarze.

- Numer jeden na liście przebojów: skoro to nie Freestone ma Luke'a Mullena...?

I właśnie się pojawiło. To znajome uczucie.

Brigstocke pofatygował się na dół, by poklepać ich po plecach, ale wyraz jego twarzy zwiastował coś innego. Podobnie jak twarz mężczyzny, który pojawił się obok niego w drzwiach, a zaraz potem wparował do pokoju przesłuchań i zdawało się, że tylko sekundy dzieliły go od roztrzaskania głów im obojgu.

- Dlaczego nie powiadomiono mnie o ujęciu Granta Freestone a? - spytał Mullen.

Jego pytanie było absurdalne, bądź co bądź był tu, a więc musiał się dowiedzieć. Po milczącej reakcji ze strony obecnych w pokoju poprawił swoją wypowiedź:

- Dlaczego nie zostałem poinformowany oficjalnie?

Thome podniósł się z miejsca i wymienił spojrzenia z Brigstockiem. Chętnie upora się z tą sytuacją, choć, kiedy otworzył usta, nie wiedział jeszcze, co powie.

- Pański status jako ojca Luke a i byłego oficera policji sprawiają, że pańska rola w tej sprawie jest dość delikatna, mówiąc najogólniej...

- Nie wciskaj mi tu kitu. Gdzie Freestone?

- Przypuszczalnie z lekarzem policyjnym, który właśnie aplikuje mu metadon.

- Chcę go zobaczyć.

- To, czego pan chce, to jedno - powiedział Thome - i rozumiem, że pan i nadkomisarz Jesmond jesteście... bliskimi przyjaciółmi. Nie sądzę jednak, aby nam pan szczególnie pomagał, wpadając tutaj i próbując wszystkim rozkazywać.

Wychwycił spojrzenie Brigstocke a ostrzegającego, aby nieco spuścił z tonu, ale kiedy powrócił wzrokiem do Mullena, stwierdził, że tamten zaczął się uspokajać.

- Jakkolwiek miałbym się wyrazić, chciałbym się z nim widzieć. On też chciał

zobaczyć się ze mną, więc chyba mam do tego prawo.

- On nie ma Luke a - rzekł Thome. - Twierdził, że ma, ale jesteśmy prawie pewni, że po prostu mówił to, co chcieliśmy usłyszeć.

- Prawie pewni?

- Na miłość boską, zmusiliśmy go, aby przyznał, że Lukę jest astmatykiem.

Przez oblicze Mullena przepełnęła fala dezorientacji.

Porter włączyła się do rozmowy:

- Wcześniej zapytaliśmy go o Allena i Tickell i zbył nas. Później mówił nam tylko to, czego dowiedział się z gazet. Dlatego musieliśmy podsunąć mu jakiś konkretny, rzecz jasna zmyślony, aby przyłapać go na kłamstwie.

- To nie jest nasz porywacz - rzekł Thorne.

Brigstocke podszedł do Mullena.

- Zapewne nie wiesz, czy to powód, by odetchnąć z ulgą, czy raczej nie. Wiem, że to trudne.

Wyciągnął rękę, jakby chciał wyprowadzić go z pokoju. Mullen jednak nigdzie się nie wybierał.

- Mimo to chcę się z nim zobaczyć - powiedział.

Brigstocke opuścił rękę, którą tamten tak ostentacyjnie zignorował.

- Obawiam się, że nie ma po temu podstaw.

- A co z jego związkami z tą martwą dziewczyną?

Jesmond najwyraźniej informował przyjaciela o wszystkim na bieżąco. Thome spojrzał na Porter. Nic nie wiedzieli o Freestonie i Amandzie Tickell. O tym, że oboje mogli być pacjentami Neila Warrena.

- To na razie tylko teoria - rzekł Brigstocke. - A wspólnota uzależnionych i doradców prawnych na szczęście nie jest tak duża, jak mógłby sobie tego życzyć „Daily Mail”. Jeżeli się znali, może był to zwykły zbieg okoliczności.

Brigstocke powiedział to z przekonaniem, ale najwyraźniej Mullena nie przekonał. Thornea też nie. Zbieg okoliczności odgrywał istotną rolę w wielu dochodzeniach, które opisywali scenarzyści seriali filmowych czy autorzy kryminałów, ale on wiedział, że w grę wchodziło coś więcej niż przypadkowa zbieżność nazwisk i dat. Wiedział, że związek Freestone a z porwaniem był ważny. Ale ta wiedza ani trochę się nie liczyła. Nie sprawi, że Luke Mullen wróci nagle w ramiona matki. Podczas gdy uprowadzenie chłopaka pozostawało tajemnicą, tak jak przed aresztowaniem Granta Freestone a, zwykły zbieg okoliczności stanowił znacznie mniej frustrujące wytłumaczenie.

Mullen podszedł do krzesła, położył dłonie na oparciu i czekał.

- Tu się z nim spotkam - oznajmił. - Kiedy tylko doktor z nim skończy.

Thome starał się nie zapomnieć, że stojącemu przed nim mężczyźnie uprowadzono syna. Pomyślał, że najprawdopodobniej to, co czyniło kiedyś z Mullena wyjątkowo dobrego glinę, teraz zmieniało go w wyjątkowo upierdliwego cywila.

- To naprawdę niemożliwe - powiedział. - Teraz, kiedy wyeliminowaliśmy Freestone a jako czynnego uczestnika porwania pańskiego syna, są inni, którzy chcą wziąć go w obroty. Wciąż jest oskarżony o morderstwo i niektórzy uważają, że przetrzymujemy go zbyt długo. - Przerwał. - Morderstwo Sarah Hanley.

Thome nie doczekał się żadnej reakcji.

- Ten pokój i tak nie wchodziłby w grę - wtrąciła Porter. - Freestone upierał się, by to spotkanie odbyło się tylko w cztery oczy. Bez kamer i magnetofonów.

- Naprawdę?

- Jak pan sądzi dlaczego?

- Bóg raczy wiedzieć. - Mullen zgrzytnął zębami. - Pewnie, żeby mógł znowu mi grozić, ale tak, by nie zostało to w żaden sposób zarejestrowane. Od kiedy tacy jak on potrzebują dobrego powodu, aby zrobić cokolwiek?

- Czy naprawdę sądzi pan, że tylko po to chciał się z panem widzieć? - spytał Thorne. - Żeby znów rzucić pod pana adresem kilka gróźb?

- Sądziłem, że chodziło o Luke a. Myślałem, że jeśli Freestone go ma, powie mi, dlaczego go porwał. I czego chce.

- Jasne.

Thorne pokiwał głową, ale jego wyraz twarzy zdradzał, że było to tylko jedno wyjaśnienie.

- A o co jeszcze mogłoby mu chodzić? Jak sam pan powiedział, raczej nie chciał się poskarżyć, że nie wysłał mu kartki z życzeniami świątecznymi.

Thome milczał przez kilka sekund. Patrzył, jak kłykcie Mullena zaciśnięte na oparciu krzesła stają się coraz bielsze. W końcu powiedział:

- Nigdy się nie dowiemy, prawda?

W pierwszej chwili Thome pomyślał, że ten dźwięk dobieł się z gardła Mullena. Zaraz jednak uświadomił sobie, że było to szurnięcie nóg krzesła o podłogę. Patrzył, jak Mullen zamknął oczy, uniósł krzesło na kilkanaście centymetrów nad ziemię, przytrzymał i opuścił z impetem, wykrzykując w chwili uderzenia, „kurwa”, „nie” albo coś w tym rodzaju. Mullen potrzebował chwili, aby się opanować, zanim odwrócił się do oficera policji, szukając u niego

potwierdzenia, że nie ma co liczyć na dalszą wymianę zdań.

- Myślę, że powinieneś już wrócić do domu - rzekł Brigstocke.

Mullen spiorunował Porter i Thorne a wzrokiem, po czym pomaszerował w stronę drzwi. Zatrzymał się na moment, zrównawszy się z Brigstockiem. Wypiął pierś.

- Wiesz, że pójdę z tym wyżej, prawda?

- Masz do tego prawo - odparł tamten.

Mullen postąpił krok w jego stronę.

- Ile masz dzieci?

- Troje.

Mullen pstryknął palcami.

- Powiedzmy, że dwoje.

Znów pstryknął palcami.

- Tak po prostu budzisz się któregoś dnia i jednego nie ma. Wyobraź sobie, jak by to było. Dobrze się postaraj. A potem postaraj się skończyć z tym pieprzonym świętoszkowatym tonem.

Thome nie zamierzał śledzić Mullen. Nie zamierzał wyprowadzać go z budynku, ale było jasne, że inni nie postrzegali tego w ten sposób. Thome stał w holu, patrząc przez przeszkłone drzwi, jak Mullen przechodzi przez ulicę i zbliża się do BMW nieco nowszego niż jego własne.

Mullen otworzył drzwiczki i raz jeszcze spojrzął w stronę posterunku. Pomarańczowy blask latami i bledsza poświata z lampki oświetlającej wnętrze auta wystarczyły, by można było po wyrazie twarzy zorientować się, o czym obecnie myślał.

Thome nie odwrócił wzroku, ale zastanawiał się, czy jego myśli były równie czytelne.

Kurwa. Skurwiel, niech to szlag, cholera...

Później trudno było określić, czy głos pod jego czaszką był jego własnym, czy raczej jego ojca.

Kiedy BMW odjechało i Thome odwrócił się, zobaczył schodzącą do holu Kitson. Sprawdziała, jaka pogoda. Wyglądało na to, że tego wieczoru nie będzie padać, ale mimo to włożyła płaszcz.

- Lepsze dni? - spytała.

Oczywiście jak zawsze wszystko było po nim widać...

- Cóż, sprawienie, że ojciec uprowadzonej ofiary miał ochotę urwać mi głowę, to nie najrozsądniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłem.

Zauważył jej reakcję.

- Opowiem później. A jak sytuacja z faszystą o twarzy dziecka?

- Papuga świetnie się spisał - rzekła Kitson. - Poza krzywym uśmiechem nic z niego nie wycisnęłam, więc wątpię, żeby podał mi te nazwiska w najbliższym terminie.

- Masz już dość jak na dzisiaj?

- Ktoś inny próbuje go złamać, więc wybieram się, by pobuszować trochę w Farrell Towers. Zabraliśmy stamtąd masę rzeczy i wciąż czekam na bilingi telefoniczne, ale może coś przeoczyliśmy. Poza tym to wyśmienita okazja, by odbyć kolejną, jakże miłą pogawędkę z jego cudownymi rodzicami.

Nastolatek wstał z ławki w niewielkiej poczekalni i podszedł do nich. Był mniej więcej w wieku Adriana Farrella, ale Jego skóra, zęby i wodniste oczy mogły należeć do kogoś o piętnaście lat starszego. Cuchnął piwem i dymem i nachylając się w stronę Thorne a i Kitson, poprosił o papierosa. Oboje pokręcili głowami przecząco. Oficer dyżurny za bramką stanowczo kazał chłopakowi wrócić na miejsce i zapewnił, że ktoś przyjdzie po niego za kilka minut.

Thorne w skrócie streścił Kitson niedawne przesłuchanie. Powiedział, że wbrew wszystkiemu nadal wierzy, iż osoba Freestone a albo zabójstwo Sarah Hanley, a może jedno i drugie, było w jakiś sposób związane z uprowadzeniem Luke a Mullena oraz zamordowaniem Amandy Tickell i Conrada Allena. Gadali przez kilka minut. Kitson poskarżyła się, że często trudno im się zorientować, dokąd zmierzają, gdy nazbierają więcej informacji i staną się one szczegółowe.

- No wiesz, aż za bardzo drobiazgowo - uściśliła.

- Nieważne - uciał Thome. - Zawsze możesz liczyć na łut szczęścia... Może w domu Farrella znajdziesz książkę adresową z działem „Inni zamieszani w zabójstwo”. Albo plik ulotek ultrapravicowej grupy narodowców pod jego łóżkiem. A wtedy będziesz mogła wrócić do domu i wcześniej położyć się spać.

Kitson uśmiechnęła się i pokręciła głową.

- Fakt, że Latif i Khan byli Azjatami, ma kluczowe znaczenie, wiem o tym i choć nie twierdę, że to nie była także zbrodnia opodłożu rasistowskim, zawsze uważałam, że istotniejszy był seksualny element napaści. To nadaje tej sprawie inny ton.

- To tylko wskazuje, że Adrian Farrell jest zdrowo popieprzony - skomentował Thome.

Kitson uśmiechnęła się, jakby stała przy łóżku ciężko chorego pacjenta.

- Lepiej już pójdę. Sprawdź, skąd się to u niego wzięło.

Thomeowi nagle coś wpadło do głowy i zatrzymał ją.

- Wiem, że już o tym rozmawialiśmy, ale mimo to warto byłoby sprawdzić, czy nie łączy Farrella z Lukiem Mullenem. Poza tym, że grywali czasami w piłkę na boisku.

- Zamierzam to zrobić.

- Wiem, że to trochę jak chwywanie się brzytwy, ale nigdy nic nie wiadomo...

Kiedy Kitson się oddaliła, Thome wyjął swoją legitymację, by przeciągnąć ją przez czytnik na drzwiach z zamkiem elektronicznym, ale zamiast tego podszedł najpierw do kontuaru. Wiedział, że oficer dyżurny przysłuchiwał się jego rozmowie z Kitson. Wyobrażał sobie, że młody konstabl marzy o karierze detektywa w Wydziale Zabójstw, ale praca po cywilnemu była o niebo lepsza niż przekazywanie wiadomości i wysłuchiwanie połajanek. Styka się z ludźmi, o których dobrze się wie, że są szumowinami czy śmieciami, i można wykrzyknąć się samemu, kiedy ma się już wszystkiego dość.

Thome spojrział na nastolatka, który wciąż siedział na ławce, wyraźnie wkurzony, a następnie na mundurowego oficera dyżurnego, z którym rozmawiał kilka razy i wiedział, że jest niezbyt rozgarnięty.

- Lepiej zostań tam, gdzie jesteś, stary.

Funkcjonariusz się wyprężył.

- Słucham?

Thome postukał palcem w przegrodę.

- Mówię o tym. Od reszty świata oddziela cię solidna płyta wzmocnionego plastiku. Ale gdyby ci to zabrać, miałbyś spore kłopoty, bo nagle uświadomiłbyś sobie, że to nie o plucie czy pięści powinieneś się martwić.

Odwrócił się i ruszył w stronę drzwi.

- Jeżeli zabiorą ci tę płytę, będziesz miał przesrane, stary.

Przed północą większość funkcjonariuszy i policyjnego personelu, który pracował na posterunku Colindale w dzień, wracała do swoich domów i wtedy hałas i ruch wokół posterunku wyraźnie się zmniejszał. Oczywiście na dyżurze byli funkcjonariusze z nocnej zmiany, ale w miarę jak gabinety i pokoje pustoszały, całe to miejsce nabierało nieco surrealistycznego wyrazu, jak to bywa z wieloma budynkami po godzinach pracy: atmosfera jakby gęstniała, a z wnętrza bielonych ścian dochodził dziwny szum.

Thome przypomniał sobie, jak jeszcze będąc w szkole, brał udział w przedstawieniu i któregoś wieczoru poszedł na próbę, zajrząwszy uprzednio do domu, by zostawić mundurek. To było tak dziwne i fantastyczne odczucie, niesamowicie energetyzujące, móc znaleźć się w budynku, kiedy nikogo tam nie było. Biegał od jednej klasy do drugiej, wpadł do sali gimnastycznej w butach i zwykłym ubraniu, a potem w ciemnych korytarzach wykrzykiwał

niecenzuralne słowa.

Po zmierzchu na posterunku policji nie było tak fajnie. To dziwne, ale w miarę jak przestrzeń wokoło pustoszała, wzmagало się uczucie klaustrofobii; wiadomo było, że na zewnątrz dokonywano akurat przestępstw, z którymi przyjdzie się zmierzyć nazajutrz. Oszustw dokonywano zwykle w dzień, podobnie jak przemytu narkotyków i większości kradzieży. Nocą natomiast rządziła przemoc i brutalność, właśnie wtedy ludzie cierpieli i umierali gwałtowną śmiercią. Nocą na posterunku nasilało się wrażenie, jakby coś się zbliżało.

Bieżące dochodzenia zostały przerwane aż do następnego ranka. Adwokat Adriana Farrella uparł się, że jego klient powinien móc wrócić do swojej celi i przespać się spokojnie osiem godzin. W ciągu godziny Donovan zażądał tego samego dla Freestone a i kiedy jedyny trop w sprawie Luke a Mullena odpłynął w objęcia Morfeusza, nie pozostało nic, czym można by się konstruktywnie zająć. Można było jedynie spisywać raporty z wydarzeń minionego dnia, pić za dużo kawy

i siedzieć beczynnie, czując, jak przygnębienie i euforia wskutek nadmiaru wypitej kawy toczą w tobie niekończący się pojedynek.

Russell Brigstocke wszedł do pokoju Wydziału Śledczego; wyglądał, jakby jeszcze jedna lub dwie filiżanki kawy nie mogły mu zaszkodzić.

- Wy dwoje możecie spadać do domu.

- Pięknie powiedziane - rzekł Thome - i nie zamierzam oponować.

Porter wstała.

- Jest pan pewien, szefie?

Ale już sięgała po torebkę.

- Za siedem godzin macie tu być z powrotem... wypoczęci. Wolałbym, żebyście nie zaglądali już do Oak na jednego. Nie chciałbym tam nikogo spotkać.

Thome włożył swoją skórzaną kurtkę.

- Nie chciałbyś tam nikogo spotkać? Wybierasz się tam później?

- Zamierzam w końcu wybrać się do domu.

Brigstocke opadł na krzesło zwolnione przez Porter.

- Choć w sumie nie wiem po co.

- Kiedy ostatni raz widział pan swoje dzieci? - spytała Porter.

Brigstocke spojrział na nią z udawanym zdziwieniem.

- To ja mam jakieś dzieci?

W holu Thome skinął na mundurowego za szybą, który głupkowato pokiwał do niego

głową i wrócił do rozwiązywania gazetowej krzyżówki.

- Jak zamierzasz wrócić do domu? - zwrócił się do Porter.

- Powinnam zdążyć na ostatni pociąg z Colindale - odparła. - Jak szczęście dopisze, dotrę za godzinę. A jak nie, złapię taksówkę.

Thome uświadomił sobie, że wciąż nie wie, gdzie mieszka Porter.

- Dokąd musisz dojechać?

- Do Pimlico.

- Podrzucę cię do metra.

- Dzięki.

- Thome zaczekał, aż wyjdą na ulicę przez automatyczne drzwi.

- Posłuchaj, mam wygodną kanapę. Mogłabyś skorzystać... Zapraszam.

- Jasne.

Szli w stronę auta. Thome nie chciał się odwrócić i popatrzeć, a w cieniu pomiędzy latarniami nie sposób było na podstawie jednego spojrzenia określić reakcji Porter.

- Tak sobie pomyślałem, no wiesz... do swojego domu masz godzinę drogi, a ja mieszkam w Kentish Town, więc to wydaje się całkiem sensowne. Oczywiście to tylko taka luźna propozycja, ale dzięki temu zyskałabyś dobrą godzinę snu albo nawet więcej..

Choć Thome nie widział wyraźnie jej twarzy, wychwycił w głosie Porter żartobliwą nutę.

- Godzina dłużej w łóżku to brzmi interesująco.

- Świetnie.

- Dobra...

- Jak powiedziałem, mieszkam zaledwie o dwadzieścia minut stąd. A ty musiałabyś mieć sporo szczęścia, aby dotrzeć w godzinę do Pimlico. Tak więc pomyślałem, że to dobry pomysł z tą godzinką snu ekstra.

- Kiedy to mówisz, nie brzmi to zbyt entuzjastycznie - powiedziała.

17

To zawsze Maggie musiała udzielać odpowiedzi na trudne pytania. To zawsze ona musiała rzucać wszystko, czym się akurat zajmowała, kiedy trzeba było pomóc w wyjątkowo trudnej pracy domowej. Kiedy Lukę i Juliet byli młodszy, jej męża po prostu prawie nigdy nie było, ale nawet po przejściu na emeryturę tego typu sprawy zawsze stanowiły jej domenę. Nie żeby on nie był dostatecznie zaradny. Pod wieloma względami był od niej bystrzejszy, ale pomijając matematykę, do której Tony miał smykałkę, odpowiedzialność za podanie

właściwej odpowiedzi zazwyczaj spadała na nią. Znała daty rządów każdego monarchy z rodu Tudorów, symbol oraz liczbę atomową większości pierwiastków i dwukrotnie narysowała i oznakowała ujścia rzek, te w kształcie litery U i V. Odpowiadała też na inne pytania, te trudniejsze. Skąd się biorą dzieci? Co się dzieje z nami, kiedy umieramy? Dlaczego chłopcy i dziewczynki są inaczej zbudowani?

Maggie Mullen jednak nigdy dotąd nie zadano równie trudnego pytania: Czy Luke owi nic się nie stanie, mamusiu? Nie była pewna, co przybiło ją bardziej: to, że nie znała odpowiedzi, czy to, że nie potrafiła zrobić tego, co, jak przypuszczała, w tej sytuacji zrobiliby inni, i skłamać, by uspokoić córkę.

- Nie wiem, kruszynko.

Nie żeby Maggie nie umiała kłamać. Owszem, kłamała, gdy zachodziła taka potrzeba. Ale wiedziała, że Juliet odrzuci każdą niezdarną próbę traktowania jej jak dziecko, chronienia przed bolesną rzeczywistością. Świadomość tego, jak się powinna zachowywać, była trudna do zniesienia. Juliet miała czternaście lat, ale zachowywała się, jakby miała dwadzieścia jeden, tak jak mając dziewięć, zachowywała się jak czternastolatka. Od lat doradzała Maggie, jak się powinna ubierać, co jeść i które jej przyjaciółki są wartościowymi

osobami, toteż traktowanie jej inaczej niż jak dorosłej miało się z celem.

Kiedy sytuacja tak strasznie dojrzała...

A jednak było coś w oczach Juliet i wokół jej pulchnej wilgotnej dolnej wargi, co sprawiało, że Maggie myślała o lalce, którą jej córka rozpaczliwie ścisnęła, i pragnęła sama objąć Juliet ramionami i przytulić z całej siły. Było coś, co mówiło Maggie, jak bardzo Juliet pragnęła być przytulona.

- Mamusiu, gdzie jest tatuś?

- Wszedł, kruszynko. Nie wiem, kiedy wróci.

A może to Maggie potrzebowała przytulenia; i to ona potrzebowała pocieszenia, choć dawała je córce, kiedy ta nie mogła znaleźć tego nigdzie indziej. Nienawidziła siebie za tę nagłą zjadliwą myśl, za osądzanie go. Wiedziała, że to było nieuzasadnione, sugerowało brak troski o nią, który z uwagi na sytuację powinien być wybaczalny. W każdym ukradkowym spojrzeniu, za każdym razem, kiedy przechodził obok, widziała, jaki był przybity. Jaki zdruzgotany. Jeżeli teraz koncentrował każdy gram swojej miłości na Luke'u, czy można go było za to winić?

A jeżeli miał jakieś minusy, cokolwiek, co można było wykorzystać przeciw niemu... Chryste Panie, akurat ona nie miała prawa o tym wspominać.

- Mamo, jeśli Luke nie żyje...

- Juliet!

- Proszę, mamusiu, posłuchaj. Myślałam o tym. Jeżeli tak jest, utracimy tylko tę najmniej ważną jego część. Tak wiele z Luke a wciąż pozostaje w domu. Nie czujesz tego?

- On żyje, kochanie...

- Nic nie szkodzi, naprawdę. Nie zamierzam zgrywać Boga, nic z tych rzeczy, wiesz, że daleko mi do tego, ale naprawdę w to wierzę. I to naprawdę pomaga. Oczywiście to będzie smutne i zawsze będziemy za nim tęsknić, a pewne rzeczy będą przypominać nam, że tu był. Jak choćby przy jedzeniu pewnych posiłków, które uwielbiał lub których nie znosił, słuchał tej czy innej muzyki, ale to, co najważniejsze, zawsze pozostanie z nami. Tego nigdy nie utracimy, słowo daję.

Odkąd porwano Luke a Maggie do mistrzostwa opanowała sztukę bezgłośnego płaczu. Musiała jedynie lekko odwrócić głowę, podejść do okna i wziąć do ręki gazetę. I choć pojawiały się łzy, wstrząsający ciałem szloch i urywany oddech były hamowane, uwięzione w środku, gdzieś na wysokości mostka. Robiła to, bo nikt nie musiał tego oglądać. Bo to i tak w niczym by nie pomogło.

Teraz płakała po cichu, w sekrecie, by być silna dla córki, która próbowała być silna dla niej. Słuchała słów Juliet, podczas gdy łzy, których jej córka nie mogła widzieć, spływały po jej policzkach i znikaly za kołnierzem szlafroka. Leżała na sofie, z długimi nogami córki ułożonymi na jej nogach, oglądając ten czy inny program w telewizji, myślała o zapachu swojego syna i o tym, jak jego włosy układały się na karku. Myślała o dziurze, jaka pojawiła się w jej wnętrzu, zięjącej, czerwonej i krwawej jak witryna u rzeźnika. Świadomość, że Juliet była już dość duża i na tyle niezależna, by poradzić sobie z utratą brata i matki, bynajmniej nie dodawała jej otuchy.

Myśl o porzuceniu jej była prawie nie do zniesienia. Gdyby jednak coś się stało Luke owi, myśl o tym, że nie podąży w ślad za pierworodnym, wydawała się jej jeszcze gorsza.

Na ulicach prawie nie było ruchu, kiedy jechali na południe w stronę Kentish Town, puste ulice stanowiły jedyny plus kretyńskich wczesnych poranków i znieawidzonych długich nocy.

- Masz jakąś muzykę? - spytała Porter.

Thome sięgnął w stronę przycisku i zaczął przeszukiwać sześciopłytkowy zestaw znajdującego się w schowku BMW odtwarzacza płyt kompaktowych.

- Może coś z gitarowego smętnego brzdąkania country - zasugerowała.

Thome wiedział doskonale, z kim musiała rozmawiać. Na jej ironiczny uśmieszek odpowiedział własnym, mówiącym, że miał to wszystko gdzieś.

- Holland już nie żyje. Wiesz o tym, prawda?
- Lubię czasem posłuchać country: Gartha Brooksa, Shanii Twain...

Thome skrzywił się, po czym spróbował wyszukać jedną konkretną płytę.

- Posłuchaj, zdecydowałaś się, więc nie zamierzam ci niczego ułatwiać...
- Nawiasem mówiąc, to nie Holland - rzekła Porter.
- Wobec tego kto?

Rozległa się muzyka, delikatne, smętne brzmienie gitary, do którego dołączyły melancholijne dźwięki akordeonu. A potem głos...

- Co to? - spytała mniej więcej po minucie Porter.
- Hank Williams. Poniekąd...

Porter wydawała się zakłopotana, wręcz zboląła.

- Nie będzie śpiewać?

Przemykając setką pomiędzy fotoradarami, Thome wyjaśnił, że Williams nagrał w swojej karierze całą serię płyt pod pseudonimem. Jako „Lukę Włóczęgą” napisał i nagrał cykl „narracji”, monologów z podłożoną w tle prostą muzyką. Były tu bluesowe melorecytacje, inne jednak przypominały bardziej modlitwy albo inkantacje hymnów. Te moralistyczne recytacje, niekomercyjne dla radia czy szaf grających, gdzie od czasu do czasu można było posłuchać najbardziej popularnych kawałków tego twórcy, wydawały się surowe, lecz pełne współczucia, jakże odległe od wizerunku tego popijającego renegata, uwielbianego przez miłośników muzyki country.

- To cholernie przygnębiające - podsumowała Porter.
- Dobrze ci zrobi.

Thome nacisnął stopą pedał, przemknął gładko na żółtym świetle | i skręcił w lewo, w stronę Belsize Park.

- Miło mieć alter ego, nie uważasz? - powiedział. - Drugą stroną I osobowości, o której nikt nie wie, że to ty. Na którą możesz wszystko | zwalić i zlecać robienie rzeczy, na jakie nie masz ochoty.

Porter przyznała, że to niezły pomysł.

- Jaka byłaby twoja? - zapytała.

Thome zamyślił się przez chwilę i zaraz potem uśmiechnął.

- Miło byłoby powiedzieć Trevorowi Jesmondowi, że obsztorcowuje nie tego, co trzeba. „Przepraszam, ale myli mnie pan z Kevinem Popaprańcem albo może z Rogerem Walimnieto”. A ty?

Porter zamyśliła się, ale nic jej nie przychodziło do głowy, więc jechali dalej w

milczeniu, słuchając Mężczyzn ze złamanymi sercami, który to utwór Williams opisywał jako „najokropniejszą, najbardziej przygnębiającą piosenkę, jaką kiedykolwiek usłyszeliście”.

Thome nieznacznie zwolnił, gdy zbliżali się do celu. Pokazywał Porter okoliczne sklepiki i miejscowe ciekawostki, ulubione puby. Przy Kentish Town Road zwrócił jej uwagę na Bengal Lancera.

- Najlepsza indyjska restauracja w Londynie - stwierdził. - Lubisz indyjską kuchnię?

Porter pokiwała głową.

- Nie sądzę jednak, żeby dowozili stąd posiłki aż do Pimlico.

- Mógłbym cię tam zabrać.

Thome odwrócił się, jego wzrok odnalazł na ułamek sekundy spojrzenie Porter.

- Naprawdę by o nas zadbali - zapewnił.

Kiedy dotarli do jego mieszkania, Thome wszedł pośpiesznie do środka, wyprzedzając Porter, by trochę ogarnąć. W przedpokoju stopą poustawiał w miarę równo rozrzucone wcześniej buty, poprawił chodnik, odwiesił kurtkę przerzuconą przez oparcie krzesła. Porter przeszła obok niego, gdy przystanął, by dorzucić dzisiejszą pocztę do tej leżącej na stoliku. Kiedy Thome dołączył do niej w salonie, akurat nachyliła się, by pogłaskać kota, i udała, że nie zauważyła liściku zostawionego na sofie.

Thome sięgnął po karteczkę i przeczytał jej treść: „Nie przejmuj się, wczoraj wieczorem gadałem bzdury. Wypiłem trochę i byłem zmęczony. Już czuję się lepiej. Zjadłem ostatni kawałek chleba. Wybacz...”

- Kto do ciebie pisze? - spytała Porter.

- Kolega.

Porter uniosła brew.

- To jest jeszcze ciekawsze niż twoje zamiłowanie do muzyki country.

- To Phil Hendricks.

- Jasne - wypowiedziała to słowo, przeciągając zgłoski. I po chwili dodała: - On jest gejem, prawda?

Thome uśmiechnął się półgębkiem, rozkoszując się tą atmosferą napięcia. Skinął ręką w stronę kanapy. Elvis już się tam umościła, zwijając się w kłębek jak zwykle.

- To twoja kanapa - oznajmił. - Później ją rozłożę.

- Słucham?

Mimowolnie odzwierciedlił jej uśmiech.

- Dlaczego odnoszę wrażenie, jakbym grał jedną z ról w remaku u Konstablu, do dzieła? Czy teraz usłyszę, że cokolwiek powiem, może zostać użyte przeciwko mnie, a ja na

to „Gatki”?

Zaśmiała się.

- Masz coś do picia?

Thome próbował zrobić srogą minę.

- Mamy siedem godzin i znów do kieratu. Mamy być wypoczęci.

- Jeden nam nie zaszkodzi - powiedziała i usiadła na kanapie. - Czy Roger Walimnieto mógłby pofatygować się i przynieść nam coś do picia?

Roger pofatygował się do kuchni i przycupnął przed lodówką. Zlustrował jej mizerną zawartość, po czym uświadomił sobie, że nie miał pojęcia, dlaczego sprowadził kobietę do swojego mieszkania, co właściwie robił, do czego to wszystko zmierza, ale z każdą chwilą podobało mu się to coraz bardziej. Zawołał w stronę pokoju:

- Obawiam się, że nie ma zbyt dużego wyboru. Tanie piwo albo tanie piwo.

- Niech będzie jedno albo drugie - odparła Porter.

Zmiana od dwudziestej drugiej do szóstej rano może być przyjemna lub nie w zależności od tego, jak ciężko lubisz pracować i, co ważniejsze, jaki jest dzień tygodnia. Na początku tygodnia bywa w miarę spokojnie. Ale w okolicach Shepherds Bush, Acton i Hammersmith, właściwie wszędzie, sytuacja zaczynała się zaogniać wraz z nadejściem weekendu.

Konstabl Dean Fothergill wiedział, że od czasu do czasu, kiedy jeździ się tylko we dwójkę radiowozem, można ukryć swoje odczucia na ten temat. W każdym razie przez jakiś czas. Można próbować przeciągnąć godzinną przerwę na posiłek do dwóch godzin, jeżeli w dzień człowiek się nie wyspał. Oczywiście z powodu służbowych komórek było to trudniejsze, ale nawet jeśli góra wiedziała, gdzie się znajdujesz, i tak nie mogła cię zobaczyć. A przynajmniej na razie. W tej sytuacji niektórzy funkcjonariusze wychodzili z założenia, że dopóki jesteś w ruchu, sprawiasz wrażenie mocno zapracowanego. Z kafejki do baru z kebabem, a stamtąd w sąsiednią uliczkę, pół godziny z gazetą w jednym miejscu i przerwa na papierosa gdzieś indziej. Ale to tylko w spokojne wieczory.

W sobotnie wieczory zawsze coś się działo.

Kwadrans po pierwszej w nocy Fothergill i konstabl Pauline Caulfield zaj dowali się w pobliżu TV Centre, gdy odebrali zgłoszenie.

- Jakiś facet zadzwonił z Glasgow i powiedział, że siostra miała do niego przyjechać wczoraj po południu, ale się nie zjawiała. Jest po sześćdziesiątce, mieszka sama, nie udało mu się do niej dodzwonić, zatelefonował dopiero teraz, bo nie chciał nas angażować i takie tam. Pojedź tam i sprawdź to, jeśli będziesz miał chwilkę, dobrze, Dean? Wiem, że ty i Pauline

siedzicie teraz i robicie sobie prasówkę.

- Właściwe to zajmowaliśmy się awanturą przy stacji metra White City, szefie.

- Ja ci wierzę, ale tysiące innych nie. Przesyłam wam wszystko na terminal.

Kiedy tylko na ekranie ciekłokrystalicznym policyjnego terminala zaczęły pojawiać się dane, Caulfield zawróciła samochód. Ruszyli w stronę Shepherd s Bush.

- Założę się z tobą o piątką, że ona w ogóle zapomniała, że miała pojechać do Glasgow - mruknął Fothergill.

- Jesteś dobrym słuchaczem - powiedział.

Uniósł latarkę i skierował promień na ukos przez sufit, a potem w dół ku klepisku, kiedy chłopak zmrużył powieki i odwrócił głowę.

- Wiem, że się boisz, więc przypuszczalnie wysłuchałbyś wszystkiego, ale ja potrafię stwierdzić, kiedy ludzie naprawdę słuchają, a kiedy nie. Mam z tym często do czynienia w pracy i to naprawdę męczące. Ludzie tylko siedzą, pozwalając, by twoje słowa spłynęły po nich jak po kaczce. Dla ciebie to znacznie trudniejsze, widzę to wyraźnie. W sumie to oczywiste. Nie może być ci łatwo słuchać tego, co ci mówię. Tylko tak siedzieć, słuchać tych okropieństw i nic nie mówić. Chcesz coś powiedzieć? Wiesz, że możesz... Pewnie potrzebujesz czasu, aby przyjąć to, co powiedziałem, to całkiem normalne. Zostawię cię na chwilę, abyś mógł się z tym uporać. Chcę jednak, abyś najpierw coś zrozumiał. Nie mówiłbym ci tego wszystkiego, gdybym nie wierzył, że dasz radę to przyjąć. Jasne? Gdybym nie uważał, że jesteś dość duży i dostatecznie bystry. Wiem doskonale, jaki z ciebie bystrzak, wiem o tobie wszystko. Tak więc przemyślałem sobie dokładnie wszystko i uznałem, że dasz sobie radę i zdołasz przyswoić sobie te informacje. Zrozumiesz. Może nie wszystko, bo są pewne rzeczy - wiesz, o jakich rzeczach mówię - które wykraczają poza to, co zwykli ludzie uznają za normalne.

- Rozumiesz mnie? Skiń głową, jeśli się ze mną zgadzasz... Świetnie.

- Grunt, abyś nie pomyślał, że czerpię z tego jakąś przyjemność. To wszystko. Wiesz, że nie próbuję cię tym torturować, prawda? Bo przecież jaki mógłbym mieć po temu powód? Dość już cię skrzywdziłem i zdaję sobie z tego świetnie sprawę. Chodzi mi o to, co przechodziłeś wcześniej, w tamtym mieszkaniu. Chyba chcę, abyś zrozumiał, że powodem, dlaczego mówię ci to wszystko, jest... przyzwoitość.

- Ponieważ powinieneś to wiedzieć. Bo byłoby o wiele gorzej nie wiedzieć. Ponieważ któregoś dnia uporzysz się z tym wszystkim, a wtedy będzie ci znacznie lepiej. Rozumiesz?

- Wiedza o tym, do czego są zdolni ci, których kochasz, bywa niekiedy okrutnym brzemieniem. Ale niewiedza jest znacznie gorsza.

Podniósł się nieznacznie, gdy usłyszał chlipnięcie, i podpełzł bliżej kąta, w którym kulił się chłopiec.

- Nie płacz, proszę. Naprawdę nie chciałem, żebyś płakał. Przepraszam. Zaczekam, aż trochę się uspokoisz. Pójdę już, dobrze?

Znów się cofnął. Czekał.

- Jestem pewien, że część z tego zdołasz wybaczyć. Nie mnie, prawdopodobnie, i na pewno nie wszystko. Ale część z tych rzeczy, te mniej straszne, które zrobiliśmy z właściwych powodów. Wiem, że nie jesteś teraz w stanie tego pojąć, teraz chcesz jedynie tłuc pięściami na prawo i lewo, krzyżeć czy coś w tym rodzaju. Ale słowo daję, że powody były absolutnie słuszne.

- Chciałbyś krzyżeć? Krzyż, śmiało, jeżeli chcesz. Nikt cię nie usłyszy. Dlatego zdjąłem ci taśmę. Szczerze mówiąc, zrozumiałbym, gdybyś zechciał. Chcesz coś rozbić? Rozwalić mi głowę? A może wolałbyś, żebym sobie poszedł?

Milczał przez kilka minut, po czym znów uniósł latarkę i skierował promień na chłopca.

- Powinieneś naprawdę zastanowić się nad krzykiem. To mogłoby być dobre dla ciebie, dla twojego zdrowia, gdybyś się wyładował. Wyrzucił to z siebie.

Skierował latarkę na siebie, oparł się podbródkiem o jej szklaną część i zamyślił przez chwilę.

- No dobrze, może trochę przeceniłem to, ile jesteś w stanie przyjąć. Wiem, że jest tego sporo. Mnóstwo do przyswojenia. Może zanim wyjdę, jeszcze raz to powtórzę. I postaram się to maksymalnie uprościć, specjalnie dla ciebie. To dobry pomysł, nie sądzisz?

- Luke...?

Żarciki się skończyły, kiedy tylko Caulfield zauważyła wybite okno. Od dziesięciu minut pukali do drzwi, zanim Fothergill nie przeszedł przez płot z boku i wraz ze swoją partnerką nie ruszył w stronę tylnego wejścia do domu. Zgłosił to, podczas gdy Caulfield wróciła do radiowozu po rękawiczki, latarki i parę teleskopowych pałek.

- Może powinniśmy po prostu poczekać - rzekł Fothergill.

- Na miłość boską, Dean.

Caulfield sięgnęła po zasuwkę. Zanim zdążyła otworzyć drzwi, między jej nogami przebiegł kot i przez uchyloną klapkę u dołu drzwi wślizgnął się do mieszkania.

- Jezu...

Weszła do kuchni, w której było kompletnie ciemno, i zawołała. Fothergill zawołał jeszcze głośniejszym głosem. Przystanęli na chwilę, czekając. Gdyby w domu był ktoś niepowołany,

powinni go usłyszeć, nawet gdyby próbował się schować. Caulfield odnalazła włącznik światła i wraz ze swoim partnerem weszła dalej w głąb pomieszczenia. Na suszarce stały ustawione starannie naczynia. Kot kręcił się przy pustej misce na podłodze i ocierał się łebkiem o drzwiczki kredensu.

Caulfield przykucnęła.

- Cii, już dobrze.

- Mówisz do mnie czy do kota? - Fothergill wysilił się na uśmiech, ale głos miał wyższy niż zazwyczaj.

Z kuchni przeszli do wysokiego korytarza z frontowymi drzwiami na przeciwległym końcu. Światło latarni ulicznych przesączało się przez małe szybki z witrażowego szkła, a po jednej stronie widać było schody na górę. Po prawej znajdowało się dwoje drzwi. Otworzyli je równocześnie i zapaliwszy światło, rozejrzeli się po niewielkim salonie oraz jadalni.

- Dean?

Fothergill wyjrzał zza drzwi i podążył za spojrzeniem Caulfield. Stół w kuchni był zastawiony do śniadania: pusta szklanka, łyżeczka i serwetka, miseczka z nasypanymi płatkami i nakryta kawałkiem muślinu.

- Chodź...

Na ścianie prowadzącej na piętro wisiały akwarele i oprawione w ramki dyplomy, na stoliku na podeście stały zdjęcia otaczające duży kosz z potpourri. Jednak pośród aromatu wanilii i pomarańczy wyczuwało się słabszą woń czegoś jeszcze, czegoś ostrego i smutnego. Zapalili kolejne światła, zaglądając do łazienki i gościnnej sypialni, po czym wolno podeszli do zamkniętych drzwi jedyne niesprawdzonego pokoju.

- Widziałeś kiedyś trupa, Dean? - spytała Caulfield.

- Daj spokój, ona może być gdziekolwiek. Może wyjechała gdzieś, nic nikomu nie mówiąc...

- Dean?

Fothergill pokręcił głową. Zdjął czapkę i przyłożył rękę do czoła.

- Będzie dobrze, jasne? Tylko zachowaj spokój i niczego nie dotykaj.

Woń była silniejsza, kiedy otworzyli drzwi. Poczuli ją, nabierając powietrza, zanim jeszcze Caulfield zapaliła światło.

- O kurwa...

Wierzgając, musiała zrzucić koc na podłogę, a koszula nocna zadarła się powyżej białych bezwłosych łydek. Jedną rękę odrzuciła w bok, tak że zwieszała się ponad krawędzią łóżka, drugą zaś trzymała blisko przy boku, pomiędzy zaciśniętymi chudymi palcami

wystawał fragment prześcieradła.

Z nocnego stolika strącono lampkę. Obok niej na dywanie leżała książka - romans w broszurowej oprawie.

- W porządku, Dean?

Fothergill odwrócił wzrok i spojrzał na toaletkę, gdzie stały kolejne fotografie. Na większości z nich była ta sama kobieta: młoda dziewczyna z ciemnymi włosami upiętymi na kształt czegoś, co przypominało czarny ul; fryzury i kolory włosów zmieniały się wraz z fotografiami aż w końcu posiwiał, przeredziły się, w miarę jak sama kobieta zaczęła przygasać i mizernieć. Fothergill domyślał się, że to właśnie ta sama twarz była ukryta pod poduszką o niespełna metr od niego.

Kot wszedł za nimi na górę, Caulfield schyliła się, gdy przeszedł obok niej, ale nie zdążyła go zatrzymać, zanim wskoczył na materac, gdzie natychmiast zaczął ugniatać łapkami nogę kobiety i głośno miauczeć.

- Cholera...

Fothergill odwrócił się w stronę kobiety na łóżku. Jego oblicze było blade jak prześcieradło, na którym leżała.

- Moja matka ostatnie miesiące życia spędziła w domu opieki - powiedział. - Tam też tak pachniało.

Wyciągnął rękę w stronę łóżka, ale znieruchomiał i pokiwał głową ze zrozumieniem, kiedy Caulfield ponownie ostrzegła go, by niczego nie dotykał.

- Tu pachnie tak jak w pokoju mojej mamy.

Przed rokiem Thome przespał się z pewną kobietą, ale nadal z wielu powodów starał się zapomnieć o tym zdarzeniu. Pomijając ją, Hendricksa i od czasu do czasu także hydraulika, dawno już nie było sytuacji, w której musiałby czekać, aż ktoś wyjdzie z łazienki. Był obolały, piętnaście minut wcześniej przeforsował się, próbując rozłożyć kanapę. Porter zaśmiała się, kiedy zaklął i krzyknął, po czym wstała, by mu pomóc, zorientowawszy się, że naprawdę bardzo cierpiał.

- Powinieneś pójść z tym do lekarza - powiedziała. - Przynajmniej dowiedziałbyś się, co jest nie tak.

- Nie omieszkam.

- Masz ubezpieczenie?

- Nie, ale mam trochę pieniędzy. Ze sprzedaży domu ojca.

Pieniądze, z którymi nie bardzo wiedział, co ma zrobić, których nienawidził. Część z nich dał ciotce Eileen i kilka stówek Victorowi, ale nawet po zapłaceniu należnego podatku

wciąż jeszcze sporo mu zostało. Może wyda je na coś później. Znajdzie coś, co zaaprobowałby jego ojciec.

- Szkoda, że nie nabawiłeś się tej kontuzji w pracy - kontynuowała Porter.

Wsunęli metalowy wspornik pod materac, wysunęli go i rozłożyli nóżki.

- Wtedy resort musiałby wybulić za twoje leczenie.

Była tak blisko, że Thorne poczuł jej oddech przesycony wonią piwa. Jedno piwo zmieniło się w dwa dla każdego z nich.

Siedzieli, psiocząc na kolegów z pracy i na samą pracę w ogóle. Opowiadali o swoich rodzicach i poprzednich związkach. Thome podzielił się z nią swoimi przemyśleniami z poprzedniego dnia na temat nieudanych małżeństw i małżeństwa Mullenów. Trochę się zdziwił, że nie pomyślał przede wszystkim o swoim małżeństwie.

Porter stwierdziła, że to przypuszczalnie dobry znak.

Teraz, stojąc przed łazienką, zorientował się, że mówił znacznie więcej niż ona niemal na każdy temat. I w sumie poza tym, że była zabawna i dobra w tym, co robiła, oraz miała naprawdę niezły tyłek - o Louise Porter wiedział tyle co nic. Thome słyszał ją przez cienkie tanie drzwi, jak mruczała coś pod nosem, myjąc zęby, i stwierdził, że wiedział już dość.

Kiedy wyszła z łazienki, trzymała pod pachą zwinięte swoje rzeczy, a na sobie miała jedynie majtki i jeden z podkoszulków Thorne'a. Minęła go lekko poczerwieniała i zaczęła rozkładać bluzkę i spódnicę na krześle, obok kanapy.

- Kupię ci nową szczoteczkę.

- Powiniennem raczej zacząć martwić się, jak wyjaśnić kolegom z pracy, dlaczego masz na sobie te same rzeczy przez dwa dni z rzędu.

- Przywykli do tego - odrzekła. - Taka już ze mnie fleja.

Thome zaśmiał się, po czym zakasłał i skrzywił się z bólu.

Porter podeszła i bez słowa zaczęła podwijać koszulę Thorne'a na plecach.

- Sie ma. - powiedział.

Położyła otwartą dłoń na jego plecach, nieco powyżej paska, i zaczęła rozmasowywać.

- Tutaj?

- Mniej więcej.

- Pomaga?

- O tak...

I wtedy zadzwonił telefon.

Odwrócił się, a ona cofnęła rękę; spojrzenie, jakie wymienili, było pełne powagi, ten telefon należało odebrać i dobrze wiedzieli, że raczej nie chodziło o trywialną pogawędkę.

Dzwonił Holland.

- Myślę, że powinien pan zwlec się z łóżka - powiedział.

- Nawet jeszcze nie zdążyliśmy się położyć.

- Słucham?

Thorne za późno ugryzł się w język.

- Mów, o co chodzi, Dave.

- Wydział Śledczy z Shepherd's Bush ma ciało, na które powinniśmy rzucić okiem.

Podam adres.

Thome zaczął rozglądać się za kawałkiem papieru. Porter pojawiła się przy nim z notesem i piórem, po czym podeszła do łóżka i zaczęła wkładać spódnice.

- Słucham...

- Pamięta pan wiadomość, jaką zostawiłem Kathleen Bristow? - zapytał Holland. -

Cóż, w końcu ktoś do mnie oddzwonił.

CZEŚĆ TRZECIA

GRA POZORÓW

Luke

Kiedy Luke był kilka lat młodszy, pewien dzieciak w szkole wziął się na niego. Kradł mu różne rzeczy - wieczne pióro, zegarek - dawał kuksańca, kopał po kostkach i groził czymś gorszym, gdyby Luke komuś o tym powiedział. Luke nie był jedynym chłopcem, którego tamten wziął na cel. Obserwował tego osiłka i widywał go nieraz, jak terroryzował innych, stosując tę samą technikę co wobec niego. Chłopak uśmiechał się, był miły, udawał, że chce się zaprzyjaźnić, po czym następował bolesny cios. Jakby pozorowana delikatność czyniła uszczypnięcia i ciosy, które zadawał później, przyjemniejszymi dla niego samego.

Luke nie powiedział nikomu, cierpiał, dopóki chłopak nie odszedł ze szkoły, ale nauczył się rozpoznawać uśmiech poprzedzający ból i wychwycił go u mężczyzny w piwnicy. To brzmiało idiotycznie. Właściwie wydawało się to oczywiste, biorąc pod uwagę, co się działo, ale z tym facetem coś było nie tak. Coś wyrwało się spod kontroli, zagubiło się, przez co Luke odnosił wrażenie, że nawet sam mężczyzna nie do końca wiedział, co robi za chwilę.

Im bardziej przyjazny starał się być - im więcej swobody oferował Luke owi, im więcej mówił mu, jak często o nim myślał - tym bardziej stawał się przerażający. I tym bardziej rosła determinacja Lukea, aby w jakiś sposób spróbować pomóc samemu sobie.

To było trudne, próba skupienia się na zrobieniu czegoś, cegokolwiek, gdy tak naprawdę chciał jedynie zwinąć się w kłębek, zasnąć ispać, dopóki to wszystko się nie skończy. Odkąd mężczyzna wyszedł po raz ostatni, Luke zabijał czas, recytując w myślach wiersze i teksty piosenek... Robił, co mógł, byle tylko nie myśleć o tym, co mu powiedział mężczyzna, co stale mu powtarzał.

To było jak trucizna zabijająca umysł, zdawał sobie z tego sprawę, podobnie jak kłamstwa, które osilek w szkole powtarzał mu kiedyś łagodnym tonem. Ten mężczyzna uwielbiał schodzić na dół z latarką i swoimi brudnymi prawdami. Uwielbiał wyrzucać je z siebie i mieszać mu w głowie. Osłabiać go.

Dlatego Lukę zapełniał swój umysł innymi rzeczami. Wszystkim, co przychodziło mu na myśl, aby tylko wyprzeć z niej kłamstwa powtarzane przez mężczyznę.

Poza tym koncentrował się usilnie na bólu i pieczeniu wywołanych tuzinem skaleczeń oraz siniaków. Drapał paznokciami pokaleczone kłykcie, aż ból stał się ważniejszy niż ten inny, głęboki, tępy, powodowany przez słowa mężczyzny i rozlewający się leniwie po całym

ciele.

Podnosił się powoli, odnajdując kawałki porzuconej taśmy izolacyjnej wokół niego, gdy macał dłońmi na oślepe po pylistym podłożu. Próbował skupić się na mapie piwnicy, którą utworzył w swoim umyśle: niskich narożach, wilgotnych kątach i cuchnących grzybem wnękach, półkach pokrytych grubą warstwą kurzu, puszkach z farbą, workami z cementem i ramach od obrazów...

Jeżeli mężczyzna był nadal w domu, przypuszczalnie znów do niego zejdzie. Z kolejnymi opowieściami, którymi zechce się z nim podzielić... albo czymś gorszym.

Lukę wlepił wzrok w gęstą ziarnistą ciemność i podjął decyzję.

Potrzebował broni.

18

Oczywiście pora nigdy nie była dobra. Kiedy jednak chodziło o pracę z ciałem, pracę na ciele, wczesne godziny poranne były chyba najmniej nieodpowiednie. Za dnia miejsce zbrodni wydawało się rażące i bezwstydne. Było coś w naturalnym świetle padającym na ciało, co wzmagало brutalność czynu, uświadamiając bezlitosną prawdę, że takie rzeczy się zdarzają, podczas gdy reszta świata zajmowała się swoimi sprawami. Gdy ludzie chodzili na spacer, robili zakupy, siedzieli znudzeni za biurkiem lub kontuarem, a w tym samym czasie inni kilka metrów dalej wykrwawiali się, nabrzmiewali i sztywnieli.

Nocami Thome mógł robić to, co było konieczne, czerpiąc pewne pocieszenie z faktu, że wykonywał konieczną, choć bez wątpienia nieprzyjemną pracę w służbach publicznych, sprząając bałagan jeszcze przed nadejściem świtu. Będąc w marnym nastroju, mógłby porównać to, co robił, z przerzucaniem gnoju pod górę. Tej nocy jednak, stojąc nad ciałem starej kobiety, podczas gdy jej sąsiedzi spali, czuł się, jakby robił swoje, by utrzymać choć odrobinę błogości wynikającej z niewiedzy.

Zamienił kilka słów z Hendricksem, gdy zakładali na siebie plastikowe kombinezony. Rozmowa była dość luźna, ot zwykła wymiana zdań przed rozpoczęciem pracy.

- Co u ciebie?

- Świetnie. Nie znalazłeś mojego liściku?

- Owszem, ale domyślam się, że i tak mi powiesz.

- Widziałem się z Brendanem.

- I jak poszło?

- Cóż, obyło się bez krzyków, a ja nie próbowałem dać mu w pysk, więc podejrzewam, że całkiem nieźle...

Teraz, jakieś trzydzieści minut później, dialog nabrał bardziej zawodowego tonu. Rozmowa dotyczyła wyglądu i temperatury ciała, traumatycznego uduszenia i przedśmiertelnych spazmów. Gdy Hendricks nagrywał swoje spostrzeżenia na dyktafon, Thorne patrzył, jak grupa techników rozchodzi się po niewielkiej sypialni Kathleen Bristow. Zawsze, obserwując ich przy pracy, czuł dysonans, jak drażniące ocieranie szwu o skórę pod plastikowym kombinezonem. Przez lata uświadomił sobie, że to zazdrość - o naukowe argumenty, które, jak podejrzewał, musiały dawać im pewność siebie, jakiej sam rzadko doświadczał. To oni zbierali dowody, które tacy jak on segregowali, opisywali i dostarczali do sądu. Bez nich miał jedynie domysły i spekulacje.

- A więc kiedy to się musiało stać, Phil?

Hendricks ujął dłoń denatki w swoje ręce. Ciało było pokryte plamami, sine na tle kremowej chirurgicznej rękawicy.

- Stężenie właśnie zaczęło ustępować, sądzę więc, że stało się to nieco ponad dwadzieścia cztery godziny temu. Wczoraj wczesnym rankiem. Albo ubiegłej nocy.

W noc poprzedzającą ujęcie Granta Freestone a. Ale Freestone nie mógł być zabójcą, prawda? Ustalili już, że nikogo nie porwał, a byłoby to zbyt wielkim zbiegiem okoliczności, gdyby śmierć Kathleen Bristow nie była powiązana z uprowadzeniem Luke a Mullena.

- Sądzę, że ma również złamanych kilka żeber - rzekł Hendricks.

- Od silnego nacisku. Może od uciskania kolanami klatki piersiowej.

Kiedy Hendricks wyciągnął rękę, by włożyć palec do ust Kathleen Bristow i zetrzeć płatkami kosmetycznym łyżę na jej górnej wardze, Thome się odwrócił. Opuścił pokój i zszedł na dół. Technik, którego dobrze znał, pracował w jadalni, poruszając się metodycznie wokół niewielkiego stolika ze stojącym na nim telefonem z automatyczną sekretarką. To z niego detektyw inspektor z wezwanego zespołu śledczego zadzwonił do Dave'a Hollanda po odsłuchaniu informacji pozostawionej dla Kathleen Bristow. Gdy Thome skierował się do tylnego wyjścia, zamienił żarcik z funkcjonariuszem, ale myślał o tym, że twarz starej kobiety wyglądała, jakby się zapadła, kiedy Hendricks wyjął jej sztuczną szczękę.

Na zewnątrz zdjął kaptur plastikowego kombinezonu i podszedł do miejsca, gdzie Dave Holland, podobnie ubrany, opierał się o ścianę przy kuchennym oknie. Przed domem buczał generator, a silne lampy łukowe oświetlały połowę ogrodu przy kuchennych drzwiach.

Holland dwa razy zaciągnął się szybko dymem z papierosa, po czym spojrzał na Thome a i uniósł wzrok w stronę pięterka domu.

- To wszystko wydaje się uzasadnionym powodem, aby się złamać i zapalić. Ale potem człowiek ma wyrzuty sumienia, że się tym rozkoszował.

W przeciwieństwie do większości ludzi Holland zaczął palić po narodzinach dziecka. Palił potajemnie w pracy, aż jego dziewczyna dowiedziała się o tym i urządziła mu dziką awanturę, a on od tej pory starał się jej nie podpaść. Jednak, tak jak powiedział, bywały momenty, kiedy można było sobie pozwolić na chwilę słabości.

- Sophie tego nie wyczuje?

Holland pokiwał głową.

- Wyczuje, ale rozumie, że w dziewięciu przypadkach na dziesięć miałem powód, więc już się raczej nie wścieka.

Thome odwrócił się od ściany i przeszedł w głąb ogrodu. Holland podążył za nim, w cień, poza zasięg lampy łukowej. Usiedli na małej ornamentowanej ławeczce.

- Myśli pan, że to robota naszego porywacza? - spytał Holland.

- Jeśli nie, to nie mam pojęcia, co się tu wydarzyło. Skądinąd faktycznie nie rozumiem, co tu się stało.

- Może jesteśmy już blisko.

Thorne spojrział w stronę domu na techników krzątających się w środku i przechodzących w tę i z powrotem przed oknem w sypialni.

- Trudno jest się czymś takim ekscytować - powiedział. - Zwłaszcza teraz.

Wyprostował nogi. Trawa pachniała tak, jakby niedawno ją skoszono. Wydawała się szara na tle bieli plastikowych nakładek na buty.

- Od jakiegoś czasu nie widziałem detektyw inspektor Porter - stwierdził Holland.

- I...?

- Nic. Zastanawiałem się tylko, gdzie się podziewa.

- No tak. Gdy ją ostatnio widziałem, rozmawiała z fotografem.

Thome wychylił się do przodu i spojrział na Hollanda, prowokując go, by powiedział coś więcej.

- No co?

- Tylko bez ironicznych uśmiechów - rzekł Thome. - Ani słowa i dopal tę fajkę...

- Tak tylko zapytałem.

- Albo zadzwonię do twojej dziewczyny i powiem, że za jej plecami znów wypalasz paczkę dziennie.

Holland usłuchał i przez kilka minut siedzieli w milczeniu. Dym odpływał od nich w stronę lampy, znikając przy jej krawędzi, gdzie ćmy i inne owady tańczyły w silnym blasku. Kiedy skończył, Holland zgasił niedopałek o spód ławki i wstał.

- Lepiej tam wracajmy - odezwał się. - Pewnie za chwilę ją wyniosą.

To był jeszcze jeden atut pracy na miejscu zbrodni o tak wczesnej porze - jeżeli nie liczyć przypadkowych cierpiących na bezsenność osób wyprowadzających psy albo szurniętych miłośników joggingu, Kathleen Bristow mogła po raz ostatni opuścić dom bez udziału gapiów. Za dnia byłby tam cały tłum ludzi stojących w milczeniu, przestępujących z nogi na nogę i formułujących historię, którą później będą opowiadać przy stole kuchennym albo w pubie. Kiedy Thome słuchał, jak spiker w radiu mówi o poprawiających się warunkach na drogach, zastanawiał się, dlaczego mija się z prawdą i nie powie po prostu, jak było, że korki tworzyły się, bo kierowcy zwalniali, by móc przyjrzeć się kolejnemu wypadkowi. Uniósł głowę, gdy usłyszał szelest plastikowych nogawek spodni i przesunął się, by zrobić miejsce dla Porter.

- Holland dał ci popalić.

- W porę się opamiętał.

Thome pomyślał, że Porter chciała pewnie pomówić o tym, do czego prawie doszło w jego mieszkaniu, ale dał jej jasno do zrozumienia, że nie ma na to ochoty. Nic nie mógł na to poradzić, że zastanawiał się tylko, jak czułby się, nakłoniony do rozmowy, gdyby faktycznie do czegoś doszło.

- Rozmawiałam z Hendricksem - rzekła. - Chyba przynajmniej powinniśmy spytać Freestone'a, gdzie był w piątek w nocy.

- Nie rozumiem po co.

- Może dlatego, że nie mamy innego podejrzanego?

Thome wzruszył ramionami.

- Możemy zapytać.

- Stawiam dychę, że był wtedy z siostrą, co ty na to?

- Zapewne tak. Ale czy Freestone ma alibi, czy nie, to ten sam facet, który zabił Allena i Tickell. Ten sam człowiek, który przetrzymuje Lukea.

W górnym oknie sąsiedniego domu zapaliło się światło. Thome zobaczył, że w domu po drugiej stronie też na dole się świeci. To tyle, jeżeli chodzi o brak gapiów. Chyba w Londynie zawsze był ktoś, kto obserwował. Później tego ranka zaczną chodzić od domu do domu w nadziei, że ktoś był równie czujny dwadzieścia cztery godziny wcześniej.

- No dobra, skoro wiemy kto, czy wiemy równie dobrze dlaczego?

- Wiemy? Mamy co najwyżej domysły i spekulacje...

- Zagładałaś do drugiego pokoju? - spytał Thorne.

W gościnnej sypialni zauważył trzy mocno podniszczone metalowe szafki na akta i przypomniał sobie, że Callum Roper wspominał, że jego zdaniem powinien przechowywać

archiwa ze spotkań zespołu kuratorskiego w dwa tysiące pierwszym roku. Podzielił się z Porter swoimi przypuszczeniami.

Jej odpowiedź sugerowała, że nie była to najbardziej fantastyczna i niedorzeczna teoria, jaką kiedykolwiek słyszała.

- Sądzisz, że została zabita z powodu czegoś, co wiedziała?

- Albo czegoś, co posiadała. Choć może nawet nie zdawała sobie z tego sprawy. Tak mi to nagle przyszło do głowy...

- Problem polega na tym, że skoro nie wiemy, co było w tych szafkach, nie będziemy mogli się zorientować, co zostało zabrane.

- Pospiesznie zerknąłem do jednej z nich. Są tam tony materiałów z wielu lat. Będziemy mogli przejrzeć je później, kiedy technicy już skończą. Jeżeli nie ma tam nic o Freestone albo zespole kuratorskim z dwa tysiące pierwszego, chyba powinniśmy spróbować dowiedzieć się, czy kiedykolwiek były.

- Będziemy musieli cofnąć się do wydziału opieki społecznej, dla którego wówczas pracowała. - Porter skrzywiła się, jakby właśnie przypomniała sobie, jaki był dzień. - W niedzielę raczej nam się to nie uda.

- Nie spodziewałbym się, aby oni sami mieli kopie tych raportów - rzekł Thorne. - Zapewne nie, jeśli to, co mówi Roper, jest prawdą. Ale mogą wiedzieć, co Bristow zabrała ze sobą, kiedy przeszła na emeryturę, a przynajmniej potwierdzić, że przechowywała swoje akta.

Już kiedy Thome to powiedział, słowa te zabrzmiały słabo i nieprzekonująco. W najgorszym razie po prostu zmarnują czas. Choć mieli już teraz prowadzić dochodzenie w sprawie trzech zabójstw, wciąż pozostawał zaginiony chłopak, którego bezpieczeństwo i szybkie uwolnienie stanowiły przynajmniej teoretycznie najważniejszy priorytet.

Chłopak, który teoretycznie nadal żył.

Porter jednak wydawała się zelektryzowana pomysłem Thorne'a. Podczas gdy on sam mógł jedynie mieć nadzieję, że nie wygląda tak źle, jak się czuje, jej oblicze nie zdradzało żadnych oznak, iż od blisko doby nie zmrużyła oka.

- Może ważny jest związek Freestone'a z zespołem kuratorskim - podsunęła. - A nie jego pogroźki przed pójściem do więzienia.

Trzy morderstwa...

- Cóż, coś jest dla kogoś naprawdę ważne - stwierdził Thome.

- A co z Lukiem?

Jego domysły i spekulacje były przeraźliwie oczywiste.

- Zabije Luke'a, jeśli będzie musiał - rzekł.

Porter pokiwała głową, jakby Thorne potwierdził to, co już wiedziała. Postawiła stopy na ławce, opłótła kolana ramionami i powiedziała:

- Do tej pory straciłam tylko dwoje.

Przez ponad minutę Thome szukał w głowie odpowiednich słów, ale chwila, kiedy Porter potrzebowała pocieszenia, minęła i policjantka wstała.

- Musimy wziąć się do roboty - oznajmiła. - Może spojrzenie na tę sprawę z innej perspektywy jakoś nam pomoże.

- Kto wie.

Thome podźwignął się z miejsca w nadziei, że jej optymizm okaże się uzasadniony. Nie ulegało wątpliwości, że mapa sprawy została świeżo wykreślona na tabelach i tablicy, tak jak rysowała się teraz w głowie Thome a. W miarę jednak jak linie rozciągały się w nowych kierunkach i przecinały z innymi, po raz pierwszy jedno nazwisko, niezależnie od tego, co się działo, wciąż powracało do miejsca, gdzie nie powinno się było znaleźć. Oddzielało się od tej części mapy zarezerwowanej dla ofiar i świadków i kierowało ku mętniejszej, nieopisanej strefie.

Tony Mullen.

Machnięcie zza kuchennych drzwi oznaczało, że ciało Kathleen Bristow zostało wyniesione. Porter mszyła w stronę domu, Thome podążył za nią.

W tym momencie żarty zwykle się urywały, przynajmniej na kilka minut, dopóki furgonetka z kostnicy nie odjechała. Potem zbieranie materiałów dowodowych, szuranie, zdrapywanie i pogawędki zaczynały się na nowo i znów robiło się głośniejsze.

Po wywiezieniu ciała miejsce zbrodni ponownie zaczynało oddychać po tym, jak na dłuższą chwilę wszyscy wstrzymali oddech. Thorne patrzył, jak nosze przenoszono nad progiem, przez tylne drzwi, do ogrodu. Holland wyszedł za nimi, a potem Hendricks, który zaczął pozbywać się plastikowego kombinezonu, by popędzić za ciałem do kostnicy. Nosze wyniesiono przez bramę, lampa łukowa oświetlała drogę wzdłuż bocznej ściany domu w kierunku ulicy.

Thome wrócił do domu, myśląc sobie, że dym papierosowy nie jest najgorszym smrodem, jaki można przywlec, wracając do domu.

Przeeglądy w sprawie zatrzymanych odbywały się w ósmej i piętnastej godzinie od aresztowania w ciągu regulaminowej doby. Trzydzieści minut wcześniej, o ósmej rano, Kitson i Brigstocke po raz drugi dokonali więc przeglądu materiałów dotyczących Adriana Farrella. Kitson z radością przekazała nowinę zatrzymanemu, że gdyby sprawy nie potoczyły się, jak sobie tego życzyła, ona i nadinspektor poproszą nadkomisarza o przedłużenie aresztu

o dalszych sześć godzin.

Cwany papuga, który wolał, by zwracano się do niego per Wilson, nie był zachwycony.

- I to tylko na podstawie okazania wideo?

- Na podstawie potwierdzonej identyfikacji dokonanej przez naocznego świadka, który twierdzi, że widział, jak pan Farrell i dwóch innych zamordowało Amina Latifa siedemnastego października ubiegłego roku. Przepraszam... powinnam powiedzieć: zamordowało pana Latifa po dokonaniu na nim wielokrotnego przestępstwa o charakterze seksualnym, jeżeli chodzi o ścisłość. Choć myślę, że samo powiedzenie o morderstwie w zupełności by wystarczyło, czyż nie?

Wilson zaczął coś pisać, po czym przesłonił kartkę w notesie przedramieniem jak uczniak.

Kitson patrzyła, jak pisze, choć stwierdziła, że równie dobrze mógł sporządzać listę zakupów, bo cokolwiek to było, raczej nie pomoże jego klientowi. Stojący obok niej Andy Stone zaczął właśnie zapinać guziki kurtki. Był tu tylko na przyczepkę i wydawał się zadowolony, mogąc odgrywać tę rolę.

- Ciepło ci, Adrian? - zapytał.

W pokoju przesłuchań było zimno i zapewne to nawet lepiej po tym, jak ktoś sprowadzony tu w nocy po bójce pod pubem z użyciem noża puścił pawia w kącie opodał. Ogrzewanie z całą pewnością sprawiłoby, że woń rzygowin i środka do czyszczenia byłaby nie do zniesienia.

Sądząc po wyrazie twarzy Adriana Farrella, zapach był dostatecznie nieprzyjemny.

Przeeglądy w sprawie zatrzymanych odbywały się w ósmej i piętnastej godzinie od aresztowania w ciągu regulaminowej doby. Trzydzieści minut wcześniej, o ósmej rano, Kitson i Brigstocke po raz drugi dokonali więc przeglądu materiałów dotyczących Adriana Farrella. Kitson z radością przekazała nowinę zatrzymanemu, że gdyby sprawy nie potoczyły się, jak sobie tego życzyła, ona i nadinspektor poproszą nadkomisarza o przedłużenie aresztu o dalszych sześć godzin.

Cwany papuga, który wolał, by zwracano się do niego per Wilson, nie był zachwycony.

- I to tylko na podstawie okazania wideo?

- Na podstawie potwierdzonej identyfikacji dokonanej przez naocznego świadka, który twierdzi, że widział, jak pan Farrell i dwóch innych zamordowało Amina Latifa

siedemnastego października ubiegłego roku. Przepraszam... powinnam powiedzieć: zamordowało pana Latifa po dokonaniu na nim wielokrotnego przestępstwa o charakterze seksualnym, jeżeli chodzi o ścisłość. Choć myślę, że samo powiedzenie o morderstwie w zupełności by wystarczyło, czyż nie?

Wilson zaczął coś pisać, po czym przesłonił kartkę w notesie przedramieniem jak uczeń.

Kitson patrzyła, jak pisze, choć stwierdziła, że równie dobrze mógł sporządzać listę zakupów, bo cokolwiek to było, raczej nie pomoże jego klientowi. Stojący obok niej Andy Stone zaczął właśnie zapinać guziki kurtki. Był tu tylko na przyczepekę i wydawał się zadowolony, mogąc odgrywać tę rolę.

- Ciepło ci, Adrian? - zapytał.

W pokoju przesłuchań było zimno i zapewne to nawet lepiej po tym, jak ktoś sprowadzony tu w nocy po bójce pod pubem z użyciem noża puścił pawia w kącie opodal. Ogrzewanie z całą pewnością sprawiłoby, że woń rzygowin i środka do czyszczenia byłaby nie do zniesienia.

Sądząc po wyrazie twarzy Adriana Farrella, zapach był dostatecznie nieprzyjemny.

Bez mundurka wyglądał inaczej, z dala od szkoły i wszystkiego, co z nią związane. Miał na sobie dzinsy i czerwoną bluzę z kapturem z napisem „Nowy Jork” na piersiach. Jasne włosy były zmierzwiłone, ale nie wystylizowane, a na twarzy malował się wyraz zmęczenia po nocy spędzonej w celi. Starał się sprawiać wrażenie znudzonego i lekko poirytowanego, ale brak snu najwyraźniej wpłynął na poziom jego umiejętności aktorskich. Kitson wcześniej dostrzegła tylko przebłyski, ale strach był coraz wyraźniejszy, podobnie jak szumowiny unoszące się na powierzchni mętnej wody.

- Wiem, co poprawi ci humor - rzekła. - Mały quiz z historii.

Do biurka była przymocowana laminowana lista praw zatrzymanego. Farrell zaczął skubać jej brzeg. Uniósł wzrok i wzruszył ramionami.

- Dobra.

- Historia to twój ulubiony przedmiot, tak?

- Powiedziałem „dobra”.

- Jesteś dobry w datach? Co powiesz na dwudziestego ósmego lutego tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego trzeciego?

Farrell postukał się palcem w usta.

- Bitwa pod Hastings?

- Może spytamy kogoś z widowni? - zaproponowała Kitson. - Panie Wilson?

Prawnik wciąż coś notował.

- Wątpię, aby udało się pani przedłużyć areszt, jeżeli będzie pani marnować czas na głupie gierki.

- Tego dnia Francis Crick i James Watson odkryli strukturę DNA

- wyjaśniła i powoli nakreśliła ósemkę na blacie przed sobą. - Podwójna helisa.

Farrell wyglądał na szczerze rozbawionego.

- Teraz już nie zapomnę - powiedział.

- Założę się, że nie. Pod koniec dnia będziemy mieć wstępne wyniki, a ja wiem, że zgodność jest absolutnie pewna.

Tym razem Kitson mówiła o wynikach testu autoryzowanej próbki DNA pobranej poprzedniego dnia na posterunku; Farrell odmówił, więc Kitson, do czego miała pełne prawo, gdy nie chodziło o próbki płynów ustrojowych, pozyskała ją bez jego zgody. Kiedy towarzyszący jej funkcjonariusz medyczny pobrał kilka włosów, a Stone i jeszcze jeden konstabl przytrzymali chłopaka, policjantka dostrzegła wściekłość znacznie mniej powściąganą niż w tej chwili. Spojrzała ponad stołem i podkreśliła ogrzewanie.

- Ty też wiesz, że zgodność będzie niepodważalna, prawda?

- Wiem wszystko.

- Oczywiście.

- Wiem, że nie potrafisz się zdecydować, w jaki sposób się do mnie zwrócić, żebyś dostała to, czego chcesz. Wiem, że albo traktujesz mnie protekcjonalnie, albo uważasz, że jestem naprawdę dojrzały, ale przez cały czas lawirujesz między jednym a drugim i z całego serca mnie nienawidzisz. - Przekrzywił głowę w stronę Stone a. - Wiem też, że chciałbyś rzucić się na mnie ponad tym stołem i porządnie mi przyłożyć.

Stone spojrzał na niego, jakby nie zamierzał się z nim spierać. Kitson wychwyciła to spojrzenie niczym gracz w pokera, który przejrzał blef innego grającego. Wydęcie przez Wilsona policzków powiedziało jej, że adwokat czuł się zrezygnowany, bo niezależnie, co doradzał Farrellowi, chłopak zachowywał się, jakby wszystko wiedział lepiej. I że pokaźne honorarium, bez wątpienia wypłacane przez rodziców jego klienta, uzyska praktycznie bez najmniejszego wysiłku. Kitson odwróciła się do Farrella, przekonana, że adwokat myślał już o przyszłości i wyższych honorariach, o pieniądzech, które mógł zarobić dzięki apelacji po wydaniu werdyktu uznającego oskarżonego winnym.

- Nie wywiniesz się z tego - rzekła.

- Wydajesz się bardzo pewna siebie, ale nadal mnie o nic nie oskarżasz, prawda?

- Kim byli ci dwaj chłopcy, którzy towarzyszyli ci, kiedy zaatakowaliście Amina

Latifa?

- Kiedy co zrobiłem?

- Podaj mi te nazwiska, Adrian.

- Teraz dowiem się, że niczego mi nie obiecujesz, prawda? Ale jeżeli zechcę pomóc, uczynisz wszystko, co w twojej mocy, aby obniżyć mi wyrok. A może po prostu próbujesz zaapelować do mojego sumienia, bo przecież muszę je mieć, a w głębi duszy pragnę uczynić to, co właściwe i słuszne.

- Co powiesz o Damienie Herbercie i Michaelu Nelsonie? - spytała Kitson. - Czy powinniśmy z nimi pomówić? Możesz być pewien, że oni sypną cię bez mrugnięcia okiem.

Wydawało się, jakby Farrell jej nie usłyszał.

- Czy nie powinnaś teraz podsuwać w moją stronę po stole zdjęć tego martwego chłopaka?

Kitson spojrzała na Wilsona, a potem na Stonea. Pauza była nie tyle dla efektu, ile raczej dla nabrania śliny do ust, w których nagle zrobiło się sucho. Miała miedziany smak, była przesycona adrenaliną.

- Jesteś bardzo pewny siebie, Adrian - rzekła. - Masz mnóstwo uroku. Jestem pewna, że robisz furorę wśród młodych dziewcząt i starszych pań. Ale cały urok tego świata nie przekona ławy przysięgłych, gdy przedstawimy im zeznanie naocznego świadka, który dokonał identyfikacji podczas okazania, i pozytywny wynik DNA.

- Ja pewny siebie? Moim zdaniem to ty zachowujesz się, jakbyś była pewna siebie. Mówisz o zeznaniu naocznego świadka sprzed pół roku. I o wynikach próbki DNA, jakbyś już ją miała.

Kitson nie mogła pohamować uśmiechu, przypominając sobie jego uśmiech, zanim splunął na chodnik.

Stone przesunął się na krześle do przodu.

- Powiem ci, u kogo jeszcze zrobisz furorę - powiedział. - U paru koleś z celi, z którymi będziesz razem garował.

Wilson jęknął z niesmakiem.

- Mówisz serio? - spytał Farrell.

Uniósł rękę, przepaszając za to, że rozbawiły go słowa Stone'a.

- Przepraszam, przysięgam, że nie staram się z nikogo nabijać.

- Podaj mi te nazwiska, Adrian.

- Teraz dowiem się, że niczego mi nie obiecujesz, prawda? Ale jeżeli zechcę pomóc, uczynisz wszystko, co w twojej mocy, aby obniżyć mi wyrok. A może po prostu próbujesz

zaapelować do mojego sumienia, bo przecież muszę je mieć, a w głębi duszy pragnę uczynić to, co właściwe i słuszne.

- Co powiesz o Damienie Herbercie i Michaelu Nelsonie? - spytała Kitson. - Czy powinniśmy z nimi pomówić? Możesz być pewien, że oni sypną cię bez mrugnięcia okiem.

Wydawało się, jakby Farrell jej nie usłyszał.

- Czy nie powinnaś teraz podsuwać w moją stronę po stole zdjęć tego martwego chłopaka?

Kitson spojrzała na Wilsona, a potem na Stonea. Pauza była nie tyle dla efektu, ile raczej dla nabrania śliny do ust, w których nagle zrobiło się sucho. Miała miedziany smak, była przesycona adrenaliną.

- Jesteś bardzo pewny siebie, Adrian - rzekła. - Masz mnóstwo uroku. Jestem pewna, że robisz furorę wśród młodych dziewcząt i starszych pań. Ale cały urok tego świata nie przekona ławy przysięgłych, gdy przedstawimy im zeznanie naoczego świadka, który dokonał identyfikacji podczas okazania, i pozytywny wynik DNA.

- Ja pewny siebie? Moim zdaniem to ty zachowujesz się, jakbyś była pewna siebie. Mówisz o zeznaniu naoczego świadka sprzed pół roku. I o wynikach próbki DNA, jakbyś już ją miała.

Kitson nie mogła pohamować uśmiechu, przypominając sobie jego uśmiech, zanim splunął na chodnik.

Stone przesunął się na krześle do przodu.

- Powiem ci, u kogo jeszcze zrobisz furorę - powiedział. - U paru koleś z celi, z którymi będziesz razem garował.

Wilson jęknął z niesmakiem.

- Mówisz serio? - spytał Farrell.

Uniósł rękę, przepaszając za to, że rozbawiły go słowa Stone'a.

- Przepraszam, przysięgam, że nie staram się z nikogo nabijać.

- To ostatni etap - wtrącił Wilson. - Taktyka zastraszenia, do której uciekają się jedynie w sytuacji, kiedy dowody w sprawie nie są tak mocne, jak sądzili.

Spojrzał na Kitsona zadowolony z siebie.

- Chwytają się brzytwy jak tonący.

- Porównanie całkiem trafne - stwierdziła. - Biorąc pod uwagę to, co stało się z Aminem Latifem.

Na obliczu chłopaka pojawił się nagle wyraz niepohamowanej wściekłości. Farrell sięgnął po notes Wilsona, wyrwał stronę i wskazał palcem na coś, co adwokat zapisał

wcześniej.

- Mój klient jest niezadowolony, że skonfiskowano mu niektóre jego rzeczy.

- Moje sportowe buty.

- Muszą być poddane specjalistycznym testom - odrzekła Kitson; co prawda na miejscu zabójstwa nie było odcisków butów ani nic takiego, ale to standardowa praktyka w tego typu przypadkach. - Rutynowa procedura.

Farrell odsunął się z krzesłem od stołu i wyciągnął nogi.

- To jakiś cholerny absurd.

Uniósł stopę w czarnych elastycznych espadrylach, które nosili niemal wszyscy osadzeni.

- Nawet nie pasują.

- Wszyscy je dostają - rzekł Stone.

- Dlaczego nie mogę mieć drugiej pary własnych butów?

- Przykro mi. To element więziennego stroju. Brak na nim wprawdzie łacińskiego motta, ale...

- Te sportowe buty są cholernie drogie. To markowe rzeczy.

Wilson uniósł pióro w dłoni.

- Czy możecie zapewnić nas, że nie zostaną uszkodzone podczas testów chemicznych?

Kitson postanowiła na tym zakończyć przesłuchanie. Wstała i poinstruowała Stone'a, żeby dopełnił formalności, wyłączył nagrywanie i zabezpieczył kasetę tak, by aresztant mógł to zobaczyć. Odwracając się, już przy drzwiach zorientowała się, że zarówno Farrell, jak i Wilson byli skonsternowani jej gwałtownością.

- Prowadzę śledztwo w sprawie napaści o charakterze seksualnym i zamordowania osiemnastoletniego chłopaka - powiedziała. - I zrobię, co będzie trzeba, by zdobyć nazwiska osób, które były z tobą, kiedy to się stało. Aby mieć pewność, że wszyscy trzej staniecie przed sądem pod zarzutem brutalnego zgwałcenia i zakatowania Amina Latifa na śmierć.

Sięgnęła za siebie i poczuła, że jej dłoń lekko drżała, gdy zaciskała ją na klamce.

- Ale nie zamierzam tu siedzieć i dyskutować o pieprzonych butach.

Dziesięć minut później, stojąc wewnątrz żelaznej klatki, Kitson zobaczyła adwokata Farrella palącego papierosa na podwórzu za budynkiem. Podeszła do niego. Poczęstował ją papierosem, ale odmówiła.

- Ma pan coś mocniejszego?

- Wydawała się pani dość mocno wzburzona - rzekł Wilson.

- Cóż, ten chłopak wzbudza emocje, nieprawdaż?

Adwokat nie dał się sprowokować do rozmowy. Raz jeszcze zaciągnął się dymem i pstryknął niedopałek w stronę dwóch policyjnych motocykli.

- Jakież sugestie, kiedy znów może pani zechcieć z nim pomówić?

- Na razie nic konkretnego, ale nie oddalałabym się za bardzo.

- Zastanawiałem się, czy w tym pubie przy końcu ulicy podają tradycyjne niedzielne lunche.

- W Oak? Owszem, ale nie wiem, czy określenie „tradycyjne” w ich rozumieniu odpowiada pańskiemu.

Wróciła do środka z postanowieniem, że kiedy tylko upora się z papierkową robotą z szefem tutejszego aresztu, zje śniadanie. A potem postara się namierzyć Toma Thorne a. Wszyscy słyszeli o ostatnich wydarzeniach w związku ze sprawą Mullena, a Kitson mogła się jedynie domyślać, że Thome nie zdążył jeszcze odebrać wiadomości, jaką mu zostawiła, ani odpowiedzieć na SMSa, który mu wysłała. W porównaniu z odkryciem zwłok to, co miała mu do powiedzenia, nie było szczególnie pilne.

19

To właśnie dlatego ludzie zatrzymywali się, by spojrzeć na wypadek: dla chwili ekscytacji bez niewygodnej konieczności bycia ubranym we krwi albo wciśniętym pomiędzy zgiętymi w harmonijkę kawałkami metalu. Zapewne ta sama zasada sprawiała, że oglądanie trzech klójących się starszych oficerów dawało tyle radości.

To była awantura, którą Hignett przewidywał; aż dziwne, że tak długo trwało, zanim Graham Hoolihan zaczął szaleć i podrygiwać swoim masywnym cielskiem.

- Wykazałem chęć współpracy, kiedy pierwszy raz skontaktowałem się ze mną detektyw inspektor Tom Thome. Byłem bardziej niż pomocny. I w przeciwieństwie do wszystkich innych zaangażowanych w tę sprawę okazałem całkiem sporo pieprzonej kurtuazji.

- Obrzucanie ludzi obelgami mija się z celem.

- A to czemu? Przecież to jasne, że nie rozumiecie, jak należy postępować według właściwych procedur i łańcuchów dowodzenia.

Thorne postarał się nie mieszać, stał więc tylko w głębi gabinetu Brigstocke a i patrzył. Może wtrąci od czasu do czasu swoje trzy grosze.

- Na miłość boską, dowiedziałem się o tym w pubie! - rzucił Hoolihan. - Bo wasz nadkomisarz miał jakieś układy z moim i nie omieszkał o tym wspomnieć przy ginie z tonikiem.

Thome wyobraził sobie Trevora Jesmonda z jedną nogawką spodni podciągniętą

wyżej i gawędzącego ze szklanką pełną trunku i kostek lodu w dłoni.

- Posłuchaj - rzekł Hignett - mieliśmy was dziś zawiadomić. Ale nad ranem przyjęliśmy zgłoszenie o morderstwie i pewne inne rzeczy okazały się ważniejsze.

To zabrzmiało dość przekonująco. Brigstocke przejął pałeczkę.

- Tak się składa, że Freestonea aresztowaliśmy nie dalej jak dwanaście godzin temu.

- I były powody, by przypuszczać, że mógłby pomóc w prowadzonym przez nas dochodzeniu w sprawie o porwanie i podwójne morderstwo. A więc...

- Zatem nie chodziło o to, że próbowaliśmy zatuszować informację o jego schwytaniu.

Brigstocke i Hignett robili, co mogli, by stworzyć zjednoczony front. Thome był pod silnym wrażeniem postawy Hignetta. Biorąc pod uwagę okoliczności, nadinspektor z Jednostki ds. Urowadzeń mógł liczyć na łagodne potraktowanie za wybuchy wściekłości, wskazywanie palcem na innych i zapewnienie wszystkich, że chciał od razu przekazać Granta Freestone a.

- Dlaczego nikt do mnie nie zadzwonił, kiedy go przywieziono? - spytał Hoolihan. - Choćby z czystej kurtuazji.

Brigstocke i Hignett popatrzyli na siebie nawzajem, usiłując sformułować uprzejmą odpowiedź.

Wszystko zaczęło się pod koniec porannej odprawy, która rzecz jasna została zdominowana przez odkrycie zwłok w Shepherd s Bush. Jak zawsze kluczowe były pierwsze dwadzieścia cztery godziny, toteż najwyższy priorytet uzyskało obecnie śledztwo w sprawie morderstwa Kathleen Bristow. Choć istniało spore prawdopodobieństwo, że i w głównej sprawie dojdzie do jakiegoś przełomu, o samym porwaniu prawie nie mówiono.

Uwagi Thornea nie umknęło, że w miarę upływu kolejnych dni nazwisko Luke a Mullena wymieniano coraz rzadziej. A jeżeli już, to szeptem. Mieli teraz morderstwa, którymi należało się zająć, i doskonale to rozumiał; inne tropy, które mogły okazać się bardziej produktywne. Ale Thome wiedział, że nie tylko to było powodem.

Kiedy przerwano odprawę, pojawił się Graham Hoolihan i ożywiona dyskusja szybko sięgnęła punktu wrzenia, aż sierżant z innego zespołu odprowadził ich w stronę gabinetu Brigstocke a jak rozwścieczony dziedzic ziemski wyprowadzający pijaków z terenu swojej posiadłości.

- Powinniście wiedzieć, że mam pisemne upoważnienie, by zabrać Freestone a do Lewisham.

Lewisham, Sutton, Earlsfield. Trzy miejsca, gdzie po drugiej stronie rzeki miały swoje placówki ekipy Wydziału Zabójstw.

Hoolihan sięgnął po aktówkę, po czym postawił ją na biurku Brigstockea.

- Mój przełożony zdobył dziś rano podpis komendanta Walkera.

Z miejsca, gdzie stał Thome, wyglądało, jakby Hignett i Brigstocke nie wiedzieli, czy mają się zjeżyć, czy zadrzeć. Clive Walker był szefem Wydziału Zabójstw na obszar całego Londynu, jednym z niewielu ludzi, którzy potrafili sprawić, że Trevor Jesmond wydawał się malutki.

- Wobec tego nie traćmy czasu - rzekł Hoolihan. - Czy wciąż macie powód, by przypuszczać, że Freestone może pomóc wam w śledztwie?

Nie było sensu udawać, że taki powód wciąż istniał. Freestone został przesłuchany z samego rana i stwierdził, że kiedy Kathleen Bristow uduszono poduszką, leżał w łóżku w domu swojej siostry. Co łatwe do przewidzenia, Jane Freestone potwierdziła wersję brata i choć nie była najbardziej wiarygodnym świadkiem, alibi na razie pozostawało niepodważone.

Zresztą Thome nawet nie miał powodu, by próbować to robić. Wiedział, że Freestone nie zamordował Kathleen Bristow, tak jak nie zabił Amandy Tickell ani Conrada Allena, i nie stał za uprowadzeniem Luke a Mullena. Powrócił myślami do poprzedniego ranka, kiedy wraz z Porter zwinęli Freestone a w parku. Nie wyglądał na uszczęśliwionego, bo niby czemu? Ale na pewno nie sprawiał wrażenia faceta aresztowanego za morderstwo popełnione kilka godzin wcześniej.

Wahanie, które nastąpiło po pytaniu, ewidentnie dało Hoolihanowi odpowiedź, której pragnął.

- Dobra, to do roboty - ponaglił i postukał palcem w aktówkę. - Mamy od cholery papierkowej roboty.

Thome postąpił naprzód, a potem ni stąd, ni zowąd powiedział:

- Po kimś, kto tak bardzo dba o kurtuazję, spodziewałem się przynajmniej usłyszeć „dziękuję”.

Brigstocke spojrział na niego z ukosa, ale Thome brnął dalej, upominając się w myślach, by nieco zrewidować pojęcie „wtrącić swoje trzy grosze”:

- Dobra, może nie rozegraliśmy tego do końca tak, jak pan sobie tego życzył, ale fakt jest faktem, że wyświadczyliśmy panu cholerną przysługę.

Hoolihan przyłożył aktówkę do piersi, oplótł ją ramionami i czekał, aż Thome będzie mówił dalej.

- Spuścił pan z oczu płótkę taką jak Graham Freestone albo raczej przestał pan zawracać sobie nim głowę jako osobą niewartą zachodu. Ktoś przybił pieczętkę na dorocznym raporcie, ale pan, o ile się nie mylę, praktycznie w ogóle się do tego nie przyłożył.

To że na pańskiej czapce pojawi się śliczne nowiutkie piórko, zawdzięcza pan wyłącznie nam. Może nie jesteśmy tak kurtuazyjni, jak powinniśmy być, ale mimo to sędzę, że należy się nam odrobina pieprzonej wdzięczności.

Słowo na „p” sprawiło, że Hoolihan poczerwieniał. Choć nie zareagował na wypowiedź Thome a, nie ulegało wątpliwości, że ten nie mógł już raczej liczyć na jakiegokolwiek przysługi ze strony Wydziału Zabójstw (Sekcji Południowej).

Po przegraniu pojedynku na spojrzenia, w który nie do końca się zaangażował, Hoolihan odwrócił się do Hignetta i Brigstocke a:

- Nie wywożę Freestonea daleko. Za dzień, dwa postawimy go przed obliczem sędziego, ale gdybyście później chcieli z nim rozmawiać, to nie widzę przeszkód.

Kiedy Hoolihan wyszedł, rozległy się krzyki, ale niezbyt energiczne. Hignett znów okazał powściągliwość, decydując nie puszyć się ani nie powtarzać „a nie mówiłem”. Musieli przedyskutować ważniejsze sprawy.

- Mam wstępny raport z autopsji od Phila Hendricksa - rzekł Brigstocke, po czym sięgnął po kartkę leżącą na biurku i przeczytał:

- Najwyraźniej śmierć nastąpiła wskutek uduszenia... trzy złamane żebra... złamany nos. To od tego, jak mocno dociskał poduszkę. Tak uważa Phil.

Sekunda, dwie patrzania na stopy, ściany i w niebo o niezdecydowanej barwie.

- Nadal uważacie, że o coś mu chodziło? - spytał Hignett.

- To możliwe - odparł Thome. - Porter sprawdzi później to archiwum. Myślę, że spędzi jeszcze trochę czasu w kostnicy.

- O cokolwiek mu chodziło, bardzo chciał to dostać - powiedział Brigstocke i ostatni raz spojrzął na raport z autopsji. - A może był wzburzony.

- Mam nadzieję, że nie za bardzo - rzekł Hignett.

Thome wiedział, o co chodziło Hignettowi, o przerażającą ewentualność, której lepiej było nie ignorować. I zwrócił uwagę, że ponownie poruszając ten temat, nie wymieniono nazwiska chłopaka.

Główna sala odpraw tętniła życiem tylko trochę bardziej niż poprzedniego dnia. Rozmawiano na luzne na niezobowiązujące tematy. Ludzie przechodzili od biurka do biurka, od telefonu do telefonu z nieco większą gwałtownością. Nie upłynęło jeszcze dwanaście godzin od odkrycia zwłok Kathleen Bristow, ale Thome wiedział, że jeżeli się nie pośpieszą, trop stanie się zimny, a sprawa straci tempo. Zamienił kilka słów z Andym Stoneem i paroma chłopakami od uprowadzeń, po czym odbył krótką, nieprzyjemną, ale konieczną rozmowę służbową z detektywem sierżantem Samirem Karimem, który był także kierownikiem biura.

Thome lubił Karima, pulchnego jowialnego Azjatę z wielką strzechą przedwcześnie posiwiałych włosów i silnym londyńskim akcentem. Ale uśmiech, który nieodmiennie gościł na jego twarzy tego ranka, gdzieś się zapodział.

- Wszystko się popieprzyło.

Thome pokiwał głową i nawet nie musiał pytać, o co chodziło Karimowi.

Dave Holland wyglądał na skupionego jak wszyscy inni, ale z bliska, po oczach widać było, że miał za sobą nieprzespaną noc.

- Wyglądam na wczorajszego - powiedział. - Ale pan jeszcze bardziej.

Thome spojrział na ekran komputera Hollanda - stronę internetową dzielnicy Bromley z mnóstwem kontaktowych numerów telefonów i adresów mailowych.

- Włącza się tylko automatyczna sekretarka albo serwis całodobowy - wyjaśnił Holland - to dobre, gdyby pękła rura albo gdyby pojawił się jakiś ekshibicjonista, ale poza tym jest całkiem nieprzydatne. Rozmawiałem z kilkoma osobami w ich domach, ale nie natrafiłem na nic przydatnego. Jeżeli chodzi o archiwum Kathleen Bristow, musimy z tym poczekać do rana, porozmawiać z kimś z opieki społecznej, kto ma dostęp do akt. Choć nawet wtedy to nie będzie robota na pięć minut.

- Skontaktuj się z pozostałymi ludźmi, którzy byli z nimi w zespole - polecił Thome. - Z Roperem i resztą...

Holland wyszedł z sieci i szybko uzyskał dostęp do systemu zgłoszeń informacji o przestępstwach. Był on uaktualniany na bieżąco, wszystkie szczegóły sprawy rejestrowano i katalogowano na użytek całego zespołu. Wprowadził numer sprawy, przeszukał pliki, po czym wybrał nazwiska i kontakty osób z zespołu kuratorskiego Granta Freestone a: Roper, Warren, Lardner, Stringer, Bristow. Postukał palcem w ekran.

- Nie udało mi się odnaleźć Stringer.

- Postaraj się - rzekł Thome.

- Dobra. Ciekawe, jak zareagują na wiadomość o śmierci Kathleen Bristow. Może któraś z nich potwierdzi, że miała akta.

- Roper tak uważa. Ale nie dlatego to zaproponowałem.

Thome spojrział na listę na ekranie Hollanda i kursor migający pod ostatnim nazwiskiem.

- Choć nadal nie wiemy, dlaczego właściwie zabito Kathleen Bristow, nie zaszkodzi upewnić się, czy pozostali członkowie tego zespołu wciąż jeszcze żyją.

Thome był na podwórzcu, kiedy w końcu wyprowadzono więźnia. Opierał się o furgonetkę, która czekała, by zabrać Freestone a na południe, i rozmawiał o niedawnym

meczu Spurs Crystal Palace z jednym z policjantów mających eskortować więźnia.

Hoolihan minął Thome a bez słowa i wsiadł do nieoznakowanego BMW, gotów pojechać za furgonetką do Lewisham.

Sam Freestone był o wiele bardziej skłonny do rozmowy.

- Co się, kurwa, dzieje?

- Już czas, żeby odpowiedzieć za Sarah Hanley, Grant.

- Ja jej nie zabiłem.

- Powtarzaj to im - mruknął Thome.

- Cholerny geniusz...

Freestone został zakuty w kajdanki i dwóch funkcjonariuszy odprowadziło go do otwartych drzwi w tylnej części furgonetki.

Thome począłapał za nimi.

- Pozdrowię od ciebie Tony ego Mullena.

- Powinniście go tu sprowadzić.

- Nie rozumiem po co - odrzekł Thome. - On nie ma nic wspólnego ze sprawą Hanley.

- Widziałem go.

- Co takiego? - Thome przyspieszył kroku. - Kiedy go widziałeś?

Ale Freestone już został wepchnięty do pojazdu i usadowiony na ławce pomiędzy dwoma funkcjonariuszami eskorty. Odwrócił się, by spojrzeć na Thome a, ale nie było czasu, by rozszyfrował wyraz jego twarzy, zanim drzwiczki się zatrzasnęły. Fan Crystal Palace wrzucił przepaszając ramionami i podszedł do szoferki od strony kierowcy.

Thome cofnął się o krok, kiedy furgonetka ruszyła. Parkujący obok niej Hoolihan uruchomił silnik swojego BMW; może był zniecierpliwiony, a może liczył, że z rury wydechowej popłynie zabójcza dla Thome a dawka spalin.

Przechodząc ponownie przez żelazną klatkę, Thome ujrzał Donovana kręcącego się przy stanowisku oficera dyżurnego. Mundurowy prowadził za rękę młodą kobietę. Kiedy Thome podszedł, zobaczył, jak Donovan wdaje się z kobietą w rozmowę, po czym wręcza jej coś, zanim kobieta zostaje odprowadzona w stronę cel.

- Jeszcze tu jesteś, Danny?

- Jakoś nie mogę się wyrwać.

- Teraz ktoś inny powinien zająć się Freestone em, nie uważasz? Może ktoś, kto ma odpowiednie kwalifikacje?

Thome wyciągnął rękę. Zaczekał, aż Donovan poda mu jedną z wizytówek, które trzymał w dłoni.

- Reklamujesz swój interes? Prawdziwy z ciebie biznesmen.

- W czym problem?

- W tym, że trafiłeś na mnie. I że to - uniósł cienką tanią wizytówkę - naprawdę mnie wkurza.

- Na miłość boską...

- Wynocha...

Thome ruszył w stronę wyjścia, rozkładając szeroko ręce i kierując Donovana ku metalowym drzwiom.

- Powinieneś trochę wyluzować, Thome.

Donovan wyszedł tyłem do klatki, odwracając się nieznacznie, jakby zamierzał odejść.

- Zaczyna ci odbijać.

Thorne gwałtownie zbliżył się do Donovana, przyciskając go całym ciałem do ściany klatki.

- Naprawdę powinieneś już iść - wycedził. - A kiedy zjawisz się tu raz jeszcze i zobaczę, jak robisz sobie herbatę, zapuszkuję cię za kradzież ekspresówki.

Donovan zaczekał, aż Thome się cofnie.

- Biorąc pod uwagę rozwój wydarzeń, do tego czasu pewnie będziesz błagał o jakiegokolwiek rozwiązanie.

Kiedy były gliniarz go minął, Thome wyciągnął ręce i pchnął go mocno na ścianę. Donovan wyrznął w metalową ścianę, która trochę się wgniotła, po czym odbił się, upuszczając garść wizytówek, gdy próbował utrzymać równowagę.

Ze strony apartamentu zatrzymań dobiegły nawoływania, a Thome odkrzyknął, że wszystko jest w porządku. Donovan przykucnął i próbował pozbierać wizytówki, ale Thome był szybszy. Ciężko dysząc, trzepnął tamtego w rękę, chwytając tyle wizytówek, ile zdołał, i zamaszystym ruchem rozsypał je po podwórzu. U wejścia pojawiło się dwóch mundurowych, którzy właśnie wracali na posterunek. Popatrzyli przez kilka sekund, po czym skwapliwie wyminęli dwóch mężczyzn zbierających rozsypane rzeczy z ziemi.

Serce Thome a biło przyspieszonym rytmem, gdy Kitson zastała go w jednym z biur Wydziału Śledczego na pierwszym piętrze.

- Nie dostałeś mojej wiadomości? - spytała.

Thome dopił herbatę. Nie było jeszcze dwunastej i zastanawiał się, czy jeszcze nie za wcześnie na lunch.

- Wybacz, miałem pieski dzień.

- Słyszałam.

- Właściwie sprawa z miejsca zbrodni to pikus - rzekł Thome. - Krew polała się dopiero, kiedy wróciliśmy tutaj.

Kitson miała nowe buty. Zrzuciła je, siadając obok Thome a. Przez rajstopy zaczęła rozmasowywać obolałe palce i pięty.

- Mam rejestr rozmów telefonicznych Adriana Farrella.

- Pomogło jakoś?

- Jeszcze nie. Ale jest sporo numerów do sprawdzenia, więc może dopisze nam szczęście. Coś jednak mamy. Pamiętasz, jak mówiłam, że sprawdzę ewentualne związki z Lukiem Mullenem?

- Co masz?

- Na komórce Farrella nic, ale kiedy sprawdziłam bilingi z telefonu stacjonarnego, pojawił się numer Mullena. I to niejedynym razem.

Serce Thome a zabiło jeszcze szybciej.

- Dlaczego nie z komórki? Sądziłem, że dzisiejsze dzieciaki nie rozstają się z komórkami, wysyłając SMSy czy co tam.

- Ma telefon na kartę, tak? Ale także telefon w sypialni. Chyba chciał zaoszczędzić trochę grosza. Dzięki temu mógł dzwonić ze stacjonarnego na koszt rodziców.

- Powiedziałaś „niejedynym razem”...

- Co najmniej sześć połączeń w ciągu trzech tygodni przed zniknięciem. I jeszcze więcej wcześniej.

Thome usiadł, próbując przyswoić sobie to, co mu powiedziała Kitson.

- Kiedy Dave rozmawiał z dziećmi w szkole, Farrell powiedział, że prawie nie znał Luke a Mullena. Wiedział, że on zaginął, ale to wszystko, zgadza się?

- Owszem, choć nie muszę ci mówić, że doskonale potrafi kłamać.

- Zaczekaj, czy jesteśmy pewni, że to Adrian Farrell odbywał te rozmowy? Może pani Farrell i matka Luke a Mullena pracują w Komitecie Rodzicielskim czy czymś takim.

Kitson pokręciła głową.

- Sprawdziłam, ich rodzice prawie się nie znają. Parę słów zamienionych przy kawie na koncercie w szkole, skinienie głowy przy wejściu do budynku, nic poza tym.

- Dobra...

Umysł Thornea, przytępiony głodem i zmęczeniem, maglował możliwości jak goniąca resztkami sił stara suszarka. Czy uprowadzenie Luke a Mullena mogło być związane z Farrellem albo którymś z jego kumpli? A jeżeli tak, to dlaczego nagranie wysłano do rodziców Luke'a? I co, u licha, miało to wspólnego z Kathleen Bristow?

- To nie były krótkie telefony, Tom - dodała Kitson. - Dziesięć, piętnaście minut.

- Co mówi Farrell?

- Jeszcze z nim o tym nie rozmawiałam. Zastanawiałam się, czy chciałbyś pójść tam ze mną i samemu się przekonać.

Thome wymamrotał zduszone „tak”, podczas gdy w jego myślach wciąż panował okropny mętlik.

- Jeszcze jedno - rzekła jakby po namyśle Kitson. - Kiedy będziesz rozmawiał z Farrellem, może uda ci się z niego wycisnąć nazwiska dwóch kumpli, którzy pomogli mu w zamordowaniu Amina Latifa. Wtedy połowa laurów z tego tytułu spadnie na ciebie.

Siedzieli, ciesząc się chwilą i nie spiesząc się nigdzie. Rozcierali obolałe stopy i pili herbatę z papierowych kubków jak zwyczajni ludzie pracy podczas przerwy. Łapali oddech. Thome miał wrażenie, że to ich ostatnia szansa na długą przerwę. Podczas poprzednich spraw nadchodził taki moment, kiedy czuł, jakby znajdował się na

kolizyjnym kursie z tym, kogo próbował schwytać. Zupełnie jakby zaczynał przyspieszać i tylko kwestią czasu było, kiedy i gdzie dojdzie do zderzenia.

W tym wypadku było inaczej.

Wrażenie nieuchronności było takie samo, jakby coś zaczynało podchodzić do gardła; wrażenie zbliżającego się końca. Ale nie dlatego, że byli blisko celu, ani że coś zbliżało się do nich.

Thome czuł po prostu, że zaczyna brakować im czasu.

Nie chciał skrzywdzić chłopaka.

To nie zmieniało faktu, że jednak to zrobił - wiedział, że jego słowa były niczym ciosy albo siarczyste policzki. Ale nie robił tego celowo. Oczywiście wszystko było prostsze i bardziej skomplikowane zarazem. Pragnął zranić kogoś innego. Kogoś, kto ujrzawszy, jak bardzo cierpi ukochane dziecko, poczułby ten ból po tysiącokrotnie mocniej.

To miałooby sens, czyż nie? Wtedy spojrzeliby na wszystko z innej perspektywy.

Sama idea była w miarę prosta i nieskomplikowana, ale od samego początku, gdy zaczął wcielać swój plan w życie, poczuł, że wszystko mu się wymyka. Teraz naprawdę już nie wiedział, czy sprawy potoczą się tak, jak powinny, wszystko wymykało się spod kontroli. On utracił nad wszystkim kontrolę. Ale przynajmniej nie posunął się tak daleko, żeby nie wiedzieć, co się działo. Wciąż był tego świadomy. Widywał to zbyt często; wypadki samochodowe, które niszczyły ludzkie życie, ich własne i wszystkich, którzy ich otaczali - popaprańców, których łzy były jak najbardziej prawdziwe, których udręka mogła wyssać z pomieszczenia całe powietrze, ale którzy nie potrafili pojąć, że nie było na to żadnego

wytłumaczenia.

Nie chciałem nikogo skrzywdzić...

Wiedział doskonale, że robił okropne rzeczy. Ze dobre intencje nic nie znaczyły w porównaniu z krwią, jaką miał na rękach, i hałasami dochodzącymi z piwnicy. I że to się wkrótce skończy, choć jeszcze nie wiedział jak.

Ponad polem niósł się dźwięk dzwonów.

Usiadł i zaczął zastanawiać się nad jakimś rozwiązaniem. Gdyby po prostu otworzył drzwi i usunął się na bok, sprawy szybko poukładałyby się same. Chłopak pognałby w stronę, skąd dobiegał dźwięk dzwonów, w stronę miejsca, gdzie znajdował się telefon, i byłoby po wszystkim. Ale to tylko hipotetyczny nonsens, bo wydarzyło się zbyt wiele, aby to wszystko miało się tak skończyć. Nie można już było wszystkiego wymazać do czysta. Mimo to czuł się świetnie, wiedząc, że nie tylko on za to zapłaci.

Kiedy dzwony w końcu przestały bić, znów usłyszał szloch. Dochodził spod podłogi, rozpaczliwy łamiący się rytm przybierający na sile co kilka oddechów i zmieniający się w zboląły, żalony jęk.

Zamknął oczy, usiłując zapomnieć o tym, jaki był głupi, aż nieomal uwierzył, że słyszał jedynie szmer wody i rdzy oraz dźwięki z rur grzewczych poniżej.

Luke

W Butler s Hall religię traktowano jako nieodłączny element nauki. Nie była to szkoła kościelna, ale na apelach codziennie śpiewano hymny i choć nie wpajano tego na lekcjach religii, zakładano z góry, że ci rodzice, którzy nie powiedzieli inaczej, należeli do Kościoła episkopalnego.

Wiedział, że kapelan wygłosiłby kilka mów. Zapewne coś o zabłąkanej owieczce. Ze nauczyciele ustawiliby się na podium z pochylonymi głowami i każdego ranka odmawialiby za niego modlitwę.

Teraz sam zaczął się modlić.

Wypełnił umysł różnego rodzaju śmieciami, próbując pozbyć się wszystkiego, co niechciane. Myślał o wszystkim, o czym tylko mógł, podczas gdy ten mężczyzna mówił do niego, i później, kiedy tamten już skończył i poszedł sobie. Obrazy ulic i stacji metra, reguły gier, w które grywał z Juliet, kiedy byli młodszy, imiona swoich starych pluszowych zabawek... Cokolwiek.

Teraz znalazło się tam również miejsce dla Boga.

Ani jego mama, ani ojciec nie byli zbyt religijni, jeżeli nie liczyć tych dziwacznych jasełek, a Juliet wydawała się wręcz zauroczona satanizmem. On jednak zawsze lubił religię

jako taką, w całej jej prostocie, jako ideę. Trudno było się spierać, że miłość i współczucie to złe idee. Poza tym niektóre fragmenty z Biblii naprawdę były niezłe, jeśli zaglądało się do Pisma sporadycznie.

Widział kiedyś program w telewizji o tym, jak złe rzeczy przydarzały się dobrym ludziom: o facecie, który pracował dla organizacji dobroczynnej i zapadł na straszną chorobę, i o parze, która co chwilę chodziła do kościoła i której córka zaginęła. W tym programie mówiono, że cierpienie jest częścią bycia chrześcijaninem i że wszystko, czemu są poddawani ludzie, stanowi próbę ich wiary. Oglądał ten program, uważając, że prawdopodobnie musieli powiedzieć coś takiego. Stwierdził, że gdyby wierzył w Boga i został poddany takiej próbie, do takiego stopnia, poniósłby klęskę.

Ale on nie wierzył, nie tak naprawdę. A poza tym wiedział, że to, co przechodził, było winą tylko tego faceta za drzwiami piwnicy. Tak więc modlitwa nie mogła niczemu zaszkodzić, prawda?

Domyślał się, że kapelan szkolny mógłby mieć coś do powiedzenia o modleniu się i równoczesnym hołubieniu tak brutalnych myśli; gdy kurczowo ścisnął starannie przygotowane środki, by przerodzić te myśli w czyny, o ile tylko będzie to konieczne. Przypomniał sobie jednak, że w porównaniu z niektórymi fragmentami ze Starego Testamentu Grand Theji Auto wydawało się apoteozą łagodności. Wiedział, że Bóg nie miał problemu z krwią ani gromami i raził nimi tych, którzy na to zasługiwali.

Właściwie gdyby miał to zrobić, najstosowniej byłoby poprosić Boga, żeby dał mu szansę.

Dlatego trochę się modlił, bo wiedział, że to ostatnia rzecz, do jakiej uciekali się ludzie. A potem wycierał łzy i smarki. Wracał do mętlika wspomnień i mentalnej gimnastyki.

Nazwiska wszystkich dzieciaków w klasie w porządku alfabetycznym, od A do Z i z powrotem. Planety i księżyce. Gwiazdy i satelity. Jego zabawki.

Dinozaur. Królik Bugs. Brązowy pluszowy Miś Kudłaczek...

20

Stało się dla niej regułą, że nie patrzyła na twarze.

Nie chodziło o ból. Porter przywykła do oglądania szczelin i pęknięć, jakie ból rysował na twarzach, pracowała z tym przez większość dni. Jednak na tych twarzach malowała się też nadzieja: że koszmar wkrótce się skończy, że ona lub ktoś taki jak ona zrobi dobrą robotę i sprowadzi ich ukochanych z powrotem do domu. Były takie chwile, jeżeli te nadzieje nie miały podstaw, kiedy trudno to było dostrzec, ale nic nie było równie

przerazające jak ich brak.

Kiedy chodziło o identyfikację zwłok, nadzieja pozostawała zwykle aż do ostatniej chwili. Nadzieja, że zaszła jakaś straszna pomyłka, że policja coś pokręciła, że ich żona/mąż/dziecko wciąż gdzieś żyją. Niekiedy faktycznie pojawiał się element wątpliwości, jeżeli chodziło o tożsamość, i to ona musiała patrzeć. Ale nawet wtedy ani razu nie widziała, żeby ta nadzieja została nagrodzona. Patrzyła, jak gaśnie i umiera w mgnieniu oka, znika w czasie, jakiego potrzeba do nabrania głębszego oddechu.

Dlatego Louise Porter już nie patrzyła. Spuszczając wzrok w chwili, gdy gasła nadzieja.

Później siedziała z nimi na brązowej plastikowej ławce przy wejściu do kostnicy. Francis Bristow i jego żona złapali wczesny pociąg z Glasgow. Z torbami podróżnymi w rękach wyglądali jak rozbawieni turyści, którzy źle skręcili.

- Macie państwo gdzie się zatrzymać? - spytała Porter. - Macie tu jakąś rodzinę?

Joan Bristow siedziała na drugim końcu ławki. Spojrzała na męża, który usiadł pośrodku, po czym nachyliła się lekko, by spojrzeć na Porter.

- Właściwie to nie wiedzieliśmy, co będziemy robić. Jak długo tu zostaniemy i w ogóle.

- Zobaczę, czy uda mi się coś dla państwa załatwić - rzekła Porter.

- Rozumie pani, nie wiedzieliśmy...

Kobieta miała narzucony na kolana niebrzydki wełniany płaszcz. Obok niej brat Kathleen Bristow siedział sztywno wyprostowany, patrząc przed siebie, jakby studiował każdą wypukłość i szczelinę w żółtych jak kaczeńce ścianach. Miał na sobie wyglansowane mokasyny, garnitur i krawat. Włosy miał gęste, kremowego koloru, oczy równie niebieskie jak u jego żony za szklami okularów wydawały się rozszerzone i wodniste. Musiał być już po siedemdziesiątce, kilka lat starszy od siostry, ale Porter miała trudność, by stwierdzić, czy zachodziło jakiegokolwiek rodzinne podobieństwo. Nie zdążyła przyjrzeć się fotografiom w sypialni i nie mogła porównać żadnej żywej twarzy z tą, jaką ujrzała u Kathleen Bristow.

Staruszek odezwał się nagle, jakby podążał za tokiem myślenia Porter:

- Nie rozumiem, skąd te wszystkie zasinienia wokół jej nosa. Był cały czarny jakby ktoś ją pobił.

Głos był cichy, a akcent z Glasgow mocny, więc Porter musiała wyteńczyć słuch. Zaczął wymachiwać palcem przed swoją twarzą, wskazując na nią.

- No i jeszcze to tutaj... Coś było nie tak z jej ustami.

Parze powiedziano, jak zmarła Kathleen Bristow, i jeszcze przed identyfikacją ostrzeżono, że na twarzy są widoczne ślady. Porter zawahała się, nie chcąc z wielu powodów

tłumaczyć Francisowi Bristowowi, co zrobiono jego siostrze, gdy ją mordowano.

Akcent u Joan Bristow był mniej wyraźny niż u jej męża.

- Nie mogą nam tego powiedzieć, Frank.

Ścisnęła go za rękę i spojrzała na Porter.

- Zgadza się, moja droga?

Porter pokiwała głową, ucieszona takim obrotem sytuacji, i spojrzała na palec, który wciąż krążył wolno przed twarzą mężczyzny.

- Co ja mówiłam o rodzinie? Zadzwoniliśmy do pana, bo to pan zgłosił jej zaginięcie. Zakładamy, że nie miała dzieci...

- Nie miała - potwierdził Bristow.

Te same słowa powtórzyła po raz trzeci jego żona. Pokręciła głową i odezwała się półgłosem, jakby to była kolejna, mniejsza tragedia:

- Kath nigdy nie wyszła za mąż, wie pani. Przez wiele lat mieszkała z przyjacielem.

Spojrzała na Porter na wypadek, gdyby cudzysłów wokół słowa „przyjaciół” nie był dostatecznie oczywisty.

Porter zrozumiała doskonale.

- Dobrze, może szczegóły podacie nam państwo później, gdybyście zechcieli powiadomić tego jej przyjaciela.

- Szczerze mówiąc, nie bardzo je znamy.

- Kath była dość skryta - dodał starszy. - Nie opowiadała o swoim życiu prywatnym. - Skubał coś przy kłapie marynarki, wspominając. - Przyjeżdżała do domu mniej więcej raz do roku albo my wpadaliśmy do niej na weekend.

- To trudne, gdy się mieszka tak daleko - rzekła Porter.

- Fakt. Ale mimo to o pewnych rzeczach nie rozmawialiśmy, rozumie pani?

- Cii, lepiej teraz o tym nie myśleć, mój drogi.

- To cholernie głupie, gdy zaczynasz się nad tym zastanawiać.

- W pracy przez cały czas była zaangażowana w życie innych ludzi, a sama o sobie nic nie mówiła, rozumie pani?

Joan Bristow nachyliła się do męża, siląc się na uśmiech, choć z uwagi na grubą warstwę pudru i podkładu nie było to łatwe. Siedzieli i patrzyli na kobietę z elektryczną froterką, słuchali toczącej się gdzieś nieopodal jednostronnej rozmowy telefonicznej i wybuchów śmiechu dobiegających z pokoju w głębi korytarza.

Porter otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć, by zatuszować hałas, ale Joan ją uprzedziła.

- Czy to był jeden z tych świrów? - spytała, a na jej twarzy odmalował się zboląły grymas, w głowie pobrzmiwał żal. - Jeden z nich, wypuszczony skądś, podczas gdy wciąż coś jest z nim nie tak. Stale się o tym czyta.

- Za wcześnie jeszcze, by o tym mówić.

- Kath przez lata nieraz miała do czynienia z różnymi szajbusami. Myśli pani, że to mógł być jeden z nich?

Porter nie miała pojęcia. Ktokolwiek zamordował Kathleen Bristow i tamtą dwójkę, w jej mniemaniu na pewno nie był normalny, choć inni stwierdzą zapewne później, że cierpiał na „zaburzenia umysłowe”. Jej zdaniem procedury decydujące o takich sprawach były co najmniej dziwaczne. Adwokat próbował kiedyś wyjaśnić jej zasady określenia poczytalności umysłowej: jeśli na przykład jakiś mężczyzna wrzuci niemowlę do pieca, wierząc, że to nie dziecko, lecz kawałek drewna opałowego, oznacza to, iż jest niepoczytalny i nie można go postawić przed sądem. Zgodnie z prawem natomiast można by go sądzić, gdyby, wrzucając dziecko do ognia, wiedział, że to dziecko.

Dla Porter to było niedorzeczne i powiedziała to głośno. W jej rozumowaniu ktoś, kto wiedział, że dziecko to dziecko, był jeszcze bardziej szalony i niebezpieczny. Adwokat tylko się uśmiechnął, jakby właśnie to czyniło cały aspekt tej sprawy bardziej złożonym... i przez to fascynującym.

Przypomniała sobie, co kurator Peter Lardner powiedział o intencjach. Jeżeli to była szara strefa, to ograniczona poczytalność miała tysiąc różnych odcieni.

- W dalszym ciągu musimy stawiać sobie pytanie „dlaczego?” - rzekł Bristow.

- Ale po co, mój drogi? To po prostu pech, i tyle.

Staruszek pokręcił głową. Jego głos stał się nagle słaby i odległy.

- Czy to wariat, czy nie, nadal chcesz wiedzieć, co siedzi takiemu w głowie.

Potarł dłonią podbródek i przez chwilę słychać było skrobanie siwego zarostu.

- Co sprawiło, że wybrał naszą Kathleen?

Porter nie spojrzała na ich twarze, kiedy zobaczyli ciało, i nie wygłosiła żadnej mowy. Powiedziała tylko, co było konieczne. Wyjaśniła Francisowi Bristowowi, jak się miały sprawy, że wszyscy borykali się z tą kwestią, ale uczyni dla nich wszystko, co w jej mocy, i będzie ich informować.

Złożyła też sobie obietnicę, taką, w jakich gustowali ludzie pokroju Toma Thome a, nieraz zmuszeni, by je łamać, a potem żyć z tą świadomością.

Odzyskanie Luke a Mullena pozostawało jej podstawowym priorytetem. Dopóki można było ocalić życie, to nie podlegało dyskusji. Jednak w związku z nieoczekiwanym

zwrotem w sprawie o porwanie postanowiła, że postara się dać siedzącemu obok niej mężczyźnie zdecydowaną odpowiedź. Powie mu, dlaczego zginęła jego siostra, i dowie się tego od osoby, która była za to odpowiedzialna.

Porter zaczęła mówić, że powinni już iść i że dopilnuje, aby ktoś się nimi zajął, gdy nagle poczuła, jak czyjaś dłoń ujmuje ją delikatnie za rękę. Kiedy uniosła wzrok, zobaczyła, że Francis Bristow patrzy tępo przed siebie, mrugając, by pozbyć się łez napływających do oczu.

Podążyła za jego spojrzeniem i cała trójka siedziała przez dłuższą chwilę, patrząc na kobietę z froterką.

- Detektyw sierżant Holland?

- Przy telefonie.

- Nadinspektor Roper z Wydziału Dochodzeń Szczególnych. Zostawił pan wiadomość.

Holland odłożył kanapkę.

- Zgadza się.

Napił się wody z butelki, by przepłukać usta.

- Dziękuję, że tak szybko pan oddzwonił.

- Mam tylko pięć minut.

- Chcieliśmy poinformować, że dziś wczesnym rankiem odkryliśmy ciało Kathleen Bristow.

Chwila przerwy; być może Roper potrzebował jej, by skojarzyć to nazwisko. Holland nie miał pewności.

- Biedaczka - rzekł w końcu Roper. - Chryste...

- Została zamordowana.

Kolejna pauza. Tym razem zdecydowanie dla efektu.

- Cóż, nie spodziewałem się, że zadzwonił pan, by poinformować mnie, że odeszła spokojnie, oglądając w telewizji ulubiony serial.

- Zgadza się.

- Jak zginęła?

- Ktoś włamał się do domu i ją udusił.

- Pięknie.

- Wygląda na to, że miała spore archiwum - rzekł Holland. - Szafki z aktami jej starych spraw i Bóg wie, co jeszcze.

Czekając na odpowiedź, odgryzł kolejny kęs kanapki. Słyszał dochodzące z

sąsiedniego pokoju łagodne dźwięki muzyki klasycznej.

- I sądzi pan, że to jest w jakiś sposób związane z tym porwaniem? Z Grantem Freestone'em, a może z Sarah Hanley?

- Staramy się mieć otwarte umysły.

- Zadzwoił pan, żeby mnie o tym powiadomić, tak?

- Cóż...

Muzyka w tle dawała wrażenie, jakby przełączono go na oczekiwanie.

- Nawet nie każe mi pan upewnić się, czy mam dobrze pozamykane drzwi i okna?

- Przyjąłem, że i tak zechce pan to sprawdzić, panie nadinspektorze - powiedział Holland.

- Prezent dla ciebie.

Thome rzucił reklamówkę na stół przed Adrianem Farrellem.

- Twoje dwadzieścia cztery godziny mijają za nieco ponad dziewięćdziesiąt minut - rzekł Wilson.

Kitson spojrzała na zegar.

- O czwartej trzydzieści osiem.

Farrell wyglądał na znużonego, podejrzliwego. Sięgnął i przyciągnął reklamówkę do siebie, podczas gdy Thome i Kitson zajęli swoje miejsca.

- Tak się składa, że rozmawiałam już ze swoim przełożonym - powiedziała Kitson. - Zapewniłam go, że dokładam wszelkich starań, aby ta sprawa została należycie i dogłębnie wyjaśniona...

Adwokat wykonał ponagląjący gest ręką.

- Krótko mówiąc, udało mi się uzyskać sześciogodzinne przedłużenie aresztu. - Uśmiechnęła się do Farrella. - Jeżeli uznam to za stosowne, posiedzi tu do za dwadzieścia jedenasta.

Oblicze Farrella spochmurniało, gdy zaczął wyciągać rzeczy z reklamówki.

- Nie mów, że nigdy nic dla ciebie nie zrobiliśmy - powiedział Thome.

Chłopak pchnął „prezent” od Thornea na drugi koniec stołu.

- To jakieś wariactwo.

Thome wziął do ręki jeden z tanich czarnych espadryli i przyjrzał mu się. Z boku każdy z nich miał naklejony znaczek wycięty z kolorowej taśmy na wzór logo Nike.

- Jak chcesz.

Włożył espadryle z powrotem do torby.

Pokój przesłuchań, w którym przebywali, był od niedawna zaopatrzonej w stację

CDROM; Kitson rozpakowała i załadowała czyste dyski, wygłosiła zwyczajową formułkę i zaczęła nagrywanie.

Thome nie tracił więcej czasu.

- Jak dobrze znałeś Luke a Mullena? - zapytał.

Farrell wyglądał na szczerze zaskoczonego.

- Tego dzieciaka, który zniknął?

- Mówiłeś funkcjonariuszom, że prawie go nie znałeś, kiedy rozmawiali z tobą przed szkołą.

- Po co więc znów mnie o to pytacie?

- Powiedzmy, że nie byłeś z nami do końca uczciwy w ważnych kwestiach, więc pomyśleliśmy, że i w tej sprawie chciałeś nam wcisnąć kit.

Farrell żuł gumę. Trzymał ją między zębami i ugniatał językiem.

- To jest istotne dla waszego śledztwa w sprawie o morderstwo? - zapytał Wilson, spoglądając na Kitson. - Mam nadzieję, że tak.

- Może znałeś go trochę lepiej, niż nam mówiłeś - rzekł Thome.

Wilson zaczął pisać w notatniku.

- Myślę, że lepiej, żebyś nie odpowiadał, Adrian.

Farrell uniósł jedną rękę. Przeczesał palcami włosy i zaczął je straszyć.

- Dobra - powiedział. - On był rok niżej, więc nie mieliśmy ze sobą większej styczności. Nie byliśmy nigdy w jednej drużynie ani nawet w tym samym budynku. Może zamieniliśmy parę słów na boisku, ale to wszystko.

- Nigdy nie dzwoniłeś do niego do domu?

- Nie.

Wyglądał na przerażonego, jakby oskarżono go o coś wyjątkowo nefajnego.

- Może się nad tym zastanowisz, Adrian.

Wydawało się, że Farrell poszedł za radą Thome a. Zamrugnął i zaczął nerwowo przebierać palcami i choć wyraz jego twarzy pozostał zuchwały, kiedy znów się odezwał, w jego głosie nie było już takiej pewności siebie.

- No dobra, może zadzwoniłem do niego raz czy dwa.

- Po co to zrobiłeś?

- Był niegłupim dzieciakiem, co nie? Może potrzebowałem drobnej pomocy przy pracy domowej czy coś.

- Sądziłem, że to ty jesteś bystrzakiem.

- To był tylko raz czy dwa.

Kitson wyjęła z torebki wydruk bilingów, wskazała na pozycje zakreślone markerem i przeczytała:

- Dwudziesty trzeci listopada ubiegłego roku, od dwudziestej siedemnaście do dwudziestej czterdzieści cztery, trzydziesty listopada od dwudziestej pierwszej zero pięć do dwudziestej pierwszej dwadzieścia dwie, czternasty stycznia tego roku, dwunasty lutego. A potem telefon siedemnastego lutego, rozmowa trwała prawie godzinę...

- Chyba potrzebowałeś korepetycji - zauważył Thome.

Wyraz twarzy Farrella zmienił się tak jak jego głos. Chłopak odchylił się od stołu, poczerwieniał, rozpaczliwy uśmiezek błąkał się na jego ustach.

- To jakieś bzdury - powiedział i odwrócił się do Wilsona. - Nie powiem nic więcej.

- Wydaje się bardzo dziwne, że kłamałeś w takiej sprawie, to wszystko.

Farrell wpatrywał się w blat stołu.

Thorne spojrział na Kitson i po wyrazie jej twarzy zorientował się z miejsca, że nigdy nie widziała Adriana Farrella tak wstrząśniętego.

- Może do tego wrócimy - zasugerował Thome. - Nie chcielibyśmy, aby pan Wilson oskarżył nas, że cię nękamy.

Wilson tylko usiadł wygodnie i zaczął klikać swoim drogim długopisem kulkowym.

- Czy w waszej szkole zdarzają się przypadki nękania? - zapytał Thome.

Nie czekał długo na odpowiedź. Nie ulegało wątpliwości, że będzie to większym lub mniejszym stopniu monolog.

- Zawsze się zdarzają, prawda? Nie da się tego całkiem wyplenić, bo zawsze znajdzie się parę dzieciaków, które za sobą nie przepadają. Nie lubią samych siebie. Uważa się, że to właśnie jest głównym powodem nękania, wiedziałeś o tym? To, w jaki sposób myślą o sobie. Jeżeli chcesz znać moje zdanie, tak samo jest z tymi, którzy robią to poza szkołą. Z tymi, którzy próbują zyskać lepsze samopoczucie dzięki temu, że skopią kogoś na ulicy. Z tymi, którzy atakują nieznanych im ludzi, bo spojrzeli w niewłaściwą stronę albo wyobrażają sobie, że „zostali znieważeni”, z tymi, którzy okaleczają, maltretują lub zabijają kogoś tylko dlatego, że jest czarny, jest gejem albo nosi buty niewłaściwej firmy. A potem uważają się za „honorowych”, odmawiając sypnięcia kolegom, kiedy zostaną złapani.

- Podaj nam ich nazwiska - rzekła Kitson. - Podaj je i będziemy mogli wreszcie z tym skończyć.

- Właściwie poniekąd nawet to rozumiem - kontynuował Thome.

- Możesz nazwać te zbrodnie „plugawymi” lub „złymi”, czy jak tylko zechcesz, ale koniec końców wszystko sprowadza się do zwykłej

niewiedzy, a na to nikt z nas nie jest niestety uodporniony, prawda? Ale istnieje jakaś skala, prawda?

Wykreślił palcem na blacie stołu długą linię.

- Uważam, że jestem tolerancyjny, to oczywiste. Podobnie jak większość z nas. Jednak od czasu do czasu przychodzą mi do głowy rzeczy, których nie odważyłbym się powiedzieć głośno. Nie wiem, skąd się biorą ani jak tam trafiają, ale skłamałbym, gdybym powiedział, że nie przyłożyłem do tego ręki. Sam nigdy bym tego nie zrobił i uważam, że ci, którzy robią takie rzeczy, to męty, szumowiny, śmieci... ale wiem, dlaczego tak się dzieje. Rozumiem, że oni są jeszcze większymi ignorantami ode mnie.

Przerwał na kilka sekund. Patrzył na zmieniające się cyfry na elektronicznym zegarze nad drzwiami.

43... 44... 45...

- Co się właściwie stało z Aminem Latifem? - Thome pokręcił głową. - Tu musi chodzić o coś innego. Bez dwóch zdań. Nie wiem nawet, czy chciałbym zrozumieć, dlaczego ktoś mógłby zrobić coś takiego. Pierwsza sprawa jest w sumie nietrudna do rozgryzienia - to coś, o czym przed chwilą mówiłem. Chodzi o ignorancję i prostą chęć, by poczuć się lepszym. Amin i jego przyjaciel stali na przystanku autobusowym i nie odwrócili wzroku, kiedy ty i twoi kumple ich obcinaliście. Może coś wam odpowiedzieli. I dlatego zasłużyli, aby wziąć ich na fleki, zgadza się? A przynajmniej Amina, bo jego kolega zdołał uciec, dzięki czemu pozostało trzech na jednego. To dobry układ jak dla takich twardzieli jak ty i twoi kumple, prawda?

Farrell wychylił się lekko do przodu. Wymamrotał coś. Dłonie zaciśnięte w pięści opuścił wzdłuż boków.

Kitson nachyliła się ku niemu, próbując wychwycić wzrok Farrella.

- Tylko nazwiska, Adrian. Miejmy to już za sobą.

- Nie jesteś prawiczkiem, co nie? - Thome zadał kolejne retoryczne pytanie i natychmiast mówił dalej: - Chryste, zakładam, że nie. Masz już przecież siedemnaście lat. Wiesz, jaki powinien być seks, prawda? Miłość w idealnym świecie, to oczywiste. Pożądanie zazwyczaj też, powiedzmy sobie uczciwie. A także przyzwyczajenie, woda i od czasu do czasu znudzenie... Ale to, co się stało z Aminem Latifem nie było związane z żadną z tych rzeczy, prawda?

36...37... 38...

- Wyobraźmy sobie przez chwilę, że nie było cię tamtej deszczowej nocy na przystanku autobusowym. Opowiem ci, co się stało, co wiemy, że zaszło, z zeznań Nabeela

Khana, i co wynika z innych materiałów dowodowych. A ty mi później powiesz, czy twoim zdaniem o to właśnie chodziło. Dobra? Bo przecież było po wszystkim i to jest właśnie najdziwniejsze. Ten pakistański skurwiel leżał na wpół martwy w rynsztoku, dlaczego więc tych trzech po prostu się nie zmyło? Może jeden czy dwóch z nich chciało odejść, ale ktoś ich zatrzymał i podsunął nowy pomysł. Powiedział, że chce dać temu skurwielowi naprawdę mocną nauczkę. Rozciąga go na chodniku i przewraca na brzuch. Rozpina Aminowi Latifowi pasek i ściąga dżinsy. Nadążasz za tym?

Oddech Farrella stał się cięższy, wilgotniejszy...

- A potem sam ściąga spodnie i majtki i, jak się domyślam, w tym momencie jego dwaj kumple naprawdę rejterują. Nie chcą mieć z tym nic wspólnego. Może pokrzykują na niego, żeby dał sobie spokój, wyzywają go od zbrojeńców, ale w tej chwili jest mu to obojętne. Nie myśli o niczym innym. Poniosło go i już wyjął swojego małego fiutka... Już osunął się na kolana...

- Czasami człowieka tak ponosi zupełnie bez powodu... - wtrąciła Kitson.

- Próbuje włożyć go Amanowi Latifowi.

- Kiedy zgarniemy Damiena Herberta i Michaela Nelsona i okaże się, że to byli oni, na pewno potwierdzą, że to był twój pomysł.

12...13... 14...

- Ale ten pakistański drań, jak był określany, podczas pierwotnego ataku zaczyna się bronić. Jak dotąd ma tylko parę złamań. W tym momencie gnój, który za nim klęczy, może jeszcze odejść niezagrożony karą dożywocia. Ale wybiera co innego. Amin Latif także dokonuje wyboru: stawia opór i nie chce wypiąć tyłka, nie chce poddać się zwierzęciu, które usiłuje go zgwałcić, które próbuje udowodnić, jakim jest mężczyzną. I w końcu to zwierzę rezygnuje. Wstaje i zaczyna robić sobie dobrze. I kiedy jego kumple się śmieją, on się masturbuje. Ale zanim jeszcze zdąży dojść, zaczyna kopać swoją ofiarę w głowę i w bok i nie przestaje, dopóki Amin Latif całkiem nie znieruchomieje. Leży w rynsztoku. Skąpany w deszczu, krwi i spermie.

Kiedy Farrell nagle uniósł wzrok, widać było wyraźnie, że od jakiegoś czasu bezgłośnie płakał. Kołnierz jego bluzy był pociemniały od łez.

Zaszlochał w głos i zaczął sypać przekleństwami, miotając się na krześle jak oparzony. Wyzywał ich od suk i cip i próbował się wyrwać, gdy Wilson wyciągnął rękę i położył na jego ramieniu.

Ani Kitson, ani Thome nie mieli pewności, czy ten wybuch nienawiści był skierowany wyłącznie przeciwko nim za to, co się stało, za to, do jakiego stanu go doprowadzili. Łzy,

które ściekały mu po twarzy, kiedy szarpał się i wyrzucał z siebie kolejne obelgi, przynajmniej do pewnego stopnia były wymierzone także w niego samego za to, co zrobił.

Za to, czym był.

Kitson musiała podnieść głos, aby zakończyć przesłuchanie. Farrell wciąż kłął, zachrypnięty i poczerwieniały na twarzy, kiedy policjanci zapieczętowali płyty i wezwali do pokoju strażnika więziennego.

Było na tyle miło, by ludzie mogli cieszyć się popołudniowym piwem przed Oak albo po prostu kręcić się po ogródku przy sąsiedniej posesji.

Thorne i Kitson wracali do Peel Centre po raz pierwszy od kilku minut w zupełnej ciszy. Thorne zorientował się, że Kitson była wściekła, iż nie zdołała pozyskać nazwisk, o które jej chodziło. On też zastanawiał się na eksperymentalnym przebiegu przesłuchania i jeszcze dziwniejszą reakcją chłopaka na pytanie dotyczące telefonów do Luke'a Mullena.

- Skąd to się wszystko wzięło? - spytała Kitson. - To, co zrobił Latifowi. To, co próbował zrobić.

- Myślisz, że mógł być molestowany?

- Nie wiem. Po prostu szukamy czegoś, co brzmi sensownie.

- A co z ojcem?

- Nie dotarłam do niego, ale raczej bym na to nie stawiała.

Przeszli przez ulicę i dochodząc do szlabanu, wyjęli legitymacje.

- To, co powiedziałaś podczas przesłuchania o tym, co ci przychodzi do głowy. - Kitson spojrzała na niego. - Wymyśliłeś to?

- Chyba tak, w większości. Ale przecież nikt z nas nie jest święty.

Okazał legitymację i pomaszerował dalej.

- Gdybym zobaczył kogoś z blizną na twarzy, pomyślałbym o tym, skąd może ją mieć, i podejrzewałbym, że może być potencjalnie agresywny i brutalny. Nie postrzegałbym go jako ofiary. Czy to się aż tak różni od sytuacji, kiedy kobieta, widząc podchodzącego do niej nocą młodego Murzyna, obawia się, że zostanie napadnięta?

- Ta robota sprawia, że dostrzegamy w ludziach to, co najgorsze - rzekła Kitson. - Ale to wciąż nic innego jak rodzaj uprzedzenia, tak?

Przystanęli na kilka sekund, zanim weszli do Becke House, obserwując, jak grupa rekrutów w gimnastycznych strojach biega za piłką po boisku. Wszyscy byli pełni gniewu i rozgoryczenia. Wszyscy bez wyjątku.

Zastał Porter w jej samochodzie, gdy wracała na miejsce zabójstwa Bristow w Shepherd s Bush.

- Zaczekaj, mam zajęte ręce.

Thome usłyszał syrenę. Domyślił się, że opuściła telefon, by przyłapanie detektywa inspektora za jazdę bez zachowania niezbędnych zasad bezpieczeństwa i uwagi nie poprawiło przeciętnemu mundurowemu konstablowi humoru na całe popołudnie.

- Dobra, zamieniam się w słuch.

Opowiedział jej o przesłuchaniu Adriana Farrella i o dziwnej reakcji chłopaka na wiadomość o rozmowach telefonicznych.

- To było zastanawiające - ciągnął Thome. - Żebym jeszcze wiedział, co to mogło, u licha, oznaczać.

Porter powiedziała coś, ale sygnał przerywał i Thome wychwycił jedynie fragmenty. Poprosił, by powtórzyła.

- Może to nie do Luke a dzwonił.

- Sprawdzaliśmy j uż rodziców...

- A jeśli w całej tej rodzinie są rasistowskie przekonania? Może Tony Mullen to członek BNR a stary Farrella wydzwania do niego, żeby organizować spotkania czy coś w tym rodzaju.

- Kitson to sprawdziła. Oni się prawie nie znają.

- Oczywiście mógł też dzwonić do siostry, do Juliet.

Thorne wyprostował się przy biurku. Nie wzięli tego pod uwagę.

- Dobra... ale po co miałyby w związku z tym kłamać? Jest buńczuczny i hardy, gdy oskarża się go o morderstwo, nawet teraz, gdy musi wiedzieć, że go mamy. Dlaczego tak zareagował? Dlaczego miałyby chcieć zataić przed nami, że spotykał się z Juliet Mullen?

- Bo ona ma czternaście lat - odparła Porter. - Jeżeli uprawiał z nią seks, to dokładnie tak mógłby zareagować. To przejaw zachowania macho, szacunek czy coś takiego. Jeżeli pójdzie siedzieć za zabójstwo Latifa, to odejdzie w chwale, co nie? Nikogo nie sypnął, jest bohaterem dla swoich kumpli i dla innych kretyńców, którzy myślą podobnie jak on. Sypianie z nieletnią nie pasuje do tego wizerunku.

W tej pokrętej logice krył się całkiem przekonujący sens. Thome powiedział Porter, że porozmawia z Juliet Mullen. Porter zasugerowała, by zrobił to osobiście, a on zapewnił, że tak właśnie uczyni i wybierze się później do Mullenów. Potem zapytał, co zamierza jeszcze dziś robić, gdyby mieli się spotkać.

- Nie wiem, ile mi zajmie posiedzenie u Kathleen Bristow. Mam nadzieję, że technicy już skończyli i będę mogła zabrać się do przeglądania tego archiwum. Może to, co się w nim znajduje, da nam jakąś wskazówkę, co mogło zostać zabrane.

- A jak poszło z bratem i jego żoną?

Trwało to nie dłużej niż westchnienie i usłyszał odgłosy mchu ulicznego, zanim, po sekundzie lub dwóch, zaczęła odpowiadać. Thome zdał sobie sprawę, że mógłby czasem zadawać bardziej przemyślane pytania.

21

W pokoju jego ojca wzniesiono prowizoryczną scenę.

Siedząc na jedynym krześle, Thorne słyszał głosy dochodzące zza pospiesznie przygotowanej kurtyny, gdy ojciec i jego przyjaciel Victor powoli się szykowali. Thome zerknął na stary zegar matki na obramowaniu kominka. Musiał wrócić do pracy i naprawdę nie miał na to czasu.

- Długo jeszcze?

Jego ojciec odkrzyknął zza kurtyny.

- Co się tak, kurwa, pieklisz?

Thome zamarł, gdy ujrzał smużki dymu wypełzające spod grubego czarnego materiału. Wstał i podbiegł do kurtyny, ale nie mógł jej dosięgnąć. Chwytał dłońmi powietrze i wołał do ojca po drugiej stronie, aby stamtąd wyszedł.

- Spokojnie - rzekł jego ojciec. - Usiądź. Za chwilę będziemy gotowi.

- Ale zobaczyłem dym...

- Nie ma, kurwa, żadnego dymu.

- Nie przeklinaj.

- Nic, kurwa, na to nie poradzę.

Kurtyna poszła w górę, a Thorne opadł ciężko na krzesło, gdy jego ojciec i Victor wystąpili naprzód przez sięgającą do pasa warstwę suchego lodu.

Jim Thome uśmiechnął się i mrugnął.

- Mówiłem ci, że nie ma żadnego dymu, ty dumy matole!

Victor podszedł do pianina i zaczął grać. Ojciec Thorne a zaczął śpiewać, ale mame wykonanie Memories wzięło w łeb, gdy niemal już na samym początku zapomniał słów i ostatecznie z tego zrezygnował, uznając, że to strata czasu... Potem wrócili do starych schematów...

- Czy wiesz, że więcej pieniędzy wydano na opracowanie viagry niż na badania nad alzheimerelem?

- To okropne - rzekł Victor.

- I kto to mówi. Ja chodzę z permanentnym wzwodem, ale nie pamiętam, do czego to

służy.

Potem jeszcze więcej tego samego. Typowych żarcików, rzucanych jeden po drugim, podczas gdy Victor dzielnie sekundował staremu przyjacielowi, pomagając mu w prezentacji. Skecze o tym, że w sumie alzheimer nie jest taki zły, bo dzięki temu nigdy nie oglądasz w telewizji powtórek, możesz skutecznie schować swoje wielkanocne pisanki i zawsze poznasz nowych przyjaciół.

- Dopóki nie zapominasz o starych - rzekł Victor.

- Oczywiście, że nie.

Pauza. Spojrzenie.

- A kim ty właściwie jesteś?

Thome bawił się w najlepsze, oglądając swojego ojca szczęśliwego. Zapomniał o czasie i o pracy, jaką miał wykonać, gdy wyraz straty i zakłopotania, które zawsze go deprimowały, zamieniały się w coś komicznego, kiedy ojciec patrzył na niego z udawanym zdziwieniem i błyszczącymi oczami.

Thome zaśmiał się i zaczął oklaskiwać kolejny mamie rozegrany skecz. Jego oklaski ucichły, gdy jak na komendę ojciec odwrócił się do Victora i teatralnym szeptem rzucił:

- Jedzą mi z ręki!

- Palisz się, Jim.

- W rzeczy samej!

Thome zagwizdał, gdy jego ojciec odwrócił się, ukazując barwny, wykwintny wzór w kształcie płomieni wyryty na plecach marynarki. Zaczął tupać, gdy Jim Thome wywijał hołubce, kołyszając biodrami i ramionami, tak że płomienie zdawały się wspinać po jego plecach coraz wyżej.

- Tato...

Ojciec odwrócił się, by na niego spojrzeć.

- Bez paniki, synu. To nie jest to, na co wygląda.

Nagle jednak Thome zrozumiał, że płomienie były prawdziwe, że wypalały poliestrowy garnitur ojca i znajdujące się pod nim ciało.

Czuł wyraźnie, jak bardzo to było realne.

Sięgnął ręką, by uderzyć w wielki czerwony guzik z boku przy swoim krześle, i rozległ się dźwięk dzwonka, ogłuszająco donośny, ale cichnący, tak jak jego oklaski za każdym razem, kiedy ojciec coś powiedział.

- To takie chamskie.

- Co takiego? - spytał Victor.

- Ze niektórzy nie wyłączają komórek na czas przedstawienia.

Thome zakrył dłońmi uszy. Nie słyszał samego siebie, jak krzyczał do ojca, żeby się zamknął i uciekał albo błagał Victora o pomoc.

- Dziwny ma sygnał ta furgonetka z lodami - zauważył Jim Thome.

- To alarm pożarowy, ty stary durniu.

- Nie wyciągaj pochopnych wniosków.

- Musimy stąd wyjść. To alarm pożarowy.

Uśmiech ojca był widoczny w przeblyskach między aureolą płomieni. W jego głosie pobrzmiwała złośliwa nuta, słyszalna nawet pośród szumu ognia i trzasku palących się włosów.

- Naprawdę, Tom? Jesteś pewien?

Thome uniósł głowę i sięgnął po telefon, wycierając nitkę śliny, która rozciągnęła się pomiędzy jego policzkiem a biurkiem.

- Spałeś?

- Nie...

- Mamy z ciebie kłamca - rzekł Hendricks. Rozpoznał coś w tonie głosu Thornea albo może w ciszy. - Ten sam sen?

Thome usiadł prosto, po czym podniósł się powoli.

- Mniej więcej - odparł.

Jęknął, po czym pokręcił głową. Plecy dawały mu do wiwatu i miał wrażenie, jakby ktoś przydeptywał mu kark.

- Chciałbym mieć czas na drzemki - rzekł Hendricks.

- To był bardzo długi dzień.

- Dla nas obu, stary.

- Tak, wybacz. Prawie zapomniałem, że byłeś tam dziś rano.

- Uwierz mi, wolałbym nie być. Są takie dni, kiedy żałuję, że poszedłem na medycynę. Kiedy myślę sobie, że powinienem był posłuchać rodziców i zostać baleriną, jak tego zawsze pragnęli.

Słowa Hendricksa, wypowiedziane z charakterystycznym manczesterskim akcentem, jak zawsze poprawiły Thome owi humor. Sen już się rozmywał, choć woń wciąż jeszcze pozostawała całkiem silna...

- Nie było żadnych niespodzianek przy autopsji?

- Nie, jeżeli chodzi o przyczynę zgonu. Ale w żołądku Kathleen Bristow natknąłem się na duży guz. Nie mam pojęcia, czy o nim wiedziała.

Kobieta była martwa, więc w sumie nie było powodu, dlaczego ta wiadomość tak bardzo przygnębiła Thorne a.

- Jak sądzisz, o której będziesz się zbierał? - zapytał Hendricks.

Thome spojrział na zegarek. Było po wpół do ósmej. Przespał prawie pół godziny, ale kiedy przymknął oczy, na zewnątrz było jeszcze jasno, a teraz już zrobiło się ciemno. Zajrzy do Brigstocke a, ale biorąc pod uwagę, że miał za sobą dwie osiemnastogodzinne zmiany z rzędu, jego przełożony raczej nie będzie miał nic przeciwko temu, by Thorne pojechał do domu.

- Muszę jeszcze zahaczyć o Arkley, ale to raczej nie potrwa długo. Powiniennem być w domu o wpół do dziesiątej, o dziesiątej.

- Masz ochotę na jednego w Prince? I parę partyjek bilardu?

Thome wciąż nie wiedział, czy spotka się później z Porter, ale uznał, że Hendricks nie miałby nic przeciwko temu, gdyby przyjechali tam oboje.

- W sumie czemu nie? I tak ostatnio prawie nie sypiam.

- Grunt, żebyś nie tłumaczył przegranej bólem pleców. Piątka za ramkę?

Drzwi otworzyły się i Yvonne Kitson z marsową miną podeszła do swojego biurka. Upuściła torebkę na podłogę, oparła się o ścianę. Wyglądała, jakby miała ochotę pogadać, jakby chciała, żeby Thome to zauważył.

- Muszę kończyć, Phil. Zadzwońię, jak będę już prawie w domu.

- Dobra. Zobaczymy się później.

- Wszystko gra?

- Tak. Jak najbardziej - odparł Hendricks.

Nie był lepszym kłamcą niż Thome.

- Za bardzo się przepracowujesz i zamartwiasz całą tą sprawą, bo uważasz, że ostatnim razem nawaliłaś - rzekł Thome, odkładając słuchawkę.

- Mylisz się - powiedziała Kitson.

- Co do czego?

- Wiem, że ostatnim razem nawaliłam.

Kitson była spięta, krążyła po gabinecie, jakby nie bardzo wiedziała, czy chce się wypłakać na czyimś ramieniu, czy raczej komuś przywalić.

- Dorwiesz tamtych dwóch - uspokoił ją Thome. - Tak będzie. Jeżeli Farrell nie puści pary z gęby, po prostu będziesz musiała rozegrać to na ostro, i tyle.

Przystanęła i spojrzała na niego z przejęciem, jakby nie usłyszała ani jednego słowa.

- Naprawdę chcę dopaść tych dwóch, Tom. Wiem, że to Farrell go zabił, ale tamci

dwaj stali i patrzyli, jak to robi. Nasi specjaliści uważają, że możemy przygwoździć tych skurwieli za morderstwo. W sądzie ich czyn może zostać uznany za pobicie ze skutkiem śmiertelnym, ale przynajmniej powinniśmy spróbować.

- No to zgarnij Nelsona i Herberta, kumpli Farrella, tak jak zapowiedziałaś. Zresztą to pewnie oni.

- Mam inny pomysł - odparła Kitson.

- Jeżeli pomyślałaś o przejściu na wcześniejszą emeryturę, to może się do ciebie przyłączyć.

- Pomyślałam, żeby zatrzymać zegar i jutro zwolnić Farrella z aresztu. Moglibyśmy zorganizować nadzór i zobaczyć, czy się z kimś skontaktuje. Może zechce zobaczyć się z tamtymi dwoma, żeby powiedzieć im, że ich nie wydał.

Thome uznał, że to rozsądny pomysł, i powiedział jej to.

A potem powtórzył, jakby nie był pewien, czy uwierzyła mu za pierwszym razem.

- Świetnie się spisałaś z tą sprawą, Yvonne.

- Byłam na spotkaniu z rodzicami Amina Latifa. Żeby im powiedzieć o Farrellu.

- Założę się, że to było przyjemne.

- Nie powiedziałam im, jak go znaleźliśmy. - Na jej twarzy pojawiły się wstyd i rezygnacja. - Ani że powinniśmy byli go znaleźć już pół roku temu. Wiem, że to wyjdzie na jaw i będziemy wtedy musieli z tym żyć, ale gdy siedziałam z panią Latif w jej salonie, nie chciałam zepsuć tej chwili. Ze względu na nich.

Thome tylko pokiwał głową i poprawił jedną czy dwie rzeczy na swoim biurku.

- Lepiej już pójść i pomówię z Brigstockiem o przygotowaniu nadzoru.

Ruszyła w stronę drzwi.

- Trzeba będzie jeszcze odwalić papierkową robotę w związku z jego zwolnieniem...

Kiedy Kitson wyszła, Thome patrzył na padający w ciemnościach deszcz. Był wdzięczny za tych kilka chwil w samotności, za szansę, by przez chwilę odtworzyć w myślach fragmenty występu ojca.

Bez paniki, synu. To nie jest to, na co wygląda.

Dym nie był dymem, a alarm pożarowy okazał się telefonem.

Nie wyciągaj pochopnych wniosków.

Podszedł do drzwi swojego gabinetu, skąd mógł zobaczyć, jak Kitson rozmawia z Karimem i Stoneem w sali odpraw. Kiedy tak patrzył, iskra pojawiła się i roznieciła płomień, który rozprzestrzenił się jak po garniturze z poliestru.

Twarz ojca była przesłonięta czerwienią i złotem, gdy Thome wyszedł na korytarz.

- Niestety, nie wolno mi powiedzieć, w jaki sposób umarła, proszę pana.

A potem powtórzył, jakby nie był pewien, czy uwierzyła mu za pierwszym razem.

- Świetnie się spisałaś z tą sprawą, Yvonne.

- Byłam na spotkaniu z rodzicami Amina Latifa. Żeby im powiedzieć o Farrellu.

- Założę się, że to było przyjemne.

- Nie powiedziałam im, jak go znaleźliśmy - Na jej twarzy pojawiły się wstyd i rezygnacja. - Ani że powinniśmy byli go znaleźć już pół roku temu. Wiem, że to wyjdzie na jaw i będziemy wtedy musieli z tym żyć, ale gdy siedziałam z panią Latif w jej salonie, nie chciałam zepsuć tej chwili. Ze względu na nich.

Thome tylko pokiwał głową i poprawił jedną czy dwie rzeczy na swoim biurku.

- Lepiej już pójdę i pomówię z Brigstockiem o przygotowaniu nadzoru.

Ruszyła w stronę drzwi.

- Trzeba będzie jeszcze odwalić papierkową robotę w związku z jego zwolnieniem...

Kiedy Kitson wyszła, Thome patrzył na padający w ciemnościach deszcz. Był wdzięczny za tych kilka chwil w samotności, za szansę, by przez chwilę odtworzyć w myślach fragmenty występu ojca.

Bez paniki, synu. To nie jest to, na co wygląda.

Dym nie był dymem, a alarm pożarowy okazał się telefonem.

Nie wyciągaj pochopnych wniosków.

Podszedł do drzwi swojego gabinetu, skąd mógł zobaczyć, jak Kitson rozmawia z Karimem i Stone'em w sali odpraw. Kiedy tak patrzył, iskra pojawiła się i roznieciła płomień, który rozprzestrzenił się jak po garniturze z poliestru.

Twarz ojca była przesłonięta czerwienią i złotem, gdy Thome wyszedł na korytarz.

- Niestety, nie wolno mi powiedzieć, w jaki sposób umarła, proszę pana.

- Nie uważa pan, że to dość absurdalne? - spytał Lardner. - Dzwonić do mnie, by powiedzieć, że zamordowano kobietę, ale muszę siedzieć i zastanawiać się, czy została zastrzelona, pchnięta nożem, czy może utopiona w wannie.

- Tak, to zapewne trochę absurdalne - przyznał Holland - ale taka jest procedura, zatem...

- O ile pamiętam, to była całkiem miłą kobieta. Czasami wtykała nos w nie swoje sprawy, ale to chyba wiąże się z tą pracą. Jak picie wśród dziennikarzy... albo cynizm u gliniarzy i kuratorów.

Holland upił łyk herbaty i mruknął pod nosem.

- Cóż, nie ma chyba nic więcej do dodania. Po prostu martwiliśmy się i uznaliśmy, że

powinien pan wiedzieć o śmierci pani Bristow.

- A ja powinienem?

- Co takiego?

- Martwić się. Czy uważa pan, że ktoś wziął nas na cel? - Lardner zaśmiał się ironicznie. - Może Grant Freestone wypełził ze swojej kryjówki i zamierza wyrzucić nas jednego po drugim.

- Nie sądzę, aby musiał pan się nim nadal przejmować...

Po lunchu, który był tak mamy, jak zapowiadała Kitson, Wilson udał się na obiad, kiedy tylko poinformowano go, że Farrell został zwolniony, i zgodził się na spotkanie ze swoim klientem na posterunku nazajutrz.

Kitson stała z Farrellem przed platformą, podczas gdy szef aresztu zapoznawał go z procedurą zwolnienia. Sierżant był cwany, starożytnym wygą i zerkał z ukosa na Kitson, kiedy ta przedstawiła siebie oraz Farrella, bo doskonale wiedział, że jeszcze parę godzin temu była gotowa przedstawić chłopakowi zarzuty. Wiedział, że coś kombinowała, ale był na tyle bystry, że zachował to dla siebie.

Po pierwszej kontroli wyznaczonych na dzień następnego zwolnienia poinformowano Farrella, że zwalniano go warunkowo i miał stawić się z powrotem o szesnastej dnia następnego. Zwalniano go i przekazywano pod opiekę rodziców.

Farrell najwyraźniej już odzyskał równowagę, pozostawiając za sobą to, co wydarzyło się w pokoju przesłuchań, kiwał głową za każdym razem, kiedy pytano go, czy rozumie, co się do niego mówi. A potem znów zapytał, kiedy zostaną mu zwrócone cenne buty za dobrych parę setek.

- Lepiej stul dziób, zanim zmienimy zdanie - rzekł szef aresztu.

Farrell podpisał formularz przyjęcia rzeczy, które zostały mu zwrócone. Z namaszczeniem założył swój markowy zegarek i sprawdził, czy niczego nie brakowało w portfelu. Następnie podpisał oświadczenie, że przedstawiono mu raport z zatrzymania i że był on kompletny oraz zgodny z prawdą. Podpisał formularz zwolnienia i deklarację, że wróci w wyznaczonym terminie.

- Zakładam, że będziecie mieć mnie na oku - rzekł Farrell.

Kitson nie odpowiedziała, tylko uniosła wzrok znad dokumentów.

- Chyba macie mnie za idiotę.

- Wiem, że nie jesteś głupi - odparła Kitson.

- Nic o mnie nie wiesz.

Farrell odwrócił się od niej, skupiając się na dokończeniu procedury.

- Te kopie są dla ciebie. Możesz je zatrzymać.

Chłopak wziął od sierżanta plik dokumentów.

- Mamy zadzwonić po twoich rodziców, żeby po ciebie przyjechali?

Farrell odwrócił wzrok i parsknął, jakby to była idiotyczna propozycja.

- Dobrze, więc zamówię ci taksówkę. Będzie tu za parę minut. Jeżeli nie masz dość gotówki, zapłacisz na miejscu, weźmiesz od rodziców. Czy to stanowiłoby problem...?

- Myślę, że będzie ich stać...

Kiedy sierżant sięgnął po telefon, Kitson podziękowała mu za pomoc. Pokiwał głową, a jego spojrzenie wyrażało nadzieję, że wiedziała, co robi. Kitson odprowadziła Farrella przez posterunek w stronę głównego wyjścia.

Zdała raport oficerowi dyżurnemu, po czym zostawiła Farrella, by sam zaczekał na taksówkę. Użyła swojej karty, by otworzyć drzwi i wrócić do środka, ale jeszcze raz na odchodne odwróciła się do Farrella:

- Jesteś pewien, że nie chcesz mi nic powiedzieć, zanim stąd odjedziesz?

Uśmiech Farrella wydawał się dość śmiały, ale oczy zwęziły się w szparki.

- Nic, co chciałabyś usłyszeć - odparł.

Kiedy Kitson odeszła, Farrell postąpił krok w stronę automatycznych drzwi, które otworzyły się, kiedy do nich podszedł. Oficer dyżurny zaproponował, aby czekał wewnątrz. Dał do zrozumienia, że leje. I powiedział, że może się wypchać, kiedy Farrell odparł, iż woli zmoknąć.

Na zewnątrz Farrell stanął pod niewielkim okapem i spojrzał w stronę ulicy.

To trwało nieco ponad dobę, ale miał wrażenie, jakby upłynęło znacznie więcej: dobrych dziesięć lat burzliwych zmian jak pieprzone trzęsienie ziemi. A wiedział dobrze, że to się jeszcze nie zaczęło.

Jego umysł i serce pracowały jak szalone, jednak musiał zachować spokój i powinien przejść przez próg jak gdyby nigdy nic. Pomimo tego, jak potraktował tego palanta, dyżurnego, chciał wrócić do domu i zobaczyć rodziców. Pragnął tego ponad wszystko. Chciał wrócić tam, gdzie było ciepło i bezpiecznie i gdzie niezależnie od tego, co się wydarzyło, wszyscy będą stać po jego stronie.

Wpatrywał się w deszcz. Wciąż pamiętał jego smak, kiedy on i tamci szli w stronę przystanku pół roku temu. Było może nieco chłodniej niż dziś, ale wieczór był taki sam...

Podjechał ciemny cavalier i krępy Azjata wysiadł, pozostawiając silnik na chodzie.

- Minitaksówka? - zawołał Farrell.

Mężczyzna odwrócił się w stronę auta.

Adrian Farrell naciągnął kaptur i pobiegł w jego stronę.

22

- W niedzielę jest tu spory ruch - powiedział Neil Warren. - To dzień rotacji, więc zawsze jest dość duże zamieszanie, jeżeli przychodzą nowi mieszkańcy albo starzy odchodzą. Mam firmę rodzinną i grupę wyznaniową i organizuję w domu msze dla wszystkich, którzy są zainteresowani...

- To naprawdę żaden kłopot - odrzekł Holland.

Na biurku miał bloczek z barwnymi samoprzylepnymi karteczkami. Nakreślił ptaszka przy nazwisku Neila Warrena.

- Chciałem tylko wyjaśnić, dlaczego wcześniej nie oddzwoniłem.

- Rozumiem.

- Teraz rzecz jasna czuję się okropnie.

- Przykro mi - rzekł Holland.

- Spotykasz ludzi, wchodzą na twoją orbitę, a potem... życie toczy się dalej, no wie pan? Idzie pan w innym kierunku i w sumie już o nich więcej nie myśli. Kathleen Bristow nie zaprzętałem sobie głowy od pięciu lat, aż pojawił się pan, wspominając o Grancie Freestonie, a teraz ona nie żyje. A ja chyba powinienem być bardziej poruszony, niż jestem...

- No cóż, sam pan powiedział, że nie myślał o niej od dawna.

- Poproszę osoby od nas, żeby wspomniały ją w swoich modlitwach.

Holland spojrzął na zegarek: było pięć po dziewiątej. Kiedy tylko tu skończy, będzie mógł wracać. Chloe na pewno już spała, ale dobrze byłoby spędzić godzinę lub dwie z Sophie, zanim jedno z nich lub oboje padną ze zmęczenia.

- Zakładam, że nie traktujecie tego jak zbiegu okoliczności - powiedział Warren.

- Słucham?

- Tego, że zaczyna pan wypytywać ludzi o to, co się stało wtedy, o Freestone a i cały ten szajs, a potem ktoś z zespołu zostaje zabity.

- Myślę, że to raczej mało prawdopodobne.

- Rozmawiał pan z innymi?

- Z większością z nich.

Warren milczał przez dziesięć, piętnaście sekund. Kiedy Holland usłyszał trzask zapalniczki, domyślił się, że tamten robił skręta. Z lubością zaciągnął się dymem, milczenie przedłużało się. Wreszcie Warren spytał:

- Czy bardzo cierpiała?

Zazwyczaj Holland powiedziałby coś uspokajającego, coś kojącego. Choć wiedział, że Warren nie znosił mijania się z prawdą i sam mówił szczerze to, co myślał, nie miał pojęcia, co go skłoniło, że udzielił mu takiej, a nie innej odpowiedzi.

- Tak - przyznał. - Myślę, że nawet bardzo.

Z Hendon do Arkley było tylko dwadzieścia minut. Pół tuzina płyt Grama i Emmylou uczyniło cuda z nastrojem Thorne a, ale ich zbawienny wpływ prysnął po jednym spojrzeniu inspektora na twarz Tony ego Mullena.

Po ich ostatnim spotkaniu Thome nie spodziewał się gorących powitań, ale to było coś więcej, aniżeli przewidziana antypatia. W wyrazie twarzy tamtego kryła się rezygnacja widoczna także w jego postawie, gdy bez słowa usunął się z drogi, by przepuścić Thorne a. Tony Mullen wyglądał jak ktoś, kto już nie oczekuje dobrych wieści.

Jako rodzic nigdy nie powinien tracić nadziei, dopóki nie odnajdzie się ciało, które trzeba pochować, ale jako były oficer policji Mullen musiał boleśnie zdawać sobie sprawę, że czas działał na ich niekorzyść. Jakże szybko realne szanse przerodziły się w nikłe. I jak szybko rozpływały się zupełnie.

Minęło dziesięć dni od zaginięcia Luke a. Prawie pięć od nadesłania nagrania, siedemdziesiąt dwie godziny, odkąd Luke został porwany po raz drugi, bez wiadomości od kogoś, kto go przetrzymywał.

Thome wciąż dostrzegał wściekłość w oczach Mullena, ale prawie nie było w nim już woli walki.

- Czegokolwiek chcesz, mam nadzieję, że to nie potrwa długo - rzekł Mullen. - Wszyscy jesteśmy zmęczeni.

- Właściwie przyszedłem zamienić słówko z Juliet.

- Po co?

Thorne odczekał chwilę i stwierdził, że nie zaszkodzi powiedzieć prawdę, może nawet pomogłoby to uregulować stosunki pomiędzy nimi.

- Rozmawialiśmy z chłopakiem z Butler's Hall o zupełnie innej sprawie. Prawie na pewno nie jest związana z tą. Z Lukiem...

- Prawie na pewno?

- Uważamy, że on z jakiegoś powodu kłamał, że nie zna Luke a. Wiemy, że kilka razy tu dzwonił, i chcieliśmy upewnić się, że faktycznie telefonował do Luke a. Przyszedłem ustalić, czy nie dzwonił do pańskiej córki. Nie sądzę, aby to potrwało dłużej niż dziesięć minut.

- Jak się nazywa ten chłopak?

Thome odpowiedział po dłuższej chwili.

- Farrell.

Wyraźnej reakcji nie było, Thome jednak zastanowił się, czy nie dostrzegł czegoś przez mgnienie oka, zanim Mullen odwrócił wzrok i odezwał się do żony.

Thome nie zauważył Maggie Mullen. Siedziała jakieś trzy metry nad nimi, u szczytu schodów, na małym podeście, skąd kolejne kondygnacje schodów wiodły na drugie i trzecie piętro. Miała na sobie ciemne spodnie od dresu i brązowy sweter. Włosy szesane do tyłu były niemal równie szare jak jej twarz albo popiół z papierosa, który piętrzył się, jak przypuszczał Thome, na spodeczku pomiędzy jej stopami.

- Lepiej zawołaj Jules - rzekł Mullen.

Jego żona patrzyła, jakby go nie usłyszała, po czym spojrzała na Thome'a. Ten uśmiechnął się i pokiwał głową. Oba gesty były drobne inieco protekcyjne, jakby chciał dodać otuchy komuś w podeszłym wieku albo ciężko choremu.

- Czy zrobiła coś złego?

- Nie, bynajmniej - uspokajał Thome. - Chodzi tylko o kilka pytań.

Mullen minął Thome'a i oparł się o barierkę u podnóża schodów.

- Po prostu ją zawołaj, dobrze, kochanie?

Maggie Mullen zabrała spodeczek i wstała. Strzepnęła ze spodni kilka płatków popiołu, odwróciła się i zniknęła, kierując się w stronę pokoju Juliet. Pół minuty później Thome usłyszał cichutkie pukanie, stłumioną wymianę zdań; jeden głos donośniejszy niż drugi. Usłyszał trzask zamykanych drzwi i tupot dwóch par stóp schodzących po schodach.

Czekając w holu, przyglądał się rodzinnym fotografiom na stoliku przy drzwiach frontowych, po czym, gdy poczuł się niezręcznie, przeniósł wzrok na tapetę. Usłyszał, jak Mullen obok niego uderza lekko potylicą o ścianę, odchylając głowę do tyłu, i rzucone przez niego w przestrzeń, wycedzone przez zęby „kurwa mać”.

Farrell uznał, że firmie taksówkowej adres podał szef aresztu. Kierowca najwyraźniej wiedział, dokąd ma jechać. Ten żaloszny frajer nie odezwał się ani słowem, prowadząc, ale Farrellowi to pasowało. Nie miał ochoty na pogawędki. Chciał zamknąć oczy i pozbierać myśli.

Oparł głowę o szybę i zasłuchał się w bębnienie deszczu o dach iskrzywienie wycieraczek. Z tyłu auta cuchnęło olejem i odświeżaczem powietrza w kształcie choinki. Ten cholerny rzech pewnie nawet nie był ubezpieczony. Azjaci zawsze unikali płacenia za coś, bez czego można się obejść. Pamiętał ten żarcik o dzieciakach Azjatów w szkole. Mówiły, że ich ojcowie mają sieci kiosków i wytwornych barów orientalnych, ale mimo to chodziły do

dyrektora, by targować się o opłaty.

Kiedy samochód się zatrzymał, Farrell pomyślał, że musiał przysnąć i przespał większość podróży. Miał wrażenie, jakby od opuszczenia posterunku minęło zaledwie pięć minut. Po obu jego stronach otworzyły się drzwiczki. Kiedy znów się zamknęły, siedział pomiędzy dwoma Azjatami.

- Co się, kurwa, dzieje?

Ale zanim jeszcze zadał to pytanie, odpowiedź zagnieździła się w jego brzuchu i zaczęła wrzeć.

Tamci nie odezwali się do niego.

Nawet na niego nie spojrzeli, na siebie nawzajem też nie.

Kierowca zgasił koguta i powoli włączył się do ruchu. Włączył radio, wybierając stację z muzyką orientálną. Jechał równym, niespiesznym tempem.

Farrell był niemal pewien, że policja wypuściła go, żeby móc sprawdzić, czy skontaktuje się z tamtymi. Wciśnięty pomiędzy dwóch osiłków, nie mógł się nawet odwrócić, ale wyciągał szyję w nadziei, że jego przypuszczenia się potwierdzą i zobaczy z tyłu za nimi policyjną pandę. Ale widział jedynie deszcz, anonimowe reflektory, a kiedy znów się odwrócił, ujrzał oczy kierowcy w lusterku wstecznym. Były zimne, płaskie i pożółkły na chwilę, gdy cavalier przejechał pod uliczną latarnią.

Cyfrowy zegar na chromowanej kuchence wskazywał 21.14. Juliet Mullen usiadła na czarnym granitowym kontuarze, z puszką dietetycznej coli w ręku. Jej markowe buty stuknęły lekko o szafkę poniżej.

- To ten wyszczekany szóstoklasista z włosami na jeża, tak?

- Opis się zgadza - odrzekł Thome.

- Może sobie pomarzyć.

- A więc nie jest twoim kolegą.

- Nie...

Thome siedział przy stole kuchennym. Zaparzone świeżą kawę ipoczęstował się.

- To skądinąd całkiem przystojny chłopak. Nie uważasz? Założę się, że niektórym dziewczynom z twojego roku się podoba.

- Może tym co bardziej zdesperowanym.

- Ale nie tobie?

Spojrzała na niego wyniośle. To przekonało Thorne a. Doskonale wiedział, jakiej reakcji mógłby oczekiwać, gdyby zapytał Juliet Mullen, czy kiedykolwiek rozmawiała z Adrianem Farrellem przez telefon.

- A twój brat?

- To znaczy?

- Czy jest kolegą Farrella?

Wypiła spory łyk i stłumiła czknięcie.

- Nie znam wszystkich jego kolegów, choć nie ma ich wielu, szczerze mówiąc, ale raczej w to wątpię.

- Dlaczego?

- Jak powiedziałam, Farrell to palant. Pozer, a Lukę potrafi przejrzeć w lot takich cieniasów. Gdyby Lukę miał przyjaźnić się z kimś takim jak Farrell, to chyba tylko po to, żeby robić sobie z niego jaja. Albo gdyby ktoś czegoś od niego chciał.

- Domyślasz się, co by to mogło być?

- Nie mam pojęcia. Może pomoc przy odrabianiu prac domowych?

Thome pokiwał głową. To była pierwsza rzecz, jaka jej przyszła do głowy, najbardziej oczywiste wyjaśnienie. I była to też pierwsza rzecz, o jakiej pomyślał Farrell, kiedy rozpaczliwie szukał jakiegoś wytłumaczenia tych telefonów.

Juliet zgmiotła pustą puszkę, zeskoczyła z blatu i otworzyła szafkę, w której znajdował się kosz na śmieci. Segregowane.

- Czy to ma coś wspólnego z tym, co się stało z Lukiem?

- Nie sądzę. Nie jestem pewien...

- Myśli pan, że Lukę jeszcze żyje?

Thome spojrzał na dziewczynkę. Jej image został wykreowany, by wyrażać zgeneralizowany strach i napięcie, frustrację i rozpacz nieskierowaną przeciwko niczemu konkretnemu. Jednak w tym momencie w jasnym, surowym świetle wyglądała po prostu jak dziecko o puciołowatej buzi, którego urywany, nerwowy oddech dało się słyszeć pośród szumu lodówki. Thorne zdołał wejrzeć pod czarny makijaż i poobgryzane paznokcie, by dosięgnąć ukrytego tam dojmującego bólu.

I zorientował się, że kłamstwo nie mogło go złagodzić.

- Jeżeli o to chodzi, także nie jestem pewien.

Juliet pokiwała głową, jakby doceniała jego uczciwość.

- A ja tak - powiedziała.

23

- Amin Latif był moim kuzynem - rzekł kierowca i skinął na mężczyznę z tyłu. - A to moi synowie, kuzyni Amina.

Dopiero teraz pasażerowie siedzący po obu stronach Farrella spojrzeli na niego. Jeden miał kocią brodkę i nosił skórzaną kurtkę. Drugi był gładko ogolony, nosił małe okrągłe okulary, a włosy miał zaczesane na czoło. Żaden z nich nie przypominał twardziela, pomyślał Farrell. Ale wydawali się dość mocni i spięci, jakby w ich żołądkach też coś się paliło.

- Wyglądasz, jakbyś miał się zaraz posrać - powiedział ten z kocią brodką.

Farrell przez dziesięć minut, odkąd wsiedli, wyobrażał sobie najgorsze. Oczyma duszy widział auto zjeżdżające z drogi na jakąś opuszczoną przemysłową parcelę. Wiedział na pewno, że ci mężczyźni mieli przy sobie noże.

- Jakie to uczucie? - spytał ten w okularach.

Kierowca skierował samochód na duży parking przy kompleksie rozrywkowym. Farrell miał wrażenie, że rozpoznaje to miejsce, może był tu kiedyś w kinie albo na kręglach. Auto zatrzymało się na końcu parkingu za Pizza Hut, z dala od innych pojazdów. Z dala od światła.

- Mógłbym nieźle się zabawić, mając do dyspozycji ciebie i nóż.

Mężczyzna w okularach przybliżył się do Farrella. Chłopak poczuł jego oddech przesycony zapachem gumy do żucia.

- I wcale bym się nie spieszył. W naszej rodzinie są rzeźnicy halal. Wiesz, kto to taki?

- To człowiek, który umie właściwie wykrwawiać zwierzęta.

- A ty mimo to nie zapłaciłbyś za to, co zrobiłeś Aminowi... Za to, co zrobiłeś, zanim go zabiłeś.

Farrell wykrztusił ciche:

- Proszę.

Poczuł, że żar wzbierający w jego wnętrzu rozlewa się po skórze.

Kierowca, wielki mężczyzna, obrócił się na siedzeniu.

- Dobra, uspokójmy się. Nikt nikogo nie będzie oprawiał. - Wskazał palcem na Farrella. - Pójdziesz do więzienia, nie miej co do tego żadnych złudzeń. Właśnie tak zapłacisz za Amina. Siedząc przez wiele lat w zatęchłej celi i srając tam, gdzie jesz. Martwiąc się, co może się stać za każdym razem, kiedy jakiś Azjata spojrzy na ciebie na spacerunku albo w stołówce. Rozumiemy się?

Farrell pokiwał głową. Przed sobą przez mokrą od deszczu szybę widział niewielką grupkę ludzi przed oddalonym o dwieście metrów kinem.

- Oto jaki masz wybór: możesz pójść do pudła albo możesz pójść do pudła po tym, jak cię skasujemy.

Spojrzał na mężczyzn siedzących po obu stronach Farrella, po czym przeniósł wzrok

na nastolatka.

- Bo ja pozwolę im, żeby cię pobili. Więcej nawet, pomogę im w tym. Tak więc sprawa jest jasna... nie masz zbyt wielkiego wyboru.

Usłyszawszy drzenie w swoim głosie, kiedy spróbował się odezwać, Farrell do reszty stracił rezon. W jego wnętrzu narastał strach karmiący się samym sobą.

- Czego chcesz?

- Byli z tobą inni - rzekł kierowca. - Dwóch innych, tamtej nocy, kiedy zabiłeś mojego bratanka. Mogli cię powstrzymać, ale woleli stać z boku i patrzeć. Policja pewnie w końcu ich dopadnie, ale jeżeli nawet tak będzie, ci dwaj skurwiele nie dostaną tego, na co zasługują. Jeżeli wynajmą cwanych prawników, może nawet cwanych prawników Azjatów, żeby przypodobać się ławie przysięgłych, nie trafią do więzienia za zabójstwo. Dostaną pewnie kilka lat, ale to za mało.

- Są tak samo winni jak ty - odezwał się ten w okularach.

- Nawet gorsi niż ty.

Kierowca machnął ręką i zapadła cisza.

- Chcemy się z nimi zobaczyć, zanim zostaną aresztowani, to wszystko. Jeżeli prawo nie zajmie się nimi jak należy, weźmiemy je w swoje ręce. Dlatego musimy wiedzieć, kim oni są.

Spojrzał na Farrella, uniósł kciuk do ust i zaczął obgryzać paznokcie.

- Możesz nic nie mówić, to zależy od ciebie, ale czemu miałbyś chcieć, żeby spuścili ci łomot? Ty pójdziesz do pudła, a w dodatku oni wezmą cię na fleki, a co czeka tamtych? To wydaje mi się głupie. Jakie dostaniesz podziękowanie za ochranianie tych palantów?

- Jeżeli okażesz się głupi, to, co spotka cię tej nocy, może się powtórzyć, i to wielokrotnie, nawet kiedy już trafisz za kratki.

Mężczyzna z grzywką zdjął okulary. Wyciągnął podkoszulek ze spodni i przetarł szkła.

- Tam też cię dopadniemy. Jeżeli będziemy chcieli, żebyś cierpiał, zrobimy to tyle razy, ile zechcemy.

- Podaj nam te nazwiska - rzekł kierowca. - Wysadzimy cię przy najbliższym posterunku policji i po sprawie.

Farrellowi było niedobrze. Chciało mu się płakać i srać. Skąd miał wiedzieć, czy jeżeli nawet powie im to, czego chcieli, nie zostanie mimo wszystko pobity? Wiedział jednak, że gdyby zadał to pytanie, zapewne zaczęłoby się bicie.

- Dwa nazwiska. Powiedz je szybko i będzie po wszystkim.

Farrell zamknął oczy i pokręcił głową. Przez jedną dziką, bezmyślną sekundę czy dwie chciał, żeby go pobili. Chciał mieć to już za sobą, bo bicie było lepsze niż czekanie.

Niż niewiedza...

- Nie pozwolę na użycie żadnej broni - powiedział kierowca.

- I w miarę szybko będzie po sprawie. Jeżeli jednak dokonasz złego wyboru i tak się stanie, musisz zrozumieć, że przemoc nigdy nie jest precyzyjna. Trudno ją... okiełznać. Wiesz lepiej niż ktokolwiek inny, jakich szkód może narobić parę kopniaków, prawda? Amin próbował osłaniać głowę, ale to nie pomogło.

- A kopała go tylko jedna osoba.

- Ale odbiegamy od tematu. - Kierowca włożył kluczyk do stacyjki i zaczął przekręcać. - Miałem na myśli, gdyby sytuacja wymknęła się spod kontroli. Jeżeli skończysz z poważnymi urazami na oddziale dla więźniów ze specjalnymi wymaganiami, pewnie później będzie nam trudniej cię dopaść.

- Podaj nam ich nazwiska. To twoja ostatnia szansa.

Farrell miał wrażenie, że jego usta są martwe i wypalone w środku. Otworzył je, łapiąc oddech i gwałtownie przełykając ślinę.

- Głupie - mruknął kierowca. - Bardzo głupie. - Odwrócił się i uruchomił wóz.

Farrell krzyknął, usiłując zagłuszyć radio, a kiedy je ściszone, zaczął bełkotać, bez tchu, szeptem, który zdawał przeradzać się w szloch. Powtarzał te nazwiska raz po raz, aż zbiły się w jeden niezrozumiały jęk. Mamrotał, aż poczuł czyjeś dłonie na twarzy zamykające mu usta i głosy każące mu zamilknąć. Mówiły mu, że nadal był śmieciem, dupkiem i mordercą. Ale przynajmniej nie był całkiem głupi.

Porter wiedziała, że powinna odpuścić. Nie było sensu drążyć, skoro była tak zmęczona, że mogła przeoczyć ważne rzeczy. Ale naprawdę chciała to już mieć za sobą.

Były tam setki akt zawierających tuziny raportów i zestawień. Oczywiście nie musiała ich wszystkich czytać, szybko jednak stało się jasne, że nawet pobieżne przejrzanie archiwum Kathleen Bristow nie będzie zajęciem na pięć minut.

Akta klientów ułożono w porządku alfabetycznym i szukając pod F jak Freestone, Porter zaczęła przeglądać dokumenty i notatki, które w ogóle nie miały żadnego związku ze sprawą. Domyśliła się, że choć byli to eksklienci nieżyjącej już kobiety, klauzula poufności nadal obowiązywała. To jednak jej nie powstrzymało. Była zafascynowana i od czasu do czasu także przerażona. Francis Bristow miał rację, gdy powiedział, że jego siostra pracowała nieraz z różnymi szajbusami.

Dokumenty dotyczące Granta Freestone a w niewielkim tylko stopniu dołożyły

nieprzyjemnych szczegółów do tego, co już wiedziała, ale z pozoru nie było tu nic, co mogłoby okazać się istotne: zapisy z przesłuchań w więzieniu i oświadczenia pracowników społecznych, którzy zajmowali się nim podczas odsiadki. Nie natrafiła jednak na nic, co wiązałoby się z zespołem kuratorskim opiekującym się nim już po wyjściu na wolność.

Porter była w domu sama. Przyniosła z kuchni radio i włączyła na Magie FM, a kiedy piosenki stały się zbyt ospałe, przełączyła na Radio 1; kołysząc głową w rytm muzyki, wyciągała jedną po drugiej brązowozielone teczki. Nuciała pod nosem dance ową melodyjkę, którą знаła, i zastanawiała się, czy Thome zdążył już uporać się ze swoimi obowiązkami. Wcześniej, gdy rozmawiali przez telefon, spytał, co zamierzała robić. Zabrzmiało to, jak delikatne sondowanie tematu, ale postanowiła nie naciskać. Czuła, że nie był w pełni swobodny po tym, do czego nieomal doszło, ale pod tym względem wydawał się normalny jak większość facetów; cieszyłby się, że ją zaliczył, ale nie miałby ochoty o tym rozmawiać, czy, uchowaj Boże, o tym, co mogłoby się wydarzyć później.

Porter znalazła wreszcie dokumenty zespołu kuratorskiego, w części zarchiwizowanej chronologicznie. Było tam pół tuzina opasłych teczek dotyczących zespołu opiekującego się w dwa tysiące pierwszym roku Grantem Freestone'em. Przykucnęła i rozłożyła je według zawartości: Zarządzanie ryzykiem, Zarządzanie domowe, Program terapii osoby skazanej za przestępstwa o charakterze seksualnym w celu jej powrotu do społeczeństwa, Narkotyki i alkohol. Wyjęła teczkę z adnotacją Protokoły, a z niej pliki spiętych spinaczem dokumentów. Kathleen Bristow była skrupulatna, a dokumenty, w większości zapisane odręcznie, ułożyła w ścisłym porządku chronologicznym. Porter rzuciła okiem na ostatni protokół - ze spotkania, które odbyło się dwudziestego dziewiątego marca dwa tysiące pierwszego roku.

Rozpoznała nazwiska wpisane w rubryce „Obecni”. W rubryce „Nieobecni usprawiedliwieni” nie było żadnego... Porter spojrzała na daty.

Sarah Hanley zginęła siódmego kwietnia, dziewięć dni po spotkaniu. Zespół zbierał się aż do tej chwili raz w tygodniu, a w protokole nie

było wzmianki o podjęciu decyzji, by poinformować Hanley o przeszłości Freestone'a, decyzji, która, jak powszechnie sądzono, stała się główną przyczyną jej śmierci. Porter znów przejrzała dokumenty, wyczuwając, że powinien być tam jeszcze jeden, sprawdzając, czy go nie przeoczyła.

Oczywiście po tym, co się stało, Kathleen Bristow mogła postanowić, że ostatniego spotkania nie należy protokołować.

A może właśnie po to przyszedł zabójca.

Porter upomniała się w myślach, aby poprosić Ropera, Lardnera i innych o

potwierdzenie, że spotkanie faktycznie odbyło się piątego kwietnia, dwa dni przed śmiercią Sarah Hanley.

Zelektryzowana, ale w dalszym ciągu potwornie zmęczona, Porter oparła się plecami o regał. Sięgnęła po teczkę z adnotacją Narkotyki i alkohol a w myślach stwierdziła, że tego jej właśnie teraz brakuje.

Farrell poczuł coś na kształt nadziei, kiedy auto zaczęło zmierzać w stronę posterunku Colindale. Przez większość drogi powrotnej wstrzymywał oddech, ale nagle zaczął wierzyć, że jego udręka już wkrótce się skończy.

Miejsce, które z taką radością opuścił blisko godzinę temu, wydawało mu się czymś w rodzaju sanktuarium.

Ale kierowca zwolnił, minął wejście i skręcił ostro w lewo.

- Proszę - rzekł Farrell. - Może być tutaj.

Kierowca go zignorował i zatrzymał wóz przed szlabanem. Opuścił szybę, wychylił się i wcisnął kilka guzików.

- Nie rozumiem...

Powoli zaczął się domyślać, co się stało. Wezbrał się w nim gniew, zaklął pod nosem i coraz głośniejsze, gdy cavalier wjechał na tylne podwórze, gdzie czekali już policjanci. Zauważył Kitson, która skinęła do kierowcy, kiedy się zatrzymał. Samir Kamir zatrzasnął drzwiczki auta i włożył kurtkę. Zrobił długi powolny wydech, podchodząc do Kitson. Położyła mu dłoń na ramieniu i nie cofnęła jej, gdy zamienili kilka słów. Patrzył, jak dwaj młodzi mężczyźni wysiadają z auta, a mundurowi nachylają się, by wyciągnąć z samochodu Adriana Farrella.

Szamotał się i przeklinał, gdy założono mu kajdanki. Jego ciało rwało się w stronę, gdzie stali Kitson i Karim, o pięć metrów od niego, przy tylnym wejściu.

- Mówiłeś, że jesteś kierowcą taksówki, skurwielu. Mówiłeś.

Karim odwrócił się, równie rozzłoszczony, ale trzymał swój gniew w ryzach.

- Bzdura. Nic nie mówiłem. Popatrzyłeś na mnie i uznałeś, że jestem twoim kierowcą.

- Nikt cię nie zmusił, abyś wsiadł do tego auta - rzekła Kitson. - Sam wyciągnąłeś wnioski.

Dokładnie tak, jak to przewidział Thome.

- Oni mi grozili.

Farrell wodził wzrokiem po ich twarzach, powtarzając oskarżenia, upewniając się, że każdy glina w pobliżu musiał go usłyszeć.

- Oni mi, kurwa, grozili.

Wciąż poklepywano się wzajemnie po plecach, wymieniano uściski dłoni, podczas gdy Kitson podeszła do więźnia i stanęła, czekając, aż przestanie krzyczeć. Po kilku chwilach poddała się i zaczęła mówić, wypowiadając słowa, nad którymi nie musiała się wcale zastanawiać.

Oskarżyła Adriana Farrella o zamordowanie Amina Latifa. Przypomniała sobie, jak dużej siły perswazji potrzebował Thome, by przekonać ją do tego fortelu. Zauważył, że skoro pozyskała DNA Farrella dość niekonwencjonalnie, nie zaszkodzi posłużyć się raz jeszcze sprytnym wybiegiem.

„Witamy na równi pochyłej - powiedział. - Choć może to narazić twoją obronę, jeżeli zapytana, nie zechcesz wspomnieć o czymś, na czym później zamierzasz bazować”.

Wiedziała, że nie obejdzie się bez reperkusji, dramatycznych pytań, podważania dowodów. Thome wspomniał o adwokacie Farrella i Trevorze Jesmondzie. Proponował zakłady o to, który z nich będzie bliższy ataku apopleksji.

Ona jednak nie dbała o to.

Spojrzała na Farrella i wiedział, że go ma, i niezależnie, co się wydarzy, zebrała dość dowodów, by posłać go, wraz z jego dwoma kumplami, za kratki. Wyobraziła sobie twarz matki Amina Latifa i stwierdziła, że może sobie pozwolić na drobną reprimendę od przełożonego.

Ruszyła w ślad za funkcjonariuszami, którzy eskortowali Farrella przez główny korytarz klatki. Kiedy weszła do apartamentu zatrzymań, widziała, jak prowadzą go w stronę szefa aresztu, przechodząc wolno, celowo powoli, obok Samira Karima i jego „synów”, dwóch konstabli Azjatów, których Kitson „wypożyczyła” z Wydziału Śledczego.

Farrell spiorunował ich wzrokiem, na co odpowiedzieli w ten sam sposób.

Konstabl z bródką cmoknął przez zęby.

- A mówi się, że na ulicach nie można już spotkać białego gówna...

Juliet Mullen odprowadzała Thorne'a do drzwi, kiedy zadzwoniła jego komórka. Juliet zawróciła w stronę kuchni, kiedy odebrał, odwrócił się i zniżył głos.

- Dave?

- Gdzie pan jest? - spytał Holland.

- U Mullenów.

- Jezu...

- Jak poszło z Farrellem?

Holland jakby się zawahał, po czym rzucił pośpiesznie w odpowiedzi:

- Kitson ma nazwiska. A ja mam coś ważnego, proszę pana.

Thome nasłuchiwał. Holland rzadko zwracał się do niego tak oficjalnie.

- Myślałem, że oszaleję - rzekł Holland. - Sądziłem, że jestem przepracowany, że spojrzałem na złą stronę albo coś w tym rodzaju.

Wyjaśnił, że udało mu się w końcu odnaleźć brakującego członka zespołu kuratorskiego i że ludzie mieszkający pod starym adresem Margaret Stringer w końcu do niego oddzwonili. Nie było ich przez jakiś czas na miejscu, ale teraz wygrzebali skądś numer telefonu, pozostawiony kiedy kupili ten dom pięć lat temu.

- Gdy zadzwoniłem, pomyślałem, że się pomyliłem i wybrałem nie ten numer...

- O co chodzi, Dave?

- Jak długo był pan w domu Tonyego Mullena?

- Nie wiem... jakieś pół godziny.

- Wobec tego musiał pan słyszeć telefon - powiedział Holland. - Dzwonił kilka razy w ciągu ostatnich piętnastu minut?

Thorne faktycznie usłyszał telefon, kiedy był z Juliet w kuchni. W obu wypadkach odebrano go w salonie obok.

- Za pierwszym razem, kiedy zorientowałem się, z kim rozmawiam, nie wiedziałem, co mam powiedzieć. Wcisnąłem jakiś kit o kurtuazyjnej pogawędce. Za drugim razem, kiedy postanowiłem zadzwonić, tak dla pewności, po prostu odłożyłem słuchawkę.

- W porządku.

Thome prawie go nie słuchał, próbował poukładać to wszystko w jedną całość.

- Co się, kurwa, dzieje?

Thome nie miał pojęcia, ale był we właściwym miejscu, żeby się dowiedzieć. Zdawał sobie sprawę, że wiele kobiet pracowało pod panińskim nazwiskiem. I wiedział, jak brzmi zdrobnienie od Margaret.

Kiedy zakończył rozmowę, wrócił do kuchni i polecił Juliet Mullen, aby poszła do swojego pokoju. Następnie wszedł do salonu i usiadł, nie czekając na zaproszenie.

Maggie Mullen odłożyła książkę, którą czytała, a jej mąż z pewnym ociąganiem się wyłączył telewizor.

- Skończył pan?

- Nawet jeszcze nie zacząłem - odrzekł Thome.

24

- Czy ani przez chwilę nie przyszło wam na myśl, że to się wyda? - Thome zwracał się do nich, ale nie patrzył, jakby mówił do dzieci.

- Jak mogliście przypuszczać, że się o tym nie dowiemy?

- To nic wielkiego - tłumaczył Mullen.

- Doprawdy?

- Zwykły romans, nic więcej. To się zdarza. Musi pan nam wybaczyć, że staraliśmy się utrzymywać w tajemnicy pewne szczegóły z naszego popieprzonego życia.

Ale Thome nie był w nastroju do wybaczenia komukolwiek. Z coraz większym gniewem i niedowierzaniem słuchał, jak Tony Mullen wyjaśnia, dlaczego podjął decyzję, by nie wspominać o Grancie Freestone. Jak wspólnie zdecydowali, że nie ma sensu ujawniać romansu, który miała jego żona jako uczestniczka zespołu kuratorskiego zajmującego się Freestoneem w dwa tysiące pierwszym roku.

- I dlatego skłamaliście? - rzucił Thome. - Próbuje odnaleźć waszego syna, a wy kłamiecie z powodu jakiegoś cholernego pieprzenia na boku? Kogo chciał pan ustrzec przed zażenowaniem? Pańską żonę czy samego siebie?

- Oboje - odparł Mullen. - Zresztą, co to, kurwa, ma za znaczenie?

- Pomieszaliście nam szyki...

- Co to ma za znaczenie? - powtórzył Mullen, który wyglądał, jakby miał zaraz zacząć wrzeszczeć z frustracji, wściekłości i zmęczenia. - Chryste, wiele lat temu moja żona popełniła błąd. Jeden błąd...

Mullen siedział na sofie twarzą zwróconą do kominka i telewizora. Thome i Maggie Mullen siedzieli naprzeciw siebie w fotelach.

Thome spojrzał na kobietę ponad orientalnym dywanem; stopy miała podkurczone, tak jak to robiła jej córka. Siedziała w bezruchu i prawie nie odezwała się słowem, odkąd wszedł do pokoju.

Nie był w stanie stwierdzić, czy wydawała się zaskoczona, czy zuchwała.

- Wobec tego, z kim pani zbłądziła?

Pokręciła głową powoli, jakby chciała, żeby przyznała się do czegoś niewypowiedzianego.

- Czy to ważne? - jęknął Mullen.

- Dość sekretów - rzekł Thome.

Maggie Mullen podała nazwisko mężczyzny, z którym miała romans.

Thome zamyślił się nad nim przez chwilę. Teraz już rozumiał, dlaczego to tak bardzo drażniło Tony ego Mullen.

- Wyraźnie cię to bawi, Thorne - uznał tamten. - Cieszy cię nasze... skrepowanie.

- Wydaje się panu, że może wspiąć się choćby o centymetr na moralne wyżyny? -

spytał Thome.

Mullen nie odpowiedział, patrzył tylko na ścianę.

- Powinien pan czuć się niezręcznie. Na miłość boską, był pan pracownikiem resortu i pański syn zaginął. Zataił pan informacje.

- Nieistotne informacje.

- Jest pan pewien?

- Biorąc pod uwagę wszystko, co się dzieje, czy naprawdę sądzisz, że jest ważne to, z kim sypiała pięć lat temu moja żona?

- To zależy - odparł Thome. - Czy mówiąc „wszystko”, ma pan także na myśli to, że dziś rano zamordowano pracownicę zespołu kuratorskiego?

Spojrzał na ich twarze. Po wyrazie twarzy Mullen a widać było, że o tym nie wiedział. Ze pomimo swoich koneksji nie był informowany na bieżąco o rozwoju śledztwa.

- Ktoś włamał się do domu Kathleen Bristow i ją zabił. Nikt nie przekona mnie, że nie była to ta sama osoba, która uprowadziła waszego syna, więc...

Maggie Mullen zaczęła płakać.

- Zastanawiam się, czy wciąż uważa pan fakt, że pańska żona pracowała w tym zespole, za nieistotny.

Mullen wstał i wyciągnął ręce do żony, ale ona nawet nie drgnęła. Siedziała i płakała, patrząc wszędzie, tylko nie na Thorne a ani na swojego męża, dopóki Mullen do niej nie podszedł. Pociągnął ją do siebie i posadził na sofie, przyciskając jej głowę do swojej piersi tak mocno, że po chwili zaczęła się wyrywać, by złapać oddech.

- Nie rozumiem, jak w ogóle mogła pani znaleźć się w tym zespole - rzekł Thorne. - Czy nie zachodziła sprzeczność interesów, skoro to pani mąż wsadził Freestone a za kratki?

Mullen spojrzał na żonę. Nie była w stanie odpowiedzieć.

- Nie wiedziała - odparł. - A w każdym razie nie od początku. Nie rozmawialiśmy o sprawach, a ona nigdy nie słyszała o Freestone, dopóki nie dołączyła do zespołu.

- A zatem co się stało? Skoro powiedział pan, że „nie od początku”.

- Zobaczyła moje nazwisko na raporcie do zwolnienia warunkowego Freestone a, informacje o tym, jak mi groził, i powiedziała mi, więc porozmawialiśmy o tym. Chciała zrezygnować, ale nie było takiej potrzeby. To, co wydarzyło się w przeszłości, nie dotyczyło Maggie i innych z tego zespołu, więc konflikt jako taki nie zachodził.

- Oczywiście, że nie. A jednak miło było mieć kogoś, kto będzie miał Freestone a na oku. Kogoś, kto miał uzasadniony powód natury zawodowej, by śledzić każdy jego krok.

Mullen pokręcił głową.

- Pleciesz bzdury. Moja żona po prostu wykonywała swoją pracę.

- No jasne i z tego, co słyszę, wyrabiała także nadgodziny.

To był wredny numer i spotkał się z zasłużoną reakcją. Mullen usiadł prosto, ściskając żonę za rękę, i rzekł półgłosem, cedząc słowa ociekające odrazą zarówno do osoby, o której mówił, jak też do słuchającego:

- Ten mężczyzna był kimś, z kim Maggie pracowała bardzo blisko tylko dlatego, że wierzyła w rzetelną i uczciwą pracę. Ufała wszystkim w tym zespole i miała powód przypuszczać, że oni byli w równym stopniu oddani tej pracy.

Maggie Mullen siedziała obok niego sztywna i rozdygotana, łzy coraz wolniej wypływały z jej oczu. Twarz reagowała na każdy spazm szloch i wykrzywiała się w grymasie na kolejne słowa męża, jakby z niesmakiem i zgrozą słuchała o kobiecie, której nie rozpoznawała.

- Mężczyźni tacy jak on myślą niekiedy pełne oddania stosunki zawodowe z wyrazami uczucia. Poszukują tego rozpaczliwie i starają się wykorzystywać, zmienić to w coś, czym z założenia nie były. To pasożyty. I ten mężczyzna taki właśnie był.

Maggie Mullen wypowiedziała półgłosem imię męża. To zabrzmiało, jakby błagała go, by przestał.

- Był w potrzebie - ciągnął Mullen. - W gwałtownej potrzebie i zmienił sympatię mojej żony w coś innego. Zyskał nad nią przewagę.

Maggie Mullen pokręciła głową z przejęciem, równocześnie wypowiadając słowa:

- To nie tak było. To nie było tak...

- Uspokój się, kochanie...

- Nie bądź skończonym durniem! - zawołała.

Odwróciła się do Thome'a, skupiła na nim wzrok i powiedziała cicho:

- On ma Luke'a.

Thome poczuł świerzbiecie na karku, nieprzyjemne uczucie, które narastało coraz gwałtowniej...

- Kto ma Luke'a?

Znów wypowiedziała to nazwisko. Nazwisko mężczyzny, z którym miała romans..

Mullen wziął ją za drugą rękę i zbliżył twarz do jej twarzy.

- Przepraszam, kochanie, ale nie...

Wykrzyczała to nazwisko wprost w jego twarz, drobne kropelki śliny opryskały mu policzek, wpadły do oczu.

- On porwał Luke'a. Zlecił tym ludziom, tej parze, aby go uprowadzili dla ostrzeżenia.

Żeby mnie przekonać, jak sędzę. Romans nie skończył się wtedy, gdy mówiłam. Próbowałam go zakończyć, ale on mi nie pozwolił.

Maggie Mullen siedziała obok niego sztywna i rozdygotana, łzy coraz wolniej wypływały z jej oczu. Twarz reagowała na każdy spazm szloch i wykrzywiała się w grymasie na kolejne słowa męża, jakby z niesmakiem i zgrozą słuchała o kobiecie, której nie rozpoznawała.

- Mężczyźni tacy jak on myślą niekiedy pełne oddania stosunki zawodowe z wyrazami uczucia. Poszukują tego rozpaczliwie i starają się wykorzystywać, zmienić to w coś, czym z założenia nie były. To pasożyty. I ten mężczyzna taki właśnie był.

Maggie Mullen wypowiedziała półgłosem imię męża. To zabrzmiało, jakby błagała go, by przestał.

- Był w potrzebie - ciągnął Mullen. - W gwałtownej potrzebie i zmienił sympatię mojej żony w coś innego. Zyskał nad nią przewagę.

Maggie Mullen pokręciła głową z przejęciem, równocześnie wypowiadając słowa:

- To nie tak było. To nie było tak...

- Uspokój się, kochanie...

- Nie bądź skończonym durniem! - zawołała.

Odwrociła się do Thorne'a, skupiła na nim wzrok i powiedziała cicho:

- On ma Luke'a.

Thorne poczuł świerzbiecie na karku, nieprzyjemne uczucie, które narastało coraz gwałtowniej...

- Kto ma Luke'a?

Znowu wypowiedziała to nazwisko. Nazwisko mężczyzny, z którym miała romans. Mullen wzięła ją za drugą rękę i zbliżył twarz do jej twarzy.

- Przepraszam, kochanie, ale nie...

Wykrzyczała to nazwisko wprost w jego twarz, drobne kropelki śliny opryskały mu policzek, wpadły do oczu.

- On porwał Luke'a. Zlecił tym ludziom, tej parze, aby go uprowadzili dla ostrzeżenia. Żeby mnie przekonać, jak sędzę. Romans nie skończył się wtedy, gdy mówiłam. Próbowałam go zakończyć, ale on mi nie pozwolił.

Mullen chciał coś powiedzieć, ona jednak go zagłuszyła, jakby obawiała się, że gdyby przerwała, rozpadłaby się na kawałki.

- Ciągnęliśmy to, ale ja wręcz umierałam za każdym razem, kiedy patrzyłam na Luke'a i Juliet. Umierałam z poczucia winy. Dlatego parę miesięcy temu postanowiłam to

zakończyć i powiedziałam mu, że tym razem nie zmienię zdania. - Przerwała. - Żle to przyjął...

Thome zerwał się z miejsca. Nie był w stanie ukryć zdumienia i odrazy w głosie.

- Więc porwał pani syna?

- Byłam głupia - rzekła, tuląc się do męża. - Byłam taka głupia, że to w ogóle zrobiłam. On właśnie stracił matkę i całkiem się rozsypywał. Pomyślałam, że to będzie właściwy moment, no wiecie... żeby mu powiedzieć. Bo miał inne sprawy na głowie. Ale jemu całkiem odbiło.

Thome patrzył i myślał: I kto to mówi. Czekał na ciąg dalszy.

- I, Boże dopomóż, wspomniałam o Sarah Hanley.

- Co takiego?

- Nigdy nie rozmawialiśmy o tym, co się stało. To było jak film, który razem widzieliśmy. Ale chciałam, żeby zrozumiał, że to koniec, dał mi święty spokój, i powiedziałam, jakie to byłoby straszne, gdyby ktoś się kiedykolwiek o tym dowiedział. Powiedziałam to, bo byłam zdesperowana, i nie wiedziałam, co jeszcze mogłabym zrobić. Nie próbowałam mu grozić.

- Co właściwie się wydarzyło? - spytał Thome.

Mullen niemal szeptem wymówił imię żony.

- Byłam tam, kiedy zginęła Sarah Hanley - oznajmiła.

Tony Mullen podniósł się powoli, a ponieważ trzymał żonę za rękę, ona również wstała. Ich wykrzywione palce zbieleły, napięcie w ramionach narastało, aż zaczęli przepychać się wzajemnie, stojąc przy sofie, siłowali się, próbując zyskać przewagę jedno nad drugim, z gardła któregoś z nich dobył się cichy jęk...

Thome był gotów zainterweniować, obawiając się wybuchu przemocy, ale chwila minęła i Mullen osunął się ciężko na sofę, jakby wypruto mu wnętrzości. Patrzył na nich. Wziął kilka głębokich

oddechów, gdy w myślach przelatywały mu setki pytań. Wiedząc, że może zaczekać na odpowiedzi, wyjął telefon i zaczął wyciągać rękę.

- Proszę, nie tak jak ostatnim razem - odezwała się wreszcie Maggie Mullen. - Nie wpadajcie tam tak jak do tamtego mieszkania. Nie wparowujcie tam z bronią. Nie wiem, jak on mógłby zareagować. Nie wiem, co mógłby zrobić.

Thome pokiwał głową i uniósł telefon do ucha.

- Potrzebuję adresu domowego.

Podawała mu go bez namysłu.

- Proszę - powtórzyła. - Lukeowi nic nie jest... jak na razie. Jest cały i zdrowy. Proszę mi obiecać, że nie zrobi pan niczego głupiego, że nie wejdziecie tam z bronią...

Thome uzyskał połączenie z wybranym numerem. Spojrzał na Tony ego Mullena i podążył za jego pełnym konsternacji spojrzeniem w stronę kobiety, która stała, błagalnie załamując ręce.

- Skąd pani wie, że Lukeowi nic nie jest?

Odwróciła wzrok.

- Rozmawiałam z nim.

Głos Mullena brzmiał ochryple.

- Rozmawiałś z Lukiem?

- Nie - odparła. - Nie z Lukiem. Nie rozmawiałam z Lukiem.

Porter w końcu odebrała.

Właśnie wracała z domu Kathleen Bristow w Shepherd s Bush. Zatrzymała się, by zapisać szczegóły, gdy tylko Thome powiedział jej, oco chodzi, i zaczął podawać informacje. Podał jej adres w Catford, na drugim końcu miasta i w sporej odległości od miejsca, gdzie była obecnie.

- Jak sądzisz, jak szybko może tam dotrzeć ekipa? - spytał.

- Szybciej niż ja - odparła Porter. - Na pewno.

Thome podzielił się z nią niepokojami Maggie Mullen, że jego reakcja na zbrojną interwencję może być nieprzewidywalna, że prosiła o ostrożność. Porter odparła z powątpiewaniem.

- Niczego nie mogę obiecać - rzekła.

Kiedy Thorne zakończył połączenie, zapewnił, że Porter postara się rozegrać to jak najdelikatniej. Nie miał żadnych wyrzutów sumienia, kłamiąc w żywe oczy.

25

Myślisz o dzieciach.

Zawsze w takiej sytuacji, w takim stanie, kiedy nie potrafisz określić, czy to gniew, czy cierpienie zapiera ci dech i tak trudno jest ci wykrztusić słowa, by dotarły na drugi koniec pokoju, przede wszystkim myślisz o nich...

- Dlaczego, u licha, dlaczego, kurwa, nie powiedziałeś mi tego wcześniej?

- To nie był właściwy czas. Należało z tym poczekać.

- Należało?

Postępuje krok w stronę mężczyzny i kobiety stojących w drugim końcu salonu.

- Myślę, że powinnaś się uspokoić - rzekł mężczyzna.
- Co niby miałabym teraz zrobić? - spytała. - Naprawdę chciałabym to teraz wiedzieć.
- Nie mogę ci mówić, co masz robić. Decyzja należy do ciebie.
- Uważasz, że mam wybór?

Druga kobieta odezwała się łagodnie:

- Powinnaś usiąść i porozmawiać, ustalić najlepszy sposób, aby pójść dalej.
- Boże święty. Wparowujesz tu i mówisz takie rzeczy. Bez ogródek, jakby to było coś, o czym zapomniałeś wspomnieć. Przychodzisz tu i mówisz mi o całym tym... syfie!

- Sarah...

- Nie znam cię. Nawet, kurwa, cię nie znam!

Przez kilka sekund słychać było tylko tykanie, odległe dźwięki ruchu ulicznego i stłumione odgłosy z radia w kuchni...

- Przepraszam.

- Co?

Sarah Hanley uśmiechnęła się, a potem wybuchnęła śmiechem. Zaczęła gnieść między palcami materiał sukienki, zacisnęła dłonie w pięści.

- Muszę iść do szkoły.

- Dzieciom nic nie będzie - rzekł mężczyzna i spojrzał na kobietę, która z nim była, a ta pokiwała głową potakująco. - Naprawdę, kochanie, włos im z głowy nie spadnie.

-... i właśnie wtedy się na niego rzuciła - powiedziała Maggie Mullen. - Rzuciła się na nas oboje z pazurami, krzycząc i klnąc na całe gardło. On uniósł tylko ręce, by osłonić twarz, bo ona już nad sobą nie panowała. Nie chciał jej popchnąć.

- Myślała o dzieciach - rzekł Thorne.

- My również. Właśnie dlatego tam byliśmy, dlatego podjęliśmy decyzję, by powiedzieć jej o przeszłości Freestone a.

- I nie przyszło wam do głowy, że mogłaby nie przyjąć tej wiadomości ze spokojem?

Maggie Mullen osunęła się na fotel. Mówiła, obejmując się ramionami. Jej mąż patrzył, siedząc na sofie, z twarzą szarą jak popiół, jakby pozbawiono go wszystkiego, czego potrzebował do życia, może poza ostatnim oddechem.

- Byliśmy przeszkoleni do prowadzenia takich rozmów - tłumaczyła Maggie Mullen. - Staraliśmy się być bardzo wrażliwi i delikatni. Ale... wszystko wyrwało się spod kontroli.

- Co się stało potem?

- Wpadliśmy w panikę. Było tyle krwi. Nie wiedzieliśmy, co mamy robić, i w końcu postanowiliśmy po prostu wyjść. - Spojrzała na Thome a. - Nie pamiętam, czyj to był pomysł,

naprawdę nie pamiętam, ale był tam taki bałagan. To był nieszczęśliwy wypadek.

- Wypadek, za który, jak wiedzieliście, przyjdzie zapewne zapłacić Grantowi Freestone owi.

- Nigdy o tym nie myśleliśmy - odrzekła. - A w każdym razie ja nie myślałam, przysięgam. Kiedy go o to oskarżono, rozmawialiśmy na ten temat, ale nie wiedzieliśmy, jak powinniśmy postąpić. Było już za późno, żeby się przyznać, powiedzieć, co się stało, próbować to wyjaśnić.

Thome powoli podszedł i stanął za jej fotelem.

- Czy jeszcze żyła, kiedy wyszliście? - zapytał.

Maggie Mullen opuściła głowę i pokręciła nią.

Thome spojrzał na jej włosy, niemyte od wielu dni. Tylko ona imężczyzna, który był tego dnia w domu Sarah Hanley, wiedzieli, czy mówiła prawdę.

- Wie pani, że jej dzieci odnalazły ciało?

- Tak...

Dłonie Tony ego Mullena, złożone na udach, drżały. Przełknął ślinę, po czym wymamrotał.

- Chryste...

- Więc tak po prostu wyszliście - powiedział Thome.

Pokiwała głową, ale nie uniosła wzroku.

- Tak, wyszliśmy i mieliśmy nadzieję, że nikt nas nie widział. - Spojrzała w górę. - I rzeczywiście nikt nas nie zobaczył. Poszliśmy do Kathleen Bristow, która przydzieliła nam tę wizytę, i powiedzieliśmy, że musieliśmy ją odwołać, że w ogóle tam nie poszliśmy. Wymyśliliśmy jakąś historyjkę, że źle się poczułam. A potem, kiedy odkryto ciało, wszystko poszło w zapomnienie i uznaliśmy, że jesteśmy bezpieczni.

- Czy dlatego zabił Bristow? - rzucił Thome. - Czy miała zapisane, że mieliście odwiedzić Sarah Hanley?

- Chyba tak. Na pewno wiedziała, że ja i on kręciliśmy ze sobą. Przyłapała nas razem w pubie po jednym ze spotkań. Może wystraszył się samym faktem, że o tym wiedziała.

- Ale dlaczego teraz?

Poruszyła się w fotelu, odchyliła głowę do tyłu i mówiła, patrząc w sufit:

- Nie wiem, co mu chodzi po głowie. Nie będę udawała, że wiem, dlaczego to zrobił.

- Może powinnaś go była zapytać - zaproponował Mullen. - Podczas jednej z waszych pogawędek przez telefon.

- Błagam, Tony...

- Nie do wiary. Wiedziałaś, że on ma Luke a, ale nic nie powiedziałaś. Ma naszego syna, a ty nic nie powiedziałaś.

Thorne spojrział na to, co zostało z Mullen, i ogarnęło go współczucie. Skłamał przez zatajenie, sądząc, że tuszuje zwykłą niewierność, nie mając pojęcia, o jaką stawkę toczy się gra.

- Z początku sądziłam, że próbuje mnie po prostu przestraszyć. Bo powiedziałam mu, że z nami koniec, i rozmawialiśmy o Sarah Hanley. Znał skądś tę kobietę, zapłacił jej, żeby zabrała Luke a ze szkoły, imyślałam, że to potrwa tylko dzień czy dwa, że chciał się upewnić, że go zrozumiałam.

Thome wiedział już, że nie pomylił się co do nagrania, w którym zdziwiło go, iż przekaz nie był skierowany do ojca Luke a. Chłopak mówił to, co mu kazano. Słowa były skierowane tylko do matki, bo wiadomość była przeznaczona tylko i wyłącznie dla niej.

- Co powiedział? - spytał Mullen. - Kiedy porwał Luke a. Co powiedział, kiedy z nim rozmawiałaś?

Wyglądała, jakby to miała być jej najtrudniejsza odpowiedź.

- Powiedział, że zrobił to, bo bardzo mnie kocha.

- Jezus Maria.

- Ale on w to wierzy. Nie jest z nim dobrze.

- Dlaczego od razu tego nie wyjaśniłaś? - Mullen poczerwieniał, oddychał ciężko. - Dlaczego nie zgodziłaś się na wszystko, czego chciał, w zamian za uwolnienie Luke a? Widziałaś nagranie, wiesz, co robili z Lukiem.

- Powiedział, że nie chce, żeby było za łatwo. Obiecał, że go nie skrzywdzi, że podawane prochy mu nie zaszkodzą. Powiedział, że chce mieć pewność, że wiem, jak poważnie on to traktuje.

- Poważnie? - wtrącił Thome.

- Po tych pierwszych dniach nic już nie mogłam zrobić. Byłam przerażona tymi wszystkimi wydarzeniami.

Mullen aż podskoczył całym ciałem, okręcając się na fotelu i tłukąc pięścią w powietrze.

- On zabił! Zaczął, kurwa, zabijać!

- Właśnie o to mi chodzi - odkrzyknęła. - Wiedziałam, że stracił panowanie, że nie sposób przewidzieć, co zrobi ani jak zareaguje. Powiedział, że nie skrzywdzi Luke a, ale nie wiem, co by się mogło stać, gdybym powiadomiła policję. - Spojrzała na telefon. - Wciąż tego nie wiem. Mogłam tylko rozmawiać z nim i upewniać się, że Luke owi nic nie jest.

Uniosła prawą dłoń do głowy, chwyciła pęk włosów i zaczęła ciągnąć.

- Wszystko spieprzyłam, wiem o tym, ale to się zrobiło takie szalone, że nie wiedziałam, co mam robić.

Popatrywała dziko od swojego męża do Thome a i z powrotem.

- Przez cały czas myślałam o Luke u, ale...

Thome pokiwał głową. Nie chciał dłużej słuchać. Nie zostało już ani trochę łez, ale oblicze Maggie Mullen wyglądało, jakby było zrobione z popękanego gipsu. Przypomnił sobie słowa, których użyła, opisując to, co się stało w dniu, kiedy zginęła Sarah Hanley.

- Wszystko po prostu wyrwało się spod kontroli - powiedział.

Minęła godzina, może więcej, Thome nie potrafił tego stwierdzić.

Minuty, ślimacząc się, przemijały jedna za drugą, podczas gdy Thome patrzył, jak Tony i Maggie Mullen krzywdzą samych siebie i siebie nawzajem. Krzyki, które cięły jak brzytwy. Wrzaski, które obdzierały żywcem ze skóry. Oskarżenia jak ciosy pałką i cisza wypalająca do kości to, co pozostało z ciała.

Zwabiona płaczem w drzwiach pojawiła się Juliet. Domagając się, by powiedziano jej, co się dzieje, i ze zrozumiałych względów odmawiając powrotu na górę, zaczęła przekrzykiwać się z matką i w tej samej chwili zadzwoniła komórka Thome a. Odebrał, a Tony Mullen wyprowadził córkę z pokoju.

Kiedy skończył rozmawiać, Thome odwrócił się do nich. Pospiesznie unióś rękę w uspokajającym geście, by dać im do zrozumienia, że wieści nie były najgorsze.

- Nikogo tam nie ma - powiedział. - Weszli pięć minut temu, mieszkanie jest puste.

Ten wyraz twarzy Mullen Thome miał okazję widzieć już kilkakrotnie podczas tej sprawy. Panikę błyskawicznie zastąpiła ulga, która wnet przerodziła się w niepohamowaną wściekłość.

Maggie Mullen oddychała ciężko.

- Weszli tam bardzo szybko. Skąd mieli pewność, że jest bezpiecznie?

- Uznali, że nie wolno czekać - odparł Thome. - Szybkie wejście jest zawsze ryzykowne, ale czekanie może być jeszcze bardziej niebezpieczne, no i ostatnio się nie opłacało. W pobliżu był wóz bojowej jednostki specjalnej i postanowili wykorzystać okazję.

- Mówił pan, że obejdzie się bez broni - wycodziła Maggie Mullen, wskazując na niego palcem. - Obiecał pan.

- Nie - odparł lodowato Mullen. - Nic takiego nie mówił.

- Czy jest jakieś inne miejsce? - spytał Thome. - Inne miejsce, dokąd mógł go zabrać?

Zorientował się, gdy tylko zadał to pytanie, że było jak najbardziej właściwe.

- Do domu swojej matki. Miała domek gdzieś w pobliżu Luton na jakimś zadupiu. - Nie mogła spojrzeć na męża. - Byłam tam raz.

- Niech pani zadzwoni do niego - rzucił Thome.

Zamknęła oczy i przyłożyła dłoń do ust, tłumiąc odmowę.

- Dzwon...

Po chwili podeszła i wyjęła z torebki telefon, Mullen i Thome patrzyli, jak wybiera numer.

A potem mówi do mężczyzny, który porwał jej syna. Powiedziała, że muszą porozmawiać, że wie, że jest późno, ale że wybiera się do niego. Nalegała. Powiedziała, że muszą się spotkać. Ze wie, gdzie on teraz jest, i obiecała, że przyjedzie sama.

Stłumiła łzy i wzięła głęboki oddech, zanim zapytała, jak się czuje Luke.

A potem zakończyła połączenie.

Pokiwała głową...

Mullen spojrzał na Thornea, zanim ten zdążył postąpić krok naprzód.

- Jadę z wami - powiedział.

- Nie.

- Spróbuj mnie, kurwa, powstrzymać.

Thome spojrzał Mullenowi w oczy i zrozumiał, że gdyby spróbował i doszłoby do rozróby, miałby nie lada kłopoty.

- To naprawdę nie jest dobry pomysł - rzekł, trzymając w dłoni komórkę. - Niech pan nie zmusza mnie, żebym ściągnął tu mundurowych.

Mullen po kilku chwilach ustąpił. Kiedy Thome spytał, gdzie są kluczyki od auta, tamten podał mu je. Spoglądając na Mullen, Thome przypomniał sobie nagle, co mówił mu Hendricks o tym, jak widział dziecko leżące na łóżku będącym w rzeczywistości stołem w kostnicy. Ujrzał mężczyznę, który wiedział, że życie jego syna jest w rękach innego i że mogło się tak stać przez jego własną głupotę i dumę.

Odprowadził Maggie Mullen do drzwi frontowych i otworzył je. Wyszła, nie oglądając się, i pomaszerowała w stronę auta. Thome odwrócił się, by ujrzeć Juliet Mullen siedzącą w połowie kondygnacji schodów i ojca wspinającego się ku niej.

- Wszystko będzie dobrze, proszę pana - powiedział Thome.

26

Thome prowadził, zerkając od czasu do czasu na atlas samochodowy, który miał rozłożony na udach. Otwarty na stronach wskazujących okolice Luton i Stevenage, które, jak

stwierdziła Maggie Mullen, były ich punktem docelowym. Mknęli po asfalcie autem Tony ego Mullena, autostrada o jedenastej była prawie pusta i dojechanie na miejsce nie powinno im zająć więcej niż jeszcze dwadzieścia minut. O ile znajdą to miejsce.

Prując na północ, znów odbył rozmowę z Porter. Powiedział jej, dokąd jadą, podał najkrótszą trasę. Porter wydawała się spięta, wiedząc, że nie mogła uczynić nic więcej, jak posłać swoją ekipę w tym samym kierunku i czekać na dokładniejsze instrukcje.

- Rozumie się, że będziesz mnie informował na bieżąco?

- Więc czemu pytasz?

- Tom...

- Dowiesz się równocześnie ze mną - powiedział Thome. - O ile tylko ja się tego dowiem...

Kolejne spojrzenie w dół tuż po zakończeniu rozmowy i rzut oka w bok na siedzącą na fotelu pasażera kobietę. Odkąd opuścili dom w Arkley, prawie nie zamienili słowa. Maggie Mullen przez większość czasu uporczywie wyglądała przez okno, aby unikać kontaktu wzrokowego, dopóki nie będzie to absolutnie konieczne.

Jechali w milczeniu, jeśli nie liczyć cichego szumu wielkiego silnika i szeptu opon na wciąż wilgotnej szosie, choć deszcz już ustał. To byłoby niewłaściwe, ale przez chwilę Thorne rozważał, czy nie włączyć zestawu stereo, gdyż atmosfera w aucie z każdą minutą, z każdym kilometrem robiła się coraz bardziej nieprzyjemna.

Zastanawiał się, jaki gust muzyczny mógł mieć Tony Mullen. Ta trywialna myśl wydawała mu się przyjemną odmianą po innych, mrocznych, które zaprzętały jego głowę. Czerń rozprzestrzeniała się, pochłaniając wszystko wokół. Pomyślał o Tony Mullenie czekającym w domu. Czy zadzwonił już do Jesmonda albo któregoś ze swoich wysoko postawionych przyjaciół? A jeżeli tak, co mógł im powiedzieć?

Thome jechał zewnętrznym pasem z prędkością stu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Miał nadzieję, że chłopaki z drogówki z Hertfordshire nigdzie się tu nie zaczęli.

- Uważa pan, że powinnam była powiedzieć o wszystkim? - spytała nagle.

Thome skupił się na tylnych światach pojazdu, który miał przed sobą.

- Tak, kurwa.

- Próbowałam chronić Luke a.

- Zdaje sobie pani sprawę, jak absurdalnie to brzmi, prawda?

- Nie dbam o to.

- To widać...

- Wiedziałałam, że on go nie skrzywdzi.

- Wciąż jest pani pewna?

Zawahała się.

- Jest pani pewna, że zachowanie tego wszystkiego dla siebie nie miało nic wspólnego z Sarah Hanley? I ze świadomością, że gdyby sprawa wyszła na jaw, miałyby pani poważne kłopoty?

- Powiedział, że oboje trafilibyśmy za to do więzienia.

- Jasne. Wykorzystał tę głupią pogroźkę przeciwko pani.

Zamknęła oczy.

- Tak.

Thome mruknął z zadowoleniem.

- A pani nie chciała iść do więzienia.

- Spytał mnie, jakie to uczucie być bez syna.

W jej głosie kryło się napięcie, podobnie jak w wyrazie twarzy, kiedy Thome na nią spojrzał.

- Zapytał mnie, jak bym się czuła, gdybym straciła ich oboje. Gdybym spędziła za kratami Bóg wie ile lat, podczas gdy one dorastały beze mnie.

Poprawiła pas bezpieczeństwa.

- Nie chcę iść do więzienia.

- To żadne wytłumaczenie - mruknął Thome. - Sama pani powiedziała, że nie wie, co chodzi temu mężczyźnie po głowie. Ze boi się pani, że stracił panowanie.

- Rozmawiałam z nim. Próbowałam go uspokajać, ale to wszystko robiłam dla Luke a...

Ta myśl uderzyła Thorne a z taką siłą, że Maggie Mullen cofnęła się i nieomal oparła o drzwiczki, kiedy odwrócił się i znów na nią spojrzał.

- Co mu pani powiedziała o sprawie?

Cisza była dostateczną odpowiedzią.

- Powiedziała mu pani, że mamy odciski palców, tak? Ze zdjęliśmy z kasety odciski Conrada Allena. I jesteśmy bliscy ustalenia jego adresu.

- Myślałam, że przestanie, wiedząc, że policja jest już na jego tropie. Chciałam, żeby się poddał.

- A co z Kathleen Bristow? - Thome pytał tak samo siebie, jak ją, próbując ułożyć w myślach chronologię zdarzeń. Czy Kathleen Bristow zginęła przed przesłuchaniem jej zabójcy czy po? - Wiedział, że się do niego wybieramy, tak? Powiedziała mu pani, że będziemy pytać oGranta Freestone a, że będziemy rozmawiać z członkami zespołu

kuratorskiego...

- I tak wszystko by się wydało - rzekła. - To, co się stało. Myślałam, że jeśli zdołam mu to uświadomić, odzyskam Luke'a.

- To się pani pomyliła.

Thome wdepnął pedał gazu do deski i mocniej ścisnął kierownicę.

- Zabił ją, tak jak Conrada Allena i Amandę Tickell. Z tego, co usłyszałem, wynika, że jest pani odpowiedzialna za te trzy śmierci.

- Błagam...

- Trzy kolejne śmierci...

Odwróciła się. Oparła czołem o szybę.

- Cokolwiek pani sądziła, naciskała pani wszystkie guziki równocześnie.

- Nie chciałam.

- Mam nadzieję, że Lukę żyje, że nic mu nie jest. Naprawdę na to liczę. Ale jeżeli nie...

Jęknęła, ześlizgując się po szybie.

- To prawdopodobnie nie zasłużyła pani na nic innego.

Jechali dalej, minęli zjazdy do Welham Green i Hatfield oraz St Albans, dokąd często jeździł, kiedy żył jego ojciec. Woda na drodze rozbryzgiwała się, wystrzeliwując spod kół z przeciągłym szumem.

Maggie Mullen, nie odwracając się, powiedziała:

- Ona już nie żyła, kiedy wyszliśmy. Sarah. Straciła zbyt dużo krwi.

Thome pomyślał, że wydawała się żalosna. On sam był pozbawiony emocji, zimny, bez cienia współczucia. Wiedział, co może na niego czekać u celu podróży, więc była to zapewne najlepsza postawa.

- Jasne. I patrzyliście, jak umiera.

Zjechali z A1 tuż za Welwyn Garden City. Tyle pamiętała. Teraz musieli liczyć tylko na łut szczęścia. Miała szczątkowe wspomnienia wioski, której szukali - dużego domu na obrzeżach, kościoła - i to wszystko.

Pięć minut później znaleźli się w innym świecie. Górne oświetlenie już się skończyło, na końcu drogi dojazdowej nie było nawet elementów odblaskowych, gdy droga klasy A zmieniła się w drogę klasy B z żywopłotami po obu stronach i stała się tak wąska, że z ledwością można by na niej wyminąć samochód z przeciwka.

Thome jechał tak szybko, jak tylko był w stanie; reflektory auta przecinały czerń, która rozciągała się przed nimi.

Powoli przejechali przez wioskę Codicote: domy w stylu Tudorów, puby, zieleniec. Maggie Mullen rozpaczliwie szukała jakichś tropów, które wskazywałyby, że znajdowali się we właściwym miejscu. Thome wyjechał z wioski, mknął czarną wstęgą szos łączących kolejne wioski oddalone od siebie o kilka kilometrów. Zaklął i zredukował światła do krótkich, gdy zza zakrętu wyjechał inny wóz, ostro zahamował i wprowadził mercedesa w wiraż. Próbował spojrzeć na kierowcę drugiego auta, ale przejechało za szybko i nie zdążył. Ponownie włączone długie

światła wychwyciły gdzieś wśród podszycia żółte ślepie i coś przebiegło przez drogę pięćdziesiąt metrów przed nimi.

- Wszystkie te szosy wyglądają tak samo - rzekła Maggie Mullen.

Przejechali przez Kimpton i Peter s Green. Zatrzymali się i zawrócili, dotarłszy na odległość blisko dwóch kilometrów od lotniska w Luton, gdzie stała tablica z napisem, „Witamy w Bedfordshire”. Znow skręciwszy na północ, przejechali przez Whitwell, po moście ponad rzeką Maran i wjechali do St Pauls Walden.

- Stop...

Thome dał po hamulcach i wyciągnął rękę, gdy Maggie Mullen omal nie poleciała do przodu.

- Co jest?

- To ten wielki dom.

Wskazała w stronę bramy z kutego żelaza. W oddali widać było kontury wielkiej rezydencji.

- Byliśmy tam tylko raz. To miało coś wspólnego z Królową Matką. Proszę jechać.

Na drugim końcu High Street znow kazała Thorne owi, aby zatrzymał wóz. Wskazała na kościół. Na tle nocnego nieba odcinał się wystający z wieży dzwonnicy piorunochron.

- Z tego domku widać tę wieżę - powiedziała. - Ponad polami.

- Pola są wszędzie - odparł Thome. - W którą stronę?

Rozejrzała się niepewnie dokoła.

Thorne sam wybrał kierunek.

Wyjeżdżając z wioski, oboje drgnęli nerwowo, gdy zadzwoniła komórka Maggie Mullen. Spojrzała na ekran. Telefon drżał w jej dłoni.

- To on...

Powtórzyła „tak” wielokrotnie, zapewniła dzwoniącego, że jest już prawie na miejscu i że chciała porozmawiać. Spytała, jak się czuje Luke, i błagała mężczyznę na drugim końcu łącza, by go nie krzywdził.

- Czego chciał? - zapytał Thome, kiedy zakończyła połączenie.
 - Pytał, gdzie jestem. Czy już blisko.
 - A panina to „Tak. Już prawie. Bez obaw?”. O co chodziło?
 - Martwił się - odrzekła. - Spytał, czy prowadzę, miał nadzieję, że mam wolne ręce.
- Thome znów wyjechał poza miasteczko i uśmiechnął się ponuro.
- Wie, że nie jest pani sama...

Pięć minut później skręcił w wąską polną drogę. Była zryta koleinami i pełna kałuż. Samochód kołysał się na koleinach, ale w końcu skręcił w prawo i w światłach jego reflektorów ukazał się stojący o kilkaset metrów dalej dom.

- To tutaj...

Nie tego spodziewał się Thorne. Nie był to typowy wiejski domek. Ani szczególnie mały, ani stary. Ale z pewnością stał na uboczu. Trudno go określić mianem wyborczego miejsca, ale mógł posłużyć do różnych celów.

Thome zwolnił, podjeżdżając bliżej. W dwóch pokojach na dole od frontu paliło się światło.

- Co zrobimy teraz? - spytała Maggie Mullen.
- Pani zapuka do drzwi. Proszę iść przywitać się ze swoim chłopakiem.
- A pan?
- Nie mam pojęcia.

Zatrzymał samochód, wysiadł i oddalił się, nie zamykając drzwiczek. Z cienia, o piętnaście, dwadzieścia metrów od domu, patrzył, jak Maggie Mullen podchodzi do frontowych drzwi. Zobaczył, jak się otwierają i jak wolno, sztywnym krokiem kobieta wchodzi do domu.

A wówczas błyskawicznie ruszył na tyły budynku. Niemal natychmiast spowiła go kompletna ciemność. Powoli przegramolił się przez niską drewnianą furtkę, której szczyt wydawał się pod jego palcami wilgotny i zbutwiały. Po drugiej stronie rosła wysoka do kolan szorstka wilgotna trawa. Gdy wzrok już mu się przyzwyczył, Thome dostrzegł mur, miejscami wyższy niż gdzie indziej, oddzielający ogród od pól za nimi. Trzymał się blisko ściany domu, odsuwając się od niej tylko wtedy, gdy musiał obejść długie metalowe koryto i coś, co wyglądało jak stara spiżarnia wypełniona ziemią i kamieniami. Gdy macał wzdłuż ściany, jego dłoń napotkała na coś ostrego, syknął z bólu i otarł kropelki krwi o wilgotną nogawkę spodni.

Na tyłach budynku stał rdzewiejący stół i krzesła. Było tam też kilka karmników dla ptaków. Obrotowa suszarka, która ledwie wystawała z wysokiej na blisko metr trawy i ostów.

Thorne zajrzał przez okno do małej przybudówki. Dostrzegł talerze i naczynia na suszarce, cyfrowy zegar na kuchence mikrofalowej. Na podłogę z jakiegoś pomieszczenia wewnątrz domu padał snop światła.

Tylne drzwi były otwarte.

Pomyślał o Porter czekającej na telefon. I o telefonię leżącym na przednim fotelu auta. W ciągu sekundy czy dwóch poprzedzających pociągnięcie lub szarpnięcie za klamkę pomyślał o wszystkich sytuacjach, kiedy musiał zmierzyć się z podobną decyzją. Kiedy czuł się rozdarty między tym, co wydawało się rozsądne, a powiedzeniem: raz kozie śmierć. Kiedy nieomal przy każdej okazji dokonywał niewłaściwego wyboru. Pchnął drzwi. I wszedł do ciemnej kuchni. Szybko podkraść się do drzwi, spod których widać było światło. Nasłuchiwał. Choć nie słyszał głosów, cisza zza drzwi uświadomiła mu, że w pokoju obok ktoś był.

Czekał.

Pięć sekund... dziesięć.

A potem rozległ się głos, który już wcześniej słyszał:

- Na miłość boską, przestań się certolić i włącz wreszcie.

Thome potraktował to jak zaproszenie i wszedł powoli. Zwolnił kroku jeszcze bardziej, kiedy ujrzał, co na niego czekało. Stąpił ostrożnie, przez głowę przelatywały mu dziesiątki myśli, przetwarzając wizualne informacje, zadając pytania.

Gdzie chłopak?

Mężczyzna, kobieta, sznur, nóż...

Gdzie jest, kurwa, chłopak?

27

- Wiedziałem, że ona kłamie.

- Peter...

- Ze przyjedzie sama.

Lardner kłykciami poprawił zsuwające się okulary.

- Usłyszałem to wyraźnie w jej głosie. - Zaśmiał się. - Ale bądź co bądź nieraz słyszałem, jak kłamała. Gdy leżąc obok mnie naga, mówiła swojemu staremu, że zebranie się przeciągnęło...

Mętlik w głowie Thorne a uspokoił się na tyle, że policjant mógł odpowiedzieć.

- Okłamywała wielu ludzi - przyznał.

Zerknął w stronę przykrytego pokrowcem fotela pod oknem, dokładnie naprzeciw

niego, w którym siedziała Maggie Mullen. Nie odnalazła spojrzenia Thorne a. Co kilka sekund wodziła wzrokiem pomiędzy Lardnerem a brązowymi drzwiami nieopodal.

Lardner siedział na podłodze przy nakrytej pokrowcem sofie, która stała na prawo od Thome a, kiedy ten wszedł do niedużego salonu. Miał na sobie dzinsy i brunatnordzawą koszulę, kolana podciągał do piersi. Jego dłonie zwieszały się pomiędzy kolanami, w jednej ręce trzymał nóż rzeźnicki. W drugiej koniec sznura, który, napięty i długi, zniknął za krawędzią drzwi pod schodami.

Piwnica. Tak, na pewno.

- Gdzie chłopak? - spytał Thome, choć poznał odpowiedź, gdy tylko wyszedł z kuchni.

Gdzieś z dołu dobiegł hałas. Sznur skręcił się i szurnął po malowanych na biało deskach podłogi.

Lukę Mullen żył.

Lardner odwrócił głowę do drzwi i krzyknął:

- Dalej, synu, mówiłem ci, że chcę, aby lina była cały czas mocno napięta. Zostań tam, gdzie jesteś, przyjdiesz tu, kiedy cię zawołam.

Maggie Mullen wychyliła się w fotelu do przodu. Dłonie zwarte w pięści ścisnęły materiał swetra, rozciągając go i ugniatając.

- Na miłość boską, Peter...

- Ciii, spokojnie - rzekł Lardner. - Już o tym rozmawialiśmy.

Wydawał się zmęczony, ale rozluźniony. Powrócił wzrokiem do Thorne a i przewracał oczami, jakby chciał dać mu do zrozumienia, jak bardzo denerwują go takie pytania.

Thorne tylko pokiwał głową, siłą się na uśmiech.

Lardner uniósł dłoń, w której trzymał nóż, i potarł nią czubek głowy. Ciemne włosy sterczały zmierzwione na wszystkie strony. Mężczyzna wyraźnie nie golił się od paru dni.

- To głupie - powiedział Lardner. - Tak cholernie głupie.

Deska skrzypnęła pod ciężarem Thome a, gdy ten przeniósł lekko ciężar ciała i zobaczył, że oczy Lardnera natychmiast skierowały się ku niemu. Nie był wcale rozluźniony...

- Powinien pan usiąść.

Lardner wskazał na niską sosnową skrzynię przy kominku.

Thorne cofnął się, aż jego łydka napotkała krawędź skrzyni, i usiadł powoli. Rozejrzał się dokoła jak ktoś, kto mógłby myśleć o wynajęciu tego domu. Sklepienie było z arteksu, ostre szpikulce i zawijasy jak stwardniała polewa. Nieduży pejzaż w lakierowanej ramie,

drewniany barometr, rząd książek w oprawach ze sztywnym grzbietem, bez obwolot, na półkach przy drzwiach frontowych. W kominku aranżacja z zeschłych kwiatów w kamiennym wazonie pokrytym grubą warstwą kurzu.

- Dlaczego tu jesteśmy? - spytał Thome.

Lardner wyglądał na lekko zdezorientowanego.

- Nie pamiętam, żebym kogokolwiek zapraszał.

- Wiesz, o czym mówię. Po co to wszystko?

- To dobre pytanie. Ponieważ to wszystko jest bez sensu, absolutnie, ale nie mnie powinien pan pytać.

Przyciągnął kawałek sznura długości kilkudziesięciu centymetrów, owijając go sobie wokół przegubu.

- Nie chcę, by to zabrzmiało dziecinnie, naprawdę, ale nie ja to zacząłem.

- O Jezu, Peter. - W głosie Maggie Mullen nagle pojawił się gniew.

- Nie możesz zrzucić na mnie odpowiedzialności za całe to szaleństwo. Ja chciałam tylko zakończyć nasz związek. Nie zrobiłam nic złego.

Zupełnie jakby jej nie usłyszał, powiedział:

- Popeliła błąd. Chyba od tej pory wszystko zaczęło się psuć. Nie mogłem uwierzyć, że aż tak próbowała mnie zranić. Przekonywałem sam siebie, że nie wie, co robi...

- Wiedziała - zaproponowała. - Wiedziała doskonale.

- Utrata rodzica nie jest prosta, wszyscy to wiemy. Pan potrafi zrozumieć, jakie to trudne.

Spojrzał na Thorne a, oczekując na odpowiedź.

Thome skinął głową.

Ton głosu Lardnera znów stał się przyjazny i gawędziarski.

- Zatem to, co zrobiła, kiedy ja wciąż cierpiałem po stracie matki, było... błędem. Tak to będę nazywał. I owszem, byłem zdesperowany, mam dość odwagi, by się do tego przyznać. Niech to nie oznacza, że jestem słabeuszem czy mięczakiem. Nie chciałem jej stracić i wciąż tego nie chcę, dlatego trzymam się jej, jakby była całym moim życiem. Właśnie wtedy zaczęła mówić o aferze z Sarah Hanley, wywlekać to wszystko i rzucać głupie sugestie, więc postanowiłem coś z tym zrobić.

- Po prostu chciałam się uwolnić - zawołała Maggie Mullen. - To ja byłam zdesperowana.

Thome spojrzał na sznur. Na nóż. Poczuł, jakby skóra na całym jego ciele naprężyła się do granic wytrzymałości.

Lardner wciąż zwracał się do Thornea, ignorując kobietę, która z tego czy innego powodu spowodowała tę lawinę zdarzeń:

- Powinienem być w sumie sam porwać chłopaka. Ale to było trudne, biorąc pod uwagę pracę i ciebie. Tych dwoje kosztowało mnie wszystkie pieniądze, jakie miałem. Może gdybym po śmierci mamy sprzedał ten dom, ale tak się nie stało.

Thorne wiedział już dużo, ale mimo to był zaciekawiony. Sądził, że ogniwem łączącym Amandę Tickell z Grantem Freestone em były zawodowe relacje z Neilem Warrenem. Teraz jednak przypomniał sobie, co powiedział Callum Roper o tym, że Warren i Lardner się znali.

- Czy to Neil Warren przedstawił cię tej kobiecie?

Lardner się uśmiechnął.

- Neil jest bardzo sumienny - powiedział. - Regularnie spotyka się ze swoimi byłymi klientami, choć większość z nich powróciła do dawnych nałogów - hery, koki czy wódy. Gawędzi z nimi, mówi o Bogu i takie tam. To bardzo zabawne...

Sznur był postrzępiony i brudny; sądząc po wyglądzie, była to stara linka holownicza. Thome starał się nie myśleć o chłopaku na jej drugim końcu. Ani o tym, w jakim mógł być stanie.

- Spotkałem Amandę i jej chłopaka na jednej z imprez Neila - kontynuował Lardner. - Kiedy zastanawiałem się nad najlepszym sposobem uprowadzenia chłopaka, zorientowałem się, że byłaby do tego zdolna. Zawsze była gotowa na wszystko dla pieniędzy.

Nóż kołysał się w tę i z powrotem, rączka tkwiła pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym Lardnera. Wyglądało, że był to nóż z tego samego kompletu, co ten, którego użył, by zabić Allena i Tickell.

- Dlaczego ktokolwiek musiał umrzeć? - zapytał Thome.

- Nie powiem, żebym wtedy uważał, że to dobry pomysł. Wręcz przeciwnie, uważałem, że to bardzo zły pomysł. Nie chcę, żeby to zabrzmiało nieszczerze, ale jest mi bardzo przykro z powodu Kathleen, jednak, tak jak w wypadku tamtych dwojga, nie miałem wyboru.

Po raz pierwszy od kilku minut spojrzął na Maggie Mullen.

- Mags mówiła mi, co mam zrobić.

Maggie Mullen nieomal zerwała się z fotela.

- Co?

- Mam na myśli sugestie - rzekł Lardner. - Rozmawialiśmy przez telefon, potajemnie... a kiedy powiedziała mi o poczynaniach policji, o Freestone i tak dalej...

- Chciałam, żebyś to skończył, żebyś zrozumiał, że to nie ma sensu...

- Wiedziałem, że tak naprawdę mówiła mi, że powinienem podjąć stosowne kroki, by ochronić siebie.

- Nie!

Ciepły uśmiech.

- Wtedy właśnie zrozumiałem, że jej uczucia wobec mnie są równie silne jak dawniej.

- Jesteś nienormalny, Peter.

Najwyraźniej już wcześniej o tym wiedziała. Ale kiedy to wszystko rozgrywało się tu i teraz na jej oczach, szok i smutek widoczne na twarzy Maggie Mullen były aż nadto oczywiste.

- Kompletnie ci odbiło...

Lardner spojrział na Thorne'a, wzruszył ramionami i uśmiechnął się. Po czym ściągnął kolejnych kilkadziesiąt centymetrów liny. Z piwnicy dobiegło stuknięcie, odgłos buta uderzającego o drewniany stopień.

- Puść chłopaka - rzekł Thome. - Ja zostanę.

Lardner spojrział na inspektora.

- Zostaniemy oboje. Ale Luke'a mógłbyś wypuścić - kontynuował Thome.

Kolejne szarpnięcie i tańczący ruch liny. Jeszcze jeden stukot zza drzwi i głos, niezrozumiały, lecz pełen bólu.

Równie agoniczny jęk dobył się z ust Maggie Mullen. Wyrzuciła z siebie „błagam” i „nie”, po czym jej głowa opadła do przodu, aż dotknęła kolan, co sprawiło, że głos stał się zduszony i zmienił się w niemal zwierzęcy, rozpaczliwy skowyt.

Lardner spojrział na kobietę, którą, jak twierdził, kochał, jakby coś innego, coś, czego nie pojmował, było odpowiedzialne za jej ból.

Uniosła głowę, wstrzymała oddech i spojrzała na jego twarz, poszukując w niej współczucia.

Thome nie odwracał wzroku od Lardnera. Zastanawiał się, do jakiego stopnia skupił swoją uwagę na kobiecie. A potem spojrział na nóż w lewej dłoni mężczyzny. Czy Lardner był leworęczny? Zastanawiał się, czy powinien podjąć ryzyko, ale nic nie zrobił.

- Jasne... no chodź już.

Kiedy tylko Lardner wstał i zaczął ściągać linę, cała trójka poderwała się z podłogi. Lardner ściągał sznur do siebie jedną ręką, owijając linę szybko i sprawnie wokół łokcia i zaciśniętej pięści, podczas gdy w drugą rękę ścisnął nóż kuchenny. Thome i Maggie Mullen patrzyli z nadzieją i przerażeniem w stronę małych drewnianych drzwi.

Cisza pomiędzy odgłosami uderzeń i skrzypnięciem podeszew butów o schody była jak dłonie zatykające uszy Thorne a, jego skóra wciąż się ściągała, jakby jakaś niewidzialna siła rozciągała ją na kościach. Wyobraził sobie mięśnie i warstwę tłuszczu wyciskane spod skóry niewidzialną mocą, wzbierającą krew szukającą najłatwiejszej drogi, by wystrzelić spod coraz cieńszej warstwy tkanek. Przez jedną krótką chwilę odniósł wrażenie, że krew zaraz buchnie z jego skaleczenia, i mocno przycisnął rozwartą dłoń do uda.

Linka uniosła się nad podłogą i była naprężona.

Hałas na schodach przybrał na sile...

Maggie Mullen złączyła dłonie przed twarzą. Przytknęła je do ust, gdy drzwi do piwnicy zostały pchnięte od środka tak silnie, że uderzyły o ścianę i jej syn potykając się, wpadł do pokoju.

Krzyknęła przeraźliwie, gdy zobaczyła, że nie miał twarzy.

28

- Tak, przykro mi z tego powodu - stwierdził Lardner. - Ale trochę za bardzo zaczął się ekscytować, kiedy powiedziałem mu, że przyjedziesz. Hałasował.

Wskazał nożem na Maggie Mullen, kiedy postąpiła krok w stronę syna, po czym obrócił nóż, by zwrócić uwagę na swoje dzieło.

- Zrobiłem to w pośpiechu, ale dopilnowałem, żeby mógł swobodnie oddychać.

Głowa Luke a Mullena została owinięta czarną taśmą izolacyjną tak niedbale i niezdarnie, że to, co pozostało z rolki, zwisało, objijając się o ramię chłopaka przy każdym jego kroku, o pętlę na jego szyi i napięty sznur ciągnący się od pętli do stojącego przy sofie Lardnera.

Luke stał, chwiejąc się.

We włosach miał ceglany pył, granatowa szkolna marynarka była rozdarta przy kieszonce i cała szara od kurzu. Jedną rękę trzymał sztywno przy boku, podczas gdy drugą ścisnął linkę przy szyi. Thome zauważył, że wierzchy dłoni chłopaka były niemal czarne od brudu i okrwawione.

Chłopak instynktownie zaczął zmierzać w stronę matki, wyciągając szyję i walcząc z opinającym ją sznurem, jęcząc, warcząc, gdy Lardner odciągał go wstecz. Nie sposób było zrozumieć go dokładnie, ale można się było domyślać, co powtarzał.

Dwie sylaby, bardzo wyraźne.

Maamooo...

Maggie Mullen próbowała wymówić imię syna, ale zagłuszył je szloch. Usiłowała je

powtarzać, gdy podeszła do Thorne a, wyciągając rękę i chwytając go za rękaw skórzanej kurtki, na wysokości łokcia.

Thome nawet nie drgnął. Cokolwiek zrobiła albo za co była odpowiedzialna, nie sposób było nie mieć uczuć dla tej kobiety. Widząc to, co widziała ona, patrząc, jak niedola orze coraz głębsze bruzdy na jej obliczu.

Lukę zakołysał się i znów krzyknął.

Jego nos wydawał się obscenicznie różowy i mięsisty przez szczelinę między pasmami taśmy. Krzywa płatanina taśmy kończyła się poniżej oczu, które mrugały wściekle, rozszerzając się, odkąd wyszedł z ciemnej piwnicy do salonu.

Lardner przyciągnął chłopaka bliżej, ku sobie, brutalniej niż do tej pory.

Znów wskazał nożem, najpierw na twarz Luke a, potem na drzwi piwnicy.

- To naprawdę głupie - powiedział. - Na dole jest światło, tylko trzeba wymienić żarówkę. Właściwie to przepaliła się tuż przed śmiercią mamy i to ona poprosiła, żebym ją wymienił. Powiedziałem, że to zrobię, ale nigdy do takich spraw nigdy nie mamy głowy, więc...

Dostrzegł coś w twarzy Thome a.

- Teraz myślisz pewnie, że jestem jak ten Norman Bates i staram się utrzymywać wszystko, jak było, tak? - Uśmiechnął się. - Nie przechowuję mojej matki na piętterku, gdyby cię to interesowało.

Wyciągnął stopę w stronę sofy i szturchnął nią krawędź folii.

- To tylko ze względów czysto praktycznych, słowo daję...

- Rok temu straciłem ojca - rzekł Thorne. - To już prawie rok.

Na twarzy Lardnera pojawił się wyraz ulgi.

- Zatem wiesz...

- Wiem, że to trudne. Ale nikt inny nie musi za to płacić.

- Ona nie płaci za to.

- Więc za co?

- Nie wolno tak traktować ludzi, jak ona to robi. Nie ludzi, których się kocha.

- Chciała to zakończyć, bo miała wyrzuty sumienia - powiedział Thorne. - Myślała o rodzinie.

Lardnera to rozbawiło.

- Wcześniej nigdy o nich nie myślała.

Thome poczuł, że palce Maggie Mullen mocniej wpijają się w jego ciało. Przemówiła łagodnie do Luke a, zapewniając, że wszystko będzie dobrze. Ze już niedługo będzie po

wszystkim.

Lukę pokiwał głową, po czym zachwiał się, szarpnięty w bok. Postąpił krok i odzyskał równowagę, jedną ręką próbował poluzować sznur wpijający mu się w szyję.

- Cokolwiek się jeszcze wydarzy - rzekł Lardner - od tej pory będzie myślała o nich znacznie częściej.

Thome oszacował dystans pomiędzy sobą a Lardnerem. Nie więcej niż dwa i pół metra. Lukę, na końcu sznura, znajdował się o kolejne półtora metra dalej, na prawo od Lardnera.

- Odnoszę wrażenie, że stało się to w nieodpowiednim czasie - powiedział Thome. - To wszystko. Pewnie to nie jest niczyja wina.

Lardner trzymał nóż przed sobą. Ramię miał wyprostowane, mięśnie naprężone, ręka drżała z wysiłku i napięcia, ale ton głosu, kiedy przemówił, był czuły, pełen żalu.

- Przez pięć lat nie myślałem o niczym więcej, tylko o niej, a to się stało nagle, rozumiesz? W każdym razie tak było, jeżeli chodzi o mnie. Może to, co stało się z Sarah Hanley, związało nas, wzmocniło więź, jaka już była między nami.

Powoli obracał w dłoni rękojeść noża.

- Raz próbowała to zakończyć, kiedy jej mąż dowiedział się o nas, ale wiedziałem, że po prostu robiła to, czego od niej zażądał. Dlatego nie sądziłem, że tym razem mówiła serio. Nie wiedziałem, jak poważnie to traktowała... do tego stopnia, że zrobiła to, kiedy zrobiła. Nie wiedziałem, że może być taka... bez serca.

Maggie Mullen patrzyła na syna, ale pokręciła głową.

- I nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo mnie to uderzy. Nigdy się tego nie wie, nawet jeśli się tego spodziewasz. Ale ja się tego nie spodziewałem ze strony Mags ani mamy. To było jak z wypadkiem samochodowym, jedno i drugie nadeszło nagle, niespodziewanie. Możesz sobie żartować, że wyszedłeś z tego bez szwanku, ale zawsze nadchodzi opóźniona reakcja. Zupełnie jakby to przydarzało się komuś innemu, a ja mogłem tylko patrzeć, jak życie tego kogoś wrywa się spod kontroli. Nawet gdy rozważałem straszliwe rzeczy - nawet kiedy już wprowadzałem je w czyn - nie mogłem się ze wszystkim pozbiierać... nie umiałem tego osiągnąć. Nie było sposobu, aby się wycofać.

Nóż w ręku Lardnera obracał się szybciej, a język pracował wolniej.

- Wszystko ci umyka. Rozumiesz to? Wszystko tracisz. Kontrolę, szacunek do siebie i do życia innych. Wszystko. Pieprzona wymiana żarówki...

Jego usta wciąż się poruszały, ale tylko troszeczkę, gdy patrzył na ostrze noża, jakby zastanawiał się, do czego służy. Nagle Wydawał się zagubiony Thome był jedyną osobą w

pokoju, która nie płakała. Spojrzał na Lardnera i stłumił w sobie współczucie.

Skupił się na chłopcu.

Myślał o ciele Kathleen Bristow. O jej poplamionej nocnej koszuli.

Ojej chudych powykrzywianych nogach...

- Puść Luke a - powiedział.

Lardner pokręcił głową. Thorne nie wiedział, czy była to odmowa, czy raczej gest niepewnego, dezorientowanego człowieka. Dzielilo ich zaledwie parę kroków...

Sprężył się. Był o jedno uderzenie serca od niego. Lardner wcześniej bez wahania użył noża.

Thome wiedział, że miałby szczęście, wychodząc z tego bez szwanku. Nie miał pojęcia, jak Lardner zareaguje na atak. Czy odłoży broń i się podda? A może odbierze chłopcu życie z taką łatwością, jak zamordował starszą kobietę? Niezależnie, jak wyglądał, jak wydawał się zdruzgotany i zbity z tropu, mężczyzna naprzeciw niego był nieprzewidywalny, a przez to równie groźny jak każdy mafijny cyngiel czy psychopata, z jakim Thome miał okazję się zetknąć przed kilku laty. W podobnej sytuacji zamarł w bezruchu, podczas gdy mężczyzna przyłożył nóż do szyi policjantki. Postąpił regulaminowo, obawiając się, że zgrywanie bohatera, może kosztować policjantkę życie.

A potem i tak patrzył, jak umierała.

Chłopak stał cicho i nieruchomo. Miał zamknięte oczy. I wtedy słowa matki Lukea, mówiącej doń po imieniu, pytającej raz po raz, czy nic mu nie jest, wyrwały Lardnera z odrętwienia.

- Nic mu nie jest, naprawdę - odparł. - Bardzo się zaprzyjaźniliśmy, prawda, Luke?

Chłopak otworzył oczy.

- Odbiliśmy parę naprawdę miłych pogawędek tam, na dole.

- Nie...

Thome dostrzegł spazmatyczny skurcz wykrzywający oblicze Maggie Mullen.

- Rozmawialiśmy o różnych sprawach.

- Na przykład?

Wzruszenie ramion.

- No wiesz, o rodzinie. O tym, co w życiu ważne...

- Nie.

Lukę Mullen jęknął, wydając z siebie zduszone, z powodu taśmy, ciche „nie”...

- Nie zamierzałem wyciągać tego na światło dzienne - rzekł Lardner - a w każdym razie... nie teraz... ale skoro już o tym mowa...

To było zaledwie parę kroków, ale Thome wiedział, że zanim zdążyłby go dopaść, Lardner przyłożyłby nóż do gardła Luke a.

- Co powiedziałeś mojemu synowi?

- Chcesz, żebym powtórzył? Nawet funkcjonariusze policji mogą być tym wstrząśnięci. Ale on znosił to dzielnie.

- Przestań!

- Czy powinienem powiedzieć mu, co robiliśmy razem w łóżku? Albo jak zaczął się nasz mały romans?

Gdyby podbiegła do syna, gdyby choć na sekundę odwróciła uwagę Lardnera, miałby szansę. Ale nie mógł powiedzieć jej, co powinna uczynić.

- Lukę, posłuchaj. Nie wiem, co on ci mówił.

- Nie łudźmy się, że poleciałaś na moją urodę.

- On jest chory. Wiesz o tym, prawda, kochanie? Wiesz, że on jest chory.

Thome wiedział, że powinien rzucić się w stronę jego lewej ręki, tej z nożem. Może gdyby Lukę był szybki i w tej samej chwili się cofnął, Lardner zostałby wytrącony z równowagi...

- Co pchnęło cię w moje ramiona - rzekł Lardner. - Chyba tak to należy określić.

- Spaczony. To, co mówił, to wypaczenia i kłamstwa.

- Na pewno odwróciła się od mężulka.

- Lukę, spójrz na mnie, proszę.

- Myślę, że teraz znamy się już całkiem dobrze. Parę bolesnych prawd nie może nam zaszkodzić, prawda?

- Lukę! Proszę!

Nie będzie idealnego momentu. Musiał się po prostu zdecydować...

- Dlaczego nie opowiesz o tym wszystkim inspektorowi?

Na zaciętych ustach Lardnera malował się posępny grymas, ale w oczach miał łagodność.

- Dlaczego nie mogłaś znieść, żeby cię dotykał...

Dźwięk był niezmierny jak skowyt wściekłości i zgrozy wibrujący za warstwą taśmy. Lukę zatoczył się w stronę matki i gdy został pociągnięty wstecz, dał się ponieść impetowi szarpnięcia i wpadł z całej siły na Lardnera, tak że obaj wylądowali na sofie.

Thome za późno się zorientował, co się dzieje.

Dostrzegł dłoń, którą chłopak trzymał dotąd tuż przy udzie, unosząc się wysoko. Zobaczył światło odbijające się w czymś, co chłopak trzymał w ręku. Usłyszał świst, kiedy

ciało zostało przebite, a zaraz potem trzask.

Potem wszystko potoczyło się jak w przyspieszonym tempie. Wszystko wypełniło się krzykami i soczystą czerwienią.

Thome znalazł się u stóp Lardnera, wpatrując się w złamany odłamek, który upuścił Luke. Jego krawędź była zakrwawiona, a taśma izolacyjna, którą owinał jeden koniec, tworząc w ten sposób prowizoryczną rękojęść, cała wilgotna i śliska od potu.

To wyglądało jak kawałek szkła. Zwykłego, jak do oprawy obrazów. Cienkiego, kruchego, łamliwego.

Zaczął wypatrywać wzrokiem kawałka, który, jak wiedział, utkwiał wbity głęboko w szyję Lardnera, ale już nie był widoczny, zalała go bulgocząca gęsta struga szkarłatu.

Maggie Mullen klęczała. Szepcząc, jedną ręką obejmowała Lardnera za szyję. Drugą rękę rozpaczliwie wyciągała do Luke a, machając dłonią, próbując pochwycić syna, który stał nieco ponad metr od niej i wciąż krzyczał, jakby to był język, który zdołał dopiero co opanować. Oczy chłopaka były wielkie jak spodki, przepelnione zgrozą i rozbawieniem.

A także czymś jeszcze, czego Thorne nie potrafił nazwać, czymś bardziej wstrząsającym niż krew, która wpływała w szczeliny między poobijanymi, obłazącymi z farby deskami podłogi.

29

Wypili po kieliszku wina i szklance whisky przed powrotem do mieszkania Thorne a. I od tej pory wytrąbili sporo piwa. A także mieli za sobą pierwszy pocałunek.

Było kilka minut po szóstej nad ranem i na zewnątrz zaczęło już robić się jasno. Tulili się do siebie, śmiejąc się, na kanapie, ręce i nogi ocierały się o siebie, wszystko wskazywało na to, że łóżko też zaliczą, kiedy już wypali się podniecenie innego rodzaju.

- Ciekawe, czy Hignett i Brigstocke zaczęli już klócić się o to, kto zgarnie za to laury?
- rzekła Porter. - Zastanawiam się, jak to podziela.

Thome uśmiechnął się jak krety, podobnie Porter, ale w którymś momencie zrobił minę ironicznego zamyślenia.

- No cóż, my zapiszemy na nasze konto trzy morderstwa. Cztery, jeśli liczyć Sarah Hanley. Twój zaliczą sobie porwanie. Co ty na to?

- Och, naprawdę, możemy?

- Oraz parę drobiazgów, które wyszły na jaw przy okazji, dyski z danymi dotyczącymi niezapłaconych podatków, takie tam...

- To bardzo szczerze z twojej strony.

- Cholernie szczodrze, przynajmniej w moim mniemaniu.

Porter uniosła brwi.

- Gdyby Lardner był w tym mieszkaniu w Catford i twój by go zgarnęli, zapewne przejęliby całą pulę.

- W sumie masz rację.

- Jeszcze jak - uciął Thorne. - A teraz już się zamknij.

Uśmiechnął się, alkohol sprawił, że jej uśmiech był nieco wolniejszy i szerszy niż zazwyczaj.

- A więc... wparowałeś do tego domku, nie racząc poinformować mnie ani nikogo innego...

- Ee tam od razu „wparowałeś”...

- To jak byś to określił?

- Nie miałem kiedy zadzwonić. Nie było czasu. Nie wiedziałem, jak daleko jesteś...

- Nie chciałeś się tego dowiedzieć.

- Podjąłem decyzję tak jak ty, kiedy weszłaś do tamtego mieszkania.

- Nie zrobiłam tego w pojedynkę!

- Zrozum, ona bardzo się bała interwencji jednostki bojowej po tym, co się stało w Bow. Ja po prostu...

Thorne wyduł policzki i zmitygował się. Wiedział, że miała rację.

- Może chciałeś się odgryźć za to, że zostawiłam cię w furgonetce, kiedy wchodziliśmy do mieszkania Allena?

Thorne wyglądał na wstrząśniętego.

- Naprawdę uważasz, że jestem tak małostkowy?

- Przeszło mi to przez myśl.

- I masz rację. Jestem wybitnie małostkowy. - Nachylił się do niej.

- Mściwy Złośliwy. Krótko mówiąc, paskudny ze mnie gość...

Znów się pocałowali. Po raz drugi nieco dłużej.

- Przepraszam za ten zapach - rzekł Thorne. - Mieli tylko mydło, no wiesz, to lekarskie. Takie w małych zielonych kostkach.

Thorne wziął prysznic w szpitalu.

- To pięć morderstw - powiedziała Porter. - Wspominałeś o czterech.

Skinął głową.

Szło z ramy od obrazu. Cienkie, kruche, łamliwe...

Peter Lardner zmarł w karetce, która potrzebowała aż dwudziestu pięciu minut, by

dojechać do domku.

- Jeszcze jeden powód przeciwko mieszkaniu na prowincji - mruknął Thome.

Porter sięgnęła po puszkę z piwem stojącą na podłodze.

- No a co z Lukiem?

Thome nie mógł zapomnieć widoku twarzy chłopca, kiedy w końcu zdjęli mu taśmę. Czerwona od podrażnień, mokra od potu i łez, ale w jego oczach kryło się jakieś szaleństwo.

Szaleństwo jak słowa napisane w gniewie na ścianie za plakatem.

- Żyje i to jest chyba najważniejsze. Ale nie obudzi się jutro z nowym zapalem do życia. Pozostanie tym, kim jest teraz. W pokonywaniu tego rodzaju obciążeń psychicznych najważniejsze jest wsparcie, a on nie ma już za bardzo rodziny, do której mógłby wrócić.

Wychwycił pytające spojrzenie Porter.

- Co?

- Chodziło mi o to, co ze sprawą przeciwko niemu?

Thome wzruszył ramionami i też sięgnął po puszkę.

- Cholera wie. Będą musieli postawić mu zarzuty...

Wypili. Thome spytał Porter, czy jest głodna, na co odparła, że żałowała, iż nie zjadła czegoś, zanim zaczęli świętować. Wstał więc i poszedł do kuchni, by zrobić tosty dla nich obojga. Rozmawiali w sumie o niczym przez otwarte drzwi, pozwalając, by opadł kurz. Jakby spędzili cały wieczór na tańcach albo na przyjęciu.

Jakby nikt nie wykrwawił się na śmierć.

Thome przerwał na chwilę, gdy usłyszał, że Porter wstała, i zobaczył, jak podeszła przez pokój do zestawu stereo. Powiedział, żeby wybrała coś, i przeprosił, że nie ma nic Shanii Twain. Sprawdził tosty, przewracając kromki na grillowej patelni, i nagle poczuł dotknięcie palców na ramieniu.

Przytuliła się do niego, kiedy się odwrócił, jedną ręką muskała jego twarz, drugą rozpinając nieudolnie guziki jego koszuli.

- To co, rezygnujemy z tostów? - spytał Thome.

Poczuł w ustach jej język, słodki, przesycony alkoholem. Ugiął kolana, by przyłgnąć kroczem do jej krocza, po czym oboje zataczając się oddalili się od kuchenki, usta brutalnie naciskały na dziąsła, zęby zderzały się ze sobą.

Oparła się o stół kuchenny, a on położył się na niej. W tej samej chwili poczuł silne szarpnięcie i ucisk, a potem przerażającą falę dojmującego bólu, który przeszył go od uda aż po kostkę. Zaczekał, aż ich usta się rozłączą po pocałunku, zanim zaczął wyc z bólu.

Thome leżał w kompletnym bezruchu w ciasnym białym tunelu, usiłując słuchać Johnnynego Casha.

Muzyka płynąca przez słuchawki była dość cicha, a w dodatku zagłuszał ją hałas urządzenia do rezonansu magnetycznego, które powoli składało obraz jego kręgosłupa. Stanu jego kręgosłupa. Ten dźwięk jak łoskot młota pneumatycznego sprawiał wrażenie, że czuł się, jakby słuchał jakiegoś radykalnego remiksu Man in Black w wersji techno, ale było to lepsze niż ta druga propozycja. Powiedziano mu, że może wybrać jeden z ich kompaktów na dwadzieścia minut, które przyjdzie mu spędzić w komorze, ale wolał nie ryzykować i zabrał ze sobą The Man Comes Around. To był dobry wybór. Choć słabo słyszał melodię, było to o niebo lepsze niż niektóre pozycje z laminowanej listy, która czekała na niego w przebieralni.

Jamie Cullum, Katie Melua, cholerna Norah Jones.

Leżał nieruchomo, jak mu kazano. Wyteżał słuch. W dłoni trzymał gumowy guzik paniki, który polecono mu nacisnąć, gdyby poczuł się źle lub gdyby z jakiegoś powodu zaczął odczuwać niepokój. Gdyby zechciał przerwać procedurę.

Rytm urządzenia, powtarzający się łoskot jak oszołomienie alkoholowe z wolna zaczęło mijać. Hałas go odprężył. Pomógł mu się rozluźnić. Zaczął odpływać i rozmyślać, rozkoszując się luksusem czasu i przestrzeni w swojej głowie. To jak znaleźć się w czystej pościeli po dłuższym czasie w łóżku, w którym pościel była brudna i śmierdząca.

Sześć dni, odkąd to się skończyło. A w każdym razie, odkąd skończyła się jakaś część tego.

Teraz wszystko w rękach sędziów i prawników. Thome i reszta mogli jedynie przekazać tym ludziom wszystkie materiały i mieć nadzieję, że podejmą właściwe decyzje.

Kilka bardzo odważnych już podjęli.

Luke Mullen został oskarżony o zamordowanie Petera Lardnera, choć istniał istotny powód, by wierzyć, że kiedy w końcu stanie przed sądem, ława przysięgłych nie zdecyduje się go skazać. Thorne uznał, że chętnie wystąpi w roli świadka obrony. Wierzył, że okoliczności łagodzące przypuszczalnie pozwolą Luke owi Mullenowi na uniknięcie wyroku skazującego. Natomiast wcześniejsza pozycja Tony ego Mullena zapewne zadecydowała o tym, że sędzia postanowił przekazać chłopca pod opiekę ojca. Oczywiście było to obwarowane wieloma warunkami: Luke miał regularnie stawiać się na komendzie. Już nie wróci do szkoły.

Równie odważna była decyzja nakazująca, by czas pozostały do procesu Maggie Mullen spędziła w więzieniu Holloway.

Choć koniec końców sędzia nie miał większego wyboru. Oskarżenie o usiłowanie zatajenia prawdy w związku ze śmiercią Sarah Hanley kwalifikowało się do wyjścia za kaucją - którą ustalono w wysokości pięćdziesięciu tysięcy funtów - kiedy jednak Tony Mullen, który z oczywistych względów był jedyną osobą mogącą ową kaucję wpłacić, zdecydowanie odmówił, więzienie pozostało jedynym rozwiązaniem.

Thorne przypomniał sobie oblicze Mullena w salonie i jego żony podczas wyznania i domyślił się, że jemu decyzję o pozostawieniu jej w areszcie przyszło podjąć łatwiej niż sędziemu.

Co Thorne powiedział tej nocy Porter?

Nie ma już za bardzo rodziny, do której mógłby wrócić...

Ichoć Thome pozostał w bezruchu, zaczęły się pojawiać rozmaite głosy. Napływały znikąd, domagając się uwagi.

Seria spostrzeżeń i sugestii, które nakładały się na siebie, by kusić i przynosić olśnienie.

Natarczywie...

Zawsze uważałam, że istotniejszy był seksualny element napaści. Posłuchaj, zgadzam się z tezą, jakoby osoby molestujące same były kiedyś molestowane. Może to nie do Lukea dzwonił.

Sprawdzaliśmy już rodziców.

Aż w końcu spomiędzy innych wyłoniła się jedna wielka myśl i hałas w głowie Thornea przybrał na sile tak, że trudniej go było zignorować niż ten dochodzący z urzędnika.

To, co powiedział Lardner. Jego ostatnie słowa...

Dlaczego nie opowiesz o tym wszystkim inspektorowi? Dlaczego nie mogłaś znieść, by cię dotykał...

Thome zdjął słuchawki i nacisnął gumowy przycisk.

Jane Freestone wstała i odeszła, kiedy zobaczyła, że nadchodzi. Thorne zauważył, jak zbliżyła się do siatki, splunęła i zapaliła papierosa. A potem zajął miejsce obok jej brata na ławce, tej samej, na której Grant Freestone siedział, kiedy Thome i Porter zgarnęli go przed tygodniem.

- Diabli nadali - wycedził Freestone.

- Uspokój się.

- Jestem tu z siostrą, jasne?

Freestone został zwolniony z aresztu Lewisham tego samego dnia, kiedy Maggie Mullen postawiono w stan oskarżenia. Teraz, pomijając klauzulę rehabilitacyjną dla ludzi o

tendencjach kompulsywnych i cotygodniowe wizyty w celu podpisania się w rejestrze przestępców seksualnych, w większym lub mniejszym stopniu znów był panem swojego życia. Choć Thorne już wkrótce powiadomi tych, którzy powinni wiedzieć, jak często owo życie sprowadzało się do siedzenia na ławce w miejscowym parku, niedaleko placu zabaw dla dzieci.

- Nie powinieneś być taki drażliwy - rzekł Thome. - Gdyby nie kilku z nas, odsiadywałbyś teraz wyrok za Sarah Hanley. I musiałbyś mieć oczy z tyłu głowy w Belmarsh albo Brixton.

- Dzięki. Ale nie zapominajmy, że to wy, skurwiele, mnie wrobiliście.

Miał rację.

- Ale wszystko się wyjaśniło - zaproponował Thome.

Wiał lekki wietrzyk, ale popołudnie było ciepłe. Thome zdjął kurtkę i położył sobie na kolanach. Płatki kwiatów wiśni dryfowały łagodnie wzdłuż ścieżki, a opakowanie po lodach przylepiło się do ścianki kosza na śmieci przy ławce.

- Nie mogłem uwierzyć, kiedy to usłyszałem - rzekł Freestone. - Mam na myśli tę kobietę. Żonę Tony ego Mullena. I jej kochanka.

- Spotkałeś ją kiedyś? Wtedy, kiedy jeszcze nazywała się Margaret Stringer?

- Tak naprawdę spotykałem się tylko z pracownicą społeczną panną Bristow. - Odwrócił się do Thorne'a. - Byłem wstrząśnięty, gdy oniej usłyszałem. Była porządną babką. Jeżeli chce pan wiedzieć, facet, który ją zabił, zasłużył na wszystko, co dostał.

Thome nieznacznie zmienił pozycję raz i drugi, aż ból ustąpił.

- Zatem zdziwiłeś się, kiedy się dowiedziałeś, co naprawdę spotkało Sarah Hanley?

- I to jak.

- Zdziwiłeś się, gdy okazało się, że to żona Tony ego Mullena, a nie sam Mullen?

- Słucham?

- Domyślam się, że uważałeś, że to Mullen cię wrobił. Nie twierdzę, że sądziłeś, że sam to zrobił, ale raczej, że był na tyle perfidny, wpakowując cię w tę kabałę. Ze z premedytacją chciał wpakować cię do mamra. Tak właśnie myślałeś, prawda?

Freestone wzruszył ramionami, miętosząc kozołą bródkę.

- Nie ma powodu, żebyś nie mógł mi tego powiedzieć, Grant. Mullen już ci nie zaszkodzi. Ani nie pomoże, jeżeli chodzi o ścisłość.

To właśnie do tego doszedł Thome. Sekwencja mglistych prawdopodobieństw, które wskazywały najmroczniejszy kąt...

Jeżeli natura przestępstwa Adriana Farrella na pewnym poziomie stanowiła reakcję na

to, że był molestowany, może to spotykało go w domu?

Jeżeli dzwoniącym z domu Farrellów do domu Mullenów był ojciec chcący rozmawiać z ojcem, a nie syn telefonujący do syna, o czym mogliby dyskutować?

I ujawnienia jakich informacji przez Petera Lardnera tak bardzo bała się Maggie Mullen? Co mógł wyjawiać w mrocznych ścianach piwnicy?

Thome nigdy nie będzie pewien, że obrał właściwą drogę, ale miał wrażenie, iż znalazł się we właściwym miejscu. Był prawie pewien, że pominięcie nazwiska Granta Freestone a oznaczało coś więcej niż tylko romans żony, coś poważniejszego, co Tony Mullen starał się zatuszować.

Tylko Freestone mógł powiedzieć mu to na pewno.

- Nie wyglądasz mi na kogoś, kto lubi dzieci - powiedział Thome.

Freestone odwrócił się, jego wargi rozchyliły się, ukazując białe zęby.

- Nie wyglądasz. Właśnie tak. Nie zdawałem sobie sprawy, że ktoś, kto gustuje w dzieciach, wygląda tak przeciętnie, zwyczajnie.

Skinął w stronę dwóch starsuszków rozprawiających o czymś kilka ławek dalej i młodego mężczyznę biegnącego w ich stronę obok młodej kobiety.

- Oni nie wyglądają jak pedofile... On też nie.

Thome wskazał na chudego faceta patrzącego w przeciwnym kierunku, podczas gdy jego pies wypróżniał się na skraju trawnika.

- No dobrze, on wygląda na takiego, ale co sprawia, że nie potrafisz ich wyczuwać?

- Co miałbym powiedzieć?

- Większość z nas nie umie tego wychwycić. O to mi chodzi. Nie potrafimy rozpoznać ludzi, którzy mają takie skłonności, takie pragnienia. Nie odbieramy sygnałów, znaków, o ile w ogóle jakieś są.

Wyprostował nogę i ściągnął łopatki do tyłu.

- Ciekawe, czy ty to potrafisz?

Freestone nie odpowiedział.

- Nie groziłeś Tony emu Mullenowi, że coś mu zrobisz - rzekł Thome. - Nie zapowiadałeś, że dorwiesz jego albo kogoś z jego rodziny. Groziłeś, że go zdemaskujesz. Wiedziałeś, jakie ma skłonności. Wiedziałeś, kim jest.

Czekali, patrząc na przebiegających miłośników joggingu.

- Nie mogłem tego tak po prostu powiedzieć - odparł Freestone. - Podobnie jak pan by nie mógł. To bzdury.

- To jak to było?

- Spotkałem go już wcześniej. W niedzielę po południu na grillu w domu... osoby trzeciej. Rozmawialiśmy w małej grupce, no wie pan o czym. Wymiana materiałów miała nastąpić później, na górze. To nie było nic mocnego. Ale gość z pewnością znał wielu ludzi. Wiedział, jakie są najlepsze strony w internecie... choć wtedy jeszcze nie było ich za wiele. Nie miałem pojęcia, że to glina, ale on z oczywistych względów tego nie rozgłaszał, no nie?

- Domyślam się, że nie.

- Omal nie sfajdał się w gacie, kiedy wszedł do pokoju przesłuchań i zobaczył, jak na niego patrzę.

- I postanowiłeś go trochę postraszyć?

- Niewiele mi to dało, prawda? Mullen powiedział, że mogę mówić, co chcę. Stwierdził, że powie, iż pracował incognito, rozpracowując siatkę pedofilów, zbierając dowody, coś w tym rodzaju.

- Byłoby mu trudno to potwierdzić.

- Też tak myślałem. Ale on nie zaprzętał sobie tym głowy, miał inne możliwości. Stwierdził, że jeżeli pisnę choć słowo, dopilnuje, żeby w mamrze ktoś solidnie się do mnie dobrał. I wiedziałem, że to uszłoby mu na sucho, więc milczałem.

- Co innego, kiedy już wyszedłeś z pudła - podsunął Thome.

Jedno z dzieci Jane Freestone, to, które było tam, kiedy on i Porter zjawili się tu pierwszy raz, podbiegło, prosząc o słodycze. Freestone powiedział chłopcu, że może później, a ten odwrócił się na pięcie i pobiegł, nie przejmując się wcale, jakby nie pamiętał już, czego się domagał.

- Przyszedł, żeby się ze mną zobaczyć - rzekł Freestone. - Nie był już tak pewny siebie. Bardziej ugodowy, czy jak się to mówi, odkąd awansował na głównego inspektora.

Thome tylko się uśmiechnął.

- Powiedział, że może pomóc, że ma na to swoje sposoby, o ile tylko zatrzymam pewne informacje dla siebie. Stwierdził, że ma wpływy i może decydować o tym, jak dalej potoczą się moje losy.

- Ponieważ jego żona była w zespole kuratorskim.

- Wtedy o tym nie wiedziałem, jasne? Nie miałem pojęcia, o czym mówił. I wtedy wydarzyła się ta afera z Sarah i wszystko wzięło w łeb. Zwiąłem...

- A więc myślałeś, że to jednak była robota Mullena?

Pociągnął nosem.

- Przeszło mi to przez myśl. Ale koniec końców nie miało to większego znaczenia, prawda? Nie zamierzałem zostawać i próbować przekonywać kogokolwiek.

- Te materiały... - rzekł Thome.

Freestone zmrużył oczy na chwilę.

- No wie pan, zdjęcia, nagrania, takie tam.

Takie tam...

- Czy mówi ci coś nazwisko Farrell?

Freestone pokręcił głową.

- Zamierza pan zrobić Mullena?

- Jak byś się poczuł, gdybyśmy to zrobili? - spytał Thome. - Wiem, że masz powody, by go nie lubić, ale czy... ani trochę mu nie współczujesz? Naprawdę sądzisz, że ma coś na sumieniu?

Freestone trochę się zawahał, zrobił długi wydech, jakby miał już dość, i wyciągnął rękę.

- Jaki piękny dzień. Przyszedłem tu podziwiać widoki.

- To lepiej porozmawiajmy o drzewach - rzekł Thome.

Patrzył, jak Freestone zmierza w stronę siostry i siostrzeńców. Do podeszew butów przylepiły mu się płatki kwiatów wiśni.

- Ponieważ jego żona była w zespole kuratorskim.

- Wtedy o tym nie wiedziałem, jasne? Nie miałem pojęcia, o czym mówił. I wtedy wydarzyła się ta afera z Sarah i wszystko wzięło w łeb. Zwiąłem...

- A więc myślałeś, że to jednak była robota Mullena?

Pociągnął nosem.

- Przeszło mi to przez myśl. Ale koniec końców nie miało to większego znaczenia, prawda? Nie zamierzałem zostawać i próbować przekonywać kogokolwiek.

- Te materiały... - rzekł Thome.

Freestone zmrużył oczy na chwilę.

- No wie pan, zdjęcia, nagrania, takie tam.

Takie tam...

- Czy mówi ci coś nazwisko Farrell?

Freestone pokręcił głową.

- Zamierza pan zrobić Mullena?

- Jak byś się poczuł, gdybyśmy to zrobili? - spytał Thome. - Wiem, że masz powody, by go nie lubić, ale czy... ani trochę mu nie współczujesz? Naprawdę sądzisz, że ma coś na sumieniu?

Freestone trochę się zawahał, zrobił długi wydech, jakby miał już dość, i wyciągnął

ręce.

- Jaki piękny dzień. Przyszedłem tu podziwiać widoki.

- To lepiej porozmawiajmy o drzewach - rzekł Thome.

Patrzył, jak Freestone zmierza w stronę siostry i siostrzeńców. Do podeszew butów przylepiły mu się płatki kwiatów wiśni.

31

Zaczęło zmierzchać i równocześnie lunęło.

Thome siedział w BMW naprzeciw domu. Potarł kark, bolący od odwracania głowy i spoglądania w stronę drzwi, po czym zerknął na zegarek. Wiedział, o której mieli zapukać ludzie z S05.

Siedzieli tam już od półtorej godziny.

Wyobrażał sobie, że Mullen z początku się nie przejmował, może był nawet znudzony. Przywykł, że w progu jego domu na dzień dobry okazywano legitymacje służbowe. Thome zastanawiał się, jak szybko zrzęda mu mina, gdy funkcjonariusze wyjaśnili, z jakiej są jednostki. Kiedy drzwi się otworzyły, to właśnie Mullena zobaczył Thome najpierw. Potem Luke a szarpiącego ojca za rękaw dresu; chłopak był wyraźnie zdezorientowany fezu...

Chłopak zniknął mu z oczu odprowadzony delikatnie w głąb domu, drzwi znów się przymknęły, po czym wyszło stamtąd dwoje funkcjonariuszy - mężczyzna i kobieta. Zaczęli prowadzić Mullena przez podjazd, gdzie stały samochody.

Nie miał założonych kajdanek.

Na tym etapie chciano go tylko przesłuchać...

Thorne wiedział, że w domu wciąż było jeszcze troje lub czworo funkcjonariuszy. Niedługo zaczną wynosić papiery, komputery, pudła z kasetami i płytami DVD, gdy tylko mieszkańcy opuszczą dom. Kilka minut po tym, jak wywieziono Mullena, wyprowadzono dzieci.

Thome patrzył na Luke a Mullena, który szedł jak lunatyk przez podjazd, obejmując siostrę w talii, a umundurowana policjantka trzymała mu rękę na ramieniu. Znów się zastanawiał. Nigdy nie przestawał się zastanawiać nad Tonym Mullenem i jego dziećmi.

Thome przypominał sobie rozpaczliwe wymówki Adriana Farrella w areszcie, kiedy pytano go o tamte telefony. Thome zdał sobie sprawę, że Farrell, wbrew temu, co, jak podejrzewali, musiał przechodzić, próbował ochronić nie tyle siebie, ile raczej ojca.

Nie mógł stwierdzić, czy dzieci Tony ego Mullena doznały jakichś cierpień ze strony

swojego ojca. To były naturalnie tylko pobożne życzenia, ale wydawało się, że przynajmniej jedno z nich uniknęło molestowania w domowych pieleszach. Maggie Mullen była przerażona myślą, co Lardner powiedział jej synowi: wydawała się przekonana, że Luke o tym nie wiedział.

Zaprzeczenie. Wiara.

Maggie Mullen została skrzywdzona przez jedno i drugie.

- Dlaczego pani z nim została?

- Odeszłam. Raz. Parę lat temu.

Maggie Mullen drapała tym, co zostało z jej paznokcia, porysowaną powierzchnię stołu. W pokoju odwiedzin było chłodno i Thome nie zdjął kurtki, ale więźniarka zdawała się nie przejmować temperaturą.

- Niedługo potem wróciłam.

- Dlaczego pani wróciła?

- Z uwagi na dzieci.

- Mogła je pani zabrać ze sobą. Sąd podczas rozvodu bez najmniejszych wątpliwości przyznałby pani opiekę nad dziećmi.

- One kochają swego ojca - rzekła. - On też je kocha. Ponad wszystko...'

Thome nie pojechał do więzienia Holloway, bo uważał, że to mogłoby pomóc w sprawie przeciwko Tonyemu Mullenowi. Nie miał pojęcia, czy Mullen kiedykolwiek stanie przed sądem. To wyrwało mu się spod kontroli. Chciał poznać odpowiedzi na niektóre pytania tak dla własnej satysfakcji.

- Tony nigdy nie tknął naszych dzieci - powiedziała. - Nigdy.

Thome chciał spytać, czy była tego pewna, skąd mogła mieć pewność, ale jej milczenie brzmiało niczym błaganie, by tego nie robił.

- Widział pan, co to zrobiło z Lukiem - rzekła - to, co powiedział mu Lardner. On kocha swego ojca. Podobnie jak Juliet.

- A pani? Nie rozumiem jak...

- Kochałam go.

Wyraz jej twarzy sugerował, że nie wiedziała, czy jest męczennicą, czy może kretynką.

- Żał mi go, bo jest zdruzgotany. Nienawidzi tego, co robił...

- Co robił. Czas przeszły.

- Czas przeszły.

Thome milczał.

- To były tylko zdjęcia - powiedziała. - Zdjęcia małych dziewczynek, wiele lat temu. Nic więcej.

Thome znów chciał ją zapytać, skąd, na Boga, mogła być tego pewna, ale wiedział, że to nie miało większego sensu. Musiała zadawać sobie to pytanie setki razy.

Tak jak pytanie, które Thome zadawał sobie, a które dotyczyło nadkomisarza Trevora Jesmonda. Dlaczego on nie wspomniał nigdy o Grancie Freestonie. Thome wciąż nie mógł się zdecydować, czy podzielić się swoimi podejrzeniami z ludźmi, którzy mogliby spróbować je zweryfikować. Nie był pewien, czy te podejrzenia brały się z przeczucia, czy z czegoś bardziej mrocznego i złowrogiego...

Maggie Mullen odsunęła krzesło. Szykowała się do wyjścia.

- Petera Lardnera też pani kochała, prawda?

W końcu to zrozumiał. Uświadomił to sobie, widząc krew, która bulgocząc, zalewała jej ciało, kiedy tuliła w ramionach swojego dawnego kochanka. Teraz po raz pierwszy, odkąd wprowadzono ją do tego małego chłodnego pokoju, Thome dostrzegł, że rysy twarzy kobiety złagodniały. Zauważył ból w jej oczach i wokół ust.

- Kiedyś za nim szalałam. Tak jak on za mną.

- Ale mogliście być razem. Tego właśnie nie rozumiem. Pani, Lardner i dzieci.

Smutek i desperacja powróciły, osadzając się na jej twarzy, gdy zastanawiała się, co ma odpowiedzieć.

- Czy zawsze postępował pan właściwie?

Kłamstwo przyszło mu z łatwością.

- Zawsze.

Maggie Mullen burknęła coś, co mogło oznaczać, że mu uwierzyła lub nie, po czym wolno wstała z krzesła i przeszła obok Thorne a w stronę drzwi i czekającego strażnika więziennego. Oczy rozszerzone, patrzące na wprost.

Tak samo jak jej syna...

Oczy rozszerzone, patrzące na wprost, twarz Luke a pod daszkiem baseballowej czapeczki wydawała się szara. Thome patrzył, jak chłopca odprowadzono do samochodu i jak się pochylał, by wsiąść do środka.

Odwrócił się przez ramię i spojrzał na Juliet Mullen. To trwało tylko kilka sekund i na jej twarzy nie sposób było dostrzec więcej emocji niż u jej brata, ale Thome bez trudu wychwycił jej oskarżycielskie spojrzenie.

Uruchomił samochód i włączył muzykę.

Zapytał sam siebie, dlaczego, u licha, w dziewięciu przypadkach na dziesięć, kiedy

postąpił słusznie i robił to, co należało, czuł się tak paskudnie.

Gdy Thome odzyskał przytomność, był spragniony, ślina ściekała mu po brodzie, a w oczach miał łzy.

Kiedy znajdował się pod wpływem narkozy, widział ojca, który kręcił się w pobliżu. Nie mówił dużo, po prostu był blisko, mając oko na wszystko. Odnosił wrażenie, jakby jego ojciec odpływał, cienisty i eteryczny jak on sam. Kiedy odzyskał świadomość, Thome poczuł dogłębnie, że pożegnał się z czymś więcej niż tylko z bólem.

Jakby oba jego fantomy odeszły równocześnie.

Siedział podparty na trzech poduszkach i wpatrywał się w ekran telewizora. Oglądanie sprawozdania z procesu karnego było czymś w rodzaju czystego masochizmu, ale nie mógł się temu oprzeć. W Stanach Zjednoczonych jedna z największych sław miała stanąć przed sądem i groził jej długoletni wyrok, a minione trzy tygodnie upłynęły pod hasłem farsy związanej z doborem ławy przysięgłych. Kandydaci byli odrzucani jeden po drugim, gdyż wiedzieli, kim jest podsądny, a co za tym idzie, mogli mieć wobec niego uprzedzenia. Oskarżyciel zapytywał, gdzie ma znaleźć ławników, którzy nie słyszeliby o sławnym celebrycie i o tym, co rzekomo zrobił. Thome, wciąż śpiący, zamknął oczy i wyobraził sobie cudowny obraz ławy przysięgłych złożonej z Eskimosa, buszmena z pustyni Kalahari, członka jednego z tych afrykańskich plemion, którzy mają w dolnej wardze coś, co przypominało talerz...

Uprzedzenia...

Chłopcy i dziewczęta z dobrych domów, chodzący do dobrych szkół nie stają się rasistowskimi mordercami. Nie dorastają, by porywać dzieci.

Były gliniarz musi być celem jako ojciec, kiedy ktoś porywa mu dziecko. Dzieci są bezpieczne z najbliższymi.

Wiedział, że wszyscy mieli swoje uprzedzenia i podejrzenia. Że potrafili wystrychnąć na dudka zarówno ludzi dobrych, jak i złych. Że większość z nich opierała się na zwykłym doświadczeniu. Ale mimo to... Kiedy chodziło o kwestie winy i niewinności, zaufania i wątpliwości, Thome wiedział lepiej niż inni, że uprzedzenia i podejrzenia bywały niebezpieczne.

To było złe myślenie.

Drzwi na drugim końcu pokoju otworzyły się i z łazienki wyszedł Hendricks, wycierając ręce.

- Niezły wystrój.

Hedley Grange był prywatnym szpitalem i ośrodkiem rehabilitacji znajdującym się

nad brzegiem Tamizy w pobliżu Kingston. To właśnie tu policja wysyłała swoich funkcjonariuszy, którzy ucierpieli podczas pełnienia służby, i tu Thome dochodził do siebie po operacji w związku z kontuzją pleców, jakiej się nabawił, ratując Luke a Mullena w domku wiejskim w St Pauls Walden.

- W sumie dlaczego nie miałby pan na tym skorzystać - zauważył Holland.

Hendricks podszedł z boku do łóżka.

- Zobaczmy, co oni z tobą nawyprawiali.

Thome ułożył się na lewym boku. Poruszał się ostrożnie, by nie uszkodzić szwów ani nie dotknąć płataniny rurek, do których był podłączony. Miał tu kroplówkę i dozownik morfiny, z którego mógł skorzystać poprzez naciśnięcie specjalnego przycisku, kiedy tylko tego potrzebował.

Za wcześniej jeszcze było, by stwierdzić, czy operacja przepukliny dyskowej zakończyła się sukcesem. Nadal czuł się mocno obolały, choć chirurg zaznaczał, że ból, jaki mu doskwierał obecnie, może być bólem pooperacyjnym. Tak czy owak Thorne już kilka razy w ciągu trzech godzin, odkąd się obudził, zrobił użytek z przycisku.

Hendricks zadarł koc i gwałtownie wstrzymał oddech.

- Co jest?

- Żartowałem tylko - powiedział Hendricks. - Wszystko wygląda nieźle. Gatki z lateksu i samonośne pończochy też są całkiem seksowne.

- Spierdalaj.

Hendricks podszedł do krzesła przy łóżku. Rzucił okiem na bukiety na nocnym stoliku: jeden stosunkowo nieduży, od komendanta, idrugi trochę większy z karteczką z życzeniami szybkiego powrotu do zdrowia. Ten był podpisany: „Gorące buziaki od Louise”.

- Może teraz mi opowiesz, jak ci z nią poszło - rzekł Hendricks.

- Jak dotąd nijak - odrzekł Thome. - Mam nadzieję, że jak z moimi plecami wszystko będzie w porządku...

- Spokojnie, tygrysie... na razie unikałbym huśtania się na żyrandolu.

Thorne się uśmiechnął.

- Prawdę mówiąc, na razie poprzestałbym tylko na pieścizotach.

- Uśmiech się poszerzył. - No może ewentualnie na zrobieniu mi dobrze ręką.

- Myślisz, że wam się uda?

- Byłoby miło, nie uważasz?

- Jest fajna - rzekł Hendricks. - Ma klasę.

Z korytarza dobiegły jakieś głosy. Turkot wózka. Herbata albo leki.

- A co z tobą i z Brendanem?

Hendricks odchylił się na krzesło do tyłu, tak że stanęło na dwóch nogach.

- Żyje się dalej.

Wyjrzał przez okno.

- Nic nie mówi, ale myślę, że ma kogoś na boku.

- I jak to znosisz?

Hendricks odparł, że całkiem nieźle, i zabrzmiało to całkiem przekonująco.

- Zamierzam znaleźć kogoś, kto będzie pragnął tego samego co ja. To nie może być aż takie trudne.

- Masz na myśli dzieci?

Krzesło znów opadło na cztery nogi.

- Co ty na to? - rzekł Hendricks. - Ty i ja. Po co dłużej z tym walczyć. Adoptujmy.

- Nie jestem pewien, czy byłbym dobrym ojcem - przyznał Thome. Hendricks z niewzruszoną miną poprawił go:

- Raczej matką. Z nas dwóch to raczej ja tu noszę spodnie.

Thome się zaśmiał, ale zaraz tego pożałował. Wcisnął kilka razy przycisk automatycznego dozownika, aż ból odpłynął, a on zapomniał, co go tak rozbawiło.

Aż nie pamiętał już nic.

Podziękowania

Z ważnych powodów większość procedur dotyczących prowadzenia śledztw w sprawach o uprowadzenie jest - i musi pozostać - wyjątkowo delikatna. W rezultacie bardziej niż zwykle musiałem grzebać, poszukując niezbędnych informacji, i nie miałem wyboru, jak tylko w dużej mierze posłużyć się fikcją literacką. To jednak, czego się dowiedziałem, nie pozostawia żadnych wątpliwości, że ci, którzy zajmują się prowadzeniem dochodzeń w związku z uprowadzeniami - w ich licznych odmianach - na terenie całego Zjednoczonego Królestwa, mają mnóstwo roboty.

Pomijając jednak kwestie wewnętrznego funkcjonowania Jednostki ds. Uprowadzeń, muszę rzecz jasna podziękować wielu funkcjonariuszom policji za ich pomoc: nadinspektorowi Neilowi Hibberdowi, który, jak zawsze wspaniałomyślnie, poświęcał mi swój czas i służył cennymi radami, zespołowi z posterunku Colindale, który także bardzo mi pomagał, oraz szczególne wyrazy wdzięczności składam detektyw sierżant Georginie Barnard, pełniącej funkcję mojego przewodnika i niestrudzenie odpowiadającej na niekończące się głupie pytania.

Już teraz, zawczasu, przepraszam za mnóstwo następnych.

Dziękuję wielu moim kolegom po piórze, zarówno z Wielkiej Brytanii, jak i z USA, za ich przyjaźń i wsparcie, a z tej okazji pragnę zwłaszcza powiedzieć „dziękuję” Lindzie Fairstein, której wiedza na temat DNA pomogła ocalić jeden z istotniejszych wątków tej powieści przed wykasowaniem.

Chciałbym również podziękować Filomenie Wood i Cecilii Duraes za ciężką pracę, kiedy sam nie stukam dwoma palcami w klawisze, Yaronowi za znajomość sieci i Hilary Hale za uczynienie całego procesu - od pierwszej do ostatniej linijki - prawdziwą frajdą.

A także, ma się rozumieć: Mike owi, Alice, Wendy, Michaelowi i prawdziwemu panu Thome owi.

Oraz Claire, Katharine i Jackowi za tak wiele.